

**Antologia rosyjskiej fantastyki #1**

# **Wilcza krew**

**Przełożyli Ewa i Eugeniusz Dębscy Paweł Laudański  
Wybrał i posłowiem opatrzył Wojtek Sedeńko**

## ZDRAJCA

Rumaki im zaginęły. W biały dzień. A ja siedzę sobie w domku, odpoczywam. Pociągam koktajl „mazut”, czytam informator „Noże bojowe”. Wódeczki przyswoilem już jakieś trzysta gramów, jeśli przeliczać to na czysty produkt. Humorek — prima sort, odprężony do nieprzyzwoitości, można mnie wybierać łyżeczką. Pewnie dlatego każą mi szukać zaginionych bez śladu koni. Dobrze, że nie aligatorów. Mimo wszystko niezła ze mnie fujara. Kiedy jestem dobry albo na fleku, co na jedno wychodzi, to jestem gotów wpakować się w dowolną aferę.

Jak trzeba towarzyszyć wysokiej delegacji, to nikt o mnie nie pamięta. Pysk im, kurza twarz, nie pasuje. Nie ta krew. A jak teźe wysokiej delegacji rąbnęli środek transportu, od razu stałem się persona grata. Bo trzeba potaplać się w gównie, a to niższej kaście bardziej przystoi.

— Igariok, przyjacielu drogi, dlaczego ja? Rumaki... To robota dla beastmastera.

— Dima, przestań chromolić. To jest zajęcia dla operacyjnego. Bądź łaskaw nie pieprzyć bez sensu, tylko wykonaj polecenie. Biegiem!

Głos Igora zdradza zdenerwowanie i rozterkę. „Operacyjny”, znaczy się... ciekawe, jak mam to rozumieć — obsuwa w służbowej hierarchii? Czy odwrotnie? Zazwyczaj butni koledzy półkrwi nazywają mnie po prostu: „mag”. Albo nawet „Hej, magu!”. Rozpuścili się, ścierwa, nic się nie boją. Dawno nie natarłem im uszu. Pewnie wydorostałem.

Zasmucony wlewam w siebie szklaneczkę nierozcieńczonej, naciągam na siebie wspomagające duperele i wychodzę na ulicę, żeby złapać jakiś samochód. Już siedząc w taryfie, kładę pod język szczyptę stymulatora. Od razu zaczyna mnie łamać i kręcić, środek za cholere nie chce współdziałać w pokojowym duchu z wódką. Żebym się tylko nie zhaftował — szkoda tyle wódeczki puścić poza organizm... Całe ciało się trzęsie, jakby mnie skręcił jakiś skurcz. Od czubka głowy do pięt. No nic, jakoś się to świństwo rozejdzie po żyłach, będzie lepiej.

Staram się nie zgrzytać zębami. Taryfiarz, widocznie nawykły do narkomanów, nie zwraca uwagi na dziwnego pasażera. Demonstracyjnie, wręcz przesadnie.

— Nie martw się, szefie, to moje wrzody.

— W porządku. Może się zatrzymamy przy aptece? Wyskoczę.

— Dzięki, jakoś sobie poradzę. Nie pierwszozna.

Właśnie. Nie pierwszozna. Już z dziesięć lat przeżuwam jakieś świństwa, niemal codziennie. Dla istoty, której metabolizm jest niemal ludzki, takie chemiczne wlewki nie przechodzą jak kaszka manna. A na tym odcinku, od poboru do przyswojenia preparatu wiele może się zdarzyć. Czasem boli jak cholera, czasem obserwuję jakieś dziwne zachowania, a czasem po prostu mam halucynacje. Ale, niestety, tak trzeba. Koszta własne zawodu.

Ciekawe, jak ta trucizna mnie zmienia? I o ile skraca życie...

Pewnie naprawdę jestem narkomanem. W każdym razie już od dawna nie zdarza mi się pracować „na czysto”. Bez boostera szybko się męczę, a co najważniejsze — mój arsenał jest ograniczony. Standardowy problem Kwarterona, który w mistrzostwie profesjonalnym wyprzedził mieszańców, istoty półkrwi i osiągnął granice swojego organizmu. Chcesz pracować — pakuj prochy mikstury. A jeśli mam nie pracować, to mogę równie dobrze i nie żyć. To znaczy żyć, ale ledwo-łedwo. Tak, ludziska, to się nazywa uzależnienie.

Już puszcza... Siadam wygodniej, zapalam i przyglądam się światu za oknem zupełnie innym okiem. Jakbym zamiast oczu miał teleobiektywy. Silniejszy jestem. Zręczniejszy.

Gwałtowniejszy. No i dwukrotnie bezczelniejszy, jasna sprawa. Muszę się pilnować, żeby przypadkiem nie urazić Igora. Niełatwo jest współżyć z szefem kablem i tchórzem. Niestety, w moim zawodzie nie wybiera się przelożonych. Taki los.

Igor już czeka na rogu, niemal podskakuje z niecierpliwości. Facjata identyczna jak głos przez telefon — zdenerwowana i skonfundowana. Obwąchał mnie i rozjuszył się.

- Pijany... — syczy. — Znowu pijany.
- Bo mam wolne, tak nawiasem mówiąc.
- Zaraz one ci urządzają wolne...

Nieopodal stoją dwie wysokie gościowy. Dosłownie wysokie — dwie piękne kobiety o figurach modelek typu „skóra i gnata”. Szatynka i jasna blondynka. Stoją z minami, jakby to wszystko ich nie dotyczyło. Ale czuję, że jeśli jeszcze chwilę będą kłopoty z transportem, to Firma będzie miała koszmarnie problemy. Zaiste, skandal, żeby tu sobie panusie przyjechały odwiedzić ziomków i popatrzeć sobie na równoległy świat, a kiedy już im się znudziło — kiks w programie. Jak to?! Dlaczego?! A dlatego! Bo to Rosja, trzeba trochę kumać. Patrzcie je — konie! U nas ginie wszystko. I nie tylko konie. My sami nie tyle tu żyjemy, co wolno giniemy.

A dziewczuchy tak na oko naprawdę niezłe. Ale taka nie nasza uroda, odstrasza. Może nie odpychająca. Chłopaki mówią, że takie ślicznotki czasem mają ochotę na zabawuszkę z miejscowymi. Gadają jeszcze, że drugi raz nikt już nie chciał — człowiek czuje się ponoć jak zgwałcony. Nic dziwnego — wystarczy zajrzeć w te pełne zimnej pogardy oczy.

Nawet w łóżku chcą komenderować i nigdy nie zapominają o przerwywach. W zasadzie elfijka czystej krwi może przerwać niepożądaną ciężką zwyczajnym wysiłkiem woli. Ale to może jej zaszkodzić.

Ale tej blondyneczce oddałbym się raz. Tylko... Co tam było o naszym pysku?

Aktywizuję „oko czarodzieja”, ale na pierwszy rzut nie ma nic ciekawego w promieniu pół kilometra. Wygląda, że koniki zrobiły pa–pa! Niedobrze. Oberwie się nam od Firmy. Z drugiej strony, co ja mam do tego? Ale to ja oberwę najwięcej, jak znam życie.

— Dobra, Igor — mówię. — Do rzeczy. Gdzie są konie?

— Nie ma... Drzwi do mieszkania otwarte, a koni nie ma. Brak najmniejszych oznak włamania. Ani ryski.

— Ale co jest? Rąbnął ktoś?

— Nie, patrzyłem tam, nie ma żadnych śladów.

— Dobra. Opowiadaj po kolei.

Elfijki w końcu raczyły się mną zainteresować. Nie rozumieją, z jakiej paki wziąłem się pod boki i papieroska kurzę. Powinienem w ich sprawie, wysoce szlachetnych, widać się jak wąż i biegać rakiem, a ja już od minuty stoję i nie ruszam się. Ten obok mnie, Mieszaniec — czort z nim, aleja, Kwarteron, niemal człowiek, dlaczego nie wyczuwam podniosłości chwili?

Odwracam się do szlachetnie urodzonych plecami.

— Zacznijmy od najważniejszego. Dlaczego wybrałaś akurat to miejsce, Igor?

— Zawsze tu pracujemy. Do lasu dwa kroki, znakomita okolica na przejście. A w tym domu wynajmuję kwaterę dla koni.

No tak, miejsce niegłupie. Peryferie miasta, ledwo zipiące czteropiętrowce, do skraju lasu blisko. A w lesie są wydeptane ścieżki spacerowe — akurat to, czego trzeba, by rozpedziły się Rumaki Irumana. Żeby osiągnąć prędkość startową, takiemu konikowi wystarczy sto metrów prostej.

Pojęcia nie mam kim jest Iruman. Pewnie elfijski Przewalski.

— Jak je maskujesz?

— Na pudle.

— Pudle?!

— A niby czemu nie? Na kogo innego? Jeśli nie jesteś na bieżąco, to informuję cię, że maskowanie musi być naturalne.

— Nie, nic, po prostu jestem zaskoczony. Rozumiesz, Rumaki Irumana, legendarne bydlaki, Pegazy, kurza dupa... I nagle — pudle.

Igor zaczyna się nabzdyczać. Ja, patrząc obok niego, uważnie badam okolicę. Wydawało mi się czy...

— Igor, nie masz takiego uczucia, że coś tu zajeżdża orkami?

— Wódą zajeżdża! Od ciebie!

— Dobra, milczę. Idziemy dalej — maskujesz je, odprowadzasz do mieszkania...

— Tak, potem normalnie sieje chowa, jak zwykle psy. Spacery, karmienie, standardowe codzienne zabiegi.

— Karmienie? Jak, sianem?

Wyraziście wyobraziłem sobie pudła, skubiącego trawę na klombie przed domem. I wytrzeszczone gały przechodniów. Zresztą, Igor pewnie wyprowadza pupilki, przykrywszy się jakimś kamuflującym spells. Żeby uniknąć wsypy.

— A spadaj mi!

— Już spadam. A co dalej?

— Dalej to już wszystko wiesz. Rano były na swoim miejscu. Teraz ich nie ma.

— Nie odkryłeś rano niczego takiego... Niezwykłego? Nie wydało ci się, że były zdenerwowane?

Igor nabzdycza się jeszcze mocniej.

— Mnie tu cuchnie arkiem, serio — mówię. — Dzwon do WitTri.

— Po co?

— Żeby się dowiedzieć, jak właściwie nicowane są Rumaki Irumana, dupku! Kogo mam szukać? Myślisz, że pudle są w stanie otworzyć zamek drzwi?

Igor nieco upuszcza powietrza, maleje i wyjmuję z kieszeni telefon.

— Kochana młodzieży! — rozlega się z tyłu, mrozący duszę głos. Głos taki, że natychmiast przechodzi mi ochota oddać się blondynce. — Długo tak zamierzacie tam stać?!

Oczywiście, nie mówi tego po rosyjsku, po prostu transmituje myśli bezpośrednio do mojej czaszki. Ale głos, jaki słyszę, jest jej głosem. Wstrętny głosik. Nadawałby się do wojska. Albo dla więziennego klawisza.

— Uno momento, seniora.

— Nie zapominaj się, chłopcze.

— Ani mi w głowie, madame. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

— Akurat.

Odzywa się Wit'ka, Jest naszym beastmasterem, specjalistą od ujarzmiania, udomowiania i poskramiania wszelkiej zwierzyny. Właściwie powinien być tu, w strefie incydentu, ale w Firmie mieszkańców z byle powodu w teren nie wysyłają. Nie rozumieją, że jeśli będą ganiali Kwarterona jak siwą kobyłę, przezywając przy tym „czarownikiem” i „ćwiarteczkiem”, to ten osobnik może kiedyś się zagulić i rozkręci incydent do wymiarów katastrofy.

Wit'ka jest pewien, że Rumaki Irumana nicowane są w zwyczajne konie.

— Powiedz mu, że tu cuchnie orkami — radzę Igorowi. — I niech nas ten szarlatan pocałuje w tyłek.

— Nasz mag zapewnia, że tu śmierdzi orkami — mamrocze do słuchawki zdemoralizowany ostatecznie Igor.

— A wódą od maga nie śmierdzi? — interesuje się Wit'ka. — Niech mnie ten bezczelny typas

pocałuje w tyłek. Albo niech się weźmie do roboty. Już, pracujemy.

Mnie tam nie trzeba zmuszać do pracy, już i tak jestem w transie. Nawet namierzyłem, według promieniowania, mieszkanie, w którym Igor ukrywał swoje pudelki. „Oko czarownika” bez przerwy skanuje przestrzeń, powoli dodając mocy. I w sąsiedniej bramie, na tym samym piętrze, za ścianą mieszkania, gdzie były konie, odnotowuję niezrozumiałe zakłócenie przestrzeni.

A poza tym na pewno szwendali się tu orkowie. Zajeżdża od nich nie jak od naszej ziemskiej namiastki, a gorzej niż od prawdziwych. Co, rzecz jasna, jest niemożliwe. Mimo wszystko z tą szklanką wódki przed wyjściem z mieszkania chyba przesadziłem. Na kacu zawsze gwałtownie i nieprzyjemnie wyostrza mi się węch.

Z drugiej strony, bardzo dużo już wyczałem, a czego nie mogłem — domyśliłem się. Generalnie wiadomo, co się stało. Konie coś przeraziło. Wpadły w histerię, przebiły się przez słabiutkie maskowanie i ziemskie biopole momentalnie je przenicowało. Przenicowało na coś, co może otworzyć zamek i uciec, wytrzeszczając oczy, aby tylko dalej od niebezpieczeństwa.

Dobra, teraz najważniejsze, żeby w histerię czasem nie wpadły nasze przenicowane elfjki.

— Co to za konie? — pytam Igora. Twardo pytam. Tak zadaje pytania gotów do działania bojowy mag.

— Co?... A, ogiery. Czarny i biały, odpowiednio trzy i cztery lata.

— Stój tu i czekaj.

Idę do przejścia między długimi przysadzistymi domami. Pod jedną z bram siedzi para babunięk. Nasze towarzystwo od dawna i otwarcie im się nie podoba. Kieruję swe kroki prosto do nich.

Zastanówmy się, na co mogło przenicować wystraszone konie? Matka — Ziemia każdą istotę, która przybywa tu z Irrheinu, przeinacza w góra dziesięć sekund. O ile, rzecz jasna, szybko nie dokonamy kamuflażu, który oszuka miejscową energetykę, wysyłając sygnał: swój.

Z dwunogów tylko elfy czystej krwi przechodzą nicowanie bez szczególnych konsekwencji. Oczywiście, na samym początku trochę powala je depresja, ale nie dostają świra, a i ciało deformuje się minimalnie: elfy wszak są fizjologicznie bardzo bliskie ludziom. Byłem kilka razy w Irrheinie, widziałem, jak naprawdę wyglądają elfjki. Są jeszcze piękniejsze, ale i tak dookoła nich panuje polarna zima. Taka sama jak wokół elfów — mężczyzn. No dobra, „ćwiarteczku” nieszczęsny, zapomnij o smuteczkach, działaj.

Babcie mierzą mnie nieprzychylnym spojrzeniem. Omijam je i zatrzymuję się za ich plecami. W takiej sytuacji, lepiej wprowadzać charm od pleców. To jeden z najprostszych spelli, nie wymagający żadnego instrumentarium. Wystarczy sam czarodziej. Chociaż osobiście przedkładałam nad czarodzieja określenie „mag bojowy”. Nie powinienem tak mówić o sobie, to nie moja klasa i nie moja specjalność, ale lubię. Może i jestem „ćwiarteczkiem”, ale za to specjalistą.

Pożyteczna rzecz takie „oczarowywanie”. Opanowawszy coś takiego na poziomie eksperta możesz charmować kogo chcesz, nawet ze związanymi rękoma. Oczywiście, jeśli naprzeciwno nie stoi podobny ekspert. Zresztą, jak wiadomo, nawet najcięższy głaz znajdzie dla siebie dziurę, co go pochłonie.

Wracam do babuszek. Już mnie kochają jak wnuka.

— Dzień dobry. Powiedzcie mi, proszę, nie widziałyście przypadkiem pary chłopaków? Tacy bardzo do siebie podobni, tylko jeden jaśniutki, a drugi ciemny? Nie przebiegali tędy?

— A jakże — powiada jedna z babć i dźga laską w stronę kolejnej bramy. — Akurat dwie godziny temu jak...

— Więcej — przerywa druga. — Ja wyszłam, jak skończyła się „Fatalna namiętność”. A ty już tu siedziałaś...

— No, niech będzie, że trzy. Wypadli z tamtej bramy i biegiem, tam... Jeszcze sobie

pomyślałam, co oni tak pędzą na łeb, na szyję...

Ale ci przyfarcilo, magu! Stoję przed babciami, czarująco się uśmiecham, a sam aż się trzęsę z napięcia. Na bank kręca się tu orkowie. Często i wielu. Bo skąd by było czuć taki smród? Dureń Igor ulokował swoje konie dosłownie w orczym gnieździe. Więc konie ześwirowały. Rumaki Trumana mają bardzo delikatną psychiczną budowę, w następstwie tego są histeryczne i strachliwe... Ale zuch ze mnie, jakże pięknie wyliczyłem, że konie zostaną przenicowane właśnie w chłopaków! Będzie powód, żeby nagadać Wifce. Mądrała z ciebie, magu.

Dociskam „oko czarodzieja” do maksa, aż mi włosy na rękach się jeżą. O, mam je! Albo coś do nich podobnego. Chłopaki. Szczeniaki.

Łatwo uwalniam się od babć i niemal biegiem wracam do Igora. Mądryś, mądryś, ale o jednym zapomniałeś.

— Daj mi cukru!

— Znalazłeś je?

Igor wyciąga z kieszeni torebkę, wrywam mu ją z ręki.

— Zapędziłeś konie w paszczę orków!

Blednie, ale zapiera się. No pewnie, taki gatunek, co się nigdy nie przyzna do błędu.

— Niemożliwe... Jeszcze wczoraj nic tu nie śmierdziało.

— A rano?

Śmierdziało, widzę po oczach. Okay, przy okazji i ciebie z gównem mieszam.

— Stój tu, pilnuj tego rogu. Podpompuj swoją ochronę, zupełnie ci się rozlazła. I bojowe spelle ustaw na błyskawiczną aktywację!

— Ale po co?

— A po to, że może się zrobić nieprzyjemnie.

— O co chodzi, młodzieży? — Denerwuje się na dystans blondynka. Zauważyła cukier i moje pobudzenie. Szkoda, że z powodu stanowiska nie mogą zwracać się do niej bezpośrednio z pytaniami. Na przykład, czy czuje, że w powietrzu rozlewa się orczy smród? Coraz mocniej i mocniej z każdą chwilą? Wrażenie jest takie, że taki jakby mój odpowiednik, najważniejszy miejscowy bandyta Wania Mag, prowadzi do zapomnianego przez Boga czteropiętrowca na peryferiach miasta całą swoją, bez mała tysięczną, armię złodziei, zabójców, bandytów, a przy okazji i gwałcicieli.

Prowadzi na „tarkę”. Żeby na proszek zetrzeć wszystkie elfy i półelfy. I „ćwiarteczków”, wiadomo, wespół w zespół.

— No problem, madame.

— Za chwilę mnie rozzłościysz, chłopczyku.

— Proszę się nie niepokoić, pani.

Przebieram nóżkami. Igor trzęsie się, elfijki zaczynają się gotować. Tylko babcie mnie kochają.

Dziesięć metrów przed bramą zwalniam i wchodzę do bramy bardzo spokojnie, ale pewnie. Jeszcze spokojniej i pewniej, jak ktoś, kto panuje nad sytuacją, idę po schodach do góry. Staram się nie sapać. Sportem, gołąbeczku, byś się zajął, a nie bojową magią.

Czwarte piętro. Pokancerowane drzwi do mieszkań. Zasłonięte kratą schody na strych.

Oto i są. Co teraz należy zrobić?

Przywarli do siebie, plecami wbili się w kąt. Obaj na granicy prawdziwego stuporu. Dwaj chłopcy, po jakieś dziewięć — dziesięć lat, jeden blondynek, drugi ciemnowłosy, w jednakowych dzinsowych ubrankach. Matka — Ziemia zabawnie przekształca nieproszonych gości. Ciekawe, czy uda mi się ocharmować dziko przenicowane i doprowadzone na skraj psychicznej wytrzymałości Rumaki Irumana.

Spokojnie, jeszcze spokojniej, Dima. Jesteś ich przyjacielem. Jesteś ich panem. I nie chuchaj na

nich wódką, konie tego okropnie nie lubią.

Zbliżam się jeszcze bardziej i kładę temu jasnowłosemu dłoń na ramieniu. Nawet się nie poruszył. I nie patrzy na mnie. Zaczynam go wolno ogłaskiwać. Dziwne — widzę dzinsową tkaninę, a dłonią czuję spoconą końską skórę. Przyciągam biednego konika do siebie, obejmuję wolną ręką drugiego.

Ech, wy, środki transportu...

Uspokajam rumaki długo i starannie, a one zaczynają powoli odzywać. Dobrze, że w mieszkaniach nie ma nikogo. Wyglądam pewnie teraz jak zatwardziały pedofil. Oczywiście, jestem dobrze uzbrojonym pedofilem, ale i tak wolałbym uniknąć jakichś potyczek z miejscowa ludnością. Nie mam zamiaru jeszcze dodatkowo straszyć biednych wystraszonych koni.

No. Już mogą na mnie popatrzeć. Tępawo, ale ufnie. Świetnie. Podaję każdemu po dwie kostki cukru. No, teraz to już miłość na całego. Wylizują mi dłoń. Błagam niebiosa, żeby nikt się teraz nie pojawił z dołu. Dobra, moje kochane, jeszcze chwilę się tu poprzyjaźnimy i powolutku pójdziemy sobie do wyjścia. A potem elfjki migiem już się wami zaopiekują.

Przyglądam się chłopcom i niemal szczerze żałuję, że nie jestem pedofilem. Rumaki Irumana są niezwykle pięknymi zwierzętami. I, w odróżnieniu od swoich panów, nie rozsiewają dookoła zimnego jarzenia, tylko łagodne ciepłe światło. Dobra, chodźmy, koniki. Zdziwiająco łatwo pozwoliłyście mi nad sobą zapanować, ale i tak bawiłem się tu z wami prawie dwadzieścia minut. Idziemy, maluśkie.

Bez problemów schodzimy po schodach i wychodzimy na podwórko. Moi podopieczni idą, lekko się opierając, ale są pokorni. Idę między nimi, obejmując udreżone stworzenia za szczupłe, ale mocne plecy. Mam nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy przestraszyć się jeszcze czegoś i nie poniosą dziko. Po przeniecowaniu wyglądają może niepoważnie, ale w rzeczywistości są to rączę rumaki. Nawet w postaci pudli mogły bez trudu wywalić kopytem drzwi swego schronienia. Pytam więc, co teraz przeszkadza im walnąć z kopyta we mnie, ich ratownika? Tylko to, że je ratuję i że jestem bardzo dobry. Nie istnieją inne przeszkody.

Dobrze, w takim razie dlaczego uciekły z mieszkania? Przed kim, w naturalnych warunkach, wśród lasów i pól Irrheinu, ukrywają się Rumaki Irumana? Nie uciekają, a właśnie ukrywają się po cichu?

Babcie ciągle jeszcze mnie uwielbiają. Wzrusza je mój widok ze szczeniakami pod pachami. Na wszelki wypadek nakrywam siebie i koniki pasywną wersją charmu. Teraz, jakkolwiek by się na nas nie patrzyło, złowieszczy pedofil wygląda po prostu na zwyczajnego obywatela z dziećmi.

Daleko przed nami podryguje Igor, elfjki — przeciwnie, uspokajają się. Orkami cuchnie wokół aż do oblędu. Rumaki zaczynają się szarpać. Chwytam je mocniej i staram się podzielić z biedakami choćby odrobiną swojej pewności, której zasoby topnieją z każdą sekundą. Dlatego że, sądząc z nasilającego się fetoru, nadchodzi spora zadyma. Zajeżdża od przodu i nieco z prawej. Spoza pleców Igora, obok niego i wali wprost na mnie.

Zupełnie nie wiem, co mam robić. Igor, ten dupek, kretyn i starszy menedżer Firmy, jest tak podniecony, że nic nie czuje. Nawet nie zwarł obrony. Spelle nie gotowe. Oczywiście, od kiedy to Mulaci słuchają rad Kwarteronów?

A dla elfijek cała Ziemia jest przesiąknięta smrodem orków. Trochę mocniej śmierdzi czy trochę słabiej, co im za różnica?

Muszę przeprowadzić rumaki jeszcze przez jakieś trzydzieści — czterdzieści kroków. Potem przechwycą je zręczne ręce elfich amazonek i moje zadanie zostanie wykonane. Ale w tym właśnie momencie, niestety, akcja nabiera tempa.

Zza pleców Igora pojawia się i wbija w przestrzeń między dwoma blokami, wali prosto na mnie z konikami, grupa chłopaków w jednakowych skórzanych kurtkach i spodniach od dresów.

Wszyscy są — jak spod sztancy — wygolonymi pakerami. Sportowcy albo geje. Krótko mówiąc, wali na mnie banda sześciu osobników. Nic im do faceta z dziećmi, nawet nie jest to zasługą odchylającego charm — bandyci wyraźnie kierują się gdzie indziej. Tyle, że bije od nich fetor dwadzieścia razy mocniejszy niż od zwyczajnych półorczych opryszków.

Konie zaczynają więc prychać, charczą i wyrywają się z moich rąk. Przestrzegam ciągle jeszcze aktywne „oko czarodzieja”, wymierzam je w bandytów i moje ręce na ramionach chłopaków niechcący zwalniają uchwyt.

To odruch, ale poddaję się mu, dosłownie na ułamek sekundy. Boję się, przede wszystkim z powodu zaskoczenia, ciało usiłuje przegonić głowę. Nie wiem, czego chce ciało — czy wyciągać lufę, czy kastować „łańcuchowy piorun”, ale i tak rumaki wyrywają się. Wystarczyło, żebym na ułamek sekundy poluzował uchwyt i konie zrywają się do galopu. Wymknąwszy się z moich rąk, pędzą prosto na orki.

Szóstka czystej krwi orków. Nie przenicowanych, a bardzo grzecznie zamaskowanych. Szóstka wojowników.

Od tego momentu czas dzieli się na sekundy, a ja przede wszystkim usiłuję nadrobić zaniedbania i dogonić wydarzenia. Nawet przestaję przeklinać Igora, przez którego głupotę i pewność siebie rozpętała się ta zawierucha. No nic, potem mu ryj obiję.

O ile, oczywiście, przeżyjemy. A do tego należy schwytać rumaki.

Orki na razie niczego jeszcze nie rozumieją i nie przedsięwzięły. Idący na czele, najwyraźniej przywódca, myśli pewnie, że to fajny żarcik — malutki chłopaczek rzuca się na dużego wujka z ta—a—akimi bicepsami. Może na Ziemi panują takie obyczaje? Pochyla się i szeroko rozkłada ręce, już ja was zaraz złapię! Na facjacie całkowicie ludzki uśmiech.

W sumie orki są bardzo czułe w stosunku do dzieci, tak do swoich, jak i do cudzych. Tylko elfich dzieciaków nie szanują. Mówią, że w Irrheinie bractwo z wielkim zaangażowaniem patroszyło ciężarne elfijki.

Niestety, moje dzisiejsze dzieciaki, to wspaniałe rumaki. Z rozpędu wbijają się w pakera, przewracają go na ziemię i depczą. Wdeptują w glebę, słyszę wyraźnie, jak chrzęszczą kości. Pozostałą piątkę dzieciaczki z łatwością rozrzucają na boki i pędzą dalej. Orki walają się na asfalcie i gapią na niebo wytrzeszczonymi gałami. A ja, krzycząc coś nie z tego świata i całkowicie niecenzuralnego, przeskakuję zmaltretowanego wodza i pędzę za tymi cholernymi rumakami.

Niewiele wiem o zwyczajach Rumaków Irumana, ale nie trzeba być wielkim specjalistą, by zrozumieć, że zatrzymać konie może teraz tylko jakiś wielki szok. W końcu biedne stworzenia już któryś dzień z rzędu są w stresie — najpierw napompowali je trankwilizatorami, żeby nie powariowały, przebywając pod postacią małych piesków, potem zastraszyli tak, że aż się przenicowały... A to zapędziło biedactwa w zasadniczo obce ich naturze ciała. Nie wiadomo jakim cudem nie połamały sobie nóg zbiegając po schodach... A teraz jeszcze szczują je orkami. Dobra, w tej chwili interesuje nas zasadniczo problem, czy doprowadzone do szału Rumaki Irumana mogą sformować strefę przejścia?

A w tej chwili tracimy je. Rumaki oszalały, walą przed siebie jak burza, nie da się ich zatrzymać, a przed nimi wcześniej odnotowany las, gdzie te dwa ogiery w chłopięcych ciałach będą pędziły, ciągle przyspieszając i nic dookoła siebie nie widząc, póki w końcu nie rozwalą sobie łbów o pnie drzew. Po czym staną się nieprzydatne do niczego.

A za moimi plecami piątka niewiarogodnie silnych wojowników. Nawet można powiedzieć, że pięciu i pół. Wódz też się podniesie. Orki, skubane, są żywotne.

Przede mną Igor usiłuje zatrzymać bliższego sobie szczeniaka i pięknym łukiem osiąga krzaki. Elfijki z napięciem malującym się na ich twarzach suną na spotkanie rumaków, ale chyba nic sensownego z tego nie będzie.



Wygląda, że ostatnią moją szansą jest walnąć w otaczający świat „zmywaczką”, a potem z całej siły charmować orków. Podporządkować ich swojej woli nie dam rady, ale może przynajmniej zbiję ich z pantałyku... Zyskam kilka sekund. Jeśli wszystko się uda, to elfijki wrócą do siebie, Igor pewnie zwieje, a ja może jakoś się wywinę.

Wcale nie analizuję tego planu — nie mam po prostu na to czasu — zatrzymuję się i działam. Odwróciwszy się na obcasie, przecinam przestrzeń wokół siebie kantem dłoni, wykrzykuję starożytne zaklęcie. Wydaje mi się, że walą ze mnie iskry. Małe, takie żółciutkie gwiazdeczki.

Świat drży i ukazuje swoje prawdziwe oblicze. Wykonałem pełny obrót i znowu stoję twarzą do swoich podopiecznych, a plecami do niebezpieczeństwa. Dlatego nie widzę najciekawszego — „zmywaczką” powinna na pół minuty zablokować ziemską energetykę w promieniu trzystu metrów i przywrócić przybyszom ich prawdziwe oblicza. Na pewno odczują to jak przykry wstrząs, wszyscy, poza elfijkami, które chyba usłyszały mój wrzask i powinny być przygotowane na przemianę.

Zdziałało. Na moich oczach chłopcy zmieniają się w rumaki. Piękne stworzenia, od których bije ciepłe łagodne lśnienie. Z rozpędu przebiegają jeszcze trochę i hamują, szaleńczo kręcąc głowami. Biały głośno rzy.

Elfijki powinny stać się jeszcze wyższymi i piękniejszymi, ale nawet nie mam czasu oszacować ich metamorfozy. Obie rzucają się błyskawicznie do rumaków, wskakują na nie i dają z łydki. Konie nie mają żadnej uprząży, ale elfijkom to zwisa. Rumaki zrywają się do cwału, ale teraz jest to już pęd kierowany.

A za moimi placami rozlega się piekielny huk.

Odwracam się i już mi nie do orków: wasz sługa pokorny ma szczenę do pasa i uginające się kolana.

Zresztą, orki też mają inne problemy.

Dlatego, że na czwartym piętrze „chruszczowiska” wyleciał kawałek ściany, a z powstałej dziury sterczy niewiarygodnych rozmiarów, długi, czarny ryj. Dziko wywraca oczami i ogłuszająco syczy, rozdziawiając straszliwą zębatą paszczę.

Ryj ten jest wysmarowany tynkiem, ale i tak bez pudła widzę, że to czarny smok. Młody. Niewielki.

Orki kamienieją w ciszy. Wyglądają zgoła nie wojowniczo, mimo swoich ogromnych szponiastych łap i koszmarnych żabich mord.

Igor w krzewach kwiczy jak kastrowany wieprzek.

Smok porusza się, w dziurze pojawiają się łopatki i potężne przednie łapy. Smok jest tak oszołomiony, że nawet nie przychodzi mu do głowy, żeby bluznąć ogniem. Biedny potwór musiał nieźle przypieprzyć ryjem o ścianę.

Z prawej, tam gdzie las, jaskrawy błysk. Odwracam się i udaje mi się zobaczyć, jak rozpływają się w powietrzu, rozmywają, zmieniając w pustkę dwie amazonki. Rumaki przedarły się do Irrheinu, unosząc na swych grzbietach mój podstawowy problem. Teraz mogę sobie pozwolić na improwizację. Nie bez trudu odrywam stopy od asfaltu i biegnę wzdłuż szczytowej ściany budynku, żeby, póki jeszcze nie jest za późno, sprawdzić smoczą rufę.

Rufa jest jak trzeba — bezwolnie zwisające tylne łapy sięgają aż do drugiego piętra. Długi, wyposażony w kolce ogon majta się idiotycznie, a spod niego wali ciekły i brązowy strumień. Do tego odpowiedni akompaniament dźwiękowy i zapachowy. Widok z gatunku tych porażających, można kolki dostać, tylko nie chce mi się jakoś śmiać. Patrzę na ogon smoka. Mam! Nadłamany tuż przy nasadzie. To bardzo ważne. Znak szczególny. Kiedy zostanie przenicowany, będę wiedział, jak go odnaleźć.

Ale co wy wyprawiacie, bydlaki jedne?! Jeszcze nam tu smoków brakowało. Tu mamy już do

czynienia nie z orkami — bojówkarzami, a z lotnictwem szturmowym...

Igor przedziera się przez krzaki. Ani mu w głowie zostać ze mną. Albo żeby przynajmniej przed ucieczką huknął w orki jakimś paraliżującym spells. Pierdoła. Ale nie ma tego złego. Przynajmniej jestem sam i mam wolną rękę.

Patrzę na nasze orki. Już się otrząsnęły i skumały, kto tu rządzi.

Cała szóstka wali na mnie, tupiąc i pohukując. Wódz teraz jest z tyłu, jedną łapą trzyma się za pierś — nieźle mu chłopcy przyłożyli. Ale nadal jest na chodzie i może kierować podkomendnymi. Poprzez dziki hałas — smok już nie syczy, a wyje niczym syrena — przebija się, mrożące krew w żyłach, bojowe zawołanie orków. Charmować w tej chwili tę drużynę, znaczy to samo, co stawiać smokowi kataplazm.

Przybysze zaczną być nicowani za jakieś piętnaście–dwadzieścia sekund. Najzupełniej wystarczy, by dogonić mnie i zszamać. Chociaż, może przesadzam, orki pożerają tylko mocnych przeciwników. Na znak szacunku, że tak powiem.

Mam pod pachą glocka–18 i pierwszy mój odruch jest zupełnie ludzki — chlasnąć wroga długą serią. Znowu ciało wyprzedza wydarzenia. Orka czystej krwi nie powalą dwa–trzy pociski, musisz mu zaserwować co najmniej dychę, a i to celnie — w ośrodku nerwowe. W Irrheinie widziałem orki naszpikowane beltami od czubka głowy do stóp — i jeszcze się taki ruszał. Przy tym nie byli to wyszkoleni wojownicy, tylko zwyczajni farmerzy: elfy tłumili wtedy powstanie wieśniaków.

Dlatego moja ręka zatrzymuje się o milimetr od kabury, a w zamian kastuję największy fireball, jaki mogę z siebie wycisnąć. Powrotnym ruchem tej samej dłoni, wierzchnią stroną, ciskam tę ognistą piłkę w środek orczego szyku. I nie czekając na show, uciekam.

Z tyłu dogania mnie kwik, rodem z orczej fermi świń. Jakby odbywała się tu kastracja wieprzków. Ładny kwik, przyjemny. Wygląda, że udało mi się zbić przeciwnika z nóg i dobrze podpiec. Wyskoczyłem już poza granice strefy przykrytej „zmywakiem” i nie mogę dokładnie określić, zaczęło już nicować orki czy jeszcze nie. Ale to, że są na razie zneutralizowane, to bank. Tym niemniej, uciekam — Biegnę ile sił. Podobnie jak chwilę temu pędziły skancerowane kolejnym przenicowaniem Rumaki Irumana, żeby je po trzykroć cholera.

Nie wiem, jak tam z rumakami, ale mnie nogi wyprowadziły dokładnie na monopolowy.

\* \* \*

Za wcześnie było mieszać z gównem moich kolegów Mieszkańców. Póki dochodzę do siebie i kuruję rozchwierutane nerwy alkoholem, Igor ma czas skoczyć do Firmy i obrzucić mnie gównem. To znaczy nałgać, że niby zachowywałem się niekompetentnie, że ryzykowałem w niczym nieusprawiedliwiony sposób i przekroczyłem swoje kompetencje. Nawet nie mogę złożyć meldunku, tylko słysząc w słuchawce mój głos, szef służby bezpieczeństwa podnosi takie larum, że nie zostaje mi nic innego, jak tylko cisnąć słuchawką i nalać sobie jeszcze.

Pod wieczór dzwoni Wit'ka.

— No i co, magu, sfajdałeś się?

— Sfajdał się smok. Słuchaj, Wiktorze, jak im się udało przeciągnąć go do nas, co? Przecież stacjonarne strefy przejścia są zamknięte.

— Nieważne jak. Ważne, po co.

— Atak z dachu na nasze centralne biuro? Nie widzę sensu.

— Zgadłeś. Powiem ci w sekrecie, w Firmie nikt go nie widzi. Ale orki są tępe, mało co im do głowy wpadnie. Dobra, słuchaj. Czasowo jesteś przesunięty pod moje dowództwo. Rozumiesz? Jesteś teraz mój.

Wyciągam rękę i nalewam sobie. Tak, żeby Wit'ka słyszał bulgotanie.

— Dość chlania — powiada Wit'ka. — To pod Igorem mogłeś sobie żyć w ulubionym image'u. Wiecznie młody, wiecznie pijany. A ja powiadam, dość.

— Yhy — odpowiadam i piję.

— Słuchaj polecenia. Siedzisz w domu w pełnej gotowości. Na pierwszy gwizdek ruszasz do akcji. Pamiętaj, że smoka trzeba będzie rznąć w chwili spaceru. Pewnie będzie pod dobrą opieką. Pompuj swoje umiejętności.

— Mm... Na smoka, bez strachu, chadzam od lat wielu. O ile smok jest bez przyjaciół, a ja z tobą, przyjacielu... Posyłasz mnie na śmierć, Wiktorze?

— Poradzisz sobie... Magu.

Wzdycham ciężko i znowu sięgam po lekarstwo. Tym razem ręka mi drży. To z nerwów. Pewnie przejdzie.

— A nie można go po prostu obłaskawić? — ze słabą nadzieją w głosie podsuwam pomysł. — Wyłączyć gospodarzy, a smoka przejąć? Nie dasz rady?

— Och, aleś ty głupi! Od razu widać: „ćwiarteczek”. Chcesz na kogoś innego zrzucić robotę? Hak ci w zęby i otręby!

Chce mnie rozzłościć. Ale ja się złościć nie będę.

— Smoki nie dają się dwa razy obłaskawiać — lektorskim głosem poucza mnie Wit'ka. — A poza tym, po cholere nam tu żywy smok? Tak więc, wybacz magu, ale przyjdzie ci go zaszlachtować.

— Zgoda — odpowiadam. — Nam, Tatarom, obojętne co rznąć, co ciąć, byle krew się łała. Dzięki, że nie żądasz plasterkowania.

— Siedź i czekaj na rozkaz. Moi ludzie szukają teraz jego jnowej kryjówki. Jak tylko go znajdą, przystępujesz do działania. I pamiętaj, będziesz obserwowany. Więc bez sztuczek, magu.

— Jakie tam sztuczki... Nie wiem czy jesteś na bieżąco, wiesz, że ma złamany ogon?

Wit'ka w odpowiedzi tylko prychnął.

— Myślisz, że nie jestem w stanie wyczuć w mięście smoka?

A cholera cię wie, co ty jesteś w stanie — myślę. Wit'ka specjalizował się ze smoków, kiedy kształcił się w Irrheinie. I zdawał, nawiasem mówiąc, samobójczy egzamin. Postanawiam zmienić temat i, jeśli się uda, podliznąć się trochę beastmasterowi. Bo jeszcze zagnie na mnie parol i pewnego dnia napuści mi od pleców jakiegoś... Pudła.

— Wiktor, powiedz proszę, czy to prawda, co gadają o smoczej krwi?

Zaczyna się śmiać, głośno i pogardliwie.

— Magu... Ty rzeczywiście jesteś magiem. Całkowicie dzikim. Nawet nie próbuj! Odwrotnie, zabierz ze sobą butelkę z wodą i od razu po robocie umyj ręce.

— Bo?

— Wyobraź sobie, w jakich warunkach rośnie ta jaszczurka. Po uszy w błocie, zje wszystko, co się rusza. Myślisz, że dlaczego mówi się o ich zębach jadowych? Dlatego, że to ma sens. Mają na sobie tyle świństwa, że właściwie są jadowite. A jakie plugastwo we krwi smoka pływa, to w ogóle nie da się opisać. Smokowi to zwisa. A ty się przekręcisz.

— Ale orki...

— Jesteś głupi, jak but lewej nogi, magu. Orki same są w połowie żabami. Może na nich smocza krew jakoś działa... Ale dla ciebie to pewna śmierć. Och, wiesz co — zmieniam zdanie!

— To znaczy?

— Potem, kiedy już wykonasz zadanie, pozwalam ci się umyć w smoczej krwi. Możesz nawet ją wypić. W końcu wszyscy w Firmie mają cię po czubek nosa. Ja sam przyślę ci wieniec. Z szarfą. Stoi?

Przez jakiś czas milczę i tylko sapię, nie chcę, żeby wyrwało mi się coś zbędnego. Potem,

jeszcze pokorniej — szym głosem komunikuję:

— Jeśli można, idę ostrzyć kozik.

— Tylko nie bierz tego swojego „widelca”! — natychmiast odzywa się Wit’ka. — Zostawi charakterystyczny ślad i będą mogli cię wykukać.

— Rozkaz...

— I nie pij więcej, rozumiesz?!

— Jawohl, parteigenosse. Och, prawie zapomniałem! Nie powiedziałeś mi, na co nicuje Rumaki Irumana beastmaster?

— Na konie, magu. Zwyczajne konie.

No i już. Odkładam słuchawkę i udaję się wecować swój kozik.

Półelfy są sto razy gorsze od elfów. A półorki są gorsze od orków. Co za ironia losu? Musiała moja babcia, żeby ją pokręciło, urodzić się z taką ochotą do ładnych chłopaków?! A ja teraz muszę, Kwarteron, z tym żyć. Ojciec — Mieszaniec bardzo cię kochał i wychował na człowieka. Nie chciał, by syn miał ciężkie życie. A ty sam je sobie wybrałeś. Wpychałeś się między elfy i bojowych magów, aż zostałeś „ćwiarteczkiem” i „magiem”. I teraz ani tu, ani tam. Po czubek głowy ugrzęzłeś w działaniach Firmy, a bez Firmy będziesz albo zupełne zero (jeśli się przyczaisz i nie będziesz się afiszował ze swoimi umiejętnościami), albo trup.

Tak, między ludźmi da się żyć. Ale bardzo trudno jest nie używać magii, jeśli to twoje powołanie. Pewnego dnia dasz się porwać chwili. Zakastujesz kilka spelli, zobaczysz, że nic się nie stało, że udało ci się, staniesz się bezczelny... I tu cię dopadnie służba bezpieczeństwa Firmy. A ty wszak nie możesz chodzić przez cały czas z obroną i zaktywizowanym „okiem czarodzieja”, tak można żyć tylko w grach komputerowych. Więc rozliczą się z tobą po naszymu, po ludzku. Złapią dogodną chwilę, chrums! — i nie ma maga.

Z takimi niewesołymi myślami w głowie sięgam po swój ukochany sztylet. Przyglądam się błyszczącemu ostrzu i mój humor powoli się poprawia. Wit’ka pogardliwie powiedział o nim „widelec”, ale wiem, co się kryje za jego słowami. Nasz bohaterski władca smoków boi się mojego noża. Kiedy tylko przywiozłem go z Irrheinu, to strasznie się nim chwaliłem i demonstrowałem przy każdej nadarzającej się okazji. Wszyscy mi go zazdrościli. Wit’ka natomiast, gdy tylko zobaczył to dzieło sztuki, palnął: „To nie sztylet, a gówno!” i pośpiesznie się oddalił. Pewnie nader obrazowo wyobraził sobie, jakie uczucia rodzą się pod żebrami, kiedy wpakuje się tam mój „widelec”.

Oczywiście, to nie jest dokładnie ten „Podwójny cień”, który wykonał nasz ziemski mistrz Hibbon. Mój nóż wykonany jest nie z banalnej stali chirurgicznej, zużyto nań drogocenną irrheińską stal o niemożliwej do wypowiedzenia nazwie. Kuł go nie krasnolud, któremu nie można ufać z założenia, a elfi kowal. Najpierw opierał się, oglądał rysunek, mamrotał: „Co za głupota?”, i musiałem wejść mu na honor, żeby zaczął kuć. Wyszła z tego wspaniała broń. 1 stylowa. Dwie wąskie klingi biegną równolegle do siebie, jak w dwuzębnym widelcu, z niewielkim usztywniającym łącznikiem. Każde ostrze ma wygiętą klingę i ostre żądło. Na rękojeści znajduje się końcówka do uderzeń. Bardzo wygodna sprawa, jeśli się trzyma sztylet „odwrotnym chwytem”. Walisz rękojeścią w szczenę i klient ma wolne. Jeszcze jeden plus mojego noża polega na tym, że jest to niezawodny sposób na zastraszenie. Czasem wystarczy pokazać go z daleka, by konflikt rozszedł się po kościach. Ponieważ normalni ludzie z takimi nożami nie chodzą. A kto chce wdawać się w utarczki z czubkami?

Co by jednak nie mówić — jakim cudem orki przytaszczyły tutaj smoka? Na sto procent nie mogły tego zrobić same.

\* \* \*

Smoka znaleziono już następnego dnia. Zamaskowany był na czarnego doga. Z mocno zabandażowaną nasadą ogona. Wyprowadza psa na spacer nie kto inny, jak półork Sierioga Zacepin. Znam go trochę, to totumfacki Wani Maga, jedyny prawdziwy praktykujący mag wśród miejscowych orków. Och, niedobrze się wszystko układa, niedobrze!

Wit'ka wydaje mi ostatnie polecenia, niemal go nie słucham.

— Wiktor, powiedz mi, czy nasi ludzie wiedzą już, do czego potrzebny orkom smok?

— Magu, to ciebie nie dotyczy.

— Posłuchaj, a co się dzieje w Irrheinie? Przecież dziesięć lat temu elfy ostatecznie spacyfikowały orki. Zwyciężyły, dobrze mówię? To po jakiego wała orki atakują ziemską placówkę elfów? Niechby sobie żyli w spokoju... Jak się będą ciskać, to i tu ich zadcpczą.

— Dość tego gadania, magu. Przygotuj się, za dwie godziny startujesz.

Dureń, to tylko wzmacnia moje podejrzenia. Dzwonię do Igora. Długo i starannie poniżam się przed nim. A potem, tak sobie, niedbale pytam:

— Niedługo biorę urlop. Nie załatwiłbyś mi zlecenia na przejście do Irrheinu? Z przyjemnością bym postażował u jakiegoś bojowego maga.

I rozmięczony Igor, któremu wirtualnie wylizałem na błysk dupsko, wygadał się:

— Wybacz, magu. Nie da się. Tam się coś spieprzyło, na razie nie mają do nas głowy. Może potem...

— Znowu wieśniacze powstanie? — rzucam przypuszczenie.

— Żeby tylko... — wzdycha Igor. — Dobra, zdrowia życzę, spadam. Tu się taka pieprzona kupa dowództwa zwała...

— Dowództwo, stamtąd? — niemal zdążam rzucić pytanie. Ale słuchawka już buczy.

Tak więc, w Irrheinie mamy do czynienia z wielkogabarytowymi działaniami wojennymi. Ale w takim razie, co robi elfie dowództwo na Ziemi? Przecież nie kupuje czołgów, bo te w Irrheinie błyskawicznie zmieniają się w zwykłe bryły metalu. Tam nawet prochu nie wynaleziono, bo po prostu tam nie działa.

Wyciągam sztylet, przyglądam się mu po raz dziesiąty w ciągu ostatniej doby. „Widelec”, powiadasz? Będziecie mieli, chłopcy, „widelec”. Głupi ten mój pomysł, niebezpieczny dla życia, ale właściwie — dlaczego by — nie?

Po dwóch i pół godzinach siedzę już w zasadzce. Napakowany stymulatorami. Z rozwiniętą aż po granice możliwości, całą dostępną mi obroną. Całkowicie nieobecny w tym paśmie, które jest skanowane przez „oko czarodzieja”. Z powodu tego niebytu, obrzydliwie mnie ssie w dołku, po plecach miotają się ciarki. Wszystkie niezbędne spelle mam już gotowe do użycia, utrzymywanie ich w takim stanie nie jest łatwe ani przyjemne. Jeśli moje ofiary się spóźnią, przyjdzie mi się „otrząsać” i zaczynać kastowanie od nowa.

Znowu jestem na peryferiach miasta, w pustym i zaniedbanym parku. Jak ostatni idiota siedzę w krzakach i czekam. Rzygam tym czekaniem. Jeszcze bardziej rzygam, nie widząc obserwatora z ramienia Firmy. Ktoś powinien mnie kontrolować. Ale już i tak obmacałem przestrzeń i nikogo nie wykryłem. To bardzo niedobrze. Jestem najbardziej doświadczonym bojowym magiem w Firmie. Niemal niemożliwe jest ukrycie się przede mną. Co to znaczy? Ano to, że obserwator siedzi gdzieś o kilometr, na jakimś dachu i gapi się przez optyczny przyrząd na wąską alejkę, po której będzie szedł klient. Czort z nim, byle nie przez celownik optyczny.

Ściskam w dłoni rękojeść sztyletu wiszącego w pochwie pod pachą, to mi dodaje sił. Jak zawsze. To nie jest jakaś właściwość irrheinjskiej stali, po prostu kocham swoją zabawkę. Trzeba będzie jakoś zasłonić sobą smoka. Albo zaserwować zmyłkę, żeby obserwatorzy nie skapowali,

czym dokładnie go szlachtuję.

Jak wiadomo, smoka nie jest łatwo zarznąć. Ale konkretnie tego, spakowanego do wymiarów psa, to jak splunąć. Wpychasz mu, bracie, lułę automatu pod ogon, naciskasz na spust i strzelasz aż do utraty tętna. Jeśli jesteś esteta — jak ja — robisz to samo, ale od pyska. Dwadzieścia — trzydzieści pocisków... W takim przypadku nie powinno się być drobiazgowym, sprawa jest poważna.

Niestety, to tylko teoria. W praktyce taki fortel ściągnie na siebie zbyt wiele uwagi. Huk wystrzałów, poszarpany trup psa... Firma oszacowała możliwe konsekwencje i postanowiła: będziemy rznąć. Rozwiązanie problemów w ciszy i nie na widoku — tradycyjny styl elfów.

Cóż, rznąć to rznąć. Sprawiałem tusze w rzeźni w Irrheinie, specjalnie mnie kształcono. Na zakończenie powinno się poćwiczyć na spętanych orkach. Ja, jako jedyny ze stażystów, odmówiłem stanowczo. Półelfy niemal mnie potem zaszczuty z tego powodu. A ci czystej krwi, o dziwo — nie. Mentor powiedział: „To nic, chłopcze. Rozumiem cię. Jesteś tylko ćwiartką i w związku z tym nie żywisz nienawiści do tych spaczonych istot”. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko skinąć głową. Prawda, nie żywię do nich radykalnych uczuć.

Szkoda, że trzeba będzie walnąć i Zacepina. Może nie na śmierć, ale huknąć go trzeba będzie. Jasne, to fiut jeden, bandycki ogon. Ale tak naprawdę to zupełnie przyzwoity facet. I w sumie — kto jest bandytą, a kto nie, trzeba się zastanowić. Jeśli się wam wydaje, że służba bezpieczeństwa Firmy nigdy nikogo nie zabiła, to rzućcie we mnie kamieniem pierwi. Nie może mieć czystych rąk ogromne finansowo — przemysłowe konsorcjum, reprezentujące interesy elfów na Ziemi. Na Ziemi, gęsto zasiedlonej potomkami orków — emigrantów. Zbyt gęsto, by orcza mentalność nie odcisnęła swego piętna na Ziemi, która zaczęła szykować się do wybuchu. Kto jak kto, ale ja dobrze wiem, że wszystkie uczone teorie o prawdziwych jakoby przyczynach wojen światowych nie są warte funta kłaków.

Mimo wszystko elfy mniej nam szkodzą. Elfy są zimne, okrutne, butne i po prostu mają kuku w sprawach czystości krwi. Orków — przedstawiceli rasy tępawej, ale jednak rozumnej — zniewoliły i w razie konieczności eksterminują jak zwierzęta. Jednakże masowe zbrodnie przeciwko ludzkości i koszmarną Drugą Światową na Ziemi, spowodowały właśnie dwa półorki.

Elfy praktycznie niczego nie potrzebują z Ziemi. Przede wszystkim nie potrzebują życiowej przestrzeni. Nasze technologie i surowce naturalne do niczego im się nie przydają. Ale kiedyś spowodowały przesiedlenie tu masy orków, co w sumie mocno wpłynęło na oblicze Ziemi. Elfy zobaczyły do czego doprowadziły, przestraszyły się i teraz czują się odpowiedzialne za losy naszego świata. Stąd działa tu Firma. Dlatego istnieje stała kontrola. Nieco może za późno, ale niech będzie i tak. Przecież to działa! Chociażby nasz przykład — Prezydent ogromnego mocarstwa, ogromny buhaj — półork, potrafił z lekkością i wytwornie powiedziałbym, nawet z widocznym zadowoleniem, przekazać władzę z rąk do rąk szczupłemu, nie rzucającemu się w oczy blond półelfowi. A przecież mógłby nawet Wanię Maga posadzić na tronie.

A jednak coś mnie kęsa we wnętrzu. Jak każdy doświadczony mag — w końcu, bez przesadnej skromności, jestem nim — zostałem wytrenowany w wyostrej percepcji. Szczególnie ciężko bywa w takich chwilach, jak ta teraz, kiedy mój podjarany stymulatorami system nerwowy oddycha unisono z całym światem. Chcecie, to wiercie, nie chcecie — nie, ale przeczuwam poważne problemy. Takie globalne. Jeszcze są daleko, ale już pojawiła się ich awangarda — kłamstwo, propaganda, manipulowanie ludźmi. Oczywiście, Firma zajmuje się tym bez przerwy — Tylko wygląda mi, że po raz pierwszy rozkręciła koło zamachowe dezinformacji na pełny regulator. Nawet więcej — zaczęła oszukiwać własnych ludzi. Takie płotki jak ja, już nawet nie są warte oszukiwania.

Pewnie przemawia przeze mnie uraza. Mają mnie w garści, więc nie przejmują się moją osobą.

A ja przecież mam prawo wiedzieć, co się dzieje. Przecież nadciągające nieszczęście dotyczy zarówno mnie, jak i wszystkich. Będę więc bronił swych praw wszelkimi dostępnymi mi sposobami.

Siedząc w krzakach i rozmyślając o wszystkich tych sprawach, podniecam się coraz bardziej. Kiedy więc na wylocie alejki pojawia się Zacepin ze swoim dogosmokiem, jestem już bardzo rozeźlony. Akurat, żeby móc zabić zwierzaka i uszkodzić kolegę po fachu.

Sierioga ciągle nosi się tak samo — szeroki w barach, brodaty, łysawy. Smok — mocno otumaniony narkotykami. Tym lepiej. Odnotowuję, że jestinochodźcem. Zabawne.

Przekleństwo! Już się narychtowałem do walki, gdy dwadzieścia metrów za moimi klientami pojawia się przytulona do siebie para młodzików. Zadowolone z życia nastolatki, które na pewno bryknęły ze szkoły. Chcą się pomiętolić w krzakach. Tfu, jaki ze mnie wredny typ. Może oni się kochają! Ale i tak, nieładnie. Jedna tylko rzecz mi się podoba — są ludźmi czystej krwi, można ich skrócić jednym malutkim i niemal niezauważalnym spellem. Jest przy tym szansa, że Zacepin go nie wyczuje.

Szybko kastuję „skrętkę”. Sierioga nie reaguje — za daleko. Puszczam „skrętkę” po wysokiej paraboli i starannie układam pod nogami nastolatorów. Krok, drugi — młodzież wkracza w strefę działania spella. No?!

Zacepin nagle odwraca się. Dosłownie o sekundę później niż powinien — parka już stoi i naradza się. To jasne, dzieciaki usiłują wyjaśnić, dlaczego nagle nabrały ochoty odwrócić się o sto osiemdziesiąt i pójść inną alejką. Wybaczcie, chłopcy i dziewczęta. Mogłem jednak dać wara do wiwatu, a nie dałem, prawda?

Zacepin przygląda się uważnie młodzieży. Denerwuje się facet. Dogosmok ma wszystko w poważaniu.

Okay, dzieciaki znikają. Może naprawdę dzięki mnie przypomniały sobie o jakiejś pilnej sprawie. W każdym razie wycofują się bardzo naturalnie i nie wydaje się, by Zacepin coś zwęszył. Mimo wszystko nie mam na Ziemi godnych siebie konkurentów. Boja „skrętki” robię znakomicie, mały, na poły przeproczysty wir.

No, to do mnie! Dla Sieriogi mam przygotowane zaklęcie średniej mocy, a smoka zamrozę na fest. Bo ze smokami nie ma zabawy.

Podpuszczam ich na trzydzieści kroków i przez krzaki walę paraliżującymi spellami.

„Stan” frunie stosunkowo wolno i zdziwiony Zacepin ma czas poderwać głowę. A pewnie — zaatakowało go puste miejsce. Zapamięta tę lekcję, drugi raz nie da się na to nabrać. Przy okazji trzeba będzie go przeprosić. Potem, kiedyś. A teraz półork niczym drewniana szafa runął na plery.

Dog stoi na dwóch prawych łapach i wolno, bardzo wolno wali się na bok.

Wyskakuję na drózkę i najpierw rzucam „zmyłkę” — powietrze na miejscu przestępstwa zwiera się i zaczyna drzeć. Jako numer drugi programu mamy „skrętkę”, tym razem mocną, na oba końce alejki. No, teraz coś z fachu rzeźnickiego.

Podbiegam do Zacepina, oceniam jego stan. Dobry stan, całkowity aut. I na długo. Podchodzę do doga, przy — kucam, podnoszę powiekę psa. Ciężka, nie psia. Dźgam palcem w oko. Zero reakcji, całkowity blok. Cóż, to dobrze, nie lubię nikogo męczyć. Bezceremonialnie przewracam bydlaka, żeby wygodniej było mi działać. Dobrze, że jestem z natury silny, ale i tak należałoby popracować w siłowni... Ufff... Wyciągam sztylet. I zaczynam obmacywać lewą ręką szyję zwierzaka. Patrę gdzie indziej. Dlatego, że widzę tylko czarną skórę, a w rzeczywistości są tam łuski.

Łuski, łuski, łuski. Pancerne łuski, bardzo drobne i zwarte. O, jest! To miejsce, u podstawy szyi. Nie takie słabe miejsce, ale jak na smoka, stosunkowo podatne na ciosy.

Ciągle nie patrząc, po omacku, podważam dwie sąsiednie łuski ostrzem swojego sztyletu. Udaje

mi sieje podnieść dosłownie tylko na dwa milimetry. Z całej siły dżgam ostrzem w szyję psa.

Oczywiście, staram się stać tak, by nie za bardzo się usmarować. Ale muszę naciskać na sztylet całym ciałem, inaczej nic z tego nie będzie, to smok przecież!

No i jeszcze muszę podstawić termos pod strugę.

Chlusta jak cholera. Smoki mają krew koloru jasnoblękitnego. Wypływając na ziemię, przez jakiś czas zachowuje ten kolor, dopiero potem czerwienieje. Aż się nie chce wierzyć.

Smok zdycha bez ruchu. Nieźle go dźgnałem. Teraz, widząc ten nieprawdopodobny błękit, rozumiem: dobrze, że tak się stało. Nie chodzi o erytrocyty czy co tam smok ma błękitnego. Nie, w smoczej krwi jest jeszcze coś. Pewien składnik niedostępny mojemu rozumieniu. Coś takiego od góry. Możliwe, że zabijając smoka, popełniłem błąd. Może w ogóle nie wolno ich zabijać, a każdy kto to robi, jest potworem.

Zresztą, w naszej sytuacji czołowym bydlakiem jest ten, kto przytaszczył tu biednego zwierza. A ja, co... Trochę walnąłem weń ścianą, a potem trochę kosą pomacałem.

Opuszczam miejsce przestępstwa w fatalnym nastroju. Poza tym szkoda mi rękawiczek i płaszcza. Nie był specjalnie nowy, ale jakoś do niego przywykłem.

Jasna sprawa, że kolejnym przystankiem jest monopolowy.

Wit'ka każe mi przyciąć się i nie pchać niepotrzebnie w oczy. Wykonuję polecenie. Trochę czaruję smoczą krew, żeby się nie zepsuła przed czasem, po czym chowam do lodówki. Potem przez dwie doby nic się nie dzieje. Siedzę w domu. Trochę trenuję ze sztyletem, trochę sobie kastuję, czytam stare konspekty z magii. Popijam. Fajna sprawa rozwód, żadnych zbędnych problemów. Myślę sobie, czy nie wyjść na spacer, może jakąś panią zacharmować. Nie chce mi się. Jestem zmęczony. Oglądam sobie jakiegoś pornola. Onanizuję się. Nudne, ale higieniczne.

Zupełnie nic się nie dzieje. Czyżbym się mylił?

Okazuje się, że nie. Akurat zaczynam się nakręcać, a tu dzwonią przyjaciele. Jakkolwiek może się to wydawać dziwne, ale taki typas jak ja ma przyjaciół. Aż troje. Jeden to mój wychowawca i nauczyciel chemii, stary mądry półork, otworzył mi oczy na wiele rzeczy. Do tej chwili uczy, a w wolnych chwilach warzy stymulatory dla całego miejscowego bractwa magowego. Poza nim mam parę — młode półelfy, które tata z mamą niewłaściwie wychowali i dlatego nie brzydzą się przyjaźni z „ćwiarteczkiem”. Gdyby nie było w Firmie tych dwóch, dawno bym się przekreślił ze smutku i nienawiści. Liocha i Andriucha robią w tym samym, co i ja, tylko mają inną specjalizację, klirują. Jakby chcieli przyłożyć, to flaki na wierzch wyjdą, ale zazwyczaj zajmują się czymś innym. Wspierają pracowników Firmy, podtrzymują ich w dobrej formie. W ludzkich specjalnościach też są lekarzami.

— Dima, siedzimy tu w takim lokaliku... Z zewnątrz patrząc, nie „Elite”, ale kuchnia niemal ta sama...

„Elite” to niewiarygodnie droga knajpa, tak droga, że chyba nikt do niej nie chodzi. Prócz Wani Maga. Praktycznie dla siebie ją otworzył. Bandycka stołowa, że tak powiem.

Tak więc, „kuchnia niemal ta sama”. Przejrzysta aluzja. Oto i Mag się objawił. Tylko co, wziął ich jako zakładników? Raczej nie. Spalą mu chłopaki ten jego interes i po kompie. Liocha mówi takim głosem... Nie wesołym, ale i nie głosem zakładnika.

— Wyrzyj przez okno, Dima. Powinno tam stać czarne braw. Wsiadaj i wal do nas. Czekamy.

— Czekajcie — mówię. A sam aż dygocę. Zaczynani się bać. Nie o to chodzi, że Mag może mnie zastrzelić. Nie, boję się usłyszeć od niego, że wszystko wali się w cholere.

W bmw milczący obojętny szoferak. Jedziemy długo, aż za miasto. Parkujemy pod jakąś straszliwą mordownią. Przed wejściem tylko jedna fura — glińska. W środku nudzi się patrol.

Wewnątrz mordownia jest jeszcze gorsza niż na zewnątrz. W korytarzu tłum mocarnych mężczyzn z pyskami zdradzającymi orcze pochodzenie. Obmacują mnie i sprawdzają



wykrywaczem. Proszę bardzo. Wykrywacz metali piszczy, ale nikt go nie słyszy. Zręczne dłonie wyluskują pistolet i sztylet.

— Przechodź.

No i jak tu nie kochać swego zawodu? Gdyby jeszcze nie trzeba było rżnąć smoków, zupełnie fajnie by było.

Liocha z Andriuchą piją szampana. Nie zdążyłem usiąść, jak materializuje się kelner, całkowicie nie pasujący do reszty ubogiego dizajnu dookoła i nalewa i mnie. Nie pytając. Wygląda, że bankiet na koszt strony wzywającej. Na pewno mnie nie zabiją. Wania to straszliwe skąpiradło, na nieboszczyka nie traciłyby kasy. Patrzcie — kelnerów tu przywłókł, sztuce, obrusy. Jakżeś ciężki, kapeluszu Ala Capone, za mocno uciskasz mózg.

— Serwus, Dima — unosi kieliszek Liocha. — Twoje zdrowie.

— Analogicznie.

— Tobie bardziej się przyda. Wania się na ciebie obraził.

— A po kiego diabła smoka tu przytargał?

— A po diabła zostawiłeś swój ą wizytówkę? Twój kozik zna pół miasta. Co, zapomniałeś, kto u nas siedzi w glinach?

Orki są naszymi gliniarzami. A ja pewnego razu po pijaku z Waninymi wojownikami się posprzeczałem. Z orkami, rzecz jasna. Zmęczony byłem, nie chciało mi się kastować, i po prostu odpędziłem ich sztyletem. Zapamiętali. Na co zresztą liczyłem, zarzynając smoka.

Zerkam przez ramię. W kącie, przy bardzo dużym, wyraźnie specjalnie dla niego przywiezionym stole, samotny Wania pożera wielkiego lobстера. Zobaczył mnie, zezuje, ale na razie nie przywołuje.

Ryj Wania ma przeokropny, pasuje do orka czystej krwi. Legenda głosi, że kiedy kupował sobie prawo jazdy, starsi koledzy tłumaczyli: „Wania, nie trzeba, zrujnujesz się. Z taką papą każdy glina będzie cię zatrzymywał i sprawdzał na zawartość alkoholu. I nie udowodnisz im, że jesteś trzeźwy, raczej uznają, że alkomat się spieprzył”. Kilka lat temu pysk nie przeszkodził jednak Wani z powodzeniem rozkręcić kampanię przedwyborczą do rady, ale Firma go przystopowała. Że niby brakowało tylko jeszcze, żeby taki bandyta prawa ustanawiał.

Ale szampana bandzior, nawiasem mówiąc, ma wspaniałego.

— Co wy tu robicie, panowie? — pytam.

— Chcemy pogadać.

— Z tym potworem?

— Nie... Z tobą, Dimonie, z tobą...

Patrzę na milczącego Andriuchę, ten kiwa głową. Nawiasem mówiąc, od dwu minut delikatnie mnie charmuje. Nie agresywnie, a tylko tak, żebym się wyluzował i nie podejmował decyzji w pośpiechu.

— Wystarczy — mówię. — Nie potrzebuję terapii, potrzebuję informacji.

— Czy dlatego — wtrąca się Liocha — takim znacznym nożem się posłużyłeś?

— Oczywiście.

— Dimon, jesteś na dobrej fazie, prawda? Powinieneś w takim stanie nawet skórą wyczuć, kiedy cię okłamują.

— Przypuśćmy. Wy obaj też... W niezłej fazie jesteście.

— A to oznacza, że możemy rozmawiać wprost i bez zbędnego czajenia się. W Irrheinie sprawy elfów mają się kiepsko i to bardzo, Dima. I dzieje się tak od dawna, tylko myśmy o tym nie wiedzieli. Orki przeszły do natarcia na całym froncie już pół roku temu. Zastosowały jakąś nową taktykę, a nasi przodkowie są tak zadufani w sobie, tępi, że do tej pory nie znaleźli środków przeciwdziałania, i teraz jest już po nich.

— Ty... — Nagle czuję, że zaschło mi w gardle, sięgam po szampana. Panie, jak łatwo mu to przeszło przez gardło! Aż się wierzyć nie chce, że siedzi przed tobą półelf i na dodatek elitarny specjalista, który przez kilka lat był kształcony w swojej historycznej ojczyźnie. Powinno go ciągnąć do Irrheinu całym sercem, całą duszą... — Jaka jest pewność tych danych?

Czuję sam: dane są pewne. Rzeczywiście jestem na dobrej fazie. I oni też. Liocha zaczyna coś wyjaśniać, ale mu przerywam:

— Czy to znaczy, że cała ta krzątanina ze smokiem to część nowej taktyki orków?

— Ależ nie! Zupełnie na odwrót.

Znowu zerkam na Wanię. Źre. Jego pancerz migoce i mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Obrona sterowana, sam Wania nie potrafi kastować. Magiem stał się dlatego, że za niego orał Zacepin i jeszcze kilku słabiuteńkich orczych magów. Orki z definicji są kiepskimi magami, im więcej pasuje na pięści. Mają skłonność do przemocy. Wcale nie każdy ziemski kryminalista jest orkiem, ale co drugi ork jest kryminalistą. Poza tym dobrze się komponują w glinami, wspaniali z nich strażacy i oficerowie specnazu, lepszych nie znajdziecie. Ale znacznie rzadziej mają magiczne specjalności, częściej — przestępcze. Na dodatek, gliniarzy Wania niemal wszystkich przekupił. Łatwo mu to przychodzi, oni mu ufają, czują pokrewną duszę.

Każdy półelf, nawet „ćwiartka” jak ja, wie wszystko o historii stosunków Irrheinu z Ziemią. A u orków — przeciwnie, wtajemniczony jest tylko wąski krąg. Nasze orki dawno temu straciły kontakt z Irrheinem i oderwały się od ojczystej kultury. Elfy po prostu zaczarowały wszystkie stacjonarne strefy przejść, a Rumaki Irumana nigdy nie dawały się oswoić orkom.

Do tego jest jeszcze taka sprawa: różnie do niej podchodzimy — kto włada informacją, ten włada światem.

Elfy chcą wpływać na nasz świat. A tacy jak Wania, kierować nim.

Odwracam się do Liochy. Czeka cierpliwie.

— No więc co tam mamy o smoku?

— Dima, czy masz przynajmniej przybliżone pojęcie, ile elfów przybyło na Ziemię w ostatnich kilku miesiącach?

— Przecież nikt mi nie powie!

— Właśnie. A my z Andriejem wiemy, bo tworzymy medyczny personel całego tego... niepoliczalnego tłumu. Niepoliczalnego, Dima.

— Uciekają?! Do nas? — Nie mogę w to uwierzyć. Widzę prawdę pod samym nosem, ale nie chcę jej tknąć. Boję się, że będzie bolało.

— I to jak! Nawet do Ameryki uciekają... — leniwie cedzi Andriej i dobija mnie tym do końca. Ameryka jest dla elfów czymś takim, jak dla antysemitów Izrael. Tak naprawdę, to USA i Rosja są dwoma najbardziej orczyimi krajami na Ziemi, ale u nas przynajmniej półelf siedzi na Kremlu. A za oceanem przez ostatnie sto lat kierują krajem tylko półorki i Kwarterony. Dlatego Amerykanie tak bezczelnieją. Czasem chce mi się pomodlić — Panie, daj ludzkości chociaż jeszcze wiek! Może zniweluje się oddziaływanie orczej krwi, rozpuści się ona we krwi ludzkiej i świat się uspokoi. A elfy — zapytacie — co z elfami? No, elfie geny można pominąć, elfy krzyżują się z ludźmi bardzo rzadko.

I nagle robi mi się bardzo smutno. Bo wychodzi, że już nie można będzie pomijać elfich genów.

— Wynika z tego... — mówię bardzo cicho — ...wychodzi, że elfy zostaną wyrzucone do nas?

— Już są wyrzucane. Wyduszane jak pasta z tubki.

— Nie mogę uwierzyć, że elfy przegrywają wojnę z orkami.

— Ja też nie mogę — przyznaje Liocha. — Ale sam wiesz, jak elastyczne są orki. Udowodniły to u nas, na Ziemi.

Tak, orki, w przeważającej swej części nie są mądre, ale jest to zadziwiająco podatny i

wdzięczny materiał.

Widziałem w Irrheinie orki — służących, których niektóre niespecjalnie obrzydliwe elfy tresowały dla zabawy, powiem otwarcie, zasługiwali ci chłopcy i dziewczęta na szacimek.

Przypominam sobie śmieszłą orczą dziewczynkę, która sprzątała w moim pokoju i przynosiła jedzenie. Tak się zaprzyjaźniliśmy, że przysięgam, zupełnie serio zastanawiałem się, jak przetrzucić biedactwo na Ziemię. Niechby ją nawet przenicowało na jakieś straszdyło, ale i tak zyskałaby w końcu wolność, na którą zasługiwała.

Natychmiast przychodzi mi do głowy analogia do czarnoskórych Ziemian, potomków niewolników. I wszystko staje się jakby bardziej zrozumiałe. Nawiasem mówiąc, w Londynie czarnych jest w tej chwili więcej niż białych... Tylko to cieszy, że nosiciele orczych genów mimo wszystko jest dziesięć razy mniej niż ludzi czystej krwi. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to my ich tego... Zadepczemy.

Zauważam, że rozumiuję jak elf. Zadepczemy! Już zadeptywali tacy jedni. Od dwóch tysięcy lat deptali i nie podeptali. A teraz orki z nich szaszłyk robią. I — przyznajmy — mają do tego prawo. Historycznie rzecz ujmując, elfy są góralami. Życie w górach, sami rozumiecie, nie jest słodkie. A orki — równinni rolnicy i pasterze. No i pewnego pięknego dnia... Opowiadać dalej?

Trochę dochodzę do siebie, z ust wrywa się:

— Garson, koniak, proszę!

Czuję plecami nieprzyjazne spojrzenie Maga. A spadaj mi! Zabiję. Nie jesteś pełnej krwi orkiem, nieszczęsny emigrancie. Jesteś naszą ziemską mierzwą. Taką samą, jak i ja. Nie ma co ciebie żałować.

Nieszczęsny emigrant? A samobójca — nie brzmi lepiej? Szli, ratując się przed napierającymi elfami, przede wszystkim kobiety i dzieci, ale byli z nimi również mężczyźni—przewodnicy. Parli do „zakazanych miejsc”, na które jeszcze ich odlegli przodkowie położyli najsurowsze tabu. Szli, nie mając najmniejszej nadziei, ponieważ każdy, kto wszedł do strefy przejścia, zniknął bez śladu.

Przecież nie wiedzieli, że to strefy przejścia. Po prostu uznali, że lepiej zginąć, niż dać się zniewolić.

Czasem ten strumień wysychał na długie lata. Czasem sączył się tylko. Na Ziemi czasy bywały różne, przemieszczania się obywateli niemal nie kontrolowano i pojawienie się nowych ludzi w postaci uciekinierów — poddanych czy pionierów na nowych ziemiach, nikogo nie dziwiło. A pośród irrheińskich orków, o „zakazanych miejscach” układano nowe legendy, naokoło nich powstawały kultury religijne. W końcu dziewiętnastego stulecia i na początku dwudziestego odnotowano kilka obfitych fal emigracji, które pchnął do nas pewien orczy Mesjasz. Najwyraźniej niegłupi chłop, który założył, że jeśli ktoś znika w krótkim błysku zimnego płomienia, to wcale nie znaczy, że kopie w kalendarz. Elfy poczuły, że niewolnicy jakby się trochę rozpasali, potem — jak już wspominałem — zobaczyły, co się dzieje na Ziemi z powodu ich zaniedbania i na strefy nałożone zostały straszliwe zaklęcia, których, nawiasem mówiąc, same elfy nie są w stanie zdjąć. Ale elfy miały Rumaki Irumana, mogły sobie pozwolić na taki komfort izolacji.

Ha, a teraz pewnie po łokciach się gryzą i włosy wrywają garściami.

— Stacjonarne przejścia nadal są blokowane? — pytam, błyskawicznie wracając do życia. Tak się zamyśliłem, że nawet nie zauważyłem, kiedy nalali mi koniaku. Chłopakom też.

— Zabawnie jest obserwować cię, Dimonie.

— Nie rozumiem? — Wącham zawartość kieliszka i mój humor nieco się poprawia.

— Bardzo wyraziście odmalowuje ci się na twarzy proces myślowy. Strefy są zablokowane, nie denerwuj się. Wszystko w normie.

— A co w tym normalnego, Liosza? — pytam podstępnie jak żmija.

— Nie domyślasz się? — Liocha udaje, że jest zdziwiony, salutuje kieliszkiem i pije. Andriej

swoją porcję obraca w palcach i jak poprzednio stara się mnie charmować.

Duszkciem wypijam koniak i mówię:

— Idę odetchnąć świeżym powietrzem.

Chłopcy naprężają się, ale ja pierwszy się zaktywizowałem — cały dygoce, jestem wprost straszny.

— Nawet nie próbujcie, chłopcy... Poza tym naprawdę muszę się przewietrzyć.

— Wrócisz? — pyta Andriej, sztucznie spokojnym głosem. — Jesteś nam bardzo potrzebny.

— Wszystkim jestem potrzebny. Zobaczymy. Jedno gwarantuję — na pewno was nie zakapuję.

— Przecież to nie twoja wojna, prawda? Ty jesteś Kwarteronem.

— Jakiś ty dziś gadatliwy, półelfie.

Andriej spuszcza wzrok.

— Należy rozstrzelać wszystkich półelfów! — mówię szczerze. Wstaję i idę do wyjścia. W plecy wpija się nienawidzący wzrok Maga. Nie sądzę, by on...

A on sądzi. Głupek.

Wyższa sztuka pilotażu — wystrzeliwuję jednocześnie w trzy strony różne spelle. Półelfów na wszelki wypadek nakrywam bardzo mocnym „stanem”, a Maga, pamiętając o jego osłonie przed magią, zwyczajnie i nietaktownie walę w pysk stołem. Tak naprawdę, to taka osłona dla mnie pestka, ale chcę poniżyć tego frajera.

W korytarz zapuszczam leciutki, niemal nieszkodliwy „piorun łańcuchowy” i tam zaczyna się totalny taniec świętego Wita. Pamiętam, jak mi jeden typek opisywał następstwa uderzenia szokerem: „Leżysz sobie, cały obszczany, totalnie zdyskredytowany...” Niech i oni sobie tak poleżą. Przyda im się.

Liocha i Andriej zdążyli się zasłonić, ale i tak ich zahaczyło — siedzą i ani mru-mru. Mag całkowicie wyłączony: stół był ciężki. Sam sobie winien. Jak wleciesz ze sobą duże piękne stoły, to i masz za swoje. Osłona w korytarzu już znieruchomiała. Przekraczam ciała i odnotowuję: zaiste — totalnie zdyskredytowani.

W drzwiach zderzam się z mijanym onegdaj milicyjnym patrolem i leciutko charmuję całą trójkę. Jestem taki zły, że potrafiłbym w tej chwili zacharmować czołg. Albo śmigłowiec... Pewnie wiecie, że śmigłowce to dusze zmarłych czołgów? Zaganiam gliny z powrotem do samo — chodu, Cholernie chce mi się pić. Idę do swojego bmw. W tym momencie już swojego.

— Do miasta.

Przy pierwszym napotkanym straganie biorę wódkę i czekoladę. Oczywiście, że biorę za darmo. Siadam do wozu i przykładam usta do szyjki. Piję metodycznie i świadomie, póki trochę mi nie puszczają nerwy. Siedzę i czekam, kiedy się całkowicie odszlamuję. Kiedy rozpuści się w gorzale zalewająca duszę nienawiść.

Kogo chcecie ze mnie zrobić, koledzy moi kochani?

Może to i dziwne, ale po jakichś piętnastu minutach jest mi już wszystko jedno. Samochód wjeżdża do miasta, szczęśliwy palę sobie papierosa na tylnej kanapie i niewielkimi łydkami dopijam swoje pół basa. Jestem już zupełnie spokojny, zwalniam auto. Dokładniej rzecz biorąc, polecam szoferakowi możliwie szybko dotrzeć do miasta Łabytnangi i idę na spacer.

Ciąg dalszy pamiętam słabiutko. Chyba wziąłem jeszcze pół bańki. Często wałem wódką jakąś młodzież. Śpiewałem coś z gitarą. Niewielką bójkę przerwałem. Jakiejś panience skarżyłem się na fatalną i dogłębną samotność. Ale nie charmowałem jej, to na pewno, kiedy jestem pijany, to zwykle jestem też nadzwyczaj uczciwy. Potem szlajałem się nie wiadomo gdzie i dalej piłem. Na spotkanie mi szły jakieś dziewczyny, a ja im nie ustąpiłem drogi, potem zrozumiałem, że tak dżentelmen nie postępuje, długo więc i zawile je przeproszałem. Za dziewczynami maszerowali chłopcy, zaczęli pytać dziewczyn o co mi szło, ja już byłem daleko, a ci długo za mną się

wydzierali „Chodź tu, pedale! Pedał włochaty!”. Pamiętam jeszcze, że śmieszyło mnie to strasznie — włochatych pedałów nie znajdziesz ze świecą, a ja akurat mam włosy dość męskie, zwyczajna fryzura wojownika, chociaż powiem wam, że starożytni wojownicy, to też byli przyjaciele nie tylko z szyku... Zacząłem się nad tym paradoksem głębiej zastanawiać i pewnie tylko dlatego nie zakastowałem fireballa do tyłu, bez sprawdzania kogo Bóg podsunie. Nie zrobiłem tego.

Potem, już w zupełnie innym miejscu, ktoś się na mnie wpakował z pięściami, a ja mu przyłożyłem niezłe, rękojeścią noża w zęby. Nóż już dawno miałem w rękę, to mnie uspokajało i odpędzało natrętną myśl, jaka nieoczekiwanie powróciła do głowy w ślad za definitywnym i absolutnym alkoholowym oszołomieniem.

Kogo chcecie ze mnie zrobić, cholerni odstępcy? potem chyba znowu piłem i komuś skarżyłem się na los. Ale, jak zawsze, nikt mnie nie rozumiał. Przelatywały obrazy obcych rozmazanych twarzy, niby ludzkich, ale wcale z tego powodu nie pokrewnych. Wygląda, że w tym momencie moje oszołomienie przeszło w fazę ciężką, ponieważ poczułem się nieszczęśliwy po prostu do łez — a co, może tak nie jest? Niestety, na nieszczęście moje mogłem odpowiedzieć tylko złością. Ten świat, skancerowany, poprzekręcany, popsuty przez elfy i zgwałcony przez orki, nie chciał mnie zrozumieć i przyjmować takim, jakim jestem. Świat nienawidził mnie, a ja jego.

Potem kogoś zarżnąłem.

\* \* \*

Budzę się, o dziwo, nie w rowie, a na łóżku. W jeszcze , gorszym humorze niż wczoraj. Otwieram oczy, widzę nad sobą nieznany mi, strupieszwały sufit. Łóżko też nie moje, obce. Pewnie mnie do jakiejś szmaty poniosło. Mam nadzieję, że w moim wczorajszym stanie nie byłem zdolny do żadnych intymnych przeżyć. Tylko mi jeszcze francy brakowało. Często tak bywam, po elfiemu, obrzydliwy. Pewnie dlatego jeszcze nie miałem żadnych wenerycznych zobowiązań.

Leżę goły, w dziwnej pozycji, rozciągnięty na łożu. Zaczynam kręcić głową. Od takiego kręcenia zaczyna w niej łupać, przed oczami świat się rozmywa. Mrugam. Oho! Jestem przywiązany. Sznurami. Ciekawy zwrot w akcji. Kto mnie tak urządził? Banda satanistów? Tajne stowarzyszenie elfofobów? Sekta pederastów? Oj, coś jakby właśnie tak. Czuję w tym rękę Maga. Wydaje się, że to ciągle ten Zacepin. Żyje palant. Żebym nie zapomniał go Przeprosić.

Okropnie chce mi się do kibla. Mógłbym spróbować Przepalić sznur, ale boję się, że uszkodzę rękę.

— Hej! — krzyczę. — Jest tam ktoś żywy? Otwierają się drzwi, wchodzi para gliniarzy — półork i człowiek. Patrzą na mnie z triumfem. Chichocą. Czego rżycie, to prostu poranna erekcja.

Wyjaśniałem już, że na poziomie eksperta charm wytwarza się, jeśli tak można powiedzieć, bez pomocy rąk. A ja nie jestem ekspertem, mam stopień mistrza, oficjalnie potwierdzony przez Wielki Krąg Magów Irrheinu.

Dlatego odcinam pokój od reszty mieszkania lekką barierą, żeby Sierioga się nie ciskał przed czasem, a glinom po prostu mówię:

— Może byście mnie, chłopcy, odwiązali?

Rzucają się odwiązywać szparko. Skokami. Siadam na łóżku, krzywię się z bólu głowy. Och, jak mi niedobrze. A nic innego mnie nie czeka jak ciężka orka. Żebym się tylko nie przekręcił.

Wychodzę z sypialni. Obrazek, co się zowie — goły facet, po bokach dwaj z automatami. Rzeczywiście, siedzi sobie Zacepin, wytrzeszcza na mnie gały. Chyba nawet trochę mu głupio. Niby czego — wszystko mam na swoim miejscu i odpowiednie, dziewczynom się podoba.

— Cześć, Sierioga — mówię. — Przepraszam cię za tamten numer, nie chowaj urazy, dobrze? Nie chciałem cię blokować, ale po prostu nie miałem innego wyjścia. Jak tam było, szybko się

ocknąłeś?

— W porządku... — mamroce Sierioga. — Nic się nie stało, Dima.

— Szczerze mówię, więcej nie będę.

Zacepin tylko kiwa głową. Założę się, że jak odzyskał przytomność w parku, to najpierw podziękował niebiosom, że go nie załatwiłem. Ciekawym, jak wytłumaczył sobie moje postępowanie. Atak miłosierdzia? Solidarność zawodowa? Ciekawsze jeszcze, że ja sam nie potrafię tak do końca wytłumaczyć motywów swojego postępowania.

Sierioga mógłby stosunkowo łatwo przywalić mi, gdyby wiedział jak. Ale on kitra się nawet myśleć o tym. Nawet skacowany wzbudzam w nim szacunek. Dobra rzecz, taka zła reputacja.

W kuchni siedzi kurewka o pustym spojrzeniu, już od rana wymalowana jak na wieczorny bal. Mała domieszka orczej krwi.

— Cześć — powiadam do niej. — Mam nadzieję, że nie obraziłem cię wczoraj?

Zero odzewu, kilo pogardy. Obraziłem, znaczy się.

Co tam, przynajmniej żyje. A kogo to ja chlasnąłem ubiegłej nocy kosą po gardle? Czy może mi się to przyśniło?

Za ścianą popikują klawisze komórki. Pewnie Zacepin melduje szefowi, że już można się ze mną komunikować.

W łazience pokryte liszczami lustro. Długo wpatruję się w swoją zmiętą twarz. Zwierciadło stara się jej schlebiać, ale szkoda na to czasu i atlasu. Czy wystarczy mi sił, by odejść stąd, nie zadając przeciwnikowi niepotrzebnych strat? Jakbym wziął stymulator — wystarczyłoby. Ale czy wytrzymam stymulator? I dlaczego, tak na dobrą sprawę, mam stąd odchodzić?

Wracam do Zacepina i gliniarzy.

— Gdzie moje manele?

Oto są, w szafie. Ubieram się. Kieszenie dziewiczo puste. Oczywiście, nie ma szelek z pistoletem i sztyletem.

— Osobiste rzeczy, dokumenty, broń.

Gliniarze na wyprzódki rzucają się do sąsiedniej szafy. Zacepin prycha wystraszony.

— Nie przejmuj się, Sierioga. Zostaję z wami. Słysząc taką niemoc w moim głosie, że Sierioga mi wierzy. Gliniarz — człowiek podaje mi paczkę. Z rozkoszą włożę w uprząż, rozkładam w odpowiednich miejscach wszystkie rzeczy. Otwieram na sekundę małej termos — wygląda, że w środku nic się nie zmieniło. Chowam go do kieszeni. Kryję w dłoni pudełko po zapalniczkach z zielonym proszkiem w środku i idę do kuchni. Pudełeczko piecze w dłoń. Aż strach myśleć, co się ze mną za chwilę będzie działo.

Kurewka ciągle pali. W lodówce znajduję piwo. Otwieram butelkę, ostrożnie wlewam w siebie kilka łyków. Wyjmuję z pudełka szczyptę świństwa, toczę z niego małą kulkę, kładę pod język. Siadam przy stole, splatam ręce i kładę na stole, na nich głowę. Czekam na koniec świata.

Niby nie potrzebuję stymulatora, ale bez niego trochę strach spotykać się z Magiem. Na kacu gówniany ze mnie wojownik, a dla Wani zabić, jak dla innych splunąć.

Przy okazji, a dla mnie?.. Przypomniawszy sobie coś, wyciągam z pochwy swoje ciachadło. Czyściutki.

— Hej, chłopcy! — krzyczę. — Nie macie pojęcia, czy aby kogoś na tamten świat nie wyprawilem?

— Zero wiedzy — to glina — półork. — W dzielnicy w nocy było trzech pociętych i jeden załuczony na śmierć taboretami. Twój to który?

— Mój powinien mieć gardło skrojone. Nie do pogodzenia z życiem.

— Może jeszcze nie znaleźli...

Teraz zaczyna mnie wywracać na nice. Nie w tym sensie, że mdli, tylko wywraca jak brudną

skarpetę, z takim właśnie zapachem, zaczynającym już dominować w kuchni. Kurewka marszczy nos i w końcu zaczyna się na mnie gapić z zainteresowaniem. Nie rozumiem, po co wywraca się brudne skarpety? Trzeba je wrzucać do pralki... Więc kładzie mnie do pralki. Nie wiadomo dlaczego od razu na wirowanie. Gdzieś tak na tysiąc obrotów.

Bardziej lub mniej wracam do życia znowu w pozycji leżącej. Na tym samym łóżku. Obok zaniepokojony Zacepin, jego ciepłe dobre dłonie ściskają moje skronie. Dobry z ciebie facet, Sierioga, choć i potencjalny wróg. Będę ci to pamiętał.

— Dość... — udaje mi się powiedzieć. — Już w porządku, dzięki.

Zza drzwi ze strachem wyglądają mocno zaniepokojeni gliniarze. Zacepin odpręża się i trzęsie rękami w powietrzu.

— Strasznie krzychałeś, Dima. Strasznie. W życiu czegoś takiego nie słyszałem.

— Przepraszam. Chłopy, zostało wam piwo, możecie podać?

Przynoszą, łykam trochę. Czuję się jeszcze lepiej.

— Dziękuję, panowie. Do śmierci będę wam wdzięczny.

— Co tam... tego... Lepiej powiedz, jak z tobą?

Pod charmem moi klawisze są mili i łagodni aż do bólu.

— W porządku — usiłuję wstać, ale mnie zarzuca. Zdolność do kastowania, jak czuję, poniżej normy. Na zwykłą bójkę wystarczy, ale na jakąś bitwę na większą skalę — niestety nie. Nie chce psychika wspiąć się na poziom transu, nie utrzymuje go. Dopileś się cudotwórcu. Co najmniej ze trzy dni będziesz do siebie przychodził.

Do drzwi ktoś dzwoni, jeden z gliniarzy idzie otworzyć. Poruszenie, przytłumione głosy. Siedzę na łóżku i tępo gapię się w ścianę. Czekam.

Pojawia się Mag. Ryło opuchnięte po dwakroć w stosunku do normalnego stanu, niemal w drzwiach się nie mieści. Pewnie, takie mechaniczne oddziaływanie przeżyć. Obrona skręcona mocniej niż wczoraj, aż się cała skrzy i — tak mi się przynajmniej zdaje — chrzęści.

— Dobrze go przykryłeś — mówię do Zacepina. — Nie każdy master by się przebił.

— Nawet nie każdy grandmaster — nadyma się Sierioga. Ale widzę, że jest mu przyjemnie.

— Może dość tego gadania, co, magowie? — rzuca Mag.

— Ty! — to do Zacepina. — Wyjdź na razie.

Sierioga drepce w miejscu, trochę się obawia o swojego klienta.

— Idź, idź — macham ręką i Zacepin wychodzi, zamknąwszy za sobą drzwi. Wania siada na krześle i zapala papierosa. Ja też sięgam po fajki. Mag widząc mój ruch, lekko zmienił się na twarzy, ale szybko się opanował. Wygląda, że nie ma do mnie żalu o wczorajszy incydent. Może nawet przeciwnie — poczuł szacunek.

Przez jakiś czas palimy w milczeniu, strząsając popiół na parkiet i przyglądając się sobie wzajemnie. W końcu Mag nie wytrzymuje. Wyjmuje z kieszeni kartkę o wymiarach fotografii, podsuwa mi pod noc i pyta z fałszywym spokojem w głosie:

— Dlaczego zabiłeś moich ludzi, powiedz?

Wow! Mamy jak się okazało, poczucie humoru! Szkoda, że nie pamiętam, co tam dalej leci w tekście. Bez namysłu walę pierwsze, co mi przyszło do głowy:

— Chłopy prosili.

Mag groźnie sapie. Biorę od niego zdjęcie. Patrę i z nieudawanym zdziwieniem pytam: — Co to jest?!

— O nie—e—e—e! — przeciąga Mag. — To ja się ciebie pytam, co to jest? Co?

— Co, co... „Łańcuchowy piorun”. Poczekaj, daj się przyjrzeć.

Wania jest starszy ode mnie prawie dwa razy, pewnie ma już pięćdziesiątkę, ale jakoś mi nie przechodzi przez gardło uprzejme „pan” do takiego bydlaka.

Na zdjęciu widnieją moi starzy znajomi, orki–wojownicy. Cała szóstka. Leżą kompaktową grupą. Zwęgleni. Przesadnie, po prostu nadmiernie, demonstracyjnie zwęgleni. Jakby jakiś mag wypróbował na nich swoją moc. Albo chciał pokazać, jak jest silny. A silny jest bardzo. Ogarnia mnie leciutkie nerwowe drżenie. To jest grandmaster. Absolutnie i na pewno elf. Może nawet mój irrheiński mentor. Br–r–r–r... — Zwracam fotografię Wani.

— Wybacz, ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Wania przez kilka sekund wpatruje się we mnie z niedowierzaniem, potem przesuwając spojrzenie w bok i zaczyna dziwnie przeżuwać coś wargami. Pewnie to mu pomaga w myśleniu.

— Smok jest mój, co było, to było. Ale to nie moja robota.

— U–u — mówi Wania. — U–uu!

— Współczuję.

— Zamknij się!

— Tak jest.

Zastanawia się jeszcze dobre pół minuty, ciska niedopałek na podłogę, depta nogą. I nieoczekiwanie pyta:

— Dlaczego wczoraj zwiąłeś?

— Musiałem wszystko sobie przemyśleć. A ty byś pewnie zmusił mnie do podjęcia decyzji natychmiast. ,

— Ha! Jakiś ty, panie dziejku... Myśliwy. A ja później muszę ścigać cię po całym mieście. Myślisz, że to proste? Zacepin mało z gaci nie wypadł, tak się pocił wyniuchiwaniem ciebie. A straty? Temu zapłać, tamtemu zapłać, samochody miotają się jak wściekłe, gliniarzy musiałem podłączyć, plus jedna dziwka nie pracuje, chawira stoi nieużywana... No, to co zdecydowałeś?

— Nie mieszać się.

Wania zaczyna się scenicznie gotować. Ale już wyczuwam: po wczorajszym show już mnie nie dotknie. Wystarczy, żebym ogłosił neutralność, a już nie będę dla Wani wrogiem tylko najemnikiem, któremu należy zaproponować odpowiednią stawkę. Innych kategorii Wania nie rozróżnia.

— Chłopie, czy ty masz pojęcie, ile mi jesteś winien?

— Za smoka? Wyobrażam sobie. Średniej wielkości majątek w Irrheinie i jakieś pięćset dusz niewolników. Standardowa cena.

Wania podnosi rękę, ale już zdążyłem przeszyć jego ochronę nożem. Lekko łaskoczę jego gruby bebecz. Klient nie posiada się ze zdumienia.

— Tylko się nie złość niepotrzebnie na swoich ludzi. Nic nie mogli zdziałać. Ze mną w ogóle... ciężko.

Mag sapie. Po każdym pokazie mocy podobam mu się coraz bardziej.

— Dobra, schowaj kosę — powiada. — Chwalidupa.

— Popatrz na siebie. Złodziej.

— Co?! A pistolet?! — nieoczekiwanie podskakuje i wrzeszczy Wania. — Zapomniałeś, co?! Masz pojęcie, ile taka spluwa kosztuje? Sam, kurna, jesteś złodziej!

Nie przygotowałem się na zmianę tematu i w odpowiedzi na pretensje Wani tylko głupio się uśmiecham. Pamiętliwy typ, ten Wania Mag. Inna sprawa, że glock–18 rzeczywiście słono kosztuje. Ten model nie poszedł do sprzedaży, zatem niełatwo go zdobyć. To znaczy — innym, ja przecież po prostu odebrałem armatę naszym bandytom kilka lat temu. Jakoś krzywo na mnie popatrzyli i bardzo źle się stało — bowiem mag był pijany — Wania potem dzwonił do Firmy i skarżył się. Wania lubi dzwonić do Firmy i gardłować z byle powodu. Igor mnie zdrowo opierniczył za ten numer, i kazał oddać pistolet. Ale ja się zapałem. Oddalibyście orkom–przestępcom automatyczną broń o szybkostrzelności tysiąc trzysta na minutę? Po co im to,



jeszcze się postrzelą...

— Ja ci kiedyś zsumuję kredyt z debetem — grozi Wania, sapiąc ciągle. — Jak mnie porządnie rozżółcisz, szybko sobie wszystko przypomnę. Uważaj więc, co gadasz... magu. Ha! Mag... Świnia. Krwiopijca. Serce mnie boli, że będę musiał ci jeszcze płacić.

— Za co?

— Wynajmuję cię. Dziesięć tysięcy miesięcznie. Może być?

Wolno wkładam sztylet do pochwy, zapinam ją. Ale się skąpiradło Wania rozbuchał. Firma płaci mi cztery razy mniej, nawet jeśli dodać premie za operacje specjalne. Nieźle, Magu, musiało cię przycisnąć.

— Pogadajmy — proponuję. — Chciałeś ze mną pogadać, prawda?

— Dostaniesz też samochód. Zagraniczny. Boże, on się cholernie boi!

— Po co ci był smok, Wania?

— Przestań podbijać cenę, elfi parobku. Ja się nie targuję.

Wyjmuję znowu sztylet, obracam go w palcach.

— Mylisz się, Magu, nie jestem elfim parobkiem. Jestem człowiekiem, kapujesz? Mam wolny wybór. Sam decyduję, w jakiej drużynie będę grał. Jak mi się zechce, to oleję te wasze spory.

— No to dlaczego zabiłeś smoka?

— Powtarzam: chłopcy mnie poprosili... Słuchaj, Magu, przestań strugać wała. Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił, więc wyjaśnij dlaczego?

Wania zapala nowego papierosa. Wyjaśnianie nie jest jego najmocniejszą stroną.

— Po angielsku kumas, elfie?

Obcinam mu papierosa przy samych wargach. Tylko filtr mu w ustach został. Sam się dziwię, jak po nocnym chlaniu udał mi się taki jubilerski ruch. Mag chciał mnie rozżółcić i to mu się udało.

— Przepraszam — mówi spokojnie Mag. Wypluwa filtr, wpycha do pyska nowego papierosa. Oto, dlaczego jest szefem w tym bandyckim stadzie. Wania, to jasne, jest takim samym psychopata jak i cała reszta, ale znacznie lepiej od innych panuje nad sobą. — Nie myślałem, że to cię tak urazi. No, więc... Od tygodnia w „Prezydencie” mieszka na piętrze dla VIP-ów pewien Anglik. A nazywa się, wyobraź sobie, Elven Archer. Gitnie, nie?

— Nie takie zdarzają się nazwiska — odpowiadam. A w duchu konstatuje: guza tam. Elfi Łucznik — nie da się wymyślić bardziej przejrzyściej aluzji. One zawsze tak postępują, kiedy idą kogoś konkretnego zabijać. Wnoszą do zabójstwa taki element pojedynku. Dają ofierze poznać, że polowanie się zaczęło. Tego wymaga ich kodeks honorowy wojownika. Zanim nadepniesz na karalucha, należy głośno powiedzieć: „Uwaga, depcze!”

Pewnego razu tacy szpanerzy niespodziewanie zaczynają przegrywać. I to wyraźnie, jak teraz. Ale i tak nie są w stanie zmienić swojego postępowania. Tłumaczy ich jedno — nie są ludźmi. I, nawiasem mówiąc, nie są orkami.

— Dobra, nie łyj — radzi protekcjonalnie Wania. — Przecież znasz ich naturę. Podsumowując, ten Archer przybył tu po moją duszę. To pewne. Na bank. Dzwonię więc do twojej Firmy i pytam: po kiego fiuta? A oni mi odpowiadają: nic nam nie wiadomo. Kapujesz? Archer siedzi na tym swoim piętrze i nigdzie nie wychodzi. A moi ludzie zaczynają ginąć. Najlepsi. Pojedynczo. On tylko siedzi. A ludzie — pa-pa! I nie kula, nie nóż — czysta magia. Tymi, jak wy ich tam... Spellami.

— I co? — pytam z drżącym sercem. Już wszystko rozumiem.

— A to, że kilka razy jednak dał się namierzyć. Widziano go, kapujesz? Kazałem swoim, żeby nie chodzili Pojedynczo, ustawiłem krzyżową obserwację i namierzyli go. Niemal go capnęli, ale tylko niemal, nie zdążyli. Znowu dryndam do Firmy. Odpowiedź taka sama. A przecież wcześniej

żyliśmy ze sobą jak dwa gołąbeczki... co mam robić, pytam, sam się ratować? A ci znowu: nic nam nie wiadomo. Czego tu nie wiadomo?! Ten Archer to killer. Pewnie najlepszy na świecie. I niedługo dobierze się do mnie.

— A ty nie próbowałeś go macnać?

— Jeszcze jak próbowałem! Ostatnim razem szturmowaliśmy nawet jego pokój. To było już po tym, jak, ścierwo, snajpera zabił. Ledwo się potem wykręciliśmy, furę szmalu musiałem zapłacić. Przecież mówię: najlepszy na świecie killer.

— Nie ma takiego słowa w języku rosyjskim! — nieoczekiwanie dla samego siebie odszczekuję się.

— A jakie jest? — dziwi się Mag.

— Zabójca.

— Wiesz co, jakoś mi od tego nie jest lżej. My zawsze jak dwa gołąbeczki — Mag ze zdenerwowania zaczyna się powtarzać. Został zapędzony do kąta i nie wie, co robić. — I nagle oni zaczynają coś mieszać. Co się dzieje? Ja już prawie zwariowałem...

— ...A potem kupiłem moich przyjaciół, poznałem sytuację w Irrheinie i wszystko zrozumiałem — dokończyłem za niego.

Wania patrzy na mnie spode łba i znowu przeżuwa wargami.

— No, nie wszystko... — przyznaje. — Ale co nieco. Nawiasem mówiąc, ci dwaj sami do mnie przyszli.

— Załatwili łączność, przejście dla wojowników, smoka przetaszczyli za friko...

— To już zupełnie nie jest twoja sprawa!

— Ale odpowiedz mi, po cholere ci był smok?

— Żeby napuścić na tego bękarta! — wrzeszczy Wania. — Żeby go na strzepy, na strzepy! Na flaki! I pożreć!!!

Jest mi jednocześnie i śmiesznie, i smutno. Biedni Ziemianie. Wieki zręcznej elfiej propagandy nie minęły daremnie. Napuszczają jakąś tam jaszczurkę, niech ci nawet ona jest duża i ogniem dysząca, na grandmastera-maga... Chciałbym słyszeć, jak rechotał Liocha z Andriuchą, dowiedziawszy się, po co komu smok. Oczywiście zorganizowali przemyt bez najmniejszych wyrzutów pienia. Wiedzieli, że smok na Ziemi nie stanie się specjalnym problemem. Nie zdąży po prostu. A to, że przypadkowo ja się na niego natknąłem, spowodowało, że odpadł jeszcze jeden problem — jak zwrócić moją uwagę na nadciągający kryzys i przeciągnąć na stronę orków...

— Myślałem, że to ty ich!.. — Wania bryzgając śliną, wymachuje w powietrzu zdjęciem z martwymi orkami. W sumie, muszę przyznać, kusząca sprawa. Teoretycznie. Ale skąd przyszedł chłopakom do głowy pomysł, że jesteśmy w stanie powstrzymać rozległą elfią interwencję, niechby nawet na początku humanitarną. Z elfiego punktu widzenia humanitarną, a z ludzkiego nie bardzo — proszę, jak się ten Archer rozhulał. Czyści niszę dla swoich. Była orcza mafia, będzie elfia, i to sto razy gorsza. Nie chcą już elfy na Ziemię wpływać, chcą nią po prostu rządzić. Mieliśmy kiepski pokój, będziemy mieli dobrą wojnę. Na początek. A potem? A co tam potem... Czy to ja nie wiem, jak zachowują się elfy na okupowanym terytorium?

I co ja mam teraz zrobić? Jak się zachować? Przy orkach mogę być człowiekiem. Pod elfami już do końca swoich dni zostanę „ćwiarteczkiem”. Nad podziw kiepskie rozdanie. Już po twojej kusej wolności, magu.

Nie pozostaje mi nic innego, jak działać ściśle według planu i postarać się zdobyć maksimum informacji. Informacji potrzebuję, informacji. Decyzje potem. Jutro.

— Uspokój się, Wania — mówię do niego. — Chyba się wybiorę na rozmowę do pana Archera.

Oblicze Maga jaśnieje, Wania składa ręce jak do modlitwy.

— Myślisz, że ci się uda? — pyta niemal z nabożeństwem.

— Dlaczego nie miałbym z nim pogadać? — pytam. Mag zdradza swój nowy tik nerwowy: już nie tylko międli wargami, ale jeszcze na dodatek kręci nosem.

— Przejdę się do niego, pogadamy. A potem zadecyduje, co zrobię. To proste, Wania.

— Ależ on cię załatwi, w cztery dupy i bez żadnych tam rozmów... — jęczy Mag. — I po zabawie.

— Nie załatwiał mi pogrzebu przed czasem. Daj mi lepiej swój numer. Bezpośredni. Najlepiej na komórkę.

— Masz. — Mag wyciąga wizytówkę. Jest na niej tylko numer telefonu, nic więcej. Chowam kartonik do kieszeni i wyjmuję termos.

— Tu masz prezencik ode mnie.

Wania odsuwa się od termosu jak diabeł od kadzidła.

— Nie bój się! Przecież już skapowałeś, że jak rznąłem smoka swoim nożem, to umyślnie się pokazywałem, chciałem ci dać znak?! No więc, w termosie jest to coś, czym mogę od razu zapłacić za twoją zniszczoną własność. To smocza krew.

Wania wolno, jak zaczarowany, sięga po termos.

— I... — udaje mu się wykrztusić.

Termos już go nie przeraża, przeciwnie — hipnotyzuje.

— Przecież jesteś półorkiem.

— Yhy... — Założę się o wszystko, że Wania w tym momencie gorączkowo przypomina sobie wszystkie legendy swojego plemienia.

— Ci nieliczni orkowie, którym udało się pokonać smoka, kąpali się w jego krwi i stawali się odporni na zranienie. Ich skóra, pozostając elastyczną, reagowała na cios jak pancierz. Tu masz niewiele tej krwi, ale dużo nie trzeba. Po prostu rozsmarujesz po ciele i już. Krew jest dobra, pilnowałem, żeby się nie zepsuła.

— I tak po prostu... Mi ją tak... Po prostu... Mi oddajesz...

Nieźle oszołomiłem biedaka. Aż mi się nie chce wierzyć, że siedział kiedyś za napad z bronią w rękę i w pierdłu nikt mu nie podskoczył.

— A mnie ta smocza krew po cholere? Działa tylko na orków.

— No... E-e..

— Podsumujmy, Wania. Ja idę do chaty, pośpię trochę, a wieczorem udam się do Archera. I od razu do ciebie dryndnę.

— Aha. Słuchaj... M — m... Tego. Zapomniałem zapytać, gdzie schowałeś furę?

— Bmw? — Szacuję jak daleko mógł odjechać wóz, ale się gubię. — Rozumiesz, Wania, przemieszcza się w kierunku półwyspu Jamal. Jak by ci to — wytłumaczyć... Po prostu poprosiłem szofera, żeby tam skoczył.

Wania długo wytrzeszcza na mnie świadczące o kompletnym oszołomieniu gały i nieoczekiwanie oświadcza:

— Dziękuję...

\* \* \*

Po wyjściu na ulicę najpierw orientuję się w okolicy. Namiary pobieram z trudem, ale wynik jest zadowalający. Czasem po pijaku jestem nieprzewidywalny. Mógłbym, jak co poniektórzy... Do Łabytnangi runąć. Szofera mi nie żal — po cholere dla bandytów orze? — ale i tak nieładnie postąpiłem.

Do domu, oczywiście, nie pójde. Nie ma czasu na odpoczynek. Lekcje w szkołach chyba się już skończyły. Wyjmuję komórkę i dzwonię do swojego chemika. Trafiony. Napraszam się w gości.

Przy okazji dokupię trucizny, pieniądze po wczorajszym, choć to dziwne, zostały. Pewnie bała się kurewka dokonać zamachu na mój budżet. A może jej Zacepin podpowiedział, że to może być dla niej niezdrowe. Dlatego tak pyszczkiem kręciła. Dość miłym, szczerze mówiąc, pyszczkiem. Z pieprzykiem. No, jak pozalatywiam sprawy... Niby czemu nie? W czym jestem lepszy od innych, że przypisuję sobie prawo do pogardzania sprzedajnymi kobietami? Jeśli wszystko pójdzie tak, jak teoretycznie powinno pójść, to na zakończenie tego kryzysu będę siedział po uszy w gównie. Moralnie i fizycznie. Wcale nie bardziej czysty od średniostatystycznej prostytutki. Całkowicie odpowiedni kawaler dla orczej szmaty.

Tylko niech mi świadectwo zdrowia pokaże.

Przepełniony takimi różnymi myślami wlokę się na poszukiwanie taryfy. Organizm bardziej lub mniej, ale jakoś się trzyma, choć w co niektórych punktach boli. Niedobrze, że wcale nie chce mi się jeść. Dawno już nic nie jadłem tak naprawdę, a teraz trochę strach pakować coś w trzewia. Atak kolki z powodu podniecenia gwarantowany, z całym dobrodziejstwem inwentarza: zgagą, bekaniem i finalnym wywrzaskiwaniem obelg pod adresem hydraulika od muszli. Kiedy już będę miał dość cierpienia. Poza tym, jestem skąpy. Nie lubię tracić dobrego obiadu, za który zapłaciłem swoimi pieniędzami. Może wy je zarabiacie lekko i przyjemnie, może nie czujecie, że każdy zarobiony rubel dosłownie odbiera wam częśćkę waszego zdrowia. A z magami właśnie tak jest. Kiedy Profesor wymyślił swojego niewiarygodnie długo żyjącego Gandalfa, opierał się na legendach. A legendy te były serwowane przez starożytnych magów. Umyślnie, jak się domyślacie, żeby się ich pospółstwo mocniej bało. Przecież nie będziesz się zamierzał na człowieka, który najpierw cię zabije, potem dzieci twoje zniewoli, wnukom życie zepsuje, prawnuczkę zgwałci, a potem jeszcze coś, w zależności od tego, jak zepsutą ma wyobraźnię.

To są bajki. Jeśli okoliczności zmuszają bojowego maga do częstej i intensywnej pracy na granicy możliwości, to niemal na bank nie dociągnie do siedemdziesiątki. Dla elfa, który, cokolwiek by wam nie wciskali rzecznicy elfiego kitu, jest genetycznie zaprogramowany na jakieś sto dwadzieścia lat aktywnego życia, takie skrócenie życia jest tragedią. Nie może jednak bez magii obejść się pozbawiony wyższej technologii Irrhein. Dlatego nawet najwyższe urodzone elfy pochylają z szacunkiem głowy przed magami.

Jednocześnie to oni, władcy Irrheinu, określają, ile nowourodzonych elfów z niższych warstw elfiej społeczności pozbawi się swobody wyboru i zapisze do szkoły magii. Elfy nie muszą szukać talentów, wszystkie są mniej więcej jednakowo równe na starcie, i ciała, i psychiki. Zwyczajnie — określają ilość i losują. I już. Możecie sobie wyobrażać, że płaczą elfie położnice, oczekując na wyniki losowania — i pomylicie się. Nie płaczą wcale. Obowiązek ponad wszystko. Dobro narodu.

Z grona magów długo żyją tylko nauczyciele, którzy są wykorzystywani do działań bojowych w razie najwyższej konieczności. Kiedy pan E. Archer się urodził, natychmiast przypisano mu takiego różnego dziadunia, mniej więcej stuletniego, po czym dzieciństwo E. Archera skończyło się, nie rozpoczynając na dobre i zaczęło się nie mające końca pompowanie umiejętności. Jeszcze szczeniak nie raczkował, a już codziennie obrabiali go magowie, faszzerowali specyfikami i preparatami, liftując niemowlakowi ważne w jego przyszłej pracy wskaźniki. Żeby mając lat dwadzieścia, E. Archer mógł stanąć w szeregu i poszedł na bój z orkami. Sądząc po tym jak wali „łańcucho — wryin piorunem”, ma teraz koło pięćdziesiątki. Grand — master w rozkwicie sił. Smokiem go... Cha — cha! Taki ze smokami w ogóle się nie wdaje w dyskusje, bo po co? Po prostu odpędza je wzrokiem.

Co mogę mu przeciwstawić? On elf i zawodowiec. Ja — człowiek i amator... Nic nie mogę, ale coś muszę. Nie znoszę bandytów, ale trzeba ich bronić. Orków i kryminalistów! Tfu!

A innego wyjścia, jak mi się wydaje, nie ma.

Łapię taryfę, podaję adres, wsiadam — wszystko na autopilocie. Obmyślam plan, niemal już całkowicie sprecyzowany. Bardzo bym chciał, żeby mnie ktoś od niego odwiódł. Choć to i dziwne, ale może to uczynić tylko pewien półork.

Podwójnie ciężko podjąć taką decyzję, kiedy żyje się w świecie, gdzie niemal każdy od dzieciństwa nosi wbity w mózg obraz jasnego elfa. Przez setki lat elfy prowadziły tu działania zwiadowcze i pakowały na odpowiednie miejsca agentów od propagandy. Sądzę, że własna niewielka Firma znajduje się w każdym kluczowym państwie na Ziemi. Po prostu rosyjski przyczółek jest bardzo duży, a szczególnie rozrósł się przez ostatnie dziesięć lat — elfy uważają, że na Rosjan obecnie należy szczególnie uważać. Co dla rosyjskich potomków elfów jest jakimś szczególnym powodem do dumy. Sądzą, że Irrhein odnotował pewną tendencję do wywyższenia w przyszłości naszej ojczyzny. Pytanie, czy aby elfy tego wywyższania nie zaczną gasić, w umysłach naszych durni nie powstaje. Jakoś tak raz coś bąknąłem na ten temat, to mnie niemal pobili — to znaczy, widziałem, że bardzo by chcieli, ale się skitrali. Ale smród się wzbił pod obłoki. Niemal z roboty chcieli mnie przepędzić.

Wtedy po raz pierwszy dało się słyszeć ten głupi przydomek — „zdrajca”.

Za oknem przesuwają się miasta, zastanawiam się nad orkami. Mają chłopcy pecha. Mimo ich panoszenia się po całej Ziemi, nigdy nie zajmowali się kontrpropagandą. Nawet ci pisarze, którzy oponowali Profesorowi i jego następcom, nie byli na garnuszku orków i sami nie byli orkami. Po prostu ktoś powinien był zakrzyknąć; ELFY TO FIUTY! Dla zasady. To jak wypisywanie w nocy na murze słowa na cztery litery, czasem na trzy, jeśli tradycyjnie — z błędem. To jest łamanie kulturowego tabu. Impuls niesterowalny, płynący gdzieś z podświadomości.

W odróżnieniu od elfów orki są słabe energetycznie i kiedy przebijają się na Ziemię, są kompletnie ogłuszone. Osobowość wbija się w najdalszy kąt umysłu, a jej miejsce zajmuje matryca generowana przez Ziemię. Robi się taka jakby reinkarnacja. Możliwe, że nie jakby”, a właściwa reinkarnacja. Stopniowo, znacznie później i tylko u pojedynczych osobników, odbywa się zrost dwóch „ja”, ale podsunęta nowa podświadomość i tak dominuje.

Oczywiście, są to tylko domysły i dane poszlakowe. Nie widziałem w życiu ani jednego czystej krwi orka — Ziemianina; ich po prostu już od dawna nie ma, wszyscy poumierali. Tylko takiego orka można by było zapytać, jak się odbywa proces wrastania w naszą cywilizację, skąd się bierze ludzkie imię i świadomość, że jest się istotą ludzką. I jak to jest — zrozumieć pewnego dnia, że wcale nie jesteś człowiekiem... Niestety. Wymyślcie coś sami. Ja wiem tylko jedno — najłatwiej ciśnienia tego wymuszonego „ja” pozbywali się „przebudzeni” magowie. A dobry mag ze szkoły klasycznej zawsze jest bibliofilem, badaczem, nośnikiem wiedzy i jej propagatorem. Poza tym potrzebuje publiczności. Takie odzywają się instynkty. No i gdyby nie znaleźli się magowie wśród orków–emigrantów, gdyby nie zatroszczyli się oni, żeby odnaleźć braci w nieszczęściu i wychować swoich następców, nie byłoby tu żadnej orczej mafii.

I nie musiałbym teraz się opowiadać za kim jestem — za czerwonymi czy za bolszewikami.

Przyjechałem. Wsiadam. Stymulator już się dobrze rozsiadł w trzewiach, czuję się niemal normalnie.

Grant Giennadijewicz Gabrielian okrutnie się cieczy z mojej wizyty. Wcale nie zmienił się od tego czasu, kiedy był moim wychowawcą — ciągle taki sam dowcipny i mądry — Z kuchni, gdzie facet sobie chemikuje, ciągnie magicznymi preparatami. Pewnego dnia sąsiedzi postanowili zakapować Granta gliniarzom — uznali, że skoro chemik, to musi narkotyki warzyć. Gliny przyszły, chwilę z Grantem pogadały, zacharmowali się na sto procent i potem sąsiadom takie bańki wstawili...

Od drzwi wyjmuję pieniądze i zaczynam je liczyć.

— Potrzebuję coś naprawdę mocnego. Nie to, co zawsze. Masz?

Grant przygląda mi się badawczo.

— Dla ciebie nie. Zawiniesz się, Dimka. Idź do łazienki, popatrz w lustro.

— Dzięki, już patrzyłem. Ale potrzebuję, rozumiesz?

— A co się stało? Usiądź, Dima, opowiedz... Siadam więc i opowiadam. Wszystko, od początku do końca. Grant albo patrzy w ścianę, albo drapie się po czubku głowy. Wygląda, że zna wszystkie irrheińskie nowiny. Po prostu nie przypuszczał, że i mnie wciągnęło w ten wir.

— Ta-ak... — wzdycha. — Sytuacja kiepskawa. Po co ciągle pchasz się nie w swoje sprawy? Teraz związałeś się z Magiem. Po co? Mało masz swoich bydlaków, jeszcze ci nasi potrzebni? A tak przy okazji, masz pojęcie, co się stanie z Wanią, jak użyje smoczej krwi?

— Nie mam pojęcia. A co się stanie? Grant znowu drapie się po głowie.

— Może nie zejdzie — mówi w końcu. — Chociaż... Może i zejdzie.

— Poważnie?! — perspektywa strucia Maga przy pomocy smoczej krwi specjalnie mnie nie raduje. W końcu chciałem tylko trochę się z niego ponaigrywać. Bo jak się zawinie, to miejscowa mafia zniknie jak sen złoty. Przecież u nich panuje tradycyjny zakaz informowania siebie wzajemnie. Podlegli Wani uważają jego i podwładnych mu magów za e-e-e... no, coś jak espów. A siebie — za zwykłych ludzi. Nawet gdyby Wania przyznał, że tak nie jest, to by mu nie uwierzyli. Musiałoby zadziałać kilku wtajemniczonych we wszystkie szczegóły członków starszyny. Co oznacza, że zanim wybiorą nowego padrone, póki Zacepin nie wprowadzi go w sytuację..., Elven Archer może spokojnie wracać do domu. Albo jeszcze spokojniej powybijają ich wszystkich. Czy tego potrzebujemy? Guzik.

— Po co miałbym kłamać? — dziwi się Grant.

W pierwszej chwili ręka sama wyszarpuje z kieszeni telefon. A potem budzi się we mnie jakaś dziwna złośliwość. Nie lubię tego Wani Maga i już, co ja na to poradzę?

— Nie chcesz do niego zadzwonić? — pytam.

— Nie-e — Grant mruży chytrze oczy. On też nie lubi bandytów. A kogo lubi? Zacepina, bandyckiego najmitę. Takiego samego ucznia i prymusa z chemii, jak ja. Och, złożony jest ten świat.

— Zacepin ma szansę przechwycić panowanie, gdyby Mag pa-pa?

— Skądże, Dima! Sierioza to taka pierdoła...

— Jasne — mówię. — Na razie mam dość. Jak mawiała Scarlett O'Hara: „Pomyślę o tym jutro”. Dziś i tak mamy dzień poważnych decyzji i już się tym zmęczyłem.

— Co zdecydowałeś? — pyta Grant. Dokładnie tak, jak godzinę temu Wania Mag.

— A ty jak byś postąpił?

— Na twoim miejscu — Grant uśmiecha się dość niewesoło. — Dla mnie to skomplikowana sprawa, Dima. Przecież ja jestem po drugiej stronie barykady...

— Tylko bez sofistyki. Ziemscy magowie nie mogą sobie pozwolić na sprzeczki, jest ich zbyt mało. Gdyby było inaczej, już dawno bym rozwalił Zacepina. Ale ja naprawdę sędzę, że nie warto dzielić ludzi na elfy i orki. Mamy poważniejsze konflikty — Irrhein i Ziemia. I z tym niekończącym się naporem Irrheinu już dawno należało coś zrobić. Przy okazji, jaka jest twoja prognoza — jak się to wszystko skończy? Tam, za horyzontem?

— Niczym dobrym się nie skończy — wzdycha Grant. — Sędzę, że za pół roku elfy zostaną zapędzone z powrotem w góry, do swojego historycznego areału. Czy orki poleżą w ich góry — nie wiem. Ale w każdym przypadku elfom będzie potrzebna nowa przestrzeń życiowa. Dużo przestrzeni — I nowi niewolnicy, dużo niewolników, oni wszak raczej już nie potrafią, przyzwyczajenie jest drugą naturą.

— Można sądzić, że będą się do nas pchali całymi klanami?

— Właśnie.

— A ty, Grancie Giennadijewiczu, jak się na to zapatrujesz?

— Ja nie mogę niczego zmienić — odpowiada Grant z udawaną obojętnością. — Z tego wynika, że mi to zwisa. Po prostu — miałem dwa rynki zbytu, wasz i nasz, a zostanie tylko jeden. Ale za to mocno się rozrośnie.

— Zwisa ci, jak elfy odmienia życie na Ziemi? Teraz już nie będą się z nami cackali, zmieniły się okoliczności.

— Co więc proponujesz? Myślisz, że jesteś w stanie coś zrobić? I co z tego będziesz miał ty, elf?

— Człowiek, Grancie Giennadijewiczu. Przecież mówię: wśród ludzi nie ma już orków i elfów. Mamy wspólny problem. Wydaje mi się nawet, że to ty mi te słowa wielokrotnie powtarzałeś. Ze sto razy chyba...

Widzę: Grant się zawstydził. Trzeba go zrozumieć — nie widzi perspektyw. Jak każdy nasz miejscowy ork, mający pojęcie o swoich korzeniach, nienawidzi irrheińskich elfów. Ale... Jako dowolny mądry i świadomy ziemski ork, biedak po prostu nie wierzy, że elfy można zwyciężyć. Smutne to, ale z reguły tak właśnie jest. Fantastyczne osiągnięcia orków w Irrheinie niczego nie dowodzą — w ziemskich warunkach elfy mają potworną przewagę. Żeby jakkolwiek zmienić rozkład sił, orki musiałyby przerzucić na Ziemię tysiące wojowników. Których powinna witać Pod strefą przejścia setka doświadczonych magów, żeby nowoprzybyłych nie przenicowało do utraty osobowości. Tylko jak to zrobić? Strefy przejścia są zablokowane, a i magów mogą orki wystawić co najwyżej pięciu, no, może dziesięciu. Może coś przeoczyliśmy lub czegoś nie wiem? Ale Grant wie. Pewnie zna wszystkie szczegóły.

W związku z tym, jeśli on uważa, że nic nie można zrobić, to tak jest. Za pół roku elfy pojawią się na Ziemi niczym tatarska orda i zaprowadzą własny, idealny porządek. Prawdziwie elfi.

Nie mam pojęcia, jakie formy przybierze ten ład. Ale skoro ja, z pochodzenia trochę elf, boję się go na wyrost,...

— Może już jestem za stary — wzdycha Grant. — Może zmądrzałem?

— No to pomóż młodemu i głupiemu. Zrób mi dobrą truciznę.

— Nie wolno! Ten doping, którym się obecnie posługujesz, to dla twojej osoby maks. Mocniejsze preparaty po prostu cię spalą. Każda minuta spali miesiąc twego życia!

— Będę więc musiał działać szybko — powiadam.

— Słuchaj, Grancie Giennadijewiczu, nie masz czegoś do szamania?

— Ależ z ciebie dureń... — cedzi Grant przez zęby.

— Dima, jest mi po prostu wstyd, że byłem twoim nauczycielem.

Gadaj zdrow! Przecież widzę, że w głębi duszy facet jest ze mnie dumny.

Jesteśmy ludźmi, ludźmi. Ziemianami. A wy mówicie — elfy, orki, zastarzała nienawiść, nie kończąca się wojna...

Chociaż nie, to ja tak bez przerwy twierdziłem. Moja wina to wpływ wychowania. Więcej nie będę.

A poza tym nie zadzwonię do Maga. Niech go sz-szlag!

\* \* \*

Po dokonaniu lekkiego wypadu na lodówkę, otrzymawszy jakąś piekielną mieszaninę — a przyjęcia forsy Grant kategorycznie odmówił — wychodzę na ulicę i rozumiem, że do domu wcale mi się nie chce. Czy to wiadomo, co tam czeka... Długo się zastanawiam i w końcu ryzykuję telefon do Wifki. Może nie najmądrzejsze wyjście, ale boję się, że mogę coś przegapić. Na przykład jestem poszukiwany.

— Gdzie jesteś? — pyta. — Dlaczego z komórki?

— Wyszedłem do sklepu po piwo. Poza tym siedzę domu. Wykonuję polecenie. Długo mam tu jeszcze zalegać?

— Nie mam pojęcia. Już oddałem cię z powrotem Igorowi.

— Niech on ci powie — i słuchawkę, dup. Zajęte panisko. Dobra, Igor to Igor.

— Gdzie jesteś? — pyta Igor. Tak samo gwałtownie i niecierpliwie, jak wcześniej Wit'ca. Jakbym był namolną muchą. No — no. Znowu kituję o sklepie.

— No i leż sobie w domu — mamroce Igor. — Chciałeś urlop? No to masz. Dokładnie miesiąc. Księgowość już ci przelała wypłatę. To tyle, odpoczywaj!

— Czekaj! — krzyczę. — Chwila! A dlaczego mam w domu zalegać? Mogę do Turcji wyskoczyć?

— Nawet do dupy możesz! Nie jesteś tu teraz zupełnie potrzebny. Za miesiąc będzie robótka z twojej specjalizacji, a na razie spocznij, wolny!

Wolny, to wolny. Dzwonię do Liochy z Andriuchą. Odbiera Andriej.

— Cześć — mówię. — Nie obraziłeś się?

— Cha... Dzięki, że nie zatłukłeś.

— Co tam w Firmie?

— Tak sobie... — ścisza głos. — Przygotowujemy się do przyjęcia kupy gości. Sam rozumiesz, adaptacja, rozśrod — kowanie...

— Kiedy?

— Gdzieś tak za miesiąc, półtora.

— Mogę się z wami zobaczyć dzisiaj? I to możliwie szybko?

Półtorej godziny później, gdy siedzimy w niezbyt czystej piwiarni, zadaję najważniejsze dzisiaj pytanie:

— Co wiecie o Elvenie Archerze, chłopcy?

— Nic — odpowiada Liocha. — To znaczy nic ponad to, co powiedział nam Wania Mag. Tak sobie myślę, że w kierownictwie Firmy o jego misji ma pojęcie tylko główny irrheiński kurator. Wygląda mi, że te... e-e-e... wakaty, które Archer otwiera, będą zastępowane przez Irrheńczyków bezpośrednio, bez naszego udziału. Nie ufają Mieszkańcom półkwi.

— A ci półkwi nie ufają „ćwiarteczkom” — dodaję — Czy?...

— Czy. Gdybyśmy ci nie ufali...

— W takim razie proponuję coś takiego, panowie. Idziecie ze mną wieczorem do Archera?

— Załatwimy go?

— Niekoniecznie. W zależności od okoliczności. Klirycy wymieniają spojrzenia.

— Jakie mogą być okoliczności? — dziwi się Liocha.

— Albo on ciebie, albo ty jego. Czy, może, zamierzasz się z nim dogadywać? Źle znasz elfy, kolego. One nie idą na żadne układy, z nikim. I nigdy.

— Zrozum taką rzecz — wcina się Andriej. — My nie to, że tchórzymy, nie. Ale jeśli nie dasz rady... Krótka rzecz ujmując, tylko my potrafimy doprowadzić do stanu nieużywalności Rumaki Irumana. Jakaś część Irrheńczyków i tak się tu przedostanie, ale konie już nie wrócą.

Słucham Andriuchy i widzę, że się potwornie myli. Inaczej — podbija swoją cenę. Przy cenie startowej — zero kopiejek. Żeby Rumaki Irumana nie wróciły do domu, wystarczy nie witać ich przy strefie przejścia. Kaput, przenicuje koniki, gdy tylko jeźdźcy zeskoczą z siodeł. Jak zapewniał Wit'ka, przenicuje w zwyczajne konie. Ładne miejscowe zwierzęta, które już nie będą w stanie przeskakiwać ze świata do świata.

A irrheińscy magowie, którzy mogliby coś na to poradzić, jako pierwsi nie skoczą na Ziemię, tylko będą osłaniali odwrót. Najpierw puszcza kobiety i dzieci. Przynajmniej w tym nasi



przodkowie są całkowicie podobni do ludzi. Chyba tylko w tym.

„Doprowadzić do stanu nieużyteczności Rumaki Irumana” oznacza w tłumaczeniu na nasze, „zostawić dla siebie”. Znaczy to, że drzwi do Irrheinu nie zamkną się na zawsze. Wcześniej czy później ktoś odczaruje koniki — i hajda. Po co? Czego stamtąd potrzebujemy? Magii? Obejdziemy się bez niej. Nienawiści, okrucieństwa bestialstwa? Mamy swojego aż nadto. Pięknych kobitek I takie się znajdują, nawet ładniejsze.

— Ta—a—ak — mówię. — Rozumiem. Dobrze. A coś niewielkiego dla mnie możecie zrobić? Nie chciałbym ujawnić się już na podejściu do hotelu. A jeszcze bardziej nie chce mi się tam pchać niepotrzebnie. Po przyjaźni — możecie macać z daleka pokój Archera. Zobaczcie, czy siedzi tam elf, czyjego hologram. Co? Nie będzie wiedział, kto właściwie go obmacuje, w końcu orki też to umieją, chociażby nasz znajomy Zacepin.

— Dimoczka, a dlaczego nie poprosisz właśnie tego Zacepina? Na przykład.

Zesztywniałem wewnętrznie i to chyba odbiło się na twarzy.

— My też nie chcemy ujawniać się na podejściu — przymilnie wyjaśnia Andriej. — Na podejściu do rumaków i całej tej reszty. Ty masz swoją misję, my swoją.

— Nie obrażaj się niepotrzebnie, Dimon — uśmiecha się Liocha. — Musisz przyznać, że zachowujemy się rozsądnie. Nie możemy ryzykować. Ty się kręcisz po peryferiach Firmy, a my siedzimy w samym, że tak powiem, oku cyklonu. Tak więc — powodzenia.

— Okay — mówię bardzo spokojnie, wstając od stołu. — Okay, mądrale. Cóż... Do diabła z wami, i czekajcie na telefon.

— Powodzenia — rzuca Liocha w kierunku moich pleców.

Przyjacielami się nazywają. Co tam, jakiś sam, tacy i twoi druhowie.

Nie ma problemu ze znalezieniem Zacepina — po prostu dzwonię do Maga i mówię:

— Daj no mi maga. Nie siebie, a tego prawdziwego.

Mag złości się za takie gadanie, ale Sierioję daje.

Żyje jeszcze nasz Mag.

Zacepin struga durnia, że niby nie rozumie, czego od niego chce. Klnę go na czym świat stoi i żądam bezwarunkowego podporządkowania. Zabójstwo smoka mu przypominam i ówczesną swoją dobrą wolę. Poza tym grozę, Ee poskarżę się Grantowi. Sierioja, głosem idącego na własny pogrzeb osobnika, obiecuje zrobić wszystko, czego chce.

Teraz powinienem gdzieś się zamelinować, żeby zażyć preparat i przeżyć moment przyswojenia. Jeśli się przyswoi, oczywiście. Co tam Grant powiedział — miesiąc za minutę? Do dupy. Obawiam się, że na Archera stracę co najmniej godzinę. Co nam wychodzi... Pięć lat życia — w P-pireneje?!

Trudno, może kłamał.

Może to i dziwne, ale najbliższe hotelu „Prezydent” znane mi lokum, to stanowisko pracy tej orczej kurewki. Dobrze, że zapamiętałem adres.

— Kto tam? — pyta, a ja od razu ładnie ją charmuję bezpośrednio przez drzwi. To mój własny wynalazek, know — how, elfy tak nie potrafią. Ale w ich ojczyźnie nie ma nawet drzwi, tylko same portiery. Idiotyczna tradycja.

Dziewucha dopiero co wypuściła klienta. Widać to po zmęczonym pyszczku i po tym, że pali teraz gandzię. Ale ja czuję — dopiero co był tu jakiś bardzo nieprzyjemny mężczyzna. Spocony i niemyty. O tak, ohydny uprawiasz zawód. Gorszy niż mój.

— Idź sobie pospać, tam na kanapie — powiadam do niej. Posłusznie gasi swojego skręta, kładzie się i migiem wyłącza. Znajduję i wyłączam telefon. Na drzwi nakładam lekką „skrętkę”. W łazience — to pamiętam — jest stosunkowo czysto. Dlatego rozbieram się i szybko biorę prysznic. Idę do sypialni. Na łóżku diabli wiedzą co. Koszmar jakiś, nie pościel. Zrzucam wszystko na

podłogę, walę się na wznak, sypię do ust proszek.

To cholera nie tyle łamie i wykręca, co po prostu mnie zgównia. Niby zwyczajna sprawa, ale i tak czuję ciarki na skórze. Najgorsze, że nie mogę potem choćby na krótko się kimnąć, będę musiał szybko się poderwać i rzucić na łeb, na szyję w awanturę. Co oznacza, że dzikie fantasmagorie nie staną się tylko wspomnieniami koszmaru sennego, a zostaną ze mną na zawsze.

Tym razem majaki są naprawdę dzikie. Jakby moja świadomość przebiła barierę między Ziemią i Irrheinem i wpadła do maszynki do mielenia mięsa. Orki podeszły do posiadłości w niewielkiej przytulnej dolinie. Najpierw zobaczyłem w najdrobniejszych szczegółach, jak gospodarze zarzynają niewolników, by ci nie wbili im noża w plecy. Ptem pokazano mi szturm umocnień — w najmniejszych, rzecz jasna, perspektywach. A potem odbyła się egzekucja jeńców, i szczególnie uciészny był widok tłukących głowami dzieci obszarnika o kamienie. Takie one są dobre, te orki.

Dużo jeszcze się działo w tych moich majakach. Dobre jedynie to, że na dwuwymiarowym tylko ekranie. Po prostu koszmarnie naturalistyczny, dokumentalny film. Piękna sprawa — leżysz sobie, patrzysz na sufit jak na ekran i myślisz, za co ta kara, za co? Przecież oczy mam zamknięte... A z brzegów ekranu w tym czasie kapie błękitna smocza krew.

I już pod sam koniec, kiedy ekran zaczął gasnąć i uznałem, że już koniec, i że jeszcze nie zeświruję tym razem, do pokoju wszedł jakiś facet z poderżniętym gardłem.

Nie zabijałem nigdy ludzi. Dużo różnych rzeczy robiłem dla Firmy, ale nie zabijałem. Ale tego człowieka poznałem natychmiast. I uwierzyłem: raz zabiłem. Jednak zabiłem. Ni z tego, ni z owego — zarżnąłem. Po pijaku zatarłem jego widok w pamięci, żeby sumienie mnie nie męczyło. Ale oto sam się przede mną pojawił. Widać postanowił mi pokazać: dograłeś się, chłopie. Z jakim przestajesz, taki się stajesz. Trochę od tych bierzesz, trochę od drugih.

Jedna pocięchą — facet był z gatunku tych, co to im ktoś sprzeda kosę wcześniej czy później.

W końcu przedstawienie jakoś się tam skończyło. Spęłam z łóżka, ubieram się trzęsącymi rękami, wydaję z kieszeni telefon. Ze słuchawki wylażą pająki i karaluchy. Strząsam. Dalej wylażą. Ignoruję. Gina. Dzwonię do Sieriogi i mówię:

— Zacepin, nie rozłączaj się od razu, chcę posłuchać.

— Jest w pokoju — melduje Sierioga. — Co? W jakim sensie posłuchać?

— Dzięki, już wystarczy. Czekaj.

Rzeczywiście chciałem posłuchać jego głosu, żeby przekonać się, czy nie znajduje się Zacepin pod kontrola innego maga. Wcześniej by mi coś takiego do głowy nie przyszło. Ale wcześniej nie byłem taki, jak teraz.

Wszemchnocny. No, prawie.

Twardym, pewnym krokiem wychodzę na ulicę i przekonuję się, że wszystko widzę, słyszę, czuję. Wszystko mogę zmienić. Świat leży u moich stóp. Oto co znaczy być prawdziwym magiem bojowym. Niby nic szczególnego — po prostu wolność. W końcu. Jedyna w swym rodzaju najprawdziwsza wolność... Ćwiartka elfiej krwi jakby rozplęnęła się po całym ciele, aż po opuszki palców i pewnie nim kieruje. Tak, po cichu wyżera mnie od środka, ale za to co za moc! Elven Archer będzie bardzo zdziwiony. Żeby mi tylko uwierzył.

Nie muszę łapać samochodu — o sto metrów od siebie zahaczam go wzrokiem i cumuję przed sobą. Siadam na tylną kanapę, podaję adres, wydaję pistolet, zmieniam magazynek na dłuższy. Mam tylko jeden taki, ale miejmy nadzieję, że trzydzieści trzy pociski na Archera wystarczy. Jeśli nie, to i tak nie będzie czasu na przeładowywanie. Mag o kunszcie Archera, grandmaster, nawet z wyprutymi flakami może jeszcze trochę pociągnąć, przynajmniej tyle, by zabrać i mnie na tamten świat... Wkładam pistolet do kabury. Z takim patentem, sterczącym z rękojeści, nie ma jak go ukryć. Ale też i nie trzeba. Archer na pewno już od dawna pracuje na Ziemi i świetnie wie, jak działa ziemski broń. Mogę wejść do pokoju z lufą wycelowaną w brzuchol elfa, a i tak zglebi mnie

szybciej, niż zdążę nacisnąć spust do strzału. Szczególnie, że we wszystkich odmianach glocka, trzeba spust naciskać do oporu. Przepędzam smutne myśli — pocieszam się, że mam świetny pistolet. Znakomity sztylet. I sam jestem wspaniały.

Głupio by było dziś zginąć. Kto powiedział, że lepiej umrzeć jako wolny człowiek, niż żyć jako niewolnik? Pewnie jakiś ork. Marzył tylko o wolności. Ale nigdy tak naprawdę jej nie poczuł. Nie czuł całym ciałem, jak ja teraz. W sobie.

Zacepina widzę z daleka i posyłam ku niemu niemal nie wyczuwalny sygnał myślowy. Sierioğa odwraca się w moją stronę, kiwa głową — znaczy, klient ciągle jeszcze siedzi w pokoju — i natychmiast wskakuje do swojego auta. Oto i „Prezydent”. Moje piętro — dziesiąte.

Wykrywacz metali przy wejściu. Brzęczy. Osobista wizja — Już zamierzałem trochę zacharmować ochronę, ale oni pokazują, że mogą przechodzić. Ależ jestem mocny! Świetnie. Wcale nie potrzebuję, by Archer wyniuchał magiczną aktywność. Nawet nie mogę przygotować do aktywizacji żadnych spelli — zaraz wyczuje. Winda. Jadę. Show się zaczyna. Bohater — na scenę!

Na piętrze dla VIP — ów nieprzyzwoity aż luksus zadziwia i poraża już w hallu przy windzie. Ciekawe, co w takim razie jest w pokojach? Witają mnie dwa barczyste łebasy o dość nieprzyjemnej aparycji. Jeden trzyma ręczny wykrywacz metali. Pech. Wy, chłopaki, nawet nie podejdziecie do mnie z tym patentem. Ja dziś jestem taki fest, że siła mi z uszu tryska.

— Jest pan umówiony?

— Ja do pana Archera. Proszę przekazać, że przybył mag bojowy.

— Jak, przepraszam?

— Mag. Bojowy.

Odsuwają się i wymieniają spojrzenia. W końcu wycofują się korytarzem. Stoję nieruchomo, patrzę przed siebie, w głowie pustka. Jeśli Archer mnie przeskanuje, nie powinien być zaniepokojony. Powinien być zaintrygowany.

Nagle w nieruchomym — powietrzu wyczuwam lekki wiaterek. Jakby niewidzialna dłoń głaszcze moje ciało. Zmieniam się pod naciskiem tej dłoni w pustkę, w nic — niech elf doceni, jaki ze mnie mistrz. On mnie sonduje, a ja sobie stoję i myślę, że Battle Mage to dobre miano dla bojowego maga. Identico jak Alven Archer dla elfiego łucznika. Stoję sobie, oddycham spokojnie. Mija cała wieczność.

Zza rogu wyłania się ochroniarz, wykonuje dłonią zapraszający gest. Idę. Otwiera przede mną drzwi.

— Proszę.

— Dziękuję.

Mamuniu, co za pokój! Drzwi jest cała masa! Salon jak boisko do futbolu. Nawet Archer w takich gabarytach się nieco zaciera, choć to facet raczej widoczny z daleka. Szczupły, na oko około pięćdziesiątki, siwowłosy, klasyczne elfie oblicze z tym ich, elfim, pogardliwo–ironicznym wyrazem. Przenikliwe spojrzenie urodzonego zbrojaka.

Siedzi sobie, noga na nodze, w głębokim fotelu i teraz już nie leciuteńko i delikatnie, a na całego sonduje mnie na wylot. O! Drgnęło mu oko, widać broń wyczał. Wolno idę w jego kierunku, staram się ani gestem, ani spojrzeniem nie wyglądać na niebezpiecznego. Dziesięć metrów. Pięć. Dwa. Dość.

Elf lekko uśmiecha się. Cóż, to oznacza, że udało mi się wyrzucić na nim wrażenie. Zakładałem, że spotka mnie chłodniejsze przyjęcie.

— Słucham? — pyta Archer. Zazdroszczę mu, gadzinie, nie musi się uczyć języków. — Czym mogę służyć?

Pomyliłem się. Przyjęcie jest lodowate. To było tylko umówione hasło. Błyskawicznie otwierają się drzwi i po obu moich stronach stają osobnicy z pistoletami w rękę.

Naprawdę piekielna jest ta mieszanka Granta — dopiero teraz rozumiem, jaką daje moc i jak mnie zmieniła. Ponieważ udało mi się nawet nie drgnąć. Wiem swoje: nie zdążą. Oni. Liocha z Andriuchą. Mądre chłopaki.

— Wybacz nam, kolego — rzuca Liocha protekcjonalnie. — Myśmy z Andriuchą trochę tego... Zmieniliśmy zdanie.

Archer uśmiecha się przez cały czas. Bezczelnie puszcza do niego oko i robię to, czego przed zażyciem piekielnej mieszanki nie dałbym rady. Bez żadnego przygotowania walę w swoich kolegów „stanem”, przy tym selektywnie, w palce dłoni. Patrzę przy tym tylko na Archera. Chłopcy wyją, lufy padają na podłogę. Przesuwam pistolety do stóp elfa, Mieszkańców ciskam w kąty, gdzie padają całkowicie już sparaliżowani. I z wyłączoną świadomością, żeby nie podsłuchiwali. Oto, jaki dziś ze mnie kozak. Zero ruchu, zero dźwięku, tylko mrugnąłem kilka razy. Normalny człowiek tak nie da rady. Ma rację Grant, zapłacę za ten show kilkoma latami życia.

Archer też się nie poruszył ani razu. Po prostu obserwuje.

— Czy mogę coś powiedzieć, panie?

— Spróbuj.

— Mam na imię Dimitrij. Przyszedłem do ciebie z prośbą.

— I z bronią.

— Jeśli cię to niepokoi, to mogę zostawić ją ochronie.

— Nie bądź bezczelny, chłopczyku.

— Wybacz, mój panie. Ja po prostu przywykłem do swojej broni, kocham ją i nie powierzam w niegodne ręce nawet na przechowanie.

Dobrze mówię. Po elfiemu. Archerowi to się podoba — wskazuje na fotel obok siebie. Siadam.

— Słucham? — powtarza elf.

— Panie mój, jestem pracownikiem Firmy. Niestety, pracownikiem w niełasce. W ostatnich latach Firma na wszelkie możliwe sposoby poniżała i nawet mnie odpychała. Nie dawano mi możliwości kształcenia się. Na przykład, zakazano mi wyjazdu na dodatkowy staż do Ir — rheinu. Dziwna polityka — przecież, biorąc pod uwagę całokształt mojej wiedzy, jestem najlepszym bojowym magiem wśród urodzonych na Ziemi...

— Co nieco potrafisz — przerywa mi Archer. — Jak na „ćwiarteczka” całkiem nieźle. I czego w związku z tym chcesz?

— Czy mogę dokończyć, za przyzwoleniem?

— Bezczelny. Dobrze, ale bacz, byś nie nadużył mojej cierpliwości.

— Nawet o tym nie myślałem, panie mój.

— Możesz po prostu „mister Archer” albo „sir”.

— Tak, sir. Zdarzyło się tak, że o mojej niepewnej sytuacji w Firmie dowiedziały się tutejsze orki. Sądząc, że maga w niełasce łatwo będzie skłonić do zdrady, zaproponowali mi, żebym cię zabił.

Archer tylko prycha. Liocha z Andriuchą pewnie wszystko mu opowiedzieli. Opowiadam dalej.

— Pokazano mi zdjęcie zlikwidowanych przez ciebie, sir, orków, a wynikało z niego, jakiej rangi jesteś specjalistą. Przecież mam honor zwracać się do grandmastera sir...

— Do pełnego grandmastera — cedzi wyniośle Archer. — Zresztą, tacy jak ty, zazwyczaj nie widzą różnicy.

— ...I zrozumiałem, że to moja jedyna szansa. Proszę tego nie zrozumieć jako brak szacunku, sir! Proszę wziąć mnie na pomocnika. Pracując pod twoim kierownictwem będę mógł służyć niezrównanemu...

Archer rechoce. Ale, chyba, trochę się odprężył.

— Przecież, sir, wiadomo jak ważne dla ucznia mieć prawdziwego... — mamrocę coś, co mnie poniża w jego oczach jeszcze bardziej, Archer czuje się coraz pewniej. Elf widzi przed sobą tylko zwyczajnego kolejnego kundelka. Utalentowanego, mocnego, ale nic ponad godnego wzdargy zdracę. Kandydat na rozkurz.

— Słuchaj no, ty! — mówi. — Tu są setki chętnych, podobnych tobie. Ot, chociażby ci dwaj.

— Ale ja jestem silniejszy od nich, sir. Będę lepiej ci służył.

— Owszem, jesteś silniejszy. Ale wam, Mieszkańcom, zawsze brakuje wyrafinowania. Z ciebie, chłopczyku, nigdy nie wyrośnie prawdziwy bojowy mag. Ty, „ćwiarteczku”, po prostu musisz się z tym pogodzić. Ale tego nie potrafisz. Prócz wszystkich innych cech, rozpiera cię jeszcze buta. A to znaczy, że nie jesteś elastyczny. Po co mi taki pomocnik, a tym bardziej — uczeń?

Opuszczam wzrok, rumienię się ze wstydu. A sam myślę: znamy te sztuczki. Ta efia zawieszona wyniosłość. Ustawianie petenta w gnoju. Pewnie, jeszcze nie jestem czeladnikiem sir Archera, ale kandydatem na to stanowisko. Kwarteron, który miotał Mieszkańcami półkwi. Anormalny przypadek, z którego nie należy rezygnować. Gdybym się mylił, to Archer już dawno by mnie posłał w cholerę. Elfy nie strzegą języka po próżnicy z „ćwiarteczkami”.

— Nawiasem mówiąc, kiedy ostatni raz byłeś w Irrheinie? — pyta nagle elf.

— Trzy lata temu. A potem mi nie pozwalano...

— Pokaż nóż — rozkazuje Archer.

Jestem trochę zdziwiony. Na poważnie. Proszę, oto nóż.

— Wiedziałem — śmieje się pogardliwie elf, ważąc dłoni moją zabawkę, radość moich oczu. Starannie bada ostrze. — Teraz już wiem, kim jesteś. Kowal długo się potem śmiał z ciebie.

Aha! Mam szczęście. Wpadł elf.

— No... — mamrocę skonfundowany. — Tym niemniej, wykuł je.

— Głupi nóż — oświadcza Archer, ale jakoś nie może rozstać się z kosą. Przymierza do ręki. Nie może pojąć, dlaczego ta rzecz tak mu się podoba. Jesteście dupkami, elfy. W jakimś sensie nawet bardziej tępymi od orków. Nic dziwnego, że was przycisnęli. — Zupełnie idiotyczny. I balans kiepski.

— Przepraszam, sir, możliwe, że trochę zakłóciłem balans, kiedy na nowo oplatałem rękojeść. Co by nie mówić — stalowa linka...

— A co ty mi tu... Tu jest błąd, w samym założeniu! — Archer podpalił się nie na żarty. Elfy są po prostu chore na punkcie białej broni, i w tym można ich zrozumieć. Archer ciska mi nóż w twarz. A ja z kolei taki jestem napakowany tym stymulatorem, że z łatwością chwytam nóż w powietrzu tuż przed swoim nosem. Wpadłeś, elfie, wpadłeś! Chciałeś mnie ocenić, jak szybko się uchylę. Sprawdzian refleksu. Test dla potencjalnego ucznia. A uczeń nie zrobił uniku. I co, zatkało kakao?

— Bardzo wygodny jest odwrotny chwyt — pokazuję, jak najlepiej trzyma się mój nóż. — Proszę zwrócić uwagę na końcówkę do uderzeń, sir!

Teraz, to jest decydująca chwila. Elfy nożami tylko tną, ostrzem od siebie. Albo Archer podrze tupeciarza na kawałki... Albo nie podrze. Co będzie znaczyło, że bierze mnie do terminu. Na pewno zaskoczyłem go chwytając nóż. Nawet mu się to spodobało.

— Nie, no zobaczcie tylko, odwrotny chwyt! — oburza się elf. — Tak trzymają broń tylko idioci i dzikusy! Zaraz Ci pokażę! Zaraz ci pokażę jedno uderzenie i zapomnisz o odwrotnym chwycie do końca swoich dni!

Archer zrywa się, odwraca do mnie plecami i niemal biegnie do najbliższych drzwi. Ciskam nóż pod nogi, a ten bezgłośnie uderza w gruby włochaty dywan.

Zabawne — przecież do tej chwili jeszcze niczego tak do końca nie zdecydowałem. Mam jeszcze wybór. Pewnie podziałało to, jak się poniżałem przed Archerem i ton jakim mi odpowiadał.

Mniej więcej w takim stylu komunikował się ze mną mój irrheiński nauczyciel. Dobrze że nie był Archerem.

Mam jeszcze wybór, póki moja ręka sięga po pistolet. Jeszcze jest jakaś szansa wyboru, póki rozpędzają się do pełnej mocy moje rezerwy — przecież nie mogę teraz kastować obrony. Mogę jeszcze nie wkraczać na wojenną ścieżkę, póki celownik przesuwają się ku plecóm Archera.

I nie pozostaje mi żaden wybór w chwili, kiedy do Archera dociera: oszukano go. Nawet gorzej: zdradzono. Przez ten czas — krótszy niż sekunda — jeszcze wątpił, jeszcze nie chciał wierzyć, że trzymam w ręku pistolet. Czekał na kastowanie pół ochronnych. Myślał, że mu się przywidziało. I w tym momencie lufa wpiła się czarnym okiem w jego krzyż.

Strzelamy jednocześnie, ja — pociskiem, on — błyskawicą, która wylatuje mu spomiędzy łopatek. Błyskawica uderza mnie w czoło i wpada gdzieś do wnętrza. Niemal jej nie czuję. Archer nie chciał tracić na mnie zbyt wiele sił, błyskawica jest za słaba. A ja dziś, nie jak zwykle, jestem szczodry.

Wsadzam elfowi w kręgosłup około dwudziestu pocisków, z Archera walą strzepy i orze nosem w dywanie przez cały salon. Podrywam się, podbiegam bliżej i resztą pocisków rozwalam mu głowę na miążgę. Jest! I w końcu mogę normalnie kastować. W tym pomieszczeniu jest znakomita izolacja dźwiękowa, ale lepiej przesadzić. Nakładam najmocniejszy z możliwych charm na całe trzy piętra. I walę się na podłogę.

Błyskawica skacze wewnątrz mego ciała; raz jest w piętach, raz w sercu, a wszędzie sprawia mi okropny ból. Moim zdaniem nie jest niebezpieczna, jestem w tej chwili cholernie mocny, po prostu żądli mnie, ale nie może zranić. Tylko okrutnie boli, chyba mi nawet włosy dęba stają. Turlam się po dywanie z dzikim rykiem i staram się wydrzeć tę zarazę z siebie. I praktycznie zdekapitowany i podziurawiony na sito Archer jeszcze się konwulsyjnie miota. Dodam od siebie że jest to widok ohydny. Przypadkiem trafiam na to zamglonymi z bólu oczami, i zaczynam rzygać. Ponieważ ciągle jeszcze turlam się po podłodze, możecie sobie wyobrazić, do czego stają się podobny.

Po trzydziestu sekundach puszcza trochę. Po pierwsze, dopełzam do swojego pistoletu, raczej instynktownie niż świadomie. Ciągle jeszcze boję się Archera. Jego ciało znieruchomiało w dziwnej pozycji, jakby usiłował wstać, opierając się na stopach i na tym, co zostało z głowy. Nadto rozlał się w powietrzu i teraz wolno gaśnie zimny blask. Chwytam pistolet, ale w pole widzenia wpadają mi ręce, a potem reszta mnie... Ubranie skotłowane, przerażająco brudne, a na piersi podarte w strzepy. To tędy wyszarpywałem błyskawicę na zewnątrz. Fuj...

Nieoczekiwanie napada mnie kretyński śmiech. Potem rechot. Leżę na plecach i dziko rechocę. Histeria. Potem przechodzę do lekkiego zamroczenia — „odpuszcza” stymulator, przechajcowawszy odpowiedni czas. I przez jakiś czas działałem jak we mgle.

Półelfy leżą w kątach i nie ruszają się. No, jeszcze trochę sobie tak poleżą. Szkoda, że nie mogę wsunąć któremuś do ręki swojego glocka, wezwać gliny i zwiąć. Jestem w tej chwili taki słaby, że może uda mi się jakoś zacharmować ochronę hotelową, ale skasować z ich pamięci swoją fizys — niestety nie. Poza tym mój udział w tej rzezi jest aż nadto oczywisty. Przy tym raczej się powieszę, niż oddam swoją broń. Przyzwyczyłem się do niej, kocham ją i nie powierzam w niegodne ręce nawet na przechowanie.

Krótko mówiąc, wstąpiłem na ścieżkę wojenną. Wykopałem tomahawk, żeby ścinać łąby wszelkiego rodzaju elfim łucznikom. I elfim magom. Nie ma tu za cholere dla nich miejsca. Miejscowe orki prędzej czy Później się zasymilują. I wtedy ludzkość wreszcie ruszy swoją własną drogą.

Ja tego nie dożyję. Ale to mój wybór.

Łazienka w apartamencie nieboszczyka Archera jest wspaniała. I nie wiadomo po co taka duża. Jakoś tam doprowadzam się do porządku. Ale i tak widok jest koszmarny. Liocha jest mojego

wzrostu, z trudem wytrząsam jego zdrewniałe ciało z ubrania. Przebieram się, zabieram swoją broń, chowam po kieszeniach, jeszcze raz odwiedzam łazienkę, żeby popatrzeć w lustro. Oczy dzikie. Powiedziałbym, że elfie. Patrę w nie i czuję; czegoś mi tu brakuje. Jasne. Wyjmuję paczuszkę ze stymulatorem. Zązywam działkę. I tym razem organizm przyswaja ją z łatwością, jak należy. Nic mnie nie gówni, w ogóle nic specjalnego się ze mną nie dzieje, tylko moc, niewiarygodna moc rozlewa się po żyłach. Nie fizyczna moc, tylko mentalna. Nie ma nic straszniejszego.

W porz-rzą-deczku! No, teraz można zarządzić małe święto, zabalować z lekka. Póki idę przez niekończący się sanitariat do drzwi prowadzących do salonu, oko moje spoczywa na muszli. Skomplikowana jakaś asocjacja prowadzi ni mniej, ni więcej, jak do Wani Maga. Sięgam po komórkę, wystukuję jego numer. Wania odzywa się od razu. Ciągle jeszcze żyje.

— Cześć — mówię — Magu.

— Och, jak tam twoje sprawy?

— Moje wspaniale. Twoje, nawiasem mówiąc, też.

— Oj, naprawdę?! Niemożliwe!

Jak dziecko, słowo daję.

— Słuchaj, Wania — mówię. — Natarłeś się już smoczą krwią?

— Nie, jeszcze nie... — Mag sapie i coś kręci.

— No i bardzo dobrze. Wylej ją do muszli.

— A co, zepsuła się już? — martwi się chciwy Wania.

— Nie, była taka od początku. Bo widzisz, Wania, zatrąłem ją.

— Co — o?! Jak?! Po... po... po co?! — Bo coś, kurna, nie lubię bandytów. No, bywaj zdrów.

Mag coś jeszcze błagalnie wrzeszczy do słuchawka ale rozłączam się.

W duszy panuje mi jasność, ciepło i nic mnie już nie martwi.

W przedpokoju wisi ogromne lustro i — przed wyjściem z apartamentu — staję przed nim i wpatruję się w odbicie.

No, niezłe te oczka! Elfie, jak pragnę podskoczyć.

Oczy absolutnie wolnego człowieka.

*tłum. Ewa i Eugeniusz Dębski*

## WILCZA KREW

### PROLOG

Wysokie trawy falowały na wietrze — ciężkie od soków, ciemne i gęste. Cierpki ziołowy aromat niemal wywoływał zawrót głowy.

Kimi — Polowy prowadził swój mały patrol deptaną setki razy ścieżką wzdłuż granicy, wzdłuż szeregu fladr. Po nocnej burzy należało zachować szczególną ostrożność, a przede wszystkim wrócić do stancy z niezachwianym przekonaniem, że żadna z fladr nie ucierpiała.

Kimi powinien był wrócić do domu miesiąc temu. Tak naprawdę, to powinien był zakończyć służbę jeszcze wcześniej, już na wiosnę. Kimi przygotowywał się do egzaminów wstępnych do szkoły inżynierskiej, noszącej imię jego dziadka, Artiego–Polowego. Ale egzaminy wstępne minęły, a służba trwała, nikt nie zamierzał demobilizować tego rocznika, mimo że w stancy pełno było kotów, niewprawnych, ale sumiennych, jak ci dwaj, co szli teraz za Kimim jak za Przewodnikiem — trop w trop.

Cała trójka śmierdziała dziegiem. Wszyscy troje pocili się w nasączonych specjalną mieszanką kombinezonach; zjadliwy fetor miał maskować ich własny zapach — na wypadek, gdyby linia fladr mimo wszystko uległa uszkodzeniu. Co prawda Kimi wiedział, że specyfik jest skuteczny tylko w trzydziestu procentach: wilki na ogół bez specjalnego trudu kojarzą woń kombinezonu z zapachem ofiary.

Wilki.

Dla tych dwóch, co maszerowali w tej chwili za nim było to po prostu słowo, od którego wiało grozą. Widzieli wilki tylko na szkółce, z daleka — przez lunetę.

Kimi też wcześniej nie widział z bliska prawdziwego wilka, ale trzy sezony spędzone w strażnicy pozwalały mu protekcyjnie myśleć o pierwszym roczniku...

Trawy kołysały się po obu stronach ścieżki. Z lewej strony, w odległości trzech wilczych susów (długo jeszcze będą mierzył odległość wilczymi skokami, pomyślał Kimi), ciągnął się częściowo zasypany rów, oznaczający granicę. A co sto kroków — wynalazek dziadka Kimiego, odstrasząca fladra, stawiająca wreszcie kres odwiecznej wojnie z wilkami.

Kimi bez trudu mógł wykręcić się od powołania. Ale matka powiedziała, że ich rodzina znajduje się na świeczniku. Że syn wielkiego Artiego — Polowego musi swoje odsłużyć.

Wiatr śmigał ponad polem, ciepły spokojny wiatr, w którego podmuchach stapały się tysiące zapachów — i zapach pyłków, i zapach kombinezonu, i specyficzna woń fladr. Wydawało się, że po czubkach trawy można by płynąć łódką, z tą tylko różnicą, że woda jest niebezpieczna, a ten zielony żywioł nie utopi, nie zdradzi.

Kimi obejrzał się na żołnierzy; ten niższy chciwie wietrzył. Wyższy, beczelnie żuł żdźbło i, sądząc po zielonym soku w kąciku ust, nie była to pierwsza przeżuta łodyga. Nie wolno, chciał powiedzieć Kimi, ale nic nie powiedział; dzisiejszy ranek nastrajał go wybitnie pokojowo. Rosa, wiatr, aromat ziół... A pierwsze roczniki, trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, są fatalnie karmione.

Tam, gdzie Kimi dorastał, zieloną trawę przywożono w brykietach, siostry nie uwierzą mu, kiedy opowie o tym zielonym soczystym żywiole...

Kimi drgnął i zwolnił.



Zatrzymał się, usiłując uświadomić sobie, co właściwe go zaniepokoiło.

Całe pokolenia jego przodków — dawno, setki lat temu tak samo zamierały pośród traw, nie potrafiąc określić, o się stało. A mgnienie oka później, nawet nie otrzymawszy odpowiedzi, rzucały się do ucieczki i niektórym udawało się uratować życie...

Zacisnąwszy zęby, Kimi stłumił chęć natychmiastowej ucieczki. Gestem nakazał kotom by znieruchomiały — sam wsłuchał się w ciszę, przyłożywszy do ramienia kuszę.

Pierwszorocznicy pewnie pomyśleli, że to element ćwiczeń albo jakiś rodzaj sprawdzianu, albo że dowódca po prostu szpanuje; kątem oka Kimi widział, że długi nie wypluł nawet z ust źdźbła. Wszystkie fladry, jak okiem sięgnąć, były sprawne, ich wiatraczki kręciły się na czubkach masztów, a to oznaczało, że ani stancy, ani patrolowi nic nie zagraża...

Żadne rowy, palisady, żadne armaty nie powstrzymują wilków tak niezawodnie, jak te okrągłe blaszane lejki, emitujące znany i zrozumiały wilkom sygnał niebezpieczeństwa. Tak tłumaczył to dziadek. Tak tłumaczono to dzieciakom w szkołach. Dokładnie to samo wbijano do głów poborowym podczas unitarki.

Pod naciskiem wiatru falowała trawa. Kimi niemal fizycznie odczuwał, jak spod ochronnej woni kombinezonu wycieka na zewnątrz jego własny zapach. Wycieka i rozplywa się nad polem.

— Wycofujemy się — uleciało z czubków jego warg. — W tył zwrot...

Trawka wypadła z ust drąga; koty cofnęły się, potem jednocześnie odwróciły się i pognały ścieżką z powrotem. Przez króciutką chwilę Kimi wyobrażał sobie, Jak wracają do stancy, przestraszeni, w przepoconych kombinezonach i meldują, że ich dowódca wystraszył się Jasnego cienia, i jak pół godziny po nich wraca Kimi — usiłujący zapaść się pod ziemię, ale jeszcze zachowujący resztki godności...

Drągał wysforował się przed kolegę. Ten niższy został z tyłu, potknął się, zarzucił na plecy przeszkadzającą w ucieczce kuszę...

Wiatr wywołał dwie fale — z prawej i z lewej strony ścieżki. Chwilę potem w powietrze wzbily się szare cienie.

Drągał zdołał krzyknąć. Ten niższy nie — głowa odpadła mu od tułowia, który jeszcze biegł chwilę, z zarzuconą na plecy kuszą. Po krótkiej chwili do Kimiego dotarł cichy chrzęst.

Po sekundzie na miejscu podwładnych Kimiego leżały dwa zakrwawione toboły; szarzy oprawcy szybko i, jakby z obrzydzeniem, zdzierali z ciał śmierzące kombinezony.

Ani jedna kusza nie wystrzeliła. Kimi stał z wysuniętą przed siebie bronią. W zupełnej ciszy — ucichł nawet wiatr — skrzypiały na masztach wiatraczki i trzeszczała darta zębami tkanina.

„My się wilka nie boimy!” — śpiewał kiedyś dziadek, podrzucając małego Kimiego pod sufit. „My się wilka nie boimy, od granicy przegonimy...”

Dziadek zmarł dwa lata temu.

Nie spuszczając z oka zajętych swoją robotą wilków, Kimi cofnął się o krok. Trzęsły mu się wargi, czuł się poniżony.

Tak bardzo wierzył w wynalazek dziadka.

Dziadek zdradził go. Wilki miały bać się fladr, a TE się nie bały.

Były ogromne, te szare cielska nad czubkami traw. Kimiemu wydawało się, że pod brzuchem największego z nich mógłby przejść, nawet się nie schylając, muskularne łapy kojarzyły się z drewnianymi słupami, na których stał dom babci Kimiego. Wilki pożerały jego towarzyszy, wydawało się, że wcale nie zauważają Kimiego; zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i wtedy ten z wilków, który był bliżej, uniósł pysk.

Miał uważne, wcale nie złe spojrzenie. Gdzie idziesz, mówiło to spojrzenie. Poczekaj, jeszcze nie skończyliśmy...

Kimi skamieniał. Wilk wrócił do uczt. Wiatr niósł nad polem zapachy pyłków i krwi; Kimi

cofnął się jeszcze o krok — i znowu napotkał spojrzenie wilczych oczu.

Pierwotny strach, panika właściwa ofierze stojącej przed obliczem głodnego drapieżnika napłynęła i upokarzająco łatwo wypłynęła z wyszkolonego ciała odruchy wojownika. Kimi cisnął w wilka kuszą i rzucił się do ucieczki. Wydawało mu się, że ucieka, że jeszcze biegnie — nawet wtedy, gdy ciężkie łapy przyjaźnie opadły mu na ramiona, a na gardle zwarły się...

## CZEŚĆ PIERWSZA

\* \* \*

— Tego jeszcze brakowało — wycedził Dym-Łakowy i cofnął się do podsieni.

Obok niego przemaszerował, dżgający na boki łokciami, wykrzykujący entuzjastyczne zawołania, pachnący pyłem i potem, tłum wielbicieli Diwy Donny — przemaszerował, najwidoczniej, na koncert. Nierówno podskakiwały wypłowiałe czapki z daszkami i z identycznym wizerunkiem milutkiej uśmiechniętej istotki:

— Nie bądź obojętnym! Nie bądź o-bo-jęt-nym! Nie stój z boku! To dotyczy również ciebie! To doty...

Dym odczekał, aż tłum zniknie za rogiem i dopiero wtedy odkleił się od chłodnej, pomalowanej kredą ściany.

Diwa Donna była odkryciem tego sezonu, sympatyczna i nie pozbawiona talentu panienka, samym tylko swoim wyglądem wywołująca u Dyma-Łakowego ataki rozdrażnienia. Najgorsze było to, że brzydził się samego siebie za to, że najchętniej rzuciłby teraz wszystko i ruszył za tłumem — żeby postać na placu, czując czyjś oddech na karku, żeby słuchać muzyki i zanurzyć się w tym poczuciu spokoju i bezpieczeństwa, które nigdzie poza zwartym towarzystwem współplemieńców nie powstaje. Zamiast tego Dyma czeka ciężka rozmowa, a potem nie mniej nieprzyjemny wieczór, po nim — bezsenna noc...

Na słupie z afiszami, obok portretu uśmiechniętej Diwy Donny, wisiała żółta płachta ulicznej gazety. Nieliczni przechodnie przelatywali spojrzeniem po niedbale wydrukowanych linijskich tekstu: „...wycięte w pień osiem stanic...”, „...zrujnowanych pięć wsi...”, „...zginęło najprawdopodobniej kilkaset osób, głównie spokojnych wieśniaków...”. Przechodnie szli dalej: pewnie teraz granica zostanie wreszcie umocniona. Może na krótko podrożeją warzywa.

Żeby uświadomić sobie prawdziwy stan rzeczy, nie trzeba było wchodzić w posiadanie tajnych wiadomości. Wystarczyło przeczytać ten komunikat — uważnie! — i przypomnieć sobie szkolną geografii. Teraz Dym nawet się cieszył, że nikt z rodaków nie dodał dwa do dwóch — przyjemniej jest słuchać Diwy Donny na placu, niż miotać się po mieście w panice...

Granica już nie istniała. Po zielonych, karmiących ludzi i zwierzęta stepach, jedną wielką falą szły wilki. Oczywiście, do stolicy nie dotrą dziś ani nie jutro, i nie pojutrze. Może wcale nie dojdą, może wystarczy im pożywienia w stepach i na łąkach... Ale za dwa dni, zamiast karawan z żywnością, do stolicy dotrą spanikowani uciekinierzy, strategicznych zapasów ziarna wystarczy na długo, a wtedy zaczną się najciekawsze.

Dym uniósł głowę, czując na sobie spojrzenie.

Cała gromada dzieciaków, głównie dziewczynek, przycisnęła się na płaskim dachu stojącego naprzeciwko domu, pośród zielonych łądyg małego górnego ogródka. Dym zmusił się do uśmiechu, ale jego uśmiech wystraszył tylko dzieciarnię. Towarzystwo wymieniło spojrzenia i czmychnęło, jakby zapadając się przez dach. Tylko łądygi kiwnęły się i znieruchomiały.

\* \* \*

*„Lider był pierwszym wśród równych; Lider pierwszy zadał sobie pytanie, skąd wzięli się jego współplemieńcy i po co istnieją. Lider nie znalazł na to odpowiedzi i poszedł po nią do Gospodarzy; ci odpowiedzieli na pierwszą część pytania, ale nie potrafili odpowiedzieć na drugą. Wtedy Lider zrozumiał, że Gospodarze nie znają odpowiedzi; wtedy pojął, że on i jego stado muszą sami szukać odpowiedzi...”*

*(„Opowieść o Liderze”)*

\* \* \*

— ...Nie warto się tak przejmować. Nic szczególnego się nie stanie, Dymku — przez ostatnie dziesięciolecie bardzośmy zadarli nosy. Rozmnożyliśmy się, uczymy nasze dzieci medycyny i inżynierii, podczas gdy urządzenia, bardziej złożone niż żuraw studzienny są nam potrzebne jak, wybacz, piąta noga... A rolę lekarzy i sanitariuszy w naszym świecie zawsze odgrywały — wiadomo kto.

Gospodarz domu przechadzał się po izbie boso, a jego twarde stopy stukały o wilgotne drewno — wilgotne, ponieważ Dym zastał starca podczas sprzątanía. Dom był ogromny — na setkę ludzi, posiadacz twardych pięt zorganizował sobie względną izolację przy pomocy dwóch płóciennych parawanów. W tej chwili za parawanami ganiały, bawiące się bez nadzoru dorosłych, dzieci.

Gospodarz cisnął szmatę do drewnianego wiadra, oplukał ręce nad umywalką, wytarł ręce o gęstą sierść na piersi — wijące się, śnieżnobiałe siwe włosy:

— Pewien mądrała wpadł na pomysł owych fladr, a dziesięciu innych mądrali wdrożyło ten pomysł... I co z tego? Zgódź się, Dym, to tylko wykręt losu, chytry zwód, który zdołał wszystkich nas wykiwać. Przez te pięćdziesiąt lat rozleniwiliśmy się, zgłupieliśmy, a wilki — wręcz przeciwnie. Wśród wilków przeżyły najsilniejsze osobniki, a wśród nas wyżyli przypadkowi. Oto ja, na przykład, stary cap — gospodarz uśmiechnął się. — Tym niemniej, koniec świata znowu się przesuwa, Dym. Nawet więcej — wszystko wróci do normy. My będziemy po staremu cieszyć się z życia, chyba że stanie się ono nieco krótsze... W sumie zyskają nie ci, co uciekną przed wilkami w pustynię i zdechną tam z głodu, a ci, co uciekną na kontrolowane przez wilki tereny — i kto będzie spacerował sobie w słońcu przez ograniczony, ale nie tak znowu krótki czas... Nie krótki, ponieważ po pierwszym wyłomie wilki długo będą syte. Tak to jest, Dymku, a jeśli przyszedłeś tu po to, by wypytać mnie o rowy, trucizny, kusze i wszelkie inne bzdury — trafiłeś pod zły adres.

Dym dotknął palcami wiszącą nad kwadratowym okienkiem ciężką ozdobę. Odpowiedziała niskim melodyjnym dzwonieniem — wisząca swobodnie metalowa łaza uderzyła we wzorzysty okrąg.

— Chciałem zapytać — wolno zaczął Dym — chciałem zapytać, dlaczego fladry przestały być skuteczne.

— Bzdura... Chciałeś zapytać, czym się pożywiały przez te wszystkie lata, skoro ich naturalne pożywienie nagle stało się całkowicie niedostępne... Po pierwsze, nawet w najbardziej spokojnych czasach na stanicach pełno było nieszczęśliwych wypadków. A to piorun maszt walił, a to wiatr albo po prostu młody głuptyś zszedł z trasy i pojawił się na niekontrolowanym przez fladry terenie... Przepraszam.

Dym zmilczał.

Nie, niepotrzebne są te przeprosiny. Przyzwyczaił się. Zna na wrywki tę statystykę przypadkowych ofiar. Bez przypadków nie można się na granicy obejść, czyli bez ofiar też nie.

Chwytnąc w garść węgiel, trzeba być przygotowanym na oparzenie; niech się więc przepali rękawiczka, byle ręka nie bolała. Wy jesteście naszymi pogranicznikami, wy jesteście rękawiczką cywilizacji...

Przemógł się. Znowu dotknął palcem ozdobę z złotego metalu:

— Chciałem zapytać, dlaczego przestały działać...

— ...A po drugie, jak sędzę, wilki swoich też pożerały. I tak stopniowo wyeliminowały wszystkich, którzy nadmiernie bali się fladr. A te, które się nie bały — początkowo mizerny procent! — rozmnożyły się i przyszły do nas. Chcesz sałaty?

I stary postawił przed Dymem kosz, wypełniony z czubem zielonymi liśćmi.

Dym pokręcił głową. Jego rozmówca zaczął przeżuwać liście ze smakowitym chrzęstem; Dym cierpliwie patrzył, jak je.

— Co mówią w Wysokim Domu? — zapytał staruch, nie przestając żuć.

— Mobilizacja. Wszyscy do walki z wilkami. Odnowią palisady dookoła osad, narobią nowych kusz...

Stary parsknął pogardliwie. Wyłowił z kosza nowy pęk liści:

— Walka z wilkami — co może być głupszego? Dobra, zamkną się za palisadami. Dobra, wytrzymają do głodowych spazmów. Dobra — wyjdą w pole z pochodniami. Podpalą kilka razy step... Problem polega na tym, że jesteśmy naturalnymi ofiarami wilków, pełnoprawnymi uczestnikami pokarmowego łańcucha, a z naturą nie ma co się zmagać... Stałeś kiedyś przed wilkiem? Ja stałem... Nic dziwnego, że chłopak, trafiający w tarczę dziesięć na dziesięć, na widok wilka na pewno spudłuje. Albo upuści pochodnię... To jest ponad nasze siły. To jest w naszej krwi.

Dym milczał.

— Ale w sumie nie jest tak źle, jak wygląda — powiedział starzec, nie przestając ruszać zuchwą. — Wilki nie zabijają dla przyjemności mordy, a dla zdobycia pożywienia. Skoro tak, to wszystkich nas nie zjedzą, ich żołądki mają ograniczoną pojemność... Więc mogłoby się wydawać, że żyj sobie, człowieku, w zgodzie z przyrodą, spaceruj i nie myśl o przyszłości — umierać wszak przyjdzie wcześniej czy później... Ale nie. Cywilizacja zagrożona, wyprodukujemy więcej kusz — stary prychnął pogardliwie, z ust wyprysnęło mu kilka małych zielonych strzępków.

— Gdyby nasi przodkowie też tak rozumowali, to nigdy nie wpadliby na pomysł z fladrami — powiedział Dym, strącając z rękawa nieprzeżuty kawałek liścia sałaty.

— A co z nich za pożytek? — zapytał, wcale nie wytracony z równowagi staruch, ani na sekundę nie przestając żuć. — Jaką wartość mają obecnie te twoje fladry, powiedzieć ci czy sam już wiesz?

Dym milczał. Pod oknami narastał zgielk — wielbiciele Diwy Donny wracali z koncertu. Odgłosy bębna i rytmiczne wycie dudalek przeplatały się z zaśpiewami: „Nie chcesz z nami spacerować, będziesz kiedyś tak żałować! Kto nie śpiewa z całą mocą, żyje nie wiadomo po co...”

— Stajemy się stadem — oświadczył zniesmaczony staruch.

— Jesteśmy rzeką — wolno powiedział Dym. — Rzeka płynie korytem, nie wsłuchując się w odgłosy poszczególnych kropeł... Według mnie to słuszne.

Stary zachichotał:

— Dziwne słowa... Czy pomyślałbym kiedyś, rękąc za antyspołecznego smarkacza, któremu groziło zesłanie za prowokujące zachowanie, że za dwadzieścia z hakiem lat ten smarkacz zacznie wygłaszać piękne słówka w obronie rodzinnego stada?

Dym wzruszył ramionami. Trzeci raz lekko dotknął dźwięcznej ozdoby.

— Wiem — powiedział stary nieoczekiwanie twardo i chłodno. — Wiem, jakie jest prawdziwe pytanie, z którym tu przyszedłeś. Dobrze postawione i dobrze świadczy o twojej pomysłowości.

— To jest prawdziwa rzecz — powiedział Dym, wpatrując się w miedziane wzory na okręgu ozdoby.

— To jest dzwoneczek — oświadczył stary, dziwnie akcentując słowa. — Dzwoneczek. Tak, to jest rzecz prawdziwa. To jest ICH rzecz.

— Powiedz — Dym zdecydował się w końcu, ale głos mu niemal całkowicie odmówił posłuszeństwa. — Znasz tych, którzy chadzali na ICH tereny i wrócili?

Starzec milczał chwilę. Potem oblizał wargi:

— W Wysokim Domu wiedzą, że przyszedłeś do mnie?

— Nikt mnie nie wysyłał — cicho odpowiedział Dym. — Przyszedłem, bo tak chciałem.

— Chcesz żyć — zrzędliwym tonem rzucił stary. — Żyć i nie zmieniać się... Aby to osiągnąć, jesteś nawet w stanie prosić o pomoc Gospodarzy — jego głos zadrżał. — Wilki... są uczciwe, wilki — po prostu chcą jeść, tak samo jak i my... Gdyby szpinak, który pożeramy, umiał mówić — też by prosił o darowanie życia...

— Znasz kogoś, kto był na ICH terenie i wrócił? — cierpliwie powtórzył Dym.

— Co może być gorszego niż zwierzęcy żywot? — ryknął staruch, odgłosy dziecinnych zabaw ustały i za parawanami zapanowała martwa cisza. — Co może być gorszego, powiedzieć ci?

Zamilkł. Wytrzymał pauzę, wpatrując się w Dyma okrągłymi brązowymi oczami spod krzaczastych brwi.

— Gorsze — powiedział szeptem — gorsze, Dymku, jest życie domowego zwierzęcia. Pamiętaj o tym.

Obaj patrzyli na dzwoneczek, bezgłośnie kiwający się nad oknem.

— Każdy sam decyduje o swoim losie — powiedział oschle staruch. — Jesteś zuch chociażby dlatego, że pierwszy zrozumiałeś — poprzednie życie skończyło się, idą przemiany — W Wysokim Domu, jak sądzę, nieprędko to rozumieją. — Co za szczęście, że od dawna nie mam nic wspólnego z nimi! Tak. Najpierw będziemy mieli powszechny heroizm i mobilizację, potem panikę i bezład, głód i mroźną zimę... A z ciebie jest mądrała, Dymku.

Dym przemilczał pochwałę.

— Wieś Swojaki — powiedział stary niemal bezgłośnie, samymi wargami. — Najpierw znajdź tam byłego starostę... zwał go Sot-Jeziorny-drugi. I jako urzędnik ze stolicy zapytaj o trupa, którego wyłowili z rzeki sześć lat temu, jesienią... Głupi zapytałby, co ma do tego jakiś trup. Ale ty milczysz... Dobrze. Poczęstuj się sałatą. Smaczna i słodka...

Dym włożył do ust szeroki liść, postrzępiony na brzegach.

Był zupełnie bez smaku. Jak brykiet z trawy.

\* \* \*

— ...Żreć zbrykietowaną trawę z dala od wilczych kłów czy chrumkać świeżutkie liście, ale pod samą granicą? A oni nie mają takiego wyboru — oni, tam w stolicy, jedzą wspaniale i do wilków mają trzy dni galopu...

Kobieta na ganku zamilkła w końcu. Chwytała oddech, jeszcze raz z pogardą zerknęła na rozłożony certyfikat Dyma-Ląkowego:

— Władza... Jeszcze rok temu baliśmy się was: każde — mu smarkowi z miasta ciepłą wannę szykowaliśmy... A teraz koniec, on jest już na emeryturze! Na utrzymaniu Wsi! Idź do zarządu, zapytaj starostę, opowie ci...

Dym milczał. Czekał, kiedy baba się zatchnie, a ta cichła powoli, niechętnie. W końcu, zmarszczywszy nos, zakłęła cicho i zniknęła za drzwiami; po dłuższej minucie na ganku pojawił się szpakowaty, pstrokaty jakiś, i chudy Sot-Jeziorny-drugi.

Dym pomachał w powietrzu certyfikatem. Sot–Jeziorny zmrużywszy oczy patrzył chwilę na dokument, potem westchnął chrapliwie:

— Już od roku jestem na emeryturze, drogi Dymie–Łąkowy. Wieś nasza cicha, wszyscy, rzecz można, to krewniacy chłopcy do wojska idą chętnie...

Zamilkł. Oczy miał brązowe, okrągłe, w obramowaniu blad różowych powiek.

— Chodzi o tamtą sprawę? — zapytał z wahaniem.

Dym skinął głową.

— Chodźmy do ogrodu — powiedział Sot–Jeziorny, podjąwszy chyba jakąś ważną decyzję. — Bo tu, w domu, to na głowę włożą, dzieci, wnuki...

Dym skinął znowu, zgadzając się.

Poczęstunek odrzucił od razu, a Sot–Jeziorny nie nalegał; przycupnąwszy za wkopanym w ziemię stołem, podhubał w zębach zerwaną po drodze gałązką.

— Ziemia tu taka... Pięć razy dziennie trzeba podlewać. Ale mdli mnie na widok brykietów — chce się niewiele, ale swojego, soczystego, żywego... Wnuki jeszcze są małe...

Dym pokiwał głową, zgadzając się, pod jego spojrzeniem Sot zamilkł. Westchnął z udęką:

— Co do tamtej sprawy... Dokumentację przeglądaliście?

Dym przymknął powieki:

— Ciało bez oznak gwałtu, najprawdopodobniej nieszczęśliwy wypadek. Ktoś spadł ze skarpy do rzeki i utonął. Tożsamość nie została określona... z początku. Zgadza się?

— Tak — przytaknął, skinąwszy głową Sot–Jeziorny. — Z początku... Potem znalazła się rodzina. Przyjechali jego bracia i oni też go zabrali... Las–Łanowy, z tych Łanowych, co to z południa... Jego imię jest w materiałach. Las–Łanowy.

W wilgotnej boćwinie zaczęły skrzypieć świerszcze Na skraju pola żółkły, bezsilnie wygrażając kolcami palącemu słońcu, umierające z upału kłujaki.

— Nikt go nie zabił — powiedział, jakby usprawiedliwiając się Sot–Jeziorny. — Żadnych śladów przemocy...

Dym skinął:

— Nie szukam zabójcy. Interesują mnie szczegóły, które nie znalazły się w materiałach sprawy. Sot–Jeziorny zachmurzył się. Powiercił się na twardej ławie:

— Ale dlaczego myślicie...

— Wiem — odciął Dym. — Nikt was o nic nie oskarży. Oczywiście, o ile usłyszę wszystko, co chcę usłyszeć.

Powieki byłego starosty poczerwieniały jeszcze mocniej, brązowe oczy jakby uciekły pod brwi, przez kilka minut ciszę zakłócały tylko śpiewające świerszcze.

— Urzędnik z miasta, który badał sprawę — powiedział Sot–Jeziorny — zabronił mi przekazywania komukolwiek danych...

— To on mnie tu skierował. Mnie możecie powiedzieć.

Świerszcze.

— On był... — zaczął starosta i zamilkł. — To... był...

— Co? — cicho zapytał Dym.

— On był... ostrzyżony — wykrztusił Sot–Jeziorny. — W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co to jest... Moi chłopcy uznali, że to jakaś choroba skóry... Ja im nic nie powiedziałem. A ten urzędnik, z miasta... zrozumiał, że się domyśliłem. On... był bardzo przestraszony... nie dlatego, że to pojąłem, nie, a z powodu tego faktu... rozumiecie. Ja się martwych nie boję... Ale ten...

— A bracia? — szybko zapytał Dym. — Bracia, którzy go zabierali, zauważyli, że coś jest nie tak?

Sot–Jeziorny przełknął ślinę. Pokręcił ciężką głową:

— Myśmy go w smołowanym worku... w łodzi trzymali. Braciom pokazaliśmy... twarz. I tylko. Potem zakleiliśmy... On przecież w rzece długo pływał... I tak go wystaliśmy...

— Czy to wszystko?

Sot-Jeziorny siłą woli nakazał sobie milczenie. Nie odzywając się już, skinął głową.

\* \* \*

*„I zapowiedział Lider: nigdy nie wycinajcie włosów na głowie i na ciele. Kto jest ostrzyżony — ten jest przeklęty, ten jest zwierzem. Kto raz da sierść, ten kiedyś da i mięso. Kto ostrzyżony jest, ten do uboju trafi. Pamiętajcie o tym zawsze...”*

*(„Opowieść o Liderze”)*

\* \* \*

Ulice osady zasnuwał wiszący w powietrzu pył. Drobniotka zawiesina drażniła oczy i nozdrza, a wiatru nie było, ani jednego westchnienia, ani jednego podmuchu; nie tak dawno po tych ulicach dreptali mieszkańcy, teraz wieś wyglądała na wymarłą, a zasłona z pyłu sprawiała, że ulice wyglądały nierealnie, jak ze snu.

Dym nie bez trudu odnalazł szukane domostwo. Zastukał, niemal nie mając nadziei na odpowiedź, ale po długich pięciu minutach wyszła do niego posępna postać, mniej więcej dziewięcioletnia.

— Szukam Łanowych — powiedział Dym. — W ważnej sprawie.

— Wszyscy są na placu — z niezadowoleniem poinformowała go dziewczynka. Na piersi miała okrągłą oznakę z pyszczkiem Diwy Donny i, wpatrując się w Dyma, kręciła ją palcami, z każdą sekundą coraz bardziej nerwowo. — Tam jest pobór... Do wojska biorą...

— Poczekam w domu, mogę? — zapytał cierpliwie.

Dziewczynka zacisnęła wargi:

— A dlaczego nie na placu...

Dyma tak naprawdę ciągnęło na plac. Kilka ostatnich dni spędził w samotności, zupełnie sam pod każdym względem, dla uzupełnienia ładunku energii należało złać się z tłumem, postać w nim chwilę, słuchając, jak ktoś sapie nad ramieniem, nasycić się jeśli nie poczuciem bezpieczeństwa, to przynajmniej pewności: póki jesteśmy razem, nic nam nie grozi. Wszystkie napaści są tymczasowe, nasze wnuki zapomną to straszne słowo — „wilki”.

— Poczekam w domu — powiedział Dym łagodnie, ale tak, że dziewczynka od razu usunęła się z przejścia.

Wszedł. Dom jak dom, na dwanaście osób, ani jednego parawanu. Zapach świeżego siana. Cisza.

Tu urodził się Las-Łanowy. Tu mieszkał. Stąd odszedł na wyprawę, zakończoną na dnie rzeki. „Kto ostrzyżony — ten przeklęty”. Sam skoczył z urwiska? Czy został zepchnięty?

— Czytacie gazety? — zapytał dziewczynkę, żeby tylko zadać jakieś pytanie.

— Czytamy — odpowiedziała po namyśle. — Powiadają, że na granicy wilki dokuczają strasznie...

„Na granicy”... Dym powstrzymał się, żeby nie prychnąć. Gdzieś nieopodal rozległy się odgłosy rąbania. Tak, słusznie. Częstokół dookoła osady wymagał naprawy.

— A... — Dym zawahał się nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć. — Diwę Donnę lubisz?

Oczy dziewczynki, do tej chwili mętne, błyskawicznie ożywiły się:

— Tak! Jeszcze jak! A wy lubicie?

— I ja lubię — skłamał Dym.

Przez następny kwadrans usta dziewczynki się nie zamykały. Wymachując rękami jak skrzydłami wiatraka, opowiadała o koncercie, który nie tak dawno się odbył, nie tak znowu daleko, w Leskach. O tym, jak wraz z siostrami i kuzynem sprzedawali na bazarze buraki, żeby kupić bilet, i jak wszyscy razem poszli do Lesków — „cały tłum na drodze, jakby to było święto!” — i jak Diwa Donna uśmiechnęła się właśnie do niej, do Riski-Łanowej, i pomachała ręką...

Dym przyglądał się izbie. W kącie kreda odłupała się, spod jej warstwy wyzierał narysowany na ścianie kwiatek. Stokrotka. Dym przyjrzał się uważniej; dziewczynka spostrzegła jego spojrzenie:

— A, to wujek malował, ja wtedy jeszcze całkiem mała byłam...

Dym podszedł bliżej.

Stara farba znacznie straciła swoją pierwotną barwę. Połowa płatków zniknęła, zjedzona przez kredę — ale im dłużej Dym się wpatrywał, tym mocniej wydawało mu się, że gdyby dotknął palcem ciepłego środka kwiatu — na skórze pozostałby żółty osad pyłku...

W wyblakłym rysunku kryło się coś, co nie pozważyło Dymowi po prostu odwrócić wzroku. To było jak cień czyjeś radości — dawnej, zapomnianej; ten, kto nosił tę radość od dawna był martwy, ale jego cień pod warstwą kredy — żył...

Dziewczynka za jego plecami ciągle gadała, wciąż opowiadała o Diwie Donnie i zamilkła dopiero wtedy, gdy napotkała spojrzenie Dyma.

Wtedy zmieszała się. I, walcząc z tym zmieszaniem zaproponowała:

— Podaruję ci odznakę, chcesz? Mam jeszcze jedną taką...

I podała Dymowi okrągły portret uśmiechniętej ślicznotki a on, zawahawszy się na sekundę, wziął.

I przypiął na piersi.

\* \* \*

— ...Tak. Pogrzebaliśmy go. Niepokojny był z niego chłop, niech mu ziemia mchem, ale miły, dobry... O, na wszystkich ścianach kwiaty wymalował. Ale tyle lat minęło, kwiaty się obłupiły, trzeba było pobiałkować na nowo... Sześć lat, w końcu, minęło. Niebieski Gospodarz dał, on też zabrać władny... A was dlaczego to obchodzi?

Mieszkańcy domu wrócili z placu trochę ponurzy, ale nastawieni raczej bojowo: połowa dorosłej męskiej populacji wyruszyła z rana do punktu mobilizacyjnego i wszyscy byli przekonani, że teraz wilki pożałują, że wszczęły wojnę. Rozmówca Dyma, Łom-Łanowy, jutro wyruszał i nieco był zdenerwowany — rozmowa najwyraźniej w ogóle go nie cieszyła.

— Kiedy ostatni raz widzieliście go żywego? — zapytał Dym.

Łom-Łanowy nachmurzył się.

— A gdzieś tak z miesiąc... Może pół roku... On nie siedział w domu, gdzieś dorabiał z małym, z Alkiem — Słuchajcie — popytajcie Alka. Jego jutro jeszcze nie biorą, a ja o świcie — w drogę. — Łom-Łanowy wypiął pierś i zadarł brodę, całym sobą demonstrując protekcyjną pogardę do leni i tchórzy, prowadzących jałowe rozmowy w chwili, kiedy należy z kuszą w rękę ruszyć do obrony kraju i cywilizacji.

Alk był drugim bratem zaginionego Lasa-Łanowego. Alk kulał lekko, i mobilizacja w najbliższym czasie go nie dotyczyła; Alk rozweselił się widząc na piersi Dyma odznakę z Diwą Donną, ale już po sekundzie — kiedy Dym wyjaśnił przyczynę wizyty — uśmiech stopniał, niczym zapomniane w strumieniu mydło.



— N—no... — wymamrotał, zezując gdzieś ponad ramieniem Dyma. — Las, tego... Myśmy... no, do roboty chodzili Co i jak się mu przydarzyło — nie wiem, dwa tygodnie przed... tym... tego... widziałem go ostatni raz. A ty... to kto jesteś?

Dym wyjaśnił. Wąska twarz Alka wyciągnęła się jeszcze bardziej.

— Ja... tego. Nic nie wiem. Ostatni raz dwa tygodnie przedtem, i koniec. Czy ktoś go zepchnął do rzeki, czy sam skoczył... Czy może bród przechodził, pijanej wiśni się objadłszy...

— Pił? — zapytał Dym.

Alk mrugnął, a potem powiedział, sam zdziwiony:

— Nie.

— Powiadasz — sam skoczył. A czy on zamierzał zakończyć życie? Coś na to wskazywało?

— Nie — powiedział Alk jeszcze ciszej, jeszcze bardziej zdziwiony.

Dookoła kręcili się kuzyni, siostry, krewniaczki, inni członkowie rodziny Alka; nieopodal dziewczynka, która podarowała Dymowi odznakę, usiłowała podsłuchać rozmowę.

— Kiedy widzieliście się ostatni raz, to powiedział ci, dokąd idzie i po co? — zapytał Dym zbliżywszy twarz do Poblądłej gęby rozmówcy.

— Nie — powiedział Alk po raz trzeci i kniuszek nosa mu poczerwieniał.

— Nie kłam przy mnie — powiedział łagodnie Dym. — Kto kłamie urzędnikowi, ten jest pół żdźbła do wygnania, nie wiesz o tym?... Kiedy się rozstawaliście, sierść miał na sobie?

Alk odskoczył.

Tu cię mam. Brachol wiedział; Dym odruchowo zerknął na rudoburą pierś rozmówcy. Nie, Alk, nie był ostrzyżony. Tym niemniej Alk dygoce.

— Nie jesteś niczemu winien — powiedział spokojny Dym. — Więc dokąd on się wybierał?

— On — Alk spazmatycznie zaczerpnął powietrza — on wredny był. Ciągłe coś mu było nie tak... Albo źle karmili, albo płacili mało... Albo wilki syna rozszarpały na granicy.

Patrzcie, go — jaki kapryśny, pomyślał Alk. Popatrzył na własną rękę — pod jego spojrzeniem palce odruchowo zaciśnięte w pięść, wolno się wyprostowały,

— Wszystko opowiem — jęknął Alk. — Tylko... ja naprawdę nie jestem nic winien.

\* \* \*

— Las—Łanowy był, jak się wydaje, osobnikiem nieprzeciętnym. Każdy, z kim rozmawiałem, wspomina go inaczej — jedni, że był marudą i pustelnikiem, inni — że wesółkiem i wodzirejem. Jedni mówią, że był leniem, inni zaś, że wyśmienitym pracownikiem. Poza tym ładnie malował... — Dym zamilkł, przypomniawszy sobie muśnięcie obcej radości, zakłętą w prostym malunku. — No więc, najbliższym mu człowiekiem był młodszy brat, Alk. Na zarobkach bracia poznali kompanię młodych ludzi, którzy zaproponowali im, by zakosztowali innego życia — bez trosk i niebezpieczeństw, bez żadnych wilków. Kiedy bracia zrozumieli, jakie jest to lepsze życie i u kogo — stchórzyli obaj, ale Las pokonał potem strach, a Alk — nie. Las wyruszył z nowymi znajomymi; z pierwszej wyprawy wrócił mniej więcej po miesiącu — był bardzo podniecony, pewny siebie, namawiał Alka, by poszedł z nim i zapewniał, że każdy, kto choć trochę siebie szanuje, powinien zamienić ten bydlęcy żywot... tak się właśnie wyraził... ten bydlęcy żywot na normalne życie. Alk poważnie przymierzał się, by pójść z nim, ale w ostatniej chwili z jakiegoś powodu rozmyślił się... Tym razem Lasa nie było pół roku, Alk kłamał znajomym i krewniakom, że brat pracuje w jakiejś deskami zabitej osadzie... a sam uznał, że nowe życie tak się spodobało bratu, że ten już więcej nie wróci. Ale mylił się — Las wrócił, był wystraszony i przygnębiony, ale przestraszył Alka nie stan brata, a to, że brat był ostrzyżony, całkowicie i po barbarzyńsku, chociaż, jak się wydawało — dawno temu. Las kilka dni ukrywał się na sianie, a potem zniknął... i odnalazł się już znacznie

późnej jako trup, wyłowiony z rzeki przez podwładnych Sota–Jeziornego... Żadnego z tych młodych ludzi, którzy kiedyś wodzili na pokuszenie Łasa, Alk potem już nie widział i nikomu nic nie powiedział, obawiając się, co dobrze rozumiem, że go osądzą i skażą na wygnanie.

Dym odsapnął. Popatrzył na miedziany dzwoneczek, przeniósł spojrzenie na siedzącego naprzeciwko starca.

Pod oknem było gwarno, ktoś głośno szlochał; w ostatnich dniach miasto wypełniło się uciekinierami, strach przed wilkami połączył się ze strachem przed nadciągającym głodem. Zielone dachy w kilka godzin stały się czarne — wszystko, co rosło, zostało zebrane do ostatniego źdźbła, przez gospodarzy i nieproszonych gości.

— Wszystko się zgadza — powiedział zamyślony starzec. — Zawsze znajdowali się chętni do przekroczenia tej granicy... Kusi syte spokojne życie. Z głupoty. Z ciekawości — i zachichotał jakoś dziwnie.

— Ty też przekraczałeś — powiedział Dym.

Stary milczał. Dym nie oczekiwał odpowiedzi.

W końcu stary dotknął palcem dzwoneczka:

— Dymku... Jeśli sądzisz, że Gospodarze... że oni będą z tobą rozmawiali jak równy z równym... albo nawet jak z kimś młodszym... Mylisz się. Tacy, jacy jesteśmy, nie interesujemy ich. Oni takich jak my zjadają. Pod tym względem wcale nie są lepsi od wilków..

Donn, cicho powiedział dzwoneczek. I znowu: don–donn...

Jakby wtórując mu, niewyraźnie i gwałtownie krzyknęła kobieta pod oknem. Ni to wołała kogoś, ni to przeganiała, a może przeklinała.

— Zostało mi tylko jedno pytanie — powiedział Dym.

— Jakież? — Stary uniósł białe rozczochrane brwi.

— Czy to prawda, że oni nas stworzyli?

\* \* \*

*„Lider i jego stado żyli u Gospodarzy, niczego nie potrzebując, zaspokajając chęć wiedzy, bawiąc się i rozmnażając... Tak miało być wiecznie — ale Lider uznał inaczej. Powiedział wszystkim, którzy go słuchali — a słuchała go większa część stada — że rozumnej istocie nie uchodzi żyć tylko po to, by zaspokajać miłość własną Stworzycieli. Że nadszedł czas budowy własnego życia, że należy samemu decydować, co komu po nim. I wezwał wszystkich, którzy mu wierzyli, by uciekli wraz z nim... Znaleźli aparaty latające, wzięli ze sobą wszystko, co niezbędne, a przede wszystkim prawdę o naturze rzeczy, zapisaną w księgach... Ale zamiar ucieczki został odkryty...”*

*(„Opowieść o Liderze”)*

\* \* \*

Pierwszą część drogi pokonał spływając rzeką — wąską łodzią z dworna pływakami po bokach. To był najłżejszy i najstraszniejszy odcinek drogi, ponieważ na brzegach leżały wilcze ziemie, ziemie niczyje, będące jeszcze kilka dni temu spokojnym kwitnącym krajem.

Przez trzy dni drogi Dym nie słyszał niczego, prócz plusku wody, szelestu gałęzi i własnego oddechu. Pachniała trawa — a poprzez ten cierpki, odurzający aromat, przebijał trupi zapach.

Widział — z daleka — kilka osad, bezludnych, pustych. Kołysały się na wietrze rozwieszane do schnięcia szmaty. Dym siedział skulony w swojej łodzi i patrzył w wodę — migotanie na wodzie

słonecznych promieni wypychało z głowy wszystkie myśli i kompletnie niepotrzebne wspomnienia. Na przykład, jak z synami zbierali na jeziorze trzciny na letnią chatkę...

Pierwszą noc spędził niespokojnie — o świcie zbudził się dlatego, że jego średni, Miri, trącał go w ramię. Dym poderwał się, wyciągnął ręce, chcąc schwytać syna, zamknąć w objęciach i nigdy więcej nie wypuszczać — ale to było tylko drzewo: nisko pochylone nad nurtem, nakryło gałęzmi łódź, gdy ze środka rzeki do brzegu skręciła.

Dym odepchnął się wiosłem od brzegu i wyprowadził łódź ponownie na środek nurtu.

Miri ciągle stał mu przed oczami. Czy to może Ros? przecież to bliźniacy...

Cała trójka synów Dyma była gdzieś obok; dokładnie k samo pachniała rzeka, kiedy z leżał z chłopakami na deskach pomostu z łodziami, Ros przechwalał się, że skoczy z urwiska, a Miri i Kit...

Dym zaczął wiosłować, pożytku z jego manewrowania krótkim wiosłem było mało, ale przynajmniej ręce wkrótce zmęczyły się aż do bólu, do skurczy i ten ból, i miarowe ruchy pozwalały nie myśleć o chłopcach...

Na stromych brzegach rosły stokrotki, dokładnie takie, jakie wyrzały spod białka na ścianach domu Lasa-Łanowego. Nie, nie takie... Tamta stokrotka było uduchowiona. Te zaś istniały tylko same dla siebie, nie miał kto na nie patrzeć i niczyjego oka nie cieszyły.

Opadłszy z sił, Dym opuścił wiosło.

Pozbawiona jego pomocy łódź pędziła, chyba nawet jeszcze szybciej.

\* \* \*

Po trzech dniach, o świcie, łódka przybiła do brzegu na zakolu rzeki i nie bez pomocy Dyma osiadła na mieliźnie. Na mapie, którą Dym rozłożył na wilgotnej lawie, w tym miejscu czerwone oznaczenia zmieniały się w żółte. Tu już było bardzo blisko byłej granicy, teraz były to głębokie tyły wilczej armii i pojawienie się w tym miejsce samotnego wędrowca było przedsięwzięciem na tyle szalonym, że jego pobyt tu mógł zakończyć się szczęśliwie.

Dym nie miał bagaży — nie wziął ze sobą kuszy, a jedzenie dosłownie rosło pod stopami. Najcięższym przedmiotem w jego ekwipunku były buty, nasączone neutralizującym zapach specyfikiem. Zresztą, Dym nie liczył specjalnie na skuteczność tego obuwia.

Drugiego dnia pieszej wędrówki dotarł do granicy; maszty stały w szeregu, jeden za drugim, całe i nieuszkodzone, na ich szczytach kręciły się sławetne fladry.

Dym ruszył wzdłuż granicy po niemal niewidocznej, prawie całkowicie zarośniętej ścieżce — nie tak dawno przemierzali ją wartownicy i bardzo szybko natknął się na resztki wilczej uczty, teraz już dawnej. Możliwe, że tu właśnie leżały pierwsze ofiary najazdu, na tyle wczesne że nie miał kto ich pogrzebać...

Dym zatrzymał się na krótko, żeby odmówić słowa Ostatniej Mowy, przekazanej przez Lidera na okazję pochówku. Przez długi dzień, a siedł nie zatrzymując się do samego wieczora — musiał odmawiać tę Mowę kilkadziesiąt razy. Popękały mu wargi, ale powtarzał rytualne sekwencje słów w całości, nic nie opuszczając, nic nie skracając...

Wieczorem nie chciało mu się jeść. Napił się wody z deszczowej beczki, która nikomu już się nie przyda. Zasnął w jakimś gaju, uznawszy, że jeśli dotychczas nie wytropiły go wilki, to z jego nocnego czuwania tym bardziej nie będzie pożytku...

Obudził się, czując czyjś oddech na swojej twarzy, I, otworzywszy oczy, niemal nie zdziwił się, widząc nad sobą szary wilczy pysk.

Wilczek cofnął się o krok. Był zupełnie mały, mniejszy od Dyma. Brzuszek wilczka przypominał twardą piłkę: szczeniak niedawno najadł się i to do syta.

Dym rozejrzał się. Jeśli dorośli krewniacy wilczka byli gdzieś w pobliżu, to — jak na razie — w żaden sposób się nie zdradzili.

Dym uświadomił sobie, że niemal się nie boi. Brzydzi się — tak. Ale się nie boi.

Wyprostował się, wilczek niepewnie majtnął ogonem. Możliwe, że po raz pierwszy widział pożywienie w całości i to poruszające się samodzielnie. Możliwe, że był zdziwiony. Może chciał się bawić.

— Pożeracz mięsa — powiedział Dym.

W jego rozumieniu było to najohydniejsze, najwulgarniejsze przekleństwo.

Wilczek zdziwił się jeszcze bardziej. Nigdy nie słyszał, by mięso wydawało uporządkowane dźwięki.

— Poszedł won! — Dym zrobił krok do przodu. Nie miał ani kamienia, ani kija, ale wilczek napotkał jego spojrzenie i stchórzył. Zakolysały się gałęzie, posypała się rosa i znowu nastąpiła cisza, tylko serce Dyma waliło i podrygiwała na piersi okrągła odznaka z Diwą Donna, którą Dym zostawił na czas wyprawy na piersi.

Minęło dziesięć minut, a Dym ciągle żył.

Minęła godzina i minął dzień, nasączone specyfikiem buty podarły się. Dym zdjął je i poszedł dalej, jak się dało — w jednym miejscu na dwóch nogach, gdzie indziej — zwyczajnie. Ale ciągle żył, granica została z tyłu i z boku, liściasty las przeszedł w iglasty i wszystko wskazywało na to, że cel jest już blisko...

Dopiero o zachodzie Dym uświadomił sobie, że ktoś depta mu po piętach.

Nie wiedział, skąd nadeszło to przekonanie — jednakże już po minucie, po pierwszym przebłyску podejrzenia, nadeszła pewność i to tak silna, że ciarki przeszły mu po skórze, a spazm strachu wciągnął jakoś brzuch.

Zaczął biec, nie oglądając się. Skąd wziął tyle siły? Przecież szedł cały dzień, był śmiertelnie zmęczony — ale teraz pędził jak młodzieniec, przeskakując przez kamienie i kępy trawy. Po kilku minutach szaleńczego biegu las pozostał za plecami, a przed nim rozciągnął się kamienisty, nierówny step. Dym runął przed siebie, po zboczu w górę...

Jego prześladowcy też wynurzyli się z lasu. Dym ich nie widział, ale wyczuwał plecami, jak skraca się dystans. Już rozumiał, że jest skazany, ale i tak biegł z całych sił, upadał na czworaki, podrywał się i walił przed siebie, usiłując uratować życie, jak ratowały je z różnym skutkiem pokolenia jego przodków...

A potem — prześladowcy byli już o kilka mgnień oka od jego gardła! — nad głową rozległ się wizg i do jego uszu doleciał niezbyt głośny trzask. I od razu — Dym jeszcze biegł — prześladowcy zniknęli. Dym przebiegł jeszcze kilka kroków i zwałił się na trawę i leżał, skamieniały, wyobrażając sobie okrągłą odznakę „Diwa Donna” w stercie okrwawionych gnatów, ale nic się nie działo, niebezpieczeństwo zanikło. W końcu Dym podniósł głowę i rozejrzał się.

W pobliżu nie było nikogo. A tam daleko, już pod samym lasem, rozchodziły się po trawie fale: jedna duża i dwie mniejsze. Wilki, bez oglądania się, dawały tyły.

Wilk był potworny.

Wilk był martwy. W jego piersi ział otwór, w który Dym mógłby wsunąć pięść...

O ile udałoby mu się pokonać strach przed martwym ale wcale przez to nie mniej straszny, pożeraczem mięsa.

\* \* \*

Następnego dnia zobaczył miejscowych. Ich ślady widział już dawno, od pagórka z martwym wilkiem, ale ich samych nie zobaczył aż do południa.

Najpierw w szelest trawy i oddech wiatru wplótł się daleki dźwięk. Melodyjnie, z nierównymi przerwami, brzęczały dzwoneczki. Jeden, drugi, trzeci...

A potem, ze szczytu kolejnego wzgórza, Dym zobaczył u jego podnóża spokojnie przemierzający się tłum. Z tej odległości idących nie dałoby się odróżnić od przechodniów na placu czy wielbicieli Diwy Donny, zwyczajnie idących na koncert z jednej wsi do drugiej. Tyle że wielbiciele Diwy Donny nie nosili dzwoneczków...

Dym stał, nie mając odwagi ruszyć się z miejsca. Tłum, nie zwracając na niego uwagi, a może nie zauważając go, opływał wzgórze...

Dym pokonał strach. Powoli, krok po kroku, zbliżył się.

Pierwsza rzecz, jaka go oszołomiła, to woń. Wyglądało, że ludzie... istoty, tworzące tłum, nigdy się nie myty?

— Hej — wychrypiał.

Kilka głów odwróciło się w jego stronę, pozostali nadal rwali trawę, rosnącą po prostu pod nogami.

Dym znieruchomiał. Te spojrzenia... Wpatrywały się w niego obojętne, nie wyrażające niczego, senne oczy.

— Hej — powtórzył Dym po prostu ze strachu. Dlatego że właśnie w tej chwili ogarnęło go przerażenie, jakiego nie odczuwał nawet w czasie pościgu. Nawet minutę przed przewidywaną śmiercią.

Z tłumu wysunął się jeden, większy nieco od innych osobnik, cały w kołtunach sfilcowanej sierści. Wódz, na jego szyi majtał się miedziany dzwoneczek, nieco mniejszy od tego, który zdobił mieszkanie doradcy Dyma.

Wódz zatrzymał się przed Dymem, zmierzył go od głowy do stóp mętnym spojrzeniem, w którym, jak się Dymowi zdawało, błysnęła jakaś myśl. Pochylił głowę, wyprostował ramiona, jakby demonstrując siłę i proponując nowoprzybyłemu, jeśli ten tego pragnie, walkę o tytuł wodza w natychmiastowym pojedynku...

— Nie. — Dym cofnął się.

Wódz, zadowolony z jego wycofania, powlókł się dalej. Nisko, melodyjnie wtórował jego krokom dzwoneczek.

\* \* \*

Byli całkowicie i absolutnie szczęśliwi. W trakcie kilku dni przebywania w ich towarzystwie Dym opanował nieskomplikowany język gestów, zapachów, dotknięć i dźwięków, za pomocą których istoty te porozumiewały się ze sobą.

Samice czasem okazywały zainteresowanie Dymem, samce — przeciwnie, ale tylko czasem okazywały wrogość; większa część nowych sąsiadów nie przejawiała w stosunku do Dyma żadnych uczuć. Niemal wszystkim podobało się, kiedy Dym do nich przemawiał — ale dwa czy trzy samce wyglądały na mocno rozdrażnione dźwiękami mowy.

Nikt nie rozumiał ani słowa.

Stado, a wspólnota dziwnych istot była właśnie stadem, wolno przemierzało się po stepie, przez nikogo nie kierowane i przez nikogo nie zatrzymywane — tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka. Nikt nikomu nie pokazywał, jak się należy zachować i co robić; trawy było pod dostatkiem, miała wspaniałą, bogatą w odcienie smak, i Dym, jakkolwiek zmieszany i zatroskany, nie mógł go nie docenić.

Dzieci w stadzie nie było, ale wiele samic wyraźnie S2ykowało się do urodzenia potomstwa. Kilka razy Dym Widział na niebie drapieżne ptaki — ale krążyły krótko i zniknęły. Przez cały czas

pobytu w stadzie Dym nie spotkał się nawet z aluzją do istnienia wilków.

Nie raz i nie dwa zamierzał porzucić tłum i ruszyć dalej, w poszukiwaniu Gospodarzy, ale za każdym rażeni coś go powstrzymywało. Dym bał się przyznać sam sobie, że przebywanie w stadzie, niech nawet śmierzącym i tępym, przynosiło mu spokój i dawało dawno zapomniane poczucie bezpieczeństwa.

Po kilku dniach spotkali w stepie inne stado. To drugie było mniejsze i przemieszczało się szybciej — Dym nie zastanawiając się długo pozostawił starych towarzyszy dla nowych, którzy niczym, zresztą, od tamtych się nie różnili. Może tylko kolorem sierści.

Najpierw odbył się znany już rytuał zapoznawania się z wodzem. Potem nieoczekiwanie dziewczyna, szczupłonożka, młodziutka, zajęła miejsce po prawej stronie Dyma i poszła obok niego, od czasu do czasu zezując nań ciemnobrażowymi oczami.

„Samica” — pomyślał Dym.

Dziewczyna.

— Posłuchaj — szepnął do niej.

Zaniepokoiło ją to.

— Dobra.. Do—o—o—bra... — powiedział samymi wargami. — Słyszysz... mnie?

Uśmiechnęła się. Leciutko. A może Dymowi tylko tak się wydawało...

Tak więc, bok w bok, maszerowali przez cały dzień. Dym z przyjemnością zrywał dla niej najbardziej aromatyczne, najśodsze kwiaty, wydawało mu się, że za każdym razem, przyjmując podarki, uśmiecha się kącikami ust. Leciutko.

— ...Zrozum, że nie winię nikogo. Ani ją... żonę. Po prostu nie chcę jej nigdy więcej widzieć, słyszeć o niej... W ostatnich dniach, kiedy jeszcze byliśmy razem... to jest takie spojrzenie na świat, tego się nie zmieni. Ona miała taki pogląd, ja — inny. Ona mówiła, że nie jest moja rzeczą i moją własnością, i nie tylko ja mam do niej prawo... uważała, że jestem chciwy i niecierpliwy — bo nie chciałem się nią z nikim dzielić. W starych czasach, kiedy żył Lider, rodzina uważana była za normalną, kiedy oboje kochali siebie.. A potem okazało się, że to wbrew naturze. Zaczęliśmy zachowywać się jak na postronku natury — i straciliśmy coś ważnego... przynajmniej ja tak uważałem, a ona się nie zgadzała. To, co nas kiedyś łączyło, ta przyjaźń... wszystko się zerwało, niczym nitka... A potem stało się... strata załamała ją ostatecznie. Sądzę, że jeśli ją spotkam, to już nie poznam. Nie pamiętam jej twarzy, zapomniałem... Może i jestem durniem, zgadzam się, by nazywano mnie durniem... Ale ja ją... Rozumiesz, nie byłem gotów darować jej komuś, nawet na chwilę. Wydawać by się mogło — a cóż to wielkiego, kiedy mnie nie ma albo jestem zajęty... A ktoś inny jest obok i jest wolny... Ona mówiła, że „to jest życie”. Ale dla mnie życie to akurat całkiem co innego... Posłuchaj, może i jestem durniem, ale nie żałuję niczego, nawet na żdźbło...

Ona przeżuwała trawę.

— A chłopcy nasi nazywają się Ros, Miri i Kit. Trojaczki. Ros miał szramkę na nosie... Wiesz, pamiętam ze szczegółami, jak ich odprowadzaliśmy do wojska. Na granicę. Pamiętam, kto co mówił, kto jak się śmiał... Kit nie wiadomo dlaczego pokłócił się ze swoją dziewczyną. A potem się pogodził... Pamiętam smak pijanej wiśni. Czerwony półksiężyc na obrusie — ślad po szklance... No. Wszystko pamiętam. Sezon odsłużyli — razem... Razem chodzili na patrole... Słuchasz mnie?

Przeżuwała.

— I... cała trójka została pośmiertnie nagrodzona czymś tam, żona pojechała po medale, ja nie chciałem... Niepotrzebne mi były te medale... Ja... Słuchaj, czy ty jesteś w stanie zrozumieć, co opowiadam?

Aromat trawy.

— Chłopcy... moi chłopcy. Zrozumiesz. Nawet ty zrozumiesz, kiedy będziesz miała dzieci...

Zrozumiesz.

Wpatrywała się w niego jasnymi i wiernymi oczyma. A po jakimś czasie podeszła bliżej, gestami niedwuznacznie proponując tu i teraz zrobić wszystko, by dzieci pojawiły się możliwie najszybciej; w nozdrza uderzył mocny próbkujący zapach.

Dym cofnął się z obrzydzeniem.

— Dłaczę... go brzy–dzisz się — usłyszał za plecami.

Dym drgnął.

Bury samiec patrzył nań bez tej sennej obojętności, do której Dym przez ostatnie dni już przywykł. Zwyczajnie patrzył. Nawet ironicznie.

— T–ty... — wykrztusił Dym.

Nieznajomy krzywo się uśmiechnął.

— Tak... Ja. Co... nowego?

Dym odnotował, że nieznajomy mówi z trudem. Zacinał się dobierając słowa.

— Żle — powiedział Dym. — Wilki się przedarły...

— Tak... — stwierdził nieznajomy. — Wilki... Tu nie ma wilków. Zauważyłeś... to?

— Zauważyłem. — Dym skinął głową. — Od dawna tu jesteś?

Nieznajomy zamyślił się, jakby usiłowanie wnikięcia w sens pytania sprawiało mu trudność.

— Dawno — powiedział w końcu. — Wiele... wiele... Nas było... było swoje... swoje stado. Myśleliśmy... Nie. Tu nie ma wilków. Tylko należy się trzymać... z dala. Nie idź na zachód. Do nich. Nie idź.

— Na zachodzie są Gospodarze? — zapytał Dym.

— Nie trzeba na zachód — niemal poprosił go rozmówca.

— Jak się nazywasz? — zapytał Dym.

Zapytany majtnął głową:

— Nie... ważne. Nazywali. Teraz nie ma kto nazywać. — I nagle roześmiał się, odrzuciwszy do tyłu głowę.

Za plecami rozległo się rytmiczne sapanie. Dym odwrócił się.

Dziewczyna, przez cały dzień słuchająca jego zwierzeń, zawzięcie parzyła się z młodym niewielkim samcem. Pozostali nie patrzyli w ich stronę — skubali trawę; samiec się starał. Dziewczyna, przywalona do ziemi, bezsensownie uśmiechała się — teraz już na pewno się uśmiechała i w oczach miała mocną i świeżutką, kompletnie zwierzęcą rozkosz.

\* \* \*

Stracił już rachubę dni, kiedy w ruchu stada dała się zauważyć zmiana. Wódz coraz bardziej zdecydowanie kierował się na zachód, ziemia stała się kamienista i twarda, trawy nie było tu dużo, więcej ostów. Bezimienny rozmówca Dyma denerwował się coraz bardziej — i w końcu pewnej nocy zniknął. Odszedł w step.

Dym pozostał.

Minęło jeszcze kilka dni, zanim pewnego wieczora stado nie stanęło na wzgórzu i Dym nie zobaczył w dolinie osady.

Coś nieuchwytnie znajomego. Płaskie prostokątne dachy, tyle że bez ogrodów. Wielkie parterowe domy...

Stado pobiegło z pagórka w dół. Dym poszedł z nimi, wsunąwszy się w środek, jakby usiłując ukryć się pomiędzy kudłatymi grzbietami — stado było oczekiwane, a czekający był okropniejszy od wilka.

Ogromnego wzrostu. Z nieprawidłowymi proporcjami ciała, z ruchami oszłamiająco

precyzyjnymi, z paraliżującym spojrzeniem szeroko rozstawionych, niezwykajnie jasnych oczu.

— Idziemy—dziemy—dziemy... Do—o—Obrze—e—e... Gdzie?! Już mi tu, tutaj!

Słowa były znajome, ale wymawiał je dziwacznie. Dym rozumiał je nie bez trudu — ale najbardziej przerażający był głos. Głos przenikał do szpiku kości, coś podobnego słyszał Dym tylko w dziecinnych koszmarnych snach; od Gospodarza promieniowała fala władczego przymusu i niesiony przez stado obok nóg w wysokich czarnych butach, Dym niemal stracił przytomność.

Wszystkich ich zapędzono — nie da się tego inaczej określić — do półmrocznego baraku, suchego i ciepłego, ze świeżą słomą pod nogami. Towarzysze Dyma spokojnie rozlokowali się, gdzie kto mógł i spali aż do rana, a Dym przez całą noc nie mógł zmrużyć oka, ponieważ jego plany, noszone w sercu i umyśle od dnia, kiedy w Wysokim Domu zdecydowano o powszechnej mobilizacji... nie, od dnia, kiedy przyszła pierwsza wiadomość o przerwaniu granicy i pokonaniu fladr... te plany nagle okazały się być domkiem z piany, rysunkiem na piasku no bo rozmowy z Gospodarzami... Rozmowy z Gospodarzami! To oznacza, że trzeba wyjść ze stada i zwrócić się z przemową do tego wielkoluda z przerażającą bronią w rękę i zaproponować mu, by usiadł do stołu rokowań — jak równy, co się zowie, z równym...

Jego chrapliwy śmiech spowodował, że spokojniutko śpiący towarzysze poruszyli uszami.

Rano niewyraźnie przecucie katastrofy stało się ciałem. Drzwi baraku uchyliły się, ale tylko odrobinę, wypuszczając więźniów małymi grupkami; z zewnątrz dochodziły krzyki. Nie słyhać w nich było ani bólu, ani strachu, ale były dziwnie głośne. Dym nie potrafił wyobrazić sobie okoliczności, w jakich jego obojętni towarzysze mogliby tak się wydzierać. Zamierzał zostać w baraku aż do końca, ale nie udało się — został wypchnięty na zewnątrz, zmrużył oczy, oślepiony porannym słońcem...

Jego grupka — trzy samce, dwie samice i ta jego znajoma dziewczyna — została wepchnięta do wąskiej zagrody. Gospodarza nie widzieli, ale jego obecność była wyczuwalna; towarzysze Dyma patrzyli albo w ziemię, albo przed siebie, a on — podniósł głowę i zobaczył.

Gospodarz wyłowił z zagrody jedną z samic. Wypracowanym ruchem, niemal bez wysiłku, unieruchomił ją między kolanami; nie zwracając uwagi na wrzaski, szybko spętał ręce i nogi. Rozległ się cichy terkot, we wszystkie strony poleciały kępki sierści; Gospodarz przejeżdżał po ciele terkoczącym urządzeniem, póki samica nie stała się goła i różowa jak flak. Wtedy Gospodarz rozwiązał ją i przrzucił do sąsiedniej zagrody. I sięgnął po kolejną ofiarę, samca stojącego obok Dyma.

Niemal nic nie pamiętał.

Gołych i drżących zapędzono do baraku. W długich skrzyniach leżały sterty wspaniałego pożywienia i jego towarzysze, zapomniawszy o szoku, zabrali się do pałaszowania. Dym leżał w kącie, nie mając sił wstać.

Kiedy Gospodarz unieruchomił go między kolanami i włączył swoją piekielną maszynkę, Dym wrzasnął. Chciał wrócić na siebie uwagę Gospodarza, odwołać się do jego sumienia, powstrzymać go... Gospodarz ryknął, Dym napotkał jego wzrok i okłapł. I nawet nie drgnął, kiedy zaczęło się strzyżenie.

Reszta wspomnień zachowała się w strzępach...

Teraz widział chude nogi, stąpające po już nie tak świeżej słomie, słyszał chrzęst zjadanych źdźbeł — i jednocześnie pędził do góry, po zboczach, uciekając przed prześladowającymi go wilkami. Patrzył na suchy kwiatostan przed oczami, strzęp karmy, który wypadł z przepełnionego żłobu, a widział stokrotkę, narysowaną na białej ścianie. Uciekać... Wrócić... wilki. Co może być gorszego od życia zwierzęcia? Życia zwierzęcia domowego?..

Na podłogę padło pasmo światła, uchyliły się niskie drzwi; Dym wyteżył siły — i zwałił się na słomę. Nawet jeśli całe stado pójdzie prosto do uboju, to on nie zrobi ani kroku. W każdym razie



ani kroku w bok...

W prostokącie drzwi stał pochylony Gospodarz. Patrzył na jedzących, a ci nie zwracali nań żadnej uwagi. A Dym leżał w ciemnym kącie.

— Diwa Donna — powiedział Gospodarz. Dym miał wrażenie, że stracił na chwilę słuch. — Diwa... Donna.

Nikt nie poruszył nawet głową. Wszyscy miarowo przeżuwali.

— Diwa... Donna — powtórzył Gospodarz, sam jakby sobie się dziwiąc. — Kto tu... Diwa Donna? Wstań i podejdź...

Nikt się nie poruszył. Stado zaspokajało głód i na obliczu Gospodarza pojawiło się rozczarowanie, pospołu z ulgą. I drzwi zaczęły się zamykać.

I w ostatniej sekundzie — promień światła na podłodze już niemal całkowicie zniknął — wzrok człowieka w drzwiach padł na innego człowieka, w kącie, a ten próbował i nie mógł się podnieść.

\* \* \*

*„...Ale zamiar ucieczki został odkryty. Gospodarze byli niezadowoleni, chcieli ostrzec go i wysłać do ubojni — ale wtrącił się najważniejszy Gospodarz. I rzekł on: Lider ma rację. Niech idą, może im się uda. I dał im na drogę jedzenie i picie, technologie i materiałów tyle, by wystarczyło do założenia swojej cywilizacji... Tylko broni, by zabijali się wzajemnie, Gospodarze im nie dali, a i Lider nie wziął jej ze sobą...*

*Lider i ci, co z nim odeszli, zaczęli żyć na granicy sytych stepów i kamienistego przedgórza. Założyli cywilizację, ustalili prawa i zaczęli żyć w zgodzie z nimi... Zaczęli płodzić dzieci, które nie wiedziały, kim są Gospodarze. Zaczęli uczyć je, by dzieci umiały budować domy, i wykonywać przedmioty, i wykorzystywać technologie...*

*Ale przyszły wilki, skuszone łatwą zdobyczą... Wtedy ci, co przyszli z Liderem, pożałowali swojej decyzji. Ale nie wszyscy. Mieli jednak ogień, mieli broń i byli zdecydowani bronić się. Zdobyc nie była już łatwą, i wilki odstąpiły. Ale nie na zawsze”.*

*(„Opowieść o Liderze”)*

## CZĘŚĆ DRUGA

\* \* \*

Po tej niestabilnej przestrzeni, w której żyli Gospodarze, świat pod słońcem wydał się Dymowi bardzo mały, ale pewny i jasny. Wyszedł wczesnym rankiem i do zachodu szedł po zielonym sytym pastwisku. Szedł, nie podnosząc z ziemi ani jednego źdźbła trawy, tylko czasem zatrzymując się obok okrągłych, ludzką ręką wykonanych jezior, by zaspokoić pragnienie. Kilka razy na horyzoncie pojawiały się stada — te stada, spokojnie pasące się i radujące z życia; Dym musiał pokonywać nie<sup>7</sup> mai fizjologiczne dążenie do znalezienia się w otoczeniu sobie podobnych. Wiedział, że ukrywając się wśród przeżuwających, odpoczywających, parzących się, będzie mógł w końcu odetchnąć z ulgą, uspokoić się, zapomnieć choć na krótko — i, mimo że wiedział, jaka jest cena takiego odpoczynku — pokusa była ogromna.

To jest jak z rybą wyrzuconą na brzeg, myślał Dym, stawiając stopy między miotłkami kwitnących traw. Łuska wysycha, ryba nie może żyć bez wody... Zgadza się zatem na każdą kałużę, byle się dostać do wody. My w swoich stadach jesteśmy jak ta ryba w wodzie...

A Gospodarze albo urodzili się na lądzie, albo dawno temu wyszli z wody, myślał Dym. Nie jest

nam sądzone obopólne zrozumienie.

To, co nazywało się światem Gospodarzy, najpierw jawiło mu się czymś na kształt ogromnej, zasnutej mgłą kuchni, gdzie niemal nic nie widać, tylko słychać stukot noża o deskę do krojenia, trzask polan w piecu i od czasu do czasu wynurzy się z mętnej zawiesiny czyjeś ramię, jakieś oko czy niemal goły, pokryty rzadkimi włoskami podbródek.

Gorzko wtedy pożałował, że wybrał się w podróż. Pożałował, że zdecydował się na spotkanie z Gospodarzami; rozumiał, że rację miał jego bezimienny współplemieniec ze swoim panicznym szeptem: „Nie idź na zachód!”

Przy spotkaniu z wilkiem człowieka skuwa strach przed nieuniknioną śmiercią. Przez długi czas Dym sądził, że nie ma już nic gorszego.

Ale podczas zetknięcia się z Gospodarzem nadchodzi waciana, miękka, przenikająca aż do kości pokora. Chęć wyciągnięcia szyi — żeby długiej, z bardzo ruchliwymi palcami, gospodarskiej ręce wygodniej było chlasnąć rzeźnickim nożem.

I okazało się, że to jest gorsze od każdego strachu.

Teraz Dym szedł po stepie. Kwiatostany kiwały się na różnej wysokości — białe parasole, pachnące miodem, żółte miotłki, pachnące miodem, błękitne kule, pachnące tak, że można było zwariować. Szedł w tym kierunku, gdzie żyli Jego współplemieńcy — jego niezrozumiali krewniacy, którzy zdecydowali, że osiedlą się pod samym nosem Gospodarzy. Korzystający z ochrony i pokarmu Gospodarzy.

Szedł tam, dokąd szedł w swoim czasie Las-Łanowy. I dokąd nie doszedł. Szedł pod słońcem; wydawało mu się teraz, że w schronisku Gospodarzy zawsze panuje półmrok. Czy tak było? Czy winny jest jednak ten szok, który pozbawił go trzeźwej oceny otoczenia? Czy rzeczywiście Gospodarze różnią się od ludzi w takim stopniu po którym może już tylko nastąpić całkowite niezrozumienie?

Ale przecież on coś tam rozumiał. Dlatego przecież przemierza teraz step, idzie do nich, do współplemieńców... Do tych, co znaleźli z Gospodarzami wspólny język.

Nastało południe. Dym ułożył się w trawie — odpoczynek. Chwilka. Tylko żeby posłuchać, jak dzwoni południowe pole. Tylko żeby popatrzeć, jak kołyszą się źdźbła. Po tym wszystkim, co zdarzyło mu się widzieć u Gospodarzy... Trzeba częściej patrzeć w niebo. Chociażby po to, by się przekonać, że to nie jest wykonana ich rękami błękitna kopuła, że to nie jest jeszcze jedna sztuczka oswojonej przestrzeni, że to po prostu jest niebo...

Gospodarz, który ostrzygł Dyma, przekazał go innemu Gospodarzowi.

A ten — jeszcze innemu.

Z żadnym z nich Dym nie mógł wymienić więcej niż po kilka sensownych zdań.

Pierwszy Gospodarz, z którym w końcu udało się Dymowi porozmawiać, był wysoki i wąski w ramionach. Naga skóra na jego twarzy była biała, jak siwizna, a oczy przykrywał specjalnymi ciemnymi tarczami — i chwala Liderowi, ponieważ bezpośredni spójrzanie Gospodarza pozostawało dla Dyma torturą.

— Wilki — powtarzał Dym. — Wilki, pomoc... Giniemy, ponieważ nie możemy przeciwstawić się wilkom. Pomóżcie nam, obrońcie.

Gospodarz nie rozumiał. Gest niezrozumienia miał dziwny — wydawało się, że cieniutka szyja zaraz złamie się pod ciężarem ogromnej głowy.

— Zabijają — powtarzał Dym. — Przecież istnieje coś takiego jak odpowiedzialność? Stworzyliście nas, stworzyliście Lidera i jego stado... Pomóżcie! Dajcie broń przeciwko wilkom albo przyjdźcie sami i ich przegońcie!

Gospodarz długo się zastanawiał. Potem zaczął mówić — w jego głosie nie było rozkazu, ale sam jego dźwięk przenikał Dyma do kości.

My nie chodzimy jak stado — powiedział Gospodarz. Ty operujesz zrozumiętymi dla siebie kategoriami... My nie możemy być „my”. Każdy z nas jest poza innymi. My jesteśmy rozłączni. My rozumiemy.

— Sądziłem, że możemy się dogadać — powiedział Dym. — Jak rozumni z rozumnymi. Jak cywilizacja z cywilizacją.

Gospodarz odrzucił głowę do tyłu — ta niemal zawisła mu na plecach, a Dymowi odłoniła się biała szyja. Ta szyja podrygiwała, wydając dziwne dźwięki — Gospodarzowi było wesoło, Gospodarz się śmiał.

Zapewne Dym zmienił się na twarzy. Pewnie coś powiedział albo coś zrobił — w każdym razie Gospodarz przestał się śmiać, zdjął swoje tarcze z oczu, pod jego spojrzeniem Dym poczuł smutek i słodycz — niemal jakby słyszał odległe wilcze wycie.

— Kiedy kilku ludzi jednoczy się, by osiągnąć cel... nic dobrego z tego nie wynika. Rozumne stado — to najbardziej niewinne z takich przebić... do nieznanego. Najłżejsze. Konsekwencje... jeśli rozumiesz. Tak, ci ludzie osiągnęli cel... Osiągnęli. Ale nie wy. Rozczaruję cię... Oni, ci, którzy wypuszczali twoich przodków poza mury... na wolność... Oni byli pewni, że w trzecim pokoleniu będzie to zwyczajne, nie myślące, nie produkujące narzędzi stado. Okazaliście dobrymi uczniami, wy, potomkowie malej Molly... ale natura i tak jest silniejsza. Stan normalny dla stada — to wypas na pastwisku. Pod okiem pastucha, o ile jest to stado udomowione. Pod okiem wilka, jeśli jest to stado dziedziczne. Czy rozumiesz, co mówię?

— Bardzo dobrze rozumiem. Powiedz, dlaczego nas jecie?

— Nie jemy rozumnych, powiedział Gospodarz.

— A ci, tylko przypominający nas, czy są gorsi? — zapytał Dym. — Możecie niemal wszystko... Dlaczego strzyżcie stada? Dlaczego tniecie na mięso? Czy nie ma innej drogi, czy nie macie gdzie zdobywać jedzenie i ubranie?

Gospodarz znowu się roześmiał, a Dym nie ustawał w zadawaniu pytań.

Na moich ziemiach żyje myślące stado, powiedział Gospodarz. Stado składające się z twoich współplemieńców... z uciekinierów. Im jest dobrze. Chcesz tam pójść?

Dym szedł cały dzień.

O zachodzie słońca wszedł na wzgórze — i w dole zobaczył porządne szeregi domów ze znanymi mu od zawsze ogrodami na płaskich dachach.

\* \* \*

Młodzież się śmiała. Młodzież słuchała dziewczyny śpiewającej na scenie, którą tworzyła stojąca do góry dnem beczka. Dziewczyna przytupywała, a tłum klaskał do taktu; dziewczyna serwowała przeplatające się „la-la-la”, „sza-bu-da” i „ti-ri-ra”, a tłum podśpiewywał.

Dym stał w samym środku tłumu, patrzył na rozgwieżdżone niebo nad głową dziewczyny i o niczym nie myślał. Unikano spojrzeń w jego kierunku — żeby nie sprawić mu przykrości, mimo że Dym od stóp do głów owinięty był w ciemny bawełniany chałat, mimo że sierść zdążyła już trochę odrosnąć — jego kalectwo nie było sekretem dla nikogo.

Stykali się z takim okaleczeniem nie raz i nie dwa. Zapewne współczuli Dymowi, pewnie nie do końca skutecznie walczyli z obrzydzeniem.

Dym przyglądał się im spod kaptura. Zewnętrznie niczym nie różnili się od młodzieży, którą Dym widywał codziennie w stolicy, w osadach...

Chyba niczym się nie różnili.

Albo może jednak?..

Pewien taki ogólny wyraz ich oczu. Cień przerażającej bez troski, którą on sam kiedyś (kiedyś?)

Sto lat temu?) widział w oczach dziewczyny — samicy, tej, która uważnie wysłuchała jego opowieści, ale nie zrozumiała ani jednego słowa...

Czy jednak mu się wydawało? Pewnie tak, normalna zwyczaj na młódź...

— A teraz — dźwięczny głos dziewczyny rozległ się na całym placem — piosenka na cześć naszego gościa! Na cześć nowo przybyłego człowieka ze starej ojczyzny, Dyma-Łakowego, piosenka o porzuconym domu!

Na placu zrobiło się cicho. Dookoła Dyma utworzył się cały las objętych par, trójek i nawet czwórek; najwyraźniej zasady moralne były tu proste i nieskomplikowane. Jak mawiała kiedyś jego była żona — z biologią nie wygrasz; oto piątka — dwie dziewczyny i trzech chłopcy — splekli się w złożoną figurę, kiwają się w takt piosenki, melodyjnej i wzruszającej. Rytmicznie kiwa się cały plac, tylko Dym stoi nieruchomo i syn starosty, Żel-Mostowy, ponury chłopak, oddelegowany do gościa w charakterze przewodnika.

Dziewczyna śpiewała:

— „Zostawiłem swój dom i znalazłem inny, zaśpiewaj mi piosenkę o domu, zaśpiewaj...”

Słowa też były zwyczajne, jak liść kapuściany, ale w głosie słyhać było prawdziwy smutek. Dziewczyna nie mogła raczej odczuwać smutku z powodu opuszczenia domu, najprawdopodobniej nie pamiętała go. Ale muzyka była przejmująca, a dziewczyna dysponowała wrodzonym poczuciem harmonii. Nie sfalszowała ani razu.

Koncert skończył się dość nieoczekiwanie. Dziewczyna zesza z beczki, wszyscy nagle pożegnali się i rozeszli. Dym dogonił swego przewodnika, pociągnął go za rękaw:

— Żel...

Chłopak odsunął się. Dym, zmieszany, cofnął rękę:

— Żel, czy ty... umiesz czytać?

Chłopak patrzył na niego, nie rozumiejąc. Wzruszył ramionami.

W domu starosty na Dyma czekała kolacja, legowisko ze świeżej słomy — i, oczywiście, ciąg dalszy rozmowy.

— Odpocząłeś? Wasza Diwa Donna do pięt nie dorasta naszej Lice...

— Niewątpliwie — zgodził się Dym.

Dom był niewielki i niezbyt uporządkowany. Cała rodzina starosty — dwie żony, szóstka synów i dwie brzemiennie synowe — mieszkała pod jednym dachem. Dymowi przydzielono honorowy ką, mimo że żony i synowe — zauważył to — były przeciwne. Starowały się nie dotykać przedmiotów, których dotknął on, jakby cierpiał na jakąś zakaźną chorobę.

Teraz w domu wszyscy spali — albo udawali śpiących; miarowo poruszały się boki, cicho sapały nosy. Starosta siedział naprzeciwko Dyma, mały kaganek oświetlał połowę jego twarzy, co powodowało, że wyglądała na niemłody smutny księżyc.

— No to co zamierzasz dalej robić? — zapytał w końcu gospodarz. — Wracasz? Jeśli chcesz zostać, nasi się zdenerwują. Mamy z Gospodarzem umowę — nikogo zbędnego.

— Ile dzieci się urodzi — też się z Gospodarzem umawiacie?

Starosta się nabzdyczył.

— Powściągnij swój jęzor... Łatwo mówić. Łatwo oskarżać..

— Łatwo — zgodził się Dym. — Wiesz, co się tam dzieje? Co to są wilki?

— Czy ja wiem?.. — mruknął starosta. — Ja, wyobraź sobie, przez wilki tu... Dzieci ratowałem. Mam je tam — machnął ręką w stronę śpiących. — Szóstka nam się urodziła, szóstka żyje, wyrosli cali i zdrowi.

— Ja nie miałem takiego szczęścia — oschłym tonem rzucił Dym.

Starosta długo i badawczo wpatrywał mu się w oczy.

— Najpierw bałem się — powiedział w końcu. — Teraz mniej. Wilków nie ma. Żarcia jest w

bród. Latem — pod nogami, zimą Gospodarz daje zbrykietowane, ale nie takie, do którego przywykliśmy, a nieprawdopodobnie soczyste... A tak, ty pewnie jeszcze nie musiałeś zbrykietowanej zakosztować? Przecież jesteś urzędnikiem?

— Próbowałem — powiedział Dym.

Starosta chyba się lekko zmieszał.

— No widzisz... No i tak. Żyjemy sobie.

— Nie nudzicie się? — zapytał Dym.

Starosta prychnął:

— Z wilkami, bez wątpienia, weselej...

— Dzieci uczycie? Starosta rozłożył ręce:

— Dzieci... które chcą — te uczymy. Ale większość raczej nie chce. Nie wszyscy młodzi potrafią czytać. Ale co możemy zrobić? Takie jest życie... Nie muszą umieć czytać. Nie podoba im się to.

Dym przymknął powieki:

— Wyobraź sobie, że jesteś w Wysokim Domu... Że zaproszono cię jako konsultanta i mówi się o przeniesieniu do Gospodarzy. I że ktoś, przeciwnik takiego przesiedlenia, powiada: tam się zdegradujemy, staniemy się zwyczajnym stadem. Stracimy nieodwołalnie swoją wiedzę i doświadczenie, którymi dysponowali przodkowie... Co im na to odpowiesz?

— Nigdy nie byłem w Wysokim Domu — niechętnie odpowiedział starosta. — Ja to nawet w stolicy byłem tylko raz.

— Co im odpowiesz?

— Że tym w Wysokim Domu milsza jest władza — zasepił się starosta. — Póki sobie w nim siedzą, póki decydują, ile komu brykietów dać na zimę... to są jakby przy władzy. A kiedy się znajdują przy Gospodarzach, to i Wysoki Dom nie będzie potrzebny. Nikt z nich nie będzie potrzebny. A kto chce się uczyć — niech się uczy, proszę bardzo. Ja też mówię swoim: uczcie się...

— Dużo macie książek? — zapytał Dym.

Starosta wzruszył ramionami:

— Jakies sześć sztuk. Podręczniki z matematyki, inżynieryjne...

Dym milczał chwilę. Starosta patrzył nieufnie — czekał na jakiś sprytny ruch przybysza.

— Jesteś zadowolony z życia? — zapytał w końcu Dym.

— Ale z ciebie namolny typ — powiedział starosta. — Widać, że urzędnik. Prosty człowiek nie pyta siebie, czy jest zadowolony z życia, czy nie. Po prostu żyje. Dzieci wychowuje...

— Te, które nie są zbędne, ponadmiarowe — dopowiedział Dym.

— Idiota! — wrzasnął gospodarz tak, że w jednej chwili sapanie w domu urwało się. — Przymknij się, nadzorco strzyżony! Widzę, jak się patrzysz, jak oceniasz, że nibyśmy wolność zdradzili, pod Gospodarzem żyjemy, jak bydło... A. wcale nie! Wolni jesteśmy, bardziej wolni od co poniektórych. Żyjemy spokojnie, nikomu nie wadzimy... Ze wszystkiego jesteśmy zadowoleni!

Dym milczał.

\* \* \*

Następnego dnia wrócił do Gospodarzy. Ten z ciemnymi tarczami na oczach zdziwił się, widząc go z powrotem.

Wejdiesz, zapytał Gospodarz, czy wolisz stać na zewnątrz?

— Wejść — powiedział Dym.

Dziwnie łaknęły pustki i przestrzeni domu Gospodarza. Pewnie dawały o sobie znać dwie doby w

ciasnocie domu starosty.

Dziwne. Wcześniej Dym nigdy nie nazwałby takiego domu — ciasnym...

Myślałem, że zostaniesz z nimi, powiedział Gospodarz. Wszyscy wasi — ci, co przychodzą — chcą takiego życia. Chcą tam zostać.

Dym milczał.

Chciał powiedzieć, że Las–Łanowy malował kwiaty na ścianach swego domu, a Diwa Donna wspaniale śpiewa. Że cywilizacja — to nie zbiór mądrych zwierząt, że nie wszyscy żyjący w stadzie widzą sens swego życia w zwyczajnym przeżywaniu. Że wspólne życie — niekoniecznie oznacza bycie nierozumnym bydlęciem. Chciał mówić i mówić, wylać z siebie swoją urazę, złość i niezrozumienie — ale milczał, ponieważ Gospodarz i tak by go nie zrozumiał.

Jak i on, Dym, nie był w stanie zrozumieć Gospodarza.

— Arti–Polowy wynalazł specjalne urządzenia, nazywamy je fladrami, do odstraszenia wilków — powiedział Dym, kiedy milczenie za bardzo się przeciągnęło. — Ale wilki potrafiły się zaadaptować.

Nie sądzę, by sam je wymyślił, powiedział Gospodarz. Podobne technologie istniały kiedyś i u nas, zapewne przeczytał o nich w jakimś starym podręczniku...

— Nie, wynalazł je — uparcie powtórzył Dym.

Gospodarz nie uwierzył mu. Wysokie kanciaste ramiona uniosły się i opadły: ten gest oznaczał, że Dym może do woli pocieszać się pozorami, zdanie Gospodarza nie zmieni się ani o źdźbło.

— Chcę cię zapytać — powiedział Dym. — Po pierwsze, czy zgodziłbyś się przyjąć na swoje ziemie jeszcze kilka wspólnot? Dużo. Bardzo dużo? Milion... ludzi? Takich jak ja?

Gospodarz zrozumiał. Gospodarz umiał liczyć.

A po drugie?, zapytał.

Dym rozejrzał się; na przeciwległej ścianie — dla wygody Dym nazwał tę płaszczyznę ścianą — widniał rzut ogromnego pastwiska. Wolno, po obszernym kręgu przemieszczały się stada — ich nieregularne kształty, jasna barwa, wygląd i sposób przemieszczania się powodowały, że przypominały obłoki na południowym niebie. Z prawej równą linią stały obory, z lewej — czerwonymi punkcikami pulsowały „punkty ogniowe”, automatyczni zabójcy wilków.

(Dym przypomniał sobie: gwizd nad głową. Wilk z dziurą w piersi, tak ogromną, że Dym mógłby włożyć w ranę pięść... gdyby się ośmielił).

I z boku, nieopodal punktów ogniowych — stojące szeregiem domy. Odłamek cywilizacji, rozumna wspólnota; cały step można by zastawić takimi małymi osiedlami.

— Po drugie... — powiedział wolno. — Co za to będziesz chciał? Jakie są twoje warunki?

Gospodarz popatrzył na Dyma bez tarcz, bezpośrednio w oczy. I Dym po raz pierwszy wytrzymał to spojrzenie.

Odpowiem ci szczerze, powiedział Gospodarz.

I Dym szczerze się ucieszył.

\* \* \*

Osada otoczona była wysokim częstokołem, na zaostzonych szpicach długich pali zasiadło poobiednie już słońce. Jeden fragment palisady zastępował ugrzęzły w ziemi, oblepiony ziemią, ciężki ciągnik. Na dnie czerpaka połyskiwała deszczówka.

Dym zapukał. Długo nikt mu nie otwierał — przyglądano się przybyszowi przez szczelinę i wymieniano szeptem uwagi. Potem zaskrzypiały zawiasy, ciężkie drzwi otworzyły się. Za palisadą było ciemno i duszno.

— A to ci — powiedział młody chłopak z kuszą na ramieniu. — Ktoś ty, brachu?

— Dym–Łąkowy — powiedział Dym. — Odłączyłem się od stada.

— Wszyscy tu się odłączyliśmy — powiedział chłopak. — Chcesz zostać? Możesz, miejsca starczy. Rano dwóch naszych wilki pożarły...

Dym rozejrzał się. Jego wzrok przyzwyczał się do półmroku.

Przestrzeń wewnątrz palisady była przykryta ogromną płachtą brezentu. Nie zwracając na nic uwagi, w słomie bawiły się dzieci. Nieopodal stały kobiety — wycieńczone, wychudzone, wymęczone. Patrzyły nieufnie na Dyma.

Mężczyzn nie było widać.

— Wszyscy są w polu — powiedział chłopak. — Sprawa jest prosta: zdążysz zebrać — twoje szczęście. Nie zdążyłeś — głodujesz. Z pochodniami chodzimy — w jednej ręce trzymasz pochodnię, drugą — trawę zbierasz. Ale one naszych pochodni nie za bardzo się boją.

— Życie pod wilkami? — zapytał Dym.

Kobiety wymieniły spojrzenia.

\* \* \*

— Wysoki Dom–Kari — Gajowy zaklął, zabrzmiało to jak splunięcie. — Wysoki Dom, żeby go... zebrali ludzi, by budować umocnienia. Głód, uciekinierów zebrano się pod każdym dachem po pięć dziesiątków. Ani zdźbła trawy — Jakże tam umocnienia? Po co? Kogo umacniać, kiedy żarcie zostało pod wilkiem? Ognie paliliśmy... Na północ od nas jeden mądrała pół stepu wypalił. Wilki odstraszał. Na Wielkiego Lidera! Dzieciaczki głodne, zebra im sterczą. No to posłałem do diabła Wysoki Dom, całą tę pieprzoną cywilizację. Trzy rodziny zebrałem i tu się osiedliliśmy. Na ciągniku przywlekliśmy pale, w ciągu dnia postawiliśmy częstokół, dzieci ukryliśmy...

— Ciągnik na chodzie? — zapytał Dym.

— Gdzie tam! — machnął ręką Kari. — Paliwo się skończyło. A skąd je wziąć? Nie ma oleju... No to zamiast ściany ustawiliśmy. Burza, nie burza, a on ustoi. Zawsze jakiś pożytek...

— Jak chcecie tu żyć? — zapytał Dym.

— W milczeniu — odpowiedział Kari. — Dzieci mają co jeść. Na zimę zapasy jakie takie mamy. Woda jest, przezimujemy. W zimie wilki będą głodne, ale palisady nie zdobędą.

— Ktoś tu jeszcze żyje?

— W byłej stancy — po chwili milczenia odpowiedział Kari. — Też trzy rodziny. To tylko dzisiejszy dzień niedobry, wilki dwóch naszych zamordowały... Normalnie to dyżurni stoją na wieży, dzieci wypuszczamy, żeby się popasły, poruszały trochę. Wilka przecież z daleka widać, jeśli oko wyćwiczone.

Dym popatrzył w niebo. Szary jego trójkąt wisiał dokładnie nad głową. W otworze brezentowego dachu.

— Zobacz — Dym zdjął z pleców swój podniszczony chałat.

Kari najpierw zmrużył oczy, potem cofnął się.

— Gdzie cię tak?... Co to jest, to nie zaraza? Co?

— To się nazywa strzyżenie — powiedział Dym. — Byłem u Gospodarzy.

\* \* \*

Nie było zaskoczenia.

To, co jeszcze nie tak dawno było krajem, cywilizacją, rozpadło się na ogniska, wysepki. Na pokarmowych terenach gospodarzyły wilki; tam też, broniąc się w miarę swoich sił czy po prostu

składając swój los w ręce fortuny, w małych stadach żyli przesiedleńcy, ci, co przedkładali pełne niebezpieczeństw życie nad powolną śmierć głodową.

Stara linia umocnień jeszcze się trzymała — w dużej mierze zawdzięczając to temu, że wilkom wystarczało pożywienia w stepie.

Dym przekroczył umocnienia o świcie — oszołomiony z niewyspania młody żołnierz długo gapił się na Dyma jak na widmo, potem obojętnie skinął ręką w stronę miasta:

— Jeśli nie masz talonów na brykiety, to lepiej się wcale nie pchaj...

Dym zlekceważył ostrzeżenie.

Po dwóch dniach siedział w znajomym domu z dzwoneczkiem pod oknem. W domu było pusto, parawany starannie złożone, stały pod ścianą.

— Wybacz — powiedział starzec. — Nie mam cię czym poczęstować. Tylko garść paprochów z brykiety...

— Daj wody — powiedział Dym.

Starzec siedział naprzeciwko; Dym popijał wodę łyk po łyku. Starzec patrzył nań i w jego spojrzeniu widniało przerażenie.

— To nic strasznego — powiedział Dym, stawiając pusty kubek na stole. — Widzisz, że nie trafiłem do ubojni... I sierść niemal całkowicie już odrosła.

— Opowiadaj — chciwie poprosił stary i Dym zaczął snuć opowieść.

Starzec słuchał.

— ...Oni żyją... jak ci to wyjaśnić? Oni mają taką przestrzeń, jak... owoc maliny. Wiele oddzielnych kuleczek... ale jagoda jedna. Każdy żyje w swoim kręgu przestrzeni. Każdy jest zajęty sobą... Nikt nikogo do niczego nie przekonuje. Widziałem pewną kobietę... Gospodynię, która nie je mięsa dla zasady. Wyobrażasz sobie? Ale nie wpadła na pomysł, by powiedzieć innym, że mięsa nie wolno jeść, że ono jest żywe... Oni nadal strzygą sierść i wyrzynają stada. Nie rozumiem, dlaczego. Mogliby się obejść i bez tego... Ale oni nie rozumieją. Nie przychodzi im do głowy, żeby pomyśleć, co czuje nie tylko stado, ale i współplemieniec, sąsiad... Ich to urządza. Oni są wolni... zupełnie. Kosmicznie. Oni się nie boją samotności, nie nudzą się, tworzą... Samorealizują się. Malują, nie dla kogoś, a dla siebie. Komponują muzykę, której nikt nie usłyszy... Tworzą wynalazki...

— A władza? — zapytał starzec.

— O ile zrozumiałem, nie ma żadnej władzy. Nikt nikomu nie jest potrzebny. Każdy ma to, co chce... dla siebie. Mają takie świecące ściany, pokazują palcem przedmioty, które są im potrzebne... i po minucie otrzymują to, co chcą.

— Skąd?

— Nie wiem. — W głosie Dyma pojawiło się rozdrażnienie. — Nieważne.

— Właśnie, że bardzo ważne.

— Dla nas to za wysokie progi — z żalem rzucił Dym. — Nie sięgniemy tego nie mającego dna koszyka, z którego oni czerpią swoje dobra... pewnie jakoś zasłużyli na nie. Może sami je wykonali, wynaleźli, jak wynaleźli i nas, na przykład. Tyle że my jesteśmy im niepotrzebni. Niemilo jest nas szlachtować, niemilo nas jeść.

— Ale powiedziałeś, że jest pewna szansa — powiedział starzec po chwili milczenia.

— Tak — odpowiedział Dym. I zamilkł na długą chwilę.

— A dzieci? — znowu zapytał starzec. — Czy oni mają dzieci? Jak się rozmnażają?

— Nie wiem — przyznał Dym. — Nie zdarza się, by mężczyzna i kobieta żyli razem. Chyba dzieci do nich są przywożone... stamtąd, skąd i cała reszta.

— Z tego bezdenne go koszyka? — zakpił starzec.

— Tak.



— A moi wszyscy uciekli w step — po chwili powiedział stary. W jego głosie zabrzmiały resztki goryczy. — Powiadają, że lepsze wilki niż głód...

Dym popatrzył na bure okruchy po resztkę brykietu. Wysypał na dłoń, dokładnie zlizał:

— Jest szansa... Na życie. Na cywilizację — nie ma.

— Co? — samymi wargami zapytał starzec.

— Miałeś rację. Ty, nie ja... Lider był żadnym władzy głupcem. Cały ten pomysł od samego początku skazany był... Nie wiesz, czy Diwa Donna jeszcze żyje?

— Łana-Gajowa się nazywa — po chwili powiedział starzec. Diwa Donna to ksywka... pseudonim. Chyba jeszcze jest w mieście. Ale dlaczego nie ma szansy?

Dym opuścił wzrok:

— Co w Wysokim Domu?

— Nic — odparł stary. — Poza specjalnymi przydziałami mi, bardzo mizernymi. Mnie się dostało, w uznaniu starych zasług. Po twoim odejściu najpierw pozbawiono cię stanowiska. Potem przedstawiono do nagrody. Pośmiertnie. Zresztą, to już nieważne. Ale dlaczego nie mamy szansy?

— Nieważne... — powtórzył Dym. — Widzisz...

...Słuchaj i nie przerywaj, powiedział wtedy Gospodarz. — Dym, twoi przodkowie to udomowione zwierzęta. Hodowlane. Rozumne stado — nonsens... pomyłka. Wasza cywilizacja jest niedorzeczna... niezdolna do działania. Jej śmierć może być bardziej lub mniej bolesna. Bardziej bolesne wyjście — wilki i dziczale, powoli wyrodnijące stada. Mniej bolesne wyjście — umowa między nami... między mną i tobą. Niech oni przychodzą — niechby i milion, dwa, a nawet dziesięć. Przestrzeń dla nich potrafię zorganizować... załatwić. Karmę... jedzenie — nie. A to znaczy, że stada, które nie mają ochoty słyszeć o wilkach, winny poddawać się strzyżeniu... milcz i słuchaj. Strzyżenie prowadzi do szoku tylko w przypadku, jeśli dorosłego osobnika strzyże się po raz pierwszy. Przy drugim strzyżeniu szok jest mniejszy, za trzecim — nie będzie go w ogóle. A jeśli zaczniemy strzyc od młodości — młodzież przejdzie to bez najmniejszego nawet dyskomfortu... stresu. To stanie się przyzwyczajeniem, z tragedii stanie się obyczajem... banałem. Tylko pod takim warunkiem mogę przyjąć do siebie rozumne stada. To jest swoista umowa — albo sierść i bezpieczeństwo, albo... Żadnego przymusu. Czy to według ciebie sprawiedliwe?

— Sprawiedliwe — powiedział wtedy Dym. — A mięso?

Gospodarz długo patrzył mu w oczy, a Dym wytrzymał to spojrzenie — jak równy jemu.

— Wyobraź sobie, Dymie, ile w stepie pojawi się mieszańców... półkrwi, ćwierćkrwi. Dalszych jeszcze potomków. Przemienie kilka pokoleń... i koniec. Po tym cudzie, rozumie, zrodzonym w wyniku czyjejś genialnej kpiny — żartu, śladu nie pozostanie. Wtedy przyjdzie kolej na mięso. Ale ty tego nie doczekasz, Dymie. Ty nie zdążysz się zmartwić.

— Dziękuję — powiedział Dym po namyśle. — Dziękuję, rozmawiasz ze mną szczerze.

— Nie ma za co — po chwili powiedział Gospodarz. Jestem pewien, że zasłużyłeś na to.

— Przekleństwo Lidera! — zawołał przestraszony starzec. — Kto będzie ostrzyżony...

— Jestem ostrzyżony i nic się nie stało — rzucił z kpiną w głosie Dym. — Żyję, jak widzisz...

Nawet wróciłem przez tereny wilków, które nikogo nie strzygą, natomiast pożerają rozumnych bez żadnych refleksji... I mam coś do zrobienia. To coś jest mi wstętne, jak przegniła trawa, ale to jest jednak moja sprawa...

— Sądysz, że ktoś się na to zgodzi?

— Wszyscy — powiedział Dym. — Wszyscy mają dzieci i wszyscy chcą żyć.

\* \* \*

To było wszystko, co mogli zrobić.

Kolumny żołnierzy z pochodniami i kuszami konwojowały pochód uciekinierów; ci szli po drodze, już dla nich przetartej, według map powielonych w drukarniach; szli niemal bez bagaży — jedzenie było w stepie dostępne, a jedynym ich bagażem były książki.

Szli — inżynierowie i nauczyciele, budowniczcy, robotnicy, ich dzieci i ich wnuczeta. Ci z nich, którzy dla spokojnego życia — nie swojego, a ich, malców, potomków — zdecydowali się na niesłychane poniżenie.

Na strzyżenie.

Zresztą, wśród odchodzących głośne były opowieści o tym, że strzyżenie to nic straszego. Że sierść odrasta z powrotem. A kiedy się strzyże od małego — to dzieci nawet tego nie zauważą.

W każdym razie nie poczują poniżenia.

Kiedy uciekinierzy odeszli już niemal wszyscy i miasto opustoszało — Dym poczuł dziwną pustkę. Wypełnił swoją misję, ale o ile imię awanturника Lidera przeżyło wieki i na długo zostało w ludzkiej pamięci — to o Dymie-Łąkowym ludzie postarają się możliwie szybko zapomnieć.

W każdym razie taką miał nadzieję, że zapomną. Imię i tę rolę, jaką odegrał, być może wbrew swojej woli.

Codziennie Dym patrzył na siebie w okrągłym metalowym lusterku i widział długą, niemłodą, pokrytą siwymi włosami twarz.

Pewnego ranka, gdzieś tak około dziesiątej, wyszedł na ulicę — bezludną, jak w świecie Gospodarzy, ale znacznie bardziej wąską i krzywą — i wyruszył pod adres zapisany na strzępku ubiegłorocznej gazety.

Dachy czerniały, wyjedzone, wydeptane do ostatniej trawki. Wiatr powiewał jakimiś białymi zasłonkami — okno wyglądało jak starucha z rozczochranymi długimi kosmykami.

Zatrzymał się, sprawdził adres. Zastukał, przygotowany na brak odzewu.

Po kilku minutach drzwi otworzyły się. Na progu stała niemłoda, wymizerowana kobieta.

— Czy tu jeszcze mieszka Łana-Gajowa? — zapytał Dym.

— Łana! — niemrawo zawołała kobieta do wnętrza domu. I skinęła Dymowi: — Proszę...

Wszedł.

Dom był niewielki, kiedyś przytulny, ale teraz zaniedbany, jakby porzucony. Brudna słoma na podłodze; z kąta, zza parawanu wyszła dziewczyna.

Dym nie od razu ją poznał. Mimo wszystko wizerunek na okrągłej odznace nie mógł oddać rysów żywej twarzy, jednocześnie ją upiększając i zniekształcając.

— Nazywam się Dym-Łąkowy — powiedział Dym.

Drgnęła. W ostatnim tygodniu jego imię stało się bardziej niż znane.

— Popatrz — podał jej znaczek z niemal wytartym do cna wizerunkiem.

Popatrzyła nieufnie, nie dotykając odznaki. Podniosła na Dyma brązowe, okrągłe, oszołomione oczy: — Tak... Ale dlaczego...

— Uratował mi życie — wyjaśnił Dym. — Życie, rozsądek... tam.

— Cieszę się — powiedziała obojętnie. — Ale w tym ma mojej zasługi.

Chwilę milczeli; on przyglądał się jej, ona wyraźnie była znudzona. Nie wiedziała, co powiedzieć, niezręcznie jej było wyprosić gościa.

— Dlaczego nie odeszłyście ze wszystkimi? — zapytał w końcu Dym.

— Dlatego, że nie chcę — szeptem odpowiedziała dziewczyna.

Znowu zapadła cisza.

— Na pewno świetnie śpiewasz — powiedział Dym. — Szkoda, że nigdy nie udało mi się posłuchać.

— I już się nie uda — powiedziała dziewczyna, spuszczaając oczy. — Ja już nie śpiewam.

\* \* \*

— Notatki Artiego–Polowego nie zachowały się — powiedziała szczuplutka staruszka, wdowa po wielkim wynalazcy. — To, co mówicie, z mojego punktu widzenia jest olbrzymim świętokradztwem. Arti był niesłychanie uczciwym człowiekiem i wspaniałym uczonym. Już nie ma teraz takich. Jestem pewna, że Arti sam wynalazł fladry, a nie znalazł pomysł w starych źródłach. Ale nie mam dowodów.

— Dziękuję — powiedział Dym. — Proszę o wybaczenie. Staruszka mieszkała sama w ogromnym, na sto osób domu. Niegdyś rodzina Polowych była liczna i sławna; teraz staruszka została sama. Część rodu zginęła, część odeszła z karawaną do Gospodarzy.

Dym wyszedł na ulicę i długo wpatrywał się w żółtawe, zaciągnięte spalenizną niebo. Gdzieś płonął step: albo przypadkowo upuszczona pochodnia, albo gest rozpaczony — jak mamy zginąć, to wszyscy...

Odszedł, zostawiwszy ukradkiem na stole staruszki pół przydziału zbrykietowanej trawy.

\* \* \*

Głęboką jesienią na dachach, w ogródkach i pod płotami pojawiła się blada, zdziwiona, mocno spóźniona trawa, każde źdźbło było wrywane wargami i długo smakowane.

Na obdartych słupach ogłoszeniowych zachowały się gdzieniegdzie plakaty z mapami. Droga przez step, droga przez las, po trzykroć odtajniona droga do Gospodarzy.

Dym przeżył dwie przygody — raz, kiedy ktoś trafił go cegłą w głowę. Drugi raz, kiedy wsypano do beczki z deszczówką trucizny; strzeżony — ni to przez diabła, ni to przez widmo przekłętego Lidera — Dym oba zamachy przeżył.

Nie miał wątpliwości, że źródło obu zamachów znajdowało się w opustoszałym obecnie Wysokim Domu. „Milsza im jest władza” — tak chyba mawiał pewien Gajowy, starosta wolnej osady.

Wilki czasem docierały na ulice — ale szybko wycofywały się. Na razie nie ich czas — przyjdzie zima i wtedy za upartych, co to nie wybrali drogi ratunku, zabiorą się i mrozy, i głód, i wilki...

Zmarła wdowa po Artim–Polowym. Dym pomógł w pochówku.

Kilka razy odwiedzał Łaną–Gajową, niegdyś Diwę Donnę, przynosił jedzenie dla niej i jej matki; ciągle mu się wydawało, że Łaną cieszą jego wizyty i wcale nie z powodu gościńców. Sierść mu odrosła całkowicie — była zupełnie biała, bez dymnego odcienia, z powodu którego otrzymał imię; przyzwyczał się do codziennego czesania, znalazł w szafie grudkę aromatycznej smoły i długo żuł ją przed każdą wizytą u Łany.

Pewnego dnia, nazuwszy się smoły, przyszedł bez uprzedzenia i zastał w domu Gajowych młodego chłopaka, niemal wyrostka, chudego, ponurego, skrepowanego i nieufnego jednocześnie.

— Poznajcie się — bąknęła Łana. — To jest Luk...

Dym po kilku minutach przeprosił i wyszedł.

\* \* \*

Miał teraz zajęcie — wyszukiwał skarby. Okazało się że wielu mieszkańców miasta w pierwszych dniach najazdu ukryło coś na zapas, a potem, w zamieszaniu ewakuacji zapomniało o tym.

Dym odwiedzał porzucone domostwa i bardzo uważnie, krok po kroku, badał ziemię i podłogi w poszukiwaniu frytek. Trafiały się skrzynie z konserwami, zasypane piwnice z warzywami, worki z ziarnem i mąką. Za każdym razem Dym dzielił zdobycz na równe części i metodycznie, dom po domu, odwiedzał nowych i starych znajomych.

Do jego stukania — dwa wolne, dwa szybkie — szybko się przyzwyczajono. Słyszając jego kroki, podrywano się ze snu w środku nocy; Dym znalazł wielu płomiennych przyjaciół, więcej niż miał przez całe życie. Nie miał specjalnych złudzeń co do tych przyjaźni; wielu po prostu szło w jego ślady i zajęło się poszukiwaniem skarbów i wkrótce Dym zaczął natykać się na ślady ograbionych schowków.

Zapasy opustoszałego miasta kończyły się. Teraz zjadano już słomę z materacy.

Z każdym dniem robiło się zimniej; co wieczór Dym rozpalał na placu ognisko, na szczęście paliwa — drewna — było pod dostatkiem. Do ogniska ciągnęli, jak ćmy, ostatni mieszkańcy miasta, ci, którzy nie chcieli żyć jako wolne stado w stepie, co nie chcieli przejść pod pieczę Gospodarzy.

— Pierwszy grzech naszych przodków — mówił starzec, owijając się płótnem. — Nie jesteśmy zwyczajnymi potomkami stadnych zwierząt. Jesteśmy potomkami tych, co poszli za Liderem. Co oznacza, że Liderowi powierzyli swoje życie i los. Na jego barki przerzucili odpowiedzialność...

Starca nikt nie słuchał. Siedzieli ramię przy ramieniu, uciekając od samotności w swoich pustych i przestronnych domach. Nie potrzebowali oratora, nie zamierzali klaskać w rytm czyjejś piosenki; Dym patrzył przez ogień na Łanę-Gajową, trzymającą za rękę ponurego Luka i usiłował wyobrazić sobie, co by odpowiedzieli ci ludzie jego byłej żonie, gdyby ta (Wielki Liderze — zapomniał jej imię!) chciała opowiedzieć im o swojej miłości i wolności, innych wielkich rodzinach, gdzie miłość nasilała się Proporcjonalnie do liczby małżonków.

Poza tym myślał o tym, że stadne zwierzęta nie potrzebują rozumu, nawet im szkodzi. Ponieważ nosiciel rozumu jest samotny; dlatego stado na pewno zacznie walkę z chęcią myślenia i, niezależnie od tego, kto zwycięży, myślący przedmiot tej walki na pewno będzie nieszczęśliwy.

Poza tym cieszył się, że nie musi codziennie, co godzinę wyszarpywać siebie ze stada, przeciwstawiać się mu. Że w końcu może po prostu siedzieć z innymi i robić to, co robią wszyscy.

Patrzeć w ogień.

\* \* \*

Pewnego ranka włóczył się po przemysłowej dzielnicy — zmusił siebie do tego. Mówił sobie, że tam, wśród wysokich martwych budynków może się znaleźć rezerwa żywności — ale sama wędrówka po fabrycznych ulicach przypominała smutny spacer po cmentarzu.

Nie udało mu się dotrzeć do kompleksu fabrycznego, do lasu od dawna nie dymiących kominów. Bezmyślnie wszedł na teren szkoły inżynierskiej, zajrzał po kolei do biblioteki, sali gimnastycznej, do klas, nigdzie nie znalazł niczego, poza pajęczyną i kurzu zapuszczenia. Już miał odejść, uchylił drzwi wielkiego laboratorium i przy najbliższym stoliku zobaczył zgarbioną sylwetkę chudego, posępnego Luka.

— Cześć — powiedział tylko dlatego, że zamknąć drzwi bez przynajmniej powitania byłoby głupio i nieuprzejmie.

Luk popatrzył na niego tak, jakby Dym zastał go przy wyłamanych drzwiach sejfu.

— Nie będę ci przeszkadzał — ni to zapytał, ni to stwierdził Dym.

\* \* \*

— ...Wyglądasz na znacznie młodszego — zauważył Dym.

— Wiem. Poszedłem wcześniej do wojska, żeby potem zdawać do szkoły inżynierskiej — powiedział Luk. — Kiedy służyłem na granicy, byłem technikiem od fladr. Dlatego od razu mnie przyjęli... na wydział technologii obronnych; Szkoda, że nie zdążyłem dostać dyplomu. Zresztą, twój temat jeszcze przed najazdem mi załatwili...

W laboratorium panował ostry i nieprzyjemny zapach, i jakimś cudem ta woń przypominała o życiu. O prawdziwym życiu, które wydaje się być bez końca.

— Wszystko o tobie wiem — powiedział Luk.

Dyma rozweseliła jego pewność siebie.

— Na pewno wszystko?

— Wiem, że byłeś u Gospodarzy — powiedział Luk szeptem. — Że cię ostrzygli i że uratowałeś się tylko przypadkiem, przy pomocy tej odznaki... Nienawidziłem tych odznak. Kiedy widziałem je na kimś, niemal gotów byłem zerwać...

— Zazdrosny?

— Pewnie tak — powiedział po chwili namysłu Luk. — Wszyscy mówili, że jestem wielbicielem Łany. A ja po prostu już wtedy ją kochałem.

Luk spacerował wzdłuż stelaży ze ścierką, starannie wycierał kurz, którego nie było tu specjalnie dużo.

— Ja bym się bał iść do Gospodarzy — powiedział, płucząc ścierkę w blaszanym wiadrze.

— Wcale nie są tacy straszni.

— Skąd wiesz, straszni czy nie? Przecież nie zdołałeś ich zrozumieć?

— Prawda — przyznał Dym. — Rozmawiamy niemal w tym samym języku i nawet posługujemy się tymi samymi literami... Ale nie jesteśmy w stanie zrozumieć się. Nigdy.

— Dlaczego więc kazałeś iść tam, do nich? — zapytał podejrzliwie Luk.

— Nikomu nic nie kazałem... Opowiedziałem wszystko, co sam wiedziałem. Oni wybrali sami. Jak kiedyś wybrał Lider...

— Wierzysz w tę historię z Liderem?

— Wierzę — poważnie powiedział Dym. — Wydaje mi się, że właśnie tak się wszystko odbyło.

Luk zakończył sprzątanie biurka. Wylał ręce szmatką — strzępem niegdyś białego fartucha:

— Dlaczego nie zostałeś u Gospodarzy? Przecież można tam żyć, i to nieźle?

— Ja nie mogę żyć bez stada — powiedział Dym z obrzydzeniem.

— Może to nie zawsze jest takie niedobre — szepnął Luk.

Dawno temu wysuszył już swoje ręce, ale ciągle jeszcze męczył nieszczęsną szmatkę. Sypały się białe strzępki.

— A jaki temat załatwili ci bez dyplomu? — zapytał Dym.

— Takie tam... Opracowywałem pewną alternatywę wobec fladr.

— Opracowałeś? — szybko zapytał Dym.

Luk milczał, odwrócił spojrzenie.

— Nie. Kiedy stało się jasne, że to najazd... Siedziałem całymi dniami i zastanawiałem się, myślałem, że oto zaraz wynajdę panaceum, stanę się sławny... Będę bardziej znany niż Diwa Donna — uśmiechnął się niewesoło. — I ona mnie pokocha.

— Nie udało się? — zapytał Dym, z góry znając odpowiedź.

Luk pokręcił spuszczoną głową.

— Nie udało. Wiesz, wśród badaczy krążyła taka opowieść... że Arti-Polowy nie wymyślił fladr. Że znalazł pomysł w jakiejś starej książce, którą potem zniszczył. Że na naszym poziomie

technologii nie da się wymyślić czegoś takiego, bo trzeba wiedzieć o fizjologii wilka dziesięć razy więcej, niż mógł wiedzieć Arti. I tak dalej... I oto kiedy tu siedziałem, dookoła panika, ulice wypełnione uciekinierami, do jedzenia nic ani żdźbła... A ja siedziałem w laboratorium i z każdą sekundą uświadamiałem sobie coraz mocniej, że moje usiłowania są śmieszne i że słusznie wykasowano mój temat... Byłem w rozpacz, nie mogąc nic zrobić i wydawało mi się, że te plotki miały poważne podstawy.

Dym rozejrział się.

Ściany laboratorium nagle jakby zawisły nad nim, jak kiedyś zawisły ogromne połacie nieba Gospodarzy. Szczelnie zamknięte naczynia z odczynnikami, wielkie urządzenia z przyćmionymi displejami, wiązki przewodów i sterty naczyń laboratoryjnych — wszystko to wydawało się fałszem, rekwizytem, trupem.

— Czyli nie istniała żadna nauka — Dym usłyszał własny głos. — Istniało tylko naśladownictwo... nieśmiałe powtórzenie dawno odkrytego, wykonanego... Zabawa w naukę, czy tak?

— Nie — energicznie powiedział Luk i odwrócił się. — Chodźmy... coś ci pokażę.

\* \* \*

— Hej! — niezbyt głośno zawołał Dym.

Ci troje, leżący na kupie szmat, niemrawo poruszyli uszami. Na Dyma patrzyły trzy pary obojętnych oczu — szklane guziki, błyszczące, ale nie bez krzty rozumu.

Dym z trudem powstrzymał się, żeby się nie wycofać.

— To...

— Tak — powiedział Luk za jego plecami. — To ci, którzy są strzyżeni i jedzeni przez Gospodarzy. To nasi przodkowie, właściwie, nasi nieudani kuzyni... Przywieziono ich tu, kiedy byli dziećmi. Wiele lat temu. Było ich dwudziestu dwóch, zostało troje.

— Po co?

— A jak inaczej badać? Biologia, medycyna...

— Oni są tu przez cały czas? Kiedy nie ma co jeść...

— Patroszyłem materace — powiedział Luk, z trudem wytrzymując jego spojrzenie. — Stara słoma... I oddawałem swoje.

— Im?

Luk milczał, decydując się na coś. W końcu nerwowo zatarł dłonie:

— To jeszcze nie wszystko... Chodźmy.

Szli długo wąskim, cuchnącym korytarzem, weszli na piętro po wąskich kręconych schodach. Dym zobaczył otoczoną żelazną siatką konstrukcję.

Za siatką w pasach, w splocie węży...

Nie uwierzył własnym oczom.

Na stanowisku badawczym znajdował się mocno okręcony rurkami, przykuty do żelaznego stojaka, łysawy wilk.

— Mieliśmy naukę — powiedział Luk, jakby niezdrowe ze stanowiska mogło potwierdzić albo zanegować tę prawdę. — Były... mieliśmy ogromny materiał badawczy. Tylko nie zdążyliśmy zastosować...

Wilk otworzył żółte ślepia. Dym odruchowo cofnął się — Niewiele już jej zostało — cicho powiedział

— Wilczycy, znaczy się... Zdycha.

\* \* \*

Na plac przyszli jako ostatni. Ktoś już rozpałił ogień w zastępstwie Dyma. Łana, widząc Dyma i Luka razem zdziwiła się i chyba uradowała.

— Może nam zaśpiewasz? — zapytał ją Dym.

Pokręciła głową.

— Nie. Teraz nie powinno się śpiewać.

Usiedli obok siebie i Łana, zawsze taka milcząca w obecności Dyma, zaczęła nagle opowiadać, szczerze i otwarcie, choć nikt jej o to nie prosił. Opowiadała, jak nagle zwała się na nią sława, jak ogromne tłumy klaskały i podśpiewywały, jak traciła głowę z powodu chwil całkowitego panowania nad nimi... Jak odznaki z jej portretem nosił co drugi człowiek, a plakaty wisiały na wszystkich słupach, i tylko po to, by ją dotknąć, ludzie niemal się tratowali...

I jak potem doszło do najazdu i jej sława stopniała jak kawałek masła.

I jak musiała chodzić do kolejki i walczyć o przydział.

Jak przestali ją poznawać, jak wszyscy o niej zapomnieli i jak pojawił się Luk...

— Mimo wszystko szkoda, że przestałaś śpiewać — powiedział Dym, kiedy Łana w końcu zachrypla i zamilkła.

— Nie... Tak powinno być — wtrącił się milczący dotąd starzec. — Rozumne istoty nie powinny chadzać stadami... Tylko o to chodzi...

I Dym poczuł, jak w jego duszy powstaje niezrozumiałe rozdrażnienie i protest przeciwko tej starej, niepodważalnej, banalnej prawdzie.

\* \* \*

Wilki pojawiły się na peryferiach. Spotkania przy ogniu na placu stały się niebezpieczne. Co rano i wieczorem — po ciemku — Dym zapalał pochodnię i wchodził na dach.

Sąsiad z prawej — dzieliły go od Dyma trzy opuszczone podwórka — nadawał swoją pochodnię sygnał „wszystko w porządku”. Odebrawszy sygnał, Dym to samo przekazał sąsiadom z lewej, a ci odpowiadali, przekazując sygnał dalej.

Pewnego zimnego poranka — białą sierść Dyma pokrywała gruba warstwa szronu — sąsiedzi z lewej nie odpowiedzieli.

Kiedy zrobiło się jasno, Dym wyszedł na ulicę — i od razu zobaczył wilcze ślady.

...Przed domem sąsiadów stali już dwaj młodzieńcy z domu naprzeciwko. Przeszli z nogi na nogę, wciągnawszy głowy w ramiona, nie mogli się zdecydować, by wejść do środka. Śnieg przed domem był zdeptany wilczymi łapami, i tak na dobrą sprawę nie było potrzeby tam wchodzić.

Dym wszedł.

\* \* \*

— Nie zostawiłem niczego po sobie — powiedział starzec. — Słyszysz, Dymku... mógłbym napisać... coś jak memuary. Teraz mi się wydaje, że wiele wiedziałem, jeszcze więcej rozumiałem i mogłem objaśnić...

— Tak — powiedział Dym.

Starzec umierał. Co do tego nie było wątpliwości; Dym sądził, że powinno się w takiej chwili milczeć, myśleć o czymś. Ale stary nie przestawał gadać.

— Dymku... Zdradziłeś dzieło Lidera. I słusznie, zuch z ciebie... A może nie było wcale żadnego Lidera? Teraz to już nikt się nie dowie...

Nagle ucichł. Gwałtownie zmieniły mu się oczy.

— Rozumiem cię, chłopcze — obcym, nie swoim drżącym, a niskim i głębokim głosem odezwał się nagle starzec. — Nie chcesz być taki, jak wszyscy. Ale pomyśl... relegują cię ze szkoły, wypędzą z miasta... poza tym, kim bylibyśmy, gdyby każdy...

To były jego ostatnie słowa.

\* \* \*

Ukrywszy się na dachu, Dym przyglądał się wilkom.

Była ich piątka, od dawna nic nie jadły. Łatwa zdobycz skończyła się; wilki wydeptały ścieżkę wokół domu Dyma, ale do wnętrza wejść nie mogły.

Dym wpatrywał się w nie, tłumiąc drżenie ciała. Straszliwe uczucie — ostatni raz Dym tak dygotał w przeddzień strzyżenia.

Widział, jak staremu, z postrzępionym uchem przywódcy stada, depcze po piętach młody, pewny siebie samiec. Widział, że konflikt dojrzał i zdarzyło się tak, że właśnie Dym był świadkiem rozstrzygnięcia.

Szepiły się na starym klombie, tam, gdzie dawno temu — tysiąc lat temu! — mama Dyma uprawiała gorzkie pachnące kwiaty. Na ulicy, w ogrodzie, walczyły na śmierć i życie szare ludojady; stary wilk wiedział, że ma niewiele szans, a młody samiec był silny, ale przesadnie pewny swego.

Trzy wilczyce przysiadły na ogonach i przyglądały się, nie zdradzając oznak podniecenia.

Młody samiec zdechł z grymasem zdziwienia na pysku — chyba wydawało mu się to niesprawiedliwe. Pewnie sądził, że starość winna ustąpić bez oporu miejsca agresywnej młodości. Zaślinione żółte kły, zaciśnięte na szyi młodego, dobitnie ukazywały przewagę mądrości i doświadczenia.

Wódz cofnął się o krok od pokonanego rywala — i upadł na śnieg, krwawiąc obficie z rozdartego boku.

Wtedy wilczyce jednocześnie podniosły się.

Musiały być głodne — pożarły obu, nie wyróżniając ani młodego, ani doświadczonego mięsa.

\* \* \*

— Dym! Dym!

Obudziło go kołatanie do drzwi. Zerknął w szczelinę? — ciemno, czyżby przespał ranek? Czyżby ktoś odważył się przejść po ciemnych ulicach?

— Dym! Otwórz... Szybciej...

Odsunął zasuwę. Drzwi otworzyły się z ciemności w ciemność. W zastoje powietrza pokoju chlusnęła lodowata i świeża noc.

Wtargnąwszy do izby, gość niemal przewrócił gospodarza na ziemię, Dym domyślił się, że to Luk, po głosie i po zapachu.

— Coś z Laną?

— Nie — sapnął Luk. — Wszystko w porządku... Dymie — i rozpląkał się.

— Co się stało, mów!

— Zrozumiałem — wyszeptał Luk przez łyżę. — Wiem... Wiem, jak należy. Domyśliłem się.



Sam.

\* \* \*

— Potem wszystko odtworzymy — powiedział Luk, jakby przepraszając za panujący w laboratorium bałagan. — Potem będziemy mieli masę czasu. Mnóstwo czasu, mnóstwo jedzenia... I ani jednego wilka. Wyobrażasz sobie, jak będziemy żyli?!

Łana uśmiechała się pod wielowarstwową maską z gazy.

Dym otwierał jedną po drugiej ciemne ampule, zabrudzone od wewnątrz bladezielonym pudrem. Ostrożnie wsypywał ich zawartość do miedzianego naczynia z metalu, kształtem przypominającego dzwoneczek.

— Co to będzie za żywot! — mamrotał w upojeniu Luk, rozgniatając żelatynowe placuszki. — Ja pewnie zostanę profesorem. Wyobrażasz sobie? Wyobrażasz sobie, jak oni zaśpiewają, kiedy się dowiedzą...

I roześmiał się przez gazę.

— A dla nas... na pewno jest to bezpieczne? — cicho zapytała Łana.

— Na Wielkiego Lidera! Przecież ci wyjaśniałem! Poza sto razy na sobie sprawdziłem...

— Sprawdzałeś na sobie? — Jeszcze ciszej zapytała i w jej głosie zabrzmiało takie przerażenie, że Luk zmieszał się.

— No... na sobie sprawdziłem zestaw ostateczny. A wcześniejsze testowałem na tych, laboratoryjnych...

Łana stała jak przed wilkiem — takie przerażenie i smutek były w jej oczach.

— I co? — zapytał po długiej pauzie Dym.

Luk zaczerpnął powietrza:

— No... bez błędów się nie da. Droga wiedzy jest drogą błędów...

I objął Łaną, a ta, gwałtownie wyrwawszy się, zdarła z twarzy maskę i rzuciła się do ucieczki. Luk skoczył za nią, a Dym, podnosząc z podłogi biały kłębek gazy, uświadomił sobie, że uśmiecha się, że w tym uśmiechu nie ma radości, ale też nie ma również złości, a uczucie, jakie w tej chwili dominuje w jego sercu, to ostra smutna zazdrość.

\* \* \*

— No już — krzyknęła z dachu Łana. — Uciekajcie!

— Wybacz — powiedział Dym, patrząc na zdeptany mokry śnieg.

Nie potrafił zmusić się, by popatrzeć w oczy zakładnikowi — swojemu pechowemu stadnemu kuzynowi, zdolnemu jednakże do odczuwania przerażenia przed śmiercią.

Do kutego płotu przywiązany został ostatni żywy więzień laboratorium. Po raz pierwszy od wielu tygodni najedzony do syta — nażarł się zbrykietowanej trawy zmieszanej z pozbawionymi zapachu granulkami.

— Uciekajcie! — ponaglała Łana. — Już czas... Po zardzewiałej drabinie weszli na dach. Zmierzch zgęstniał. Ten przywiązany wyglądał jak biała plama na ciemnym śniegu. Dym zwrócił się do Łany:

— Idź do domu... Luk, idźcie oboje. Szybko.

Łana nie sprzeciwiała się. Luk pomógł jej przedostać się po śliskim dachu do dymnika; Dym słyszał ich oddechy i chlupot błota pod nogami tego, który usiłował uwolnić się od pęt. Wilki były blisko, ich obecność wyczuwał zarówno Dym, jak i tamten, któremu wyznaczono rolę wabika.

Dym składał ofiarę z żywej istoty. Istoty podobnej do niego z dokładnością do jednego włosa, wzoru żył i tętnic, istotę odczuwającą ból i zbliżanie końca.

Najlepiej by było uciec teraz z dachu za Laną i Lukiem — ale Dym pozostał.

Daleko stąd, gdzieś od strefy przemysłowej, dotarło doń wycie cienkie i żałosne. Dym zwinął się w drżący kłębek, a tamten, przywiązany, zaczął się szarpać i krzyżeć.

Dym rozejrzał się — poza nim na dachu nie było nikogo.

Dym popatrzył w dół — ulice wydawały się być wypełnione czarną stojącą wodą. Zalane ciekłą nocą; była taka chwila, kiedy wydawało mu się, że ciemność porusza się, żyje. Nie, to tylko tak się zdawało.

Chodźcie tu, bezgłośnie rozkazał Dym. Chodźcie. Czekamy na was. I nieszczęsny wabik, którego los został mu narzucony. I ja... I my wszyscy, potomkowie Lidera. Chodźcie, wszystko jest przygotowane...

I znowu dało się słyszeć wycie — tym razem bliżej; głodni myśliwi nie mylili się w wyborze trasy.

— Chodźcie — powiedział szeptem Dym. — Chodźcie... Nie zapraszaliśmy was do naszego miasta. Ale skoro już tu jesteście, to chodźcie tutaj. Czeką was niespodzianka, powinna się wam spodobać. No?..

Wabik, zupełnie oszalał.

Szarpał się i miotał na uwięzi, wrzeszczał. Dym wiedział, że te krzyki muszą być słyszalne w domu. Prędej, Dym błagał w duchu wilki. Nie przeciągajcie, chodźcie...

Krzyk nagle przeszedł w rżenie.

Dym wychylił się poza krawędź dachu, ale niczego nie widział. Gotów był przysiąc, że wilki jeszcze nie doszły do placu — ale wabik już milczał. Nieruchoma biała plama... Słabo plusnęła pacyna mokrego śniegu. Cisza.

Dym zapalił zapalniczkę. Ręce mu dygotały.

Zapalał latarnię tylko w nadzwyczajnych wypadkach — oszczędzał olej. Ale to był właśnie wypadek nadzwyczajny..

Pod żeliwnym płotem leżało miękkie, brudne, małe ciało.

Owinięte sznurem, jak martwy płód pępowiną.

\* \* \*

— To bardzo ważne — musimy wiedzieć. Dlaczego one nie pożarły, odstraszył je preparat?

— Nie mogły go wyczuć — powiedziała z przekonaniem Łana. — One brzydziły się trupa, ot co!

— Cicho — powiedział Luk szary, rozczochrany i śmiertelnie zmęczony. — Cicho... To moja wina. Trzeba było drugą frakcję... A ja się śpieszyłem... Jestem idiotą, wilcza krew!!

— Uspokój się — powiedziała Łana. — I tak to zrobimy Wymyślimy, jak... Tylko się uspokój. Może się prześpisz?

— Myślisz, że jak damy drugą frakcję, czystsza, to nie wyczują? — zapytał Dym.

Luk pokręcił głową.

— Drugą... trzeba było... ech...

Światło ledwo przenikało przez zasłonięte okna. Podłoga była gładka i czysta — ani pyłku czy słomki. Słomę dawno już zjedli, a kurz i piasek ciągle wymiata mama Łany. Zaczyna to przypominać jakąś psychozę — ciągle jeździ szmatą po czystej podłodze...

— Musimy spać — powiedziała Łana. — My wszyscy... My wszyscy, pomyślał Dym. Wszyscy — my... Czyjś błąd. Cudowny dar — rozum — który posiadało stado przeżuwaczy.

Śpiewający na placu, kopiujący ubrania i fryzury, tępo chodzący jeden za drugim. Szanujący opinie Lidera, jednakowi, skazani...

Siedzieli przy prymitywnym palenisku ramię przy ramieniu...

Dym położył prawą rękę na ramię Luka, a lewą na ramię Łany. Łana objęła matkę, matka objęła siedzącego obok chłopaka i oto już zwarty krąg milczących, na poły tylko znajomych, objętych, siedział przed prymitywnym paleniskiem i patrzył w ogień.

\* \* \*

*„Lider mówił tak: stało się, że nie możemy wyżyć be siebie; to nie jest przekleństwo i nie jest to błogosławieństwo.*

*Lider mówił: możemy gardzić sobą... Nie jesteśmy równi w stosunku do siebie i nigdy nie byliśmy równi. Wiązą nas ze sobą nasz strach, nasz głód, nasza głupota i nasza miłość.*

*My jesteśmy tym, co nas łączy”*

*(„ Opowieść o Liderze „)*

\* \* \*

Zbliżała się wiosna.

Gdzieniedzie na polach śnieg już stopniał, w odtajających miejscach, jak słoma z materaca, wyłaniała się ubiegłoroczna bura trawa.

A pod nią, jak się dobrze pogrzebie — zielone źdźbła. Błado szmaragdowa, nowo narodzona trawka.

Dym szedł przez pole. Odwykły od nieba nad głową, przyzwyczajony do niskich zakopconych sufitów, szedł walcząc z zawrotem głowy i oddychał pełną piersią.

Wiatr przesiąknął zapachem wilków. Dym uśmiechał się marzycielsko.

Przypomniał sobie Gospodarza z jego nieprzeniknionymi tarczami przykrywającymi uważne oczy. Nie zrozumiesz — mówił Gospodarz i ze współczuciem kiwał głową.

Ale zrozumiałem, bezgłośnie odpowiadał Dym, przebijając piętą osiadający szary śnieg. Wszystko rozumiem, a jeśli nie potrafię tego sformułować, to co... może wcale nie uważam, że to konieczne. Ale ty, Gospodarzu, na pewno mnie nie zrozumiesz.

Nie chodźcie stadnie? Wasze szczęście. Ale za to nigdy nie zrozumiecie jednej rzeczy... Zresztą, już przyrzekłem, że nie będę jej wyjaśniał. I tak dookoła mnie nie ma nikogo, poza wilgotną równiną, słodką trawą w ciemnych Plackach i zbliżającego się wilczego zapachu.

A wydawało mi się, że jak tylko wyjdę w pole, wilki sypną się jak groch. Ich nie jest tak znowu dużo, potrzebują czasu, żeby znaleźć zdobycz... Zaiste, strach ma wielkie oczy.

Obłoki są tak samo szare jak śnieg. W obłokach też są luki, tylko nie zielen z nich wyziera, a błękit, a z jednej dziury, na środku nieba, nagle trysnęło słońce. Dym zmrużył oczy.

Tak, Gospodarzu. Paś swoje stado, strzyż je, zbieraj sierść; za kilka pokoleń możesz je wysłać do ubojni, nie zasmucą się... Pójdą pokornie, szeregiem, jak chodziły zawsze i tylko tuż przed śmiercią pozwolą sobie na strach...

Nie, Dym potrząsnął głową, przeganiając zbędne myśli.

Stado musi się paść? Pod okiem pastucha albo pod spojrzeniem wilka? A to widzieliście?

I Dym, roześmiewszy się niczym wyrostek, pokazał szaro-niebieskiemu niebu nieprzyzwoity gest.

Niebo nie zareagowało.

Może i jesteśmy bydlęciem, myślał Dym, zapadając się po kostki w wodę, Może... Ale nie ty będziesz decydował o naszym losie, Gospodarzu. I nie wilki. Rozumiem, że masz głęboko w nosie te moje myśli, nawet się nigdy o nich nie dowiesz... Mam tylko nadzieję, że bardzo się zdziwisz, dowiedziawszy się o odrodzeniu naszej cywilizacji, ponieważ ona się odrodzi, Gospodarzu, i to jeszcze jak...

Zatrzymał się. Odetchnął, mimo wszystko odzwyczaił się od długich spacerów i szybkiego kroku. Mimo wszystko postarzał się, jakoś tak nagle, skokowo, tym bardziej było to dziwne, że jeszcze kilka miesięcy temu przyszło mu do głowy adorowanie dziewczyny...

Serce waliło tak, że aż podrygiwała pierś.

— Chodźcie tu — powiedział Dym.

Nabrał w płuca powietrza i krzyknął najgłośniejszym jak tylko potrafił:

— Hej, wy tam! Chodźcie tu!

Cisza. Szum wiatru w uszach i łomot serca w piersi.

Napięcie zaowocowało kręgami w oczach. Dym odetchnął znowu. Usiadł na śniegu.

Serce kołatało się, roznosząc po krwiobiegu wynalazek Luka. Jego pracę dyplomową — trzykrotnie oczyszczony, niedostępny najczulszemu węchowi preparat.

Z każdą sekundą krew Dyma zmieniała się w śmiercionośny koktajl. Syte wilki, niczego nie podejrzewając, wrócą do swych nor i przywleką śmierć ze sobą; już za trzy dni pojawią się pierwsze trupy. Choroba przeleci przez step, niewidzialny pożar wedrze się do lasów i tylko ci z szarych braci, którzy już jutro rzucą się do panicznej ucieczki — tylko ci, być może zdołają się uratować...

Jeśli się domyśla.

Przekleństwo stada na wilczą głowę. Oto czym to jest; przekleństwo spokojnych i delikatnych, nie potrafiących bronić się przy pomocy kuszy ani pochodni.

— Tak będzie — rzekł Dym.

Dlatego, że mógł tylko wierzyć. Wierzyć w pracę dyplomową Luka, wierzyć, że i Arti — Polowy nie ukradł swojego genialnego wynalazku, ponieważ ci, co malują na ścianach domów kwiaty, zdolni są do samodzielnych pomysłów...

I wierzyć, że Łana i Luk pozostaną razem. Nie jako elementy prostego mechanizmu pod nazwą „przedłużenie gatunku”, nie jako przypadkowi znajomi, nie idący po prostu obok siebie...

Zmrużył oczy.

Z płaskiego wzgórze na spotkanie pędziły mu...

Wypatrzył je od razu — w najdrobniejszych szczegółach. Wydawało się, że pod brzuchem największego wilka Dym mógłby przejść nie pochylając głowy; nogi, spod których tryskał na boki śnieg i woda, przypominały pokryte włosiem kolumny.

Śmierć za śmierć.

Jak kiedy gaszono pożary stepu, wypuszczając jedną ścianę ognia na drugą...

Śmierć pędziła na Dyma, nie podejrzewając, jak bliski jest jej własny koniec.

W ostatniej chwili jednak rzucił się do ucieczki — zwierzęcy strach wziął górę. Uciekał, zapadając się i potykając, i wydawało mu się, że ucieka.

Że ciągle jeszcze biegnie.

*tłum. Eugeniusz Dębski*

## **ROBOTNICY ZALUSTRZA**

Drodzy czytelnicy płci męskiej! Przypomnijcie sobie, ileż to razy wyrozumiale uśmiechaliście się, słysząc przepelniony przerażeniem kobiecy okrzyk: „Boże, ależ ja w tym lustrze koszmarnie wyglądam!”. Głupio, jeśli was to śmieszyło, oj, głupio. Kobiety są na ogół bardziej spostrzegawcze od mężczyzn. I to ich pokrzykiwanie jest kolejnym na to dowodem. Tak! Wyobraźcie sobie, że z każdego lustra rzeczywiście spogląda na was zupełnie inne odbicie. Widzicie, jak różni się ułożenie warg, linia czoła, wreszcie rysunek zmarszczek? W gruncie rzeczy tak właśnie powinno być. Jedno odbicie — utalentowane, drugie — takie sobie, a trzeciemu po prostu się nie podobacie...

Miłośnicy niezliczonych opowieści o tym, jak pewien bohater przeszedłszy przez lustro, znajduje się w symetrycznie odwróconym świecie, gdzie logika staje się absurdem, a dobro złem, będą prawdopodobnie rozczarowani prawdziwym stanem spraw. Nie taki znów odwrócony ów świat, a lustrzanej grający, bez względu na to, co twierdzi pan Dodgson, człowiekowi przekroczyć się nie uda.

No, chyba że za pomocą młotka.

Dobrze to zapamiętajcie.

Nie wiadomo dlaczego przyjęto, że są tylko dwa światy. Jeden po tamtej stronie lustra, drugi — po tej; a przecież przy pomocy pary luster z łatwością można przekonać się o istnieniu nieskończonego łańcucha zalustrzy z których każde (tu przyjdzie wam uwierzyć mi na słowo) znajduje się w dokładnie takiej samej izolacji.

Wszystkie są — podobno — zbudowane niemalże identycznie, dlatego też ograniczę się do krótkiego opisanie świata najbliższego naszemu.

To, co obserwujemy w ramie „mówiącego prawdę szkła” zwą roboczym lub pogranicznym zalustrzem. Na pierwszy rzut oka stanowi ono kopię naszej rzeczywistości, jednak tak naprawdę przedstawia sobą jedynie wnętrze przystrojonej skorupki i dopiero za nią zaczyna się właściwe zalustrze (zwane również zalustrzem głębokim), do którego spojrzeniem nie da się przeniknąć, nawet pomimo usilnych starań.

Opisanie owych niedostępnych dla nas rejonów jawi się zadaniem nader niewdzięcznym, albowiem z każdym nowym szczegółem obraz staje się coraz mniej wyraźny.

Pomimo to spróbuję...

Niezbyt tam jasno, trochę jak w nasz pochmurny dzień, gdy stalowe słońce z trudem wygląda spod równej, choć cienkiej warstwy obłoków. Żadnych konkretów — wszystko jest rozmazane, rozmyte. Czasem trudno zorientować się, gdzie góra, a gdzie dół. Jedyny punkt odniesienia to tęczowa jakby zamglona kula, coś na podobieństwo ogromnej lampy, która zresztą nie świeci. Jeśli przyglądać jej się dłużej i dokładniej, da się zauważyć, że mglisto — tęczowy gigant rusza się niczym mrowisko — zmienia kształt, barwę, wyrzuca protuberancje — wszystko to, oczywiście, z niesamowitą powolnością...

Właśnie tak wygląda, oglądana z daleka, giełda odbić. Porównanie z mrowiskiem szwankuje brakiem precyzji — giełda ta bardziej przypomina zwarty pszczeli rój. Każdego dnia na Ziemi umiera diablo wielu ludzi, tłucze się także wcale nie mniejsza ilość luster — i osierocone odbicia od razu ściągają na giełdę w poszukiwaniu nowej pracy. Jak by się to nie wydało dziwnym, dla nich to także kwestia życia lub śmierci, gdyż w oderwaniu od lustra długo nie pociągną.

Obserwować giełdę można praktycznie zewsząd. Ocenia się, że leży ona w miejscu odpowiadającym mniej więcej środkowi głębokiego zalustrza. W rzeczywistości, kipiąca namietnościami kula ciągle i niezauważalnie przemieszcza się po nie dającej się przewidzieć trajektorii. Dokładnie jak biegun magnetyczny Ziemi.

Prócz tubylców spotkać można na giełdzie także odbicia z ulicy: ze strumieni, ze studni. Zadziwiająco, że przy takim napływie chętnych do pracy, pseudolampa jeszcze nie nabrzała do rozmiarów wszechświata. Fenomen ten można wyjaśnić na dwa sposoby. Nie podejmuję się oceny czy, a jeśli tak to na ile, przeczą one sobie nawzajem. Pierwsze wyjaśnienie: inne prawa fizyki, kiedy coś większego z wszelkimi wygodami mieści się w czymś mniejszym. I drugie: razem z giełdą rozszerza się i samo zalustrze...

Pozostałe obiekty zalustrza są już zdecydowanie mniejsze. W ogromną i jakby zakurzoną przestrzeń wmontowano w bezładzie skomplikowane geometryczne ciała o kształtach w większości prostokątnych — ni to odlane z metalu, ni to wytłoczone z grubej folii, każde rozmiarów pokoju. W rzeczywistości są to odbicia pokoi. Tak wyglądają od zewnątrz.

Przy całej swej pozornej nieprzystępności owe formacje (tu przyjęto nazywać je pawilonami) nie są niczym więcej jak złudzeniem optycznym. W każdy z nich można wejść wprost przez ścianę, choć zazwyczaj za coś takiego można zostać ukaranym.

Wszystkie pawilony są tego samego koloru — rtęciowoszare, albowiem malowanie zewnętrznych ich części, sami przyznacie, nie ma żadnego sensu. Wokół każdego z nich w bezładnej obfitości porozrzucane są widma niedopałków, kartonowych pudeł a nawet parasoli. Dla przykładu: odbicie człowieka wyszło z odbicia pokoju w głębokie zalustrze. W rękę niesie siatkę na zakupy. No i gdzieś ją zostawia. Oczywiście, siatka z pewnością przyda się jeszcze przy powrocie, ale w tym cały dowcip, że niewidzialnemu personelowi technicznemu łatwiej jest odbić od nowa nieożywionkę niż szukać, gdzieś się ona, zaraza, zapodziała. Dopiero co przecież tu była!

## ODBICIE # 1

Nieopodal pawilonu o surowych, niemalże sześciennych kształtach, stał, czy może raczej unosił się w jasno szarej mgłę, na wpół rozwalony kuchenny stolik, w rzeczywistości dawno już nie istniejący. Trzy miesiące temu został wyrzucony razem z resztą chlamu, lecz jego odbicie, jak widać, na coś się przydało. Tak samo zresztą, jak odbicie starej talii kart do gry.

Grali zazwyczaj w durnia, gdyż preferans zajmował zbyt wiele czasu. Jeden z graczy był w tej chwili nieobecny. Odtwarzał rolę właściciela mieszkania, dlatego też z wolnym czasem zawsze było u niego krucho, czego w żaden sposób nie można by powiedzieć o dwóch pozostałych karciarzach. Oba odbicia bywały zajęte w lustrze od przypadku do przypadku, gdyż przyjaciel z dzieciństwa zachodził do gospodarza w gości rzadko a syn z pierwszego małżeństwa — jeszcze rzadziej.

— Wziął... — gderliwie oznajmiła lustrzana kopia przyjaciela z dzieciństwa, tęgiego mężczyzny lat czterdzieści i zgarnęła karty. Pomięta twarz, pod oczyma — zastrasające worki koloru węgla... Ma się rozumieć, w wolnych chwilach odbicie mogłoby wyglądać bardziej reprezentacyjnie, jednakże panuje powszechna opinia, że nawet po opuszczeniu pawilonu z roli wychodzić nie wypada.

Z niewyraźnej srebrzystoszarej skorupy o sześciennych kształtach od czasu do czasu dobiegał pełen napięcia, rozkazujący głos niewidzialnego dyspozytora. Sądząc po charakterze komend, właściciel mieszkania właśnie zamierzał wydostać się na świeże powietrze:

— Uwaga! Otwiera drzwi! Poszedł przeciąg... Trzeci. Potrząśnij pajęczyną! Piąty, zasłonkę! Zasłonkę unieś.

— Jasny szlag! — rzekło ze złością odbicie atletycznie zbudowanego młodzieńca (syna z pierwszego małżeństwa — Czego ty jeszcze nie każesz zrobić! Choćby jedno atu.

W szarej ścianie pawilonu rozdziawiła się prostokątna wyrwa, ukazując część przestrzeni niedbale umeblowanego pokoju i w wewnętrzne zalustrze weszło, zataczając się, mocno pijane odbicie Wasilija Połupałowa, ubrane jak do wyjścia: buty, czapeczka narciarska i palto, z której bieszeni wystawał fragment plastikowej torby. Zamknąwszy za sobą drzwi, odbicie powstało chwilę w niewesołej zadumie, po czym podeszło do grających.

— Przerznięś, wujku Semenie! — radośnie oznajmił młodzieniec. Z rozmachem wyłożył na kuchenny stolik trzy karty pod rząd, a w ślad za nimi jeszcze jedną. — Załapałeś, jak cię załatwiliśmy? Bez jednego choćby atu! — Odwrócił się do zamyślonego odbicia właściciela mieszkania. — No co, Wasia, wyprawileś go? Siadaj, zagramy partyjkę...

— Tego jeszcze brakowało... — burknął tamten, ale mimo to przysiadł na nie zajęтым odbiciu taboretu. — Znów po piwo pobiegł! — oznajmił zrzędliwie. — Zaraz z powrotem się przywlecze... O ile, oczywiście, milicja nie zgarnie go gdzieś po drodze. — Zamilkł i dodał ponuro: — Zupełnie się rozpił, przyglup...

— Lustro przetań? — zainteresował się młodzian, rozdając karty.

— Lepiej by było, gdyby nie przecierał! — wybuchnął właściciel. — Tylko kurz szmatą rozmazał...

Pokonany grubas przyjrzał się dopiero co otrzymanym kartom, zasepił się.

— Sam sobie jesteś winien — zauważył nieprzyjaźnie.

— Ja?! — wzburzyło się odbicie właściciela. — On ma w mieszkaniu burdel, a ja, wychodzi na to, mam za to odpowiadać?

— A kto? Ja? My przecież nie tylko powinniśmy ich odbijać, my ich powinniśmy wychowywać.

— No, zacząłem! — z irytacją rzekł młodzieniec. — Hej, wujku Semenie, odpuść, co? Lepiej wistuj...

Niezadowolony wujek Semen wyszedł w czerwo, jednakże uspokoić się nie zamierzał.

— Musisz mi wybaczyć, Wasia — rzekł postępując — ale bezdusznie tylko go odbijasz, bezdusznie... Na zimno, technicznie poprawnie, nie przeczę, ale bezdusznie. Odbij go tak, żeby żyć mu się zachciało, pić odechciało i żeby lustro jak należy zechciał przetrzeć...

— Chrzanić to! — wyszczerzyło się odbicie gospodarza.

— Patrzcie go! Romantyk się znalazł! Nic z tego! Realistą byłem, realistą zostanę. Niech widzi swój pysk takim, jakim jest naprawdę! Biję...

— Szósteczką — szepnął mu zza ramienia ktoś niewidzialny. — Szósteczką, Wasia! On dziesiątką przykryje a ty wtedy... Masz przecież dwie dziesiątki!

— Pst! — nie oglądając się, rzucił właściciel. — Tego jeszcze brakowało, by obsługa mi tu podpowiadała! Idź lepiej zasłoną pokolysz...

— A po kiego ją kołysać? — obraził się niewidzialny. — I tak nie ma kto na nią patrzeć! Wszedł twój orzeł i drzwi zamknął.

— A dyspozytor? — zainteresował się wyniośle młodzieniec.

— Jego też nie ma. Od razu na giełdę się zwinął.

Wszyscy mimowolnie spojrzeli na tęczową kulę giełdy. Wszyscy, prócz wujka Semena. Chmurzył się wujek Semen, znów przegrywał.

— Patrzę ja na was, na młodzież... — powiedział ze złowróbnym uśmiechem, zbierając zdobyte odbicia kart. — To wam się nie podoba, tamto wam się nie widzi... Kurz mu, popatrz,

przeszkadza! A przecież myśmy w waszym wieku, wyobraź sobie, nie biadolili, nie wybrzydali... Ty w ogóle wiesz, gdzie po raz pierwszy w lustrze się odbiłem?

— Wiem — burknął gospodarz. — W Koryncie.

— O! — rzekł wujek Semen i potrząsnął uniesioną kartą.

— Korynt! — powiedział z rozmarzeniem, bijąc króla atutową siódmką. — A potem jeszcze w Atenach popracować zdążyłem... Taak, to były inne czasy, panowie komedianci! Złoty Wiek! Hellada! Antyk! A w czymże się odbijaliśmy? W polerowanym brązie, do diabła! A jaką kulturę odbijaliśmy!

— Lepiej już w brązie niż w kałuży...

— A ty skąd się wzięłeś? Nie z kałuży aby?

— Kałuża kałuży nierówna. Jednakże, wujku Seme — nie, znów zostałeś durniem...

Wujek Semen chrząknął i, rzuciwszy karty, ze złością wpatrzył się w tonące w pochmurnym półmroku zakurzone głębiny zalustrza. Tu i ówdzie szara monotonia naruszona była przez kolorowe plamy — to piętrzące się stosy zgranych, na wpół rozwalonych odbić mebli pokojowych, obecnie przysposobionych dla zaspokajania potrzeb obywateli mrocznego świata — przede wszystkim do gier planszowych.

— Taak, nie da się ukryć — zmuszony był przyznać weteran. — Może jeszcze raz?

— E, nie, nie zdążymy. — Gospodarz podniósł się i spojrzał na ślepy, rtęciowoszary sześcian pawilonu. — Chociaż... Coś się spóźnia, mój sokolik! Do kiosku przecież jeden krok...

— Uwaga! — niezbyt głośno, lecz wyraźnie zabrzmiało nie wiedzieć skąd. — Odbicie Wasilija Jegorycza Połupałowa, osiemnaście trzydzieści sześć, pilnie do lustra siedem er-ka pięćset sześćdziesiąt jeden osiemset trzydzieści jeden!

— No tak, znów go do żłobka zgarnęli! — z goryczą oznajmił gospodarz. — Siła złego...

— A czy w ogóle na milicji to lustra bywają? — wyraził wątpliwość młodzieniec. — Jakoś o czymś takim dotąd nie słyszałem. Może do sklepu poszedł, a ty od razu: żłobek, żłobek!

— Ech! — Gospodarz machnął ręką z irytacją. — Co oni tam, w sklepie, statystów nie mają? Nie ma kto odbijać? Wielka rzecz! Raz dwa machniesz — i wolnyś... Nie, jeśli już na gościnne występy wzywają, to nie przelewki... — Iz ledwo uchwytnym kolorowym błyskiem zanurzył się w mgliście szare otchłanie — tam, gdzie powinny znajdować się kulisy nieznanego lustra o numerze siedem er-ka pięćset sześćdziesiąt jeden osiemset trzydzieści jeden.

## ODBICIE # 2

To, co robotnicy zalustrza, uwielbiający przy każdej zdarzającej się okazji zabłysnąć wyłowionym z realności zwrotem, dumnie nazywają występami gościnnymi, nieczęsto im się przytrafia. Załóżmy, że zaproszono kogoś do domu, w którym nie był jeszcze ani razu. A tam, naturalnie, jest lustro. Oczywiście, miejscowy dyspozytor może nie oglądając się na nic, wziąć do trupy pierwszego bezrobotnego z brzegu, w przyzwoitych lustrach tak się jednak nie robi. Następuje wezwanie. Przybywa aktor na gościnne występy — najlepiej ten, który odbija danego człowieka od dłuższego już czasu. I kiedy on odgrywa gościa, ktoś (najczęściej sam dyspozytor) obserwuje jego pracę, by następnie udać się na giełdę, gdzie, w oparciu o dokonane obserwacje, wybiera coś podobnego na przyszłość.

W istocie wezwanie to także uznanie dla twojego mistrzostwa, tak więc niezadowolenie Wasilija było, bez wątpienia, nieszczerze. Schlebiono Wasilijowi...

— Panowie! — błagalnie zawołał ktoś niewidzialny.



— A może bym tak i ja raz z wami w karty pograł? — I obok stołu nieśmiało pojawiło się coś bladego, prawie człowiekopodobnego, pozbawionego jednak jakichkolwiek indywidualnych rysów. Kołysało się i trzęsło, gotowe rozwiać się od razu przy pierwszym objawie sprzeciwu.

— Słuchaj no! — powiedział młodzieniec, nerwowo tasując karty. — Jeszcze z obsługą w durnia nie grałem! Partner, psia mać!

Widmo zmieszało się, zatarło...

W tym miejscu należy zauważyć, że odbicia ludzi (albo jak same siebie nazywają — postaci) — do swych niewidzialnych pomocników, do tego proletariatu zalustrza, odnoszą się odrobinę lekceważąco. Jeśli w ogóle kogokolwiek szanują — to tylko dyspozytora. Albowiem dyspozytor, choć jest niewidzialny, odpowiada za całość odbicia. Dlatego kłócić się z nim, broń Boże, nie należy. Taki to ma prawo i od lustra odstawić.

Z pozostałymi niewidzialnymi robotnikami — tymi, którzy zarządzają materią nieożywioną — postaci w większości się nie cackają.

— Ja tylko... Ja tak... — wymamrotał widmowy proletariusz, rozmywając się ostatecznie. — Myślałem, że dopóki nie ma nikogo...

— Nie w tym rzecz — ponuro zauważył wujek Semen. — Po prostu lepiej, żebyś nie przywykał do widzialności. — Pograłbyś z nami w karty raz, drugi, a potem, nie daj Bóg, zapomnisz się i objawisz się jak za dawnych czasów — prosto w pawilonie! I to na dodatek z takim wyglądem. I Zawał serca gwarantowany...

W odróżnieniu od dużo młodszych współbraci w rzemiośle, gruby wujek Semen z obsługą rozmawiał bez owijania w bawełnę. Pamiętając o starożytności swego pochodzenia (w Koryncie, kurczę, po raz pierwszy się odbił — nie w kij dmuchał!), w stosunku do całej tej młodej latorośli, widzialnej i niewidzialnej, odnosił się zupełnie jednakowo.

— A co, zdarzyło się już coś takiego? — zainteresował się młodzieniec.

— Co masz na myśli?

— Nno... zapomniał się i pojawił...

— I to jak! — zachichotał weteran zalustrza. — Za mojej tylko pamięci — cztery razy, jeśli nie więcej! Jak sądzisz, skąd się wzięły te wszystkie bajdy o zjawach? To obsługa narozrabiała.

— I co ją za to spotyka?

— Wyrzucają z zalustrza — i po wszystkim! Idź sobie, chociażby obłoki po jeziorze wte i wewte ciągnij... Dobra młody, rozdawaj.

Młodzieniec rozrzucił karty.

— No, nas także za takie numery gonią... — zauważył z wyniosłą miną. — Tylko od święta odpuszczają... — Coś tam, widać, sobie przypomniał i uśmiechnął się od ucha do ucha. — Przybiegają w Boże Narodzenie z sąsiedniego szkiełka. — „Słuchaj, mówią, tam nasza gospodyni na stare lata zupełnie postradała zmysły, narzeczonego chce w lustrze zobaczyć. Idź, pokaż się. No, a ja co? Poszedłem, pokazałem się. Śmiechu było! Wyobraź sobie: siedemdziesiąt lat wiedzmię, a tu nagle moja mordą...

— W święta — można... — po dłuższym namyśle, przestudiowawszy otrzymane karty, potwierdził wujek Semen. — Taa... No, teraz zobaczymy, kto kogo...

— W asa... — rozpaczliwie zaszeleściło z tyłu. — W asa wyjdź...

— A ty, zamiast rad udzielać — z naciskiem rzekł wujek wychodząc z dziewiątki trefl — lepiej zajmij się stołem, jeśli już nie masz co robić. Po nóżkach zaraz tylko wspomnienie zostanie...

Rzeczywiście, końcówki nówek zaczynały właśnie powoli tajać i rozpadać się. Podobnie zresztą jak i rogi blatu Wyrzucona z lustra nieożywionka długo nie pożyje.

Weteranowi zalustrza udało się w końcu wygrać, co wprawiło go w wesół nastrój.

— Chcesz się odkuć? — spytał.

— Wystarczy, mam już dość... — Młodzieniec odłożył talię. — Wujku Semenie, a jak tam było... w Helladzie?

— N — no... — Weteran rozejrzył się z zakłopotaniem. — Jak by ci to powiedzieć, Jegorze..? Zalustrze i w starożytnej Grecji było zalustrzem, Co prawda mniejsze, mętniejsze i odcień inny... Takie, rozumiesz, śniadawe jakieś... Ale to zrozumiałe! Bo z czego robili lustra? Z miedzi, z brązu...

— Ach nie, ja nie o tym! Powiedz, kogo tam odbijałeś?

— Hmm... — Weteran z zadowoloną miną pogładził czarne worki pod oczami. Jakby wąsy prostował. — Odbijałem, Jegorku, odbijałem... Kogo ja tylko nie odbijałem! Ludzie wtedy byli... Dzisiejsi nie mają się co z nimi równać. Aminokl, syn Kretyna — słyszałeś o takim? — Ściągnął brwi, zerknął na radośnie szczerzącego zęby Jegora. — Nie szczerz się, nie szczerz! Śmiesz go to! Ów Aminokl, tak między nami, taki majątek zrobił na katastrofie floty Kserksesa, że inni mogli tylko o takim pomarzyć...

— I ty go odbijałeś?

— No, nie całkiem jego... — wymijająco odpowiedział wujek Semen.

— A kogo?

— Jego niewolnika...

— Aha... — Jegor był wyraźnie zawiedziony. Weteran obraził się.

— Przestałbyś odstawiać takiego paniczyka! — wykrzyknął — Zapamiętaj: nie ma złych ludzi, bywają tylko złe odbicia. Kapujesz?

Zamilkli. Oczywiście, ich doświadczenia życiowe były nieporównywalne. U Jegora — pierwsze lustrzane wcielenie, a u wujka Semena — trudno nawet powiedzieć, które. Możliwe, że i on sam już pomylił coś w rachunkach. Szczerze mówiąc, z pamięcią u odbić jest jeszcze gorzej niż u nas. I choć wujek Semen opowiadał o świecie antycznym często i z przyjemnością, niewiele zostało w nim ze starożytnego Greka. Nic w tym dziwnego: wszak tyle stuleci minęło...

— A ty, zamiast tutaj w karty ze mną grać, lepiej na giełdę byś zajrzał — poradził nagle weteran. — Rozejrzyj się, pogadaj, dyspozytorów popytaj, co i jak. Kolejkę zajmij...

— Zdążę jeszcze — beztrąsko odparł Jegor. — Młodzi jesteśmy!

— Jakby ci to powiedzieć! — złowieszczo uśmiechnął się wujek Semen. — Człowiek, rozumiesz, dziś jest, jutro może go już nie być. Niech kumple załatwią twojego Jegora — co wtedy będziesz robić?

Młode odbicie zamyśliło się na chwilę trwożnie.

— Akurat! Załatwił — powiedziało z pogardą. — Żeby on ich nie załatwił! Nic z tego! Kawał chłopca. Da sobie radę.

— A jeśli przedawkuje narkotyki?

Tym razem młodzieniec zamyślił się na dłużej.

— Albo nasz Wasienka, nie daj Bóg, lustro rozbije po pijaku — dręczył dalej weteran. — Do okrucuchów nie pójdziesz, do większego formatu przywykłeś... Mam rację?

Jegorek mroczył w oczach.

— Jeśli rozbije, to wszyscy będziemy mieli przerąbane — powiedział ponuro. — I ty też...

— O mnie się nie martw — drwiąco, z wyższością zapewnił go wujek Semen. — Nie zginę. Na giełdzie mnie od tysiąca lat znają, a poza tym jestem tak charakterystyczny! Menela odbić? Odbiję. Punka? Cóż prostszego... A choćby nawet referenta turkmenbaszy!

— A prostytutkę? Weteran zastękał.

— Nie... — przyznał z westchnieniem. — prostytutki, niestety, nie dam rady. Kobiety, Jegorku, wciąż stanowią dla mnie zagadkę...

Jegor przygryzł wargę.

— A w ogóle, to często przychodziło ci bez roboty się włóczyć?

— Często gęsto! A o czym my tu rozmawiamy? Nie ograniczaj się, nie ograniczaj do swojego Jegorka! Masz trochę wolnego czasu — jednego z siebie spróbuj ulepić, drugiego... Bo inaczej — przyjdiesz na giełdę, tam ci powiedzą: „Pokaż, co umiesz!”, ty im, co zrozumiałe, pokażesz Jegorka. „No co? — powiedzą. — Wspaniały Jegorek! Wykapany Jegorek! A pokaż ty nam kogoś jeszcze. Choćby w ogólnych zarysach.” No i się urządzisz. Wiesz, jak to się nazywa? Odbicie jednego człowieka. Zrobił twarz — i już przy niej pozostał! Och, ilu ja takich widziałem. Taki rad byłby kogoś innego odbić i nie może, Jegorze, nie może! A bywają jeszcze tacy, którzy, choć mogą, to nie chcą...

— Jak to?

— Najcięższy przypadek — rzekł po chwili milczenia wujek Semen. — Przywiąże się odbicie do człowieka i więcej już nikogo znać nie chce. Człowiek dawno umarł, a odbicie wciąż łązi po zalustrzu. I dobrze, jeśli tylko łązi! A to i do lustra wleźć próbuje...

— O żesz ty! — ramionami Jegora wstrząsnął dreszcz.

— To, kto wie, większy byłby odjazd niż w przypadku obsługi. I co się z nimi potem dzieje?

— To samo. Postać non grata! Słyszałeś ten żarcik? Kopa w tyłek — i cześć!

— No nie... Ja o tych, którzy do lustra nie włożą, tylko łążą.

— Stół widzisz? — spytał wujek Semen.

Jegorek mrugnął, potem z niepokojem zerknął na rozplływający się, nadtopiony róg stołowego blatu — i tak jakoś pobladł, widać wyobraził sobie, że coś podobnego może się wydarzyć i z nim samym. Straszne to wszystko. Ryba psuje się od głowy, odbicie rozpada się od twarzy — A najstraszniejsze w tym jest to, że ono samo tego nie zauważa...

Ciekawe, ile czasu można wytrzymać, nie zbliżając się do lustra? Rok? Dwa? Pewnie nie więcej...

### ODBICIE #3

Z przygnębiających rozmyślań wyrwał Jegora głos wujka Semena.

— No i co? — rzekł w zadumie weteran, spoglądając na spłaszczoną kulę giełdy, która wyraźnie się przemieściła. — Coś mi się wydaje, że Wasiulkę naszego na dłużej zabrali. Chodźmy, Jegorze, coś ci pokażę... — I podniósłszy się, skierował swe kroki w stronę szarego pudła pawilonu.

Jegor popatrzył za nim z zakłopotaniem.

— A jeśli wróci? — upomniał go.

— Nie sądzę — odparł weteran i, nie oglądając się, prosto przez ściankę wkroczył do pawilonu.

...odbicie pokoju rzeczywiście było mętne. Gdyby nie stary regał z zakurzonymi książkami, rzecz by można, że to typowa nora alkoholika: rząd gotowych do zwrotu butelek pod oknem, zwisający z kanapy materac, wydeptany i poprzepalany w kilku miejscach dywan...

— Tak — z żalem stwierdził wujek Semen. — Ze szkiełkiem to on, co tu kryć, tego... niepotrzebnie...

Tyłna strona nowiutkiego lustra wyglądała wręcz tragicznie: nakładające się na siebie szerokie smugi, pozostawione przez wilgotną ścierkę, zdążyły podeschnąć i powietrze odbite w granicznym lustrze wyglądało teraz, jakby składało się z kilku warstw.

— No nie, chłopaki, całkiem wam odbiło! — żałośnie zaskomlał ktoś z niewidzialnej obsługi. — Gdzie do pawilonu? I to jeszcze przez ścianę! Nie wolno przecież... Wujku Semen! Jesteś tu

najstarszy! Dostanie nam się przez was...

— Zamknij się — całkiem przyjaźnie poradził wujek Semen i żalony głosik zamilkł.

Jegorek lekko spojrzał na pusty prostokąt lustra, dziwnie mu było i tak jakoś niezwykle znaleźć się w pawilonie ot tak sobie, nie widząc naprzeciw siebie swego bliźniaka, którego wszystkie ruchy należy niezwłocznie odgadywać i powtarzać.

— A po kiego my tutaj, wujku Semen? — spytał półszepem.

Ten, miast odpowiedzieć, pochylił się stękając i wyciągnął spod stołu odbicie wielkiego lustrzanego odłamka, przypominającego ostrze jataganu.

— O zesz ty! — powiedział Jegor. — A skąd się to wzięło? Daj popatrzeć!

— To wszystko, co zostało po starym lustrze — wyjaśnił wujek Semen. — Tak sobie myślę, że Waśka niedługo przed nami je trzasnął. Resztę szkła wynieśli, a to — choć niby na widoku leży — przeoczyli...

— Zapamiętaj moje słowa... — ze złością zaszepotało w pustym kącie. — Specjalnie potem na miejsce nie odłoży...

Kołysała się tam przypominająca porwaną pończochę pajęczyna.

Chwyciwszy z ostrożnością lustrzany jataganik w obie ręce, Jegorek z drzeniem spojrział weń — i zobaczył swoją wykrzywioną twarz.

— Słuchaj no... — wypuścił powietrze wstrząśnięty. — A nas to kto tam odbija?

Wujek Semen chrząknął i podrapał się w tył głowy.

— A cholera go wie! — odpowiedział z nadmiarem szczerości i zabrał szkło. — Zasłoneż zasun... A potem idź do kąta. Do tamtego, prawego...

Jegor wykonał polecenie. W pokoju całkiem pociemniało. Lśnił tylko prostokąt naściennego lustra. Okienko na realny świat.

Wujek Semen odwrócił krzesło i, siadłszy plecami do lustra, zaczął wpatrywać się w trzymany odłamek. Wpatrywał się długo. Poruszał ustami.

— I co? — spytał w końcu Jegor.

Weteran zerknął na niego z niezadowoleniem, ale szkło opuścił.

— To znaczy tak — powiedział, podnosząc się. — Zabalował twój Jegor, drugi tydzień już nawet czubka nosa nie pokazuje... Co wtedy robisz? Kiedy nikogo nie ma, przychodzisz tutaj, zasuwasz zasłony, siadasz i patrzysz — I wymyślasz mu, wymyślasz, ile wlezie... Zrozumiałeś.

— I co się stanie?

— Czasami nic. A czasami pojawi się, nawet nie zdołasz się obejrzeć.

Z ogromnym niedowierzaniem młodzieniec wziął odłamek i usiadł. W lustrzanej powierzchni jatagana objawił się ciemny kształt krótko ostrzyżonej głowy z odstającymi uszami.

— Ty koźle! — z brakiem zdecydowania oznajmił Jegor swojemu odbiciu.

Po chwili nabral podejrzeń, że wujek Semen po prostu nabija się z niego i już chciał wstać, gdy naraz powierzchnia szkła pokryła się zmarszczkami i Jegor ujrzał wprost przed sobą wykrzywioną złowrobną radością, nieznaną kobiecą twarz. Odskoczył. Twarz zniknęła.

— Co się stało? — spytał z ciekawością wujek Semen. Jegorek mrugał oczyma.

— Jakaś baba — wymamrotał.

— Baba? — spytał, wyraźnie zaskoczony, wujek Semen. — Hmm... Interesujące. No, pokaż...

Każdy z nich powtórzył doświadczenie, ale rozradowana furia więcej w lustrze się nie pojawiła.

— Taak... — z rozczarowaniem rzekł wujek Semen. — Zalustrze, zalustrze... Ni diabła się nie połapiesz!

Położył odłamek na krzesło i skierował się do wyjścia, kręcąc głową.

— Widziałeś to? No nie, widziałeś, co oni wyrabiają? — zaszepotało w kącie. — Rozgrzebali wszystko i poszli, jakby nigdy nic...

— Wujku Semenie! — krzyknął zdezorientowany Jegor.

Ten odwrócił się.

— Słuchaj! — Młode odbicie, tajemniczo wybałuszywszy oczy, wskazywało palcem na lśniący spód naścienne — go lustra. — My myślimy: rzeczywistość, ten — tego... A może oni tam także kogoś odbijają?

Weteran zamyślił się na sekundę.

— Zapewne — rzucił, opuszczając pudło pawilonu.

## ODBICIE # 4

Wrażliwy Jegor długo nie mógł dojść do siebie. Karty sypały mu się z rąk. Myśl o tym, że ktoś tam w zalustrzu-2 nabijał się z niego dokładnie w ten sam sposób, w jaki on nabijał się w okolicach Bożego Narodzenia z pewnej zabobonnej staruszki, objawiwszy się w charakterze narzeczonego, wprawiła go — co tu kryć — w osłupienie.

— Wujku Semenie — zapytał z zakłopotaniem. — A ile jest w sumie zalustrzy?

— Od groma i ciut ciut — kompetentnie odparł tamten.

— Jak dziś pamiętam: dyskutowałem w Aleksandrii z odbiciem pewnego gnostyka...

— Że co? — nie zrozumiał Jegor.

— Po prostu, zalustrze mniejsze było, nie to co teraz!

— nie złowiwszy sensu pytania, wyjaśnił weteran. — Z każdym obcujesz ot tak sobie, jakbyś był na wsi. Tak więc on to wszystko, Jegorze, bardzo dokładnie wyjaśnił... Od groma, mówię, Demetriuszu! Nazywano mnie wtedy Demetriuszem... A może Proklem? — Zmarszczył brwi z zakłopotaniem. — Nie, jestem pewien, że Demetriuszem. Problem — to wcześniej...

Jegor chciał dokładniej wypytać o łańcuch zalustrzy, ale nagle coś zmusiło obu rozmówców do podniesienia wzroku.

— Proszę, już wracamy z gościnnych występów — rzekł wujek Semen. Mylił się.

Intensywny kolorowy błysk, który przemknął do nich z rozmytych głębin mrocznego świata, przyniósł nie Wasilija, lecz sympatycznego mężczyznę w wieku mniej więcej około czterdziestu lat, łysawego, z niewielką bródką i w okularach.

— A, wujek Lenia... — przywitał go Jegor, uśmiechając się z trudem. — No i co tam słyhać na giełdzie?

Nowo przybyły, mrużąc ze smutkiem oczy, spojrział na karciarzy, potem przeniósł wzrok na metalicznie pobłyskujący pawilon, wewnątrz którego skrywało się odbicie pokoju, należące do nieobecnego w tym momencie Wasilija Połupałowa.

— Szkoda gadać! — odparł z absolutną szczerością, ponownie patrząc na kolegów po fachu.

Było to odbicie Leonida Witaliewicza Archedy, jeszcze jednego serdecznego przyjaciela wspomnianego Wasilija.

Jak by to nie wydawało się dziwne, w skład trupy wchodziły raptem cztery osoby. Przypadek, co tu kryć, wyjątkowy. Rzecz w tym, że jedyne lustro zdobiące pokój dopiero co owdowiałego Wasilija Połupałowa, zostało mu подарowane tuż przed Nowym Rokiem (to jest raptem trzy miesiące temu) przez Semena, kumpla z dzieciństwa. Rozpakowywali i myli nabytek we czterech: gospodarz, darczyńca, Leonid Witaliewicz i Jegorek. I od tamtej pory, prócz nich, nie odbiła się w tym lustrze jeszcze żadna inna zaraza.

W trakcie minionych trzech miesięcy Semen zachodził do Wasilija dwukrotnie, Jegorek — jeden raz, Leonid Witaliewicz Archeda zaś zginął bez śladu. W końcu jego lustrzany bliźniak nie

na żarty przeląkł się i zmuszony był zadać sobie pytanie: czy człowiek, którego odbija, pozostaje jeszcze wśród żywych? Tym bardziej, że, z tego co pamięta, rozmowy prowadzone w trakcie mycia prezentu były bardzo niepokojące.

Powodowany niewesołymi myślami, na oślepe ciskał się po całym zalustrzu w poszukiwaniu Archedy. Przedsięwzięcie cokolwiek ryzykowne, zwłaszcza jeśli się zważy, że węzeł sieci informacyjnej, zwanej tu także szczekaczką, stanowiło właśnie lustro, a nie postać. Innymi słowy, jeśli włączysz się nie wiadomo gdzie, a w tym czasie będziesz miał wyjście, to nawet nie zdążą cię o tym powiadomić. Jeśli będziesz miał szczęście, to ktoś ze znajomych cię zastąpi, jeśli nie — nawet nie zdążysz się obejrzeć, a znajdą kogoś nowego na twoje miejsce. Tym bardziej, że chętnych można liczyć na pęczki.

Dlatego też postaci nawet w czasie wolnym od odbijanki starają się trzymać jak najbliżej swojego pawilonu.

Nie można było powiedzieć, że poszukiwania nie przyniosły jakichkolwiek rezultatów. Udało się ustalić, w jakich jeszcze lustrach pojawiał się Archeda, porozmawiać z innymi jego bliźniakami, tak jak on mocno wystraszonymi nagłym zniknięciem Leonida Witaliewicza. Nie byli w stanie podać żadnych konkretów, wszyscy jednak byli przekonani, że najwyższy czas rozejrzeć się za nową robotą.

— Szkoda gadać! — powtórzył włóczęga, przysiadając na brzegu stołka.

— Tłok? — ze współczuciem spytał wujek Semen.

— Nie to słowo! I gdybyż to był zwykły tłok... Powiedz, Semen, dokąd to zmierza świat? Wszędzie wokół, z przeproszeniem, triumfuje radosne beztalencie! Ten słynny underground! Z kałuży nie zdążyli na dobre wyleźć, a już do lustra się pchają! Ani techniki, ani talentu — sama bezczelność! Nie to jest jednak najgorsze, lecz fakt, że biorą ich, Semen, biorą!

— Nno... przecież wszyscy kiedyś od studni i kałuży zaczynaliśmy — pojednawczo zauważył wujek Semen.

— Też mi porównanie! My nad sobą pracowaliśmy, mistrzostwo cyzelowaliśmy! Nie tyle o lustrach — o odprysku lustrzanym marzyć nie śmieliśmy! Oberwaniec jakiś obok kałuży się wywalił — a ty, bywało, mordę jego fioletową, co do najmniejszej zmarszczki, co do ostatniego włoska odbijałeś... Sam Górki usechłby z zazdrości! A im wszystko jedno czy płot odbijają, czy też menela pod płotem... Słowo honoru, zła nigdy wiele! — W tym momencie zauważył zmarszczone Jegorkowe brwi i, w porę się powstrzymując, spuścił z tonu. — No nie, zdarzają się, oczywiście, i wśród nich wyjątki. Taki Jegor na przykład! Także przecież mleko ma pod wąsem, a zakochać się można w jego robocie... Ale reszta, cała reszta!

Wazeliniarstwo jednakże nie pomogło.

— Słuchaj! — Jegor, nadawszy się wystąpił w obronie swych rówieśników. — Wujku Lenio! Czepiasz się bez powodu. Sam przecież mówiłeś: biorą ich do luster prosto z wystaw, z kałuż... A wiesz, dlaczego?

— Po znajomości! — odgryzł się Archeda. — Przebij się jeden w dyspozytory i dawaj do trupy swoich kumpli brać! Z rodzimej kałuży...

— Tak? — Jegor zacisnął szczęki. — A widziałeś, ilu trzynastoletnich smarkaczy po bramach się szlają? Jak przyjdzie taki do domu, do rodziców, to kto go będzie odbijał? Ty?

— Ja tych pokrak, jak na razie, nie odbijałem! Narkomani!

— Za słaby jesteś, by ich odbijać, za słaby! Nic o nich nie wiesz! A skąd miałbyś to wiedzieć? Nie obraż się, wujku Lenio, ale oderwałeś się od życia. Życie — gdzież ono jest? Myślisz, że w lustrze? A figę w lustrze! Na ulicy: w kałużach, na wystawach...

— To ja niby od życia się oderwałem?! Półtora tygodnia w Czeczenii walczyłem, dopóki mnie pocisk nie roztrzaskał!

— Ale się ciskacie... — wtrącił wujek Semen. — Jest się o co kłócić... Zauważcie, ileż to teraz na świecie luster produkują! Dla wszystkich roboty starczy...

— Nie dla wszystkich! — upierał się Archeda. — W tym właśnie problem, że nie dla wszystkich. Posłuchaj. Poznałem właśnie na giełdzie jedną postać... kobietą... Od pół roku nigdzie nie może się zaczepić! A jaka postać, mówię wam... — Leonid Witaliewicz z rozmarzeniem przewrócił oczyma i zacmokał. — Popatrzyłem na jej ostatnią robotę: no, po prostu jak żywa! Taki, hmm, wiecie, kwiatuszek... Ruda, filigranowa...

— Streszczaj się — przerwał wujek Semen. — Były jakieś oferty?

Archeda przygasł, posmutniał.

— Lustro w barze — oznajmił, zakaszlawszy głucho.

— Duże?

— Trzy na cztery.

— To całkiem nieźle! Co ci się w tym nie widzi?

— Bo ono nie jest jednolite, lecz składa się z kilku kwadratów...

— No i co? Nie jesteś, z tego, co wiem, zbyt przesądny.

— Ono jest na suficie — przyznał z niechęcią Archeda. — Aha... — Wujek Semen spochmurniał. — Tak, to już gorzej. A kogo miałbyś odbijać? Barmana?

— Żeby tylko! Na barmana od razu bym się zgodził! Ale i pewnego stałego bywalca... no i przypadkowych gości w czasie wolnym...

Jegor z rosnącym zainteresowaniem przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Łysiny, potylicy... — z niezadowoleniem rzekł wujek Semen. — To, rozumiesz, cofanie się w rozwoju. A twój orzeł nadal się nie znalazł?

Odbicie Leonida Witaliewicza Archedy z ponurą miną zdjęło odbicie okularów i po przetarciu ponownie nałożyło je na nos.

— Odnalazł się — oznajmiło z widocznym cierpieniem.

— W Moskwie. Trzy dni temu... Mignął, potem znowu zniknął. Gdzie jest teraz, nie wiem...

— Ech, niczego sobie! — zaśmiał się Jegor. — Czyżby się ukrywał? Wujku Lenio?

— Wziął kredyt, dwa miliony... — nie patrząc na nikogo, odpowiedział przygnębiony Archeda.

I nagle wybuchnął:

— Osioł! Jedno słowo — osioł! Przecież był wspaniałym inżynierem, złote ręce miał! Siedziałby i zajmowałby się swoją robotą! Nie, poniosło go do tego cholernego biznesu! Dwukrotnie cudem się wykręcił! No, teraz jak nic go dostaną...

— Może mu się upiecze, co, wujku Lenio?

— Akurat! Czekaj tatka latka! — wujek Lenia wykrzyknął płaczliwie i poderwał się ze stołeczka. — A wiesz, co mi w jego domu powiedzieli? I to nawet dwa odbicia to samo! Jedno odstawia go już piąty rok, drugie od pół roku...

— No co?

— A to! Długów narobił na trzysta tysięcy! Dlatego ten kredyt wziął! A czy zastanowił się choć przez chwilę, jak to wszystko pospłaca? — Leonid Witaliewicz Archeda zamilkł, ochryple dysząc i trzymając się za serce. Potem sięgnął po papierosy. Nerwowo pstryknął odbiciem zapalniczki i, głęboko zaciągnąwszy się, wypuścił w szarą, mglistą nicosć odbicie tytoniowego dymu.

Weteran zalustrza, wujek Semen, od dłuższego czasu nie spuszczał z niego intensywnego, przepełnionego smutkiem spojrzenia.

— Bez sensu... — rzekł w końcu.

— Przecież mówię, że bez sensu!

— Ja nie o nim. Ja o tobie — powiedział wujek Semen.

— Czego za pierś się łapiesz? To przecież on ma słabe serce, a nie ty. Może jeszcze glicerynę

zażyjesz? A po co zapaliłeś? No tak, żeby nie wypaść z roli... Za kobiecymi postaciami zacząłeś się oglądać. — Westchnął, z zalem pokręcił głową. — Oj, strzeż się, Lenia! Oj, strzeż! Zginiesz... Przyłgniesz do oryginału, to przy nim na zawsze zostaniesz! Właśnie dopiero co rozmawialiśmy o tym z Jegorem. I co sprawiło, żeś tak doń przyłgnął, do tego Archedy — nie rozumiem! Łysy, okularnik...

Odbicie Leonida Witaliewicza Archedy zmieszało się i wyrzuciło dopiero co zaczętego papierosa.

— No tak... — powiedziało żałośnie. — A jakże inaczej? Przywiązujesz się do nich. Pamiętam, po wojnie fińskiej...

— Na jego twarzy pojawił się rozbrajający uśmiech. — Odbijałem pewnego komsomolca, byłego bezdomnego. Technikum razem zmęczyliśmy, stanowiska kierownika budowy się dochrapaliśmy...

Leonid Witaliewicz całkiem posmutniał i, bezradnie machnąwszy ręką, umilkł.

## ODBICIE # 5

— Dzień dobry!

Jegor odwrócił się i zadrżał. Obok szeszcianu pawilonu stało odbicie kruchej kobiety w bliżej nieokreślonym wieku, odzianej modnie, acz skromnie. Nieznajoma wyglądała jednocześnie i na dwadzieścia pięć, i na czterdzieści lat z hakiem. Figura nastolatki, rudawe włosy, bladziutka, smutna twarzyczka bez najmniejszych śladów makijażu. Chociaż lewa brew wyglądała, jakby była z lekka podmalowana.

W pierwszej chwili Jegorkowi wydało się, że to właśnie ta twarz objawiła mu się w odłamku starego lustra, chociaż stwierdzenia, że jest pewien, zapewne by nie zaryzykował: zarysy poprzednim razem były zniekształcone, a samo widzenie trwało tylko krótką chwilę, nie dłużej.

Wpatrzył się z lękiem. Nie, wydaje się, że to jednak nie ta. Z pewnością nie ta.

— Aaa! — wykrzyknął, ożywiwszy się, Leonid Witaliewicz. Wypiął pierś, przestał się garbić, błysnął okularami, Czym wzbudził pełne niezadowolenia pokasktywanie wujka Semen.

— Pani pozwoli! Moi, że tak powiem, koledzy z celi... Semen Małachow — weteran, bohater Koryntu. Jegor — nasz młody talent. A to jest Toma, o której zacząłem wam opowiadać, ale wy, łajdaki, jak zwykle mi przerwaliście. Toma, moja, w pewnym sensie, współtowarzyszka niedoli.

— W której? — zechciał dowiedzieć się wujek Semen.

— Masz ich teraz, moim zdaniem, jak psów.

Zły był jak diabli.

— Jak to, w której? — zdziwił się ożywiony Leonid Witaliewicz. — W najważniejszej! I ona, jak by tu powiedzieć, zgubiła samą siebie...

Wujek Semen i Jegor skrzyżowali spojrzenia i zerknęli na Tomę ze współczuciem. Rzeczywiście, nie ma nic gorszego, gdy twój oryginał znika bez śladu — spróbuj wtedy pojąć, na jakim świecie przyszło ci żyć.

— Dawno się zgubiłaś? — spytał kobietę wujek Semen.

— Zaraz będzie pół roku — zameldował Leonid Witaliewicz, przez co został zaszczycony jeszcze jednym nieprzyjaznym spojrzeniem.

Jegor gwizdnał. Jego własny staż pracy w lustrze, jak już o tym wyżej wspomniano, dopiero co przekroczył trzy miesiące.

— Żeby kobieta przez pół roku ani razu nie spojrzała na siebie? — wyraził wątpliwość weteran



zalustrza. — Ech, wierzyć się nie chce... A co na to inne jej odbicia?

— Innych nie ma — ze smutkiem, lekko sepleniąc, odparła Toma. — Wszystkie już się jakoś urządziły, jak tylko mogły...

— I dobrze zrobiły — warknął wujek Semen. — A tak na marginesie: krew ci, dziewczyno, popłynęła...

— Ta? — spytała przestraszona, wskazawszy ręką.

— Nie, lewa...

— Dziękuję... — z wyrazem skupienia na twarzy Toma zabrała się za wygładzanie lewej brwi. Rekonstruowała.

Jegor przyjrzał się i wstrząśnięty zrozumiał, że makijaż nie ma tu rzeczywiście nic do rzeczy. Odbicie rozpada się od twarzy... I Jegorowi zrobiło się nieswojo. Odwrócił wzrok, choć lepiej by było, by tego nie robił, bowiem spojrzenie jego napotkało rozplywającą się stołową nogę. Może rzeczywiście czas wybrać się na giełdę? Póki nie jest za późno... A co będzie, jeśli naprawdę przedawkuje... albo go własni kumple załatwią?

— No, a do nas to po co pani przyszła? W gości czy w interesach? — drażył wścibski weteran.

— W gości — rzekł Archeda.

— Nie, raczej w interesach — powiedziała Toma, nie przestając nerwowo wygładzać brwi. — Leonid wspomniał... tam, na giełdzie... że wasz wiodący odgrywa Połupałowa. Wasilija Połupałowa...

— Zgadza się. I co?

— Widzi pan... — odpowiedziała zdenerwowana. — Tamara Istrina... — zacięła się, wpatrzyła się z niepokojem w otaczające ją twarze. — ...ta, którą odbijam... odbijałam. .. Jednym słowem, ona rok temu spotykała się z niejakim Wasilijem Połupałowem. Tak więc pomyślałam... że może to być ten sam...

— Istrina, Istrina... — wymamrotał, trąc czoło, wujek Semen. — Tamara Istrina... Nie! — powiedział w końcu ze zdecydowaniem. — Nie słyszałem. Nie przewijała się w rozmowach.

— Ani razu? — zapytała z niedowierzaniem.

Wujek Semen popatrzył na Jegora i Archedę. Obaj z widocznym poczuciem winy pokręcili głowami.

— No, to jeszcze o niczym nie świadczy — pośpiesznie zaczął pocieszać stropioną Tamarę. — Trupa nasza jest młoda, pracujemy wszystkiego trzy miesiące. Musisz, Toma, po takich lustrach pobiegać, które już od kilku lat wiszą. Może tam coś będą w stanie powiedzieć...

— Ale gdybym mogła choć zerknąć na niego... — I ruda Tamara błagalnie spojrzała w stronę srebrzystoszarego pudła pawilonu. Pawilon unosił się w nijakiej przestrzeni, przyćmiony, cichy. Przyczajona obsługa przysłuchiwała się rozmowie.

— Na Wasilija? Po co? Pół roku temu Wasilija tutaj też nie było.

— Rozumiem... Chciałabym się tylko upewnić, że to nie on...

Odbicia wymieniły spojrzenia.

— Na pewno nie on — powiedział Jegor. — Któż chciałby się z kimś takim spotykać!

— Pije? — szybko spytała Toma.

— Bez wytchnienia.

— A może jednak bym na niego spojrzała?

— Nie ma go — wyjaśnił wujek Semen. — Wezwano go.

— Nie wiadomo, gdzie?

— Najpewniej do izby wytrzeźwień. Lustro siedem erka sześćset... sześćset... Jegor, ty masz, zdaje się, lepszą pamięć!

Młodzieniec zmarszczył czoło.

— Nie — rzekł. — Moim zdaniem — osiemset, a nie sześćset... Osiemset trzydzieści... Nie, nie pamiętam.

— Ale on szybko wróci — wtrącił się Leonid Witaliewicz. — Jeśli pani by miała ochotę, można by partyjkę rozegrać w tym czasie.

Odruchowo gładząc zadartą brew, rudowłose odbicie Tamary Istriny z nieszczęśliwą miną wpatrywało się w szarą nieokreśloność zalustrza, wzbierającą miejscami w dziwacznie jednostajne bryły pawilonów. Nagle w oddali coś ogromnego, pozbawionego określonego kształtu, choć przypominającego nieco srebrzysty, sflaczały balon, urosło krzywo, zamiotło się, zatrzepotało. Jak nic, jakieś lustro zostało wyniesione z domu i odbiło cały pejzaż.

Tamara ocknęła się, westchnęła.

— W takim razie później do was zajrzę — powiedziała.

— O ile, oczywiście, nie macie nic przeciwko temu...

Trzy męskie postaci długo patrzyły w ślad za wielobarwnym błyskiem, prześlizgującym się w głąb zakurzonej, nieskończonej nicości.

— Teraz rozumiesz, co miałem namyśli? — gderliwie spytał wujek Semen, zwracając się ni do Jegora, ni do Archedy. — A tu jak znalazł przyniosło bidulkę... Przede wszystkim: talent, talent! Przez pół roku do lustra nie podchodziła, a spójrz, jak obraz trzyma! Coś takiego, chłopcy — podsumował z goryczą — miernotom za nic w świecie nie wyjdzie.

## ODBICIE # 6

Wasilij Połupałow nie wrócił do domu. Nastąpiła noc. W pawilonach, ma się rozumieć. Co zaś się tyczy głębokiego zalustrza, to tutaj szybkie określenie pory dnia stanowiłoby nie lada problem. Oświetlenie było jednakowe, szarawe. Gięda też nie pozwoli się połapać. Zapewne jedyną różnicę stanowiło to, że w ciągu dnia bardziej na niej pusto, bowiem wszyscy są w robocie. Za to nocami postaci opuszczają odbicia ciemnych pomieszczeń i wtedy każdy bawi się tak, jak mu na to jego siły i sposobności pozwalają. Można wtedy stać się świadkiem zabawnych scenek: tu były statysta z komnaty krzywych luster ku uciesze tłumu odgrywa swoje mało przyzwoite i w sumie tanie sztuczki; tam postaci, korzystając z tego, że gospodarze śpią jak zabici, wynoszą z pawilonu, nerwowo się przy tym rozglądając, odbicie komputera osobistego i od razu zaczynają gorąco się spierać, która z nich będzie pierwsza rżnęła w jakiegoś dooma...

Komputera w mieszkaniu Wasilija Połupałowa, jak nietrudno się domyślić, nie było, dlatego też wujek Semen, Jegorek i Leonid Witaliewicz, czekając na powrót hulającego Wasilija, starym zwyczajem skracali sobie czas przy kartach. W pawilonie szeptała niewidzialna obsługa. Głosów starała się nie podnosić — i to bynajmniej nie z obawy obudzenia mieszkańców realnego świata. Nawet jeśli jakiś dźwięk przeniknąłby przez szkło, my i tak go nie usłyszymy, gdyż w zalustrzu ma on zupełnie inne właściwości. (Pobrzękiwanie białą bronią, które jakoby przestraszyło Borgesa, nie było niczym więcej niż poetycką metaforą). Po prostu za gadanie na stanowisku pracy można oberwać od dyspozytora. I od postaci zresztą też.

— A ja za wsią tęsknię — wyznał z westchnieniem któryś z niewidzialnych robotników. — Nocą, w stawie... Czasem gwiazdką poruszysz, ona wtedy zadrży cała, zadzwieczy... A wokół, bracia moi, cisza. Księżyc jeszcze nie wzeszedł... Na niebie — ani chmurki. Prawdziwy raj...

— No to było zostać w tym stawie! Po co przylazłeś do lustra?

— Za kulturą, bracia, stęskniłem się, za kulturą! A teraz, gdy patrzę na te puste butelki, na te nie prane zasłony — taka mnie wtedy tęsknota chwyta. Co mi przyszło odbijać! Ech...

— Hej tam, w pawilonie! — ze złością powiedział Jegor któremu tym razem zupełnie nie szły karty. — Można ciszej?

W srebrzystoszarym pudle zamilkli przestraszeni, po czym ściszyli głosy do mysiego szmeru i znów zaczęli szeptać:

— Wy, miastowi, tego nie zrozumiecie. U was i księżyc w kałuże nie zagląda. Tylko latarnie...

— No, na temat kałuż to ostrożniej, proszę. Ja, jeśli chcesz wiedzieć, w ogóle nie z kałuży.

— A skąd? Z hydrantu może?

— Lepiej, lepiej! Z basenu przed byłym komitetem obwodowym. Kolumnadę odbijałem... I to kiedy! Za Andropowa! To, kolego, nie to samo co gwiazdkami w stawie porusza! Wiesz, jaka to była odpowiedzialność? Odrobinę zniekształciłeś kolumnę, a już wokół basenu ci z KGB się kręca, odbiciom się przyglądają. Ani się obejrzysz, a wodę wymienia... razem z tobą...

— Taa... — coś chrząknęło. — Za Andropowa nie było z tym żartów. Za to i porządek był...

— Dokładnie!

— Zamkniecie się wreszcie czy nie? — podniósł głos Jegor.

— Czyżbyśmy wam w czymś przeszkadzali? — płacząco spytano z pawilonu.

— Myśleć przeszkadzacie.

— A nad czym się tu zastanawiać, jeśli po prostu grać się nie potrafi?

— Och, doigracie się! — pogroził Jegor i obsługa znów zamilkła.

Zbliżał się ranek. Coraz mniej było wokół beztrzesko tułających się postaci. Z sąsiedniego, nachylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni pawilonu, wznoszącego się niemalże nad głowami grających, już dobiegał potężny, jak z megafonu, głos tamtejszego dyspozytora:

— Przeciągnął się, przeciągnął... Dobr-ra! Zahaczył o budzik! Szósty! A ty co, śpisz? Budzik na podłogę!

Tam, jak można było sądzić, z trudem budził się ktoś, kto już od siódmej powinien tkwić murem w robocie.

— I co z tym Wasilijem? — w zamyśleniu spytał Archeda. — Czyżby milicja go jednak zgarnęła?

— Wróci — uspokoił go wujek Semen.

— Jak by to powiedzieć... Teraz to z milicją jest tak, że czasem można i nie wrócić.

Kobiocy pisk dobiegający z oddali zwrócił na siebie uwagę graczy. Znudzeni, odłożywszy karty, odwrócili się w kierunku, z którego dobiegł hałas. Okazało się, że i tym razem nie było to nic nadzwyczajnego — ot, w jednym z pawilonów toczyła się poranna kłótnia małżeńska.

— Ty poczwaro! — odległość przytłumiła nieco ryk. — Życie mi zmarnowałaś!

— No, co ty nie powiesz?! Co ty nie powiesz?! — piskliwie leciało w odpowiedzi.

— Taaak... — westchnął z zazdrością Leonid Witaliewicz. — To ja rozumiem, praca, praca! Od rana do wieczora... I jaki temperament! Jest z kim popracować. Daliby mi wolną wolę — ech, dałbym popalić temu awanturnikowi! — Znów posmutniał, zafrasował się. — Gdzież to teraz mój Archeda łązi?

Wujek Semen zakasłał dźwięcznie.

— Odbijałem kiedyś pewnego reżysera — rzekł wieloznacznie. — No, nie jego samego, oczywiście... Oświetleniowca...

— W Koryncie? — nie omieszkał podchwycić Jegor.

— Nie, w Leningradzie — nie mrugnawszy nawet okiem, spokojnie kontynuował wujek Semen. — Tak więc powiadał on, że u aktora bywają tylko dwa uczucia: pustki z braku obciążenia i zmęczenia z przeciążenia. Trzeciego im nie dano. Pasuje do ciebie jak ulał, Len...

— Już lepsze przeciążenie...

— I on tak twierdził.

— Czego oni tak wrzeszczą? — skrzywił się Jegorek. — Pewnie nawet w innych pawilonach ich słyszać! Najważniejsze — po co krzyzczeć? Poruszać ustami wystarczy.

— W rolę się wczuli. Czekajcie!

Wszyscy trzej poderwali się. Chwilę później odległy pawilon, w którym toczyła się poranna kłótnia, jakby eksplodował, rozpadając się na niezliczoną ilość swych podobieństw i wydało się, że podobieństwa te w jednej chwili wypełniły całe zalustrze. Następnie, jakby wessane w niewidzialny lej, srebrzystoszare klocki zostały błyskawicznie wciągnięte w nieskończenie daleki punkt, gdzie jak należy sądzić, rozciągały się tak zwane odłamkowe przestrzenie. W pustym miejscu po pawilonie stały tylko dwie rozglądające się ze złością postaci — męska i żeńska.

— Paaatrz! — w zachwycie wrzasnął Jegor. — A ty im jeszcze, wujku Leno, zazdrościłeś! Lustro roztrzaskali, matolki...

— A co oni winni? — ponuro osadził go wujek Semen.

— Co było, to i odbili...

— A co z wychowywaniem? — Jegor nie wytrzymał, ciągnął swoje.

— Wychowywanie... — powtórzył niezadowolony weteran. — Wiesz, jak u nas w Helladzie mówili? „Przede wszystkim odbijać, potem dopiero pouczać.” Tak więc... — Ponownie spojrzął na miejsce katastrofy. — A przecież trupę mieli sporą... Gdzie się reszta podziała? Czyżby do okruchów od razu trafili? Taak...

— Trupa może i spora — zauważył Archeda — ale poziom, wybacz, niewysoki. Jak nic do okruchów. Ale ta dwójka

— ha! To szkoła! Nie zaprzeczysz, dobrze pracowali...

Ci, o których była teraz mowa, ze smutkiem kręcili głowami i cicho ze sobą rozmawiali. Pierwszy wstrząs już minął i teraz trudno było uwierzyć, że to właśnie oni jeszcze parę minut temu tak adekwatnie odgrywali gryzących się małżonków. Długo jeszcze ze sobą rozmawiali. W końcu wzięli się za ręce i w podwójnym nagłym błysku pomknęli w stronę giełdy.

— Wasilija nadal nie ma? — zabrzmiał obok władczy, suchy głos.

Usłyszawszy go, Jegorek mimowolnie wyciągnął się, niczym elew na widok sierżanta. Archeda wyniośle zadarł nosa. Jedyne wujek Semen pozostał niewzruszony.

Głos należał do ich niewidzialnego dyspozytora. W ogóle to dyspozytorzy bywają różni: i widzialni, i niewidzialni. Wszystko zależało od tego, skąd awansowali do kierownictwa: z postaci czy z ekipy technicznej (innymi słowy — z obsługi). Jeśli z postaci, to, prócz zarządzania całością, taki zazwyczaj jeszcze kogoś odbija. W swoim, rzecz jasna, lustrze.

Ten, jak widzimy (raczej — jak nie widzimy), pochodził z techników.

— No nie — oglądając się na starszych towarzyszy, pospieszył z odpowiedzią Jegor. — Nie ma go...

— Tak na marginesie, dawno już chciałem spytać

— nieco skrzekliwym głosem zasięgnął informacji Leonid Witaliewicz, wypatrując czegoś w nieskończonej dali.

— Ciągle nie zamierza mi pan zapewnić jakiejś roboty?

Niewidzialny chrząknął boleściwie.

— Leonidzie! — powiedział. — A cóż to za wyrzuty?

— Wyrzuty? — zdziwił się tamten. — Kiedy przychodziłem do pańskiego lustra, to co mi pan obiecał?

— A cóż ja takiego panu obiecałem?

— Obiecał mi pan częstego gościa... No i gdzie on jest, ten pański częsty gość? Odbiłem go, obejrzał mnie pan, powiedział, że próba wypadła pomyślnie. I co dalej? Trzy miesiące przestoju. Trzy miesiące!

— A kto mógł przypuszczać, że tak będzie! — odparł z rosnącym zniecierpliwieniem niewidzialny dyspozytor.

— Nie, proszę wybaczyć! Ja jak głupi, porzucam miejsce, ganiam po wszystkich lustrach, szukam tego Archedy... Ryzykuję przecież!

— Bój się Boga, Leonidzie! — spróbował udobruchać go dyspozytor. — Czymże ryzykowałeś? Moim zdaniem umówiliśmy się, że w razie czego kimś cię tymczasowo zastąpię.

— Nie o tym mowa! Czy miałem obowiązek się tym zajmować? Co ja, smarkacz jestem? Smarkacza sobie znaleźli!

— A kto powinien tym się zająć? Ja?

— Tak, pan! To pan jest dyspozytorem! To pan przecież za wszystko odpowiada!

— Tutaj — tak! Ale nie tam! W rzeczywistości nie jestem właścicielem!

— Przecież i tutaj nie jest pan właścicielem!

— Słuchaj, Leonidzie, co to za ton? I czego ty tak właściwie ode mnie chcesz? Rekomendacji? Ostatnie słowo zabrzmiało nieco groźnie i Archeda wybuchnął:

— Przecież mnie i bez rekomendacji wszędzie z otwartymi ramionami przyjmą! Myśli pan może, że świat się kończy na pańskim zakurzonym szkiełku? Mnie do baru Związku Pisarzy zapraszają! Lustro trzy na cztery, a ja, idiota, zastanawiam się. I proszę nie zwracać się do mnie po imieniu — zapiszczał nagle. — Co to za spoufalanie się!

— Nie zamierzam kontynuować rozmowy w tym tonie — zazgrzytał, powstrzymując się ostatkiem sił, dyspozytor. — Zamierza pan odejść? Pańskie prawo! Nikogo nie zamierzam trzymać na siłę.

Potem jego głos zabrzmiał już wewnątrz pawilonu.

— Co to za burdel?! — zażądał wyjaśnień jego przytłumiony głos. — Dlaczego firanka nie na miejscu? Nie widzicie, że ją przeciąg w prawo przesunął? Przetrzyjcie oczy, ranek na dworzu! Tylko patrzeć, jak właściciel wróci!

Biedna obsługa!

— Przeginasz — mrukliwie jak zwykle wskazał wujek Semen Leonidowi Witaliewiczowi. — Uwważaj, żebyś naprawdę bez posady nie został... — Chrząknął, zastanowił się. — Nie podoba mi się, że i on zaczął coraz częściej na giełdę chodzić.

— Kto?

— Kto, kto! Dyspozytor. Nie może z tego nic dobrego wyniknąć, Lenia, ech, nie może...

Jegorek milczał, spoglądając z szacunkiem i nieśmiałością na postrzelonego wujka Lenię.

## ODBICIE # 7

Wasilij Połupałow objawił się dopiero w południe. Jego odbicie przybyło pół godziny wcześniej, co jest w pełni naturalne, bowiem pojęcie odległości w głębokim zalustrzu, co oczywista, nie istnieje i przemieszczanie odbywa się, w istocie, w mgnieniu oka, bez potrzeby tłoczenia się w takim na przykład tramwaju.

— Witaj, Wasienka! Coś długo cię, światelko nasze, nie było...

Odbicie Wasilija Połupałowa obrzuciło przytępionym spojrzeniem współbraci w rzemiośle i, przysiadłszy obok stołu, zamyśliło się głęboko.

— Czyściutki, piękniutki. Gdzież to cię tak?

— No, nie męcz nas, nie męcz! Gdzie byłeś?

Odbicie uniosło głowę.

— Wiecie co, chłopaki... — powiedziało nieco niewyraźnie. — A z tego mojego Wasilija, jak się okazuje, niezłe ziółko. A ja myślałem, że to zwykły alkoholik...

— Zwykli alkoholicy nie zdarzają się — zauważył mądrze wujek Semen. — Tylko niezwykli... Zacznij w końcu gadać!

— A o czym tu gadać! — z goryczą rzekł Wasilij i żałośnie skrzywił usta. — U kobiety był. Zanocował u niej...

— Czyżby na ulicy poznał?

— Nie. Stara znajoma.

— A co ty taki przytłumiony?

Odbicie Wasilija Połupałowa nastroszyło się i nagle ni z tego, ni z owego, grzmotnęło pięścią po cherlawym odbiciu stołu.

— Beztalencie! — ryknęło, strasznie łypiąc oczyma. — Gonić takich w cholere! Na statystę! Na okrucchowca!

— Ej! Ej! Cóżżeś tak się uniósł?

— Na sztampie! — zionął jadem Wasilij. Jego twarzą wstrząsały drgawki. — Na minkach postanowił się wybić! Meble odbijać, a nie żywych ludzi! — Jęknął z nienawiścią i ponownie machnął pięścią, tym razem we własne czoło.

— Wasienka — łagodnie, po ojcowsku, zwrócił się do awanturnika wujek Semen. — Możesz trochę dokładniej?

Wasilij z trudem wziął się w garść i ponownie się nastroszył.

— No, tak w ogóle... — zaczął jeszcze bardziej przytłumiony. — Przybyłem, gdzie kazano, patrzę i niczego zrozumieć nie mogę. Mało tego, że to nie komisariat: ani jednego włóczęgi w trupie, sami przyzwoici ludzie. Aha, myślę sobie pomyłka... Diabli tam — pomyłka! Słyszę: „Wasilij Połupałow, pańskie wyjście!”. Podbiega partnerka... — z każdym słowem odbicie coraz bardziej mroczniało — tylko patrzeć a znów pięścią trzaśnie. — Baba, na oko gdzieś tak czterdziestoletnia. Zadbana, cała w skórze, kołnierz z nerek. Przy czym nie z tych, nie z handlarzy — kulturę czuć. Idę ja z nią, głupiec nad głupcami, do pawilonu, a sam myślę: jeśli u Waśki mojego tacy znajomi, to co się okazuje? Okazuje się, że żaden z niego pijaczek! Całkiem niedawno od gwinta odpadł...

— A co ja ci od samego początku mówiłem? — nie darował sobie możliwości pouczenia wujek Semen. — Z drugim dnem ten twój Wasilij! Ja mam wprawne oko, nie pomyłę się. A gdybyś tak od razu wcześniejszym jego życiem się zainteresował...

— A niby jak miałem to zrobić? Ani jednej wolnej minuty mi nie dawał! Jeśli już wychodził z domu, to tylko do kiosku i z powrotem...

— A noc to na co?

— A on i w nocy cały czas się kręcił, światło zapalał...

— Opuść, wujku Semenie! — wtrącił się Jegor. — Dawaj dalej, Wasia!

Wasilij boleściwie zmrużył oczy, pokręcił głową.

— Wstyd! — przyznał zdławionym głosem. — I hańba! Nigdy mi się coś takiego nie przytrafiło. Diabeł by porwał tę starą znajomą! Jakby kto podmienił mojego Wasiutkę! Ja po tej stronie lustra menela klecę, a on po tamtej stronie inteligenta zgrywa! Kapujesz, Lenia: utrafić za nim nie mogę!

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Leonid Witaliewicz ponownie sięgnął po papierosy, ale spojrzawszy na wujka Semenę, zreflektował się i schował paczkę.

— Najwięksi menele to są akurat spośród inteligencji... — rzucił niezręcznie ni z gruchy, ni z pietruchy. Może na swój sposób próbował się pocieszyć.

Wasilij westchnął spazmatycznie i skierował pełne skruchy oczy w stronę wujka Semena.

— Jednym słowem miałeś rację, Senia. Rację we wszystkim. Tu nie tylko odbijać — tu i wychowywać trzeba.

Jegorek zachichotał. Wujek Semen nastroszył się.

— Uważaj, żebyś nie przegiął — zauważył surowo. — Już był taki przypadek. Zabrał się taki jeden za wychowywanie. I to kogo! Siergieja Jesienina! I do tego w białej gorączce.

— I co? — chciwie zapytał Jegor.

— No, tamten patrzył i patrzył, a potem jak nie złapie za laskę i gałką po pysku! Lustro, ma się rozumieć, roztrzaskane! Wychowawca... Taką posadę stracił! Od tego czasu na giełdzie nie nazywano go inaczej jak „Czarny człowiek”.

— Dlaczego czarny?

— Potem wyjaśnię. Tego w waszych kałużach nie przerabialiście. A ty, Waś, mimo to dokładniej dawaj, dokładniej. Nas przecież twoje sprawy również dotyczą.

Odbicie Wasilija Połupałowa przytaknęło, skupiło się.

— Tak w ogóle to z ich rozmowy zrozumiałem — powiedziało powoli i mrocznie — że zapił mój Wasiek od razu po tym, jak tylko żonę pochował. Zapił, lustro strzaskał...

— Aha... — wymamrotał, zaczynając rozumieć, Leonid Witaliewicz. Palce jego rąk tańczyły, jakby badały zarysy jakiegoś niewidzialnego przedmiotu. — No i coś wreszcie zaczyna się wyjaśniać. A ja się zastanawiałem, czyżby rzeczywiście wcześniej w jego mieszkaniu ani jednego lustra nie było?

— Strzaskał niechcący czy specjalnie? — dociekał wujek Semen.

— Specjalnie. Zwidziało mu się coś po pijaku...

— A co?

— Nie wiem. Przy niej nie chciał mówić.

— Przy kim?

— Nno, przy tej starej znajomej! A u kogo on dzisiejszą noc spędził?..

Odbicia wymieniły spojrzenia, zamyśliły się.

— A może... — zamierającym głosem zaczął Jegorek i wszyscy zwrócili się w jego stronę. Przełknął, oblizał wargi. — A może on w lustrze żonę zobaczył?

— Hmm... To znaczy nieboszczkę? — Wasilij i Archeda z zakłopotaniem popatrzyli na wujka Semena.

Ten myślał. Ustami poruszał.

— Wszystko możliwe... — rzekł wreszcie pochmurnie. — Jeśli, powiedzmy, lustro zapomniano zasłonić albo narzuta się z niego niechcący zsunęła. Jednym słowem, jeśli nieboszczyk choć raz się w nim odbił, to wtedy mogło się to stać.

— I co za to grozi? — od razu wtrącił Jegor, którego, jak zwykle, bardziej interesowało nie samo przestępstwo, ile grożąca za nie kara.

— Nic. Zasłaniać trzeba. Ale jeśli zasłonili i jeśli narzuta się zeń nie ześlizgnęła, a mimo to odbicie nieboszczyka potem w lustro włożyło — to już poważna sprawa. To skandal. Za coś takiego w mig kwalifikacji pozbawią i z zalustrza wyrzucą...

— Gdzie?

— Na ulicę! A gdzie niby mogą wyrzucić? Po czymś takim nawet nie masz co się do giełdy zbliżać, bo i tak nie wpuszczą. Ruszaj pyski z wiadrami w studniach odbijać!

Wasilij nagle zaniepokoił się, pokręcił głową.

— Wrzoda by naszego zawołać należało! — zaproponował zaniepokojony. — Wszak ważna rozmowa, ogółu dotyczy...

Postaci spojrzały na pudełko pawilonu, gdzie pełną parą trwały przygotowania do pojawienia

się właściciela mieszkania.

— Co to za oświetlenie? Co to za oświetlenie? — dobiegał ze środka rozdrażniony głos dyspozytora. — Dlaczego wszystko takie wyblakłe? Odcienie — ciepłej. Jeszcze ciepłej! On przecież nie z popijawy, on od kobiety wraca! Być może nawet od swojej dawnej miłości! Wszystko powinno lśnić szczególnym światłem.

— Nie, bez sensu — zdecydował wujek Semen. — Lepiej później.

— Coś się stało?

— Lenia znów się z nim pokłócił. Zaciął się teraz. Lepiej później... Powiedz, Wasia, czy aby nic nie wskazuje na to, że twój orzeł sam małżonkę do grobu wpędził?

Ten zmieszał się, zamrugał.

— To znaczy, czy zamordował?

— Nie. Jeśli by ją zamordował, to by teraz gdzie indziej się odbijał. On by teraz odbijał się w miejscach nie aż tak odległych... od czasu do czasu... A jak w ogóle w ostatnim okresie układało mu się życie z małżonką?

— Do chrzanu!

— Jesteś pewien czy tylko się domyślasz?

— Nno... gdy na nią rozmowa zesła... na jego była żonę... ta za klapy go łaps! Patrzy w oczy, źrenice mając siedem kopiejek i wmawia jak nakręcona: „Zapamiętaj, niczemu nie jesteś winien! Niczemu nie jesteś winien!” Jak nic, ma coś na sumieniu...

— Słuchajcie, panowie — z nieoczekiwanym ożywieniem w głosie powiedział Leonid Witaliewicz. — Wychodzi na to, że nie wszystko jest u nas takie nudne, jakby się mogło wydawać! Dramat rodzinny, szkielet w szafie.

— A przy okazji... Nocowaliście, mam nadzieję, nie w różnych łóżkach? — zakaszawszy, spytał wujek Semen, czym zdrowo rozśmieszył Wasilija.

— Coś ty, Senia! Przecież pół roku temu romans mieli! Wasiatka mój, jak się okazuje, o rozwód wystąpił! Potem, co prawda, pozew wycofał...

— Tak więc żona o wszystkim wiedziała?

— Nie mam pojęcia!

Zamilkli. Cichy anioł przeleciał. Albo — jak również powiadają — milicjant się narodził... Chociaż, biorąc pod uwagę miejsce akcji, mowa w tym przypadku mogła być tylko o odbiciu anioła. Albo milicjanta.

— Dzieci nie mieli... — głośno zastanawiał się wujek Semen. — Jegorek z pierwszego małżeństwa... Tak na marginesie, Wasia, jak zwą tę starą miłość, u której nocowałeś?

— Toma.

Wszyscy z ciekawością odwrócili się w stronę Wasilija.

— A nazwisko? Nie Istrina czasem?

— Poproszę o inny zestaw pytań — odgryzł się. — Myślisz, że oni w łóżku do siebie po nazwiskach się zwraca —

— A od partnerki, oczywiście, nie mogłeś się dowiedzieć! Już potem, po tym, jak odrobiliście...

Wasilij chrząknął i znów się zmieszał.

— Bo widzisz... Nie do tego mi było. Kaszana! Ani razu jeszcze z takim hukiem nie zawałem sprawy! Gwiazdor w ząbek czesany! Statysta lepiej by to odegrał...

— No dobrze, a jak wygląda ta Toma? Ruda, chuda?

— Niece... Kobita rosła, przy kości, włosy nastroszone, koloru pakuł... Nie rude.

— Babiarcz o wąskiej specjalności — skomentował Archeda. — Wspecjalizował się w Tamarach.



— Chłopaki, a wy o czym?

Pytanie Wasilij a pozostało bez odpowiedzi.

— Połupałow, do pawilonu! — cichym głosem rzucił komendę dyspozytor. — Pańskie wejście...

## ODBICIE # 8

Wujek Semen i Leonid Witaliewicz Archeda siedzieli przy nadgryzionym rozpadem stole, bokiem do pawilonu. Mroczny wujek Semen obracał w palcach odbicie karowego asa. Leonid Witaliewicz obserwował Jegora, a ten z kolei przyglądał się temu, co działo się wewnątrz srebrzystoszarego sześcianu.

Podglądanie tego, co zachodziło w pawilonie, nie było zabronione, jednakże trzeba było to umieć robić. Jegor potrafił. W tym właśnie momencie stał przy tylnej albo, jak przyjęto jeszcze mówić, lustrzanej ścianie pudła, władowawszy w nią twarz aż po same uszy. Takiego obserwatora moglibyśmy spostrzec tylko wtedy, gdybyśmy nagle przypadli policzkiem do powierzchni lustra i skierowali wzrok prawie równoległe do odbicia ściany, na której wisi owo lustro. Ale, po pierwsze, nikomu w realnym świecie nie przyjdzie do głowy myśl o popełnieniu tak dziwnego postępku, a po drugie wystarczy, że zbliżycie się do szkła, a podglądacz od razu odskoczy.

Jeśli jednak wetknąłby swój ciekawski nos w którąkolwiek z trzech pozostałych ścian, wtedy to, rzecz jasna, inna sprawa... Jednak za podobne numery, jak to już wyżej zostało powiedziane, karzą z całą surowością.

— Talię by wymienić — pomarzył z westchnieniem wujek Semen.

— Co? — poświęcił mu swą uwagę Leonid Witaliewicz.

— Mówię, że karty już przezroczyste. Kolor przez koszulki prześwituje. — I wujek Semen zademonstrował mu karowego asa.

Rzeczywiście, kolor prześwitywał.

— Tak, zaraz karty się skończą — z żalem zgodził się Archeda. — Zwracałem się już z tym do obsługi.

— I jak?

— Mówią, że bez oryginału nie są w stanie odbudować. A oryginał — w szafce...

— Oni są w stanie wszystko zrobić — warknął wujek Semen. — Po prostu robią nam na złość.

Ową wielce wymęczoną talię zdobył, z błogosławieństwem starszych towarzyszy, trzy miesiące temu Jego — rek. Kiedy szorowali lustro, Jegorkowemu bliźniakowi zachciało się zademonstrować karcianą sztuczkę. Sztuczka się nie udała, talię błyskawicznie włożono z powrotem do skrzyneczki, lecz jej odbicie niepostrzeżenie znalazło się w kieszeni młodego talentu. Od tamtej pory jednak drogocenna skrzyneczka ani razu nie została otwarta.

— Czyżby śpiewał? — spytał nagle z niedowierzaniem Archeda.

Wysłuchali się obaj. W samej rzeczy, z rtęciowoszarego pudełka pawilonu dobiegał przytłumiony, lecz rzeński głos Wasilija. Śpiew był brawurowy, coś niemalże jak „Pożegnanie Słowianki”.

Dyspozytor milczał. Odbijanka, co należało sądzić, szła jak po maśle: zastraszona obsługa zasuwała jak w zegarku, a na wszystko padał jakiś szczególny blask...

Po jakimś czasie Jegor odkleił się od ścianki, objawiając siedzącym przy stole swą roześmianą z zachwyty fizys.

— Co on tak się rozśpiewał? — zaciekawił się wujek Semen.

— Przeobraża się! — zaszydził Jegorek. — Zasłony zdjął, lustro przetarł! Podłogi myje. — I znów zagłębił się pyskiem w pawilonie.

— Wyjaśnij mi — Leonid Witaliewicz odwrócił się do wujka Semena. Jego ciemne oczy z niepokojem pomrukiwały zza szkieł okularów. — Jak to się mogło stać, co? Czyścili lustro. Poprzednie rozbito w niewyjaśnionych okolicznościach. Gości — troje. Każdy z nich wie wszystko o Wasiliju. Ale żeby choć słowem któreś z nich wspomniało o jego żonie lub o tamtej Tamarze! Nawet za pokój duszy nie wypili. Nie wydaje ci się to dziwne?

— Nie — burknął wujek Semen, nadal wpatrując się w odbicie karowego asa. — W domu powieszzonego, o sznurze się nie mówi.

— Dobrze. Niech będzie... A jak ci się podoba zachowanie tej Tomy? Cała w skórze, w norkach, a przy świadkach, w środku białego dnia, prosto na ulicy łapie brudnego, zaniedbanego typa i ciągnie go za sobą!

— Widać kocha...

— Jak to kocha, skoro przez trzy miesiące ani razu do niego nie przyszła?

— Przecież to kobieta, Lenia — przypomniał wujek Semen — logicznego działania od niej oczekujesz? Zobaczyła, jęknęła z zachwytu, migiem wszystko wybaczyła.

— Co wybaczyła?

— A skąd mam wiedzieć? Mnie coś innego niepokoi. Dwie Tamary... I z obiema spotykał się pół roku temu...

— Co w tym nadzwyczajnego? — Leonid Witaliewicz wzruszył ramionami. — Pamiętam, że odbijałem kiedyś pewnego przysięgłego, ten to jednocześnie z trzema Żanetami się prowadził...

— Zdarza się, zdarza... — niechętnie zgodził się wujek Semen. — Tylko że tutaj mamy przecież, jak sam mówisz, i rozwód, i pogrzeb, i rozbite lustro! Coś za dużo tego dobrego! Nie, Lenia, coś z tymi Tamarami jest nie tak. Czuję to...

Od strony pawilonu nadszedł rozczarowany Jegorek.

— A niech go! — oznajmił, przysiadając na wolne odbicie taboretu. — Znudziłem się. Myje, szoruje... A dlaczego nie gracie?

Wujek Semen w milczeniu pokazał mu karty. Jegor wpatrzył się i, posmutniawszy, zaklaskał językiem. Zaraz potem matowy bok pudełka pawilonu rozwarł się i w głębokie zalustrze wstąpiło spocone, zaczerwienione odbicie Wasilija Połupałowa — z gołą głową, w rozpiętym palcie i z wiadrem pełnym śmieci w ręce.

— Cóżes tak się rozśpiewał? — spytał kpiąco Archeda.

— Czyżbym śpiewał? — zdziwił się wchodzący. Czy raczej — wychodzący.

— Jeszcze jak! Aż się zasłuchaliśmy.

— Waś! — ocknął się Jegor, oświecony błyskotliwą ideą. — Karty szlag trafia...

— I co z tego? — odezwał się tamten.

— Ty byś tam, tego... kiedy on do szafki się dobierze.

— Spróbuję — dał nadzieję Wasilij, wytrząsając odbicie wszelakiego domowego śmiecia prosto w szarą nieokreśloność świata półmroku.

— Coś ty, tak przy samym pawilonie? — szczerze oburzył się Leonid Witaliewicz.

Tak się złożyło, że podczas swej kariery zawodowej odbijał przede wszystkim adwokatów, artystów, nierepresjonowanych inteligentów. No i nabrał trochę kulturki.

Wasilij — ten więcej proletariatu lepił. Kariere rozpoczął w październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego. Jeśli nie łże, to brał udział w scenie zbiorowej zdobycia Pałacu Zimowego. Do tej pory tamtejsze lustra wspomina...

— Nic to! — uciał po budionowsku. — Obsługa posprząta! W przeciwnym razie całkiem się rozleniwi. A jak nie, to przecież samo się rozpadnie! Z czasem... — Wasilij odwrócił się, lecz w

tym momencie zawołał doń wujek Se — men:

— Słuchaj, Wasieńka. Podałbyś adres...

— Czyj?

— No, miejsca, w którym wczoraj odbijałeś.

— Aha... Poczekaj, zaraz sobie przypomnę... — Wasilij zmarszczył czoło. — Lustro siedem er — ka pięćset sześćdziesiąt jeden osiemset trzydzieści jeden... A na co ci to?

— A tak... Byliście ciekawi.

— Wraca! — z niezadowoleniem oznajmił dyspozytor. — Otwiera drzwi... Ruszaj, Wasilij! Wasilij ruszył.

Archeda i Jegorek spojrzeli z niezrozumieniem na weterana.

— Nie kapuję — powiedział Jegor. — Wujku Semenie! Przecież już całkiem temat jego panien żeśmy przewalkowali. To są przecież dwie różne Tamary!

Mądry wielowiekowym doświadczeniem weteran rzucił wreszcie na stół odbicie karowego asa i, podniósłszy się, potarł czarne worki pod oczami.

— Toć ja nie dla niej, lecz dla siebie. Hmm... — mruknął zamyślony. — Zdziwiłbym się, gdyby teraz do niego cała banda się zwała. A jeśli tylko mój jeden się pojawi — bądź tak dobry, Lenia i zadaj sobie trud powiadomienia mnie przez szczekaczkę! Adres znasz... W porządku? Wspaniale! A ja raz dwa... — I w czasie, gdy Archeda z Jegorkiem próbowali zebrać myśli, weteran znikł w krótkim, barwnym błysku pośród szarych rozmytych głębin; należało sądzić, że pod ustalony właśnie adres.

— Co on kombinuje? — spytał zaskoczony Jegor, wciąż jeszcze wpatrując się w ślad za nim.

— Hmm... Kto wie, może i ma rację — wymamrotał z powątpiewaniem Leonid Witaliewicz. — Poczekajmy, może czegoś się dowie. Niepotrzebnie tylko sam się za to wziął! Mógłby zabrać mnie ze sobą — nie wiadomo przecież, gdzie mojego należy teraz szukać. Jeśli nawet pojawi się, to nie szybko. — Zmieszał się, zamrugał i odwróciwszy się do stołu, zaczął prowokacyjnie przeglądać kartę za kartą, podnosząc każdą pod światło.

— Wuju Lenio — zwrócił się doń Jegor, — A jeśli by nocą z szafki talię wyjąć, a rankiem na miejsce odłożyć?

— Po co?

— Albo nie odkładać — cierpliwie poprawił Jegor. Odbicie Leonida Witaliewicza Archedy uśmiechnęło się, pogładziło łysinę, poprawiło okulary na nosie i odwróciwszy się, skierowało na młodego przyjaciela idealnie przystrzyżoną bródkę.

— Naiwny jesteś, Jegoruszka — powiedziało niemalże z czułością. — Widzisz, co się stało z tymi kartami? Z tamta talią zrobiło się to samo. Całe trzy miesiące przeleżała w pudełku! Nie, jeśli by ona w tym czasie choć raz w lustrze się odnowiła, wtedy to, jasna sprawa, inna para kaloszy... A tak — zamienił stryjek siekierkę na kijek. Gdzie tu sens?

— Widziałem, nawet komputer wynosili...

— Też mi porównanie! Komputer taki, ciepluśienki, prosto z lustra, dziesięć minut temu zarabali... I bez różnicy! Godzinę, może dwie pogra — i zawiesi się, dźwigaj go z powrotem! A wejścia do internetu nie ma co próbować. Przecież to tylko odbicie!

Z pawilonu znów wylazł Wasilij, dźwigając kolejne wiadro.

— No i co?! — chciwie spytał go Jegorek.

— Na razie nie ma głowy do szafki — odburknął tamten. — Stosy baracha do posprzątania i łóżko naprawić trzeba, rozchybotano się... — Wyrzucił śmieci i zatrzymał się, kręcąc głową. — Ależ się rozpędził! — wyzalił się z krzywym uśmiechem. — Lepiej już by za resocjalizację się zabrał. Inteligent pieprzony! A gdzie Semesia wywiał?

— No, przecież dałeś mu adres? Tam też ruszył...

— Czego on tam szuka? — zaniepokoił się Wasilij. — Uściślić chce...

Odbicie z ciężkim podejrzeniem zwróciło się do Archedy:

— Co uściślić? Jak mi wczoraj poszło?!

— A Bóg z tobą, Wasia. Tylko dane twojej Tamary. Wasilij zaczerwienił się i ze złością gruchnął pustym wiadrem o podłoże.

— A on co, po cholere za plecami intrygi knuje? — wrzasnął. — Ja jemu jak przyjacielowi, a on...

— Wyluzuj, Wasia — próbował wytłumaczyć Jegor. — Gdy cię nie było, przysłała tu jedna panna i na imię jej także Toma...

— Co on, moje miejsce mu się zamarzyło? — nie słuchając, z pianą na ustach grzmiał Wasilij. — Proszę bardzo, niech spróbuje! Podźwiga! Szafy poprzestawia! Przywykł w tym swoim Koryncie intrygi snuć? Empedokl popieprzony! Tu nie Korynt!

— Wasia! — krzyknął zszokowany Leonid Witaliewicz. — Co ty wygadujesz?! Opanuj się!

Wasilij zacisnął zęby i podniósł wiadro.

— Słuchaj no... — zazgrzytał, uspokajając się. — Gdy pojawi się ten plastikowy Grek, powiedz mu...

Aż strach pomyśleć, cóż takiego miał do przekazania dla wujka Semena urażony Wasilij, jednakże w tym momencie znów zabrzmiał gniewny, przytłumiony głos dyspozytora:

— Połupałów, przestańże gadać! Pańskie wyjście...

## ODBICIE # 9

Wujek Semen wrócił szybko, tak jak obiecał. W tym czasie Wasilij Połupałów, wyczerpany długim opilstwem, burzliwą nocą i nadzwyczajnymi obciążeniami fizycznymi, wyczerpany ze wszystkich sił zasnął, walnąwszy się w poprzek nie zaścielonego łóżka. Co zaś się tyczy jego zachmurzonego odbicia, to te, opuściwszy pawilon, siedziało teraz przy topniejącym powoli stole i z nieufnością słuchało mętnych wyjaśnień kolegów.

Na widok wujka Semena wszyscy zamilkli.

— A więc tak, chłopaki... — powiedział przybyły. — Przecucie jeszcze nigdy mnie nie zawiodło. Istria jej nazwisko. Istrina.

Napięta cisza zastąpiona została osłupiałym milczeniem.

— Nic z tego nie roozumiem... — jękając się, wydusił w końcu Archeda. — J—jak to: Istrina? A ta ruda kogo w takim razie odbija?

— Obawiam się, że już nikogo — pokaszując i markotniejąc, odparł wujek Semen. — Jej wygląd zewnętrzny, oczywiście, ustaliłem tam... w ogólnych zarysach... — Stanął, westchnął, spoważniał. — Chcecie, wiercie, nie chcecie, nie wiercie, ale z całej tamtej byłej kompanii tak wyglądała tylko druga Waškowa żona Irenka. Rudawa, bladziutka, wątła...

— Nieboszczka? — krzywiąc się, spytał Leonid Witaliewicz.

— Dokładnie tak — ponuro wyjaśnił wujek Semen. — Tak więc wychodzi na to, że najbliższej prawdy z nas wszystkich był Jegor. Pojawił się zatem problem z najmniej oczekiwanej strony.

— Powiadomić przez szczekaczkę! — jęknął niewidzialny dyspozytor (on także brał udział w rozmowie).

— A co to da?

— No jak to? — W głosie dyspozytora brzmiało przerażenie. — Semen! Ocknij się! Przecież jeśli ona przeniknie do pawilonu, to on lustro rozbije! Wtedy wszyscy bez roboty zostaniemy!

Wszyscy! I ja również!

— Dlaczego poprzednim razem nie przeniknęła?

— Dlatego, że Wasilija tam nie było! Czyżbyś nie rozumiał?

Weteran zastanowił się.

— No, powiadomienie rzeczywiście nie zajęłoby dużo czasu — rzekł. — A sens? Czy można mieć do niej jakieś pretensje? Gdzie jest powiedziane, że postaci mogą przybierać kształty tylko żywych ludzi?

— A poprzednie lustro? Samo się stłukło? Wujek Semen skrzywił się:

— Nie panikuj... To też była jakaś podejrzana historia. Sam pomyśl: jeśliby ta ruda bezprawnie wtedy w nie weszła, nie pozostałoby w zalustrzu po niej ani śladu! A ona nadal tu jest. Wychodzi na to, że nic podobnego nie zrobiła.

— Chcesz czekać, aż zrobi? — Koniec frazy rozmazał się, nadzorca zamiotał się w szarym pudełku pawilonu.

— Do wszystkich luster serii trzynaście er-ka! Do wszystkich luster serii er-ka! — rozległ się jego zduszony głos.

— Pojawiła się nieboszczka, Irina Połupałowa. Może także przedstawiać się jako Tamara Istrina. Rysopis...

— Ech! — powiedział nagle Jegorek. — Szkoda, wujku Semenie, że nie skierowaliśmy jej wtedy pod ten adres! A niech by on tam szkiełko trzasnął...

— Mimo wszystko nadal nie rozumiem... — krzywiąc się boleśnie, przerwał mu Leonid Witaliewicz. — Dlaczego przedstawiła się jako Istrina? Bzdura jakaś!

— Bzdura jak bzdura... — warknął wujek Semen. Wasilij milczał i tylko z błyskiem szaleństwa w oku obserwował rozmawiających.

— Dobrze, a charakter? — nie mógł powstrzymać się Archeda. — Czego można się po niej spodziewać? Co o niej w ogóle mówią?

— O kim? — złośliwie uświadomił wujek Semen. — o świętej pamięci Irinie czy o tej jej postaci? Tej, którą poznałeś na giełdzie...

Leonid Witaliewicz z zakłopotaniem poskrobał się w łysinę. Rzeczywiście, charakter człowieka i jego odbicia mogą czasami diametralnie od siebie odbiegać. W ogóle kształtowanie osobowości w zalustrzu odbywa się w sposób niemniej skomplikowany niż w świecie realnym. Weźmy dla przykładu takiego Jegorka. Przyszedł z piwnicy — a jak wygląda piwnica dziesięciopiętrowego bloku nie trzeba chyba wyjaśniać. Ciekące rury, pokrzywiona podłoga, w kącie — ohydna, nigdy nie wysychająca kałuża. Trudno sobie wyobrazić, co tam Jegorce przeszło odbijać i jakich scen się napatrzył. Wyglądało na to, że już nic z niego nie będzie... A okazał o się, że w porządku chłopak, o wiele sympatyczniejszy od swojego oryginału. Zwrócisz mu uwagę — powzdycha, ale weźmie do serca. Więcej by takich!

— O samej Irinie rzecz jasna — burknął w końcu Archeda.

Wujek Semen jęknął przygnębiony, przysiadł się do stołu, zmarszczył brwi, podniósł karty, odłożył.

— Irenki, póki ta żywa była, Tamarowe odbicie ścierpieć nie mogło — oznajmił z niechęcią. — I do tej pory nie cierpi...

— Poczekaj! — poprosił Archeda, łapiąc się za głowę.

— Znow wszystko się pokręciło! Kim jest Tamara, a kim Irina?

— Wysoka, przy kości, to Tamara Istrina — wyjaśnił cierpliwie wujek Semen. — Żywa. A wąta, ruda, to Irina Połupałowa. Tak więc Tamarowe odbicie, z którym dziś rozmawiałem, do tej pory nie może słuchać spokojnie o Irinie...

— O nieboszczce? — nie uwierzył Leonid Witaliewicz. — Wrogość była, Lenia, wrogość...

Waškę dzieliły między sobą.

— Interesujące! — złowieszczo zachichotał tamten.

— To znaczy, że jeśli przyprawiłem ci rogi w rzeczywistości, to i tutaj powinniśmy brać się za łby?

— Przecież to kobieca postać — upomniał go z wyrzutem wujek Semen. — Czterdzieści lat z hakiem same baby odbijała. No i nałapała od nich różnego syfu. Krótko mówiąc, niczego dobrego o tej Irencie od niej nie usłyszałem. — Uśmiechnął się i kontynuował kłótliwym głosem: — Tylko ona była za wszystko winna: kanalia, alkoholiczka, życie Waškowe zmarnowała, a potem na dodatek umarła, na złość chyba... Męża nie rozumiała, nie doceniała, przez nią jego talent nie rozkwitł... I tak dalej.

— Talent? — głupekowato spytał Jegor. — Jaki talent?

Nikt mu nie odpowiedział. Jegorek chrząknął i z niedowierzaniem pokręcił głową. Młodemu odbiciu naprawdę trudno było zrozumieć, o czym w ogóle mowa. No, w zalustrzu to zrozumiałe: bez jakiegokolwiek talentu nie odbijesz jak należy. A w życiu to jaki to może być talent? Żyj i już... Wielka rzecz!

— No żesz, wte i wewte z przybudówką! — wybuchnął nagle milczący jak dotąd Wasilij. — Żeby te gadziny na odwrót poodbijało! Dopiero co do człowieka zaczął się upodabniać, z chlaniem skończył, w domu posprzątał... Co to za suki są w tej rzeczywistości! Mało tego, że jedna drugiej życie złamie, muszą jeszcze i lustra rozbijać! Jak nie kłótnia, to rewolucja! Jakby zła było mało.

Wiele wskazywało na to, że oburzałby się jeszcze długo, ale w tym momencie znów do rozmowy wtrącił się niewidzialny dyspozytor.

— Uwaga! — rozległ się jego przepełniony napięciem głos. — Zaczął się kręcić! Budzi się... Połupałow, pańskie wyjście! Małachow i Archeda — przygotujcie się.

Wszyscy byli na tyle porażeni ostatnią frazą, że dopiero po jakimś czasie doszli do siebie. Wtedy odbicie Wasilija migiem rzuciło się w stronę pawilonu. Wujek Semen triumfująco i wieloznacznie zerknął na młodszego kolegę:

— A więc tak, Jegorku! Co ci mówiłem? Spojrzał w okruch i gotowe... Widzisz? Pojawił się mój sokolik.

— A mó-ój? — z rozczarowaniem przeciągnął tamten.

— A tobie, jak widać, nie powiodło się. Mówiłem: nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki.

## ODBICIE # 10

Robocza część zalustrza oszałamiała teraz jasnością barw i bogactwem odcieni. Wrażenie rozwarstwienia przestrzeni znikło. Co prawda ogólny bałagan związany z nie zakończonym sprzątnięciem raczej zwiększył się niż zmniejszył, ale był to już jakościowo inny bałagan. Bałagan niosący nadzieję na ład i porządek w przyszłości.

Odbijanka szła bez przeszkód. Unisono. Niemalże na samym progu Wasilij pokrótce opowiedział gościom o tym, co mu się wczoraj przytrafiło. Opowieść spotkała się z uznaniem.

— Zuch! — grzmiał, krążąc po dywanie wte i wewte wujek Semen. — Pochwalam! Umrzeć mu się, widzicie go, zachciało! Cóż widzę?! Lustro! Aż miło popatrzeć... Spójrzcie, i dywan zamiótł!

Szczęśliwy Leonid Witaliewicz Archeda promieniał uśmiechem i starał się uchwycić moment, w którym pozwoli mu wtrącić choć słowo. Dyplomatkę, w której, jak należało sądzić, czekały na swą chwilę wypitka i zakąska, trzymał obiema rękami przed sobą. Obok, zza lustrzanych kulis, z odbicia ściany, wystawał na podobieństwo gipsowej maski próżniaczy fizys Jegora, ze znużeniem przyglądającego się z zewnątrz przebiegowi akcji.

— Mówisz zatem, że wyłowiła cię Tomka? — grzmiąco wypytywał wujek Semen. — Zuch baba! Pochwalam! Z tobą tylko w ten sposób można! Umierać mu się zachciało!

— Daj spokój... — wymamrotał gospodarz. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Skąd? — ryknął głośny gość. — A kto na krzyżu na mogile Irenki obiecał się powiesić? Ja ci się dam powiesić, koźle jeden! Tak trzymaj, Waśka, żyć trzeba! Nie czas umierać!

Przerwał dla złapania oddechu, dzięki czemu do rozmowy udało się wreszcie wcisnąć Leonidowi Witaliewiczowi Archedzie.

— No, chłopaki — powiedział, stawiając dyplomatkę na stole i z przedsmaikiem zacierając dłonie. — Uznajcie, że skończyły się nasze czarne dni! Otworzyli mi w Moskwie kredyt... Ile, nie powiem i tak nie uwierzycie... Przyjmę was obu do roboty, będziecie w sufit płuć i wypłatę otrzymywać.

Z tymi słowy otworzył dyplomatkę. Wbrew oczekiwaniom nie było tam ani wypitki, ani zakąski. Same papiery.

— A poszedłbyś w cholere! — wybuchnął nagle wujek Semen, zdążywszy do tego czasu znów wstrzymać oddech. — Słyszeliśmy to już wszystko, słyszeliśmy! Mam kontakty! Mam to, mam tamto! Jeszcze tylko dwa dni i zostanę panem miasta! Wiesz, gdzie można znaleźć darmowy ser? Ileż razy, do diaska, można nabierać się na jedno i to samo? Głowę dałbym, że znów cię, durniu, chcą wykorzystać, a ty się cieszysz!

— Tym razem to pewniak, Semenie!

— I to też już słyszeliśmy!

Ktoś od tyłu dotknął ramienia Jegora. Ten odskoczył od ściany i odwrócił się. Przed nim stała niedawna nieznajoma, ta sama, która poprzednim razem podała się za Tamarę Istrinę.

Lewą brew miała jakby z lekka rozmytą.

A czy ona była również rozmyta u tej przepelnionej wściekłością rudowłosej furii, która przywidziała mu się w odłamku lustra? Tego Jegor nie mógł sobie przypomnieć.

Przez parę chwil w milczeniu przypatrywali się sobie nawzajem.

— On tam jest? — cicho spytała kobieta, kierując wzrok na ręcioszara ściankę pawilonu, za którą ciągle grzmiąły i huczały trąby Sądu Ostatecznego w wykonaniu wujka Semena.

Speszony Jegor wymruczał coś niezrozumiale.

— A tamta?

— Która?

Błada twarzyczka wyraziła lekką irytację. — Jakbyś się nie domyślał!

— Domyślam się — rzekł ostrożnie Jegor. — Wszyscy już się domyślili.

Patrzył na nią i nie wiedział, co robić. Jeśli ona teraz ruszy w stronę pawilonu, nic jej nie powstrzyma. Jedno odbicie po prostu przejdzie przez drugie. Tak w ogóle to taki postępek traktowany jest w zalustrzu jako skrajnie nieprzyzwoity, ale, skoro już raz zdecydowała się wleźć do pudełka i to na dodatek pod postacią zmarłego człowieka, to znaczy, że naprawdę gotowa jest na wszystko!

— A co ja ci zrobiłem? — spytał szeptem. Rudowłosa spojrzała na niego z takim zaskoczeniem, jakby nagle przemówiło do niej odbicie talii kart albo stołu.

— Nic...

— On przecież lustro rozwalił. A to jest moje pierwsze wcielenie!

— Moje także — odparła obojętnie.

Nagle wujek Semen zakończył zagłuszanie okolicy i przemówił swoim zwykłym, cichym, zrzedliwym głosem. Zapewne, jak należało sądzić, wyszedł na zewnątrz. Jegor bez ociągania wyjrzał za róg i okazało się, że pudło opuścili wszyscy razem, włączając w to Wasilija. No, chwala Bogu! W pustym lustrze nie ma sensu sterczeć...

— Gdzież to tamtych poniosło? — szeptem spytał Jegor.

— A ten mój przyglup wszystkich do restauracji zawlókł... — ze złością powiedziało odbicie Leonida Witaliewicza. — Kredyt oblewać. Pieniądze kieszeń palą! A co ty tak szepczesz? — W tym momencie Archeda przyjrzał się Jegorowi i zmarszczył brwi. — Hej! Co z tobą? Coś się stało?

Zaciął się i zamarł, wpatrując się tak jak inni w wychodzącą właśnie zza rogu pawilonu kobiecą postać.

Pierwszy, jak zwykle, oprzytomniał doświadczony wujek Semen.

— Aha! — obwieścił z przesadną obojętnością. — I jak teraz pani każe się do siebie zwracać? Per Irina czy Tamara?

Nieznajoma w milczeniu nie odrywała spojrzenia od odbicia Wasilija Połupałowa. Przez jakiś czas wydawało się, że nie usłyszała zadanego pytania.

— Inna — odpowiedziała wreszcie, nadal nie spuszczać wzroku z Wasilija. Ten tylko się skulił.

Kobieta stała jakiś krok od Jegora i dlatego ten z niewyobrażalną jasnością widział, jak jej blada twarz ożywa, nabierając coraz to nowych szczegółów, a niewyraźna i rozmazana brew nabiera wyrazistości — włoski po włosku. Po raz pierwszy miał okazję ujrzeć, jak nienawiść odbudowuje oblicze.

— No i co ty się tak na niego, dziewczynko, gapisz? — z delikatnym wyrzutem rzekł wujek Semen. — On przecież w niczym nie zawinił...

— Wiem... — odezwała się.

— To tak, no tak... — Weteran zalustrza podszedł do Iriny (Jegorek odsunął się) i, jakby oszacowując, obszedł ją wokół. — Winny jest tamten, prawdziwy... Czy tak?

— Tak!

— A twoja Irenka, oczywiście, to anioł. — Wujek Semen westchnął znużony. — Przestałabyś sama siebie, dziewczyno, oszukiwać. I Irenka przecież nie miód. Chłapa, awantury wszczyniała, ostro balowała... No przecież było tak, sama przyznaj!

Odbicie nieboszczki gwałtownie skierowało nań wykrzywioną twarz, aż stojący nieopodal Jegorek cofnął się z lekka. To ona! Z całą pewnością ona! Ta sama, która wtedy wbiła w niego swe spojrzenie z odłamka szkła... Ale dlaczego jej odbicie objawiło się właśnie jemu? Może myślało, że to Waśka, tylko się pomyliło? Jegor mimowolnie wyobraził sobie, jak powołana do życia w świecie ludzi nienawiść, rozplywa się falami po nieskończonym szeregu zalustrzy, i wzdrygnął się.

— A kto ją taką uczynił? — rwącym się głosem zaczęła Irina. — On ją przez cztery lata wypaczył, ten wasz Wasilij! Nie wiecie jaka ona była wcześniej! A teraz jej nie ma! Nie ma jej! A on żyje i nikogo to nie obchodzi...

— Poczekaj chwilę... — bezradnie powiedział wujek Semen, ostrożnie potrząsając ramieniem kobiety. — Jak to nikogo? Przecież uchłał się zaraz po pogrzebie. A potem groził, że na krzyżu z jej nagrobka się powiesi! Widać, że jednak kochał...

Odbicie Iriny Połupałowej uśmiechnęło się, choć może raczej zadarło po zwierzęcemu górną wargę.

— Dużo wiecie! — rzuciło. — Uchłał się! Faktycznie, uchłał się, jak mnie w lustrze ujrzał!

Po tych słowach zrobiło się bardzo cicho.

— Gdzie dyspozytor? — zaskomlał nagle Archeda. — Co jest grane?! Dlaczego tego przyglupa nigdy nie ma, gdy go najbardziej potrzeba?

— Przykręciłbyś dźwięk! — fuknął nań wujek Semen. — Brakuje nam tu tylko twojej hysterii! — I ponownie zwrócił się do Iriny. — On co, lustro zapomniał zasłonić?

— Zasłonił, ale niedokładnie — odpowiedziała z obojętnością. — Szparkę zostawił...

Wujek Semen spoglądał na nią i kiwał głową. Jego twarz nabrzmiała żalem.



— Co masz zamiar dalej robić? Irina nie odpowiedziała.

— A dlaczego przedstawiłaś się jako Tamara? Istrina...

Wzruszyła ramionkiem:

— Tak... z głupoty... Pierwsze, co do głowy mi przyszło...

Po blado świecącej ścianie pawilonu tańczyły różnobarwne odbłaski. Na giełdzie miała miejsce potężna erupcja, rozmazany bok tęczowej kuli kłębił się niczym gigantyczne stado pstrych tropikalnych ptaków. Widok, co tu kryć, wspaniały, zdecydowanie nie co dzień coś takiego można było zobaczyć, a tu nikt nawet głowy nie odwrócił. Były poważniejsze sprawy.

— Taak... — z wielkim żalem rzekł wreszcie wujek Semen. — Postanowiłaś zatem jeszcze raz Waškę przestraszyć... A o sobie pomyślałaś? O nas już nawet nie wspomnę. No, poprzednim razem sam się podstawił, co do tego nie ma wątpliwości. A teraz?

Kobieta milczała.

— Plunęłabyś na niego! Ile to jeszcze zostało życia temu twojemu Waśce? Może trzydzieści lat, może czterdzieści.. Naprawdę aż tak trudno poczekać te jakieś czterdzieści lat?

— Nie zamierzam go straszyć — odezwała się wrogo. Głos jej brzmiał słabo i znów dała się w nim słyszeć ledwo zauważalna dawna wada wymowy. — Myślałam, że już mi przeszło. Chciałam wszystko zacząć od nowa, na giełdę się zgłosiłam. A tam — on! — Kiwnięcie w stronę głupio mrugającego Archedy. — Gadał i gadał... o sobie, o trupie... Jest, mówił, u nas niejaki Wasilij Połupałow...

Odbicie Leonida Witaliewicza stało, składając dłonie na piersi i wzruszając ramionami. Jak powiadają, wcielenie niewinności! Skąd miało wiedzieć?

— Oj, nie wierzę ci, dziewczyno, nie wierzę... — rzekł śpiewnie wujek Semen. — Czy wiesz, ile na giełdzie odbić się kręci? Miliardy... A tu proszę! Spotykasz — zupełnie przypadkowo! — akurat tę postać, która pracuje w lustrze twojego byłego faceta! A lustro, co charakterystyczne, jest nowiutkie. To znaczy twojej twarzy tam nie znają. I to ma być niby przypadek?

— Eee... a właściwie dlaczego by nie? — nieśmiało zabeczał Leonid Witaliewicz.

— Dobrze! Przypadek! — ochoczo zgodził się weteran. — I co interesujące: wydarza się to, zauważ, nie wcześniej i nie później, a dokładnie tego samego dnia, w którym Tamara Istrina łowi na ulicy Waškę i ciągnie go do swego domu! Znów przypadek?

Irina Połupałowa wolno odwróciła się w stronę wujka Semena.

— To on, mimo wszystko, z nią? — spytała z niedowierzaniem i głos jej zadrżał. — Po tym wszystkim? Łajdak! Wiedziałam!

Już po chwili jej nie było — skoczyła i rozplynęła się w szarych przestrzeniach.

— Tfu, stary dureń! — zaklął szczerze wujek Semen. — Ki diabeł mnie za język pociągnął! A już prawie udało mi się ją okpić...

## ODBICIE # 11

Głęboko przygnębiona maleńka trupa znów rozsiadła się za dożywającym swych dni półprzeźroczystym odbiciem kuchennego stołu. Błat cały w przetarciach, nóżki — tylko patrzeć, jak się połamią...

— Do restauracji, na występy gościnne nie wezwą — z westchnieniem rzekł Wasilij, najwidoczniej myśląc o czymś innym.

— E tam! — z obrzydzeniem odparł Leonid Witaliewicz (także zagłębiany w jakieś swoje rozmyślenia). — Restauracja! Nie ma do czego wzdychać! Lustra tam dobre, niczego sobie, nie

powiem, ale zespół — hołota! Tak odbijają, że matka rodzona nie pozna. Choć, faktycznie, roboty nie ma im co zazdrościć — z wahaniem zmuszony był przyznać. — Goście przychodzą, wychodzą... Bywało, że w ciągu dnia dziesięć pysków skręcisz... jeden od drugiego piękniejszy...

Zamilkli. Tęczowe błyski wirowały na ścianie pawilonu coraz wolniej — erupcja aktywności na giełdzie najwidoczniej osiągnęła swój szczyt i zaczęła powoli przygasać.

— Po rewolucji wielkie bezrobocie było — ni z tego, ni z owego, z lekkim smutkiem oznajmił nagłe Wasilij. — Całą masę szkła natłukli... Załapałem się do podziemnego domu schadzek. Nie było gdzie się podziać, a przecież w czymś trzeba się odbijać! Lustro w pokoju... Nie uwierzysz, Lenia: pryszczate, pofałdowane, a na dodatek jeszcze kapkę wygięte. W takim lustrze nie tylko dziesięć, ale po dwadzieścia pysków na dzień odwałem, jeśli nie więcej. Mistrz o wielu twarzach! Cała, wyobraź sobie, klientela moja była...

— Czekaj, czekaj — przerwał Archeda, doszedł doń bowiem wreszcie sens usłyszanego. — Klientela, to znaczy... Ty co, wychodzi na to, że jednocześnie dwoje odbijałeś?

— W takim lustrze? Nic prostszego! Tym bardziej w łóżku! Co tam jest do odbijania? Tak czasem się posplatają, że sami nie do końca mają pojęcie, co jest czyje... — Znów posmutniał, zafrasował się. — Ech... Czyżby znów przyjdzie iść na giełdę? Dopiero co człowiek się ustawił, życie zaczęło się układać...

Z niedobrymi przeczuciami wszystkie cztery postaci spojrzały na połyskliwie tęczową kulę.

— Dziwne, ech, Boże... — powiedział Archeda, śpiesząc odsunąć rozmowę jak najdalej od bolesnego tematu. — A ja po rewolucji ze znalezieniem roboty nie miałem najmniejszych problemów. Cała inteligencja zwała w zachodnie lustra, miejsc pełno...

— A ty?

— A co ja miałem tam do roboty? Tu się odbiłem — tu też zostanę...

Należy w tym miejscu zauważyć, że postaci ze zmianą narodowości zazwyczaj problemów nie mają. W zasadzie nic nie stoi na przeszkodzie, by wczorajsze odbicie afrykańskiego Murzyna pojawiło się w jednym z lusterek Sankt Petersburga jako biały człowiek. Sytuacja taka jednak jest możliwa tylko teoretycznie. Na giełdzie od dawna wszystko rozchwytnię i w cudze układy wcale tak łatwo dostać się nie da. Poza tym dyspozytorzy wolą przyjąć do roboty tych, którzy są już dobrze obeznani z ojczystą mimiką, gestykulacją i ruchami warg. Być Rosjaninem w naszej wspólnej rzeczywistości, to jak wiadomo, przeznaczenie, a po tamtej stronie lustra — nie więcej niż emploi.

— A może niepotrzebnie się niepokojmy — zamyślił się wujek Semen. — Przecież jeśli by ta Irenka (to znaczy — jej postać) naprawdę tego chciała, to już ze trzy miesiące temu by nas namierzyła. Od razu po tym, jak tylko lustro powiesili... A my wbiliśmy sobie do głów, że kieruje nią jakaś mania...

— Wątpisz w to? — burknął Archeda.

— Wątpię, Lenia, teraz już wątpię... Wiesz, o co, jak sądzę, jej chodziło? Chciała na Waśkowe odbicie popatrzeć.

— Po co? — Przyjmijmy najprostszą możliwość: zemściła się baba i uspokoiła się. Postanowiła żyć dalej. Zgłosiła się na giełdę. A tam jej mówią: „Słuchaj, dziewczyno! Przecież twoja lewa brew się rozpląnęła... To ma być atrakcyjny wygląd? Nie, idź najpierw odbuduj ją trochę...” A jak to zrobisz, jeśli twój oryginał od pół roku nie żyje? Co wtedy? Wtedy trzeba znaleźć Waśkę, popatrzeć na niego, przypomnieć sobie, jakie z niego bydlę, naładować się starą nienawiścią, a potem można już i na giełdę...

— Hm... — Leonid Witaliewicz i Wasilij zamyślili się. Taka wersja odpowiadała im o wiele bardziej.

— Dawajcie po kolei! — ożywiwszy się, zaproponował Archeda. — To lustro, w którym

objawiła się Waśce, ten stłukł, tak? Odwiedzać innych luster w aktualnym swoim kształcie nie ma prawa. Inaczej od razu ją stąd wystawią... mmm... na zieloną trawkę... i z powrotem nie przyjmą, choćby nie wiem co...

— A kto będzie wystawiał? — spytał z ciekawością Jegor.

Starsze odbicia sprawiały wrażenie, jakby się zadławiły.

— Cicho! — syknął Wasilij. — Rozgadał się...

Jegorek zamrugał.

— Nie, powiedzcie — ścisząc głos, kontynuował z widocznym brakiem zrozumienia. — Milicji tutaj nie ma...

— Zamilcz — surowo polecił wujek Semen i, z jakiegoś powodu rozejrzawszy się, także ściszył głos: — Jest, Jegorku, jest... Tyle tylko, że jej nie widać i nikt jej jak dotąd nie nazwał...

— Nie rozumiem! — przyznał się szczerze Jegor. — A skąd w takim razie wiesz, że jest?

Ciężka twarz weterana pociemniała, nabrzmiała. Jak nic, coś sobie przypomniał.

— Dlatego, że widziałem, jak to się odbywa... — odpowiedział glucho po chwili milczenia. — Nie daj Bóg! Popelni postać coś takiego... poważnego... I może pakować manatki. Ma pięć minut na to, żeby się pożegnać, a potem łapie ją coś na podobieństwo przeciągu i wynosi w diabły przez giełdę z zalustrza. Choćby w jeziorze żaby odbijać. Tak to wygląda, Jegoruszka.

Parę sekund młode odbicie siedziało nieruchomo. Na twarzy — przerażenie.

— A... jeśli ona... ta postać, znaczy się... nie wiedziała, że tego nie wolno?

— No jak to nie wiedziała! Przecież, gdy cię do lustra przyjmowali, od razu o wszystkim uprzedzili, prawda? Co można, a czego nie. Z innymi też tak było.

— A dlaczego ty mnie wczoraj... — Jegor w oszołomieniu obejrzał się na pawilon. — Do pustego pudła... i to jeszcze przez ścianę!

— Też porównanie! To zakaz administracyjny. No i wlałeś do pustego pawilonu! Straszna sprawa! Kto cię z tamtej strony zobaczy? No, naruszyłeś, i co z tego? Dyspozytor cię objedzie i wszystko. W odbijankę jednak bez pozwolenia wleźć, i to jeszcze na dodatek pod postacią nieboszczyka, to już, musisz wiedzieć, poważniejszy zakaz naruszyłeś. Poważniejszy! Wyczuwasz różnicę?

Jegorek wstał. Na fizjonomii malowało się zamyślenie, powstał i skierował się w stronę szarego pudła pawilonu.

— Hej, a ty gdzie? — krzyknął za nim wujek Semen.

— Sam przecież powiedziałeś: obsztorcuje i wszystko — odparł tamten, nie odwracając się.

Znalazszy się w przygranicznym zalustrzu, spojrzął pod stół, lecz odbicia odłamka już tam nie było. Prawdopodobnie wczoraj Wasilij, w przyływie pracowitości, wyrzucił go wraz z resztą śmieci. Szkoda.

Nie zwracając uwagi na wzburzone poszeptywanie obsługi, Jegor opuścił pawilon i pogrzebawszy w usypanej przy wejściu kupie nieożywioności, znalazł potrzebny mu przedmiot. Szklany jatagan zauważalnie zmętniał, jednakże nie było z czego wybierać. Wrócił w odbicie pokoju, chciał zaciągnąć zasłonę, lecz zasłony nie było. Pewnie odmaczała się w łazience. Wtedy po prostu podsunął krzesło i siadłszy tyłem do lustra, wpatrzył się w odłamek. Potem przypomniał sobie, że należy przy tym jeszcze kłąć, więc z cicha zaklął.

Szczerze mówiąc, Jegorek nie tyle chciał przywołać swego rzeczywistego bliźniaka, ile miał nadzieję znów ujrzeć kobietą twarz z zalustrza-2.

Po co? A diabli go wiedzą, po co! Może po to, by ostatecznie przekonać się: to ona czy nie ona, a może po prostu tak sobie, z niezdrowej ciekawości.

W odłamku mgliście odbijała się jego własna fizjonomia i niczyją inną stać się nie zamierzała.

Informacja o obecności w zalustrzu milicji, niechby nawet niewidocznej i nienazwanej, nie na

żarty zatrwożyła Jegora. Nienawiść do glin wyszał z mlekiem matki i dlatego zagadkowa, sprawiająca wrażenie prześladowanej postać Iriny Połupałowej wydała mu się teraz jeszcze bliższa i sympatyczniejsza.

...a przecież wychodzi na to, że wraz z wystawieniem bledziutkiego rudego odbicia nieboszczki z załustrza-1, jednocześnie z załustrza-2 wystawią odbicie jego odbicia, a z załustrza-3 — odbicie jego odbicia jego odbicia... i tak dalej. Ciekawe, gdzie? Do wcześniejszego załustrza?.. Nie. Po pierwsze, jaki wtedy miałyby sens wystawienie, a po drugie wszystkie te światy są od siebie odizolowane! Wujek Semen chyba nie łże. Prościej już założyć, że odbicia rzeczywistości złożone są z wielu warstw. A bo to bez sensu najmniejszego: w lustrach miałyby ich być od gro — ma, a w wodzie tylko jedno?

Cholera, w ten sposób łatwo można zwariować. Jegor opuścił odłamek i obejrzał czyste, oswobodzone spod pajęczyny kąty. Wciąż stamtąd dobiegały pełne złości szepty.

— Słuchajcie, chłopaki — z zainteresowaniem zwrócił się do wściekłych niewidzialnych. — A szkiełka nijak nie da się odświeżyć?

Poszeptywanie ucichło. Obsługa zawsze czuje się mile polectana, gdy rozmawia się z nią jak równy z równym, a zwłaszcza wtedy, gdy się ją o coś prosi. Niewidzialna ręka (albo to, co rękę im zastępuje) wysunęła spomiędzy Jegorkowych palców lustrzany jataganik, obróciła nim, zakręciła koziółki.

— Nie, z tym nic się już nie da zrobić — zabrzmiał w końcu wyrok. — Parę dni i całkiem zmętnieje. A potem zniknie...

— Do dupy z was specjaliści! — rzucił Jegorek dobitnie, odbierając odłamek.

— A tak w ogóle — zadźwięczał gdzieś spod sufitu radosny głosik — to wrócił dyspozytor... Och, komuś się zaraz dostanie!

— Aha! Gadaj zdrow! — wymamrotał Jegorek, jednakże na wszelki wypadek pospiesznie wyszedł na zewnątrz, przy czym nie przez tę ściankę, która była zwrócona w stronę na w pół rozpadniętego stołu, przy którym zazwyczaj grali w karty, a przez przeciwległą. W ostateczności będzie można zełgać, że spacerował wokół pawilonu.

Jednakże wyglądało na to, że złośliwy proletariusz powiedział prawdę. Po tamtej stronie pudła przygotowania trwały w najlepsze. Z ogólnego szumu wyróżniał się jadowity tenorek Leonida Witaliewicza Archedy:

— Chciałbym wreszcie się dowiedzieć: mamy w ogóle jakieś kierownictwo czy też nie? Bo coś mi się wydaje, że nie...

Jegor pobłogosławił los i wyrzuciwszy odłamek jak najdalej się dało, skierował się w stronę miejsca akcji.

— Można by pomyśleć, że poszedłem załatwiać swoje prywatne sprawy! — heroicznie bronił się niewidzialny dyspozytor. — Na co ty sobie w ogóle pozwalasz, Leonidzie?

— Pozwoliłbym sobie nawet na stwierdzenie: egoistyczne...

— Dałbyś mi wreszcie dokończyć!

— Faktycznie, Lenia, tylko ciebie słyszać — z niezadowoleniem zauważył wujek Semen. Uciszyło się jako tako.

— To znaczy, udało mi się wyjaśnić na giełdzie... — z trudem skoncentrowawszy się, zaczął dyspozytor, lecz od razu niemal nie wytrzymał i znów wybuchnął: — Poza tym to ty, Semenie, wywołałeś panikę! Nakręciłeś, nastraszyłeś... Siebie ona nie pożałuje, do pawilonu się wdrze! A ja, dureń, kupiłem to: przez szczekaczkę trąbiłem, całą okolicę niepotrzebnie przetrząsałem. A ta sama Irina, żebyście wiedzieli, Połupałowa, już od trzech miesięcy zapisana jest na listę do nowych luster! W czterech kolejkach stoi! Mało tego: ona już zdążyła gdzieś popracować i to cały miesiąc! Pytam was, czy sztywniaki tak postępują?..

Postaci wymieniły spojrzenia, twarze ich pojaśniały. Jednakże Wasilij chciał się upewnić we wszystkim do samego końca:

— To po co ona w takim razie pod postacią nieboszczki spaceruje?

— A co nas to obchodzi, w jakiej postaci spaceruje? A przecież, wybacz, Wasilij, ale na giełdzie przyjęto pokazywać swoją najlepszą pracę. Najlepszą! Przy tym nikogo nie interesuje, czy ów człowiek żyje, czy już umarł. Kto jak kto, ale ty o tym powinieneś wiedzieć najlepiej!

— I jak ty to wszystko ustaliłeś? — z podejrzliwością spytał wujek Semen.

— Swoimi kanałami!

— Aha, swoimi...

— To po pierwsze — suchym, skrzypiącym głosem kontynuował dyspozytor, dając do zrozumienia, że bunt został stłumiony i że w przyszłości do niczego podobnego dopuścić nie zamierza. — A po drugie, pozwolę sobie złożyć wam gratulacje. Nasz pułk powiększył się, choć rzecz by raczej należało, powiększy. Dowiedźcie się, że od tej pory trupa składa się z pięciu postaci. Piąta, to Tamara Istrina.

Jegorek cicho odszedł na bok. W tej chwili było mu po prostu żal rudej, bladej Iriny. Potem przypomniał sobie, że w prawdziwym życiu przyszło jej być macochą temu, kogo odbijał i żal stał się jeszcze większy. Pozostali przyjęli wiadomość raczej z brakiem zrozumienia.

— Czekaj, czekaj, ty co, już ją nająłeś?

— Tak, i to bardzo udanie.

— Nie pospieszyles się aby? A może ta Tamara w ogóle tutaj nie zajrzy? Weźmie i pogoni w diabły tego naszego Waškę...

Dyspozytor milczał przez chwilę. Jego autorytet odbudowywał się w oczach.

— W drodze do restauracji zajechali po Istrinę — wyjaśnił z wysokości. — Nocować Wasilij będzie dzisiaj u niej, lustro siedem er-ka pięćset sześćdziesiąt jeden osiemset trzydzieści jeden. Wykonawcę roli Połupałowa już tam wybrali. A jutro mają zamiar we dwoje z Tamarą pojawić się u nas. Tak więc szykuj się, Wasilij. Benefis się zbliża.

Wujek Semen chmurzył się i z powątpiewaniem poruszał ustami.

— A może należało raczej tę jej postać na występy gościnne zaprosić? — spytał. — Bądź co bądź ma doświadczenie, wszak już ją od dawna odbija. A tak szykuje się wejście z marszu...

— Dobra, nie będę się z wami droczył — zlitował się dyspozytor. Sądząc po głosie, był bardzo z siebie zadowolony. — Odkryję swoją malutką tajemnicę... Będąc nieobecny, jak raczono zauważyć, z egoistycznych powodów, zajrzałem do lustra siedem er-ka... no, i tak dalej... przyjrzałem się tej samej Tamarze Istrinie i dopiero później wybrałem się na giełdę. Nagle patrzę: ha! Cóż to? Ona! Podkołowuję, przedstawiam się. „Pani wybacz — mówię — czy aby ostatnia pani praca nie nazywała się Tamara Istrina?” Ona oczkami — łup-łup! „Oj — mówi — a skąd pan wie? Ja ją kilka miesięcy temu w pewnej firmie odbijałam, tyle tylko, że ona się stamtąd zwolniła”. I co?! Niczego sobie znalezisko? Tak że obejdzimy się bez występów gościnnych, Semeniele!

Weteran zalustrza słuchał i tylko głową kręcił.

— Cuda — wymamrotał w końcu. — I gdzie ona teraz jest?

— Obiecała, że jak tylko jedną chałturkę odwali, to przybędzie.

## ODBICIE # 12

Trudno powiedzieć, jaka naprawdę była Tamara Istrina, jej odbicie jednak zdecydowanie się Jegorowi nie spodobało. Wygląd zewnętrzny Wasilij opisał dość trafnie: dama słusznego wzrostu,

przy kości, napuszone włosy koloru pakuł. Całareszta stanowiła całkowite zaskoczenie: wulgarna, zachrypnięta, bezceremonialna. Nawet, sądząc po pierwszym zdaniu, do swojego oryginału postać Tamary Istriny najmniejszego nawet szacunku nie miała.

— Ale ma gust! — powiedziała zjadliwie jaskrawo wymalowanymi ustami, obejrzawszy od stóp do głowy Wasilija Połupałowa.

Potem, wzięwszy się pod boki, ogarnęła spojrzeniem okolice.

— A cóż to za śmietnik wokół pawilonu? — spytała ostro.

Później dostało się obsłudze. Nerwowa, kapryśna Tamara zmusiła niewidzialnych robotników do sprzątnięcia całej rozpadającej się nieożywionki do ostatniego kawałeczka a potem zażądała jeszcze wyniesienia z pudła do wewnętrznego zalustrza stołu i krzeseł.

— Nic to! Od początku odbijecie. A tych rupieci... — Pełne obrzydzenia spojrzenie w stronę zanikających stołków i kuchennego stolika — ...żebym tutaj więcej nie widziała!

Tak w ogóle to niczego złego w dyspozycjach Tamary Istriny nie było. Gdyby dodała do tego wszystkiego choć kroplę humoru lub dobroduszości — i jej bezceremonialność wydałaby się czarującą... Nie zamierzała jednak dodać. Albo po prostu nie była w stanie. Z powodu braku takowych składników.

Na wpeł przezroczyta talia kart wprawiła ją w osłupienie.

— No, tutaj to już przesadziliście! Ciężko od sąsiadów karty pożyczyć? — I zdecydowanym męskim krokiem, cała w skórach, rozpiętym futrze z norek, ruszyła w stronę najbliższego pawilonu.

— I jak wam się podoba nasz nowy nabytek? — z ciekawością zakwilił nad samym uchem wujka Semena niewidzialny dyspozytor. — Barwna, nieprawdaż?

Wydawało się, że próbuje pokajać się za to, co zrobił.

— Barwna... — z niezrozumiałą intonacją rzekł weteran, patrząc w zamyśleniu, jak kręcą się pod kruczoczną błyszczącą skórą płaszcza, na podobieństwo dwóch kul, ciężkie pośladki. — Och, barwna.

— Prawda? — żałośnie, z nadzieją spytał dyspozytor. — To jaw takim razie wracam do pawilonu. Scenę przygotować...

Jakiś czas wszyscy patrzyli w ślad za Tamarą.

— Waśka — cicho odezwał się Archeda, poprawiając okulary. — Mówiłeś niedawno: czuje się kulturę... Czy może się przesłyszałem?

Ale Wasilij Połupałow sam był wstrząśnięty nie mniej niż pozostali.

— W tamtym jej odbiciu czuło się... — próbował zrozumieć. — A w tym nie wiedzieć czemu, nie.

— A kim ona w ogóle jest w życiu? Gdzie pracuje?

— Przecież powiedziano ci: zwolniła się z jakiejś firmy. — Dwa miesiące temu. Gdzie pracuje teraz, nie wiem.

— Też bym się zwolnił — odezwał się zasepiony Jegor.

— Raz bym spojrział w lustro i zwolniłbym się...

— Och, wspomnicie moje słowa, panowie — z boleścią wystękał Leonid Witaliewicz. — Przepłoszy ona Tamarę i od naszego szkiełka. To przecież jakaś karykatura.

— Żeby tam karykatura! — przemówił ponuro doświadczony wujek Semen. — Spójrz, z jaką skrupulatnością ona wszystkie jej niedostatki uwypukla! Nieee, to nie karykatura, Lenia, to praca. Przy czym wcale nie taka zła... Tylko dlaczego ona tak jej nie lubi, tej swojej Tamary? Och, baby... Zagadką były, zagadką pozostają...

— Słuchajcie, a może to wszystko ma proste wyjaśnienie? — drgnął Archeda. — Ona przecież ją do tej pory tylko na służbie odbijała! Wiedziecie, jak to bywa? W domu kociaczek, a na służbie

kawał szui...

— Hmm... daj Boże, żeby tak było — wymruczał wujek Semen. — Może masz rację. Pożyjemy, zobaczymy...

Postać Tamary Istriny wracała już ze zdobyczą. Zbliżywszy się, obdarzyła wszystkich rozwiązłym uśmiechem

— i od razu dało się zauważyć, że jeden z jej przednich zębów jest krzywy, a drugi wymaga interwencji dentysty. Rzuciła na stół postrzępioną, ale jawnie świeżo odbitą talię kart.

— Chcieli nowiutką wcisnąć, zapakowaną — oznajmiła z obrzydzeniem. — Nie, piękne dzięki, mówię, zapakowaną sami sobie grajcie.

— Dziękuję... — z roztargnieniem wyraził swą wdzięczność kulturalny Leonid Witaliewicz, ale został zignorowany.

Odbicie Istriny skryło się w pawilonie, gdzie zaraz zaczęło być głośno.

— No nie, nie tak, nie tak! — rozlegał się jej kapryśny, lekko zachrypnięty głos. — Właśnie w tym rzecz, że wszystko powinno być zamglone! Do tej chwili, gdy wkroczę, wszystko powinno być zamglone...

— Ależ nie, proszę pozwolić mi o tym decydować

— brzęczał w odpowiedzi dyspozytor.

Mężczyźni popatrzyli na karty, potem na siebie.

— Tak na marginesie — powiedział Wasilij. — Mówić jej o Irinie?

Zadumali się.

— Nie. Do diabła z nią! — ponuro rzekł wujek Semen — Jeszcze ucieknie...

— Może lepiej byśmy na tym wyszli... Znów się zadumali.

— Mówcie co chcecie, ale nasz dyspozytor to rzadki przypadek przygłupa — podsumował wrażenia Leonid Witaliewicz Archeda.

Jegorek milczał.

A potem nastąpił ranek. W pawilonie już robiono korektę słonecznego oświetlenia, padającego z pozbawionego zasłonki okna i kłęto z powodu kurzu. Wreszcie zabrzmiało:

— Połupałow, przygotuj się! Wasilij wstał.

— No cóż... — oznajmił bez specjalnej radości. — Trzeba dograć tę komedię do końca. — Westchnął i przyznał z goryczą: — Nie wyobrażam sobie, jak można z nią w duecie pracować!

Postać Tamary Istriny już stała obok rtęciowoszarego sześcianu i szczyrzyła się raczej niż uśmiechała. Makijażu na jej twarzy było o wiele za dużo.

— K-kochaniutki... — wyznała Wasilijowi i ułożyła usta w trąbkę.

Ten wziął ją pod rękę.

— Szampan! Kwiaty! — zadysponował dyspozytor.

Ktoś z niewidzialnej obsługi podał Wasilijowi wielką butelkę, a Tamarze — owinięte w celofan szkarłatne róże.

— Uwaga! Istrina! Połupałow! Wasze wejście... Wasilij uchylił drzwi i wkroczył pierwszy w odbicie pokoju. I to samo zrobił jego oryginał w prostokątnym lustrze, wiszącym na przeciwległej ścianie. Brwi obu jednocześnie się uniosły, usta skrzywiły się w poczuciu winy.

— Wybacz, Tam... — łowiąc kątem oka najmniejsze nawet ruchy warg bliźniaka, cierpliwie powiedział Wasilij. — Mam tutaj bałagan... Zacząłem sprzątać i jak na złość koledzy wpadli...

Nienagannie kopiując wszystkie ruchy oryginału, odsunął się na bok. Partnerka przestąpiła próg. Zatrzymała się.

— Boże, ależ ja w tym lustrze koszmarnie wyglądam! — rozległ się jej zachrypnięty głos, przy czym przesycony raczej złością niż lękiem.

Gdzieś całkiem blisko stęknął niezadowolony z mało delikatnej repliki niewidzialny

dyspozytor.

— No dobrze — wymamrotał w ślad za oryginałem Wasilij, robiąc krok do przodu... i wtedy zdarzyło się to, co początkowo uznał za zwykłą, choć zarazem dość przykrą pomyłkę.

— A tak? — nieoczekiwanie wysokim, łamiącym się głosem powiedziała za jego plecami partnerka, chociaż prawdziwa Tamara Istrina jeszcze nawet ust nie zdążyła otworzyć.

W następnej chwili obie twarze po tamtej stronie lustra wykrzywiły się — i Wasilij, domyślając się już z przerażeniem, co się dzieje, obejrzał się. Odbicia potrafią robić to błyskawicznie, dla ludzkiego oka taki ruch jest nie do uchwycenia. Jednak teraz Wasilij nie odwrócił się tak po prostu. Obejrzał się i zamarł, zapominając o wszystkim. Nawet o własnym bliźniaku.

Zamiast odbicia Tamary Istriny pośrodku pokoju, skierowawszy w lustro bezlitosne, przejrzystoszare, przypominające topniejący lód oczy, stała Irina Połupałowa — krucha, chorobliwie blada, ruda.

— Cześć... — powiedziała ledwo słyszalnie. — Poznajesz mnie?

A tymczasem w lustrze z nieodwracalną powolnością zachodziło nieuniknione. Chorobliwie wywróciwszy ślepiami, rosła Tamara Istrina ciężko osiadała na dokładnie zamieciony dywan, tam, gdzie leżały już owinięte w celofan róże. Po gniecionej kruczoczarnej skórze płaszczka tańczyły mgliste zygzaki odbłasków. W głębi pokoju miotała się skrzywiona, bezdźwięcznie krzycząca twarz Wasilija, unoszącego do rzutu rękę z butelką.

Nie było już potrzeby powtarzania jego ruchu.

Zielony szklany granat trafił w sam środek lustra. Rozpełzły się po nim podwójne pęknięcia, rozgałęziając się powoli, i świat eksplodował, rozpadając się na niezliczone mnóstwo pokojów z pozbawionymi zasłon oknami.

— Oj, osioł ze mnie... Oj, osioł... — płaczkliwie zawodził gdzieś w pobliżu dyspozytor, który zbyt późno zorientował się w sytuacji. Pozostali milczeli wstrząśnięci.

Odbicie Wasilija Połupałowa otworzyło oczy. Po pawilonie, co oczywiste, nawet śladu nie zostało. Wszyscy w odrętwieniu spoglądali na kruchą, rudą Irinę, sprawiającą teraz wrażenie jeszcze bledszej. Ta trzymała się nienaturalnie prosto, w jej przejrzystoszarych oczach czaił się strach i wyzwanie.

— Ech, dziewczyno... — jękliwie, z bólem wyrzucił z siebie wreszcie wujek Semen. — No i cóż żeś z sobą, głupia, zrobiła! My — pał sześć...

Odbicie Iriny Połupałowej uniosło drgającą górną wargę i cofnęło się. I całkiem możliwe, że dokładnie tak samo cofnęło się w nieskończonym łańcuchu zalustrzy. Cienkie, jak u nastolatka, ręce wykonywały dziwne spazmatyczne ruchy, jakby broniąc się przed niewidzialnymi i na razie jeszcze słabymi dotykami.

— Myślicie: to wszystko? — wykrzyknęła rozpaczkliwie. — Myślicie: już jej więcej nie będzie? On jeszcze sobie przypomni! Nad studnią się pochyli! Do strumienia podejdzie!

Potem jakaś niewidoczna siła zgięła ją w pół i bezlitośnie powlokła w stronę giełdy. Jegorek nie wytrzymał i tak zmrużył oczy, że aż przestał cokolwiek widzieć. Długo potem przychodził do siebie. Jego trzech starsi towarzysze nadal stali obok, próbując zanegować ujrzany wyraz cierpienia, malujący się na twarzy.

— Jak ona mogła ją tak odbić? — zacinając się, spytał Archeda.

— Jak, jak... — zawarczał w odpowiedzi wujek Semen. — Pewnie sterczała w tej firmie cały miesiąc... dopóki tamta nie uciekła...

— Mało tego, że wszystko rozniosą, to jeszcze i duszę przenicują! — zjadliwie wycodził Wasilij. — Wychowuj ich! Sami wychowują kogo chcesz...

*tłum. Paweł Ludański*



## **OD AUTORA:**

*Historię tę opowiedziało mi za pomocą gestów pewne odbicie, zesłane w zeszłym roku z zalustrza i przebywające obecnie w jeziorach Pojezierza Wołgo–Achtuhińskiego. Imiona bohaterów zostały zmienione. Nazwa pojezierza — również.*

## **KONONOW BARBARZYŃCA**

### **1. KRACH**

Kononow lubił pisać w nocy. Dzień to czas krzątaniny, do pisania jakoś nie miał ciągu; przy tym należał Kononow do rasy sów, szczyt aktywności przypadał u niego między pierwszą i trzecią w nocy. W tym czasie mógł trzepnąć dobre pięć stron, a w dzień tylko się pocił przy komputerze i z udreką krzesał papierowe zdania. Taką miał fizjologię, że wszystko, co działo się w jasnej części doby, odbierał jak zakłócenia — tupanie sąsiadów na schodach, tęskne wycie kanalizacji i nawet szelest liści za oknami. W nocy pisało mu się znacznie łatwiej i szybciej, dlatego Kim wołał noc. Spokój, cisza, ciemność...

Ale w danej chwili miał tylko ciszę i spokój — jeszcze nie skończył się czerwiec, w Petersburgu jedna zorza pędzi za drugą, panują białe noce. Ale mógł przynajmniej otworzyć okno i oddać się twórczości, wdychając aromat świeżej zieleni i wilgotnej, przesyconej letnim deszczem ziemi. Kim mieszkał na Oziorkach, na Prezydenckim bulwarze, czyli północnej części Petersburga; po jednej stronie ulicy stały domy, a po drugiej rósł las, który miejscowi mieszkańcy nazywali parkiem. Gawra Kima znajdowała się na parterze, od drzew dzieliły go tylko krzewy akacji, chodnik i jezdnia z falistym asfaltem.

Znajomy, a jakże przyjemny widok! I taki natchniony! Jeśli się wyteży wyobraźnię, to najbliższa kałuża może ująć za ocean, ciemny pasek lasu — za wyspę pięknej czarodziejki, a przyjemny czerwcowy deszczyk — za burzę na oceanie, niosącym olbrzymią galeryę diabłu na rogi... Conan Barbarzyńca czepia się steru, wpatruje w mrok, zastanawia — skąd ta burza? Taka silna? A nie wie barbarzyńca Cymmeryjczyk, że burzę nasłał obrzydliwy czarnoksiężnik z ziem północnych, chcąc przestraszyć piękną czarodziejkę zamieszkującą wyspę i zniewolić ją, i posiadać. Tego oto skubanego maga o imieniu Gor Nebsecht Conan załatwi! Ale nie od razu, a za dobre trzysta stron, pokonawszy długą drogę od zamku czarnoksiężnika w Wanaheimie...

Początek jest, zdecydował Kononow, mruknął zadowolony i odwróciwszy się od komputera, obrzucił wzrokiem swój gabinet. Głównym elementem interieuru były tu książki: na półkach, na podłodze i płynnie przelewające się na, własnymi rękami skleconym, regale w przedpokoju. Stos książek obok fotela zwieńczony był telefonem; na półkach, tu i tam, leżały kasety z dyskietkami, sterty papieru i inne manele, niezbędne w pracy pisarza. Nieład, ale jakże roboczy, aktywny...

Znowu wyemitował „hm”, podrapał się po czubku głowy i, zapaliwszy papierosa, wpił się wzrokiem w ciemniejące na ekranie wersy. Kilka minut zastanawiał się nad sceną katastrofy statku, na przykład taką: galera wpadnie na rafę i przełamie się na pół, fale zmyją marynarzy z pokładu, utoną biedni, ale Conan dopłynie do brzegu... Może zostawić mu jeszcze kogoś, żeby się Cymmeryjczyk nie nudził?

Pomyślawszy nad tym chwilę, Kim zdecydował jednak, że utrupi wszystkich bez litości, a przy okazji wpakuje w czarnoksiężnika nieśmiertelnego demona. Ten potwór będzie kwaterował w czerepie Gor Nebsehta jak dżin w butelce, dodając magowi nieco magicznej mocy i złośliwości, a uciec mu mag nie może, bo do samej śmierci złączeni będą zaklęciem. Demon, oczywiście, wie o seksualnych potrzebach partnera i aprobejuje je, tak więc Conanowi lekko nie będzie... A dlaczego? Może tak: barbarzyńca wyrwie magowi wątrobę, ale musi uważać, żeby demon nie przeskoczył na niego!?

Znakomita fabuła! Kim z uśmiechem popatrzył przez okno i zaczął walić w klawisze. Deszczyk — burza, kałuża — ocean, las — kwitnąca wyspa, a Conan — oto jest i Conan, siedzi przy komputerze i pisze pamiętnik! Tylko pięknej czarodziejki nie ma...

Po kilku godzinach, mniej więcej o trzeciej piętnaście, zrobił przerwę, przeczytał pierwszy rozdział. Kończył się wielce dramatycznie: „Ani jednego człowieka nie widział w wodzie... ani jednego ciała na brzegu... Wszyscy zginęli... Wszyscy!”

„Niekiepsko ich potopiłem!” — pomyślał Kim, chłęcząc kawę z dużego kubka. Był z siebie zadowolony; fabuła rysowała się coraz jaśniej i obrastała jak mięskiem różnymi duperelami i bambetlami. Tak więc, Conan trafi do czarodziejki, pięknej wróżki właściwie, którą prześladuje czarnoksiężnik; ona, rzecz jasna, obieca Cymmeryjczykowi złoto i wieczną miłość, jeśli uda się na północ i wypuści juchę z bydlaka czarnoksiężnika. A żeby nie zapomniał o celu misji, wróżka da mu trabanta golema, ostrego jak rycerz Jedi z „Gwiezdných Wojen”. I oto, po wielu trudach i mękach dotrze Conan do zamku na lodowatym wanaheimskim brzegu, a tam policzy się z Nebsechtem i z wrednym demonem, za jednym zamachem! Ale najpierw trzeba to tak urządzić, żeby stracił towarzyszy, albowiem Conan Barbarzyńca lepszy jest w pojedynkę. Bardzo wyrazista persona! Oczy lodowate, mięśnie stalowe, żuchwa kwadratowa!

Westchnawszy, Kim obmacał własny nieogolony podbródek. Nie jest źle, ale do Conana daleko... Zresztą ani zazdrości, ani żalu z tego powodu nie odczuwał: każde — mu co innego pisane, a i czasy nie za bardzo hyborejskie. Niby czemu ma zazdrościć bohaterowi bajki, z którego przecież żyje, ma co jeść i pić? Jakoś tak głupio i nieetycznie. Chociaż, z drugiej strony, czasem marzyło się Kimowi, że rozprostuje ramiona, złapie topór i poszatkuje jak kapustę jakieś ohydne stwory Nergala! Powiedzmy, tych hałaśliwych sąsiadów z piętra.

Tym niemniej nie usiłował ich utemperować — to było młode małżeństwo i Kim miał szczerą nadzieję, że wszystko się jakoś poukłada: dotrą się, uspokoją. Na razie zaciskał zęby i wytrzymywał. Młode stadło! Miłość! Do miłości Kim miał stosunek taki drżący więcej, będąc z ducha swego poetą i romantykiem. Co, zresztą, wcale nie odbijało się na jego literackich dokonaniach: pracował dla wydawnictwa „Hyborea”, serwującego sagę o Conanie — dwa tomy w miesiącu, dwadzieścia cztery w roku.

Niewytłumaczalny fenomen: Conana Barbarzyńcę czytano — i szanowano! — na całym postradzieckim terytorium. „Hyborea” wyniuchawszy ten trend, wyklepała już setkę tomów bez dwu: najpierw oryginalnego Howarda, potem jego zachodnich następców, wszelakich Jordanów i Sprague’ów de Campów, a kiedy Jordany i Campy się skończyły, do druku poszły dokonania rosyjskich konanistów.

W tej oto brygadzie orał Kononow, dając nieustający powód do żartów, związanych z jego nazwiskiem. Próżno udowadniał kolegom, że nijak się z hyborejskim Conanem nie wiąże, że „konon” po grecku znaczy „pracujący”, próżno chmurzył brwi, kiedy go pytano, ile księżniczek zhańbił i ilu magom wyciął woreczki; próżno też nosił do wydawnictw swoje sonety, stanse i poematy. Próżno! Jak mawiał Borys Chałturin, właściciel „Hyborei”: „Jeśliś jest Kononow — pisz o Conanie, a między Puszkiniów się nie pchaj!” Kim pocieszał się, jak umiał: wstawiał do powieści a to balladę, a to pochwalny hymn do bogów — oczywiście tych jasnych, typu Isztar czy Mitry.

Ale ballady i hymny wymagały szczególnego nastroju, a w tej chwili Kim przebywał w rytmie prozy, obmyślając linie fabularne i pamiętając o tym, że powieść ma skończyć najpóźniej za jakieś cztery tygodnie, przed piętnastym lipca. Stąd wniosek: twórczość — tak, ale szybkość też!

Wlece się więc Conan po wyspie, spotyka piękną wróżkę i oddaje się z nią miłości pod palmami, po czym udają się prosto do pałacu albo może lepiej do ogromnej jaskini czy pieczary. Jaskinia może być, i nazwać można ładnie — grota—czegoś—tam... Czegoś — czyli jej... czarodziejki, oczywiście, ale trzeba jej jakieś imię wymyślić, ładne i energiczne... No i jakoś ją

zewnątrznie opisać...

Kim dotknął klawiszy.

„Była gibka, z figurą Isztar, z kształtami kuszącymi i jednocześnie dziewiczymi i poważnymi. Piękno jej twarzy oszałamiało: ogromne oczy z zielonymi źrenicami, karminowe wargi, delikatny atlas policzków i wodospad rudych kędziorów, bezładnie spływających na ramiona. Nogi były odkryte powyżej kolan, a i inne części ciała też widać było wyraźnie: leciutki chiton nie krył niemal niczego. Ani jędrnych piersi, ani perłowej konchy brzucha, ani krągłych i w miarę pełnych bioder, ani łona, pokrytego złocistymi włoskami. Oświetlona słońcem była piękna jak dzika orchidea z rezerwatu bogini miłości!”

Zakończywszy akapit, Kim przeczytał go i oblizał się. Jemu się takie kobiety nie przytrafiały! Żeby i perłowy brzusek, i złociste łono... Gdzie żyją takie ślicznotki? Wiadomo, w Hollywoodzie na pewno, poza tym u nowych ruskich, w bogatych wnętrzach. Wszystkie rozkupione i zaklepane, a co zostało dla biednego rosyjskiego poety? Niech nie poety, nie pisarza, prostego Murzyna, ale Murzyni też ludzie, szczególnie literacy! Też łakną czegoś takiego z purpurowymi usteczkami i w lekkim chitonku, nie zakrywającym krągłych, ale w miarę pełnych bioder.

Westchnąwszy, Kononow usiłował wyobrazić sobie to cudo, ale nagle z bulwaru doleciał odgłos toczących się kół, płynnie przechodzący w pisk opon. „Kogo to licho przyniosło o piątej rano?” — pomyślał Kim. Wyjrawszy przez okno odkrył, że za krzakami zaparkowała fura wypasiona na fuli, merc sześćsetka, w wyrafinowanym kolorze „mokry asfalt”. Z wozu wyszli trzej pasażerowie

— dwaj mężczyźni i kobieta w długim płaszczu. Deszcz ustał, ale krzewy i wisząca w powietrzu mgielka nie pozwalały przyjrzeć się ich twarzom. Mężczyźni byli barczyści i, sądząc z kanciastości ruchów, młodzi; kobieta — zgrabna, wysoka, w kapturze nasuniętym niemal na brwi. Jeden z mężczyzn trzymał nad nią parasol, drugi rozglądał się czujnie. Jakby pod bramą domu Kima czaili się jacyś bandyci.

— Tylko krótko, Dario Romanowna — usłyszał Kim zachrypnięty lekko głos. — Pał Pałycz kazał to załatwić szybko. Zobaczmy, co z nią, a jak trzeba, to pogotowie zawołamy.

— Pogotowie nie przyjedzie do konwulsji — kompetentnie zaproponował drugi. — Do zwichnięcia też. Musimy, Girą, Gienka — łapiducha wołać. Niedaleko mieszka, na prospekcie Engelsa.

— Najpierw zobaczmy. Jakby co, to dryndnę na komórkę, skoczysz po Gienka.

— On też nie przyjedzie. W końcu to noc!

— Przyleci, jak mu kopsniesz baksów. — Girą odwrócił się do kobiety. — Idziemy, Dario Romanowna, zobaczmy, co się dzieje z siostrzycą. I co jej odbiło, żeby skakać po słońiu? Niechby sobie płaśla na arenie, na miękkim piaseczku...

Ruszyli do bramy Kima. Za nią, niemal na samym rogu, znajdowało się przejście prowadzące na podwórko ich ośmiopiętrowca, a na podwórku było wszystko: kioski z piwem, budka szewca, pięć ławeczek i przy każdej jakieś drzewo — topola, brzoza. Ale te szczegóły nie obchodziły w tej chwili Kononowa; mrużąc oczy, obrabiał w myślach usłyszane dopiero co imię.

Daria Romanowna... Dar Roma... Aż dwa „r” — ryczy, zaraza, ryczy... Dar — oma... Dobre, ale i tak ryczy... Daj — oma... Dajoma... „O, to już całkiem — całkiem” — pomyślał Kim. To się nadaje na imię pięknej wróżki! A ryczącą głoskę zostawimy dla słowa „grota” i otrzymamy energiczne i czułe — „Grota Dajomy”... Dobra nazwa! Conan tę Dajomę przechędoży na łączce pod palmami, potem ona zaciągnie go do groty, a tam — dywany i łoże z tygrysimi skórami, znakomita piwnica i od cholery służby...

Wrócił do komputera, ale w tym momencie coś się zmieniło za oknem. Krzyknęła kobieta: „Precz! Puśćcie! Puśćcie mnie!” — potem dał się słyszeć ochryply ryk: „Gdzie? Stój! Stój, mówię

ci!” — i od razu rozległ się stukot obcasików, tupanie, ciężki oddech i wrzask: „Hej, Pietrucha!

Łap ją, łap!”

Wychyliwszy się przez okno, Kim zobaczył, że kobieta, zrzuciwszy płaszcz, pędzi, ale nie do jego bramy, a jakby do przejścia pod budynkiem. Chłopak z ochryplym głosem cisnął parasol i biegł za nią, jego kamrat rzucił się, żeby odciąć jej drogę, ale uciekiniarka była szybka jak stepowa sarna. Kim z zachwytem obserwował jej eleganckie ruchy, płomienne mażnięcie rudych włosów, długie kształtne nogi, ale od razu uświadomił sobie, że przecież dzieje się coś dziwnego. Może to porwanie, albo coś gorszego... Dlaczego ta kobieta ucieka? No i jakkolwiek szybko by nie biegła, to w modnych pantofelkach nie ujdzie pogoni.

Oparł się o parapet i wyskoczył na zewnątrz. Kim nie należał do ludzi, którzy ważą „za” i „przeciw”, tylko ulegają impulsowi — zwłaszcza, jeśli trzeba komuś pomóc, uratować z ognia, z morskiej głębinie czy, jak w danym przypadku, z łap hipotetycznych gwałcicieli. W takich chwilach zapominał, że nie umie się bić, a i budowę ma raczej nie herosa, a prędzej lekkoatlety. Biegał, to inna sprawa, nieźle, dlatego przedarłszy się przez krzewy akacji, zdążył dopaść prześladowcy. Byli mniej więcej jednakowego wzrostu, ale Gira ważył dobre trzydzieści kilo więcej i, sądząc z wygolonego czerepu i ciężkich pięści, zaliczał się do zawodowców.

Ale Kononowa to nie powstrzymało. Chwyciwszy łysego za łokieć, szarpnął go, odwrócił do siebie i wściekle syknął:

— Słuchaj, koleś, hamuj trochę... Gdzie tak pędzisz? Czego chcesz od dziewczyny?

Przez sekundę Gira patrzył na Kononowa w oszołomieniu, jak na ożywionego trupa ojca Hamleta. Chyba był zaskoczony na maksa, ale nie trwało to długo: odepchnąwszy Kima — aż ten poleciał w krzaki — łysol odwrócił się do kamrata i ryknął ochryple:

— Załatw to, Pietrucha! Szybko! Żeby mi tu frajer nie cudował!

Pietrucha był o pięć kroków i pędził z całych sił — przysadzisty, niższy od Kima, ale zwarty i napakowany jak futbolowa piłka. Chwyciwszy garść mokrego piasku, Kim cisnął nim w fizys Pietruchy, i sam się zdziwił, że trafił. I nie gdzieś tam, a dokładnie w oczy!

Podbudowany wpakował drugą porcję w nozdrza przeciwnika, wylał z krzaków i pognął za Girą.

Dogonił go za trzecią, ostatnią w szeregu bramą. Kobieta zdążyła już wbiec na podwórko, jej gibka postać pojawiała się i ginęła między budkami z piwem, topniała w siwej mgiele jak widmo, śpieszące z dziennego świata ku porannej zorzy. Wróżka, czarodziejka... — pomyślał Kononow, patrząc jak wiją się w powietrzu rude loki. W następnej chwili kobieta zniknęła za budką szewca, a Kim skoczył na szerokie plecy Giry.

Zwalili się na ziemię, Kim na wierzchu, przeciwnik

— pod nim, ale sytuacja zmieniła się z przerażającą szybkością. Kim poczuł, że leci gdzieś, że przecina sobą powietrze, przelatuje nad brudną kałużą i krzakami, potem uderza o ścianę, coś chrupie w ramieniu i eksploduje w nim mała bombka bólu. Osunął się na asfalt, zgrzytnął zębami i zaczął wolno podnosić się na nogi. Pysk Giry — gęste brwi, wyszczerzone zęby — zawisł nad nim niczym oblicze diabła.

— Czego chcesz, palancie? Co się wcinasz w cudze rozliczenia? I dla kogo robisz? — zainteresował się paker. Potem zmrużył ślepką i sapnął: — Ja z ciebie zrobię paragon. Bez odchodzenia od kasy!

Kim wstał, spróbował zacisnąć pięści, obejrzał się i zobaczył, że nadciąga, klnąc jak pijany i niewykształcony szewc, Pietrucha, wycierający przy tym gębę chusteczką. W głowie mu huczało, w ramieniu pulsował ból, łokieć krwawił, a palce lewej ręki nie chciały się zginać.

„Zaraz mi wpieprzą...” — błysnęła myśl.

Myśl była z gatunku słusznych — wpieprzyli mu do utraty przytomności.

## 2. WRÓŻKA

Ocknął się Kononow już na noszach w karetce i gdy tylko przyjął do wiadomości ten fakt, zaczęły mu latać po głowie dziwne słowa: „...pogotowie nie przyjedzie do konwulsji — .. do zwichnięcia też...” Ale skoro przyjechało, to znaczy, że załapał się nie na konwulsje i nie na zwichnięcie!

Skoncentrowana nachmurzona twarz, podparta kołnierzem białego fartucha, pływała nad nim. Z trudem poruszywszy ustami, wychrypiał:

— Ktoś... t—ty?...

— Lekarz — powiedział nachmurzony. — Sąsiedzi nas wezwali. Mów, gdzie boli. Ramię?

— Ram—mię... — potwierdził Kim. — Żebra... I głow—wa...

— Zaraz ci podam coś przeciwbólowego.

Poczuł ukłucie w rękę i twarz, szybująca nad Kimem, rozplynęła się i stała się chmurką. Chmurka wisiała nad zieloną wyspą, drzemiącą sobie na szafirowych wodach, nad granitową skałą, w której znajdowało się wejście do groty. W głębi groty połyskiwała brama z brązu, zdobiona wizerunkami księżycy i gwiazd. Skrzydła zamigotały poruszając się, otworzyły z cichym szelestem, ukazując szerokie marmurowe schody, prowadzące w dół. Po schodach przemieszczał się wspaniały pochód: dziewczęta w jaskrawych strojach, wojownicy w pancerzach z brązu, tancerki, podczasy, paziowie, tygrysy, czarne pantery i inne zwierzęta, prowadzone nie na łańcuchach, a na jedwabnych wstążkach. Przodem, na czele procesji, tanecznym krokiem szła Ona. Jej tunika i korona rudych włosów wyglądały jak złocista zorza, na tle której widniało piękne oblicze z zielonymi źrenicami, z purpurowymi ustami, z równymi łukami brwi. Była tak piękna, że Kimowi zabrakło tchu.

„Dajoma...” — szepnął i odcumował ostatecznie.

Drugi raz odzyskał przytomność w szpitalu, na wąskiej i twardej pryczy. Obok siedział lekarz, ale nie ten „nachmurzony” z pogotowia, a uśmiechnięty i puciołowaty. Świeciło słońce, szczebiotały ptaki, gdzieś nieopodal pobrzękiwały naczynia i słychać było kobiecy głos, zwołujący pacjentów na śniadanie. Kim odkrył, że leży na plecach, lewe ramię ma aż do szyi zagipsowane, a tors i głowę owijają szczelnie bandaże.

Pomrugnął i zapytał:

— Gdzie jestem?

— W szpitalu miejskim numer siedem — chętnie odezwał się lekarz. — Na oddziale urazów czaszkowo—mózgowych. Może pan usiąść?

Kim pokręcił się, poobracał i z pomocą doktora usiadł, obmacał prawe oko. Musiało tam być nieliczne limo. Poza tym kłuło w żebrach, ramię strzelało salwami bólu, ale nie przesadnie mocno. Do wytrzymania.

— W główce się nie kręci? Nie mdli?

— Chyba nie. A jak ze mną, doktorze?

— Dziękuję, nieźle jest, gołąbeczku! Nieźle po panu stepowali, ale udało się bez wstrząśnienia mózgu. Cała reszta to drobiazgi — powiedział lekarz i zaczął wyliczać:

— Obojczyk złamany, wybroczyna pod prawym okiem, pęknięcia żeber plus stłuczenia głowy i inne cielesne uszkodzenia. Skutek pobicia średniego stopnia, że tak powiem... — westchnął współczująco i zapytał: — A za co cię pobili?

— Bronilem dziewczyny — mruknął zasepiony Kononow.

Lekarz westchnął znowu.

— No dobrze, przyjdzie do ciebie milicja, to jej opowiesz... A na razie leż. Salę masz cichą, tylko trzy łóżka, a na jednym — Kuźmicz. On ci przyniesie jedzenie. Leż. Jutro spróbujemy wstać z łóżka, i na drugi rentgen.

Wstał, machnął połamami fartucha i zniknął za drzwiami.

Kim rozejrzał się. Jego łóżko stało pod ścianą, w nogach błyszczało lustro nad umywalką, w kącie stał stół, a obok — szafa z uchylonymi drzwiami. Prócz tego znajdowały się jeszcze dwa identyczne łóżka: jedno, bliższe — puste, a na dalszym leżał chłopak mniej więcej w jego wieku. Leżał cicho, z rękami na kołdrze, wpatrzony w sufit.

Kononow odkaslnął.

— Mam na imię Kim... A ty?

Chłopak nie zareagował.

— Przywieźli mnie w nocy. Przepraszam za kłopot...

W odpowiedzi — milczenie.

— Nie obudziłem cię w nocy? — nie ustawał Kononow, ale jego towarzysz nie odezwał się.

Pewnie poważnie kontuzjowany, zdecydował Kononow; coś czaszkowo-mózgowego, sięgającego ośrodka mowy.

Drzwi skrzypnęły, w pokoju pojawił się czerwono nosy starszek z dwoma talerzami: z jednego parowała kasza, na drugim jak na tacy przyniósł jaja, chleb i kubek z herbatą. Rześkim krokiem starszek skierował się do Kima.

— Nowy? Masz, wsuwaj i wsiąkaj szpitalne żywienie... Jedzenie w sumie niezłe, ale zarazy kuchenne nie chciały mi naczyń pożyczyć. Bo wiesz, tu każdy ma swoje, a te służbowe, jak znam życie, rozkradli. Podpieprzyli! I filiżanki, i termometry, i całe państwo rosyjskie... — Przysiadł na łóżku. — Jedz, pomogę ci... Jak się nazywasz?

— Kim.

— A ja — Kuźmicz. Stały mieszkaniec tego rejonu i dyżurny weteran!

Kim nie miał wcale apetytu, ale jednak zmęczył jajo i przełknął trochę kaszy. Następnie zamierzał pogadać z weteranem, dowiedzieć się czegoś o szpitalnych obyczajach i o trzecim sąsiedzie, przypominającym zewłok, ale do pokoju wszedł lejtnant milicji, przyjął zeznania, odnotował ksywkę Gira, imiona „Pietrucha” i „Daria Romanowna”, przepytał na okoliczność urazów i dowiedziawszy się, że nie zachodzi niebezpieczeństwo utraty życia, zaczął namawiać Kima, żeby nie wnosił skargi. I tak złoczyńców nie schwytemy, tłumaczył lejtnant, co drugi w tym mieście to Pietrucha albo Gira, a co do panienek, to co trzecia jest Daria. Kim słabo się sprzeciwiał, tłumacząc, że merc sześćsetka, rude loki Darii Romanownej, a jej siostra, co to płąsa na słońiach... Ale z tym ostatnim to przegiął, bo lejtnant się nachmurzył, powiedział, że w Petersburgu słoni nie ma, ale pełno jest takich, co to źle słyszą. Kim, choć zmęczony dyskusją, aluzję zrozumiał i poddał się. Lejtnant odszedł zadowolony.

Kim spał do wieczora. O ósmej, kiedy z Kuźmiczem wcinali makaron ze sznycelkiem, popatrzył na trzeciego mieszkańca i zapytał:

— A ten co? Nie mówi, nie rusza się, nie je... Kto to jest?

— Ten to ofiara hydrauliki. Skoczek! — wyszczerzył się Kuźmicz. — Taka ci oto historia... Chodził, rury naprawiał i konsumował, co mu zaoferowali. No i się nakonsumował! Zaczęło mu się widzieć, że ktoś mu pod czachą zamieszkał. Raz mówił, że diabeł, raz że kiwaczek jakiś inny. Kapujesz?

— Nie bardzo — przyznał Kim i od razu przypomniał sobie maga Nebsehta i jego lokatora — demona, skinał głową: — Rozdwojenie osobowości czy jak? Schizofrenia? Biała gorączka?

— Tego to ci ja nie wiem — może gorączka, a może na dupie obrączka... Ale diabeł mu

dopiekł! No to wziął chłop i wyskoczył przez okno! A mieszkanie było na szóstym piętrze, tyle że po pijaku to i się nie zabił... Walnął w asfalt, ręce i nogi całe, żebra tyż, ale w mózgu kasza. Teraz leży, milczy i je przez lewatywę...

— Dożylnie?

— Przesz mówię — przez lewatywę! — Kuźmicz zerknął na trzecie łóżko. — Ktoś go musi pilnować, skoczka. Leży sobie, leży, a może znowu fiknie przez okno? A tu, bracie, nie piąte, tu jedenaste piętro...

Okolo dziesiątej Kuźmicz w końcu padł, zanurkował pod kołdrę i zaczął chrapać. Skoczek — hydraulik leżał nadal nieruchomy i niemy, tylko wargi zaczęły mu się poruszać, jakby usiłował dyskutować z diabłem lub przegonić siłę nieczystą przy pomocy modlitwy. Kim, z powodu swoich swoich nawyków, daleki był od snu. Najpierw rozmyślał o rudowłosej Darii Romanownej, potem — że miło by było usiąść teraz przy komputerze, zapalić i walnąć rozdzielik o wróżce, złym magu i niepokieszonym Conanie.

Jak to on nudzi się na tej wyspie, smuci! Statek utracił i towarzyszy, a takie słodkie życie bez przygód to mu nie pasi. Dajoma, wiadomo, cudna... oczka, nóżki, piersiątko i cała reszta... Ale świerzb herosa targa Conanem i nie znajduje pocieszenia w ramionach wróżki! Zbyt wiele miłości, wina i smakołyków, i zbyt miękkie łożo...

Kim przymknął powieki i popłynęły przed oczami linijki tekstu, układając się zwartymi szeregami w przechowalni pamięci. A pamięć miał wspaniałą; wszystko sobie potem przypomni, wszystko odżyje, byle tylko do komputera się dorwać. Albo do kartki papieru...

Minęło dwadzieścia czy trzydzieści minut, nagle coś trąciło umysł Kima, coś dziwnego, jakby stał za nim niewidzialny czytelnik i wertował nie zapisane jeszcze stronicę. Ale dlaczego nie zapisane? Skoro coś zostało wymyślone, już jest zapisane, to znaczy istnieje... Jasne, istnieje, pomyślał, ale nie dla każdego, dostęp ma tylko czcigodny autor. A jeśli się okaże, że ktoś ci grzebie w mózgu, podgląda i czyta, to masz do czynienia z pozorami. Iluzja, wywołana przeżyciami!

Tak sobie myśląc, Kononow zasnął. Rano wykonano rentgen, profil i en face, postawiono diagnozę: będzie żyć. Ramię pobolewało, ale w głowie panowała jasność, lekarz pozwolił mu wstać i przespacerować się do palarni.

Po obiedzie, kiedy zapadł w drzemkę po warzywnym ragout, drzwi do pokoju otworzyły się i weszła siostra dyżurna. Wyglądała na nieco oszołomioną — może z powodu upału i zapału do pracy.

— Pacjent Kononow! — zawoła ciekim głosem. — Jestem! — zareagował Kim, podnosząc się na łóżku. — Macie wizytę. — Siostra krytycznie przyjrzała się Kimowi i dodała: — Na waszym miejscu bym się umyła i uczesała. Jakoś tak nieporządnie wyglądacie...

— Dobra, umyję się — obiecał Kim. — A dokąd mam iść?

— Dokąd, dokąd... Do holu gościnnego! Po lewej, przy wejściu na oddział, za fikusami!

Kononow wstał, opłukał oblicze pod kranem i pomaszzerował szpitalnym korytarzem. Korytarz ciągnął się do schodów, gdzie, odgródzone donicami z fikusami, znajdowały się dwa fotele i kanapa. To był właśnie hol gościnny, miejsce spotkań pacjentów z rodziną i bliskimi.

Ale Kononow, poza nielicznymi przyjaciółmi, nie miał bliskich, a przyjaciele nie wiedzieli jeszcze o jego kłopotach. Dlatego przemierzając się w kierunku holu, gorączkowo i głęboko zastanawiał się, kogo tam zobaczy.

W przejściu między ścianą i roślinami Kim uniósł wzrok i znieruchomiał z otwartymi ustami. Cudowne zjawisko wyszło mu naprzeciwko — dziewczyna o ponętnej figurze, o kształtach kuszących i jednocześnie dziewiczo poważnych. Jej widok z każdego mężczyzny zrobiłby niewolnika: zielone oczy, karminowe usta, delikatny jedwab policzków i wodospad rudych kędziorów, spływających na ramiona. Co prawda, zamiast lekkiego chitonu miała sukienkę, ale ta



nie kryła zgrabnych nóg i krągłych bioder. Dajoma, czarująca wróżka, stała przed nim!

Zacząła mówić, i, jeszcze nie rozumiejąc sensu wypowiedzi, a tylko słuchając jej melodyjnego zdecydowanego głosu, Kim zrozumiał, że zginął. Dla tej piękności był gotów na wszystko! Zdecydowanie — na wszystko! Był gotów wyrwać wątrobę straszliwemu magowi, stanąć do walki ze złośliwym demonem i nawet sflekować bandycką załogę merca!

Nagle uświadomił sobie, że stoi jak słup, gapiąc się na cudowne zjawisko jak pies na kielbasę. Dziewczyna jednakże nie poczuła się niezręcznie, a chwyciwszy go pod rękę, skierowała ku kanapie, usadowiła i sama usiadła obok. Nozdrza Kima zatrzepotały — aromat dobiegający od dziewczyny oszałamiał i upajał.

— Pan się nazywa Kim Kononow, mieszka na bulwarze Prezydenckim, w Oziorkach — powiedziała dziewczyna. — Przywieźli pana wczorajszej nocy po... po fatalnym przypadku, znanym panu i mnie... — Nagle plasnęła w dłonie. — Przepraszam, ale ja się tak denerwuję! Bo my z Warią, moją siostrą, obdzwoniłyśmy wszystkie szpitale, wszystkie izby przyjęć, nawet prosektoria! Ja...

— Nie, to pani mi musi wybaczyć, Dario Romanowa — czule powiedział Kim. — Zachowałem się jak cham... Tak się na panią gapiłem...

— Mnie to się podobało. — Rudy lok dotknął ramienia Kima, przez jego ciało przemknęło wyładowanie elektryczne.

— Proszę do mnie mówić Dasza i patrzeć tak długo, aż się pan napatrzy do woli.

— To się nie skończy tak szybko — ostrzegł Kim, chciwie łowiąc nosem zapach jej perfum. — Ale chcę wyjaśnić, Dario Romanowno... Daszo.. Jestem pisarzem i stworzyłem postać, heroinę bardzo przypominającą panią... jeszcze pani nie widziawszy na oczy, nie znając pani... zielonooką... rudowłosą... Jestem wstrząśnięty!

— Pisarz? — Jej rzęsy drgnęły, a ten ruch przeszył Kononowowi serce. — Jakie to ciekawe — pisarz! I jestem bohaterką pana powieści?

— W pewnym sensie — wymamrotał skonfundowany Kim. — Że tak powiem, w literackim...

— Dobrze i to dla biednej kobiety! — roześmiała się, błysnąwszy nienagannymi zębami, ale zaraz po jej twarzy przeleciał cień. — Tak pana szukałam, żeby podziękować za ratunek. Pan bardzo mi pomógł i widzę, że zapłacił za to okrutnie...

Dłoń z wytwornymi paluszkami opadła na ramię Kima, a ten przeklął nieczuły gips. W odpowiedzi palce przesunęły się wyżej, pogłaskały go po policzku, a Kim omal nie zaczął mruczeć z rozkoszy. Dasza zarumieniła się lekko, cofnęła dłoń.

Kononow uśmiechnął się do niej i, pokonawszy nieśmiałość, zapytał:

— Proszę tego nie interpretować jako nadmierną ciekawość... pisarze są ciekawscy... Co to było za niebezpieczeństwo, jakie pani groziło? Dlaczego pani uciekała? Przed kim?

— Przed mężem — obojętnym głosem odpowiedziała Dasza. — Przed mężem niekochanym, wstrętnym, przykrzym!

— Przed Girą? Czy Pietruchą?

Dasza roześmiała się — rozdzwoniły się tylekroć opisywane kryształowe dzwoneczki śmiechu.

— Ależ co też pan, Kimie! Girajew, z ksywką Girą i ten drugi — nie pamiętam, jak on się nazywa — to tylko chłopcy na posyłki mojego męża! Jego cholerni ochroniarze, pakerzy... A moim mężem jest Pał Pałycz Czernow. Słyszał pan o nim?

— Nie, nie miałem przyjemności. — Głos Kima brzmiał spokojnie, ale serce omdlewało. Mąż! No to co, że mąż? Najważniejsze, że niekochany, przykrzy i wstrętny!

— Oczywiście, że nie — skinęła głową Dasza. — Prowadzi restaurację... Och, do diabła z nim! Uciekłam i już!

— A nie można było inaczej? — zapytał Kim, dziwiąc się własnemu natręctwu. — Nie lepiej

wziąć rozwód po dobremu albo z orzeczeniem?

— W żaden sposób! — odcięła nachmurzona Dasza.

Kompletnie oszalały z odwagi Kononow wziął ją za rękę.

— Czy on panią trzymał w zamknięciu? Może bił? Wyzywał się? Przecież za to, Dario Romanowno...

Przyłożyła palec do jego ust.

— Ćśś.. Cicho, cicho... Proszę nawet nie pytać, bo i tak nie powiem... To jest czarnoksiężnik złośliwy, a pan nie powinien wtrącać się do naszych starć. Pan musi szybko wyzdrowieć! Jeść i pić. O!..

Pochyliwszy się, wróżka wyciągnęła spod fotela torbę wielkości namiotu, podniosła ją z wysiłkiem i ułożyła Kimowi na kolanach. W torbie coś brzęczało i szeleściło, a ważyła dobry pud, czyli według dzisiejszej miary — prawie siedemnaście kilo.

— Muszę już iść — powiedziała Dasza, wstając z fotela.

— Cieszę się, że pana poznałam, Kim. Jeszcze raz dziękuję. Dziękuję i żegnam.

Jej dłoń pogłaskała Kima po głowie, potem Dasza odwróciła się i skierowała do wyjścia. Kononow z trudem wydostawszy się spod worka, runął za nią.

— Proszę poczekać, Daszo... Jak to — żegnam? Gdzie panią znajdę? Kiedy? I jak mógłbym pomóc? Ja dla pani...

Z niezbyt głośnym hurkotem podjechała winda, otworzyły się drzwi.

— Proszę mnie nie szukać. Jeśli zechcę, sama pana znajdę. Waria, moja siostra, mieszka w pana bramie. Dokładnie obok pana.

Winda pojechała w dół, Kim smutny i oszołomiony skierował się do holu.

— Siostra — mamrotał, zarzucając torbę na zdrowe ramię. — Jaka siostra? W mojej bramie, obok... Czyli po lewej, w dwieście trzydzieści trzy? Przecież tam nigdy nikt nie mieszkał! A może mieszkał?

Powlókł się do swojej sali, uginając pod ciężarem torby. I zaczęło mu się wydawać, że jednak widział kiedyś kogoś pod drzwiami do mieszkania dwieście trzydzieści trzy — chyba kobietę w czapce z gronostaja, a takie czapki nosi się w zimie, czyli to musiał być styczeń, pięć miesięcy temu. I od tamtej pory o sąsiadce ani widu, ani słyhu... Dziwna rodzinka! — uznał. Jedna siostra tańczy na słoniach i nie mieszka w swoim mieszkaniu, druga — wróżka, piękność! — ucieka przed mężem — czarnoksiężnikiem, który prowadzi knajpiany biznes.

Po wejściu do sali, z ulgą położył torbę na stole i zachwiał się — zielone oczy Daszy migotały przed nim jak dwie tajemnicze latarnie. Ale objawił się Kuźmicz i podparł go twardą ręką.

— Spotkałeś się z przyjaciółmi? I już chlapnąłeś? Nie, nie chlapnąłeś, nie czuję towarzysza zapachawicza... No to czemu się na nogach nie trzymasz? I coś taki blady?

— Ścięty przez miłość — mruknął Kononow. Kuźmicz zważył torbę w rękę, powąchał i uniósł oczy do góry.

— Ważkie to uczucie, szczodre... To mi się podoba! Zaczęli razem patroszyć torbę, wykladać wędliny, gruszki, winogrona i morele, do tego butelka wytrawnego martini, czerwone francuskie i kilka kartonów soku. Sądząc z obfitości, Daria Romanowna nie liczyła się z pieniędzmi i był to jeszcze jeden zagadkowy fakt, kolejny z jej życiorysu. Po co majątna piękność wychodzi za uprzykrzonego maga?

Kim westchnął, posłał Kuźmicza po szklanki i położył się na łóżku. Potem, odwróciwszy głowę, popatrzył na nieszczęsnego hydraulika — wargi tamtego poruszały się, drżały i czasami nieruchomiały, jakby przekonywał kogoś i wysłuchiwał kategoriycznych sprzeciwów.

— Diabła nie przegadasz — podsumował Kim i odwrócił się do ściany.

### 3. DUCH

Biała petersburska noc... Tkwiąc w jej objęciach, Kim oddawał się marzeniom o rudowłosej czarodziejce. O jej szmaragdowych oczach, koralowych ustach, giętkiej kibici i palcach dotykających jego policzka. Butelka martini, osuszona z Kuźmiczem, podgrzewała wyobraźnię, zwiększając urok białej nocy. Kim leżał, gapiąc się w sufit, jego serce biło nierówno, a każde uderzenie odbijało się echem w głowie, rodząc odpowiedzi echa: Dar-ria, Dar-ria, Dar-ria... Potem zamierały stopniowo, cichły, wtedy wydawało mu się, że słyszy inne, podobne imię: Daj-oma, Daj-oma...

„Odwiedzę ją, i przy okazji Conana” — zdecydował Kim. Z Conanem wszystko wiadomo — nudzi się. Ale Dajoma musi sprecyzować swoje uczucia. Jest zakochana i w niebezpieczeństwie. Czas podejmować decyzje: albo wyśle Conana na bój z magiem, albo zaczaruje go i uziemi na wieki w swojej grocie. To ostatnie, zresztą, było wykluczone; spokojny i potulny Conan nie był do niczego potrzeby ani czytelnikom, ani wydawcom.

Kim wyobraził sobie siebie w objęciach Darii Romanowej, zdecydował, że Conan jest kompletnym idiotą i, westchnąwszy ze smutkiem, wyteżył wyobraźnię, by wyprodukować nowy impuls dla fabuły. Powiedzmy taki: siedzi sobie czarodziejka z Conanem w podziemnym mieszkaniu i lekko się z nim targuje. Mniej więcej jak mąż z żoną przed rozwodem: jedno ma ochotę zwiać, drugie może by i puściło, ale po podziale majątku. Albo, powiedzmy, w zamian za ceną przysługę... Nie mam do ciebie pretensji, ale przynieś mi skalp Iwana Iwanowicza. To obrzydliwiec i w ubiegły wtorek mrugnął do mnie rozpustnie okiem...

Prychnąwszy, Kim zamknął oczy, wsłuchał się w chrapanie Kuźmicza i uznał, że scena źle nie wyszła. Teraz dobrze by było, żeby wiatr przygnał tu okręt — powiedzmy, z Zingary — wtedy można by wysłać Conana na kontynent. To jedno, a po drugie — niech Cymmeryjczyk trochę się zastanowi nad kobiecym wyrafinowaniem. Facet z niego niegłupi, powinien wycząić, że wróżka chce go mieć całego dla siebie: z duszą i wąpiami...

„Chciałbym mieć jego kłopoty!” — pomyślał Kim, wyobraziwszy sobie własną duszę w dłoniach Daszy. Duszę, serce i wszystkie inne części ciała, jakie tylko by zechciała. Nadzieja, że tak się stanie, ogrzała Kima; nagle zaczął wierzyć, że znajdzie ją i podbije jej serce jakimś czynem, na przykład rozprawi się z niekochanym mężem. Czy będzie to bój fizyczny czy intelektualny, Kononow nie zdecydował, ale miał nadzieję, że to się wyjaśni, kiedy dowie się czegoś więcej o Pał Pałyczu Czernowie.

Zaczął obmyślać kolejny epizod, z kamiennym golemem, którego stworzyła czarodziejka i dała Conanowi do towarzystwa. Conan go znenawidzi i będzie chciał mu dokopać, ale tak łatwo się bestii nie pozbędzie. Namolny typ i wierny do grobowej deski! Wróżka nada mu imię Idrein i będzie się z nim porozumiewała telepatycznie, żeby mieć na oku Cymmeryjczyka. Natomiast telepatia w danym przypadku...

„To wspomniały środek komunikacji — oświadczył bezcielesny głos. — Zarówno w tym, jak i w innych przypadkach”.

Kononow podskoczył — i to tak, że rozdzwoniły się sprężyny łóżka. Potem usiadł, opierając się plecami o poduszkę, wytarł spocone czoło.

— Doigrałem się. Dofabularyzowałem się. Jeszcze trochę i zakrwawione dzieci mi się zwidzą... A na razie: halucynacje słuchowe!

„To nie jest halucynacja słuchowa — usłyszał. — Proszę o wybaczenie, że wdarłem się do twoich myśli. Usprawiedliwia mnie tylko to, że jestem w ciężkim położeniu, w którym znalazłem się przypadkowo”.

Żuchwa Kononowa zwisała, po plecach przebiegły lodowate ciarki. Ścisnął dłońmi skronie, wpił się wzrokiem w wiszące nad umywalką lustro i wyszeptał pobladłymi wargami:

— Kim jesteś?

„Wędrowiec, zagubiony w waszym świecie. Zwiadowca, posłaniec galaktycznej pustki... — Głos zamilkł, potem zaszeleścił: — Takich jak ja, wy, ludzie, nazywacie kosmicznymi przybyszami”.

Kim poczuł, że jego t-shirt jest mokry od potu a serce, zlodowaciałe, runęło w dół, w kierunku żołądka. Odetchnął z wysiłkiem, usiłując uspokoić się, myśli kołowały jak spłoszone ptaki, a prócz nich krążyły po głowie słowa z jakiejś powieści: „Stało się! Zielone ludziki dotarły do Ziemi!” Jakoś od razu uwierzył, że to nie są żarty — zresztą jakie żarty — noc, szpitalna sala, jedenaste piętro? Ani telewizora tu nie ma, ani radia, jeden sąsiad chrapie, drugi wyłączony, a może w śpiączce?

— Gdzie jesteś? — cicho, żeby nie obudzić Kuźmicza zapytał Kim. — Wisisz za oknem w latającym talerzu? Na dachu? Czy w polu niewidzialności?

„Ani jedno, ani drugie, ani trzecie — odezwał się przybysz. — Z waszego punktu widzenia jestem bezcielesnym duchem i nie mam kształtu ani formy. Tylko mentalna istota, czysty rozum, że tak powiem. Z tego powodu do aktywnego funkcjonowania potrzebuję ludzkiego mózgu, ale nie każdy, jak się okazało, mózg się nadaje. W danym momencie tkwię w tak żalonym naczyniu, że...”

— Poczekaj! — Kim oświecony niespodziewanym natchnieniem popatrzył na hydraulika. — Chcesz powiedzieć, że zasiedliłeś tego., tego...

„Tego alkoholika — ze smutkiem przytaknął przybysz.

— Inni, zresztą, nie byli wcale lepsi, a wszyscy byli typami mentalno-rezystentnymi, niezbyt skłonnymi do współpracy. Przysięgam na ciepłą zgubę Wszechświata! Podróżowałem po Galaktyce i byłem na wielu światach! Ale wasza planeta... No, żeby nie urazić nikogo, powiem tylko, że nie jest to rajskie miejsce. Oj, nie jest!”

— To prawda, nie jest — zgodził się Kim. — Ale myśmy już przywykli. Bo i co mamy zrobić!

Dziwne, ale nagle uspokoił się. Pomogło mu chyba to, że zawodowo był przygotowany na spotkanie z cudem, po drugie zaważyła życzliwa emanacja, przenikająca słowa przybysza. Jakkolwiek dziwnie znalazł się w ciele hydraulika, nie planował niczego nieprzyjemnego dla Ziemi

— ani podboju, likwidacji aborygenów czy innych spraw globalnych. Na dodatek wyczuwało się w nim taki smutek, jakby szukał kogoś, a poszukiwania nie dawały rezultatu i nie prowadziły do niczego, poza zmęczeniem i rozpaczą. „Może nie ma statku i nie wie, jak może wrócić do Ojczyzny?” — przemknęło przez myśl Kimowi.

„Statek... — z odcieniem zadumy rzekł przybysz, wychwyciwszy tę myśl. — Nie, nie chodzi tu o statek. Mój mikrotransponder jest sprawny, ale nie mogę odlecieć, póki. — Zająknął się, jakby mu nie starczało słów do wyjaśnień, ale od razu ciągnął dalej: — Nie mówmy teraz o tym. Obecnie mamy inne problemy”.

— Jakie? — zdziwił się Kononow.

„Każdy ma swoje. Ja jestem zamknięty w ubogim miejscu, a twój organizm ma masę uszkodzeń. Jedno złamanie, cztery pęknięcia kości i czterdzieści osiem sińców i wybroczyn”.

„Nieźle mi się oberwało!” — pomyślał Kononow, wysłuchawszy komunikatu.

„Możemy przydać się sobie nawzajem” — powiedział przybysz i zrobił wyczekującą pauzę.

— W jaki sposób?

„Ty mi dasz schronienie, a ja, znalazłszy się w twoim ciele — dokładniej mówiąc, w latentnej części mózgu — uzdrowię cię. To nie jest specjalnie trudna sprawa — trzeba tylko przyspieszyć

replikowanie komórek i regenerację. Oczywiście, pod warunkiem, że udział białek i węglowodanów w pożywieniu będzie zwiększony”.

— Co do białek i węglowodanów — nie ma sprawy — powiedział Kononow, rzuciwszy okiem na stół zavalony prezentami od Daszy. — Ale wyjaśnij mi, dlaczego potrzebujesz właśnie mnie? Dookoła pełno ludzi? Jeśli hydraulik ci nie pasuje, możesz przeskoczyć do lekarza, bankiera czy uczonego—fizyka... A choćby i prezydenta!

„To nie jest takie proste — zaczął wyjaśniać przybysz.

— Potrzebuję osobowości z wyobraźnią, gotowej do współpracy ze mną z dobrej woli. Przecież nie nadaremno zwróciłem się do ciebie — wyczułem twoją twórczą aurę, zdolność do odbierania mentalnego impulsu. Słowem — ty mi pasujesz. Nawet z twoimi problemami”:

Kim podrapał się po nieogolonym podbródku. Problemy — pewnie, były, ale czy ich ilość nie wzrośnie, jeśli ulokuje w sobie bezcielesny rozum z głębin Galaktyki? Człowiek sobie takiego lekkomyślnie weźmie i potem wyskoczy przez okno... A tu jest, jak zauważył Kuźmicz, piętro jedenaste czy jakoś tak... Ale z drugiej strony, szczerść w słowach przybysza była przekonująca i Kim nagle poczuł się nie żalonym pisarczykiem, a osobowością twórczą na wielką skalę, wolną od przesądów. Właśnie taką, jaka współpracuje z gwiazdnymi przybyszami.

— Dobra — powiedział, wstając z łóżka. — Niech będzie, przechodź! Ale pod jednym warunkiem: nie pchaj się do moich myśli!

„Wtrącanie się do obcego procesu myślowego jest bardzo nieetyczne — zauważył obcy. — Gdybym nie znalazł się w tak fatalnym położeniu, nigdy bym...”

— Dajmy sobie spokój — rzekł Kononow. — No to, wal!

Coś miękko dotknęło jego świadomości i rozpuściło się w niej, jak cukier we wrzątku. Kim stał, wsłuchując się w swoje odczucia, ale niczego niezwykłego nie odnotował: ramię nadal bolało, w mocno zabandażowanych żebrach kłuło. Odczekał chwilę, jeszcze jedną, w końcu zainteresował się:

— Jesteś tam, przyjacielu?

„Tak — rozległo się wyraźnie w umyśle. — A przy okazji, możesz nie korzystać z mowy akustycznej. Wystarczy, że pomyślisz”.

Kononow pomyślał. Pytanie dotyczyło imienia przybysza, ale okazało się, że nie ma najmniejszych szans, by je powtórzył.

„To się nie uda — pomyślał, przebierając w różnych imionach. — Może nazywaj się Trixi. Zgoda?”

„Niech będzie — odezwał się przybysz. — Ty — Kim, ja — Trixi... A teraz leż i odpręż się. Przystępuję do leczenia. Nie denerwuj się, już opanowałem ten proces, kiedy leczyłem hydraulika. On był w gorszym stanie, w końcu — piąte piętro...”

Kim posłuchał rady i, w czasie kiedy zarastały pęknięcia w żebrach, zrastał się złamany bark i znikaly sińce, rozmyślał o swoim nadzwyczajnym lokatorze. To było niezwykle wydarzenie, ale nawet ono, jak zdał sobie sprawę Kononow, nie zaćmiło jego pracy umysłowej nad nową powieścią — przecież nawet w nadanym mu imieniu odbijał się ten proces myślowy: w hyborejskim panteonie, zamieszkałym przez masę bogów, na przykład — obrzydliwego Seta, i promiennego Mitrę, krwawego Croma i straszliwego Nergala, Bela — patrona złodziei i furę innych, znajdował się Zertrix, wysłannik Sił Wyższych, przekazujący polecenia herosom i bogom drugorzędnym. Tyle że na oko był mało pociągający, garbaty i brzydki, no i miał fatalny charakter. Nie, przybysz nie jest Zertrixem, pomyślał Kim, choć może spełnia funkcje posłańca. Trixi brzmi lepiej, i nawet intymniej...

Zastanawiając się nad tym, stopniowo przemieszczał się z ziemskiego świata do Hyborei, pograżał się w tym stanie na granicy snu i jawy, kiedy iluzoryczne cienie obrastają ciałem,

wkraczając w realność, szepcą, przemawiają... Trzeba tylko zapamiętać ich słowa, dojrzeć i ukryć w pamięci powstałe obrazy, żeby opisać potem zobaczone i usłyszane. Powiedzmy, coś takiego...

„Ocknij się — zaszeleścił pod czaszką głos Trixiego. — Kim, obudź się! Jesteś zdrowy. To pożyteczne doświadczenie dla nas obu: ty jesteś zdrowy, a ja poznałem twój organizm. Teraz każda przemiana odbędzie się znacznie prędzej”.

„Jaka znowu przemiana?” — zapytał w myślach Kim.

„Powiedziałem: każda! Dowolna, jakiej będą wymagały okoliczności. Może będziesz chciał być wyższy albo niższy? Może chcesz mieć trzecią rękę i oko na czubku głowy?”

„To chyba przesada” — rzucił Kim i zaczął rozwijać bandaż, najpierw te na żebrach, potem opatrunek na głowie, na końcu obmacał policzek pod okiem. Czysta skóra, bez sińców, nigdzie nic nie boli, tyle że w żołądku straszne ssanie. Żołądek domagał się napełnienia, i to szybko!

Kononow usiłował zedrzeć gips, ale nie dał rady, machnął ręką i podszedł do stołu, na którym wały się prezenty od Daszy. Dobre dziesięć minut spędził na metodycznym pochłanianiu wędlin, moreli, gruszek, potem zapił to wszystko sokiem i zerknął na zegarek. Piąta rano. Przeciągnął się, rozciągając mięśnie.

— Wspaniale! Po prostu — wspaniale! Ubieramy się i walimy do domu. A po drodze pogadamy. Nie masz nic przeciwko rozmowie, Trixi?

„Wcale — odpowiedział duch. — Podejrzewam, że masz pytań więcej niż śniegu w Finlandii!”

— Tam też byłeś?

„Niestety — bąknął przybysz. — Przeleciałem się nad tym krajem, ale nie znalazłem tego, czego szukam. To jest właśnie problem, którego nie potrafię rozwiązać bez pomocy Ziemianina. Mam nadzieję, że mi pomożesz?”

— Oczywiście — zapewnił go Kononow. Naciągał dzinsy i adidasy. — Przecież się umówiliśmy: ja pomagam tobie, ty — mnie. Bo widzisz, Trixi, ja też czego szukam.

„Kogoś — sprecyzował Trixi. — Dziewczyny. Zielone oczy, włosy rude, wzrost — sto siedemdziesiąt centymetrów, biust...”

„Grzebałeś mi w mózgu?” — nachmurzył się Kononow.

„Na pewno nie. Dochowuję warunków umowy, ale instynktownie odnotowuję to, co leży na powierzchni. Silne uczucia i obrazy, które krążą po twojej głowie — w tym przypadku: powieść o wyspie, czarodziejce i wróżce oraz człowieku imieniem Conan. Masz nad podziw rozwiniętą wyobraźnię”.

— Powiedz to moim wydawcom — mruknął mile polechtany Kononow, rozglądając się po sali. Kuźmich chrapał i sapał, hydraulik też spał, po jego obliczu rozlewała się błogość, jakby uwolnił się od znacznego ciężaru. Oddech mu się wyrównał, rysy wygładziły i, zapewne, śniły mu się hydrauliczne sny, wreszcie zwyczajne i przyjemne.

Kim wyszedł na korytarz, dotarł do windy i zjechał na dół. W holu, przy drzwiach, nudził się strażnik.

— Gdzie?

— Nie mogę zasnąć. Wyjdę zapalić — odpowiedział Kononow, podsuwając mu paczkę cameli. Strażnik chętnie się poczęstował.

— Dobra, idź. — Spojrzenie strażnika przemknęło po gipsie na rękę Kima. — Przecież jesteś chodzący?

— Chodzący, a nawet biegający...

Wyszedł na zewnątrz. Podwórko było puste. Kononow przespacerował się tam i z powrotem, przyjrzał się zaparkowanym przy krawężnikach samochodom, odkrył, że w jednym z nich, w czerwonej ładzie ktoś siedzi. Zerknął na okna szpitala, wymknął się na ulicę, podszedł do samochodu. Siedzieli w nim dwaj mężczyźni, obaj w kurtkach z kapturami, kierowca palił, a drugi

gmerał w długim pokrowcu, z którego wystawała rękojeść spinningu. Chłopcy na ryby się wybrali, pomyślał Kim i zastukał zgiętym palcem w szybę. Przednie drzwi natychmiast się otworzyły.

— Chłopy, nie podrzucilibyście mnie na bulwar Prezydencki? Może to po drodze?

— Po drodze — mruknął kierowca. — Wsiadaj!

Kim wsiadł, drzwi zatrzasnęły się, silnik ożył. I w tym momencie od tyłu ktoś przytknął do jego twarzy nasączoną eterem gazę. Co to za numery? — przemknęło Kononowowi przez myśl. Czekali na mnie? Dlaczego?

Zapadając się w mrok omdlenia, zdążył usłyszeć:

— Fart, Toluś, nie? Frajer sam się do nas wpakował!

— Ładujemy go na statek, na Zinkę, do Girdiejewa. Gira chce z nim pogadać.

— Znam to jego gadanie! Wytrząchnie z facia bebechy i napakuje tam słomy!

Zinka, statek, Girdiejew... Przenikając gasnącą przytomność, słowa zmieniały się, nabierały nowego znaczenia, odcieni i sensu, należącego już nie do tego świata, a innego, baśniowego, w którym Kim pogrążał się niczym kamień w rzece. Zinka... Zijna, jasnowłose dziewczę w lazuruwej tunice... może Zingara, najbardziej wysunięte na zachód hyborejskie mocarstwo... Statek, zingarski dwumasztowy żaglowiec, nie „kupiec”, a kaper z załogą wojowników... Szlaja się po morzu, topi pirackie galery... Girdiejew... kapitan Girdero, szlachcic, dworak w błyszczącym kirysie i hełmie z piórami... Ogromnie dumny i nieprzyjazny, ale Conana weźmie na pokład... i Conana, i golema Idreina... Uzna, że można ich sprzedać na niewolniczym targu w stołecznym mieście Kordawie... Tyle że...

Wypadając z ziemskiego wymiaru, Kim znalazł się na zingarskim okręcie.

#### 4. OKRĘT

Okręt płynął do Kordawy, stolicy Zingary. Idrein, kamienny golem, drzemał oparty o maszt, a Conan szwendał się po pokładzie, spoglądając na jasnowłosą Zijnę, niewolnicę i nałożnicę Girdera. Dziewczyna mu się podobała i, chyba, mógł liczyć na wzajemność. Girdero obserwujący Cymmeryjczyka był zły, ale nie odzywał się, zamierzając wysłać swoich pasażerów na targ niewolników w Kordawie. Próżne marzenia! Pewnej pięknej nocy Conan z golemem wycięli połowę załogi, skręcili kark kapitanowi, a następnie Cymmeryjczyk zwiął w szalupie, zabierając ze sobą Zijnę. Oszukany golem został na zingarskim okręcie, zapchanym trupami. Był niepokieszony z powodu utraty pana... Chciał..

W tym momencie Kim ocknął się i odkrył, że znajduje się w komórce z betonowymi kostropatymi ścianami. Z sufitu zwisała mętna lampa, okien nie było, a metalowe drzwi z łuszczącą się farbą wydawały się zaporą nie do przebycia. Kononow leżał na podłodze, pod zardzewiałym kaloryferem, przykuty do rury. Znajdował się w niewygodnej pozycji, przykuty za prawy nadgarstek, dlatego całym ciałem opierał się na zagipsowanej lewej ręce.

Wciągnąwszy do płuc zatechłe powietrze, Kim poruszył się, usiadł, oglądając uważnie swoje więzienie. Poszukał w pamięci, ale nie było tam wspomnień o tym, jak się tu znalazł, tym bardziej nie znalazł powodu dla swojej tu obecności. Potem przypomniał sobie wędkarzy... Niby zgodzili się, że podrzucą do domu... a potem śmierdząca szmata na twarz! Ale nawet tam, w jakimś Argosie, Schemie czy Zingarze, nikt nie porywał ludzi bez powodu! Czyli — powód był... Tylko jaki?

— Gdzie jestem? — mruknął do siebie, ze zdziwieniem okrywając, że głowę ma jasną, bez żadnych śladów odurzenia.

„W piwnicy” — uprzejmie wyjaśnił Trixi.

— Toż widzę, że w piwnicy! Ale dlaczego?

„Nie mogę odpowiedzieć precyzyjnie. Za mało mam informacji” — oparł przybysz.

— Ale czy przynajmniej widziałeś, dokąd mnie wieźli?

„Niestety nie. Widzę twoimi oczami i słyszę twoimi uszami. Kiedy te organy są zablokowane, jestem głuchy i ślepy, jeśli nie liczyć zmysłu telepatycznego. — Po chwili milczenia Trixi uzupełnił: — Ale nie martw się, poradzimy sobie. Już oczyściłem twój organizm ze środka nasennego. Obrzydliwy preparat. Dziwię się, że go stosujecie!”

— Bez przesady, tylko w takich sytuacjach, nie na co dzień — ponuro wyjaśnił Kononow. Przyjrzał się bransoletkom, potem szarpnął kaloryfer. Był masywny i trzymał się mocno, na grubych trzpieniach wbitych w ścianę. Równie mocno wyglądała rura, nie mówiąc już o żelaznych drzwiach.

„Czego oni od ciebie chcą?” — zapytał przybysz.

— Nie wiem. — Niemal odruchowo Kim przeszedł na dialog myślowy. — „Ci wędkarze wspomnieli Girę... To się pewnie jakoś łączy z Daszą. Może mąż jej szuka i sądzi, że ja wiem, gdzie ona jest”.

„Hipoteza nie pozbawiona podstaw... Chcę zapytać: czy zawsze ludzi przykuwa się do kaloryferów? Pytam, bo jestem w waszej okolicy dopiero trzy miesiące, a w Finlandii jakoś tego nie zauważyłem... Miejskowa tradycja, jak sądzi?”

„Kaloryfer to betka — odparł Kim. — To jest nadzieja na rozmowę, ale kiedy przepraszają cię rozgrzanym żelazkiem, albo wsuną grzałkę w tyłek! Wtedy dopiero zaśpiewasz!”

„Ale w Finlandii...” — zaczął przerażony Trixi.

„Co ty mi z Finlandią! To jest Hyborea, ciemny kraj. Nie wynaleźli jeszcze sposobów na efektywne prowadzenie rozmowy!”

Jeszcze raz szarpnął kaloryferem, potem chwycił się rury, zaparł nogami o ścianę, napiął mięśnie, ale przekłeta rura ani drgnęła. Kononow westchnął.

— I co teraz? Do domu się wybierałem... Daszę chciałem odszukać, powieść skończyć...

„O powieść się nie martw, teraz też ją piszesz, tyle że w podświadomości — uspokoił go Trixi. — W odpowiedniej chwili wyciągniemy wszystko co zapisane. Powiedz, w czym mogę ci teraz pomóc? Powiedzmy — zmienić cię w strukturę płaską, żebyś przelazł pod drzwiami i...”

— Nie! — zawołał przerażony Kononow. — Nie chcę być płaski! Lepiej dodaj mi sił!

„Co za problem — rzekł duch. — Możliwe są dowolne transformacje, dowolne metamorfozy, jakie tylko sobie wymarzysz. Nawiasem mówiąc, nie tylko w znaczeniu cielesnym, ale również psychologicznym. Dlatego...”

Ale Kim już go nie słuchał, z zachwytem i strachem wpatrując się we własne ręce. Stawały się coraz grubsze i grubsze, wypełniały się okrutną mocą, nogi też grubiały i żółkły, wierzchy dłoni zarastały rudo-burym włosiem. Napiął mięśnie, coś pisnęło, na podłogę posypały się odłamki gipsu, potem coś żałośnie brzęknęło — pęknięta bransoletka kajdanek uderzyła w kaloryfer. Kononow poderwał się. Jak się okazało akurat na czas, żeby zrzucić adidasy i dzinsy. Jego ciało błyskawicznie się zmieniało: pod burym futrem puchły potworne mięśnie, niewiarygodnie wielkie stopy zajmowały sporą powierzchnię podłogi, koszula trzeszczała w szwach. Zdjął ją również, wyprostował się i wyrznął głową w sufit.

— Hej, kolego, nie tak ostro! — zawołał spanikowany. — Kogo ty chcesz ze mnie zrobić?

„Gigantopiteka, oczywiście — wyjaśnił Trixi. — Najsilniejszą dwunożną istotę z rodziny hominidów. Teraz nie musisz przepęlać pod drzwiami, wywal je i po kłopotcie!”

— Teraz, to ja się w drzwiach nie zmieszczę — odparł Kim, przykucając. — A nawet jeśli się zmieszczę i wyjdę, to trafię do ZOO. Przesadziłeś, Trixi.



Duch zamyślił się, potem oświadczył:

„Potrzebuję wzorca. Jeśli nie chcesz być gigantopitekiem, powiedz, w kogo chcesz się zmienić. Mając wzorzec, będzie mi łatwiej pracować. Może, na przykład, bohater twojej powieści... Może być?”

— Conan? Przecież to wymyślona postać?

„To nieważne. Wiesz o nim więcej niż o prawdziwych ludziach”.

— Trudno, żebym nie wiedział! Wyszło tego dziewięćdziesiąt osiem książek, ja sam napisałem cztery, doskonale znam pozostałe. Jako pisarz powinienem...

„Te szczegóły nie są mi potrzebne — przerwał mu Trixi. — Rozumiem, posiadasz sporo informacji, i — jeśli pozwolisz — przeskanuję te zbiory. Wszystkie książki, jakie przeczytałeś”.

— Wszystkie... — mruknął Kononow, drapiąc się po ogromnej pięcie. — Wszystkich to ja dokładnie nie pamiętam...

„Są przechowywane w twojej pamięci, w odległych zakątkach, ale mogę, jeśli pozwolisz, wyciągnąć je stamtąd”.

Kononow skinął głową z przeciągłym westchnieniem, przypominającym wycie wiatru w kominie.

— No dobra, skanuj.

Na krótką chwilę załomotało mu w skroniach, blade światło lampki zgasło przed oczami. Po sekundzie Kim odzyskał wzrok, zobaczył, że skóra straciła owłosienie, jest jędrna i ma wspaniałą barwę świeżo odlanego brązu. Pod skórą poruszały się mięśnie, już nie takie gigantyczne, ale bardzo wyraziste; brzuch zrobił się płaski, ramiona — szerokie, pierś — wypukła i mocno sklepiona.

„Wspaniały wzorzec, znacznie lepszy od gigantopiteka — zauważył Trixi. — Muszę przyznać, że książki mi bardzo pomogły. Oczywiście, nie zmieniłem twojej twarzy, ale reszta... — Kim odczuł bijącą od niego falę zadowolenia. — Co powiesz? Może być?”

— Jasne — Kim wciągał dżinsy. I spodnie, i koszula były za krótkie i ciasnawe, natomiast wysłużone adidas pasowały jak ulał. Kononow czuł się wspaniale; zacisnął palce na wyobrażonej rękojeści miecza, przeciął nim powietrze, przeciął szyję — krople krwi trysnęły we wszystkie strony...

Zmieszał się. Bujna wyobraźnia — krew, potworna rana, głowa spadająca z ramion, wykrzywione w ostatnim okrzyku usta i martwe już oczy... To potworne!

„Hm... — Bezdźwięczny głos Trixiego przywrócił go do przytomności. — Mała niedoróbka... Duch nie odpowiada ciału...”

„Co masz namyśli?” — jęknął w duchu Kim.

„To, że jesteś normalnym człowiekiem i myśli o zabijaniu są dla ciebie wstrząsem. To naturalna reakcja... Moc cielesną posiadasz, ale nie ma w tobie żądzy gwałtu. A bez tego... — Trixi zamilkł, ważąc swoje etyczne postulaty, potem rzekł ze smutkiem: — Trzeba by cię wyposażyć w psychomatricę Conana. Zgadzasz się?”

— A mam jakiś inny wybór? — mruknął Kononow.

Poczuł, że w jego głowie coś się zmieniło, coś mu dodało okrucieństwa.

Za drzwiami dała się słyszeć krzątania, Kononow huknął się w pierś pięścią. Krew i podcięte gardła już go nie przerażały, wydawały się czymś zwyczajnym, powszednim, jak patroszona kura w reklamówce. Nie mogąc się powstrzymać, ryknął:

— Prochy i popioły! Otwierajcie, psy śmierdzące! Wyrwę wam wątroby!

„Nie śpiesz się — poradził Trixi. — Siądź pod kaloryferem i nałóż bransoletkę. Udaj, że się ich boisz. Trzeba najpierw wyjaśnić, czego chcą twoi porywacze. Niech cię popytają, potem się zajmiesz ich wątrobami. Tylko nie przesadzaj! — Przybysz milczał chwilę i dokończył: — Ja to

bym się ograniczył do kilku kuksańców”.

— Dobra, od nich zaczniemy — obiecał Kononow i zwinął się w kłębek pod kaloryferem.

Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem, do komórki weszli starzy znajomi, łysy Gira i jego kamrat Pietrucha. Lampka dawała mało światła, Gira musiał zmrużyć oczy, oceniając czy przywieziono odpowiedniego klienta.

W końcu odwrócił się do Pietruchy:

— Jak myślisz, to ten?

— Ten, spoko. Dobrze go, chudzielca, zapamiętałem.

— Chudzielca? Nie wygląda na chudzielca — rzucił niepewnie Gira.

— Może się odkarmił w szpitalu.

— A dlaczego nie ma żadnych śladów? Kompletnie czysta papa, nawet lima nie ma.

— Jak nie ma, to zaraz będzie miał — Pietrucha już przymierzył się do sflekowania Kima, ale Gira odsunął go.

— Czekaj. — Cofnąwszy się o krok, przyjrzał się jeńcowi. — Ty jesteś ten frajer z Prezydenckiego? Czy to tobie żeśmy karmę poprawiali wczoraj?

Kononow wyszczerzył zęby. On sam mógłby pogodzić się z wyzwiskami i pobiciem, ale psychomatrona Conana takiej obrazie nie przepuszczała płazem. Conan Barbarzyńca szanował tradycję, a w Cymmerii mówiła ona: krew za krew! Dlatego zastanawiał się teraz, od czego zacząć: wyrwać wątrobę Girze i wbić ją w zęby Pietruchy czy na odwrót. Mięśnie mu się napięły, w uszach słyszał bojowe werble.

— Szczerzy się — z dezaprobatą powiedział Girą. — Bezczelny gnojek. A co my robimy bezczelnym gnojkom, powiedz, Pietrucha?

— Robimy im coś w rodzaju darcie paszczy — szybko odpowiedział kamrat. — Albo, w rodzaju danie w ryja... Krótko mówione — nogi z dupy...

— Dobrze gadasz! — pochwalił go Girą i zwrócił się do Kononowa: — Ty, frajerze, chcesz dożyć do poniedziałku? To gadaj. Może i wypuścimy cię bez uszczerbku.

Wściekłość dusiła Kononowa, ale idąc za radą przybysza stłumił ją i udając przestech, skinął głową:

— Czego chcesz? Pytaj!

— Kto ty jesteś?

— Literat. — Kim popatrzył na Pietruczę i dodał: — Typu, że książki klecę. Pisarz, krótko mówione.

— Pisarz... A Darię Romanową — znasz?

Skinięcie głową.

— A War'kę Talrose-Sidorową, jej siostrzycę?

— Nie miałem przyjemności — mruknął Kononow.

— Jak nie miałeś, to nie miałeś... A powiedz nam, pisarzu, gdzie teraz jest Daria Romanowa? Gdzie ją nosi, zarazę podłą? Pał Pałycz, mężuś jej, skórę z nas zedrze, bośmy niby nie upilnowali. A może ona w twojej chawirze się urządziła, w twoim łóżku?

— Nie ma jej u mnie i nie wiem, gdzie ją nosi. A jakbym wiedział, to i tak bym nie powiedział.

— Hm... — Girą poruszył brwiami. — Pisarz powinien być wykształcony, a ty nie kumasz sytuacji. No, Pietrucha, zajmij się tłumaczeniem!

Ten leniwie poruszył nogą, celując w pachwinę, ale Kim dysponował wspaniałym refleksem: chwyciwszy Pietruczę za łydkę, szarpnął ją gwałtownie, czując jak budzą się uśpione mięśnie. Z krzykiem przeciwnik runął na plecy, a Kim poderwał się, przyłożył mu czubkiem buta w żebra i, groźnie wysunąwszy żuchwę, popatrzył na Girę. Łysy gapił się na niego bezgranicznie zadziwiony.

— Co tak stoisz, ty rzygu Nergla? Chodź! — Kim skoczył, chwycił Girę pod pachy i walnął nim o betonową ścianę. — Ty ośli kale! Świński zadzie! Wątrobę ci wyrwę!

Jego pięści pracowały jak dwa młoty kowalskie: lewy w brzuch, prawy w szczękę, lewy w skroń, prawy w nerki. Pod gradem ciosów Gira zachwiał się, wypluł wybity ząb i zaczął osuwać się po ścianie. Kim chwycił go za szyję lewą ręką i przydusił, z radością widząc, jak tłucze się i chrypi ogolony bandzior, jak błyska białkami. Pietrucha rzucił się na pomoc przyjacielowi, ale zainkasował kopa w dołek i znowu runął na ziemię.

— Wątrobę! — ryknął Kim, wykręcając szyję Giry — Wyrwę! Wyrwę i cisnę szczerom! Albo szakalom! Klnę się na brodę Croma!

Tak się wczuł w postać, że wcale nie słyszał panicznych wrzasków Trixiego: „Dość! Powstrzymaj się! Przecież go zadusisz, a to nieetyczne!” Ale w końcu głos przybysza dotarł do Kononowa, rozluźnił zaciśnięte palce. Gira chrypiał i przebierał nogami.

Kim chwycił kaloryfer. Pisnęły wydzierane z betonowej ściany stalowe sworznie, posypała się rdza i strzępy przegniłych pakuł. Kim podniósł żeliwny akordeon, zdziwił się lekko jego wadze i z hukiem wywalił drzwi. Zerknąwszy na ciała wrogów, skinął z zadowoleniem głową, wyrwał z sufitu rurę i wyszedł z celi. Za nią znajdował się korytarz zastawiony starymi skrzyniami. Porozrzucawszy skrzynie na boki, Kononow minął kilka nisz i odgałęzień, dotarł do wąskich schodków, wspiął się po nich i stanął przed zamkniętymi drzwiami. Zresztą, były zamknięte tylko jeszcze chwilę — Kim wywalił je jednym uderzeniem ciężkiej rury.

Za drzwiami był magazyn zastawiony regałami, na których spoczywały butelki, antałki i metalowe puszki. Wcale nie puste — chyba było tu wszystko, co się leje i pije, od pepsi do piwa marki „Guinness” i koniaku „Napoleon”. Wśród tej obfitości krzątali się tragarze, a w otwartej bramie widać było podwórze, róg budynku mieszkalnego i trzy mikrobusy, przybyłe najwyraźniej po towar. Z lewej widać było wysoki drewniany kontuar w kształcie litery „?” i tam, na wysokich stołkach, siedzieli trzej mężczyźni: jeden z garbatym nosem i twarzy mieszkańca Kaukazu oraz para typów, których Kim od razu poznał.

Wędkarze! Ci, co go vyhaczyli i poczęstowali eterem!

Zacisnął usta, zamierzając wyrznąć rurą w kontuar, ale powstrzymał go szept Trixiego:

„Nie śpiesz się, posłuchaj, o czym mówią. Musimy przecież mieć jakieś dane...”

„Jakie dane? — bezdźwięcznie odezwał się Kim. — Ci potomkowie Setha nie rozmawiają, a piją piwo!”

Z tyłu, z piwnicznej kondygnacji rozległy się głuche jęki — albo Pietrucha męczył się z łydką, albo Girę wstawiał na miejsce zuchwę.

— Ryzmywiająo — wycedził mężczyzna z orlim nosem i obcym akcentem, rozlewając piwo.

— Masz rację, Murad, rozmawiają — potwierdził jeden z jego kompanów, chyba kierowca łady. — Gira dzisiaj jest zły. Dostał opierdól od szefa za Daszkę.

— Waj, pinkna kuobi-ita! — Murad rozplątał się w uśmiechu. — Ruda, zadbana... Dlaczego ucykała? Przecież Pałycz jej brylantów i futer dawał do oporu! Taki facyt! Taki piniondzy!

— Nie od pieniędzy się ucieka, a od faceta — odparował kierowca. — Daszka, jak wiem, też nie była z biednych, knajpę miała na Fontance, albo może bar. A nasz i ją capnął, i lokal... Takie coś to on lubi. Że niby od razu obiema rękami!

— Moży i ne bidna! Ale za Pałycza wyszła!

— Murad, ty sobie siedzisz w magazynie i puszki liczysz — powiedział koleś kierowcy. — I co słyszysz? Jak ładowacze przeklinają... — Pochylił się nad stołem i powiedział cicho: — A ja, bracie, słyszałem, że Daszkę Pałycz zaczarował. Że niby on wynajął ekstrasensa, takiego od mocy alternatywnych, kapujesz? I od razu mu wszystko się udało: i z Daszka, i z knajpą, i z innymi biznesami—szmindesami!

— Zaczarowane ne mogom ucić! — powiedział Murad i zaczął pod stołem szukać nowych puszek.

„Teraz idź! — szepnął przybysz. — Rzuć tę rurę i wal do bramy!”

„Ale ja ich...” — zaczął Kim, ale coś nagle pod czaszką się zmieniło, cała ochota mordowania i niszczenia mu przeszła. Pochylił się, przemknął obok stołu, chwycił karton z piwem i wymknął się na podwórko.

„Nikt cię nie widzi — poinformował go Trixi. — Nie widzą, czuję to! Biegnij! Szybko. Przywróciłem ci poprzedni wygląd!”

Przyciskając piwo do brzucha, Kim ruszył w kierunku budynku mieszkalnego, zatrzymał się za rogiem, potem wychylił i zbadał okolicę wzrokiem. Magazyn był widoczny jak na dłoni — długi betonowy barak, w jednym końcu nadbudówka w postaci wieżyczki, nad dachem maszt z transparentem „Spółka Akcyjna P. P. Czernowa. Sprzedaż produkcji od 9 do 22”. Rzeczywiście, przypomina statek, uznał Kim i ruszył przez ulicę.

Ulica nosiła imię Ziny Portnowej, dom miał numer 25 i Kononow, przeczytawszy nazwę, znieruchomiał z otwartą gębą. W głowie zawirowało mu: Zinka, statek, Girdiejew... Zijna, zingarski statek, Girdero, jego kapitan — nieboszczyk... To muszą być znaki losu! Wszystko się zgadza, a jeśli nie wszystko, to wiele... Brzmienie imion, walka na statku, ucieczka... Co prawda, nie zabił nikogo, nawet Girdiejewa... Może i lepiej!

Nagle poczuł silny głód i Kim uświadomił sobie, że nie ma przy sobie ani grosza, a mieszkanie znajduje się na drugim końcu miasta. Stał przy krawężniku, żeby złapać okazję, wyciągnął rękę i kiedy zatrzymała się zmurszała wołga, potrząsnął puszkami z piwem:

— Guinness, dwanaście puszek zero pięć. Na Oziorki podrzucisz?

— Za to — nawet na Księżyc. Wsiadaj!

Kononow wsiadł i po drodze opowiedział kierowcy, że jest nafciarzem z Tiumienia, że przyjechał do przyjaciela, a w sklepie rąbnęli mu portmonetkę — z kieszeni, ścierwa! — czyli nie sążone im się napić piwa z przyjacielem. Dzień się jeszcze nie skończył, powiedział kierowca i poradził mocniej trzymać się za kieszenie. „Piter to nie Tiumień!” — powiedział z pewną nawet dumą wobec prostaczka z prowincji. Chociaż, z drugiej strony, i nie Moskwa, gdzie ci w biegu spodnie z tyłka ściagną i nawet nie zauważysz. Co do tego byli zgodni, przekroczyli most nad Newą, wyjechali na prospekt i zaczęli zgodnie obgadywać rządową stolicę państwa rosyjskiego.

## 5. STRATA

Znalazłszy się w domu, Kim pochłonał zawartość lodówki i spał do wieczora. Śniły mu się różne świństwa: Girdero–Girdiejew, któremu wykrecał szyję, czarnoksiężnik Nebsecht ścigający Daszę z puszką magicznego piwa Guinness — wystarczyło, by łyknął tego piwa i Dasza byłaby na wieki zaczarowana.

Obudził go dzwonek telefonu. Dzwonił Siergiej Dorienko, mistrz sztuk walki, kolega i towarzysz z branży.

— Manson, żyjesz?

— Jeszcze nie wiem, Drew. Wpadnij do mnie na grób, na wszelki wypadek, z wiankiem i wstążeczką.

To były ich pseudonimy. Kim — Michel Manson, Dorienko — Palmer Drew. Bob Chałturin, właściciel oficyny „Hyborea” był mocno przekonany, że Conana należy pisać pod anglojęzycznymi pseudonimami, ponieważ Iwanowa i Pietrowa czytelnik nie chce. Nie pasowali

mu Iwanowowie i Pietrowowie w hyborejskim świecie! Nie było w tamtym wymiarze krajów podobnych do Rosji, może za wyjątkiem Zamory, gdzie żyli sami złodzieje i bandyci. Co prawda z racji klimatu i obyczajów bardziej przypominała jakąś republikę kaukaską...

— Już ci tam, akurat! Grób i wieńce! — prychnął Dorienko. — Cymmeryjczyków pali się na stosie, szkoda forsy na te rzeczy. Przy okazji, palenie ma być zespołowe i wyznaczono je na jutro, godzina druga po południu. Wielki Karmiciel zwołuje sobór. W Hy-Borysei.

Hy-Borysea w żargonie konanistów znaczyło wydawnictwo „Hyborea”. Wielkim Karmicielem był Borys Chałturin. Miał też inne przezwiska, najłagodniejsze z których brzmiało Tergal-Zad.

— Sobór? A z jakiego powodu? — zainteresował się Kononow.

— Polityka wydawnicza. Terminy, perspektywy, honoraria — wyłuszczył sprawę Drew — Dorienko i odłożył słuchawkę.

Z piersi Kononowa wyrwało się przeciągłe tęskne westchnienie.

— Znowu się przeleci po stawkach, ścierwo — mruknął, przechodząc do kuchni, w okolice kuchenki i lodówki.

„Problemy finansowe?” — zainteresował się Trixi.

— Dokładnie. — Kim postawił czajnik na gaz i, odszukawszy w lodówce ostatnią parę jaj, zaczął przygotowywać jajecznicę. — Powiedz mi, Trixi, co się stanie z tobą, jeśli umrę śmiercią głodową?

„Nie umrzesz. W twoim biurku, w lewej górnej szufladzie...”

— O, przepraszam bardzo! — oburzył się Kim. — Łamiesz umowę! Grzebałeś w moim umyśle?

„Ja tylko wychwytyuję myśli cyrkulujące na powierzchni. Przecież ci tłumaczyłem, że to jest odruchowe. U nas uważa się to za całkowicie mieszczące się w normach etycznych”.

— A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest to: „u nas”? — zapytał Kononow, uznawszy, że należy wyjaśnić pewne kwestie. Na przykład, co właściwie robi Trixi w Układzie Słonecznym. Na czym polega jego misja? Jak dotarł do Ziemi i ile lat zamierza ją badać, przemieszczając się z umysłu do umysłu?

Odpowiedzi Trixiego były mgliste, nie dlatego, że usiłował coś ukryć, a z powodu słabego przygotowania Kononowa z kosmonawigacji. Kim ukończył wydział filologiczny, na którym nie wykładano takiego przedmiotu, a aktualnie zajmował się magią, zwyczajami plemion nieznanymi ziemskim historykom oraz geografią Lemmurii i Atlantydy. W tych tematach poruszał się lepiej niż w podanych przez Trixiego namiarach.

Zrozumiał tylko, że ojczyzna przybysza leży gdzieś w jądrze Galaktyki, jego świat kompletnie nie przypomina Ziemi, ani przyroda, krajobrazy, wygląd autochtonów czy ich cywilizacja, powstała w czasie, kiedy w okolicach Słońca wirowały protoplanetarne obłoki. Jedynym chyba czynnikiem łączącym Ziemian i rodaków Trixiego, była ciekawość — powód dość ważki, by oddawać się badaniom planet i gwiazd, przede wszystkim zaś światów zamieszkałych. Cel takich badań pozostał jednak niejasny; Trixi wspomniał, że trwa ono już pół miliarda lat i w najbliższej przyszłości, za dziesięć, może dwadzieścia milionów lat, będzie można rozpocząć nowy etap, czyli wymianę myśli filozoficznej, osiągnięć naukowych i arcydzieł literatury. Nie będzie z rym problemu, zapewnił Trixi, ponieważ w perspektywie wszystkie rasy galaktyczne staną się rasami z opanowaną telepatią.

Taka perspektywa bardzo ucieszyła Kononowa; oczyścił talerz z resztek jajecznicy i zapytał, ile to światów zbadali już rodacy Trixiego. Okazało się, że ponad milion, a sam Trixi przez ostatnie piętnaście tysięcy lat odnalazł trzydzieści trzy cywilizacje, nie licząc istot na poły rozumnych, które jeszcze nie stosowały ognia i pożerały się na surowo. W sumie Ziemia była trzydziestą czwartą zamieszkałą planetą na jego koncie — niezły wynik, dający prawo do rozmnażania poza

kolejnością.

— No i jak oceniasz ludzi? — zapytał Kim, dopijając kawę.

„Potwory! — westchnąwszy mentalnie, odpowiedział przybysz. — Nie obrażaj się, ale takich stworów jeszcze nie spotkałem”.

— Nie obrażam się — również westchnąwszy, powiedział Kononow. — Rozumiem... Świat gwałtu! Planeta zła, siedlisko dzikusów, gdzie przelewa się krew niewinnych, szaleją wojny i...

„Co mają do tego wojny, gwałt i krew? — przerwał mu Trixi. — Gwałt, owszem, nie mieści się w etyce cywilizowanych istot, ale faza historyczna, w jakiej się znajdujecie, stawia go w kategorii działań nieuniknionych. Mówiąc o was potwory, miałem na myśli zupełnie coś innego! Wszystkie normalne istoty oddychają metanem albo amoniakiem, odżywiają się przez wchłanianie i energię z pożywienia wykorzystują w stu procentach. A wy... wy. Podstawą waszego metabolizmu jest tlen i utlenianie! A co się dzieje w waszym układzie trawiennym? Produkuje odpady w takiej ilości, że musicie wywozić je na pola! Nie potraficie wykorzystać fotosyntezy, pochłaniacie biomasę i pijecie trucizny — wodę i spirytus! A obyczajnie seksualne! Wasza metoda rozmnażania się?! Wy...”

— Tego nie ruszaj! To nasza święta sprawa! — zmarszczył czoło Kononow. — To nam dała przyroda, to jest naturalne...

„Mogę się zgodzić — naturalne, poza oporem mentalnym. Na Wielką Galaktykę! Takich istot nie spotkał się nigdy wcześniej ani w przestrzeni, ani na innych planetach. Nie tylko jesteście oporni mentalnie, ale na dodatek blokujecie wszystkie mentalne impulsy w całym zakresie. Nie mogłem zatem przewidzieć...”

Trixi umilkł, a Kononow, zaintrygowany ostatnim wyznaniem, pociągnął go delikatnie za język:

— Mentalnie oporni... Masz na myśli niezdolność do telepatii? Przecież ja ciebie słyszę?

„Słyszysz, ponieważ jestem inklinajzerem i moje zasoby mentalne są wielkie. Większe nawet niż u mojego inkлина”.

Kim poszperał w pamięci. Inkwizytor, inkubator, inkunabuł, inkrustacja, incognito... Inklinajzera tam nie było.

„W waszym języku to określenie nie istnieje — rozległ się bezcielesny głos Trixiego. — W moim świecie wszyscy są inklinajzerami, ja również”.

— A ja sądziłem, że jesteś zwiadowcą i posłańcem — powiedział Kim.

„Każdy zwiadowca jest inklinajzerem wysokiego poziomu. Oznacza to, że potrafimy rozszczepiać świadomość na quasi myślące autonomiczne struktury. Właściwie, to składamy się z nich, z kilku modułów inklinów i jądra, ośrodka pamięci i indywidualności. Wszystko to razem tworzy całość, w danym przypadku — moją. — Trixi milczał chwilę i dodał: — Straciłem jednego inkлина, Kimie. Odstrzeliłem go z orbity i straciłem kontakt z częścią mojej istoty, kiedy wniknęła do umysłu Ziemianina. Gdzieś w tej okolicy. W waszym układzie współrzędnych — sześćdziesiąty równoleżnik, dwudziesty piąty albo trzydziesty pierwszy stopień długości wschodniej. W jednym z dwóch miast odpowiadających tym namiarom... — znowu na chwilę umilkł, potem ze smutkiem powiedział: — Teraz wiesz wszystko o moim problemie”.

Kim, płonąc z ciekawości, zażądał wyjaśnień. Rozdzielenie umysłu, zauważył Trixi, to standardowa metoda zwiadu na zamieszkałych globach. Galaktyka jest ogromna, i zmuszeni jesteśmy badać ją możliwie efektywnie i ekonomicznie, bez wieloosobowych ekspedycji i nawet bez ciał, których transport zbyt wiele kosztuje. Znacznie łatwiejsze jest wysyłanie świadomości w mikro transponderze, miniaturowym urządzeniu, w którym bezcielesny zwiadowca przemieszcza się od gwiazdy do gwiazdy, wyszukując zaludnione planety. Odkrywszy odpowiedni glob, zwiadowca wysyła przy pomocy mentalnego impulsu cząstki swojej istoty czyli inkliny; ci wnikają

w wybranych aborygenów i skłaniają ich do współpracy. Z reguły nie ma z tym żadnych problemów, ponieważ inklin jest nie tylko przekaźnikiem informacji, ale może też leczyć partnera, udzielać dobrych rad i przedłużać istnienie nośnika w nie poddającym się chorobom ciele. To jest pożyteczna symbioza, tłumaczył Trixi, aborygenowi sprzyja fortuna i zdrowie, a zwiadowca nie musi się przystosowywać do obcego środowiska i gromadzi dane całkowicie bezpieczny.

Trixi miał dziewięćdziesiąt siedem inklinów; ze znajdującej się nad sześćdziesiątym równoleżnikiem orbity odstrzelił pierwszy nad północną Europą. W jakim punkcie inklin wylądował nie wiadomo, takie szczegóły nigdy nie były nikomu potrzebne. Inklin był przecież częścią jego świadomości wyraźnie wyczuwalną, jak palec dla człowieka. Poza tym był strukturą autonomiczną, zdolną do samodzielnego wybierania partnera i jego zmiany dla optymalnego wykonania zadania.

Penetracje planet zawsze zaczynały się od centrów cywilizacyjnych, dlatego Trixi sądził, że jego inklin znajduje się w Helsinkach albo w Petersburgu. Stolica Finlandii, zresztą, już odpadła. Trixi spędził tam ponad rok, nie osiągnąwszy niczego.

— Jeśli dobrze rozumiem — powiedział Kononow — straciłeś telepatyczny kontakt z inklinem i skoczyłeś ze swojego transpundera, żeby odszukać zgubę. Ale skoro nie masz kontaktu, a my jesteśmy odporni na słabe promieniowanie inkлина, to jak chcesz go znaleźć?

„Jak ślepiec, który szuka monety na plaży — oświadczył przybysz. — Skoro oczy nie widzą, to muszę wykorzystać inne zmysły”.

Kimowi opadła żuchwa.

— Chcesz powiedzieć, że przebadałeś w Helsinkach pół miliona Finów i Finek?

„Nie, oczywiście że nie. Porównanie z dotykiem jest przesadne. Mentalne fale nie dadzą się całkowicie zablokować, mogę je wychwytywać, ale z bliska, z trzydziestu metrów, maksimum — z pięćdziesięciu. Czyli przechodząc obok dziesięciopiętrowego budynku, mogę go przeskanować od piwnicy do strychu.

Żuchwa opadła jeszcze niżej.

— Czyli oczekujesz ode mnie, że przejdę się obok wszystkich budynków miasta? Mamy ich tu dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy. To nie są, bracie, Helsinki, to jest Petersburg. Tu jest więcej ludzi niż w całej Finlandii!

„Niestety, nie mam innego wyjścia” — ze smutkiem powiedział Trixi.

— Jest! Machnąć ręką, sięść w transpunder i dać z buta! Nie myśl, że cię wypędzam... Ale jaki jest sens tych poszukiwań? Miałeś dziewięćdziesiąt siedem inklinów, zostało ci dziewięćdziesiąt sześć. Niezła kompania... Może za jakiś czas wyhodujesz sobie nowego inkлина...

„To niemożliwe. Liczna inklinów, to moja zdolność do rozszczepiania świadomości, określana przez kod genetyczny, niczego tu dodać ani ująć nie mogę. A bez inkлина jestem osobnikiem niepełnosprawnym, inwalidą. To koniec kariery, Kimie! Co tam kariera — nawet rozmnażać się nie mogę!”

Trixi jęknął mentalnie i wdał się w uzalanie nad losem i krachem kariery. Tego Kim nie potrafił znieść. Wsłuchał się w swoje serce, pogłaskał mentalnie Trixiego po głowie i rzekł:

— No dobrze, nie rób z niepowodzenia tragedii. Znajdziemy tego twojego inkлина, znajdziemy! Ale bez pośpiechu i ponagrania! Muszę skończyć powieść przed dwudziestym!

„Skończysz. Ja ci pomogę” — obiecał przybysz, od razu przestając chlipać i narzekać.

Przyjaźnie zjednoczeni opuścili kuchnię, zasiedli przed biurkiem z komputerem, włączyli go, znaleźli odpowiedni plik i w tym momencie Kim jakby na chwilę odleciał. To znaczy — wydawało mu się, że na chwilę, ale kiedy się ocknął, za oknem panowała już srebrzysta noc, las po drugiej stronie ulicy zamarł ciemny i cichy, a na monitorze migotały ostatnie słowa rozdziału o zingarskim okręcie. Kim przeczytał je i zadowolony powiedział „hm!”

„Jego topór wznosił się i opadał, wznosił i opadał jak sierp tnący trzcinę. Jęki, błagania i przedśmiertne chrypienie krążyły nad okrętem...”

„Bardzo dynamiczne i ekspresyjne — odezwał się Trixi. — Co dalej?”

— Dalej? Dalej Idrein płynie do Kordawy, stolicy Zingary, zdobywa dla siebie wierzchowca i pędzi za Conanem na północ, na pustkowia Piktów.

„A Conan i jasnowłosa Zijna? Gdzie są aktualnie?”

— W kraju Piktów. Siedzą w gęstwinie przy ognisku, dziewczyna opowiada Conanowi swoją historię. Jak została porwana z rodzinnego domu, pobita, zgwałcona i sprzedana kapitanowi Girdero.

„Rozumiem! — zgodził się Trixi. — Powiedziałbym, że bardzo realistyczne. Gwałt nie jest przecież niczym dziwnym i dziś?”

— Pewnie, że nie! Niby czemu? — Palce Kima z niebywałą prędkością uderzyły w klawisze, z każdym słowem historia Zijny posuwała się do przodu.

Tak to trwało do późnej nocy. Kononow położył się spać około piątej, spał do dziesiątej, obudził się głodny jak wilk z Wanaheimu — widocznie jeszcze odzywał się głód wywołany transformacją w Conana i bitwą w piwnicy, ale w lodówce poza opakowaniem po margarynie nie było nic. Otworzył lewą górną szufladę biurka, gdzie przechowywana była resztką ostatniego honorarium, a pod nią zapas na kryzysową czarną godzinę — sto baksów w drobnych banknotach.

Kim wypadł z torbą na ulicę i pobiegł do spożywczego. Papierosy, zastanawiał się po drodze, mleko, chleb, jajka, jakaś kiełbaska i coś mięsnego... paczkę pielmieni albo dwie... I do tego...

„Nie tak szybko — odezwał się w jego głowie głos Trixiego. — Nie nadażam ze skanowaniem budynków”.

„Jestem głodny — oświadczył w myślach Kim. — Będziesz skanował w drodze powrotnej”.

Zatrzymał się przy budce z pierożkami, kupił trzy z kapustą i trzy z mięsem, wepchnął od razu jeden do ust i — widząc przerażone spojrzenie ekspedientki — cofnął się pod billboardy, ukrył się za nimi i tam przełknął wszystkie pierożki, a świat stał się od razu jaśniejszy i mógł nawet przeczytać treść ogłoszeń, za którymi się ukrył. Były tu ogłoszenia ekstrasensów, którzy leczyli z impotencji, reklama muszli i rajstop, afisze teatralne i inny bełkot, którego Kononow nigdy nie konsumował. Na tablicy obok znajdował się cyrkowy plakacik z wizerunkiem słonia, dwóch krzepkich facetów, wczepionych w uszy zwierzęcia i rudej, na poły nagiej damy, leżącej na jego grzbiecie. Napis informował: „Cyrk w Oziorkach! Dziś i codziennie. Woltyżerka i tańce na słoniach! Trupa Tri–Talrose–Tri!!!”

Zobaczywszy ten afisz, Kim omal nie zakrztusił się ostatnim pierożkiem, przepchnął go przez krtań i znieruchomiał ze spojrzeniem wbitym w plakat. War’ka Talrose–Sidorowa, siostrzyca! Od razu przypomniały mu się słowa Giry. Na dodatek w twarzy cyrkowej lady widać było podobieństwo do Darii Romanownej: włosy — rude, oczy — zielone, usta — pulchne i soczyste.

Kim przełknął ślinę i zawołał:

— Fart, Trixi! To przecież jej siostra, moja sąsiadka! Z dwieście trzydziestego trzeciego! A gdzie jest jedna siostra, tam i druga! Klnę się na zuchwę Croma!

„Fajnie — odezwał się przybysz. — A co z moim inklinem?”

— Zaraz idziemy do spożywczego, będzie tam ludzi od licha, skanuj sobie. A potem przelecimy się po bulwarze Prezydenckim... To znaczy, będziemy szli obok domów, a jest ich tam co najmniej czterdzieści, a w każdym po sześćset mieszkań... Pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców!

Po godzinie, z torbami zakupów stał pod drzwiami swojego mieszkania, ale zerkał na mieszkanie obok. Przyłożył doń ucho — cisza... Zadzwoił, zero odzewu... Rudowłosa Talrose–Sidorowa wyparowała, ale człowiek, a zwłaszcza taki z afisza, nie ginie tak łatwo. Kim wszedł do siebie i, podsumowawszy znane fakty, uznał, że jest ich niemało. Po pierwsze, magazyn



Czernowa; można wpaść tam, chwycić magazyniera za kłapy i wypytać, gdzie mieszka mąż pięknej Daszy... Chociaż, co za sens, skoro chłopcy Czernowa sami jej szukają? Po drugie, Dasza ma własny bar i to nie byle gdzie, bo na Fontance! Tam nie ma wielu lokali. A po trzecie, siostra Daszy pracuje w cyrku, ze słoniem i parą facetów.

Kim sięgnął po książkę telefoniczną, znalazł stronę z cyrkiem w Oziorkach i zaczął tam wydzwaniać. Dodzwonił się do sekretarki z milutkim głosikiem.

— Proszę mi powiedzieć, czy trupa Talrose dziś występuje?

— Och, niestety, nie. Obłom się rozchorował. Obżarł się skórek z bananów.

— Obłom?

— To imię słonia. Jeśli chce pan zwrócić bilety...

— Właściwie to nie mam biletów — przyznał się Kononow. — Potrzebny mi kontakt z Warwarą Romanową. Jestem Kim Nikolajewicz, jej sąsiad, bulwar Prezydencki, mieszkania dwieście trzydzieści dwa, a ona mieszka pod dwieście trzydzieści trzy.

— Chwilka — sekretarka zaczęła szeleścić papierami, może sprawdzała adres. Potem powiedziała: — Waria odpoczywa, póki Obłom ma biegunkę. Powiedziała, że na daczynie... A co się stało, Kimie Nikolajewiczu?

— Zalali nas ci z piętra nad nami — tragicznym głosem poinformował ją Kononow. — Moje mieszkanie i jej, musimy dokonać wyceny szkód i do sądu! Pilnie! To tacy cwaniacy, ci z piętra, że... — Dopuścił do głosu malutką łezkę: — Na rany Chrystusa, dziewczyno! Jak mogę się skontaktować z Warwą Romanową? Podamy ich wspólnie do sądu... bo wszystko szlag trafił, tapety, telewizor, meble... Wszystko, do ostatniej koszuliny. Lakier z parkietu spłynął do piwnicy!

W słuchawce dało się słyszeć pełne współczucia westchnienie.

— Co za koszmar. Będzie pan musiał do Warii na daczynie pojechać... zaraz znajdę... wieś Krutyje Górki. Jeśli pojedzie pan samochodem, to się jedzie Szosą Przyoziorską do siedemdziesiątego kilometra, tam w prawo, gruntówką między bagnem i laskiem iglastym. Potem na drugim biegu, póki się nie ugrzęźnie. I to będzie ten dom. Jasne?

— Jasne — powiedział Kononow. I pociągnął nosem.

— Niech się pan tak na zamartwia — powiedziała sekretarka. — Jak się zalało, to się nie spali.

— Dzięki za dobre słowo. Pożar już tu raz mieliśmy — powiedział Kim i odłożywszy słuchawkę, zaczął się zbierać do pracy.

## 6. HY-BORYSEA

Wydawnictwo mieściło się w szacownej willi z czasów Rasputina i pierwszej rosyjskiej rewolucji. Za metalowymi drzwiami „Hyborei” znajdował się korytarz, z przylegającymi do niego pokojami redaktorów, a kończył się w ciemnej sali konferencyjnej ze starym owalnym stołem, przestronnym jak pokład lotniskowca. Na ścianach wisiały obrazy (Conan zabija Amalrika, Conan podcina gardło Olgierdowi, Conan na tronie Aquilonii), a ogromny stół otaczało dziewięć krzeseł. Dziesiątym siedziskiem był wspaniały fotel Borysa Chałturina — wielki i wspaniały, z podłokietnikami z uskrzydłonych smoków.

Przy stole zasiadało już pięć osób: Palmer Drew-Dorienko, inteligent Misza Leonson (inaczej Mitchel Lyons), Żeka Kisielow (Bud Kingsley, młody talent), Lena Mitlickaja (Alhambra Tess, krucha blondyneczka) i Francis Pitchi, którego prawdziwe nazwisko nie było znane nikomu. Pojawienie się Kima powitało szuranie stóp, skrzywienie krzeseł i głośne okrzyki: „Oto i Conan!”, „Co nowego w Cymmerii, barbarzyńco? Nie zdarzy się aby inpeachment?”, „Jaki znowu

inpeachment? — obruszył się Kim. — My tam mamy demokrację, a prezydenta dawno temu zarżnęliśmy”. Następnie Alhambra podała mu policzek do pocałowania, Kingsley i Lyons klepnęli go w ramię, Dorienco — w szyję i tylko Pitchi pochylił głowę w ukłonie okraszonym kwaśną miną. W ich towarzystwie on jedyny był członkiem Związku Pisarzy, autorem postmodernistycznych arcydzieł, które utopiły już trzy wydawnictwa. Pitchi otwarcie manifestował swoją pogardę do „koniny”, przy kasie jednak był niezmiennie pierwszy.

Kim usiadł na swoim miejscu między Kisielowem i Drew–Dorienką. Żeka, chłopiec młody, wesoly, natychmiast dźgnął go łokciem w bok:

— Mówią ludzie, że będziesz pisał książkę „Giennady Ziuganow — zwierciadło rewolucji rosyjskiej”. Prawda to czy ploty?

— Ploty — odpowiedział za Kima Dorienco. — On nie ma czasu, bo przekłada „Kamasutrę” na poezję. Oddzielne sonety dla każdej pozycji i dla każdej intymnej części ciała. Zaraz wam coś zadeklamuję...

Alhambra Tess ze złością zamrugła rzęsami.

— Zamknij się, maniaku seksualny. Członek kalibru czterdzieści pięć, a mózdzek komarzy... Ja ci pokażę intymne miejsca!

— Pokaż! To i ja pokażę! — radośnie poparł ją Dorienco i zaczął się rozbierać. Kingsley–Kisielow zarechotał głośno, Misza Lyons zachichotał, a Pitchi z pogardą wypchnął dolną wargę.

„Co się z nimi dzieje?” — bezdźwięcznie zapytał Trixi.

„Nic. Żartują. Pisarze. Osoby twórcze, fantazja w nich wrze. Tym się nie przejmuj”.

Dały się słyszeć wolne kroki i w sali pojawił się Chałturin ze zwojem pod pachą. Był to mężczyzna nieładny, ale czarujący: ogromny nos, oczy nieokreślonego koloru za ciemnymi szklami i zuchwa przypominająca wnyki na wilki. Po drodze do swojego fotela uśmiechnął się szeroko, pomachał im ręką i pochyliwszy się do Dorienci, szepnął:

— Zapnij spodnie, Drew! Nie jesteś w łaźni. Społeczeństwo patrzy i widzi.

Zasiadłszy w fotelu, Nergal — Zad bez pośpiechu wyjął dzwoneczek, zadzwonił i znowu się uśmiechnął, szczerze i czule, jak uśmiecha się wódz do swoich współbojowników z szeregów partii.

— Uwaga, proszę o szczególną uwagę, koledzy! Mamy dziś w planie omówić setny jubileuszowy tom i przedsięwzięcia dotyczące ożywienia serialu. Dziewięćdziesiąty dziewiąty tom już jest w drukarni... — Wyjął notes, prze — kartkował go i oświadczył: — To arcydzieło Lyonsa „Niebiański topór”, taka sobie ta książeczka, dość mdła... Ale jubileuszowy numer musi być rewelka! Action–novel na pięćset stron, z dynamiką, ostrą fabułą, setką trupów i parą heroin. Jedna niech będzie rude ścierwo, druga, jak chcecie, blondynka albo brunetka, ale z czułą duszyczką. Załączam szkic okładki.

Chałturin rozwinął zwój i konaniści zespołowo jęknęli. Zresztą, rysunek nie był ani gorszy, ani lepszy od tych, jakimi „Hyborea” uszczęśliwiała już czytelników: na pół nagi Conan pędził na potężnym ogierze, w ręku topór i miecz. Na plecach kusza, a z boku przykleiła się wspaniała dziewczyna z rewelacyjnym tyłkiem.

— Ja, raczej, pas — powiedział Dorienco. — Mam co prawda jedną trzecią książki, ale Conan nie wozi w niej takich dziewczek. Okupuje Argos, przy tym nie goły, a w pancerzu.

— To są detale, nieistotne — powiedział Wielki Karmiciel. — Jedna trzecia... hm... Do czerwca zdążysz? Do połowy?

— Na pewno nie.

— Hm... Lyons i Tess są na sierpień, czyli odpadają... A co z resztą? Kingsley i Pitchi? A Manson? Przy okazji, pan jest na czerwiec?

— Pracuję. Mam połowę. Kupa trupów i para dziewczyn, ruda i blondynka.

— To jest rozmowa! Co Conan, to Conan! — Chałturin podrapał się po swoim olbrzymim nosie. — Jeśli nie zawiedzie mnie pan i dotrzyma terminu, ja... hm... ja podniosę honorarium o dwadzieścia pięć procent!

— O czterdzieści — nagle zachrypiął Pitchi. — O czterdzieści i będzie na piętnastego. Ale bez czułych blondynek — obie będą zarazy.

Rozległy się oburzone głosy konanistów, ale Wielki Karmiciel jednym ruchem brwi zaprowadził porządek. Następnie odwrócił się do Pitchiego i rzekł:

— Kiedy będzie gotowe, wtedy zobaczymy. Poza tym sprawdzić trzeba, co pan tam napisze! Czy to nie u pana w powieści „Potwór ze Stygii” opisany jest zbój kropka w kropkę jak nasz gubernator? Tak postępując, może pan dojść do prezydenta. — Roześmiawszy się bez otwierania ust, Chałturin zwinął obrazek z Conanem i podsumował: — W sumie, oczekuję propozycji przed piętnastym. Od Mansona i od każdego, kto chce pojawić się w jubileuszowym tomie. A teraz przejdziemy do punktu drugiego. Jakie macie propozycje, towarzysze-koledzy?

— Żeby ożywić? — zapytał Drew — Dorienco. — A po co? Lepiej zakopać, właśnie tym jubileuszowym tomem. Manson niech zakopie, możliwie głęboko i daleko. Gdzieś w Buriatii albo na Kołymie.

— Ludzie nam nie wybaczą — powiedział Wielki Karmiciel.

— Ja też — potwierdziła Alhambra Tess. — Mam dzieci do wykarmienia.

Alhambra miała dwoje dzieci po trzech mężach i dziewięciu kochankach, co niewątpliwie było odważnym eksperymentem eugenicznym. Zbadawszy silną pleć wzdłuż i w poprzek, twierdziła, że żaden nie wytrzymuje porównania z Conanem, choćby dlatego, że faceci przychodzą i odchodzą, a Conan zostaje.

Machnąwszy kędziorami, Alhambra zaproponowała:

— Proponuję takie coś: przeniesiemy Conana do ciała kobiety, takiej tam Conanki Barbarzynki, rudowłosej zbójniczki. Magicznym sposobem. Otrzymamy...

— ...nie Conana, a Czerwoną Sonię — dokończył Lyons-Leonson. — Tak nie wolno, o niej już pisaliśmy. Lepiej go napuścić na jakiegoś Batmana albo Tarzana.

— Na Jamesa Bonda — rzucił Dorienco. — Czemu nie? W KGB zbudowano maszynę czasu i wciągnęli do niej Bonda. Przeleciał przez epokę lodowcową, trafił do ery hyborejskiej i spotkał Conana. A ten jest już królem Aquilonii i bardzo potrzebuje zwiadowców... Bond się tym zajmie, zorganizuje mu filię MI-5, dociśnie turańskich terrorystów i ożeni się z pop-star z Czarnych Królestw, którą wcześniej uwolni z łap wykolejonego maga...

— Nie wyda — powiedział, Chałturin skrobiąc nos. — To znaczy, z Bondem można, ale wykolejeńca nie. Czytają nas młodzi ludzie.

— Spoko, oni o seksie wiedzą więcej niż my — sprzeciwił się Dorienco. — Proponuję wysłać Bonda z Conanem do haremu i niech sobie utną zawody, kto zbecześci więcej kobiet turańskiego sułtana. W postać ukochanej żony sułtana wcieli się Alhambra, a Pitchi będzie eunuchem.

Kisielów i Leonson zarechotali. Pitchi uśmiechnął się krzywo, a Alhambra Tess syknęła:

— Same samce! Ach, jakie chutliwe śmierzące samce!

— A wyrzuca to samica! — odparował Drew. Tergal-Zad, brzęknąwszy dzwoneczkiem i powiedziawszy: „Do rzeczy, drodzy państwo!”, odwrócił się do Kima:

— Co pan ma, Manson? Pomysły?

— Nie... raczej nie mam — wymamrotał Kim. — Widzi pan... ja jestem zajęty ostatnim swoim projektem. Cały się zagrzebałem, w nim właśnie.

— Przy okazji — jaki tytuł nosi dzieło?

— „Grota Dajomy”. Dajoma to ta ruda, zielonooka, a prócz niej mam tam blondynkę, kilka

upiorów, magów, zbójów i cały cmentarz.

— Grota Dajomy... — Chałturin zmarszczył czoło. — Nieźle, Manson, nieźle! Za tydzień proszę się zgłosić po zaliczkę. — Obrzucił spojrzeniem pozostałych konanistów, zatrzymał zachmurzone spojrzenie na Francisie Pitchim i rzekł: — Chcę odnotować, że burza mózgów zakończyła się sukcesem i zrodziła szereg owocnych pomysłów. Hm... tak... owocnych w tym lub innym stopniu... W sumie, kierownictwo ma materiał do przemyśleń. Dziękuję wszystkim!

Pisarze, z ulgą wzdychając, zaczęli się rozchodzić. Kim wyskoczył za Dorienką, skierował się do jego samochodu, potłuczonego przez życie moskwicza. Dorienko, były specnazowiec, były historyk i były jeszcze coś tam, władał różnymi talentami, przy czym z każdego potrafił wyciągnąć spore korzyści. Poza twórczością zajmował się wykładaniem u-shu, miał wykłady w studium pedagogicznym oraz prowadził klub radiowy dla dziewczyn (jak się bronić przed gwałcicielem). Ale były to tylko sposoby zarabiania na życie, a jego największą namiętnością była broń. Nie bazuki i pistolety maszynowe, a szlachetne klingi, topory, kindżały i buławy, które wykonywał własnoręcznie, zdobywając gdzie się da półfabrykaty ze stali narzędziowej, brąz, kość i drewno szlachetnych gatunków.

Wsiedli do wozu, Drew powiedział:

— Jedziemy do mnie, napijemy się piwa za twój sukces. Bo to jest coś ekstra! Przypadek niesłychany w hyborejskiej historii! Żeby Zad dał komuś zaliczkę! Sądziłem, że on nie zna takiego słowa.

Moskwicz kichnął, parsknął, ale posłusznie odpalił i powiózł przyjaciół na kwatery Drew, do dokładnie takiego samego mieszkania jak Kononowa, tyle że tu ściany były zawieszane ostrym żelastwem. Zasiedli w kuchni z piwem i słonymi precelkami na dobre trzy godziny, rozmawiając o taktyce rzymskich legionów, sztuce feng shui i perspektywach na honoraria, i trochę o tym, jak należy odbudować Rosję. W końcu rozmowa sięgnęła broni i gospodarz przywłókł z komórki jakąś rękojeść z ciemnego drewna.

— Patrz, co wyłapałem w fabryce mebli! Czarny dąb, metr długi, gruby na trzy palce! Oni chcieli zrobić nóżki do kanapy... A ja zrobię takie drzewce do topora, że w życiu się nie zużyje.

Rozejrzawszy się po ścianach, Kim powiedział:

— Nie pożyczysz czegoś? Na przykład tego? Wskazał ogromny miecz z rękojeścią z kła morsa i krzyżowym jelcem. Myśl o tym, że należałoby się jakoś uzbroić, już od jakiegoś czasu pętała mu się po głowie i umacniała z każdą wypitą butelką. Nie wszędzie znajdzie się kaloryfer i rura! A chłopcy Czernowa głupi nie są i po bitwie w piwnicy wiedzą, kto, co i jak... Pojawia się z nożami i łomami, a my im pokażemy mieczyk! Kawał stali! Z rękojeścią sięgającą brody.

Drew — Dorienko podrapał się po głowie.

— Pożyczyć, powiadasz? W jakim celu?

— Tak sobie, pomachać! — Kim wykonał nieokreślony gest.

— Tym mieczem nie pomachasz — oświadczył Dorienko otwierając piwo. — To jest dwuręczny rycerski miecz i waży dwanaście i pół kilo. Takim się cięło Saracena wraz z koniem.

— No to daj inny, lżejszy. O tamten! Drew powiedział „hm”, i pokręcił głową.

— To nie zabawki, Mansonie. O, dam ci palicę. — Podał Kimowi dębową łagę. — Machaj na zdrowie! Ja mam inną.

Zważywszy pałę i uznawszy, że lepsze to niż nic, Kim powiedział:

— A dasz wóz na jutro? Muszę skoczyć za miasto.

— Dam, ale po obiedzie. Rano mam co robić — do studium jadę, potem zatankuję i do warsztatu... A o trzeciej podstawię ci go pod nos.

— No, dzięki wielkie, zbawco.

Wypili piwo, wykończyli precelki i Kim ruszył do domu. Pierwsze sto metrów lekko nim

zarzucało i musiał nawet chwilami podpierać się łagą, ale jakoś szybko wytrzeźwiał, jakby nie miał w sobie sześciu butelek piwa. Skręciwszy na prospekt Engelsa, Kim zapytał:

— To twoja sprawka, Trixi?

„Oczywiście — odparł przybysz. — Twój organizm jest już oczyszczony i doprowadzony do stanu normalnego funkcjonowania. To prosta sprawa — trzeba tylko przerobić spirytus w glukozę”.

— Jesteś skarbem, przyjacielu — powiedział Kim. — Pijacy nosiliby cię na rękach. Pobiliby się o to, u kogo masz się ulokować.

„Wystarczy mi jeden hydraulik” — dość ponuro odparł Trixi.

Kononow dotarł do centrum handlowego i, zmrużywszy oczy, zaczął czytać: „Piwo — 24 h”, „Muszle z Brazylii”, „Seks shop „Ostatnia szansa””, „DSO Cymmeria”. Ten ostatni napis go zastanowił: „Dyżurny Salon Odalisek”? „Dział sadystów oligofreników”? „Dietetyczne smaki i obiady”? Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że DSO oznacza „Dom, sad, ogród”. Nie wiadomo tylko, co to miało wspólne z Cymmeria.

Sklepek był mały i bardzo przypominał mieszkanie Drew–Dorienki, albowiem ściany obwieszane były ostrymi przedmiotami — toporami, błyszczącymi kosami i oskardami, zębatymi dyskami pił tarczowych, poza tym wisiały tam łopaty i inny sprzęt. Kim, wymachując dębową pałą, przeszedł się wzdłuż ścian, podziwiając błyski stali i jej ostrza, zastanawiając się, co mu bardziej pasuje, siekiera czy saperka. Ale obie te rzeczy były zbyt lekkie i niepoważne w porównaniu z rycerskim mieczem. Niemal wybrał już dla siebie topór drwala, gdy za sobą usłyszał delikatne pokasywanie.

— Życzy pan sobie, młodzieńcze?

Odwróciwszy się, Kononow odkrył za plecami staruszka w niebieskim kitlu i czapeczce z napisem „Lily–boy”. Miał siedemdziesiątkę z okładem, ale trzymał się raźnie.

— Szukam czegoś takiego... cięższego... — powiedział Kim.

— Fersztejn! Młot? Szesnastokilowy, do wbijania pali?

— Mogę popatrzeć?

— Dlaczego nie? Proszę za mną.

Młot leżał w odległym kącie, za palisadą grabi i beczką ze smołą. Betonowa podłoga pod młotem popękała.

— Dawno już tu leży — powiedział staruszek, w zamyśleniu pieszcząc spojrzeniem zardzewiały z lekka młot.

— Jak dawno?

— Z osiem lat. Od chwili, kiedy otwarto ten sklep.

— A dlaczego tu się wala?

— Bo nikt go nie może donieść do lady. Kto podniesie, od razu: kaput! — wyjaśnił sprzedawca i zapytał: — Pasuje? Oddam za piątkę.

— Pasuje — powiedział Kononow, wyjmując pieniądze. — Proszę zapakować.

— Żartowniś! — Sprzedawca zerknął na łagę. — Mogę oprawić młot na tym drażu, rękojeść będzie pasowała... Obstrugamy koniec, dobijemy, zaklinujemy... Ten geszeft załatwimy migiem.

Tak też się stało, i po kilku minutach Kononow, mocno obciążony, ale też uzbrojony po zęby skierował się do wyjścia.

Na ulicy skręcił za róg, dokuśtykał do śmietnika, ukrył się za murkiem i znieruchomiał, stękając i sapiąc.

„Trixi! Matrycę Conana, ale migiem, bo mnie tu spłaszczy!”

Dziny zatrzeszczały, rękawy koszuli wypełniły się mięśniami, młot od razu stał się lżejszy od piórka. Przekonawszy się, że nie ma widzów, Kononow podrzucił go, chwycił, wykonał zamach.

Przepelniało go poczucie nieprawdopodobnej siły. Mógłby zwalić chiński mur jednym uderzeniem, a drugim wbić jego resztki w ziemię. Magiczne, upajające uczucie!

„Wszystko w porządku?” — zapytał przybysz.

— Znakomicie! Już się puszczam biegiem i będziemy za pół godzinki w domu.

„Prosiłem, żebyś wolniej szedł. Tu są tysiące ludzi, a ja muszę każdego przeskanować” — burknął nadąsany Trixi.

Wyszli na bulwar Prezydencki, Kim zapytał:

— Ilu ludzi już sprawdziłeś?

„Dziewięćdziesiąt osiem tysięcy trzystu pięćdziesięciu sześciu. A bo co?”

— To, że zostały cztery miliony z hakiem. Obawiam się, że nasze poszukiwania rozciągną się na lata.

Trixi zamyślił się, w każdym razie umilkł, a Kononow odczuł taki rodzaj smutku bijący od przybysza, jakby jasny czerwcowy wieczór nagle zmienił się w styczniową noc, zimną i ciemną. Co za ponury los, taka utrata swojej części w wielomilionowym ludzkim tłumie, który, z kolei, zlewa się z innym, miliardowym... A w nim zguba zginie jak złota moneta w Rowie Mariańskim. Co za los! „Chcesz mi coś zaproponować?” — zapytał Trixi.

— Chyba tak. Sądzę, że typ, który złapał twój inklin, jakoś różni się od normy. Mówiłeś, że inklin to nie tylko zbieracz informacji, ale też pomocnik, że wpływa na nosiciela, sprzyja jego powodzeniu. Musimy szukać szczęściarza! Takiego, któremu nagle powiodło się mniej więcej rok temu!

„Nie jestem pewien, czy masz rację. Symbioza między inklinem i nosicielem jest osiągnięta tylko przy świadomym kontakcie, a temu przeszkadza wasza oporność. Wierz mi, zbadalem ten problem. Inlantowałem inkliny i obserwowałem ludzi. Reakcja była niejednoznaczna i czasami bardzo dziwna”.

— Na przykład?

„Jedni nie wyczuwają inkлина, inni odczuwają dyskomfort, jeszcze inni nagle zyskują talenty: pamięć ejdetyczna, możliwość hipnotyzowania. Oczywiście, ten efekt jest odwracalny, kończy się wraz z ewakuacją inkлина. Wszystko zależy od tego, czy nosiciel wyczuje inkлина na poziomie podświadomości. Ludzie są różni, rozumiesz?”

— Różni — zgodził się Kononow. — Stąd wniosek: prowadziłeś eksperymenty na Finach, a my mamy inną mentalność, reakcja też będzie inna. Słyszałeś to powiedzonko: co Rosjaninowi będzie miłe, dla Niemca śmierć?

„A co to oznacza?”

— Możliwość podporządkowania inkлина. Wyobraź sobie, że człowiek nosiciel zapanuje nad nim podświadomie, nie odczuwając jego obecności i sądząc, że to tylko obudził się w nim naturalny dar... Co sądzisz o takim wariacie?

„Bardzo mi się nie podoba — natychmiast zareplikował przybysz. — Nie podoba mi się, ale nie mogę go wykluczyć. Wasz świat jest tak niezwykły i dziwny.”

— Świat! Świat to betka, prawdziwy problem to nasz kraj.

Kim skierował się do bramy.

## 7. BITWA

Drew–Dorienko nie zawiódł druha. Podstawił wóz na trzecią, ale zasiedział się u Kononowa, gadając na różne tematy. Gościa wyganiać nie wypada! W wyniku tego Kim dotarł do zakrętu na

Kruryje Górki dopiero około szóstej. Zgodnie z przepowiednią cyrkowej sekretarki droga była kiepska, wąska i pokiereszowana, ginąca wleśnych ostępach.

Westchnąwszy i spojrzawszy na młot, Kim skręcił w odpowiednim miejscu. Cicho rzeżąc, moskwicz pełzył od dziury do dziury, od koleiny do koleiny; sosny współczująco pochylały się nad drogą, a ta, najpierw prosta, zaczęła wić się, wpadała w wąwozy, wyskakiwała na wzgórza, prowadziła przez lasy jodłowe, apotem maliniaki. Po dobrym kwadransie z prawej pojawiło się bagno, potem niski jodłowy zagajnik... Kim przełączył się na drugi bieg i ruszył na północ, zgodnie z instrukcją: jechać, póki wóz nie ugrzeźnie.

Przed nim pojawiło się coś kanciastego, czerwonego i na kołach. Kononow zawrócił jakoś, wyłączył silnik, wylazł z wozu i skradając się, ruszył w stronę płamy.

Okazało się, że to dżip, przestronny i mocny. Przypatrzwszy mu się, Kim podrapał się po głowie i zapytał:

— Żebyśmy się tylko nie spóźnili, Trixi. Czernow pewnie wie o tej daczce i posłał swoich pakerów, żeby ją sprawdzili... Jak myślisz?

„Wóz jest pusty — zauważył zapytany. — Możesz więc być spokojny, że nikogo dotąd nie znaleziono i nie wywieziono!”

— Słusznie. — Kim dotknął maski, wyczuł ciepło silnika, mruknął: — Wyprzedzili nas o pół godziny, nie więcej... No, dawaj transformację!

Ciepła fala zalała go od głowy do pięt, mięśnie spuchły i stwardniały, jednocześnie Kononow poczuł, jak zmieniło się postrzeganie. On, mieszczuch, czuł się teraz w lesie jak ryba w wodzie; więcej — był władcą gęstwiny, jej monarchą i myśliwym. Był silniejszy od każdego zwierza i wiedział o tym, nie bał się niczego, ale pamiętał o ostrożności — tak jak pamięta o niej tropiący zdobycz tygrys. Siła i spryt Conana z Cymmerii były z nim.

Z młotem w ręku Kim ruszył wzdłuż drogi, jego węch wyostrzył się, słaba woń dymu i jedzenia, tak zrosnięte z człowiekiem, stały się jasne, wyraźne, przebijały się przez zapach smoły, kierując nim jak igła kompasu. Kononow pędził bezszelestnie, przemykał niczym cień przez zarośla, omijał krzewy i płamy bagna; las wręcz rozstępował się przed nim i niczym zielone fale, zamykał po przejściu.

Werbel dzięcioła rozległ się w górze. Ptak nie zdążył zakończyć, gdy Kononow usłyszał krzyki, runął na ziemię i szybko zaczął pełznąć w kierunku odgłosów. Po chwili zza krzewu dojrzał polanę z małą osadą: domkiem z werandą, parę pochylonych komórek, sztapel drewna między nimi, studnię. Komórki, znajdujące się na lewo od domku, otaczała piątka mężczyzn — Gira w rozpiętej wiatrówce i czwórka nieznanych pakerów, czerwonych, spoconych i złych. Na dachu komórki stała kobieta w sukience na ramiączkach, odsłaniającej mocne ramiona i długie nogi, oczy miała zmrużone, usta zaciśnięte, wiatr bawił się rudymi lokami. Chyba to ta, co była na afiszu, pomyślał Kononow.

Usłyszał głos Giry:

— Chrapow, stań bliżej lasu, a ty, Szurik, przy sągu. Jak skoczy, wal po kulasach. Możesz polanem, pozwalam...

Para byków, krępy ponury chłop i ciemnowłosy chłopak, ustawili się zgodnie z poleceniem. Ruda na dachu wzięła się pod boki.

— Po kulasach, gnoju? A jak przyłożę piętą w tępy ryj?

— Nic mu nie będzie, Szurik jest młody i twardy — sapiąc i drapiąc się po wygolonym czerepie, rzucił Girą. — Ty się, Wariucha, nie miotaj! Możesz sobie być dwa razy Talrose i trzy razy Sidorowa, poskaczesz nawet pół godzinki, a i tak w końcu zrobisz plecki. To nie taniec na słońcu. I skurcze podobno masz, musisz się leczyć...

Kobieta tupnęła nogą.

— Jakbyś bym tu sam, capie, to bym cię tak poleczyła, że skurcze by ci uszami wyszły. Goniłbyś do samego Pitera z gołym zadkiem!

Łysy ćwok zaśmiał się zadowolony.

— Ale nie jestem sam, Wariucha, a z czterema koleżkami. Nie dlatego, że się ciebie boję. Nie, oni sami się napraszali, w kolejce stali... Podobasz im się, dlaczego by się nie zabawić? I zabawimy się! Oczywiście, jeśli nie powiesz gdzie ukryłaś siostrzyczkę.

— Doczekasz ty się u mnie zabawy — obiecała ruda.

— Tobie pierwszemu odgryzę co trzeba, wszo łonowa!

Gira pokazał jej pięść z wystawionym środkowym palcem i zarządził:

— Dobra, koniec relaksu. Chrapów i Szurik — na miejsca, Jegor i Szczerbaty — na dach! Jak będzie podskakiwała — kolanem między giry. To bardzo baby uspokaja, tylko należy walić z uczuciem. W miarę.

Wynika z tego, że Daszy tu nie ma, pomyślał Kim, patrząc jak dwa łysole maszerują ku komórce. Gdzie ona może być? Do lasu uciekła, porzuciwszy siostrę? Jakoś nie podobne do niej... Może jest w mieście, a bęcwały Pał Pałyczca niepotrzebnie się tu wlokły...

Dwaj pakerzy wleźli na dach i z rozłożonymi rękami poszli na rudą. Potem Jegor, a może Szczerbaty, w każdym razie któryś z nich skoczył ku niej. Ale Warwara, z zupełnie nie kobiecą siłą huknąwszy go w żuchwę, przeskoczyła na sąsiedk, z niego na dach drugiej komórki, Widocznie wykonywała to nie raz i miała do perfekcji opanowane — po drodze wybiła lewą stopą polano z rąk Szurika, a prawą przyłożyła mu w kark. Uderzenie nie było słabe, Szurik jęknął, kiwnął się, ale ustał. Potem chwycił kolejny drąg i zaczął nim wygrażać kobiecie.

— Czekaj, ścierwo, ja ci to wetknę!

— Tylko to możesz wetknąć, bo co innego, gnojku zawszony?! — odparowała kobieta. Odwróciwszy się do Giry, przyłożyła dłoń do podbrzusza i poruszyła palcami.

— To prawda, że wszyscy jednozwojowcy jak ty, mogą tylko raz? Że po pierwszym razie możesz sobie interes do lodówki włożyć?

— Jak cię złapię, to się wszystkiego dowiesz — obiecał jej ogolony, potem popatrzył po pomocnikach. — Coś kiepsko nam idzie, chłopacy. Może do wieczora tak będziemy tu skakać? Zrobimy tak... Ty, Szczerbaty, zostań na dachu, Chrapów niech pilnuje, żeby do lasu się nie zmyła, a my ją na tej komórce weźmiemy we trzech.

Pod czaszką Kononowa obudził się Trixi.

„Co oni robią? To jakaś zabawa? Sport ludowy? Czegoś takiego w Finlandii nie widziałem!”.

„Bo czegoś takiego nigdzie nie zobaczysz — oświadczył Kim. — To jest siostra Darii. Oni ją łapią, chcą się dowiedzieć, gdzie jest Dasza. Jeśli im nie powie, zaczną ją gwałcić”.

„Na żadnej metanowej planecie... — zaczął Trixi, ale od razu urwał, dokończył inaczej, oburzony: — To podłe, klnę się na kwazary Galaktyki. Podłość! Nie zamierzasz interweniować?”

„Zamierzam. Tylko nie wyłączaj tej postaci, póki ich nie załatwię. I nie udzielaj rad. Rady są dobre po bóje”.

Z tymi słowy, wijąc się jak wąż, Kim zaczął pełznąć po trawie, chcąc od tyłu zająć Chrapowa. Gira z pomocnikami już wleźli na dach, Warwara wycofała się na skraj i, wykonawszy wspaniałe salto, wylądowała na sągu. Szurik skoczył za nią, drwa pod ich ciężarem rozjechały się, strącając oboje na ziemię. Warwara poderwała się pierwsza z polaniem w rękę, przymierzyła się, chcąc huknąć przeciwnika w skroń, ale z drugiego dachu skoczył Szczerbaty. Zwalił się na kobietę, powalił ją i od razu dziko zawył — ruda najwyraźniej wiedziała, gdzie należy uderzać. Ale wiele jej to nie pomogło: z tyłu dopadł ją Szurik, Jegor chwycił za ręce, a Gira, przyłożywszy but do jej karku, wbił jej twarz w ziemię. Tracąc oddech, Waria miotała się, jak kocica pod sforą głodnych psów.



Do Chrapowa, z zainteresowaniem obserwującego potyczkę, zostały trzy kroki. Blisko, bliuztko! Kononow wstał z groźnym rykiem, jednym skokiem pokonał dzielącą ich odległość, cisnął pakerem o trawę, wznosił piętnastokilowy młot... „Nie zabijaj!” — krzyknął Trixi. „Humanista pieprzony...” — mruknął Kononow, ale młota nie opuścił, walnął leżącego w brzuch i ruszył ku komórkom.

Gira jeszcze go nie widział, zobaczył tylko Szczerbaty, siedzący pod ścianą z rękami w kroczu.  
— A to co za psychol? To...

Kim lekko stuknął go w skroń, młotem huknął w ścianę, wcisnął miękkie ciało w dziurę.  
— Ten psychol, koleś, to nie twoja liga. Leż, odpoczywaj...

Odwrócił się, chwycił swoją broń na środku rękojeści i walnął nią Szurika w grzbiet. Może nie Szurika, a Jegora — klęczeli obok siebie, usiłując związać Warwarę, a ta wciąż się broniła. Kim puścił młot, chwycił gwałcicieli za łby i stuknął nimi. Potem, patrząc w omdlewające oblicze Giry, powiedział:

— Co, poznajesz frajera z Prezydenckiego? Widzę, że poznajesz... No, tym razem jednak popatrzę, jakiego koloru jest twoja wątroba!

Ruszył na ogolonego, jeszcze nie wiedząc co z nim robi, wyrwie wątrobę czy połamię nogi albo zostawi go bez uszu. Jeszcze nie wybrał odpowiedniej kary, ale był pewien swojej siły, swojej niezwykłości, tego, że może mu zaaplikować dowolną karę. Krew Nergala! Kim jest ten suseł, który chce się zmierzyć z cymmeryjskim barbarzyńcą? Pył i popiół, nic więcej!

Nie widział, jak z tyłu wstaje Chrapow, usłyszał tylko cichy trzask bezpiecznika. Rozległ się strzał, pocisk wszedł pod łopatkę, przebił serce; z ostatnim westchnieniem spuchł i opadł na ustach krwawy pęcherz, i Kim bez słowa runął na trawę.

\* \* \*

Mrok i ziąb... Ciemność, przenikliwy ból... Wydawało się, że spada w przepaść, skąd się nie wraca — leci się długo, nieskończenie długo i ciągle nie może sięgnąć dna.

Potem ziąb i mrok cofnęły się, zastąpił je spokój i błogostan. Może i gdzieś spadał, ale lot nie wydawał się już podróżą do wieczności, a raczej drogą do innego świata, niebezpiecznego, ale pełnego walki i życia. „Nie umarłem — przemknęło przez głowę Kimowi — dziwne, ale nie umarłem! Spadam... Spadam!”

„Kim!”

Głos był bezcielesny, bezdźwięczny — nie głos, a myśl.

„Kim! Kim! Kim!”

Jęknął, otworzył oczy i poruszył głową. Nad lasem nisko zawisło słońce. Z lewej i z prawej znajdowały się ściany komórek, między nimi zaś sterta drewna. Jedno polano uwierało w krzyże. Usiłował je wyciągnąć, ale się nie dało, oparł się rękami o ziemię i usiadł. Koszula na piersi i na plecach była przesączona krwią. „Kim!”

— Jestem tu. — Kononow mocno potarł dłonią szyję. — Żyję?

„Żyjesz. Odtworzenie komórek zajęło mi dwadzieścia dwie minuty i czterdzieści sekund”.

— Odtworzenie, powiadasz? Z tamtego świata mnie wyciągnąłeś!

„Mózg nie jest uszkodzony, więc nie było to skomplikowane — zapewnił go Trixi z nutką dumy w głosie. — Gorzej było z tym hydraulikiem, popatrzyłbyś na niego! Piąte piętro, co by nie mówić”.

W głowie Kima przejaśniało. Rozpiął koszulę, obmacał pierś, potem sięgnął lewej łopatki. Ani rany, ani blizny.

— Szkoda, że cię posłuchał — powiedział z westchnieniem. — Trzeba było tego bandziora,

Chrapowa, załatwić. I całą resztę, też. Przecież nie oddychamy metanem, a tlenem, a tlen nie sprzyja humanitaryzmowi.

„Mój błąd. Przyznaję: lepiej ode mnie rozumiesz sytuację — pokajał się Trixi i, po pauzie, dodał: — Więcej nie będę ci przeszkadzał. Działaj w zgodzie z ziemskim zwyczajem”.

— Nareszcie! — Kim wstał.

Chwycił leżący obok młot, przekradł się wzdłuż ściany komórki i wyjrzał. Odetchnął z ulgą.

Warwara — czego się obawiał w głębi ducha — jeszcze nie została zgwałcona. Klęczała obok studni, przy kotle do gotowania bielizny; Szurik z Jegorem trzymali ją za ramiona, Szczerbaty, chwyciwszy włosy w garść, wpychał jej głowę do kotła. Gira obserwował scenę, a Chrapow, rozwalony na trawie, palił. Spokojny pejzaż — scena namaczania obrusa po pikniku.

Szczerbaty pozwolił kobiecie wyjąć głowę z kotła. Oczy miała wytrzeszczone, po twarzy ściekała woda.

— No, przypomniałaś sobie? — zapytał Girą. — Czyli było tak: ty z siostrzyczką i z tym Olegiem, swoim kochasiem, zwialiście za miasto, na daczę. Kochaś odwiózł was, zostawił furę i bryknął do miasta. A co potem? Fury nie ma! Znaczy — siostrzyczka zwała też?

— Wy-je-cha-ła... — z trudem wytchnęła ruda.

— A dokąd? — N — nie... wiem...

— To źle, że nie wiesz. To, War'ka, nie po kumplowsku. Pał Pałycz to przecież twoja rodzina, co nie? Rodzina! I chce po prostu zabrać co jego, nie cudze! Żonę swoją miłość jedyną! — Girą puścił oko do koleśi i ci zarechotali. — No to gdzie jest? Gdzie się steniła?

W oczach rudej zapłonęła nienawiść. Majnęła głową i wychrypiała:

— N-nic... nie wiem!.. Nie Dor-wie-cie Daszki, zasańcy obszczani! Nie dorwiecie... Możecie się nie starać. I moje tortury nic wam nie dadzą i śmierć tego chłopaka!

Girą zsunął gęste brwi.

— Ty się martw o siebie, nie o tamtego frajera! On kopytami strzelił, a ty, suko, jeszcze żyjesz! Z tobą jesteśmy delikatni, a tego jelenia mrówki napoczęły. Może nawet już zjadły.

— Nie zjadły — powiedział Kim, wychodząc zza rogu. Jego ruchy były błyskawiczne, ciało działało jak wspaniały, przygotowany do bitwy mechanizm. Matryca Conana została uruchomiona, emitowała poczucie mocy i śmiertelności zimnego szau. Conan Barbarzyńca dokładnie wiedział, kogo i jak zabije.

Kim uderzył Chrapowa nogą w skroń, opuścił młot na czerep Giry, wyrwał młot, krusząc kości i bryzgając krwią, zmiażdżył czubek głowy Szczerbatemu i, szarpnąwszy młot w swoją stronę, wsadził rękojeść pod żuchwę Jegora. Szurik, na sekundę skamieniały, odzyskał nagle siły i rzucił się do ucieczki, ale młot zafurkotał w powietrzu, mignął w promieniach wieczornego słońca, dogonił i z chrzęstem wyrzwał go między łopatki. Kim podszedł, podniósł broń, skrzywił się z obrzydzeniem i włożył młot do kotła z wodą.

Warwara patrzyła nań, przykucnąwszy, z otwartymi szeroko ustami. Jej oczy były ciemne jak zielone szkło butelkowe.

— Przecież... nie żyjesz! Zastrzelili cię!

— Widziała to pani? Przecież ten tu — poruszył stopą głowę Giry — przyciskał pani głowę do ziemi.

— Słyszałam! I widziałam, że nie żyjesz, kiedy mnie do studni wlekli! I koszula cała we krwi!

— Zadrapanie — wyjaśnił Kononow, przykucając naprzeciwko kobiety. — Ale poważnie, to kula mi nie straszna i nóż też. Ja, Warwara Romanowna, potrafię stymulować regenerację.

— A gdzie się tego można nauczyć?

— W Tybecie, u buddyjskich mnichów. Sztuka bushi-do fenh shuei.

Warwara pokręciła głową, rzuciła spojrzenie na leżące nieruchomo ciało.

— A zabijania też mnisi uczą?

— Koniecznie. Mnisi, nie mnisi, zartować nie potrafią. A bandzior w Tybecie też jest bandziorem.

Wargi kobiety zadrżały, ukryła twarz w dłoniach i albo rozszlochała się, albo roześmiała, głucho i ochryple, drżąc całym ciałem, kiwając się i drapiąc czoło paznokciami. Histeria, pomyślał Kononow i przysunąwszy się bliżej, objął ją i zaczął głaskać po mokrych włosach.

— Wszystko w porządku, Warwaro Romanowno... oni już pani nie zagrażają... wszystko w porządku... a ja jestem tu, żeby panią obronić...

Drżenie powoli gasło, szlochanie cichło. W końcu kobieta otarła policzki i oczy, strąciła z ramion rękę Kima i burknęła:

— Już w porządku. I proszę do mnie mówić po prostu Waria. Kim ty w ogóle jesteś?

— Kim Kononow, pisarz. Sąsiad...

Waria jęknęła i wytrzeszczyła nań oczy.

— Mamusiu... to ty jesteś tym facetem... Daszka powiedziała, że leżysz w szpitalu, cały w bandażach, i sińcach. Po coś tu przyjechał?

— Chciałem się zobaczyć z Daszą, w cyrku powiedziano mi, gdzie pani szukać. — Kim wyjął młot z kotła i zaczął wycierać pęczkiem trawy. — Nie jesteśmy, Wariu, sobie obcy, pomyślałem, że potrzebuje pani pomocy. Serce mi podpowiedziało.

— Serce... Pomyliło się twoje serce, bo Daszki tu nie ma, pojechała do miasta walczyć o swoją knajpę! — Warwara podniosła się, rozejrzała po podwórku, skrzywiła, machnęła ręką w stronę lasu. — Tych... posprzątaj... Tam jest bagno, bezdenne. Kamień do nogi i z oczu precz.

Godzinę później Kim siedział na werandzie, pił herbatę z konfiturami i konwersował z gospodynią.

— Proszę mi powiedzieć, Wariu, dlaczego pani nazywa się Talrose–Sidorowa? To pseudonim?

— Wcale nie. My, Kimeczku, jesteśmy rodem cyrkowców, a to jest gatunek ludzki szczególnie, w którym miesza się krew różnych rodzin. Półtora wieku temu dwie rodziny cyrkowe spokrewniły się... To nasi przodkowie; jedni pracowali jako linoskoczkowie, inni na trapezie albo na perszu... Żonglowali, treserzy i akrobaci. Ja, na przykład, tańczę na słoniu...

— A Dasza?

— Co Dasza? — Warwara westchnęła. — Porzuciła nasz fach, a szczęścia nie znalazła.. Mieliśmy pieniądze, złoto w czerwonych, jeszcze po dziadkach, z czasów Mikołaja. Sprzedałyśmy, kiedy ZSRR się wykopyrtnął. Ja kupiłam mieszkanie, szmaty i takie tam. A Daszka powiada: nie przepuszczę tego, uruchomię interes. Bo Daszka, to ma łeb! Bizneswoman! I piękna. Uśmiechnęła się gdzie trzeba, dostała lokalizację, otworzyła bar... I tak się zaczęło.

— A co to za bar? — zapytał Kononow, dodając jeszcze konfitur.

— Dokładnie jak według twojego nazwiska — „Conan”. Był taki facet, u Rzymian albo u Greków. Wielki kozak! W wojnie trojańskiej walczył, a może w innej, w punickiej, z Hannibalem... Nie pamiętam. Nie jestem, Kimeczku, mocna w historii.

Kononow drgnął i niemal zadławił się herbatą. Znał ten lokal! Pamiętał. Był w nim... Bar „Conan” na Fontance, nieopodal Newskiego prospektu! Trzy lata temu Chałturin, doznawszy ataku hojności, zebrał tam konanistów, by uczcić wyjście pięćdziesiątego tomu, pili piwo, przekąszając krewetkami. Chałturin nawet szefowi sali sprezentował jeden egzemplarz dzieła „Conan i leopold z girańskich gór”.

— Conan, a ty Kononow — powiedziała Warwara. — Widać przeznaczenie. Wiesz, my, cyrkowcy, jesteśmy przesadni.

— A co się działo dalej? Z Daszą i barem?

— Wiadomo, zaczęli Daszę „nakrywać dachem”, wiesz, co to jest? „Opieka”. Przychodziło

trzech czy czterech, jakoś się obroniła, potem pojawił się ten szmondak, Czernow. Robi w biznesie knajpianym w całym mieście, ma wynajętych bandytów. Był kiedyś celnikiem, na wódce zrobił kasę. Zobaczył Daszkę i zwariował. Wyjdź za mnie, śliczna, a będziesz miała wszystko — i dach niezawodny, i brylanty z cadillakami, willę na Kanarach.

— I?

— Szwendął się za nią, a Daszka — mądra! — nie dawała mu odporu. Dach, rzeczywiście, dobry był i lepszy taki obrońca absztyfikant niż obcy. Ale za męża się nie wybierała. A rok temu wzięła i wyszła! Omotał ją... Zaczarował! I po ślubie ani jej nie widziałam, ani nie mogłam się dodzwonić. Trzymał ją jak ptaka w klatce. Daszka dzwoniła czasem, mamrotała coś, że niby ma ją za swój talizman, że szczęście do niego przyszło... I płakała, a ja jej mówię — spływaj. Ona — nie mogę, muszę przy nim być. A dlaczego? Nie wiem — Warwara pokręciła głową i szepnęła: — Ciemna sprawa, czarodziejska jakaś...

Kim zachmurzył się, przypominając sobie: magazyn, butelki piwa, troje przy stoliku, słowa: Daszkę Pałycz przywiązał do siebie... ekstrasensa wynajął... przyfarcilo mu — i z Daszką, i z knajpą, i w całym tym biznesie-szmindesie...

Odstawił filiżankę i zapytał:

— Czarodziejska? To coś dla mnie. Z tym sobie, Wariu, poradzę. Szczególnie, że ichniejszy mag to lipa — w końcu Daria mu uciekła!

Na pulchnych wargach rudej pojawił się marzycielski uśmiech.

— Uciekła, tak... A wiesz jak? Jej mąż ma posiadłość w Komarowie, tam mieszka z ochroną i służbą. Zadzwoiłam. On podniósł słuchawkę, a ja zaczęłam szlochać i jęczeć... Że niby zwałam się na próbie, zwichnięcie albo i złamanie, boli tak, że po ścianach można chodzić, ledwo do telefonu się doczołgałam. On powiada, że wyśle pogotowie i opiekę załatwi, a ja, że chcę siostrę... że współczucie najważniejsze. I wyję wniebogłosy. On: nie, Dasza nie wyjedzie, ja: jak się dowie, że ukryłeś przed nią kontuzję siostry, to ci nie wybaczy. W końcu jakoś go przekonałam.

Kononow siorbnął resztkę herbaty, nie przerywał.

— Myślałam, że przyjedzie Dasza z ochroną, a ja mam chłopaka silnego, ochroniarza zwiążemy. A potem się zobaczy, przez okno czy drzwiami, w każdym razie jego brat, Igor czekał na podwórku z samochodem. I damy w długą. Wyglądałam przez okno, przyjechała siostra, ale nie idzie w moim kierunku, tylko puściła się biegiem. A goryle za nią. Myśmy z Olegiem wyskoczyli, Daszkę złapali, do wozu i chodu. Wybacz nam, Kimeczku, że ci nie pomogliśmy... Myślałam — taki fart, jakiś pijak rzucił się na goryle...

— Po co mi pomoc? — zapytał Kim, poruszywszy brwiami. — Z busido nie mam czego się bać...

Warwara zaczęła sprzątać ze stołu.

— Pojadę z tobą do miasta, zamieszkać u Olega, w wozie... Nie mam co tu czekać, skoro Daszka jest w mieście. Wiesz, jak z nią uciekliśmy, przez godzinę była jak na odlocie, potem trochę się pozbierała, pojechała do szpitala, a potem przyjechałyśmy tutaj. Ale nie mogła wysiedzieć. Jadę do swoich, mówi, do Sławika, Marinki, Leny... To ludzie z jej lokalu... Szmondak przyjdzie — obronię się. Dasza jest dumna, gwałtu nie wybacza. Przypilnuj jej, Kimeczku, co?

— Przypilnuję — obiecał Kononow, wstając. — Na pewno!

Warwara nagle uśmiechnęła się.

— Powiedz mi, dużo zarabiają pisarze?

— Wiesz, co mówią wydawcy? Rosyjski autor powinien być chudy, biedny, głodny i pijany. Wtedy adekwatnie oddaje rosyjską rzeczywistość.

— Czyli mało — skwitowała jego słowa Warwara. — To nic, Daszka cię nakarmi! A wydawcy

to kłamcy i swołocze. Taki Lew Tolstoj... Też przecież był pisarzem, a hrabia! Bogaty, syty i dwór miał. A „Wojnę i pokój” mimo to napisał!

— To były inne czasy.

Kim zszedł z werandy.

## 8. „CONAN”

Łoże było obszerne, z błękitnym prześcieradłem i lekką, ale ciepłą kołdrą. Może ciepło biło od leżącej obok kobiety — jej głowa spoczywała na ramieniu Kima, ręka obejmowała szyję, rude włosy rozsypały się na jego piersi. Leżał, bojąc się poruszyć, słuchał jej cichego oddechu, patrzył, jak wstaje świt za oknem szczelnie zasłoniętym storą, i wspominał, wspominał...

Bar „Conan”. Sala ze ścianami obitymi dębem, przy wejściu — posepny bramkarz, naprzeciwko — bar, tuzin stolików pod ścianami. Trzynasty stolik przeznaczony był nie dla gości, zasiadał przy nim woskowy Cymmeryjczyk. Wszędzie pełno blaszanych replik broni i proporce, na jednej ze ścian wisi demon z elektrycznymi oczkami, ze złością skierowanymi na Kononowa.

Przestąpił próg, wybrał miejsce przy oknie, usiadł i z ulgą odstawił pod ścianę młot. Szósta. Ludzi jeszcze mało — kilku chłopaków przy barze i cztery pary. Młodzieńcy pili piwo i rozmawiali o biznesie loteryjnym, pary szeptały do siebie przy szampanie. Za kukłą Conana widniały otwarte drzwi, stamtąd dolatywały apetyczne zapachy i słyhać było rozmowy kucharzy.

Obok Kima pojawił się kelner: kamizela z surowego płótna, naramienniki z blachy i skórzany pas z kindząłem z lewej.

— Słucham pana?

— Surówkę, befszytk i czerwone wino. I — przyjacielu — niech mi to poda dziewczyna, taka rudowłosa i zielonooka.

— Przepraszam? — Kelner od razu zerknął na ochroniarza przy drzwiach.

— Nie słyszałeś? W barze „Conan” domagam się aquilońskiego serwisu. A tam podają kobiety! Kelner znowu zerknął na bramkarza.

— Przepraszam. Jedną chwilkę... Zaraz skoczę po dziewczynę.

Zamiast niej pojawił się szef sali, zapamiętany przez Kononowa z poprzedniej tu wizyty, śmieszny i zręczny Sławik. Tym razem jednak jego oczy były zimne jak wanahejski lód.

— Nie urządzi pana obsługa? Dlaczego?

— Gdzie dziewczyna? — Kim zachmurzył się, zmierzył spojrzeniem woskowego Conana. — Nie lubię podróbek. Proszę zabrać tę kukłę! Teraz ja tam będę siedział. Żywy i prawdziwy Conan!

W lokalu zapanowała cisza, chłopcy odwrócili się, pary zamilkły.

Zręczny szef postukał się w czoło.

— Tu wszystko w porządku?

— W porządku, skoro domagam się dziewczyny. — Kim wychylił się do niego i szepnął: — Proszę jej powiedzieć, że Conan Barbarzyńca odżył i pomścił jej siostrę, Warwarę. Teraz może i ją ratować z rąk maga. Tylko najpierw musi zjeść... I ruszajcie się, na krew Nergala!

Sławik zbladł i skoczył do drzwi za milczącą kukłą. Wrócił po kilku minutach, z uprzejmym, może nawet przyjaznym uśmiechem na obliczu.

— Nazywam się Sława Kanada. Tutejszy... e-e... podczaszy.

— A ja — Kim Kononow. Przybywam z Pustkowi Piktów pod Krutymi Górkami. Tam...

Przypomniawszy sobie, co TAM się wydarzyło, zamilkł. Sława, jakby nie zauważywszy tego, rzekł cicho:

— Co się tam wydarzyło wiemy. Warwara Romanow — na już dzwoniła. I... naszkicowała... w ogólnym zarysie... Ale nie mówmy o takich smutnych rzeczach! Mam polecenie zaspokoić pana pragnienie i zaprowadzić przed oczy zielone. — Puścił do Kima oko. — Oczy piękne!

— Piękne — zgodził się Kononow. — Gdzie odbędzie się uczta?

— Gdzie pan sobie życzył. — Sławik odwrócił się do „sekuritasa” przy drzwiach: — Seliwerstow, zabierz kukłę! Wsadź do komórki z suszem. Mamy teraz na stanie żywego Conana.

Kim wstał, chwycił młot i, odprowadzany ciekawskimi spojrzeniami, zasiadł w ogromnym fotelu. Dookoła niego zawirowała obsługa, pojawiło się piwo, przystawki, befsztyk, frytki. Kononow jadł, stukał się pokalem ze Sławikiem, plótł opowieści o „Hyborei”. Podobało się to pozostałym gościom, barman ruszył do roboty, wyglądało, że lokal nieźle dziś zarobi.

— Tędy, gościu drogi — wskazał Sławik drogę, gdy Kononow skończył surówki i wstał od stołu. Poprowadził Kima obok kuchni i spiżarni, obok drzwi z tabliczkami „Buchalter”, „Manager”, „Prysznic”. — Idziemy do pokoju... gdzie i dziewczyny się pojawiają.

Doprowadził Kima do regału, poruszył coś na nim, półki odjechały na boki. Za nimi znajdowały się wąskie schody, prowadzące do góry. Zapaliło się światło, regał z cichym szelestem zamknął przejście. Na górze były zwyczajne drzwi, za nimi przedpokój: tapety udające marmur, kryształowy abażur, szafa wnekowa z lustrem. Grota Dajomy, pomyślał Kononow.

Dajoma też tu była. Ciemny kostium, włosy w kok, na szyi korale z agatów. Biznes-lady! Sharon Stone podczas podpisywania kontraktu. Błysnęły w uśmiechu zęby i od razu nieco tej powagi i rzeczowości uleciało.

— Kim...

— Dasza...

Jej dłoń była jednocześnie i twarda, i miękka. Kim wcale nie miał ochoty wypuszczać jej ze swojej. Stali więc i patrzyli sobie w oczy. Potem Kononow powiedział:

— Obiecałaś, że mnie znajdziesz.

— Pan... Ty zdażyłeś przede mną...

Zaprowadziła go do pokoju. Komputer, faks, telefon na czarnym biurku, kanapa i — obok — stolik z barkiem. Butelka, dwa kieliszki... Bordeaux, odnotował Kim.

Dasza napełniła kieliszki. Wino miało rubinową barwę, a aromat spowodował zamęt w głowie Kima.

— Waria zadzwoniła do mnie. Dziękuję... bo gdyby nie ty... To prawda, że strzelali do ciebie?

— Prawda.

Daszy dłoń znalazła się nagle pod piersią Kononowa. Jęknął:

— Nie ma śladu. Nawet zadrapania.

— Chcę zobaczyć!

Rozpiął koszulę. Na policzki Daszy wypłynął słaby rumieniec, dotknięcie jej ręki było czułe i delikatne.

„Co ona robi?” — ocknął się Trixi.

„Znikaj! — ryknął Kim. — Zamknij się, szejnij i nie wychylaj nosa!”

Przybysz bąknął coś o braku ust, ale posłusznie zamilkł.

Kononow patrzył w zielone oczy Daszy, czując, że tonie w nich jak ziarnko piasku w jeziorze. Dasza westchnęła.

— Hipnotyzujesz mnie, ale nie boję się ciebie. Wręcz przeciwnie... Może, póki jeszcze mnie nie zahipnotyzowałaś całkowicie, pokażę ci mieszkanie.

Szedł za nią, oczarowany jej ruchami. Kołysał się ciężki węzeł włosów, kiwała się spódniczka nad zgrabnymi łydkami, w rytmie tanga stukały obcasiki... Dajoma, piękna wróżka! A może to Zijna? Kim czuł, że te kobiety, przeniósłszy się z bajki w rzeczywistość, zlewają się w jeden

organizm, żywy, ciepły, bliski.

Znaleźli się w sypialni.

Dasza przyłgnęła doń, potem odsunęła się i sięgnęła ręką do włosów.

— Nie śpieszysz się? — zapytała. — Może jesteś zmęczony? Oddech Kononowa zaczął przypominać spazmy.

— Nie śpieszę się — wychrypiał. — I nie chcę odpoczywać. Bo ja, Daszeńko, jestem raczej sowa i noc to mój żywioł...

— A co robisz po nocach, kochany? — Pracuję... piszę...

— Tę powieść, której bohaterka mnie przypomina? — Doczekawszy się potwierdzenia, Dasza znowu przyłgnęła do ciała mężczyzny. — Taką powieść najlepiej pisze się razem.

Jej język był zwinnie, a wargi — ciepłe.

\* \* \*

Ramię Kononowa ścierpło, poruszył się, leżąca obok dziewczyna westchnęła głęboko. Otworzyła oczy.

— Ty...

To „ty” było tak wyraziste i znaczyło tak wiele!

— Ty...

Kim pocałował ją, ona pogłaskała go po głowie, zasłoniła mu dłonią oczy i wyskoczyła z łóża. Kononow leżał z zamkniętymi oczami, przysłuchując się tajemniczym szelestom. Potem skrzypnęły drzwi, coś w kuchni brzęknęło, po chwili do nozdrzy Kononowa dotarł zapach świeżo zaparzonej kawy. Minęło sześć czy siedem minut — Kim odliczył je uderzeniami serca — znowu dały się słyszeć kroki, a potem kobiecy głos:

— Otwórz oczy, leniu.

Posłusznie wykonał polecenie.

To była nieznaną Dasza, nie biznes-woman w poważnym kostiumie i nie naga czarodziejka, to była Dasza gospodyni, nie mniej czarująca niż poprzednie wcielenia. Stała przed Kimem w trzpiotowatych spodniach i topie z ramiączkami. W rękę trzymała tacę, a na tacy stały parujące filiżanki z kawą, bułki, ser, szklaneczki z sokiem.

Kawa do łóżka! Dusza Kononowa stopniałaby teraz, gdyby nie stopniała już wcześniej. Usiadł, przeciągnął się, skosztował kawy i odezwał się z aprobatą:

— Słuszną kawą. Mocną, aromatyczną, ale nie słodzoną...

— Zaraz posłodzę. — Dasza pocałowała go w usta.

— Idę, kochany, na dół, do Sławika, muszę sprawdzić rachunki. A ty co będziesz robił?

— Nie wiem. To dla mnie jakieś niezwykłe o tej porze nie spać... Zawsze gdzieś tak do dwunastej kimam.

— Teraz będziesz tworzył w dzień, a w nocy spał — zarządziła Dasza. I sprecyzowała: — Ze mną.

Kim rozpląnął się w radosnym uśmiechu.

— Są jeszcze wieczory. Nie masz nic przeciwko temu, żebym wieczorami bawił się w Conana? Będę siedział przy stole, u stóp młot, w rękę kufel, obok mnie Czerwona Sonia, czyli ty.

— W sali nie powinnam się pokazywać — powiedziała Dasza i w jej oczach pojawił się cień.

— Nie da się przeżyć życia w zamknięciu.

— Nie da się — zgodziła się od razu. — Szczególnie, że on wie, gdzie mnie szukać. Wczoraj wróciłam do miasta, wezwałam Seliwerstowa i ten wywalił jego gnojki, na kopach wyprowadził. Przecież jasne, że sam by się na to nie odważył, musiała wrócić gospodyni...

— Nie jesteś sama — Kim przykrył jej dłoń swoją. — Jestem z tobą!

Obdarowała go długim, przeciągłym spojrzeniem.

— Kochany! Nie rozumiesz, że z tobą boję się jeszcze bardziej? Że boję się również o ciebie...

— Niepotrzebnie. — Kim wstał i rozprostował ramiona.

— Jeśli pozwolisz, popracuję trochę na twoim komputerze. Powieść muszę oddać w terminie, za dwa tygodnie.

Dasza podniosła się również, skinęła głową, cmoknęła go w policzek. Zastukała obcasikami, skrzypnęły drzwi i Kim został sam. To znaczy z Trixim.

„Twój bilans hormonalny w czasie ostatniej nocy zmienił się gwałtownie. Odnotowałem produkcję adrenaliny, cortizonu i innych hormonów. Inny puls. Co to oznacza?”

— A Finowie tego nie miewają?

„U Finów nie przeżyłem takiej sytuacji. Zawsze się rozmnażacie na takiej wysokiej nucie?”

— My się nie rozmnażaliśmy. To też będzie, ale później.

„Nie? Ale te procesy, które odnotowałem...”

— To miłość, miłość, kuźnia namiętności. Władza Erosa, mój egzoplazmatyczny przyjacielu.

„Nie rozumiem, ci co oddychają metanem, każdy taki akt łączą z rozmnożeniem”

— A często miewacie takie akty?

„Raz na sto lat, o ile znajdują się odpowiedni małżonkowie”

— Biedacy! A my co noc. Tlen, bracie, podnieca.

Z tymi słowy Kim udał się do gabinetu i włączył komputer.

„Co chcesz robić?”

— Znaleźć w Sieci posiadacza twojego inkлина. Niewiarygodnego szczęściarza albo osobę z niespodziewanie rozbuchanymi paranormalnymi zdolnościami. Uzdrowiciela albo świętego... Coś takiego dziwnego, niezwykłego!

Nie znalazł niczego. Po kilku kwadransach poszukiwań Kononow zasepił się. Szukać w starych gazetach? Koszmar. A on ma do załatwienia powieść i rozwikłanie konfliktu Daszy z mężem... Ale jest też układ z Trixim o przyjaźni i pomocy wzajemnej. I bez pomocy Trixiego leżałby Kononow pod kaloryferem albo stałby się karmą dla mrówek.

„Nie przejmuj się — dał się słyszeć głos przybysza. — Nie wyszło tak, to może wyjdzie inaczej. Spokojnie i bez paniki. Możemy podyskutować o czymś innym, o dinozaurach albo...”

— Albo trochę popiszmy, bo mnie Chałturin zabije. Wpatrzył się w ekran, wystukał kilka zdań, potem wpadł w swój zwykły rytm. Po krwawej bitwie z Piktami jego bohater przeniósł się do Wanaheimu i szedł teraz wzdłuż wybrzeża, kierując się do tundry, do lodowych przestrzeni i do zamku maga. Dookoła rozciągały się ponure bezludne tereny, z wiszącym nisko nad ziemią szarym niebem, huczały fale, szturmując skalisty brzeg. Wanaheim! Nie tak znowu daleko od Pitera, ale i tak bliżej Finlandii...

Po kilku godzinach Kim odsunął się od ekranu i podrapał po głowie. Nie podobało mu się, że powieść jest taka porzucana po komputerach, początek w jednym, ciąg dalszy w drugim. Należałoby to połączyć, skoro już się tu zakotwiczył... I trochę ubrania, bo przecież koszula i dzinsy nie wystarczą.

Wyszukał w biurku papier i długopis. Napisał: „Szanowna Dario Romanowna! Mam honor zaproponować pani swoje serce, a wraz z nim i całą resztę, czym tylko zechce pani władać. W sumie — dusza moja i ciało na wieki do pani należy! Ale ciało wymaga ubrania, dlatego jadę do siebie, by uzupełnić garderobę. Całuję. Kim”.

W domu wypakował plecak ubraniami, chwycił dyskietkę z powieścią, wyciągnął z biurka ruble i baksy, starannie zamknął mieszkanie. Było dwadzieścia po pierwszej, kiedy, kupiwszy dla Daszy purpurowe róże, skierował się do metra. I nagle znieruchomiał tknięty jakąś myślą. Kim



przypomniawszy sobie uderzenie pocisku, przypomniał owo poczucie bezradności wobec broni, jaka nie istniała w epoce hyborejskiej. Młot jest dobry w walce wręcz, myślał, ale z dziesięciu metrów nic przeciwnikowi nie zrobię, potrzebowałbym narzędzia lżejszego, ostrzejszego... Nóż do rzucania? Tomahawk? A dlaczego nie?

Wszedł do sklepu DSO „Cymmeria”. Klientów tyłu samo co za pierwszym razem, w środku byli dwaj — on i zmurszały staruszek.

— Guten tag, młodzieńcze! Przydał się młot? O, z bukietem? Dla dziewczyny?

— Zamierzam się żenić — powiedział Kononow, nie zwracając uwagi na pytanie o młot. — Patrzę sobie... może coś mi się przyda w domu.

— Może kowadło? Albo śrubstak? Klucz szwedzki, pięciocalowy? Albo...

Ale Kim wpatrywał się w saperki i niewielkie turystyczne toporki. Potem podszedł do pił tarczowych, przymierzył się do jednej, potem do drugiej, obmacał ostre zęby, skaleczył się w końcu. Zamyślił. To jest, pomyślał, jak japoński shuriken! Stał narzędziowa, ostra jak diabli i lekka... To jest to.

— Wezmę tarcze. O te, z dużymi zębami.

— Jawohl — rzucił starzec. — Dwie?

— Nie, dwadzieścia. Do tej torby brezentowej.

Sprzedawca zsunął czapkę na tył głowy, podrapał się po różowej łysinie.

— Żona, rozumiem... Ale po co te piły...

— Zarabiać muszę na życie. Tartak otwieram, bez tartaku mnie nie chce.

— Niech ci Bóg sprzyja — powiedział sprzedawca, pakując zakup do torby. — Tartak to sprawa poważna. Będiesz moim stałym klientem z upustem pięcioprocentowym. Fersztejn?

— Fersztejn. — Kim zapłacił i pomaszerował do metra. Plecak tłukł go w ramię, tarcze wesoło pobrzękiwały.

Szedł szybko, Trixi znowu zaczął marudzić:

„Te wasze pojazdy... hałas, smród i spaliny, metanu nie lubicie, a dwutlenek, to co — lepszy? Może byśmy przynajmniej wolniej pędzili, bo nie mogę skanować. Nie rozerwę się!”

— A właściwie — dlaczego nie? — Kononow zatrzymał się jak wryty. — Przecież jesteś inklinajzerem. Możesz rozszczepić świadomość.

„Tłumaczyłem ci, że w waszym świecie ta metoda nie działa... Oczywiście, mogę rozsiać swoje inkliny, ale potem ich nie pobieram. Wasza mentalna rezys...”

— Tak, pamiętam. Tracisz z nimi łączność. Ale moim zdaniem... — Kononow zastawiał się chwilę. — Moim zdaniem — powtórzył ciszej — należy udoskonalić twoją metodę. Rozsiewasz je przypadkowo?

„W pewnym sensie. Zazwyczaj wysyłam je do ośrodków cywilizacyjnych na całym globie, a kto się załapie na inklin to sprawa przypadku. Ale już wiem, że na Ziemi tak nie mogę działać. Tracę cząstki swojej osobowości”.

— Wiem, bo nie możesz utrzymywać łączności na dużych dystansach. Granicą jest, o ile dobrze pamiętam, czterdzieści–pięćdziesiąt metrów. Tak?

„Tak. Z tej odległości mogę wyjąć inklinę z umysłu nosiciela”.

Kim uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Czyli możliwe jest rozesłanie inklinów pod odpowiednie adresy, czyli do konkretnych ludzi, z którymi możemy się spotkać w każdej chwili. Na przykład, damy je moim kolegom, Leonsonowi, Drew i innym. A poza tym — sąsiadom w moim domu czy kelnerom „Conana” — w każdym razie tym ludziom, których widuję regularnie.

„A w jakim celu?” — zainteresował się Trixi

— Jeśli inkliny będą pracowały w trybie wyszukiwania, to rozszerzą nasze możliwości. Każdy

nosiciel gdzieś chodzi, spotyka się z setkami ludzi, a my te tłumy przeskanujemy przy ich pomocy. Oczywiście, jeśli je uruchomisz w odpowiedni sposób.

„O!” — powiedział Trixi i zamilkł. Kim czekał, pobrzękując tarczami w plecaku i stopniowo wypełniało go uczucie głębokiego zadowolenia. Źródłem tego uczucia była mentalna fala, w której wyczuwało się nadzieję i wdzięczność. Może nawet entuzjazm.

„Widzę, że się na tobie nie zawiodę — oświadczył w końcu kosmiczny przybysz. — Rzeczywiście jesteś osobnikiem z wyobraźnią i twórczym potencjałem. I jesteś dość mądry, w odróżnieniu od wielu innych reprezentantów twojego gatunku! — Po pauzie Trixi ciągnął: — Jestem zdziwiony. Wspaniały pomysł, chociaż nie mieści się w ramach naszych metod. Inklin jest strukturą quasi-rozumną, mogę więc go zaprogramować. Tylko wybieraj pewnych ludzi, z trwałą psychiką. Bo ten hydraulik...”

— Dajmy spokój z hydraulikami — rzucił Kim i ruszył do metra. Na schodach podniósł bukiet do twarzy, zamknął oczy i przez chwilę wyobrażał sobie, że dotyka warg Daszy.

## 9. POJEDYNEK

Kononow walczył z nowym rozdziałem, opisując bój Conana z Wanirem, takim jednym wojownikiem z plemienia zabijaków i piniaczy, szanujących jednakże siłę fizyczną. Conan miał wśród nich przyjaciół i to spomiędzy wodzów. Ale tego popędliwego Wanira widział po raz pierwszy w życiu. I dlatego...

Przerwał na chwilę, przespacerował się po pokoju. Ze stolika napływała fala aromatu z wczorajszego bukietu, poranne słońce zaglądało do okien, po stalowoszarej Fontance płynął biały stateczek nabyty turystami, głowy im się kręca w lewo i prawo, błyszczą okulary i obiektywy. Ciepły dzień, miły! — pomyślał Kim, sięgając do telefonu.

Drew-Dorienko był w domu. Też pracował przy komputerze.

— Co dobrego, Manson?

— Zapraszam do knajpy. Pamiętasz „Conana” na Fontance? Zaprosił nas tam kiedyś Tergal-Zad.

— Pamiętam. — Po chwili pauzy Dorienko zapytał: — Wypłacili ci już zaliczkę? Udało ci się przycisnąć Borysika? Gratuluję!

— Nie chodzi o zaliczkę. Inny powód, poważniejszy. Przedstawię ci moją dziewczynę.

Chyba Dorienko osłupiał. Nie wypuszczając inicjatywy z rąk, Kim wyznaczył czas — około siódmej — i zaczął wydzwaniać do Leonsona, Buda Kingsleya i Alhambry Tess. Pitchi został pominięty. Nie należał do grona godnych obdarowania inklinem.

— Dobra — powiedział, załatwiwszy zaproszenia — pierwsza grupa poszukiwawcza przybędzie o dziewiętnastej zero — zero. Ludzie pewni, możesz ich uszczęśliwić. A przy okazji Sławika, Artioma, Leneczkę z Mariną i Seliwerstowa. Pasuje?

„Polegam na twojej opinii”.

— Przy okazji... — Kim podrapał się po głowie. — Czy twój inklin leczy? W sensie, czy radzi sobie z wszelkimi chorobami nosiciela?

„Leczy. To rekompensata za współpracę”.

— No to podłożymy go staruszkowi z „Cymmerii”. Bardzo sympatyczny gość! A starość w naszym świecie jest smutna i wiąże się z wieloma chorobami...

„Wiem. My nie chorujemy i nie starzejemy się, ale natrafiłem na ten fenomen na innych globach”.

— Nie umieracie w ogóle?

„Dlaczego nie? Nic nie jest trwałe w Galaktyce! Umieramy — oświadczył Trixi. — Kiedy chcemy”.

Brwi Kononowa uniosły się. Odwrócił się do ekranu, siedział chwilę oszołomiony, potem otrząsnął się, przeczytał ostatni akapit i znowu zaczął walić w klawisze. Sprawy powoli się wyjaśniały. Conan, stłukłszy okrutnie Wanira, dowiedział się jak dotrzeć do fiordu Ragnaradi, do domu Eirima Wysokiego Hełmu. Ów Eirim był jego druhem, dowodził drużyną trzystu mieczy i mógł pomóc w walce z magiem. Jak wszyscy wanirscy wodzowie żył z rozboju, a złupienie bogatego zamku...

Dasza podkradła się doń od tyłu, objęła go, owinęła obłokiem rudych włosów.

— Mój ty pracusiu! Nie jesteś głodny?

— Jestem — odparł Kim, tracący przytomność ze szczęścia. — Ale wolałbym się nie najadać. Zaprosiłem na wieczór przyjaciół. Palmera, Mitchela, Buda i Alhambę Tess. Nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie. — Dasza usiadła mu na kolanach. — To cudzoziemcy?

— Murzyni. Tyle że literaccy, jak i ja. Bardzo będą pasowali do twojego lokalu. Bo wiesz, skarbie, my piszemy o Conanie, z Conana żyjemy. Można powiedzieć, że z koniny.

— Ale numer! — Dasza przyjrzała się tekstowi na ekranie. — Naprawdę o Conanie? A ja? Mówiłeś, że jestem w twojej powieści...

— Ty jesteś tam wróżką. Czarodziejką.

— Naprawdę?

— A nie jesteś? — Kim przylgnął ustami do jej szyi. — Moja zielonooka... Przeczytałaś moją kartkę?

— Tak...

— I co w sprawie ręki i serca?

Westchnęła.

— Nie jestem przecież wolna.

— No to się uwolnisz. Im prędzej, tym lepiej.

— Dobrze by było...

Spochmurniała.

— Boisz się go?

— Nie, teraz już nie. Nie chcę go widzieć, nie chcę o nim pamiętać ani myśleć! Szczególnie nie chcę go widzieć. On... on bywa bardzo przekonujący.

— Aż tak, że za niego wyszłaś?

— Sama nie wiem, kochany, jak to się stało. — Dasza chlipnęła, wtuliwszy się w pierś Kononowa. — Nie wiem, przysięgam! Wcale mi się nie podobał... nie dlatego, że jest stary i brzydki, a po prostu niedobry. Łaził za mną, namawiał, i nagle namówił... Nie wiem jak! Jakby mnie zaćmiło, choroba jakaś czy osłabienie umysłowe... Waria na mnie krzyczała, potem machnęła ręką, pojechała w trasę, a on mnie zawiózł do swojego Komarowa. Ma tam dom... nawet nie dom, a zamek... Trzymetrowy mur, psy. I nigdzie mnie nie wypuszczał. I co noc...

Nagle ramiona Daszy zatrzęśły się, jakby w lekkiej sukience wyszła na mróz. Objęła Kononowa i rozszlochała się.

„Trixi! — jęknął w duchu Kim. — Możesz jej jakoś pomóc? Niech zapomni o tym gadzie i o wszystkim, co z nią wyprawiał! Niech...”

Coś brzęknęło w jego głowie, jakby ktoś potracił gitarową strunę.

„Już zasiedliłem w niej inklin. Zaraz zaśnie. Na chwilę”.

Ciało Daszy rozluźniło się, główka kiwnęła się niczym słonecznik na cienkiej łodydze i opadła

Kononowowi na pierś. Ten wstał, przeniósł ją na kanapę, usiadł obok i mocno się zamyślił. Opanowały go dziwne uczucia — nie było człowieka na świecie, któremu życzyłby źle, nie targwały jego duszą nienawiść czy zawiść, nie męczyła pamięć krzywd. W ogóle Kononow był romantykiem i rycerzem, rzadkim typem w dzisiejszych czasach. Może dlatego pisał bajki o walce dobra ze złem, w których dobro zawsze zwyciężało, a jasny miecz brał górę nad czarną magią.

Ale to była linia generalna, jeśli tak można powiedzieć. Ponieważ Conan, nosiciel jasnego miecza potrafił nienawidzić i nie wybaczał krzywd. W tym sensie Conan Barbarzyńca nie przypominał Kima Kononowa, i myślowy kontakt między nimi zmieniał charakter Kima, dodawał mu coś. Okrucieństwa? Chęci zemsty? Swobody w wyborze zemsty? W każdym razie w tej chwili Kononow rozmyślał o mężu Daszy z zimną złością i marzył o tym, by wczepić się mu w gardło, dusić i słuchać żalosego chrypienia, patrzeć w mętniejące oczy...

Drgnął i wyprostował zaciśnięte palce. Dasza spała. Policzki jej zaróżowiły się, oddech wyrównał.

„Już się uspokoiła. Zaraz się obudzi” — zakomunikował Trixi.

Powieki Daszy drgnęły. Kim zrozumiał, że patrzy na niego, tak jak potrafią patrzeć tylko kobiety, przez rzęsy, niemal nie otwierając oczu.

— Usnęłam?

— Tak. A ja strzegę twego snu i rozmyślam sobie.

— O czym?

— O twojej rywalce. — Oczy Daszy otworzyły się szeroko. Kononow szybko wyjaśnił: — O rywalce z Hyborei. Tam jesteś czarodziejką, ale jest też inna ślicznotka z apetytem na Conana. Tak zażądał wydawca.

Dasza usiadła, chwyciła Kima za uszy, pociągnęła.

— Wydawca czy nie, nie ścierpię żadnych rywalek! — Przyjdzie mi ją zabić — westchnął Kononow. — A szkoda!

Nieźle było z niej ziółko, choć blondynka.

— Zabić — przyklepała Daria. Potem pomyślała chwilę i powiedziała: — Tylko nie dręcz jej, kochany, nie męcz. My, dziewczyny, kochamy umierać ładnie...

\* \* \*

Przed siódmą lokal był już pełen. Stolik przy wejściu obsiadła trójka dziennikarzy telewizyjnych, hałaśliwie świętowali emisję nowego programu „Wszystko w nosie!”. Bliżej baru zajadały się ekierkami angielskie turystki, od czasu do czasu rzucając w powietrze ptasie Wonderful! Magnificent! Pod oknem siedziały dwie dziewczyny, na oko lesbijki, chichotały, sączyły koniaczek i głaskały się po pupkach. Za nimi rzeczowo pochłaniało befsztyki sześciu młodzieńców, z pewnością jakaś drużyna sportowa. Pilnował ich starszy mężczyzna, czasem Kononow przechwytywał jego spojrzenie, mężczyzna miał szare oczy, niemiłe spojrzenie.

Kononow miał te spojrzenia w nosie — nalewał, wznosił toasty, stukał się. Dasza, siedząca obok niego, była olśniewająco piękna. Misza Leonson szeptał jej na ucho komplementy, Żeka smażył cholewki do Alhambry Tess, a Drew–Dorienko wcinał szaszłyk, serwował dowcipy i z ironicznym uśmiechem szacował tandetne topory i miecze. Rozmowa przy stole była lekka, swobodna, ironiczna: o, półki by się przydały, postawiłoby się na nich sto tomów koniny, a do tego pejzaże, lepsze niż ma Chałturin–Conan w turańskim haremie albo shadizarskiej tawernie. Demona ze ściany — won, przypomina Buda Kingsleya, czyli zero grozy, kupa śmiechu. Lepiej w tym miejscu słup postawić i przykuć doń Palmera Drew, uprzednio przemalowawszy na Pikta...

Nagle drzwi otworzyły się i do sali wszedł ogromnego wzrostu mężczyzna, w kamizelce i

sztruksowych spodniach. Spodnie były wytarte, a kamizelkę, z pomarańczowej skóry, z masą nitów, nałożył na gołe ciało. Na szyi miał żelazny łańcuch, szeroki pas obejmował brzuch. Stroju dopełniały wysokie buty z podwinętymi cholewami. W sumie — klient z innej bajki. Kim zdziwił się, że bramkarze wpuścili go, ale Seliwerstow był tylko dużym chłopem, a przybysz — gigantem!

Typ zatrzymał się na środku sali i rozejrzał. Klienci ożywili się, „trener” wzruszył ramionami, nawet dziewczyny spod okna przestały się obściskować.

Pochyliwszy się Kononow wymacał pod stołem torbę z tarczami i, przypomniawszy sobie, że w głowie mu teraz nie brzęczało, zapytał w myślach:

„Rozesłałeś inkliny? Ile?”

„Dziewięć. Twoi przyjaciele, kelnerzy, kucharz i menedżer”

„Zabieraj się za transformację. Mam złe przeczucie. Nie podoba mi się ten typ!”

„Mnie też” — fala ciepła zalała Kononowa, wypełniła mięśnie mocą i energią. Krzesło pod nim jęknęło, stolik zadrżał. Kim odsunął się pośpiesznie.

Gigant wałnął pięścią w pierś.

— Ja — Semitcha Kulriks z Ofirii! Niezwyciężony wojownik i bojownik! Kamienie żrę, piaskiem spluwam! Kto tu Conan, pokaż się!

Dasza otworzyła szeroko oczy, Alhambra Tess zachichotała, a upierdliwy Leonson powiedział:

— Łżesz, chłopie! Semitcha i Kulriks to są imiona piktyjskie, a nie ofirskie.

— A mnie to dynda! — ryknął olbrzym i tupnął. — Conana chcę! Żeby wyrwać mu jaj... to znaczy wątrobę!

— Nasłany — szepnęła Dasza na ucho Kimowi. — Czernow, poza swoimi byczkami, ma jeszcze „dach” — osłonę tambowską albo kazańską. Pewnie ten jest stamtąd.

Obok Daszy, jak cień, pojawił się Sławik Kanada.

— Wyrzucić go, Dario Romanowno?

Sławik uniósł rękę, zamierzając uruchomić Seliwerstowa, ale powstrzymał go Kononow:

— Nie śpiesz się. Ten gość chyba do mnie. Poczuj, jak palce Daszy wpijają mu się w koszulę.

Delikatnie uwolnił rękę i wstał.

— Do ciebie, do ciebie — potwierdził Dorienko. — Ale to nie twoja kategoria wagowa. Proszę go, Daszeńko, nie puszczać, ja tego plugawca załatwię widelcem.

— Siedź — rzucił cicho Kim i odwrócił się do Daszy: — Ty też się nie ruszaj i nie próbuj mnie powstrzymywać. Cymmeryjczycy nie puszczaają płazem obelg.

Wyszedł na środek sali. Brytyjki umilkły, chłonąc słowiańską egzotykę, od stolika dziennikarzy dobiegały ciche komentarze, jeden ze sportowców skoczył do drzwi, drugi — do baru, reszta gapiła się na Kima i Semitchę, zerkając na „trenera”.

Podejrzane, zdecydował Kim, któremu nie uszło uwadze, że chłopcy mają torby przy sobie. Zauważył też, że Dasza blednie, a Drew–Dorienko chmurzy się i kręci palcem przy skroni. Nagle Alhambra pisnęła: „Walka na niby! Walka na niby!” i zastukała piąstką w stół.

— Fajna kobitka — rzucił Semitcha. — Potem ją poużywam. I tę rudą też. Albo najpierw rudą, a potem...

Kim krótko i silnie uderzył olbrzymia w pachwinę. Kolanem, z obrotu. Właściwie nie był to już Kim Kononow, to Conan wyrwał się na wolność i patrzył teraz z zimną satysfakcją na jęczącego przeciwnika. Bój to bój i nie ma zasad, wszystko wolno, byle dopaść wroga, złamać mu krzyż, wydłubać oczy.

Semitcha wyprostował się. Jego twarz wyglądała straszliwie: otwarty pysk, wytrzeszczone gały, purpurowe policzki.

— Co się stało? Przytrzasnąłeś coś sobie? — zapytał Kim.

— Zara... — wychrypiał gigant. — Zara... parchu... cie dopadnę!

Rozgorzał pojedynek. Przeciwnik Kononowa był silny, Kim, blokując ciosy to ramieniem, to łokciem, chwiał się pod jego uderzeniami. Czuł się rozdwojony: ręce i nogi broniły ciała, a umysł rozwiązywał zadanie — kto i po co nasłał tego typu: żeby urządził awanturę i wystraszył klientów czy chodziło o coś innego? Kononow widział pot spływający po twarzy olbrzyma, słyszał jego chrapliwy oddech i jednocześnie obserwował otoczenie. Widział pełnię napięcia twarze widzów, otwarte usta Angielek, obserwującego walkę „trenera”, zachmurzonego Dorienkę i ciemne oczy Daszy.

Po kilku ciosach Kim uznał, że przeciwnik posiada pewną wiedzę bokserską i że nie ma się co cackać — wyprowadził silne uderzenie, rozciął łuk brwiowy Semitchy, cofnął się ku stolikowi sportowców. Jeden z nich, widząc skinienie głowy szarookiego, zaczął się podnosić. Dorienco migiem znalazł się za jego plecami, wyciągnął rękę, dotknął nią głowę sportowca.

— Dokąd?

Młodzian szarpnął się, wyszczał: „Grabie ci połamię, gnido!”, ale palec Dorienki dotknął sekretnego miejsca za uchem, przyciśnięcie którego powoduje błyskawiczną śmierć.

— Nie miotaj się, synu — powiedział Dorienco, puszczając oko do trenera.

Oko Semitchy zalewała krew, Kim, wykonawszy unik, wyprowadził straszliwe uderzenie w nerki. Olbrzym odwrócił się, uniósł ciężką pięść i otrzymał prosty w zuchwę. Jego głowa poleciała do tyłu, spojrzenie rozmyło się. Dziennikarze zaklaskali, jedna z angielskich dam gwizdnęła, a lesbijki wlażyły na krzesła, żeby lepiej widzieć.

— Heil Borysea! — nagle krzyknął Dorienco.

— Heil! — chórem wrzasnęła reszta konanistów.

Kim uderzył przeciwnika w gołeń, powalił na ziemię, wpił się w olbrzymie plecy kolaniem, znalazł na szyi łańcuch. Dobry, mocny, pomyślał, nawijając ogniwa na pięść. Semitcha zachrypiął, uderzył twarzą w pantofelki Alhambry.

— No i masz! — powiedziała ta. — A miała być walka na niby.

— Kto to powiedział? — Odrobinę poluzowawszy łańcuch, Kim ryknął prosto do ucha rywała: — Semitcha Kulriks z Ofirii? A jak naprawdę? Odpowiadaj, psia szczyno! Bo uduszę!

— Puś-ś-ś... — wyszczał olbrzym. — S-s-siemion Kulikow... Puś-ś-ś...

Ale Kim nie puścił.

— Skąd jesteś? Kto cię wynajął? — Pytając, obserwował spod oka ruchy szarookiego i jego żołnierzy. Bo to, że byli wojownikami, nie ulegało wątpliwości.

— Ja jestem z „Ultimatum” — wychrypiął były Semitcha Kulriks. — Klub sportów walki... A wynajął mnie... tam siedzi ichni szef... Zaj... Zajcew... Gleb-ch... Iljicz...

— Co ty pleciesz, debilu cholerny? — zapytał szarooki, wstając. Jego drużyna jednocześnie sięgnęła do toreb, chłopak przy barze napiął mięśnie, a ten stojący obok Seliwerstowa sięgnął pod pachę. Trzeba by się dorwać do moich tarcz, pomyślał Kononow i walnąwszy giganta w łeb, wyprawił go w omdlenie. Sportowcy wyciągali z toreb coś metalowego, brzęczącego, wizg lesbijek ciął uszy. Dorienco nagle wykonał przewrót i stanął w postawie bojowej. Alhambra chwyciła nóż, a Dasza — butelkę po szampanie. Tylko tego nam brakuje, przemknęło przez myśl Kononowowi. Rzucił szarookiego na stół, przemknął pod ścianę i wyprostował się, trzymając już swoją amunicję.

Stal przeciągle jęknęła w jego rękę. Nie włócznie, nie topory i nie kindzały — tarcze... Czy Conan potrafi nimi miotać? Umysł Kononowa jeszcze rozważał ten problem, podczas gdy ciało Conana już zaczęło działać — stalowe ostrze wpiło się w tyłek wczepionego w ochroniarza „sportowca”. Potem wszystko potoczyło się szybko, wrzaski i krzyki, terkot serii, brzęk szkła i trzask łamiących się mebli. Kim miotał swoje shurikeny, walcząc z rozjuszonym Cymmeryjczykiem: ten chciał wszystkie ostrza pakować w czoła i gardła, a nie w łokcie i dłonie.

Walka skończyła się wraz z tarczami. Kim odkrył, że widzów już w sali nie ma, Semitcha Kulriks z „Ultimatum” też zniknął, pocięci sportowcy czmychają na ulicę, a Seliwerstow pomaga im pokonać próg kopniakami. Kim poszukał spojrzeniem Daszy — rozczochrana i piękna, przypominała walkirię.

Ktoś jęknął u jego stóp. Kim odsunął stół, podniósł szarookiego, chrypiącego, trzymającego się za pierś.

— Jak tam cię — Zajcew? No to kicaj stąd, póki cię na rozen nie wsadziłem!

— Kto wy? — wychrypiał tamten. — Pod kim robicie? Pod Norylskiem?

— My hyborejscy — odparł Kim. — Widzisz tę panią? Lepiej na nią się nie zamierzaj, okrutnie lubi krew. Czerwona Sonia, nie słyszałeś?

Szarooki chwiejnie skierował się na zewnątrz. Kim podszedł do Daszy; w sali pojawił się Sławik z notesem, zaczął chodzić, zapisywać coś, pomrukiwać — podliczał straty. Drew klepnął Kima w plecy:

— Zuch! Dyski z pilarki... Ciekawy pomysł! Gdzieś ty się, Manson, nauczył tak nimi rzucać? I bić się? Wcześniej nie zauważałem takiego w tobie talentu!

— Wezwałem milicję. — Podszedł Sławik, wzdychał i zerkał do notesu. — Milicję, specnaz, OMON i FSB. Ktoś może przyjedzie... Mamy, Dario Romanowno, cztery stoły połamane, krzesła — dziewięć, naczyń i luster — nie liczyłem, a na dodatek ze sto pocisków w ścianach i demonie. Ale najważniejsza strata — prestiż! Kto do nas przyjdzie po takim rozboju?

— Nie dość, że przyjdą, to jeszcze przybiegną! Od tej chwili macie najlepszą smażeninę w całym Piterze! — zapewnił go Dorienko i zaczął się żegnać.

Odprowadziwszy gości, Dasza z Kimem poszli na górę, wyłączyli światło i stanęli przy oknie. Było już blisko północy, ale przy barierkach okalających Fontankę pełno jeszcze było gapiów, wskazywali palcami kaprała i Seliwerstowa, strzegących drzwi do lokalu. Na ulicę wyszedł Sławik z kapitanem milicji, w tłumie nastąpiło poruszenie, rzuciło się do nich kilka osób, najprawdopodobniej reporterzy.

— To on wynajął tych ludzi — cicho powiedziała Dasza, przylgnąwszy do Kima. — On mnie nie zostawi w spokoju. To taki typ... niczego z rąk nie wypuszcza...

Kimowi pociemniało w oczach ze złości — albo matryca Cymmeryjczyka jeszcze gnieździła się w jego duszy, albo złościła go każda aluzja do męża Daszy. Zgrzytnął zębami. Dasza objęła go i szepnęła:

— Cymmeryjczycy nie wybaczą?

— Nie wybaczą. My jesteśmy ludem dzikim, oko za oko, pysk za pysk!

Odpreżyła się.

— A czy ja mogę ci jakoś pomóc?

— Możesz — po chwili namysłu odparł Kononow. — Wyrzucić but.

— To znaczy?..

— Cymmeryjczycy mają taki zwyczaj: kiedy kobieta rozwodzi się z mężem, wyrzuca z mieszkania jego but.

— Jakie to u was proste — powiedziała Dasza i zamilkła. Zegar wybił północ. Na jasnoszarym niebie pojawiła się gwiazda, wody Fontanki stały się ciemne jak smoła, gapie rozeszli się i tylko jakaś jedna postać widniała jeszcze na nadbrzeżu, niczym duch topielca. Westchnąwszy, Dasza uwolniła się z objęć Kima, podniosła się na palce i pocałowała go w czubek nosa:

— Kładź się, kochany. Ja zaraz przyjdę, muszę jeszcze zadzwonić.

— Do kogo?

— Do niego. Musimy się umówić na spotkanie... Masz rację, czas wyrzucić but.

## 10. ŚNIEŻNA PANI

Dom na Fontance był stary, solidnie zbudowany, ale na dole panował taki gwar, że pokój wypełniała kakofonia dźwięków: stukały młotki, wyły piły, a od czasu do czasu rozlegał się straszliwy huk, jakby zatrzaśkiwały się drzwi ogromnego sejfu. Hałasowała firma remontowa, pracująca w lokalu już dobre cztery godziny: wymieniano podziurawione pociskami panele i montowano lustra. Jeszcze, co prawda, nie zdecydowano, jaka postać będzie stała przy kolumnie, ale samą kolumnę stawiano na miejscu demona.. Przy okazji dokonano odświeżenia całości lokalu; od rana krzątał się tu dizajner i wspomniana brygada remontowa, kompletnie nie zwracając uwagi na twórcze męki Kima.

Na dodatek przyjechała telewizja. Chłopcy przedarli się do lokalu, we wnętrzu dostali szału: co to za remont?

Kto pozwolił? Dlaczego nie poczekałście na nas? Gdzie jest to rozbite kulami lustro, gdzie dziury, gdzie połamane meble? I gdzie trupy? Ach, nie było... Szkoda... Naprawdę szkoda...

Kim kwadrans siedział z zatkanymi uszami. Potem wyłączył komputer, wsunął do kieszeni dyskiety z tekstem i napisał liścik do Daszy: „Idę do siebie, słońeczko, czekam na ciebie wieczorem. Przyjeżdż. W Oziorkach cisza, spokój i świeże powietrze.”

Wymknął się na ulicę przez wyjście służbowe. Do Newskiego prospektu było dwa kroki. Kim przespacerował się przed kafejkami i kasami teatrów, obok Hotelu Europejskiego, ormiańskiej cerkwi i galerii malarstwa, zapalił, wyrzucił niedopałek do kosza, zjadł lody i, w końcu, dotarł do rzeki Mojki. Tu, w starym narożnym budynku znajdowała się księgarenka, a przed nią ganek z czterema stopniami, drugie drzwi do budynku okalał tuzin tabliczek: poczta „Ekspres”, kancelaria notarialna, psia coifieria i tak dalej. Gdzieś w połowie tego wykazu znajdował się owal z niebieskimi literami: „Ekstrasens Heinrich Hamulec–Zabajkalski. Usługi ezoteryczne”.

„Poczekaj — odezwał się Trixi. — Powoli. Muszę się zorientować”.

„Czyżbyś wykrył inkliną?” — zdziwił się Kim, skręcając w stronę ganku.

„Jeszcze nie wiem. Podejdz bliżej”.

Wszedłszy na stopnie, Kim minął psiego fryzjera i znalazł się pod drzwiami ekstrasensa. Otworzył je, wszedł i zobaczył chudziutkie dziewczę w okularach, krótkiej spódniczce i z grubą księgą w ręku. „Jak osiąść moc magiczną” — przeczytał Kononow na okładce. Wyglądało, że dziewczyna pobiera nauki bezpośrednio w miejscu pracy.

Przywitał się uprzejmie.

— Michel Manson do pana Hamulca–Zabajkalskiego. Mam problemy, madame. Poważne. Pilnie potrzebuję usług ezoterycznych.

Dziewczę otaksowało go spojrzeniem.

— Mistrz przyjmuje tylko na zapisy. Ma pan wyznaczoną wizytę na dziś?

— Nie. A mogę bez zapisów? Tak od razu?

— Może pan, ale za podwójną opłatą. Diagnostyka karmy — pięćdziesiąt. Mówimy o jednostkach walutowych — wyjaśniła. — Odczynienie uroku, od stu do stu pięćdziesięciu, a jeśli będzie trzeba podpompować górne czakry...

— Z górnymi wszystko w porządku — zapewnił ją Kim. — Natomiast od pasa w dół — kanał. Może więc na początek diagnostyka.

Wygrzebał z kieszeni pięćdziesiąt baksów. Sześć dni pracy! Ale przyjaźni nie można mierzyć w pieniądzach...

Dziewczyna zręcznie skasowała, pisnęła: „Proszę czekać!” i związała do gabinetu mistrza. Kim zapytał:



„Co czujesz, Trixi?”

„Rozczarowanie. Człowiek za drzwiami ma pewien mentalny dar, ale bardzo słaby i w żaden sposób nie związany z inklinem. Pudło, przyjacielu!”

„Wcześniej trzeba było mówić! — rozeźlił się Kononow. — Już zapłaciłem! Skoro pieniędzmi...”

— Mistrz prosi. — Dziewczyna stanęła w progu, potem usunęła się, a Kononow wszedł pewnym siebie krokiem nowego ruskiego.

Mistrz, owinięty czarną peleryną, zasiadał przy palisandrowym biurku. Rysy twarzy miał ciosane zgrubnie; poważne spojrzenie, ogromny nos, większy nawet od organu Chałturina i drapieżny uśmiech, czyniły go podobnym do wampira. Wydawało się, że za chwilę szczerkiem zębami i przyssie się...

Ale ekstrasens tylko skinał na fotel.

— Proszę siadać... e-e... panie Manson... Powiedziano mi o pańskim kanale... To taka alegoria, jak mniemam? Bo tak naprawdę to chodzi o finansowe kłopoty, brak wiary w siebie i, oczywiście, problemy z kobietami — Bioenergia się kończy, dochodzi do tego destrukcja image'u, niska samoocena... Mam rację?

— Niemal — odpowiedział Kim, siadając w fotelu. — Wszystko pan skumał równo, mistrzu, poza próchnem w banku. Biznes — a zajmuję się żywieniem — właśnie idzie w pytel. — Kupiłem knajpę, „Marzenie Kadawra”, przy pałacu Smolnym... wszyscy urzędnicy gubernatora u mnie jedzą i piją... Nie ma co narzekać na biznes! Ale reszta...

Ekstrasens przykrył oczy powiekami.

— Nie oszukujmy się, młodzieńcze. Teraz przebywa pan w świecie iluzji, nie odróżniając rzeczy możliwych od realnych. — Pokiwał głową. — Jednakże może pan osiągnąć szczyty powodzenia, jeśli mądrze użyje tego, co posiada naprawdę. Swojego rozumu, talentu i potencjału seksualnego.

— Tak? — Kim udał, że przepelnia go zapal. — A mnie się wydawało, że akurat w łóżku nie ma problemu.

— Niech się panu nie wydaje — przerwał mu mistrz.

— Już zbadałem pańską aurę i zapewniam, że potencjał pan ma. A nawet więcej... — Ekstrasens wykonał kilka ruchów, na wzór niewidomego badającego striptizerkę, i powtórzył: — Nawet więcej, czuję mocny ruch astralnych energii! Pan, młody człowieku, ma pewne zdolności i chodzi tylko o ich wydobycie i zastosowanie.

„Czy to twoja robota?” — zapytał bezgłośnie Kim.

„W życiu!”

Tymczasem mistrz kontynuował ruchy rękami, jakby miał przed sobą cały corps de ballet striptizerek.

— Zdolności są, ale dar wymaga inicjacji — podsumował. To wymaga wysiłku, od pana, i — zwłaszcza — ode mnie. Mniej więcej trzy — cztery seanse inicjacji... może potrzebne będzie wejście w astral... W sumie — tysiąc walutowych jednostek rozliczeniowych, góra.

— Tysiąc baksów, szefie, to niezły kawał szmalu — powiedział Kim. — Muszę się zastanowić.

— Proszę się zastanawiać, jasne. Ale wszystko się zwróci, zapewniam pana. — Mistrz zaczął mówić ciszej:

— Proszę sobie wyobrazić, rok temu przyszedł do mnie pewien mężczyzna, całkiem dobrze sobie radzący biznesmen około pięćdziesiątki. Fartowny, jak powiadam, ale chciał czegoś więcej — rozszerzyć interes, oczarować młodą kobietę... A to zależy od daru przekonywania, od enigmatycznych fluidów, wpływających na otoczenie, od skończoności astralnych projekcji... Krótko rzecz ujmując — zainicjowałem ukryte talenta i obecnie jest to nie zwyczajnie radzący sobie człowiek interesu, ale, można tak powiedzieć, pupil Fortuny. Szczęśliwy mąż, bardzo

majątny biznesmen... Nie wykluczam nawet, że pan go zna, skoro robicie w tej samej branży.

Farciarz od roku! Jak piorun uderzyła w Kima ta myśl. „A ja, bracie, słyszałem, że Daszkę Pałycz zaczarował...” — nie pierwszy raz przemknęło przez głowę. Kononow pochylił się nad stolikiem i ochryplym z emocji głosem zapytał:

— A ten pupilek Fortuny... Jak się nazywa, nie pamięta pan?

— Oczywiście, że pamiętam. — Ekstrasens wzruszył ramionami. — Pamiętam, ale nie mogę powiedzieć. Sam pan rozumie, obowiązuje mnie tajemnica... Więc jak z tą inicjacją?

— Podumam. Popytam tu i tam — rzucił Kim i pożegnawszy się, skierował do drzwi.

„Masz pomysł? — zapytał, znalazłszy się na Newskim i skręcając do metra. — Mówiłeś, że niektórzy ludzie nie zauważają inklinów, a u innych coś inicjuje się samo. A czy taki ekstrasens może obudzić ten dar? Wiesz, wymaca astralną projekcję — czyli zaginiony inklin — podporządkuje i przysposobi do służby klientowi. Żeby ten rozszerzył swój biznes i czarował kobiety. Czy to możliwe?”

„Nie wiem — powiedział po chwili Trixi. — Zresztą, w waszym świecie wszystko jest możliwe, dlatego musisz zweryfikować swoją hipotezę”.

„Zweryfikuję — zapewnił go Kim. — Tylko jak się dostać do Pałycza? Może pojedę do Komarowa, do jego posiadłości? Tylko to podobno ogromny teren z ochroną, nie da się podejść na czterdzieści metrów, a ze stu ty go z kolei nie przeskanujesz”.

„Zgadza się”.

Pojechali do domu, kupili piwo, pierożki, ciastka, zajrzeli do sklepiku „Cymmeria”, do swojego arsenału. Dla zmyłki Kim kupił śrubokręt, a w trakcie wybierania w głowie mu zabrzączało: inklin ruszył do roboty. „Gotowe” — zameldował Trixi i znowu pogрузzył się w smutnych dość rozmyślaniach.

Otwierając drzwi, Kononow usłyszał dzwonięcie telefonu. Zaczął się śpieszyć, spudłował z kluczem i zanim otworzył drzwi, sygnał ustał. Dasza? Przypomniał sobie, że Dasza nie zna jego numeru telefonu, i uspokoił się. Poszedł do kuchni, przygotował kawę i kanapki; gapiąc się przez okno, zjadł je. Cisza, spokój... Tylko szelest drzew za oknami, ćwierkanie wróbli... Zjadł, usiadł przed komputerem.

Zijna zginęła na podejściu do włości Eirima, w zamieci, nasłanej przez lodowe dziewice, złośliwe córki Imira. Jak prosiła Dasza — ładnie umarła, zamarła na piersi Cymmeryjczyka, oddając mu resztki swego kochającego go ciała, i nie męczyła się długo. Kim, rycerz w głębi duszy, mimo że mordował ładne kobiety, to zawsze starał się czynić to humanitarnie — nie palił ich, nie rozczłonkował, nie topił w dole z odchodami... Pisało mu się dobrze, czas pędził przed siebie, Zijna miała ładny pogrzeb... Pochowawszy kobietę, Kim wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Nad Prezydenckim bulwarem zaczął gęstnieć letni zmierzch, ale zaraz zrobiło się jaśniej, gdy pojawiła się Dasza i, nie wchodząc do mieszkania, zatrzymała pod oknem.

— Witaj, kochany. — Uspokoiła się.

Kononow wychylił się przez parapet. Daszy włosy i skóra pachniały leśną świeżością, a w rudych kędziarach za uchem bieląła stokrotka.

Kim schylił się i, korzystając z siły, jaką od niedawna dysponował, chwycił Daszę pod pachy, podniósł i posadził na parapecie. Dasza była lekko zasmucona.

„Co z tym twoim inklinem? Śpi? Nie widzi, że trzeba dziewczynie pomóc?” — zapytał Kononow Trixiego.

„Nie ma potrzeby ingerencji. Ona szybko wraca do normy. To bardzo stabilna psychicznie kobieta... Dobrze wybrałeś, Kim!”

— To z tego okna wyskoczyłeś, żeby mnie ratować? — zapytała Dasza.

— Z tego, słońeczko.

- Wspaniale.
- Ale co?
- Że twoje okna wychodzą na ulicę. Ratuj mnie jeszcze raz — daj coś zjeść.

## 11. NA PREZYDENCKIM

Noc — dzień, noc — dzień... Właściwie, rano. Kim siedzi przy komputerze, z lewej ma filiżankę kawy, z prawej — papierosy. Jego biurko to enklawa niezmienności w zmienionym życiu, a zmiany mówią, że pojawił się ktoś ze swoim gustem, zwyczajami i poglądami na życie. Pasiasty pled na starym fotelu, wazon z roślinami, piramidka jabłek w fajansowej misce, nad półkami — zdjęcie: kobieta na trapezie, a ku niej, wyciągnąwszy ręce, leci w powietrzu młoda dziewczyna w purpurowym obcisłym trykocie. Były też i inne zmiany: dokładnie zamieciona podłoga, uporządkowane książki, a w lodówce — nie pierożki pielmieni i piwo, a prawdziwy obiad, barszcz i wspaniałe kartofelki duszone z mięsem!

Życie rodzinne ma swoje dobre strony, oj ma! — myślał Kononow z błogim uśmiechem. Jasne, w nocy nie da się już pracować i potrzebna książka znajdzie się nie od razu, ale sam on jest zadbany i wypieszczony, syty i świeżutki, jak róża majowa. A w nocy... Nocne czuwania są przyjemne nie tylko przy komputerze. Co tam komputer! Metal, plastik i szkło... ani jędrności, ani ciepła czy aromatu... Ani kawy do łóżka!

Miniony dzień minął spokojnie — ani widu, ani słyhu Pał Pałycza, nalotów czy gróźb. Remont szedł pełną parą. Sławik pilnował wykonawców, a drzwi — Seliwerstow z kapralem milicji. Daria liczyła uszczerbek i handryczyła się z ubezpieczycielem. Kim zakończył kilka epizodów — pochował Zijnę i opisał jak Conan z Idrienem przyszli do wanirskiego wodza, gdzie odkryli nieproszone gości. Przysłał tych wojów Nebsecht, chcąc zmusić Eirima do najazdu na wyspę, celem zastraszenia wróżki i demonstracji mocy maga. Eirim, mimo że niezadowolony, uległ. W sumie, w hyborejskiej i ziemskiej rzeczywistości życie płynęło spokojnie, młot leżał spokojnie w kacie.

Kim wstał i zaczął chodzić po mieszkaniu, od fotela do okna, zerkając przy tym na telefon, który stał teraz na chińskim stoliczku, przyniesionym przez Daszę z mieszkania Warwary. Stolik był elementem posagu Daszy, spadkiem po babci — ta w czasie rozkwitu swej kariery miała trasę po Chinach, przywiozła stamtąd stolik i podarowała u schyłku żywota ukochanej wnusi. Na blacie widniała demoniczne morda z wyszczerzonymi zębiskami i bezczelnie wysuniętym językiem. Mniej więcej tak Kononow wyobrażał sobie Pał Pałycza.

Pogroziwszy pięścią demonowi, usiadł przy komputerze, ryknął kawy i zaczął walić w klawisze, opisując ucztę na dworze Eirima. Conan, Eirim i wanirska starszyzna grzmociła miód i piwo, zakąszając dziczyznę, ale wodzów oddziału, przysłanego przez czarnoksiężnika, na ucztę nie zaproszono. Ci dwaj, Torkol i Fingast, byli ludźmi mało czcigodnymi, a szczerze mówiąc, bydlakami, których Eirim w innych czasach nie wpuściłby nawet za próg. Jednakże maga się obawiał. Bardzo się obawiał! Na razie Conan owi nie udało się go przekonać do wyprawy na zamek czarnoksiężnika.

Zadzwoił telefon.

- Manson? Tu Chałturin. Pracujesz? Jak się posuwają sprawy?
- Znakomicie. Blondynkę wykończyłem, teraz piję piwo. Z Wanirami.
- Mam nadzieję — wirtualnie i bez Darienki?
- Na krzyż się klnę!

— Dobra. Dowiedziałem się, że do ołtarza się wybierasz? Zaręczyny podobno były?

— Były — przyznał się Kononow.

— Gratuluję i błogosławię — tonem mądrego ojca powiedział Chałturin. — Przy okazji, czeka na ciebie zaliczka. Osiem tysięcy. Ale warunek — najpierw powieść, potem ślub.

Krótkie sygnały.

„Ale numer! — pomyślał Kim. — Chałturin okazał się być człowiekiem! Osiem tysiąków wypłacił! Wystarczy na obrączki i może...”

Dzyń! Dzyń! Dzwoniła Warwara.

— Co nowego, Kimeczku?

— Żyję jak Adam w raj, przed wypędzeniem, rzecz jasna.

— Nie jest wam tam ciasno, gołąbeczki? Może się do mnie przeprowadźcie? Ja mam trzy pokoje, dwumiejscowy tapczan i telewizor hitachi. Ja z Olegiem będziemy w wozie żyli, bliżej słonia. Zresztą, przywykliśmy.

— My też. W końcu urodziliśmy się za czasów władzy radzieckiej — przypomniał jej Kononow i zapytał o zdrowie Obloma.

— Już na kapustę z marchwią przeszedł, czyli zdrowieje — powiedziała Warwara. Potem zapytała cicho:

— Szmondak się nie pokazał? Po tym nalocie? Nie dzwonił, nie przysyłał swoich „dachowców”? Nie kusił Daszki brylantami?

— Na pokładzie spokój. — Kim przypomniał sobie o zaliczce.

— Brylant sam jej kupię. Proszę się, Wariu, nie martwić, siostra w dobre ręce trafiła.

Z drugiego końca linii rozległ się chichot.

— Wiadomo. W ręce mistrza tryń-byń!

— Bushido fenh shuei — sprostował Kononow i rozłączył się. Po chwili namysłu zasiadł do klawiatury i napisał: „Może wyjdziemy ulżyć sobie? — zapytał Eirim Wysoki Hełm, syn Seimura Jednookiego...”

Telefon odezwał się ponownie.

— Manson? TV oglądasz?

— Nie mam zwyczaj. Jam czytelnik, nie gap.

— Ale włącz tym razem. Tam o waszej knajpie gadają i o herosie barbarzyńcy, co to przestępców przegnał — powiedział Drew i odłożył słuchawkę.

— Też mi ciekawostka — burknął Kim, odłożył słuchawkę, przeczytał: „Może wyjdziemy ulżyć sobie? — zapytał Eirim Wysoki Hełm, syn Seimura Jednookiego...” — i dopisał: „Najwyższa pora, pomyślał Conan; wypilo się trochę i zjadło. Czas na dwór, a potem dokończymy rozmowy. Ciągłe nie udawało mu się...”

Dzyń. Dzyń, dzy-y-y-yń!

„Stajesz się popularny!” — mruknął obudzony Trixi.

Kim zaklął, ale podszedł do telefonu.

— Kim Nikołajewicz? Mówi Sławik Kanada. Pokazują nas w telewizorze! Daria Romanowna prosiła, żebym pana uprzedził.

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Przecież to interesujące. Daria Romanowna mówi...

— Skoro tak powiedziała, to słucham i podporządkowuję się — przerwał mu Kim. Starannie odłożył słuchawkę i włączył zakurzony odbiornik. Pojawiły się zdjęcia — szyld, drzwi, sala restauracji z powywracanymi meblami, potem dał się słyszeć słowotok lektora:

„W ubiegłą środę właściciele baru „Conan” na Fontance postanowili rozerwać klientów występem w stylu walka bez reguł. Dwaj wynajęci wojownicy, najprawdopodobniej przez dwa

wrogie bandyckie ugrupowania, wdali się w pojedynek, który zakończył się krwawym pobojowiskiem. Prowadzone jest energiczne śledztwo, ale trudno jest nawet ustalić liczbę poszkodowanych, a tym bardziej zlecniodawców tego przedsięwzięcia. Jedną z wersji jest „czeczeński trop”; możliwe, że do walki przyłożyła ręce mafia czeczeńska. Kompetentne służby uważają...”

Dalej było o Północnym Kaukazie, na ekranie pojawiły się fragmenty walk, ostrzałów artyleryjskich, wybuchów i „zaczystek”. Kim westchnął i wyłączył telewizor. Zjadł obiad i zasiadł do komputera. Udało mu się nastukać cztery strony. Myśli o zaliczce i brylantowej obrączce zagrzewały go do pracy.

Znowu rozdzwonił się telefon, przywołując do rzeczywistości.

— Kim Nikołajewicz? Daria w domu?

— Nie, Sławiku — machinalnie odparł Kononow i popatrzył na zegarek. Matko moja, prawie dziewięta Serce zatłukło się niespokojnie. Zaciśnął palce na słuchawce i wrzasnął: — Co się stało? Gdzie ona jest?

— Ja nie wiem, czy coś się stało. Chyba nic. Po obiedzie wyszła, powiedziała, że ma się z kimś spotkać, obgadać coś... I że przed szóstą wróci. Czekałem, czekałem... Pomyślałem, że do pana pojechała. Dzwonię więc na wszelki wypadek...

Spotkać się i obgadać! Nie inaczej, jak z Czernowem! Poszła wszcząć rozwód, i nie ma jej...

— Posłuchaj, Sławik — powiedział Kononow, starając się, by głos mu nie drżał — ja tu będę na nią czekał i do rana nie ruszę się z miejsca. Jeśli przyjdzie, zadzwonię do ciebie. A jeśli nie zadzwonię, postaraj się rano dowiedzieć, dokąd poszła. Może Lenoczka albo Marina coś wiedzą? Wypytaj je.

— Wykonam — powiedział zaniepokojony Sławik. — A gdzie pana szukać rano, jakby co?

— Nie szukaj. Sam przyjadę do „Conana”. Odłożywszy słuchawkę, Kim znowu popatrzył na zegarek.

Trochę po dziewiątej... Może dogadała się z Czernowem co do rozwodu, poczuła się lekko i pojechała do Warwary? Jak to kobiety, pozwierać się, popłakać... Wybrać suknię ślubną, wybrać rodzaj ślubu i wesele...

Wykręcił numer do „Cyrku w Oziorkach”. Głos dziewczyny w słuchawce był mu znany.

— Dzień dobry, czy mogę mówić z Warwarą Talrose — Sidorową? Jestem jej sąsiadem...

— Nie ma jej, z Olegiem wyprowadzili Obloma na spacer.

— Daleko?

— Nie. Do małego gaju nad jeziorkiem.

— Nie mogłaby pani po nią pójść? Pamięta mnie pani? Kim Nikołajewicz z sąsiedniego mieszkania...

— Pamiętam! Coś się tam wtedy stało, potop czy pożar... A teraz co?

— Tsunami. W ostrej postaci — powiedział ponuro Kononow. — To co, skoczy pani?

— Nie mogę. Telefon mamy jeden i muszę przy nim siedzieć.

— A może pośle pani kogoś?

— Niestety, nie ma kogo. Wieczorowe przedstawienie w toku, wszyscy są zajęci...

Kononow odłożył słuchawkę, chwilę gapił się na telefon zgrzytając zębami. Co robić? Biec do cyrku i poszukać Warwarę... A może Dasza po prostu gdzieś się zatrzymała, może pantofle wybiera i krawat dla narzeczonego. Przyjdzie, a narzeczonego nie ma!

„Twój bilans hormonalny został zakłócony — oświadczył Trixi. — Wyregulować?”

— Nie trzeba. Lepiej poradź, co robić.

„Działania aktywne to twoja domena. Ja jestem przybyszem, ty autochtonem, i lepiej rozumiesz sytuację. — Pomilczawszy chwilę, Trixi dodał: — Też jestem zaniepokojony. Twoja koleżanka

jest bardzo miła... poza tym z nią jest mój inklin”.

Zamilkł, a Kim zaczął chodzić po mieszkaniu i zajmował się tym marszobiegami do północy. Potem zwałił się na łóżko, ale nie udało mu się zasnąć — dopiero przed świtem wpadł w krótką i niespokojną drzemkę. Śniła mu się Daria, zniewolona przez złego czarodzieja, a pilnowała jej banda Wanirów.

Wszyscy jak jeden mąż przypominali nieboszczyka Girę...

## 12. CYRK W OZIORKACH.

Dasza nie przyszła. Puste łóżko, pusty dom, w sercu też pustka, jakby ktoś wydusił z niego życiowe treści i zasuszył.

Kim wstał, wypił kawę, usiłował coś zjeść, ale nic nie przechodziło mu przez usta. Ponury wymyśl filizankę, zerknął na zegarek, piętnaście po siódmej. Humor — najgorszy z możliwych, jednocześnie odczuwał jakiś dziwny napływ energii, nie widział sensu czekać na telefon czy dzwonić gdzieś. O nie, młot i drzazgi polecą z byłego ślubnego Daszy!

Nagle zobaczył, jak zacisnęły się pięści, napięły mięśnie, twarz mu skamieniała, a gdzieś pod czaszką rozhuczały się bębny bojowe. Jeszcze jedna dziwna sprawa: dzinsy uwierały w pasie, koszula ledwo zapinała się na piersi, ramiona były masywne i szerokie. Kim sięgnął do szuflady, wyjął widelec z grubym żelaznym trzonkiem, ułożył go na małym i wskazującym palcach, nacisnął kciukiem. Trzonek zgiął się, żałośnie skrzypnął.

— Co się dzieje? — zapytał Kim, wrzucając widelec do wiadra na śmieci. — Działalność własna? Nie prosiłem, żeby mnie transformować!

„Żadnej transformacji nie ma — zapewnił go Trixi. — To, co widzisz, to skutek poprzednich metamorfoz, coś jak wtórne namagnesowanie. Metamorfozy wpływają na twoją psychikę i fizjologię, a efekt ten ma charakter kumulacyjny: im więcej przekształceń, tym wyraźniejsza jest zmiana”.

— Chcesz powiedzieć, że zmieniam się w Conana? „Częściowo. Częstka jego obecności jest niewielka, ale wzrasta z każdą transformacją. Oczywiście, nie zostaniesz Conanem, ale nabierzesz wiele jego cech, których wcześniej nie miałeś. Podejrzliwość, dążenie do władzy, okrucieństwo”.

— Nie mam nic przeciwko temu — Kim dotknął umięśnionego ramienia. — Ale reszta jest mi niepotrzebna, zwłaszcza okrucieństwo. Nie wiedziałeś, do czego prowadzą metamorfozy?

„Nie wiedziałem. Widzisz, poszukując inklinów przenikałem do świadomości wielu ludzi, ale w żadnym umyśle nie siedziałem długo. Jesteś pierwszym człowiekiem, z którym współlistnieję nie przez minuty a dni, i dopiero teraz mogę poznać waszą specyfikę. Doszedłem do wniosku, że ludzie w czymś przypominają nas, inklinajzerów. Jest jądro, jest osnowa osobowości i są inkliny, dołączone do nich, setki, tysiące inklinów — dokładniej, ich zarodki w fazie latentnej”.

— Nigdy o tym nie słyszałem. To nowy termin w psychologii?

„Wcale nie. Wyobraź sobie, że przeczytałeś książkę, w pamięci powstał obraz postaci tym wyrazistszy, im lepiej napisana była książka. Przypomnij sobie swoich rodziców, ukochanych, przyjaciół — czy ich obrazy nie żyją w tobie? Te obrazy, mój przyjacielu, to psychematryce, zarodki inklinów w twojej podświadomości. Nie są autonomiczne, jak części mojej osobowości, ale wpływają na ciebie”.

— Szczególnie matryca Conana?

„Tak. Inni ludzie nie potrafią zmieniać się w postaci z książek, podczas gdy ty — tak. Poza tym jesteś pisarzem i posiadasz twórczą wyobraźnię. Twoje inkliny są bardziej nasycone i jaskrawe,

fantazje są bardziej zdolne do życia i Conan jest tego przykładem. Niemal sto książek i wszystkie przechowywane są w twojej pamięci! Jesteś unikatową osobą!”

— Nie jestem jedynym pisarzem na Ziemi — mruknął skromnie Kononow, zerkając na zegarek. Ósma, chyba można ruszać, ale dokąd? Do Warwary czy do Sławika na Fontankę?

Pełen wątpliwości wyszedł na ulicę i skręcił w kierunku metra. Podwórka ożywiały się, z bram wypływały strumyczki ludzi, zlewały się w rzekę i niczym Niagara waliły na ruchome schody. Kim dopłynął w tym nurcie niemal do wejścia, gdy nagle ocknął się Trixi:

„Stop! Wyjdź z tłumu i goń tego człowieka w niebieskiej czapce. Wyszedł właśnie z metra... Szybko! On ma inkliną!”

Rozpychając się i szarpiąc, Kononow wy dostał się ze zwartego tłumu, rzucił się za niebieską czapkę, dogonił i, wyczuwając coś znajomego, zwolnił.

— Przecież to jest...

„...staruszek ze sklepu. Pomyliłem się, on ma inulina-zwiadowcę, a nie tego zaginionego. Jednak... — Przybysz umilkł na chwilę, a potem fala zdziwienia runęła na Kima. — Między inklinami staruszka i twojej koleżanki zaistniał kontakt. Bardzo krótkotrwały. Wieziono ją po tej drodze na północ, wczoraj, mniej więcej o szóstej. Chyba wszystko, nie... jeszcze jedno: była temu niechętna”.

Droga na północ, czyli jednak pochwycił Daszę mąż i zawiózł do Komarowa...

Zadygotał ze złości, przed oczami popłynęły tęczowe koła. Machinalnie wciąż maszerował za staruszką, głęboko wciągał powietrze i starał się uspokoić.

„Adrenalina — pisnął Trixi — Nadmiar adrenaliny... zaraz...”

Mgła rozviała się. Kim wytarł spocone czoło, skręcił w prawo, w kierunku cyrku na Oziorkach. Wydawało mu się, że zamiast jechać do Sławika powinien poradzić się Warrii, szczególnie, że nie chciał błądzić po całym Komarowie.

Ogromną kopułę cyrku otaczał labirynt kramów, stoisk, strzelnic, bezludnych o tej godzinie. Za namiotem znajdowało się jezioro z porośniętym trawą brzegiem, a dalej stały wozy cyrkowe, furgony, jakieś maszyny, wozy z klatkami, kawiarnia pod pasiastą markizą. To barwne miasteczko, tak samo senne i ciche jak otaczająca cyrk przestrzeń, odgradzał płot z zielonych sztachet z szeroką bramą. Kim ruszył w stronę bramy, zatrzymał go głośny okrzyk.

Za bramą siedział w płóciennym fotelu ogromny wążacz o budowie zapaśnika. Mniej więcej podobnego rozmiaru co Semitcha Kulriks, ale uprzejmiejszy.

— Teren zakazany, chłopcze. Dzikie zwierzęta, dzicy ludzie... Tygrysy, osły, dusiciele... A w tym pomarańczowym wagoniku żyje siekacz, piłuje żywcem i wpycha noże. Raczej spadaj stąd...

— Siekacza nie potrzebuję, osłów z dusicielami też — rzucił Kim. — Szukam Warwary Romanowej, tej od słonia.

— War’ki? — zapytał gigant, palcem zdejmując kapsel z butelki piwa. — Idź wzdłuż zagrody z osłami i wagonikami z czerwonym pasem, potem obok klatek, skręć w lewo i wyjdiesz na plac. Tam będzie War’ka i jej koledzy. Słonia karmią.

Tak rzeczywiście było. Na środku placu stała góra z uszami, uszy poruszały się, długa trąba wrzucała do pyska kapustę, ciamkanie słycać było w promieniu stu kroków. Dwaj mężczyźni, jasnowłosi i podobni do siebie jak bracia, dowozili taczki z warzywami, a Warwara, w kombinezonie i gumowcach, stała oparta o kiel słonia i przypatrywała się zwierzęciu z matczyną czułością. Idylla, pomyślał Kim i podszedł do niej.

— Waria! Odwróciła się.

— Kimeczek! Ale niespodzianka! — Podbiegła do niego, chwyciła za rękę, cmoknęła w policzek i przywołała jasnowłosych: — Bracia, do mnie! To jest Kim, mój szwagier nowy i kochany. Opowiadałam wam... Pisarz, mistrz bo-dybo... czy wen-sue...

Jasnowłosi podeszli, przywitali się. Bardzo byli do siebie podobni, mocni, mieli wydatne kości policzkowe.

— Oleg. — Ten miał łopate, odnotował Kim.

— Igor. — Ten trzymał widły.

Słoń wyciągnął trąbę w jego kierunku, obwąchał, dmuchnął ciepłym powietrzem.

— No — no! Bez takich! — obsztorcowała go Waria i wskazała wzrokiem na tego z łopatą: — Oleg jest moim... no, jak to... boy–friendem. A Igor to jego brat i...

— ...po prostu friend — powiedział Igor. — Wariusza, nie wydaje ci się, że Kim obejdzie się bez szczegółów?

Warwara tupnęła nogą.

— Nie obejdzie się! Kim jest z Daszą, czyli w rodzinie. A rodzinę powinien znać. No, chłopaki, proszę się objąć i wycalować.

Chłopaki roześmiali się, objęli i wycalowali. Bracia przesiąknięci byli zapachem kapusty i trochę jakby stajni.

— Z Obłomem też mam się pocałować? — zapytał Kim. Jego humor ulegał raptownej i miłej poprawie. Pomyślał, że rzeczywiście ma rodzinę, ma obok siebie ludzi, którym jego los nie jest obojętny. No i Dasza, kochana Dasza. Porwana przez tych bandytów na Prezydenckim! Ale nic to — co zostało raz ukradzione, można ukraść po raz wtóry. Byle mieć odpowiednich ludzi do towarzystwa.

— Nie — powiedział Oleg. — Obłom jeszcze nie jest wymyty, więc z całowaniem ostrożnie. Z Daszeńką na pewno przyjemniej... A właśnie, gdzie ona jest? Dlaczego sam przyszedłeś?

Kononow spochmurniał.

— Niestety, rodzino droga. Moja wina: chciałem, żeby możliwie szybko się rozwiodła... Dlatego postanowiła spotkać się z eksmężem i... zniknęła. Wieczorem nie przyszła, w nocy nie przyszła, a rano dowiedziałem się, że została zawieziona do Komarowa. Siłą.

— Jak się dowiedziałeś? Skąd? — Warwara ścisnęła skronie dłońmi.

— Stelepowaliśmy się — mruknął Kim. — Ale to pewne dane, chociaż nie z protokołu milicji.

Igor ze złością dźgnął widłami głowę kapusty, Oleg nachmurzył się i chciał coś powiedzieć, ale wyprzedził go krzyk Warii. Podskakiwała w miejscu, tłukła powietrze pięściami i wrzeszczała:

— Dobra, przeklęty draniu, doczekałeś się! Duszę ze szmondaka wytrzęsę. Bydlę cholerne! Dowiesz się teraz, skurwielu, jak to jest zdrzeć z Talrose–Sidorowymi! To nie są te babeczki, co się je siłą do wyra ciągnie, gnido.

— Zaczepnęła powietrza i przy okazji wpadła na pomysł:

— Za moją siostrą pójda wszyscy cyrkowcy! Od dyrektora do koniucha! Mnie, ty tryprze trojański, milicja nie jest potrzebna! Bez niej pochowamy twoją bandę, hacjendę twoją śmierdzącą z dymem puścimy, a ciebie utopimy w kiblu. Cap śmierdzący, szczur kloaczny, menda łonowa, zaw...

Podniecony Obłom zatraził przeciągle. Igor poklepał go po trąbie, Oleg przytulił Warię.

— Już dobrze, Rudzik, już dobrze. Nie krzycz... To nie pomoże. Wiadomo, że Daszutki nie zostawimy... Zrobimy jak każesz: szmondak — do sracza, hacjenda — z dymem... I jeszcze grila urządzimy na ogniu...

— Właśnie zbliżamy się do sedna. Wybieram się tam, ale nie wiem dokładnie dokąd? Komarowo, i co dalej? Ulica, numer domu? Jak znajdę hacjendę, wtedy zabierzemy się do palenia.

Warwara pociągnęła nosem.

— Ulica Sowietskaja numer siedemnaście, na samym skraju Komarowa. Tyle że to podobno nie dom, ale cały dwór. Płot z żelazną bramą, ochrona i złe psy... Wszystko jak należy, jak u nowych ruskich.



— Dobra, adres to połowa roboty — powiedział Kim i chwyciwszy Warię pod łokieć, zaczął iść w kierunku bramy. — Nie martwcie się, znajdę ją. A kiedy znajdę, może będę potrzebował pomocy, bądźcie przygotowani i w pobliżu telefonu. Macie jakiś samochód?

— Mamy, Igorek ma. A Oleg, jakby było trzeba, to i buldożer wykombinuje!

Kim odwrócił się, pomachał braciom na pożegnanie.

— Dobrych ma pani partnerów... Tylko okropnie podobni... Bliźniacy?

— Bliźniacy — potwierdziła Waria i nagle dodała, lekko zarumieniwszy się: — Wiesz, ja też ich czasem myślę. Zwłaszcza w nocy.

Kononow pomachał jej na pożegnanie, wyszedł z terenu cyrku, skierował ku drodze, skąd docierał zwykły codzienny hałas silników i szelest opon. „Brykę złapię — planowałem — wpadnę na Fontankę po młot i walę do Komarowa! Dowiem się czegoś, może wezmę języka...”

Stał na poboczu i zaczął machać ręką, niemal natychmiast zatrzymała się starutka szara toyota. Kierowca, chudy chłopak z bladą piegowaną twarzą, uchylił drzwi.

— Dokąd?

— Daleko. Najpierw na Fontankę, obok Newskiego, zabierzemy mały ładunek, narzędzia, potem za miasto do Komarowa. Pojedziesz? Dwie dychy?

— W baksach, czemu nie — powiedział kierowca, otwierając szerzej drzwi. — Wskakuj. I módl się, żebyśmy w korek nie wpadli.

Modlitwa nie pomogła — wpadli. Kierowca kłął, toyota prychała i skrzypiała, wolno pełząc w kierunku Newskiego, a Kim nagle zdrzemnął się i znalazł się w Wanaheimie na uczcie u Eirima. Widocznie między Hyboreą i ziemską realnością powstały tak trwałe łącza, że wydarzenia tam i tu następowały po sobie w dziwnej harmonii i były do siebie dość podobne, jak zresztą i ludzie: Girą — kapitan Girdero, Dasza–Dajoma, jej mąż i czarnoksiężnik Nebsecht... Może znajdą się analogie również dla innych postaci, ponieważ nie pojawiały się z pustki, ale jakby odgałęziały się od ludzi realnych i już znanych Kimowi. Na przykład

— Zajcew, ten „trener”, może to Fingast? Albo Torkol?

— No, nareszcie jesteśmy! — sapnął kierowca, Kim drgnął i otworzył oczy.

Samochód skręcił w lewo, wjechał na podwórko i zatrzymał się przy tylnym wyjściu.

— Czekaj! — polecił Kim kierowcy, podał mu banknot z Jacksonem i pobiegł na górę. Zajrzał do gabinetu, westchnął i pomaszerował do kuchni. Tam, w szafce pod zlewem stał młot i leżały tarcze w brezentowym plecaku. Kim wrócił z bagażem na podwórko i pobiegł do wozu.

— Fajny młotek! — przywitał go kierowca. — To do palowania, prawda, nie do gwoździ?

— Słusznie — pochwalił go Kononow. — Palujemy pałac dla samońskiej władczyni, która sobie zażyczyła rezydencji pod Sankt Petersburgiem.

Wyjechali na ulicę.

— A po co pale?

— Bo u nich wszystkie domy są na palach. Tu też musi być palowany pałac.

— Dobrze płacą?

— Znośnie. W wymienialnych piastrach. Jeśli na baksy przeliczyć, to po cztery dychy dziennie wychodzi.

— Ja cie! — Kierowca syknął z szacunkiem. — Może i mnie do brygady weźmiecie?

Kim oszacował sylwetkę kierowcy. — Teoretycznie — tak. Ale najpierw jedną ręką ten młot podnieś...

### 13. ZAMEK

Ulica Sowiecka prowadziła od osiedlowych peryferii do jeziora Szczucze, płynnie przechodząc w niezbyt wąską magistralę prowadzącą przez sosnowy las. Na samym jej początku widać było pół tuzina prywatnych domków, potem był las, za nim porzucony budynek drukarni, a z prawej — wysoki ceglany mur. Ciągnął się wzdłuż drogi przez dobre dwieście metrów, obejmując teren, na którym można by było zmieścić całkiem przyzwoity park. Park zresztą był — ponad murem widać było czubki sosen i komin jakiejś budowli.

Kierowca toyoty zatrzymał się przy domkach, zawrócił i odjechał. Kim wlaźł w ruiny drukarni. Budynek miał powybijane okna, wyrwane drzwi. Dobry punkt obserwacyjny, tylko mocno zakurzony. Kim urządził się przy parapecie, zerknął na zegarek, piętnaście po szóstej. Rozejrzał się po okolicy.

Z obu stron sosnowy las, na wprost droga, za nią mur, w murze żelazne wrota, też czterometrowe. Poza drzewami i kominem nie było nic widać: ani właściwego domu, ani innych budowli. Mur był mocny, ale stary; cegły wykruszyły się gdzieś, z pokonaniem muru nie będzie problemu, ale na szczycie są jakieś przewody. Druty cienkie, więc raczej nie pod napięciem, sygnalizacja.

„Problemy?” — odezwał się po długiej przerwie Trixi.

— Problemy — westchnął Kononow. — Bez hałasu nie da się wejść. Alarm, strażnicy, walka, strzelanina... A my co mamy — młot i tarcze! Wracać do cyrku, po chłopaków, czy jak? Niech zdobywa ten swój buldożer... jak myślisz?

„Prymitywna technika — odparł przybysz. — Mógłbym przywołać mikrotransponder, ale ty się w nim nie zmieścisz”.

— A może na nim usiądę?

„Nie utrzymasz się. To jest wielkości twoich dwóch dłoni”.

Kim westchnął. Na drodze pojawiła się mała ciężarówka, podjechała do bramy, zatrafiła, wierzeje rozsunęły się odrobinę, wyszedł ochroniarz, zajrzał do kabiny. Teraz wierzeje rozwarły się szerzej, ciężarówka ruszyła; z tyłu widać było jakieś skrzynie i paki. Ochroniarz rzucił okiem na drogę, poprawił pistolet przy pasie.

— Słuchaj, Trixi — powiedział Kim. — A co się stanie w przypadku postrzału w głowę? Jeśli mi rozwałą łeb kulą? Reanimujesz mnie?

„W przypadku śmiertelnego urazu mózgu nic nie będę w stanie poradzić. Obaj zginiemy, ty i ja”.

— Dzięki, żeś mnie uprzedził. Chodź, wleziemy na dach.

Po schodach bez poręczy wszedł na piętro, znalazł wyjście na strych, a stamtąd na dach. Stąd widok był lepszy, przeszkadzały drzewa, ale już coś mógł zobaczyć: przy bramie stoi budynek z kominem, strażnica lub coś w tym stylu, potem podjazd do piętrowej willi na solidnym granitowym fundamencie, z kamiennymi szerokimi schodami. Między sosnami i ścianami willi, kwitły krzewy jaśminu i róż.

Na balkon wyszedł niski mężczyzna, usiadł na szeszlunku, rozwinął gazetę. Serce Kima podskoczyło, czuł, że oto patrzy na gospodarza forticy. Z powodu odległości nie widział jego rysów ani detali ubrania, tylko postać. Postać dobre dwadzieścia minut zajęta była czytaniem gazety, potem jej ruchy stały się wolniejsze, głowa pochyliła; teraz Czernow patrzył na ruiny drukarni, może czując, że tu kryje się jego zawzięty wróg.

Oczy Kima zwięzły się, twarz skamieniała.

Gdzie ukrywa Daszę? Co z nią zrobić? Co zamierza zrobić? O czym myśli, patrząc na niebo i

las, z zawieszoną nad nim słoneczną tarczą? O niepokornej żonie? O zemście jej ukochanego?

Realność drgnęła, rozmyły się kontury murów, znikła willa z postacią na balkonie, i pojawiło się coś innego — nie dom, a zamek, cytadela z szarego granitu z wysokimi wieżami, podpierającymi niebiosa — zimne, niskie, posępne. Wiatr zawył, cisnął lodową kaszą, przemknął między zębami muru, przez otwarte okno, zawirował w ciemnej mrocznej sali... Zatańczył wokół człowieka — cienia w czarnej długiej opończy...

„Ocknij się — rozległ się bezdźwięczny głos Trixiego.

— Ocknij! Czas płynie, a ty ciągle nie zdecydowałeś, co zrobisz!”

Kim drgnął. Czernowa na balkonie już nie było, szerokie okno i drzwi połyskiwały złotem w promieniach wieczornego słońca. Jeden ze strażników wypuścił psy; dwaj pozostali wyciągnęli ze strażnicy stół, zasiedli do kolacji. Zza krzewów wyszli jeszcze dwaj mężczyźni z łopatami, ogrodnicy albo ochroniarze zapędzeni do roboty przy klombach. Cisnęli łopaty, przysiedli się, zapalili. Daszy nie było widać...

Natomiast na ganek wyszedł Czernow. Stał chwilę z rękami za plecami, zszedł po schodkach, przegonił psy, powąchał róże i zadarł głowę do góry, jakby czegoś wypatrywał, potem zniknął za krzewami.

Wieczorny spacer? Chyba należy się przyłączyć, zdecydował Kim, opuszczając dach. Trzeba obejść mur, może przechodzi bliżej domu i Trixi wyczuje inklin Daszy... A może gdzieś nie ma przewodów, a jest furtka? Albo rośnie blisko niego sosna, a jej gałęzie...

Wyszedł z budynku, przebiegł drogę i przyłgnął do ciepłego pnia sosny. Cisza, gdzieś odezwał się jakiś ptak i wiatr szeleści w gałęziach. Kryjąc się za drzewami pomaszerował wzdłuż muru, dotarł do rogu, skręcił. Ciemne nici przewodów nigdzie nie zniknęły, furtki nie było, i sosny też.

— Chyba trzeba będzie zdobyć buldożer — mruknął, stojąc pod murem. Obmacał cegły. — Wywalimy bramę i wjedziemy jak na czołgu. — Przyłożył ucho do muru i wsłuchał się. — Czujesz coś, Trixi? Gdzie jest Daszeńka? W domu pod kluczem czy w piwnicy?

„Zbyt duży dystans. Nie mogę wejść w kontakt z jej inklinem. — Przybysz zastanawiał się chwilę i dodał ze smutkiem: — Nie myśl, że mnie interesuje tylko moja istota. Pewnie, że chcę znaleźć inklin, ale nie tylko o to chodzi. Jesteście mi bliscy, ty i twoja ukochana. Dzięki wam dowiedziałem się wielu nowych rzeczy”.

— Czyli jednak podglądałeś, szelmo?

„No, niezupełnie... Wasze uczucia są tak niezwykle i silne... nawet przyjemne... Zaczynam myśleć, że życie tlenowców ma pewne określone zalety. Może... — Trixi nagle umilkł.

— Może co?

„Cicho! Czuję... chyba czuję inklin... nie ten, co jest w twojej dziewczynie, a ten pierwszy, zaginiony! Porusza się, ale za daleko, na granicy wycucia... Nie mogę wejść z nim w kontakt!”

Kononow znowu przyłgnął do muru, jakby miał nadzieję, że przeniknie przez cegły i zaprawę.

— Jednak to Czernow, szczer celny! No, Trixi, wyciągaj inklin, szybko!

„Nie mogę, nie mogę! Mówię przecież, że za daleko... Ale przemieszcza się... Jak myślisz, co robi?”

— Spaceruje? Wieczorny zdrowotny spacer w jaśminach i różach. Przygotuj się, może podejdzie bliżej.

„Kontakt! Tracę mentalny kontakt! — jęknął Trixi, emanując rozpaczą i zniechęceniem. — Oddała się, odchodzi... odszedł... Zniknął!”

— Wrócił do domu — skomentował Kononow. — To nic, naprawdę... Najważniejsze, że wiemy, gdzie jest zguba! I wiemy, na czym polega sekret jego sukcesów: jakim cudem udało mu się zakręcić Daszy w głowie i jak się wzbogacił... — Nagle przyszła mu do głowy inna myśl: — Trbti, przecież i on, i Daria mają inkliny! Co się stanie, jeśli on zechce ją zahipnotyzować, czy co

on tam zamierza?..

„Nie wiem — odezwał się przybysz. — Mówiłem ci, że nie do końca mogę przewidzieć współdziałanie człowieka z inklinem. To jest proces nie do końca przewidywalny, więc może lepiej nie gdybajmy, a zajmijmy się działaniem. Masz plan?”

— Plan! — zawołał podniecony Kononow. — Oczywiście, że mam! Potrzebuję tylko spychacza. Walimy przez bramę, huk, grzmot, wszyscy uciekają, a my prosto do willi... Ty zabierasz inklin, ja — Daszę, a gnidę Czernowa zawieziemy do Warwary. Niech słoń nim podciera.

Trixi milczał chwilę, potem zapytał: „Słoń to takie wielkie zwierzę... Nie lepszy od spychacza?”

— Lepszy — zgodził się Kim, zbliżając do skraju osiedla. — Ale buldożerem jakoś pokieruję, a słońmi nie.

„Nie ty będziesz nim kierował — oświadczył Trixi. — Wezmę to na siebie”.

— Masz doświadczenie poganiacza słońmi?

„Nie potrzebuję. Wystarczy, że wprowadzę mu inklin i będziemy w pełnym kontakcie!”

— Inklin? Do Obłoma? — Kim znieruchomiał na chwilę. — Wspaniały pomysł. A co z rezystencją mentalną?

„Jeśli będziesz obok zwierzęcia, to będę je kontrolował przez inklin. W końcu słoń to nie człowiek i łatwiej nim sterować”.

— Wspaniały pomysł! — powtórzył Kononow.

Zamyślony dotarł do stacji, kupił bilet i dwa pierożki, zjadł je w oczekiwaniu na podmiejską elektryczkę, wsiadł i zasnął. Najpierw śniło mu się, że wjeżdża na Obłomie do twierdzy Pał Pałycza, burzy strażnicę, powala goryli i psy, a potem przedziera się do domu przez krzewy różane — a na balkonie już stoi Dasza, gotowa skoczyć w jego objęcia. Potem obrazy te zastąpiły inne: willa stała się zamkiem, schody stary się bardziej strome i dłuższe, a na rogach budowli pojawiły się wieże.

Znowu znalazł się na posępnej równinie Wanaheimu, pod sklepieniem niskiego szarego nieba; stał i słuchał, jak wyje wiatr, jak szeleści zwiędła trawa i jak warczą fale uderzając o skały na brzegu. Chyba szykował się do szturmowania zamku...

\* \* \*

Obudził się, kiedy dojechali do Oziorek. Od razu skierował się w stronę cyrku. Minęła już północ, wieczorne przedstawienie skończyło się dawno temu, tłumy widzów spały, artyści spali w swoich wozach. Brama była zamknięta i nie było przy niej wąsatego giganta. Kim przeskoczył płot, ostrożnie ruszył między namiotami i wozami, dotarł do zagrody Obłoma. Na środku ogrodzonej przestrzeni wznosił się ciemny kopiec, od którego dochodziły znajome dźwięki: sapanie, ciamkanie i prychanie.

Wrota zamykały trzy potężne zasuwki, Kim delikatnie odblokował je, odsunął i wolno otworzył ciężkie wierzeje.

— Kici... czy co tam... mój kochany... chodź tu, śliczny... Obłom parsknął, przestąpił z nogi na nogę, zerknął na niego małymi oczkami.

— To ja, ukochany szwagier mamy Warii — powiedział szeptem Kim, podając słońowi marchew. — Nie zamierzam cię kraść, tylko pożyczam. Zgoda?

Słoń ruszył do niego, wyszedł z zagrody, chwycił marchew i pochłonął z jednym chrzęstem.

— Wspaniale masz zęby. Zwłaszcza te, co sterczą z przodu — pochwalił go Kim. — Weź jeszcze marcheweczkę.

Podał słoniowi pęczek i póki ten zjadał go, z innych marchwi ułożył na ziemi swoje imię, żeby Waria wiedziała, co się dzieje z pupilem.

— Mamy go już pod kontrolą? — zapytał Trudego. „Tak. Inklin wprowadzony i działa, wspaniale. Obłom pójdzie z tobą”.

— Dobra, ja jadę — sprecyzował Kim, a słoń objął go trąbą i podstawił zgiętą przednią nogę.

Z nogi na kieł, z kła na szyję... Kononow usadowił się tam i poklepał słonia po głowie. Prychnąwszy, Obłom zrobił krok, drugi, wolnym klusem ruszył do ogrodzenia. Trzasnęły deski, z hukiem upadł cały odcinek płotu, zakołysały się girlandy lampek... Słoń wyszedł na pustą szosę i, nie wahając się ani chwili, ruszył na północ. Jego prędkość zadziwiła Kima; pewnie, to nie samochód, ale i tak poruszał się szybciej niż biegnący człowiek. Obłom znowu parsknął.

— Chce marchwi? — zapytał Kononow.

„Nie, prosi, żebyś zatańczył. Na jego grzbiecie”.

— Powiedz mu, żeby poczekał godzinę albo dwie. Będzie bal, będą tańce! Obiecuję!

## 14. UWOLNIENIE CZARODZIEJKI

Do twierdzy Czernowa przybyli o dziewiątej rano. Okazało się, że słoń nie może pędzić cały czas jak orłowski klusak. Gorzej — po klusie słoń przechodzi w stępa, a potem w przekąszanie gałązkami brzozy. Można było ponaglić zwierzę przy pomocy inklinu, ale Trixi odradzał, polegając raczej na naturalnym prowadzeniu sprawy. W końcu, Obłom musiał być sprawny — miał wyważyć bramę i potem demonstrować całą swoją moc i złość.

Dlatego Kononow nie ponaglał zwierzęcia, a napawał się wycieczką, prowadził filozoficzną dysputę z Trixim i oddawał się marzeniom, jak będzie wracał z Daszą, jak będzie go całowała...

Na skraju Komarowa Obłom zatrzymał się, skuszony polanką z soczystą koniczyną i niewysoką trawą.

— Odpoczniemy kwadrans, niech sobie podje i atakujemy — powiedział Kim. — Ty będziesz miał swój inklin, ja — Daszę, a potem obskoczmy wszystkich innych nosicieli, pozbieramy inkliny. I będziesz miał komplet. Polecisz do swoich gwiazd...

„Żał mi cię opuszczać — odpowiedział Trixi. — Muszę przyznać, że nasz kontakt polepszył moje zdanie o Ziemianach. Jesteście agresywni i okrutni, ale w tej dziwnej mieszance co i rusz trafia się jakiś prawdziwy rozum. Humanistyczny, szlachetny, z fantazją i szerokimi horyzontami”.

— Dziękuję. Zamierzasz odlecieć, jak tylko pozbierasz inkliny?

„Może się jeszcze trochę zatrzymam. Twój los mnie interesuje, a poza tym... Mówiłeś, że masz oddać powieść do piętnastego? To do piętnastego zostanę. Chcę wiedzieć, jak się to wszystko skończy — z twoim Cymmeryjczykiem, golemem, magiem i rudą czarodziejką”.

Kim poczuł się bardzo dowartościowany. Wyobraził sobie nawet, jak „Grotą Dajomy” wzlataje do gwiazd, by tam zyskać uznanie w dziwnym zapewne świecie, odległym o tysiące parseków...

„Chciałbym ci coś zostawić w prezencie — powiedział Trixi. — Ale poza mikrotranspunderem nie mam nic materialnego”.

— Ty jesteś prezentem. A poza tym... — Kim zgiął rękę i popatrzył na nabrzmiaty biceps. — Poza tym obdarzyłeś mnie siłą i tak dalej, może nawet przesadnie hojnie. Ta matryca Conana... to może być dar Danajów. Boja, Trixi, jestem spokojnym człowiekiem, a teraz wygląda, że potrafię zabić, zwłaszcza w gniewie...

„Na to nic już nie poradzę. Staraj się unikać sytuacji konfliktowych i pamiętaj o ideach humanizmu. Sądzę, że z czasem matryca zaginie, rozpuści się w tobie.”

— Ciekawe, jak mam unikać konfliktowych sytuacji, skoro mam jedną pod nosem. Czy nawet pod trąbą.

Słoń przestał się posilać, wyszedł na drogę. Zachowywał się jednak niespokojnie — kiwał ogromnym łbem, prychał i tupał. Kimowi wydawało się, że mentalna aura zwierzęcia z każdą sekundą się zmienia; wychwytyjąc jej subtelne odgłosy, czuł, jak wzbiera jego własna złość, chęć pomszczenia krzywdy, nie wiadomo jakiej, ale rodzącej gniew. Niespodziewanie obudziła się matryca Cymmeryjczyka, zaczęła mamrotać: „Pył i popiół... Wszystkich mieczem i toporem... Bij i rżnij szakale! Od ramienia do pachwiny! K-r-r-rew! K-r-r-r-rom lubi k-r-r-r-rew...”

— Co ty wyprawiasz z Obłomem? — rzucił Kim przez zaciśnięte zęby.

„Kontakt z jego świadomością jest ograniczony. On odbiera nie tyle myśli, co obrazy, a ja pokazałem mu obraz znęcania się nad twoją kobietą. On pamięta ją i lubi. Teraz jest rozdrażniony. Powiedz, co robić?”

— Ma wywalić bramę, rozpedzić psy i strażników a potem skierować się do willi! Dalej się zobaczy. Jeśli wyskoczy Czernow, niech go łapie i trzyma, ale delikatnie. Bez łamania żeber i skręcania karku.

„Dobra. Przygotuj się”.

Kononow nagle pochylił się mocniej i legł na obszernym słoniowym grzbiecie, zwierz rozpedzał się, ogromne stopy tupwały w asfalt, ogon miał wyprostowany, a uszy falowały w powietrzu niczym sztandary wojennego okrętu. Straszliwa rzecz, taki szarżujący słoń, pomyślał Kononow, obejmując szyję zwierzęcia. Z prawej, niczym taśma, przemykał mur, z lewej przelatowały drzewa, potem pojawiła się stara drukarnia i dał się słyszeć paniczny wrzask Trixiego:

„Trzymaj się! On skręca!”

Niemal nie zmniejszając prędkości, Obłom skręcił i wałnął w bramę barkiem. Dał się słyszeć rozdzierający zgrzyt, jakby ogromny nóż do konserw ciął równie gigantyczną puszkę, coś zaskrzypiało i pękło. Skrzydła rozwarły się, jedno zawisło krzywo, drugie z hukiem zważyło na dach mercedesa, stojącego przy strażnicy. „Znajoma fura” — zdążył pomyśleć Kononow. Obłom wspiął się na tylne nogi i całym ciężarem opadł na przednie, miażdżąc skrzydło i kabinę merca.

Potem żywy taran skierował się do strażnicy, uniósł trąbę i zatrał. Ten przeciągły dźwięk zupełnie nie przypominał wcześniejszych odgłosów słonia — słysząc w nim było wyzwanie i przedsmak przyszłej bitwy. Obłom wierzgnął nogą, trafiając nią w zmasakrowany wóz, pochylił głowę i napał na ścianę czołem i kłami, potem gwałtownie szarpnął głową ku górze, zrywając z budynku dach. Te trzy czyny zajęły mu nie więcej niż minutę i Kononow, podskakując na falującym grzbiecie, zauważył tylko jak miotają się psy i jak wali na ziemię wartownik, zahaczony chyba skrzydłem bramy. W strażnicy ktoś głośno wrzeszczał, w drzwiach pojawił się jakiś człowiek i natychmiast zniknął z powrotem za ścianą; dwaj inni przepychając się wyskoczyli przez okno, za nimi jeszcze para innych, rozebranych, oszalałych z przerażenia. Bez broni, jak zauważył Kononow.

Cała czwórka rzuciła się w krzaki, za nimi psy, wreszcie dojrawszy drogę ucieczki. Obłom zatrał znowu, przywarł do ściany, napał na nią. Ściana stęknęła, pojawiły się pęknięcia, posypały się cegły, wyleciały z okien szyby, cały budynek zaczął osiadać. Obłom sięgnął trąbą do wnętrza, wyszarpnął stamtąd łóżko, podniósł i cisnął w krzaki.

— Dość — powiedział Kim. — Tu już wygraliśmy, idziemy do domu.

Szał Obłoma jakby opadł. Posłusznie skręcił w alejkę, prowadzącą do willi i pomaszerował, miarowo kołyszając trąbą. Kim obejrzał się, powalony przy bramie ochroniarz wstał i obmacywał zębra. Wyraz jego twarzy niełatwo byłoby opisać.

Żyje, z ulgą pomyślał Kononow, odwracając się ku domowi. Wbrew oczekiwaniom drzwi i

okna były jeszcze zamknięte, ale za poręczami balkonu i przeszklonym frontonem przemykały jakieś cienie. Słońce jak na złość, świeciło prosto w oczy, nie można było zobaczyć, co się tam dzieje, ale coś się działo. Kononow widział jakąś niewyraźną postać, która stawała się coraz bardziej wyrazista. Jakby ktoś poruszał się z oddali ku szklanej tafli i nagle otworzyły się drzwi balkonowe. W otworze, plecami do Kononowa, stał mężczyzna w szlafroku. Właściwie — nie stał, a cofał się, jakby krok po kroku odsuwał się od napierającej na niego, niemożliwej do pokonania furii. Sekundy rozciągają się do nieskończoności, wchłaniając głośne sapanie słonia i trzask krzaków pod jego stopami.

Potem w drzwiach pojawiła się Dasza — szła somnabulicznym krokiem, z bladą, skamieniałą twarzą, z wyprostowanymi rękami. Chyba nawet miała zamknięte oczy... Ten widok tak przeraził Kima, że poderwał się na równe nogi i z trudem zachowując równowagę, krzyknął:

— Dasza! Daszeńko! Kochana, tu jestem! Już jestem, nie bój się!

Do schodów na ganek willi zostało pięćdziesiąt kroków, do balkonu pod wygiętym dachem — nieco więcej. Okrzyk Kima rozerwał ciszę i jakby przyspieszył bieg czasu: Daria drgnęła, weszła na balkon, a człowiek w szlafroku cofnął się jeszcze o krok, dotknął poręczy pośladkami, odchylił do tyłu i nagle z krótkim wrzaskiem poleciał na ziemię.

Żeby na ziemię.

Spadł na kamienny schody, tył głowy huknął o kant stopnia, Kim zobaczył, jak głowa Czernowa dosłownie eksploduje fontanną krwi i zmiądzonych kości, i natychmiast przepełniło go przecucie nieszczęścia. Nieodwracalnego nieszczęścia! Stojąc na grzbiecie Obłoma, zbliżając się do Daszy i patrząc, jak topnieje jej kamienne do tej chwili oblicze, Kim słyszał rozpaczliwe wrzaski Trixiego: „Nie zdążyłem! O Wielka Galaktyko!, nie zdążyłem! Wszystko nadaremno, wszystko! Nie złapałem!”

Słoń zatrzymał się pod balkonem, wyciągnął trąbę w kierunku ciała, obwąchał je, parsknął z obrzydzeniem. Dasza znieruchomiała przy poręczy, a jej spojrzenie przenosiło się z Czernowa na Kima. Kononow zmusił się do uśmiechu, podniósł ręce i powiedział:

— Skacz, jaskółeczko! Złapię cię!

Daria skoczyła.

Obejmując ją, całując słone od łez oczy, Kim ugiął się pod sztormem emocji. Płakała kobieta, przywierając do jego piersi, płakał nieziemski przybysz...

Zjechali na trawę.

— Obłom, Obłomek... — Daria czule pogłaskała trąbę i popatrzyła na Czernowa. — Martwy... Umarł, umarł... Nie chciałam, Kimeczku! Nawet nie wiem, jak to się stało... Nie życzyłam mu śmierci, tylko prosiłam, żeby mnie puścił i zostawił nas w spokoju...

Kim pogłaskał ją po włosach.

— Wierzę, że nie chciałaś, ale co się stało, nie odstanie. Uspokój się, słoneczko.

„I ty też — zwrócił się w myślach do Trixiego. — Przestań lamentować, coś wymyślimy. Klnę się na Galaktykę, wymyślimy!”

Szloch przybysza umilkły, nie wiadomo, czy pogodził się ze stratą, czy uwierzył zapewnieniom Kima.

„Masz pojęcie, co się stało?” — zapytał Kim.

„Tak. W chwili strasznego psychicznego napięcia udało się jej połączyć z inklinem. Bardzo słaby to był związek, ale jednak... Widzieliśmy myślowy pojedynek, Kimie i ona go wygrała. A ja... ja nie zdążyłem! Odległość była zbyt duża. Teraz...”

„Teraz będziemy myśleć, jak zaradzić nieszczęściu. Postaraj się uspokoić. Dasza ma inklin, a ty też masz ich prawie setkę”.

Kononow wypuścił Daszę z objęć i przyjrzał się Czernowowi. Stopnie były zachlapanie krwią,

pod głową zabitego rozplynęła się purpurowa kałuża, szkliste oczy spoglądały w zenit, spod szlafroka wystawały blade nogi. Ani żywy, ani martwy Pał Pałycz nie przypominał groźnego maga Gor Nebsechta: niewysoki, chudy, łysawy, z drobnymi rysami twarzy. Długi nos i wyszczerzone zęby czyniły go podobnym do szczura.

Koszmarne widoki, pomyślał Kim i, wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, przykrył nią twarz zmarłego.

— Kim?! Co my teraz zrobimy? Ochroniarze... przecież wszystko widzieli! Opowiedzą...

— ...to, co im każesz. Ty jesteś spadkobierczynią. Panią!

— Kochany, poważnie mówisz? Ja nie chcę jego bogactwa! Nie chcę złamanego grosza! Ja...

— Będziesz musiała pocierpieć, przynajmniej póki się śledztwo nie skończy. Potem możesz to wszystko rozdać, na przykład kalekim dzieciom, chętnie ci pomogę. — Kim popatrzył na rozwaloną bramę, zastanawiał się chwilę. — Wiesz, co im opowiesz? Słonia, oczywiście, nie było — po prostu runęła zmurszała stara strażnica. Usłyszawszy huk, gospodarz rozespany wyskoczył na balkon, a potem... Tragiczny wypadek. Ochrona potwierdzi.

— Kochany, ty...

— Jestem pisarzem — powiedział Kononow. — Inżynierem ludzkich dusz i duszyczek. Z wyobraźnią. Nie przeraża cię to?

Pokręciła głową, rude kędziory zawirowały dookoła głowy.

— Ciągłe jeszcze chcesz wyjść za mnie? Zostać matką moich dzieci, dożyć ze mną starości i umrzeć jednego dnia?

Tym razem odpowiedź była pozytywna. Wysączywszy całą płynącą zeń słodycz, Kononow powiedział:

— Słonia odprowadzę. Ukryjemy się w lesie, a ty, słoneczko, poinstruuuj personel co widział i zadzwoń na milicję. A także do cyrku, przeproś Warwarę, że jej porwałem słonia i powiedz, żeby przyjechali po niego. Może być pod wieczór.

Daria skinęła głową, rzuciła spojrzenie na nieboszczyka. Zbladła.

— Nie patrz na niego — powiedział Kim. — Czarnoksiężnik jest martwy. Czarodziejka — wolna.

\* \* \*

Za murem znalazła się w lesie gęstwina akacji i duża sterta liści. Tam Kononow urządził capstrzyk, kazał Obłomowi położyć się i pograć we śnie, pod kontrolą inkлина. Kolejne dwie godziny spędził pod sklepieniem lasu, walcząc z komarami i lecząc duchowe rany Trixiego. Jak każdy rasowy pisarz, Kononow potrafił przekonywać, dlatego jego argumenty zostały wysłuchane i miały psychoterapeutyczne działanie. Trixi stopniowo uspokajał się i po upływie dwóch godzin już nie szlochał, a tylko cicho popiskiwał, niemal pogodzony ze stratą. Słuchając monotonnego pisku Kononowowi opadły powieki, zapadł w płytką drzemkę. Sny jednak miał niespokojne.

Obudził się, kiedy słońce minęło południe. Obok wznosił się i opadał wielki bok Obłoma, a przed nim błyszczały zielone oczy Daszy — siedziała przed Kimem i gałązką odpędzała od niego komary. Widząc, że Kononow obudził się, posłała mu zmęczony i smutny uśmiech.

— Odjechali... Przesłuchali, zabrali ciało... Do kostnicy, na sekcję...

— Taka procedura. Nagła śmierć — Kononow usiadł i pogłaskał ją po policzku. — Nie przejmuj się. Nikt go przecież z balkonu nie popychał, nikt go nie zrzucił... Ani ty, ani ja.

— Nie wiem, kochany. Nie jestem tego taka pewna. Ty, oczywiście, nie masz z tym nic wspólnego, ale ja...

— Dasza spochmurniała. — Wiesz co, ja ci opowiem, a ty słuchaj i powiedz, co się wydarzyło.



— Nie musisz, Daszeńko. Nie chcę słuchać. Lepiej nie dręczyć się wspomnieniami.

Dasza pokręciła głową.

— Płakać po nim nie będę, ale opowiedzieć muszę. Muszę, rozumiesz? Tylko tobie i tylko ten jeden raz... Może to ważne, dla nas obojga — W jej oczach pojawił się cień, policzki zabarwił słaby rumieniec. — Umowa była, że spotykamy się w Urzędzie Stanu Cywilnego, złożymy podanie o rozwód. Ale nie dotarłam do Pałacu Ślubów, wrzucili mnie do samochodu i wywieźli, a potem... On... rozumiesz... przychodził do mnie, namawiał, ciągle pytał, czego mi brakuje. Wcześniej, mówił, wszystko było dobrze — wyszłaś za mnie, do łóżka poszłaś bez skargi, a teraz co? I patrzył, patrzył, jakby hipnotyzował... A ja nie wiedziałam co powiedzieć. Wcześniej podporządkowywałam się jego wzrokowi, jakbym była zaczarowana, a teraz to nie działało. Patrzę, a to obcy, nienawistny mi człowiek! A dziś rano...

Dasza rozpląkała się, Kononow ją objął, przytulił.

— Przez cały czas byłaś na górze?

— Tak. Tam są moje pokoje, w mansardzie pod dachem... Drzwi zamknął, na skok z balkonu nie miałam odwagi, za wysoko, no i ochrona... Teraz to oni są tacy układni, a za Czernowa... — Zasepiła się, ale po chwili machnęła ręką. — Rano przylazł do mnie, zaczął obmacywać i nagle słyszę — coś jakby trąbienie słonia. Cud, prawda? Tak mi się wydawało... Potem huk i znowu trąbienie... Chciałam wyjść na balkon, a on mnie nie puszcza. Nie puszcza, wyobraź sobie! Jakbym była niewolnicą! Tak mnie to rozzłościło... Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć — popatrzyłam na niego, a on się zgiął, rękami zaczął zasłaniać i cofać... i tak się cofał do poręczy...

„Czasowy kontakt z inklinem” — skomentował Trixi.

— Lokalna luka w barierze rezystencji. Bardzo ciekawe! Gdyby moje sprawy nie stały tak kiepsko, zająłbym się tym efektem”.

„To się zajmij — w myślach odpowiedział mu Kim. — Badania naukowe to najlepszy środek na chandrę”. Daria popatrzyła mu w oczy.

— Kimeczku, powiedziałeś kiedyś, że jestem czarodziejką. Może nie czarodziejką, a wiedźmą? Może ja...

— Wiedźma, to się zgadza — powiedział Kononow. — Wiedźmy są zazwyczaj rude i zielonookie. Ty jesteś wiedźmą, a ja mam w głowie przybysza... Trafił swój na swego.

— Ja poważnie...

— Jeśli poważnie, to czym się zajmujesz? Tym, co było wcześniej czy tym, co teraz? I dlaczego się nie poddałaś? Sama wiesz, co się zmieniło.

Pocałował Darię, a ona, po chwili, mruknęła:

— Zmieniło się... Pewnie, że się zmieniło...

Obłom głucho sapnął we śnie, poruszył trąbą i dmuchnął. Ciepłe powietrze uniosło w powietrze włosy Daszy.

## 15. ZBĘDNY INKLIN.

Minęło kilka dni.

Kim siedział przy komputerze na Prezydenckim, pożerał jabłka, pędził z tekstem, pracował jak wściekły, by wieczorem rozkoszować się czułymi troskami Daszy — piciem herbaty we dwoje, gruchaniem przy oknie. Dasza przychodziła zmęczona, ale natchniona: opowiadała, jak jedni prawnicy załatwiają spadek, drudzy wyszukują komu i jak przekazać bogactwo Czernowa. W „Conanie” gospodarzył Sławik Kanada, Obłom wrócił na arenę i Waria co wieczór tańczyła na

jego grzbiecie. Czernowa skremowano i wyrzucono z pamięci. Kononow odebrał zaliczkę, co spowodowało, że Tergal–Zad zaczął dwa razy dziennie dzwonić z pytaniem, jak posuwają się prace.

Posuwały się. Zamek został zdobyty i oddany zdobywcom do złupienia. Drużyna czarnoksiężnika została wybita, a sam Gor Nebsecht walał się w krwawej kałuży przed ołtarzem z czarnego kamienia. Demon, co w nim mieszkał, w ostatniej chwili uciekł, ale wybrał nie Conana a Idreina, omyłkowo uznawszy, że golem jest właśnie tym herosem, niezwyciężonym i potężnym, w którego należy się przenieść. Oczywiście od razu okazało się, że to wpadka, ponieważ golem nie ma duszy, a bez duszy Idrein jest ubogą kwaterą dla demona. Nawet gorzej — golem stał się dlań pułapką, ponieważ w tej bezdusznej istocie demon istnieć nie mógł i był skazany na szybką śmierć. Demon wściekł się, atmosfera stała się napięta, a Kim znakomicie ją wzmagając, zmierzał do sceny finałowej.

Pracował po dziesięć godzin dziennie; wcześniej, przy takim tempie, po zakończeniu pracy czuł się fatalnie: oczy łzawiły, plecy bolały. Wcześniej... Zanim Trixi zajął prezydencką jedynekę w jego hotelu pod czerepem. Teraz nic nie bolało, a energii zostawało mu aż nadto. Bardzo pożyteczna symbioza. Ale pożyteczna jednostronnie: Trixi z nawiązką wypełnił swoje obietnice, a on, Kim Kononow dał plamy. Przez ten atak słoniowy zaginał inklin...

„Nie ma w tym twojej winy, to tylko fatalny zbieg okoliczności — odezwał się Trixi. — Zdarza się... Wiek naszej cywilizacji to setki milionów lat i też nie do końca sterujemy przypadkami, nikt tego nie potrafi. Można przewidywać tendencje, można budować modele i zbliżać się do prawdziwego modelu świata, ale i tak przypadek jest nieprzewidywalny i nagły; jest panem Wszechświata. — Przybysz milczał chwilę. — Okres naszego życia jest niemierzalny, wy istniejecie tylko krótką chwilę, ale życie nasze i wasze są tylko ruchami molekuł na tle wieczności. Skok tu, skok tam...”

— Coś cię wzięło na filozofię — powiedział Kim. — Ja osobiście nie skaczę ani tu, ani tam. Ja się poruszam po określonej trasie: biurko — stół z obiadem — wydawnictwo. Skoki molekuł są chaotyczne, a ludzie mają ośrodki przyciągania, powiedzmy lodówkę z piwem, kasę...

„Żartujesz...”

— Żartuję. — Po chwili zapytał: — Powiedz mi, Trixi, czy nie może ktoś z rodaków dać ci inkлина? Niepotrzebnego, zbędnego? Może ktoś ma, jak szósty palec u nogi, który bez żalu można sprezentować potrzebującemu koledze.

„Inklin nie jest palcem i nie istnieją zbędne inkliny. Ale gdyby mi nawet zaproponowano taki, to bym odmówił, bo ktoś inny byłby na moim miejscu kaleką”.

Kononow pokiwał głową, podrapał się po niej. Coś mu się rodziło w głowie, ale był to tylko zarodek, do kwiatu brakowało mu trochę. W każdym razie Trixi nie wychwycił tego pomysłu.

— Czyli cudzego inkлина nie przyjmiesz z powodów moralnych — powiedział Kim. — Ale zapasowy? Z jakiegoś społecznego funduszu?

Trixi tylko westchnął.

Pomysł Kononowa zaczął się kształtować.

Ale jeszcze nic nie mówił, balansował na skraju dwóch realności, ziemskiej i hyborejskiej, i wiedział, że każdy nowy pomysł może przerwać te niewidzialne nici, łączące go z zaczarowanym zamkiem, z Conanem, Idreinem i demonem, który osiedlił się w golemie. Ten złośliwy demon wcale nie przypominał Trixiego, ale wypadało uszanować jego moc, zabijając w odpowiednim stylu, bez krzątaniny i pośpiechu. I przy okazji golema też załatwić. Albowiem opowieści o Cymmeryjczyku miały jedną wspólną cechę: zakończenie pro tempore, wróg zabity, barbarzyńca triumfuje. Nic nie mogło złamać tej zasady, pod groźbą utraty honorarium. Nikt zresztą nie próbował.

Czyli tak: rozjuszony demon w ostatniej chwili napuści golema na Conana. Tu potrzebna jest ekspresyjna końcóweczka, burza emocji! Idrein podniesie topór na swego pana! Scena o sile bomby burzącej, a zacznie się tak:

„— Stój, gdzie stoisz, szare ścierwo! — ryknął Conan, ważąc w dłoni stalowe ostrze.

Ten pies, ten przygłup, ta czkawka Nergala groziła mu! Cymmeryjczyk wiedział, że się nie myli; czy to mało widział różnych twarzy skażonych nienawiścią i złością? Takim było oblicze golema w tej chwili. Poprzednie rysy, grube, jakby wycięte w kamieniu przez niezręcznego rzeźbiarza, nagle zyskały na wyrazistości, a oczy, w których wcześniej gościła tylko obojętność, zmieniły się w dwa płonące węgle...”

Mniej więcej po czterdziestu minutach Kononow dotarł do ostatnich słów i zamyślił się. Standard, zakończenie w konwencji happy end: wszyscy wrogowie pokonani, demon zdechł w ubogiej świadomości Idreina, sam Idrein skamieniał, a Gor Nebsecht leży przed ołtarzem. Finita la commedia... koniec... krótki i dynamiczny jak wbicie gwoźdźcia w wieko trumny jednym uderzeniem... Conan sam w ogromnej sali, nad trupami golema i czarnoksiężnika... Co teraz zrobi?

Przyłożywszy się do klawiatury, Kim wystukał: „Splunąwszy na ołtarz z czarnego kamienia, uśmiechnął się i poszedł do wyjścia”.

„Koniec?” — w umyśle pojawiło się pytanie Trixiego.

— No wiesz, szlif, krótki epilog, strona albo dwie komentarzy... parę dni. Wyrobię się w terminie. — Kim wychylił się przez parapet i wyjrzał na ulicę, zgadując, z której strony pojawi się Dasza: przyjedzie taryfą, czy pieszo od metra.

Koniec. Może urządzić święto, pójść do cyrku, zobaczyć występ Warii, pomyślał. Kwiaty, szampan, banany dla Obłoma. Stosunki rodzinne wymagają kultywacji, a co lepiej je umacnia jak nie święta i uroczystości?

Trixi przerwał rozmyślania Kononowa.

„Historia przez ciebie wymyślona, została zapisana. Połączyłem się ze swoim mikrotranspuderem i sądzę, że nadeszła pora pożegnania. Raczej się już nie spotkamy, mój wspaniały przyjacielu. Ja, kaleka, więcej w kosmos nie polecę. Ale zachowam najlepsze...”

— Dokąd? — Kim aż podskoczył. — Dokąd się śpieszysz? Powieść skończona, ale nie nasza umowa! Mam taki mały pomysł... Poczekaj, poczekaj, jeszcze cię nie puszczam!

„Ale moje obowiązki służbowe...”

— Poczekają. — Kim chwycił z miski jabłko. — Co mamy w tym momencie? Ty odniosłeś kontuzję — tu, na Ziemi. Została utracona część twojej mentalnej istoty... — Z chrzęstem odgryzł kawałek jabłka i pokręcił je w rękę, jakby demonstrując jego niedoskonałość. — Ja, twój przyjaciel i kontaktor, ponoszę za to odpowiedzialność. Przed naszymi światami i przed całą Galaktyką! Nie mogę dopuścić, by oceniano nas jak barbarzyńców, kradnących inkliny gościom z kosmosu. Dlatego też... „To brzmi bardzo uroczyście — przerwał mu przybysz.

— Ale kompletnie nie rozumiem, do czego pijesz”.

— Możesz mnie przesondować. Pozwalam ci — powiedział Kononow i skończył jabłko. — 1 zabierz sobie, to... Pamiętasz, mówiłeś, że ja też mam coś jak inkliny... Bierz go.

Przez sekundę w mentalnych przestrzeniach panowała cisza, potem rozległ się triumfujący wrzask Trbdego.

„O! Jaka hojność! Jaka bezinteresowność i szlachetność! Jaki bezcenny dar! Ale, Kimie, nie mogę go przyjąć!”

— Dlaczego to? Przecież ja ze szczerego serca... Bierz i władaj!

„Ale ty... ty... Proponujesz mi inklin bohatera stworzonego przez swoją wyobraźnię! Conana!”

— Nie tylko przez moją — skromnie zauważył Kim.

— Bierz, mówię ci. Będiesz dobrze upakowany, będziesz miał wszystkie inkliny i jeden egzotyczny. To ci w karierze pomoże, i w rozmnażaniu. Bo wiesz, egzotyka pobudza.

„Ale...”

— Nie sprzeczasz się! Powiedziałem — bierz! Przecież to przypadnie, zmarnuje się, rozplynie... A szkoda! Taka osobowość, taka moc i siła! — Kim cisnął ogryzkiem w okno. — Podarowałbym ci młot, ale nie uciągnie go twój transpunder...

„Zachowam mentalny obraz — powiedział Trixi drżącym głosem. — Zachowam pamięć o was, o Daszy, o Drew–Dorienko i staruszku ze sklepu „Cymmeria”... I, rzecz jasna, o tobie, mój szczodry, szczery przyjacielu! Przyjmuję twój dar, tę zamianę zaginionego inkлина. I mam nadzieję, że on pomoże mi przekazać twój utwór, twoją „Grotę Dajomy”, nie tylko w szczegółach, ale z uczuciem i odpowiednią ekspresją”.

— Autora podaj, nie zapomnij — przypomniał Kim.

— Prawo autorskie obowiązuje w całej Galaktyce!

„Oczywiście, a teraz...”

— Teraz się wycalujemy według naszego obyczaju.

— Kononow otarł wilgotne oczy i skierował się do okna.

— Masz tu... niebo szerokie... ogromne, ani ścian, ani sufitu... Stąd ci będzie łatwiej odlecieć...

Wycalowali się, rzecz jasna, mentalnie. Potem...

Potem coś drgnęło, trzasnęło, odwróciło się w głowie Kononowa i nastąpiła pustka. Taka, jaka powstaje, gdy jedna powieść jest skończona, a druga jeszcze nie zaczęta.

Długo wpatrywał się w wieczorne niebo, po którym płynęły nad lasem obłoki i świeciła pierwsza gwiazda. Potem podszedł do półki, popatrzył na zdjęcie Daszy, pocałował ją, odsunął się i pustka znikła. Już nie był sam! Oczywiście, że nie był samotny! Są rozstania, są spotkania, coś się kończy, coś zaczyna. „Przychodzi i zostaje na zawsze” — szepnął Kim. Jego dłoń przejechała po jaskrawych grzbietach i nagle zatrzymała się na opasły tomie. Kim wyjął go i przeczytał: „Miasto w jesiennych gwiazdach” Michaela Moorcocka. Książka otworzyła się sama, słowa pobiegły, popłynęły, pomknęły, usiłując dogonić się wzajemnie, a on wchłaniał je i myślał o przybyśzu, który pędzi teraz przez kosmiczny mrok, śpiesząc do domu.

Myślał o tym, co przydarzyło się jemu, Kimowi Kononowowi. Rzadki, niemal niemożliwy zbieg okoliczności? Cud, magia? Cóż, zdarzają się i w naszym świecie rzeczy magiczne, wszystko się zdarza... Świat jest ogromny i cudowny... Jest w nim wszystko, łącznie z tym, co znajduje się w powieści Moorcocka...

„Zdarzają się chwile, kiedy gwiazdy na niebie ustawiają się w określonym porządku, nasz wszechświat przecina się z innym, niewidzialnym i poświęceni adepci otrzymują możliwość przekroczenia granicy, oddzielającej jedną realność od drugiej. Taka gwiazdna konfiguracja jest zjawiskiem rzadkim, zdarzającym się raz na tysiąc czy dwa tysiące lat. Z takim układem ciał niebieskich łączą się określone wydarzenia, mające miejsce we wszystkich stykających się ze sobą światach, kiedy granice zacierają się i rodzą się nowe realności”.

*tłum. Eugeniusz Dębski*

*Julij Burki  
Baboczka i wasilisk*

## MOTYL I BAZYLISZEK

*Wszelka sztuka jest absolutnie bezużyteczna*

*Oskar Wilde*

*Jeśli czegoś nie wolno, ale bardzo się tego chce, to wolno*

*mądrość ludowa*

### PROLOG

Co się tyczy niewinnej ofiary, to cała historia skończyła się tak...

Pod sam koniec nocy, niemal przed świtem, więzień o ksywie Grib obudził się, żeby się wysikać i teraz chciwie dopalał leżącego obok bardachy, zawilgoconego peta. Wiedział, że oberwie za to, ale nie mógł się powstrzymać: po prostu obłądnie chciało mu się palić.

Grib w hierarchii więziennej znajdował się w ludziach, komitet postanowił nie klasyfikować go niżej: przyda się swój lekarz, w końcu persona nawet w świecie znana, a korzystać z medycznych usług cwela nie pozwoliłby złodziejski honor. Był więc Grib człowiekiem, choć na kilometr widać było, że inteligent — każdego innego, kto nie byłby tak cenny, za samo słownictwo, za te ciągłe „przepraszam”, „nie zamierzam się sprzeczać z panem”, wdeptano by w śmierdzące błoto żony.

Ale i tak obrywał swoje i był poniżany. Jakże by bez tego w więzieniu? Szczególnie jedna sprawa mu dokuczwała: jeszcze w areszcie tymczasowym trzej recydywiści odbili mu nerki i teraz zdarzało się, że moczył się przez sen — jeśli, jak dziś, nie zdążył się obudzić i dobiec do kibla. A kiedy zdarzała się taka sytuacja, to rano poddawany był haniebnej procedurze: zwalniano go z pracy i nie pozwalano stanąć w szeregu do śniadania i obiadu, póki starannie nie wypierze pościeli i materaca oraz ich nie wysuszy: latem — na podwórku, w zimie — w suszarni. A przez cały ten czas każdy przechodzący obok uważał za obowiązek splunąć na niego, dać w pysk albo zbesztać: „Ech, ty śmierdzielu czterooki!”, „Szczyl cholerny!...”

Nieraz już odpędzał od siebie myśl o samobójstwie, a czasem i nie odpędzał, chwilami wręcz napawał się nią. Teraz też, urwawszy kilka złodziejskich sztachów, zastanawiał się nad ucieczką do świata bezdennej pustki i znajdował w tych marzeniach upragniony spokój.

Pod czyjąś stopą zgrzytnął rozbity kafelek podłogi i przestraszony Grib cisnął niedopałek do bardachy. Ale niepotrzebnie — usłyszał, jak zaszumił kran, woda popłynęła do umywalki i przybysz głośno zassał strugę, a potem wyszedł z ubikacji.

Ale kiep był już nieodwołalnie stracony i Grib, tłumiąc złość na samego siebie, już miał wrócić, żeby do — spać noc, gdy nagle przez otwarty lufcik, przez zardzewiałą siatkę do kibla wleciał kwiecisto-aksamitny motyl pawik, Vanessaio, usiadł na rękawie jego brudnego czarnego drelichu.

Dziwne uczucie wywołał ów gość w duszy więźnia. Coś takiego zdarzało mu się w młodości, kiedy bardzo ładna koleżanka jego starszej siostry, Lila, robiła do niego słodkie minki i cichutko wygłaszała nieprzyzwoite komplementy. Było mu wtedy przyjemnie, choć rozumiał, że tak naprawdę jest obiektem kpin, a przy tym bał się, że ta lekka ironia zmieni się w wyraźne szyderstwo.

Ambiwalentne uczucie radości, strachu i niestosowności. Nie wolno było dopuszczać do tego, aby w jego aktualnym zakurzonym, drelichowym, kiblowym świecie powstawało takie, nawet małe, latające szkiełko kalejdoskopowego szczęścia.

— Hej, słyszysz mnie — powiedział półgłosem do motyla, — słyszysz, nie wolno ci tu...

Motyl popatrzył nań poważnie i ufnie, kichnął i odpowiedział:

— Ale ja nie zamierzam długo tu siedzieć.

Ale Grib nie znał motylowego języka, nie pojął kichnięcia motyla ani jego mimiki; dlatego też nie zrozumiał jego dalszych słów:

— Mam na imię Maja. Zostałam przysłana, żebyś popatrzył na mnie i zrozumiał: wkrótce twa męka się skończy, wkrótce będziesz na wolności.

Grib, wpatrując się w perskie wzory motyli skrzydełek, mimo że nic nie usłyszał, pojął: wkrótce jego męka się skończy, wkrótce będzie na wolności.

— Dziękuję — powiedział półgłosem, a motyl, usłyszawszy to, wyfrunął przez kratkę lufcika w mrok nocy — w mokre burzowe niebo.

## 1.

— Papier! Pióro! Atrament! — rozkazał bazyliszek, rozparłszy się na haftowanych perłami chińskich poduszczykach, a dwa wiernie bżowe trolle — gnomek Homek i karzełek Marksik — przebierając chwilę nóżkami w miejscu, rzuciły się w głąb pieczary.

Głodna żmija owinęła się dookoła szyi władcy i czyściła jego kły rozdwojonym językiem, wygrzebując ze szczelin między zębami krwawe włókna pozostałe po kolacji.

— No, wystarczy — rzucił, a szczęśliwa gadzina, ześliznąwszy się po jego giętkim, brylantowo-luskowatym korpusie, owinęła się poządliwie wokół podobnego do węża fallusa i chciwie przypadła do niego pyszczkiem.

W studniach oczu Pana zrodziły się i natychmiast zgasły dwa purpurowe błyski, a szmaragdowe ściany, posłuszne sygnałowi, poczęły emitować neonową zielen.

— Pisz — skinął bazyliszek na bżowego Marksika, który zdążył już powrócić. W tym samym momencie gnomek Homek runął przed nim na kolana, udanie imitując biureczko. Marksik pośpiesznie rozwinął na jego żebrach biały arkusz papieru, umieścił na krzyżu oprawioną w platynę ludzką czaszkę — kałamarz, zanurzył w niej pióro flaminga i — usłużnie znieruchomiawszy — począł czekać.

Stał tak, bojąc się poruszyć, a bazyliszek, jak zawsze przed kolejnym listem, błądził bez celu w brudnych labiryntach pamięci. Bogini, Grib i zdrada, biel pokoju i zbawczy skalpel lekarza, czułe dziecko i ból, piekielny ból, gdy pęka, niczym kora, zdrewniała skóra; śliskie ściany studni, walka z poprzednikiem, smak j ego ciała i koronowanie... I pragnienie, tak, i niezaspokojone pragnienie.

W końcu, wyrwawszy się z odrętwienia, westchnął z jękiem — niskim i głuchym — i wyjął z oczu malutkie stalaktyty łez. Musiał dyktować tak, aby TAM nie dało się wyczuć, jak daleko znajduje się od zewnętrznego świata. Coś prostego.

— Pisz — powtórzył. I karzełek zaczął pośpiesznie, starając się nie opuścić ani jednego dźwięku, zapisywać nieznane mu połączenia słów.

Witaj, Witaleczku, synku mój kochany. Wybacz, że piszę tak rzadko, ale zależy to nie ode mnie: poczta nasza zabierana jest tylko raz w miesiącu. To nic, potem kiedyś wszystko ci opowiem, to może być nawet bardziej interesujące. Piszesz mi, że uczysz się dobrze, bez trójek. Zuch. U mnie też wszystko w porządku. Piszesz mi, że Mama czyta moje listy, pytasz, dlaczego piszę tylko do Ciebie. Przecież wyjaśniałem Ci to. Chociaż może trudno Ci to zrozumieć. Posprzeczaaliśmy się z nią przed moim wyjazdem. Ale kiedy przyjadę, z pewnością się pogodzimy. Na razie nie wiem, kiedy to nastąpi. Mam bardzo dużo pracy. Jest tu zimno, ale bardzo ciekawie. Pytasz, czy

widziałem białe niedźwiedzie. Tak, często je widuję. I morsy, i pingwiny. Może nawet przywiozę Ci małego pingwinka. Tylko nie pytaj Mamy, dlaczego się posprzeczaaliśmy, nie czepiaj się jej, ja sam Ci kiedyś wszystko...

Dyktował, dyktował, a jednocześnie przez jego głowę przelatywały obrazy z odległej przeszłości. Raz czuł się sobą, drugi raz — jakby oglądał siebie cudzymi oczami, z boku.

\* \* \*

— ...beznadziejny — Gribow odłożył na bok kartę chorobową pacjenta. — Po prostu beznadziejny przypadek.

Ja, stojący na korytarzu i podglądający przez szparę w drzwiach, poczułem się głupio.

— Może da się zoperować? — zapytał nieznany mi lekarz.

— Jedna szansa na tysiąc. Nawet nie wiem, czy bym się tego podjął. Chyba że w ramach eksperymentu. Ale bez tego — góra pół roku. Szkoda.

Skąd on, Grib, miał wiedzieć, że ja, po pierwsze, akurat w tej chwili wdepnąłem do jego ośrodka kardiochirurga, a po drugie, że jestem świadomy, o kim mowa — o mnie. Pielęgniarka, bardzo ładna nawiasem mówiąc, potknęła się pod drzwiami gabinetu, pomogłem jej pozbierać rozsypane arkusze i zobaczyłem, że to moja historia choroby.

Beznadziejny. Co z tego wynika? „Góra pół roku...” Szkoda mu, widzicie go? To wszystko, co mógł powiedzieć z okazji mojego bliskiego zgonu. Eksperymentator! „Szkoda...” A co ja mam powiedzieć?!

Co można zrobić przez pół roku? — zastanawiałem się, ruszając w kierunku swego zniechęconego biura.

— Przede wszystkim powiem szefowi, żeby mnie pocałował w dupę. Szef... Śmiech na sali. Baran cholerny, a nie szef. Co jeszcze? Odejdę od Iriny. A czy warto? Pół roku nie wyrok... Warto. Przynajmniej ostatnie miesiące pożyję bez kłamstwa. Dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej? Bo byłem odpowiedzialny. Za nią i za Witalka. A dziś los takie rozdał karty, że cała odpowiedzialność traci sens.

I nagle wyobraził sobie siebie martwego. Zobaczył swoje, niezbyt sympatyczne ciało na stole prosektorium. Zupełnie nagie. Oczy na poły otwarte. Żuchwa podwiązana tasiemką. Cera — ziemisto matowa. Na całym ciele opuchlizna i siniaki. Ciało to i za życia nie wyróżniało się urodą, a teraz... Jasny gwint! Przecież wszyscy wiemy, że umrzemy. Zazwyczaj świadomość realności śmierci zagnieżdża się w nas we wczesnej młodości, akurat wtedy, gdy życie ma najwięcej aromatów i uroków. Pewnie w taki sposób natura utrzymuje bilans.

Zakłuło w sercu, pospiesznie usiadł na pobliskiej ławeczce. I w mig cały pokrył się lodowatym potem.

Nie, odwrotnie. Będę spokojnie chodził do pracy, żeby nie myśleć o nadchodzącym, a kiedy już się położę, Irina będzie się mną opiekowała. Muszę w końcu mieć kogoś, kto poda mi choć szklankę wody... Co za banal! „Szklanka wody”. No to co, że banal. I tak ktoś powinien ją podać.

Wydawało mu się, że postanowił już na mur. Ale szef, po raz któryś z rzędu, zaczął akurat tego dnia besztać go jak małego chłopca: „Proszę sobie uświadomić, że jeśli jeszcze raz wyjdzie pan z pracy bez mojego osobistego zezwolenia, będziemy rozmawiali naprawdę poważnie...” Więc gdy to usłyszał, splunął na wszystkie swoje twarde postanowienia, wstał od biurka purpurowy ze złości i powiedział to wymarzone: „Pocałuj mnie w dupę, baranie!” I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

I tak przyjemnie zrobiło się tego dnia, że w nocy spokojnie oświadczył żonie: „Dowiedziałem się, że przeżyję najwyżej pół roku. Tak powiedział lekarz. Nie złość się, ale chcę trochę pomieszkać sam. Muszę się zastanowić, jak godnie spotkać... Andrzej, kiedy wyjeżdżał, dał mi

klucze od swojego pokoju. Ma wrócić za rok, a wtedy już będzie po wszystkim. Na razie więc pomieszkam w jego hotelu asystenckim.”

Irina zrozumiała go. Płakała z twarzą w poduszce, ale zrozumiała.

## 2.

Od dawna ludziom wiadomo, że w chytrych głowach jadowitych węży znajduje się drogocenny karbunkuł. Wiadomo im też, jak wielka jest wartość tego kamienia — tak od jubilerskiej, jak i od farmaceutycznej strony. Wiedzą również, że karbunkuł można od gada wyłącznie otrzymać, wyłagać; jeśli natomiast zastosuje się siłę — złapie węża, zabije, to karbunkuł natychmiast się rozpuszcza. Taka jest natura gada i jego karbunkułu.

O jednej tylko rzeczy ludzie nie wiedzą: na co w ogóle karbunkuł samemu wężowi. A przecież to jest najważniejsze. Karbunkuł jest zasobnikiem, krystalicznym akumulatorem energii i CZASU. Gdy ktoś zabija gada, to siatka magicznego kryształu rozpada się, rozsypuje, uwalniając to, co zostało nagromadzone, i świadomość właściciela karbunkułu przemieszcza się do dowolnego punktu przestrzeni i czasu, wnika w wybrane ciało i dzieli od tej pory owo ciało ze świadomością jego właściciela. Tak więc kamień ratuje węża od zguby; dlatego jest dlań tak cenny.

Przerwawszy dyktowanie listu, nie kończąc nawet ostatniego zdania, zmęczony bazyliszek przeciągnął się i, pstryknawszy palcami, oddalił swe, tak niespodziewanie mu obrzydłe, trolle. A tak przy okazji — dlaczego one są liliowe? Właściwie — bżowe? Dlatego, że karzełek Marksik, wiadomo, jest czerwony, a gnomek Homek — błękitny. Byli wiernymi przyjaciółmi i, żeby się ujednoczyć, wybrali kolor pośredni.

— Raaw — bazyliszek opuścił szczeliny swych źrenic ku śmigłej żmijce. — Raaw, chcę do świata.

Żmijka pomknęła po karbowanym ogonie swego Pana i znikła, jakby przesiąkła przez szczeliny w malachitowej podłodze. Wywołane przez nią dwa stare jadowite węże, Tyrann i Zachariasz, już po kilku sekundach pojawiły się przed Władcą. A ten wyciągnął w ich kierunku szponiastą prawicę, one zaś posłusznie wykrztusiły w nią swe dwa karbunkuły. Dwa kamienie dają możliwość nie tylko wnikięcia w dowolną żywą istotę z dowolnej epoki, ale i powrotu do własnego ciała.

Tyrann i Zachariasz w milczeniu zaczęły pełznąć, aby umrzeć w głębi labiryntu, albowiem ich żywot od tej chwili nie miał sensu, a bazyliszek rozwarł pysk i połknął bezcenne kryształy.

Częste wyjścia w życie stały się dlań zwyczajne jak niegdyś wieczorny program telewizyjny. Był już i Krzysztofem Kolumbem w chwili, gdy żeglarz postawił pierwszy raz stopę na ziemi Ameryki, był również Włodzimierzem Uljanowem Leninem, w dniach jego triumfu w siedemnastym roku, był też Wolfgangiem Amadeuszem Mozartem na premierze Czarodziejskiego fletu, i hrabią Cagliostro... i Avicenną, Czang Kaj-szekiem i Indianinem Gamancho, i Gagarinem, i Adolfem Hitlerem w dniach triumfu... Nigdy nie zastanawiał się, kogo oraz ile kosztuje jego rozrywka. Po prostu korzysta z tego, co mu się należy według prawa.

Krew, władza, uciechy cielesne znudziły mu się dawno. Coraz częściej ciągnęło go do wrażliwych osobowości. Zadowolenie wynikało już nie z triumfu, nie z radości, a raczej z gwałtownych, kontrastowych przeskoków od jednego stanu do drugiego.

Wysiłkiem woli wprowadził się w astral i w czasie, gdy jego ciało pogrążyło się w głębokiej śpiączce, wszedł w swego wybrańca i przemknął po czasowym strumieniu jego świadomości, tylko odnotowując emocjonalne eksplozje delikwenta — jako realne odbierane one są tylko w



„realnym świecie”, to znaczy podczas zrównania prędkości ruchu po czasie właściwym dla obu świadomości.

Ogólne tło emocjonalne jego dzisiejszego wybrańca tworzyły sceptycyzm i rozdrażnienie. Ale czasem jaskrawe wybuchy — albo radości, pospołu ze zdziwieniem, albo ciemnej apatii lub narkotycznej euforii — przenikały go na wskroś. Oto znowu zachłysnął się miłością, strachem albo bólem, ale te uczucia szybko ustąpiły miejsca cichej czułości i poczuciu błęgiego spokoju. Takie tło utrzymywało się przez kilka minut — w realnym czasie trwało to około pięciu lat! Potem — kilka wzlotów i upadków, i znowu — równa czułość. „Dobra, wystarczy, stop” — nakazał sobie bazyliszek i natychmiast barwy, dźwięki, zapachy wieczornego miasta runęły nań lawiną. Z limuzyny, która zatrzymała się obok arki, wysiadł zaraz za żoną i synem — zatrzymał się, żeby zapłacić kierowcy — minął oświetlony latarniami klomb, przez którego żółtą barwę czerwonymi kwiatami wypisano słowo PEACE, obok dziewczyny, kierującej na niego obiektyw kamery telewizyjnej. Był przyzwyczajony, że czasem ktoś go nagle rozpoznaje, prosi o wywiad, wyznaje miłość, chce się z nim przespać... a potem znowu całkowicie zapomina. „Chyba jestem szczęśliwy — pomyślał. — W końcu dali mi spokój, mogę piec chleb.” Wyraźnie widział, jak jego ręce wyjmują z pieca gorącą bułkę, jak łamią ją i podają aromatyczny, gorący kęs małemu Shaunowi i nawet zatrzymał się, żeby ruch nie zniszczył przyjemności odczuwanej, gdy myślał o tym. Przydarzało mu się to teraz co rano. Chyba jestem szczęśliwy. Nie mam przyjaciół, ale nie mam też wrogów. „Całkowicie wolny...” Koniec wojny z zakochanymi we mnie. Koniec obaw przed własną ograniczonością. Koniec lęku przed pogrążeniem się w bagnie... Okazało się, że to wcale nie jest bagno. To — jak się okazało — właśnie jest ŻYCIE. „Życie jest tym, co się z człowiekiem dzieje, póki buduje zupełnie inne plany...” Nawet w myślach nie potrafił oderwać się od słów ze swych starych lub nowych piosenek. „Pieniądze? Muzyka? Miłość? Sława? Wszystko to blef. Jestem ja, Shaun, jest świeży chleb...” Myśli te, splątane w kłębek, w jednej chwili przemknęły mu przez głowę, a potem, przeciągnąwszy się z rozkoszą, odetchnął brudnym miejskim powietrzem, po czym ruszył dalej.

„Ale i tak jestem kłownem. Kłown to książę świata. Potrafię nawet sam siebie okłamać. Przecież wcale nie jest mi obojętne, co powiedzą o Podwójnej fantazji w Anglii. Nigdy nie oderwę się od tego wszechświata. Ale chyba nauczyłem się nie być jego niewolnikiem. A to znaczy, że życie dopiero się zaczyna.”

Znajdował się kilka kroków od drzwi „Dacoty”, gdy z boku, z półmroku, w plamy światła z okien wyszedł krępy, niewysoki młodzieniec i zawołał: „Panie Lennon!”

Odwrócił się. Postać była jakby znana. Gdzieś już widział tego człowieka. Zupełnie niedawno... Młodzieniec przyklęknął na jedno kolano i coś wysunął przed siebie, trzymając to w wyciągniętych dłoniach. Pistolet?

John nie zdążył się nawet przestraszyć. Zdążył tylko pomyśleć, że to parszywe, tak bez NIEJ, i jednocześnie chwala Bogu, że nie ma jej obok. A tak naprawdę, to tego być nie może... I huk, uderzający w uszy.

Pięć strzałów z bliskiej odległości. Wielotonowym ciężarem opadło nań niebo. Nie wiadomo dlaczego, przed oczami pojawiły się — nie dzieciństwo, nie tłumy widzów, nie Yoko i nawet nie Shaun, a akwarelowe obrazki z ostatniego tournée — Japonia, Hongkong, Singapur... I piekielny ból.

Stracił na chwilę przytomność i na ten krótki czas jego ciałem całkowicie zawładnął bazyliszek. To on zmusił ciało, aby pełzło w kierunku drzwi.

Ale oto świadomość wróciła do Johna i bazyliszek błyskawicznie wycofał się w ciemność. John pełzł, a w skroniach stukało mu: „Piec chleb. Piec chleb.” Wystraszony portier w haftowanej złotem liberii wyskoczył mu na spotkanie. John zrozumiał, że został zabity i poczuł się

skrzywdzony: dlaczego zdradziecka pamięć nie podsuwa mu niczego z tego, co kochał?

— Strzelano do mnie — wychrypiał i stracił przytomność. Ale obca, niedawno zasiedlona w nim świadomość nadal notowała zdarzenia. Co prawda oczy miał zamknięte, ale bazyliszek słyszał kobiecy płacz, słyszał zbliżającą się syrenę i pisk hamulców, czuł na swojej twarzy pocałunki gorących warg, słyszał nasilający się hałas tłumu. Czuł, że został podniesiony i jest niesiony, słyszał czyjś krzyk: „Czy przynajmniej wiesz, co zrobiłeś?” I spokojną odpowiedź: „Tak. Zabiłem Johna Lennona.”

Ktoś uniósł mu powiekę i bazyliszek zobaczył nieogoloną twarz lekarza, potem powieka opadła. Zablokował poczucie bólu: elektryczne smagnięcia defibrylatora były nieznośne.

Po jakichś piętnastu minutach usłyszał: „Koniec. Nie potrafisz wskrzeszać.” I poczuł zapach papierosowego dymu.

### 3.

Przez kilka chwil oba zęstki bioenergii mknęły do góry w szerokim, ciemnym tunelu, ku oślepijącemu światłu na końcu. Ale oto jednemu z nich starczyło siła, aby odskoczyć w bok, niematerialna zwierciadlana błona pękła, z dźwięcznym cmokającym odgłosem i bazyliszek, konwulsyjnie szarpnąwszy swym ścierpniętym ciałem, jęknął ogłuszająco. Otworzył oczy i uniósł lekko głowę. Natychmiast trzy żmije — złośnice, oczekujące na swoją kolej, rzuciły się do Pana i zaczęły masować mu korpus i członki.

Bazyliszek gardził tymi żmijami z powodu ich tchórzliwego i jednocześnie wrednego charakteru, obrzydliwego zwyczaju zachodzenia w ciężę przez pyski, a najważniejsze — z powodu ich chutliwych natur spełniających się w parzeniu z najobrzydliwszą z żywych istot — morską mu — reną. Ale też nikt inny nie potrafi wymasować tak, jak jego żmije, tylko one, będąc żmijami, mają jednocześnie odpowiednio giętkie i mocne kończyny.

Odzyskawszy przytomność, bazyliszek powtórzył swoje niedawne polecenie: „Papier! Pióro! Atrament!” List zakończył tak: Dobrze się ucz i słuchaj we wszystkim Mamy. Kochający Cię tata. Biegun północny. Stacja „Mirnaja”. 21.15.

Tak, to był naprawdę dobry pomysł — przekonać syna, że jego ojciec bierze udział w wyprawie polarnej. To wiele wyjaśniało. Zresztą nie był autorem tego pomysłu.

Wymyśliła to Irina. Widocznie przypomniawszy sobie o jego dziwnym, dość niemodnym zainteresowaniu zdobywcami Arktyki, od razu, gdy tylko wyprowadził się do hotelu asystenckiego, powiedziała Witalkowi, że „tata bierze udział w ekspedycji”. Właściwie — nie od razu, a niemal od razu — gdy dowiedziała się, że tam, w hotelu, nie żyje sam.

Bo w jego życie, w dzień i nocę wdarła się kobieta — żywioł, kobieta — deszcz, kobieta — tęcza, kobieta — zguba. Kobieta o imieniu Maja.

...Pojawiła się u mnie pierwszy raz na prośbę Gribowskiego. Najpierw, jak sama później opowiedziała, przyszła do mojego mieszkania, a Irina wyjaśniła, gdzie może mnie teraz znaleźć. Znalazła mnie i zaczęła namawiać, żebym się poddał operacji. Powiedziała, że Gribow wszystko dobrze przemyślał, dogłębnie zapoznał się z historią choroby i jest pewien sukcesu. I czeka tylko na moją zgodę. Nie wiedziała, że właśnie dzięki niej jestem wprowadzony w rzeczywisty obraz sytuacji. Przecież to ona — ta piękna pielęgniarka, której wypadł z ręki arkusz z moimi danymi pod drzwiami gabinetu. Oczywiście nie zapamiętała mnie. A ja ją zapamiętałem. Lecz teraz odkryłem, że zapamiętałem niewłaściwie. Ona nie jest po prostu „piękną pielęgniarką”, ona jest boginią. Słuchałem jej i słuchałem, i mimo że nie chciałem być królikiem doświadczalnym, więc

twardo postanowiłem nie podawać się jej namowom, a spokojnie czekać swego końca, to najbardziej w tym momencie obawiałem się, że ona przestanie mnie namawiać. I wyjdzie.

— Dlaczego sam nie przyszedł? — naprawdę byłem lekko urażony: Kolka Gribow nie uznał za stosowne pojawić się we własnej osobie!

— Co też pan — zdziwiła się Maja. — Nikołaj Stiepanowicz... — A to ci zuch — Grib! — ...jest tak zajęty! Przecież codziennie ratuje kilka istnień ludzkich. Gdyby zaczął chodzić za każdym chorym... On po prostu nie ma prawa tak trwonić swego czasu.

— Hm, powiedzmy sobie szczerze, że nie jestem „każdy chory”.

— Dlatego właśnie wysłał mnie do pana, do innego w ogóle by mnie nie posyłał. Inni sami do niego przychodzą i nieraz rok czekają w kolejce. Ma pan wie-e-ele szczęścia...

— Im dłużej z panią rozmawiam, tym jestem pewniejszy, że rzeczywiście miałem dużo szczęścia. Że z panią rozmawiam. Że pani tu jest.

...Przyszła jeszcze dwa razy. JAKOBY wykonując polecenie. A potem przyszła i została. I pomknęły radośnie dźwięczące, wymarzone szklane noce, kolorowe szklane ranki, różnobarwne szklane południa i wieczory. Szklane, ponieważ tylko witrażowe szkła wywołują taką radosną jasność. Więc wybaczyłem losowi, że zostawił mi tylko kilka miesięcy. O ile wszystkie będą takie.

...Najbardziej lubił obserwować ją w chwili przebudzenia. Śpiąca wyglądała na miłą, spokojne dziecko, po czubek głowy owinięte w jasną pianę włosów. Smażył jajecznicę, parzył herbatę i smarował chleb masłem. Stawiał przed kanapą taboret, który stawał się stolikiem. Klękał przed nią na kolanach i ostrożnie dotykał jej włosów, czasem zanurzał w nich nos i wdychał cały ten zapach dziecinnego ciała i fryzjera. I oto rzęsy zaczynały drgać, a dziecko stawało się przepiękną młodą kobietą — wdzięczną i bezinteresowną.

Maja lubiła wkładać jego koszule i wtedy jej piersi wydawały się małe, a nogi — strasznie długie i tak przeraźliwie kształtne, że herbata najczęściej stygła, a jajecznica kamieniała na śmierć.

Właśnie świadomość zbliżającego się mroku powodowała, że nie gryzły go żadne wyrzuty sumienia, pozostawiała świąteczną jasność.

Mogli ze sobą rozmawiać na każdy temat, byle nie o jego chorobie. Ale myśl o niej zamieszkała z nimi na stałe.

Najbardziej lubił, gdy dzieliła się z nim po raz kolejny swymi wspomnieniami i odczuciami z pierwszego ich dnia, pierwszego wieczora i pierwszej nocy. Interesowało go, dlaczego to właśnie jego — nieładnego i nieprzyjemnego — Maja uznała za atrakcyjnego. Nie wypytywał jej o nic, zaspokajając się tym, co postanowiła opowiedzieć sama. A ona przeciwnie, wypytywała go często i szczegółowo. A nawet nie usiłowała ukryć, że zainteresowanie to jest w dużej części ciekawością zawodową. Zainteresowaniem lekarza wszystkim, co się tyczy chorego. Wybaczał jej to, ponieważ kilka razy to ona miotała się przy nim podczas jego ataków. Kusilo go strasznie, żeby zapytać, czy wpisuje informacje o nim do karty chorobowej, ale nie zdecydował się na to pytanie, bał się, że otrzyma odpowiedź twierdzącą.

Tak, na początku był nawet wdzięczny swej chorobie za wolność i to spotkanie. Ale z dnia na dzień stawała się coraz wyrazistszą perspektywa zbliżającego się wymuszonego rozstania. Wcześniej nie martwiło go to. Żał mu było Witalka, ale do myśli, że jego nie będzie, a syn zostanie, przyzwyczaił się już dawno; nie żałował, że porzuca Ukochaną Pracę, ponieważ jej nie lubił; nie żałował niczego. Póki nie poznał Mai.

...Siedzieliśmy obok okna i paliliśmy, piliśmy kawę i graliśmy w jambę, kiedy Maja nagle zakomunikowała tonem indyferentnym:

— Tak, nawiasem mówiąc, to kocham cię.

— Ileż można! — oburzyłem się. — Mówiłaś mi to już z pięćdziesiąt razy!

To była prawda, plus minus dwa wyznania.

— Kocham cię — powtórzyła Maja, zaciągnawszy się papierosem i łezka wpadła prosto do filiżanki z kawą.

Nie wytrzymałem. Powiedziałem:

— Dobrze, jutro idziemy do Gribowa. Pociągnęła nosem i popatrzyła na mnie z wdzięcznością i — jak mi się wydawało — z pewnym triumfem w oku.

#### 4.

Kriwonogow nie był człowiekiem oryginalnym, a nawet oryginalności nie lubił. Oczywiście — rozumiał, że oryginalność i nienormalność to nie to samo. Ale nie widział między tymi rzeczami wyraźnej granicy. Dlatego wolał obywać się bez owej oryginalności. Bo Kriwonogow szanował dokładność. W dużym stopniu niechęć do oryginalności związana była z tym, że podczas służby stale musiał się stykać z dziwnymi ludźmi i niezwykłymi sytuacjami. Oryginalność interesowała go jako jednostka chorobowa: szukał jej, aby kłaść kres temu wynaturzeniu.

Rano, przemierzając swoją dzielnicę, znalazł na podwórku sklepu monopolowego śpiącego na ławce psa, mocno zaniedbanego olbrzymiego nowofundlanda. Całkowicie lekceważąc gabaryty psa, podszedł do ławki i trącił pięścią niedźwiedzi bok. Pies leniwie poruszył ogonem.

— Hej — odezwał się Kriwonogow — co się tak wylegujesz?

Pies uniósł łeb i ciężko, ze świstem westchnął. Kriwonogow wyraźnie poczuł w jego oddechu mieszaną zapachu czosnku i hary. „Suka — pomyślał Kriwonogow. — Albo pies.”

— Wstawaj — powiedział. — Pobudka.

Zwierzę wstało ostrożnie, łapa za łapą zsunęło się z ławki i smutne usiadło obok Kriwonogowa.

— Co się tak rozsiadasz? Idziemy.

Pies posłusznie wstał i chwiejnym krokiem ruszył za nim.

Kapitan Selewicz, bezpośredni przełożony Kriwonogowa, zobaczywszy w gabinecie kudłatego, oblepionego rzepami psa, niespecjalnie się zdziwił. Selewicz ufał Kriwonogowowi, chociaż wrodzone poczucie obowiązku czasem zmuszało go do prowadzenia z podwładnym rozmowy w nieco lekceważącym tonie:

— Zgubił się? — skinął głową na psa, który rozwalił się pod zakratowanym oknem.

— Cholera wie — dość enigmatycznie odpowiedział Kriwonogow. — Pijany jest.

— Co powiedziałaś?! — uniósł brwi kapitan.

— A podejdźcie tu, kapitanie i pochylcie się. Chuchnij — polecił psu.

— Ch—chy — posłusznie zareagował pies.

— Czujecie?

— Co za bydlę... — zmarszczył czoło Selewicz. — Niby rasa szlachetna, a prowadzi się jak lump.

— Zawsze tak jest — demonstrując klasową świadomość powiedział Kriwonogow, wyjął papierosa i zapalił.

— Co z nim zrobimy? — głośno myślał Selewicz i odwrócił się do podwładnego. — Gdzie się napatoczyłeś na tę sukę?

— A może to pies?

— Jak nie urok, to sraczka. Skąd go masz?

— Kimał sobie pod monopolem.

— No, to mamy fakt działania antyspołecznego. Może sypniemy jej mandat?

— Ale jak? Chyba że z właściciela?

— Hej, ty! — Selewicz pochylił się nad psem. — Zapłacisz mandat?

Pies wysunął jęzor i zaczął ziajać.

— Ścierwo! — rzucił Kriwonogow.

— A co się będziemy z nią cackali — walimy do wytrzeźwiająki, tam się na tym znają!

— Nie przyjmą — powiedział doświadczony w takich sprawach Kriwonogow.

— Ty, psie! — z naciskiem oświadczył Selewicz. — Doigrasz się u nas! Do pracy pošemy zawiadomienie o twoim zachowaniu...

— Do jakiej pracy?! — usiłował przerwać przełożonemu Kriwonogow, ale ten, nie zwracając na niego uwagi, dokończył: — ...waniu! Wylecisz z roboty jak ta lala. Teraz to już nie takie czasy.

Pies czknął i zamknął oczy.

— Patrz, co za bydlę! — oburzony i jednocześnie triumfujący odezwał się Kriwonogow, uderzając rękami o uda. — Ja cię zaraz... zaraz... posadzę! Za piętnaście dni inaczej zaśpiewasz!

— Gdzie go posadzisz? — przerwał mu z rozdrażnieniem spokojny już przełożony.

Milczeli z minutę, potem, nieprzyjemnie zerknawszy na podwładnego, Selewicz cicho powiedział:

— Wiesz ty co, Kriwonogow? Pędź go stąd na cztery wiatry!

Kriwonogow zgasił papierosa o spód parapetu, podszedł do psa i — nie kryjąc współczucia — słabo trącił go nogą. — Spadaj!

Pies niechętnie podniósł się i powlókł w kierunku drzwi z gabinetu.

Po wyjściu z posterunku zmrużył oczy z powodu jaskrawego światła wiosennego dnia, otrząsnął się i od razu pod drzwiami ułożył się na jezdni. Potem popatrzył przed siebie zupełnie nie po psiemu mętnymi oczyma, ziewnął, obnażając poczerwiałe od nikotyny zęby, i warknął:

— Klina potrzebuję.

\* \* \*

...Witalek przyprowadził do domu włochatą, pęgowaną gąsienicę i pokazał ją matce: — Podobna do tygrysa, prawda?

— Prawda — odpowiedziała Irina. Zmagala się z dwoma odczuciami: obrzydzenia i sympatii do tego na poły zwierzęcia, na poły owada. Zwyciężyło obrzydzenie, wsparte zdrowym rozsądkiem i możliwością powołania się na litość: jeśli gąsienica zostanie w mieszkaniu, to po prostu umrze. — Wiesz, że z tej gąsienicy wyrośnie motyl?

— Motyl? — nie wierzył własnym uszom Witalek. — Tak. Najpierw gąsienica stanie się larwą, a potem — motylem.

— Ta to ma szczęście — powiedział Witalek. — Pełza sobie, pełza i nagle staje się motylem. A czy człowiek może się czymś stać? Może ludzie to gąsienice czegoś tam jeszcze?

— Gąsienice aniołów — uśmiechnęła się Irina. — Nie. Człowiek nie może się w nic zmienić. A gąsienicę wynieś na podwórko i posadź na trawie albo na kwiatku. Bo się w nic nie zmieni i po prostu umrze.

„A jednak człowiek jest gąsienicą anioła — pomyślał Witalek, wychodząc na podwórko. — Przecież skądś wymyślono anioły. Pewnie ktoś je widział. Po prostu coś się w człowieku popsulo i już się nie przemienia. Gąsienice pamiętają, jak to się robi, a ludzie zapomnieli.”

Ostrożnie położył swego włochatego jeńca na liściu topoli i pogłaskał po miękkiej sierści. Jakże chciał zobaczyć, jak będzie się zmieniała w motyla. Może i on by sobie wtedy coś przypomniał?

## 5.

Dzisiaj bżowe trolle, Marksik i Homek, miały rzadką możliwość a więc i chęć, zabawić się trochę. Dzisiaj na Pana nadszedł czas wylinki, a ten skomplikowany i chorobowy proces ma wyjątkowo intymny charakter, wszyscy służący mieli dzisiaj wolne. Dokładniej mówiąc — mieli po prostu zniknąć z podziemnych włości Władcy na dwie doby. A jeśli ktoś się będzie ociągał, niech ma pretensje do siebie.

Fioletowe liliputy dostały od bazyliuszka dwa polecenia. Pierwsze — dotrzeć do najbliższej skrzynki pocztowej i wrzucić do niej list. Drugie, bardziej skomplikowane, dotyczyło pewnej kobiety i nie było dla nich zrozumiałe, jednak i tak zostanie wykonane KROPA W KROPE. Mogły postarać się szybko wypełnić polecenia, a pozostały wolny czas poświęcić na swoje sprawy. Mogły również wykonywać zadania bez pośpiechu i zabawiać się jednocześnie. Liliputy wybrały drugi wariant.

Pośpiesznie przełknąwszy śniadanie i szybko pokonawszy splątany labirynt, przed południem były już na świecie. Otaczał ich wypełniony aromatem sosnowy bór. Otwór, przez który wyszły, sam wypełnił się ziemią i po kilku sekundach porósł trawą. Karzełek wciągnął powietrze w swój ruchliwy pantofelkowaty nos i, chrapliwie pisnąwszy Zwid–zwid–west, poprowadził współnika ściskającego w łapkach kopertę. Wkrótce wyszły na pobocze autostrady.

...Fiedia Pczołkin kochał pieniądze. Szczególnie zaś lubił patrzeć, jak pieniądze rodzą pieniądze. Sprawa, jaką się dzisiaj zajmował, powinna była zaowocować niemałym zyskiem i Fiedia, siedząc za kierownicą swej pędzącej po podmiejskiej drodze łady, z zadowoleniem, rozpaczliwie fałszując, wygwizdywał płynącą z kolumnienek melodię: ...Wieżowce, wieżowce, a ja tam taki mały... Fiedia kochał życie. A pieniądze były kwintesencją życia, które kochało Fiedię.

Znajdował się kilka kilometrów od miasta, gdy zobaczył plecy dwóch drepczących po poboczu maluchów w firmowych fioletowych koszulkach, wpuszczonych w czarne spodnie z lampasami. Fiedia nie był złym człowiekiem, mało tego, lubił nawet czasem wyrządzić ludziom przysługę, o ile tylko nic go to nie kosztowało. Przyhamowawszy obok malców, otworzył drzwi i wysunąwszy głowę zawołał:

— Ej! Pionierzy! Chodźcie tu!

Pionierzy nadal maszerowali, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Lada Fiedi ruszyła i jechała obok nich. Fiedia już widział, że z pionierami coś jest nie tak, ale jego optymistyczny i konserwatywny charakter nie chciał przyjąć widzianego do wiadomości.

— Pionierzy! — krzyknął znowu. — Mamuszkę zgubiliście czy jak? Właźcie, podrzucę was.

Pionierzy gwałtownie zatrzymali się i wolno odwrócili ku niemu swoje twarze. Fiedia poczuł, że coś urwało mu się w niższej części jamy brzusznej i gwałtownie podążyło w kierunku jądra Ziemi. TAKICH twarzy Fiedia nigdy nie widział. I do końca życia nie chciałby widzieć. Obaj pionierzy byli nieproporcjonalnie wydłużeni, tak że odległość między czubkiem głowy a podbródkiem wynosiła niemal jedną czwartą całego wzrostu liliputów. Twarze były trupio blade i bezwargie. Na zwyczajnych twarzach ich nosy — trampolinki mogły być nawet zabawne — ale na tych tylko pogłębiały poczucie koszarnej nierealności. Lecz najbardziej nieprzyjemne były oczy. Wypukłe, jakby przyszyte do skóry jasne guziczki, nie wyrażające absolutnie żadnego uczucia... Homek miał te guziczki serwisowo — lazurkowe, a Marksik — wiadomo! — aurorowo–purpurowe. O ile skóra twarzy gnomka miała gładkość dziecięcej, to podbródek Marksika zdobiła rzadka bródka.

Fiedia Pczołkin odsunął się od drzwi samochodu i już miał dodać gazu, gdy nagle poczuł, że dziwne ograniczenie mobilności rozlewa się po jego organizmie. Trolle nie potrafiły, jak Władca,

zmieniać ludzi w kamienie, ale drobnymi, niezbędnymi w codziennym życiu zdobyczami magii i sensoryki władały znakomicie. W jednej chwili przełączyły Fiedię na autopilota, wsiadły do auta, a kierowca, bezwolny niczym somnambulik, powiózł ich do miasta. Jednocześnie trolle zmusiły swego jeńca, aby intensywnie przeleciał pamięcią przez swoje życie i z ciekawością obejrzały, co mu się tam zdarzało.

To znaczy:

1. Matka wysłała Fiedię, aby pospacerował ze starszym bratem, a ten zaczął grać w hokeja i zapomniał o bracie. Fiedia drepcząc po lodzie, opuścił lodowisko, i — gdy lód się załamał — wpadł po kolana do wody. Lodowate zimno natychmiast przeniknęło buty i ubranie, Fiedia płacze i krzyczy: „Sijoga, Sijoga!” Ale Sierioğa, naturalnie, nie słyszy go. Kto i jak wyciągnął go z wody, Fiedia nie pamięta.

2. Fiedia siedzi w domu i z nudów rysuje. Oto zaczął malować kota. Ale w kontury kociej głowy nie wiadomo dlaczego wrysowuje ludzkie rysy. Oto, co mu wychodzi:



Fiedia wystraszył się na śmierć własnego rysunku i matka po powrocie z pracy znajduje syna leżącego pod łóżkiem. Jego panika łączy się z przeziębieniem, a może akurat pod łóżkiem przewiał go przeciąg i przez dwa dni Fiedia bredzi, powtarzając: „Nie chcę tego uszastego chłopca. Zabijcie uszastego chłopca...”

3. Fiedia w szkole podstawowej. Codziennie wyprasza u matki pięćdziesiąt kopiejek, jakoby na obiad, a tak naprawdę po to, aby się wykupić — oddać po drodze do szkoły „dorosłym chłopcom”, bo inaczej go pobiją, tak przynajmniej twierdzą.

4. Fiedia z przyjacielem Siomą siedzą w pierwszej ławce i manipulują pod nią lusterkiem, usiłując wypatrzeć, jakiego koloru są majtki nauczycielki i mają nadzieję, że w ogóle ich nie ma. Na przerwie on i Sioma, zamknawszy się w kabinie toalety, zajmują się onanizmem na bruderszaft.

5. Uczeń starszej klasy Fiedia zakochuje się w Wierze, koleżance z klasy. Nie może bez drżenia kolan patrzeć na jej białe rajstopy. On i Wiera sami w jej mieszkaniu (rodzice są w pracy), wypijają po dwie butelki portwajnu. Ona się wyłącza, a on, nieświadom swego działania, ściąga z niej owe białe rajstopy, ale nic więcej mu nie wychodzi prócz awantury, urządzonej przez jej rodziców, gdy wieczorem wróciwszy do domu, zastają ich śpiących w takim stanie.

6. Fiedia potrzebuje pieniędzy.

7. Fiedia uczy się na fotografa. I aktywnie korzysta z owoców płciowego rozbuchania koleżanek z klasy.

8. Fiedia leczy trypra, co prawda pewny, że choroba jest nieuleczalna i że bolesna śmierć jest nieunikniona. Jednakże tryper łatwo znika.

9. Fiedia potrzebuje pieniędzy.

10. W życiu Fiedia pojawia się ojczym z samochodem, więc, uzyskawszy prawo jazdy, zajmuje się biznesem: co niedziela przywozi z sąsiedniego miasta trzy–pięć skrzynek wódki i handluje nią na dworcu po pięć rubli flacha...

Drgnął, ocknął się i w oszołomieniu przyglądając się swym towarzyszom podróży, jeszcze mocniej wczepił się palcami w kierownicę. Na chwilę oczy zmętniały mu z powodu ataku strachu, który niczym niedźwiedź zwałił się nań, a samochód niebezpiecznie wahał się na jezdni. Ale wyrównał, minął posterunek drogówki i wjechał do miasta.

Trolle wymieniły spojrzenia i skinęły do siebie głowami, a potem Fiedia usłyszał ochryply głos jednego z nich. Mimo że mocno zaciśnięte wargi nie drgnęły ani jednemu, ani drugiemu, to twarda modulacja pozwoliła intuicyjnie określić, że jest to głos brodatego:

— Boisz się czy nie, to nieistotne. Nadajesz się.

Drugi głos uspokajająco, wręcz czule dodał:

— Będiesz naszym przewodnikiem. Nie bój się. Tylko przez jeden wieczór.

— Yhy — pośpiesznie zgodził się Fiedia i jeszcze niżej pochylił nad kierownicą.

## 6.

To było dość upokarzające: przyszedłem do Gribowa, a on mnie nie przyjął, Właściwie przyjął, ale nie osobiście, tylko jego przełożona pielęgniarek. Dopiero po dwóch dniach, kiedy już zrobiłem wszystkie niezbędne badania, kiedy z mojego mięśnia sercowego wykonano portret — z profilu i en face — po raz pierwszy przekroczył progi mojego pokoju.

Pewnie taki był porządek i sposób działania, ale ja — to ja, a Kolka Gribow alias Grib — to mój nigdy najlepszy szkolny kolega. Największy rywal. We wszystkim. I wieczny zwycięzca. Też we wszystkim.

W początkowych klasach jego przewagę przyjmowałem jako słusznie mu się należąca i nawet szczyliłem się, że mam TAKIEGO przyjaciela. Ale z wiekiem coraz trudniej znosiłem jego protekcyjną miłość do mnie. Coraz częściej budziła się we mnie chęć wyrwania się spod jego wpływu, żeby co i rusz nie przekonywać się, jakim przeciętniakiem jestem na jego tle. Wygrywał ze mną we wszystkim — w nauce, w sporcie, w stosunkach z dziewczynami, w umiejętności zabawiania towarzystwa, zarabiania pieniędzy, w ubraniach, w dowcipie, we wszystkim! Po ukończeniu szkoły średniej postanowiłem, że będę zdawał na medycynę, od dziecka chciałem być lekarzem. Ale dowiedziawszy się, że tam również wybiera się Kolka, a wcześniej nigdy mi o tym nie mówił, wycofałem swoje dokumenty. Jaki sens ma studiowanie tam, gdzie i tak nie mam szans dokonać czegoś więcej niż on?

To wspomnienie, wydawałoby się, że tak odległe i w jego obecnym stanie nieważne, przemknęło jakimś niespokojnym drgnieniem serca.

...Bazyliszek wydał z siebie głęboki ryk, przewrócił się na drugi bok, sięgnął do amfory i chciwie ją opróżnił, wlewając do organizmu porcję bananowej wódki.

Nowa skóra lekko, przyjemnie swędziała. Miała nienaturalnie jasne barwy, a desenie pod przezroczystymi łuskami, normalnie w kolorze złocisto — zielonym, teraz jeszcze lekkomyślnie świeciły jasnoturkusowo. Kolor ustali się dopiero za jakieś trzy dni. Na szczęście ból i swędzenie skóry ustanie już jutro. Dopiero wtedy powrócą jego śludzy i niewolnicy; na razie nie do pozazdroszczenia jest los delikwenta, który pokaże się na oczy Władcy. Nikt nie powinien widzieć go w chwili słabości, nawet jeśli chwila ta jest krótka i zdarza się tylko raz do roku. W samotności, w chwili usprawiedliwionej choroby, może sobie pozwolić na wspomnienia i nie przerywać ich



bez potrzeby.

...Trzeci dzień w ośrodku kardiochirurga. Oto on, Grib, Nikołaj Stiepanowicz. Wszedł uśmiechnięty. Wygląda kwitnąco. Uśmiech — życzliwy. Intonacja głosu — protekcyjna:

— I co, wpadłeś, Czyżyk? Nic to, wstaniesz, ja cię postawię na nogi.

I wyszedł.

Tego właśnie się bałem od samego początku. Bałem się, że nigdy do końca nie zabliźnione rany nieznośnej zazdrości zaczną krwawić na nowo. I ta kretyńska szkolna ksywka — „Czyżyk”. Dlaczego, do licha, jest taki z siebie zadowolony? Czy naprawdę wszystko mu się w życiu udaje? Wszystko — praca, żona, przyjaciele — wszystko jest UKOCHANE?!

Chociaż, tak szczerze, to udaję przed sobą. Oczywiście — i ja coś mam. Mam... włochate serce. Tak, pokryte jest cieniutkimi włoskami, które ciągną się do starych, jakoby dawno zapomnianych przyjaciół, do domu moich rodziców, do Witalka i Iriny. Oplatane jest nimi moje miasto, moja ulica, moje ukochane książki — Dostojewski, Salinger, Strugaccy i Marquez, ukochana moja muzyka — Dziadek do orzechów i The Beatles, Armstrong i Akwarium... Często te włoski przerywały się, czasem były wyrywane wraz z kawałkami tkanki. Czy nie dlatego dziś potrzebujesz operacji, moje biedne, włochate chore serce?

A oto i nowa niteczka — Maja — to niteczka najbardziej nieśmiała, najcieńsza, niemal przezroczysta, ale też i najukochańsza...

Więc zaczął myśleć o NIEJ. Jakim czułym słowem ją określić? Postarał się wyobrazić ją sobie, jakby była tuż obok. I poczuł jej lekkość i czułość, jej świeżość i kruchość... i to słowo pojawiło się samo: „motyl”.

— Motyl — powiedział na głos i nagle naszła go ochota, aby powiedzieć to słowo jej...

W tym momencie zajrzał doń wracający z obchodu Gribow:

— No jak tam, Szpaczek? Pojutrze na stół. Już się bałem, że nie przyjdiesz. Jestem wdzięczny Majeczce Daszewskiej. Za miesiąc wyjdiesz stąd jak nowy. — Rozmawiał z nim niedbałym tonem, z profesjonalną znajomością tematu. — Musisz jej podziękować. To mój skarb. Nie tylko do szpitala, ale i do kostnicy może zawlec każdego.

— Czy ona... to z twojego polecenia... — Chciał dokończyć „do mnie przychodziła”, ale ogarnęła go fala wściekłości, a po krótkiej pauzie, rozrywając w szale pajęczynę serca, kontynuował: — ...rznąła się ze mną?

Prawie nie widział rozmówcy, złocista kurtyna omdlenia zasłoniła mu oczy.

— Ach, nie ma co jej polecać, ona te rzeczy uwielbia. Po prostu, powiedziałem jej, żeby cię przyprowadziła i już. — Gribow jakby nie rozumiał, a pewnie i naprawdę nie rozumiał, jak straszliwie tym rani to właśnie serce, które zamierza wyreperować.

— A po diabła ja ci jestem potrzebny?

— Jak to „po diabła”? Przecież nie jesteśmy obcy. Nie mogę spokojnie patrzeć, jak Szpaczek korkuje. No dobra, leż spokojnie. Na razie! Mam jeszcze masę spraw do załatwienia. Do pojutrze. Wychodząc nie słyszał, jak wdzięczny pacjent wycedził przez zęby. „Dobrodziej...”

Dobrodziej. A ona — dobrodziejka. Nie oszczędzała się, byle tylko przyprowadzić go tutaj. Dziękuję ci, „Motylku”! Ale lepiej by było, żebyś zdechł, słowo honoru. Lepiej bym zdechł.

## 7.

Samiczka motyla wyjrzała z kokonu. Słoneczko jasno świeciło w przejrzystym błękitnie. Uśmiechnęła się i po raz pierwszy w życiu — poleciała. Od razu, gdy tylko pojawiła się na świecie,

zrozumiała, że jej przeznaczeniem jest szczęście. Szczęście i miłość, wszystko to, co dotyczyło pracy, zdobywania pokarmu i innych rutynowych czynności — wszystko to spadło na gąsienicę. A motyl... motyl ma fruwać, kochać i zabezpieczyć istnienie gatunku.

Ciesząc się każdym wdechem, każdą chwilą bytu, skierowała się tam, gdzie, jak jej podpowiadał węch, powietrze było czystsze, aromat kwiatów — słodszy, a trawa gęstsza, czyli — za miasto.

A w mieście w tym czasie działo się... diabli wiedzą co. Wydarzenia tego dnia zupełnie nie dawały się zmieścić w ramach oficjalnej kroniki miasta i dlatego też, odzwierciedlone w tych czy innych zaświadczeniach, nie zostały nigdy zebrane w całość i potraktowane jak zjawiska z tego samego gatunku. Zresztą, naprawdę niełatwo zauważyć związek między wszystkimi poniższymi faktami, jeśli nie znało się najważniejszego: ich inicjatorami były te same istoty.

Zaczął się od przedmieścia. Na peryferiach miasta znajduje się zwierzyniec. Tam właśnie miała miejsce pierwsza niedorzeczność: na oczach oszołomionych zwiedzających z mały powstał człowiek. Kolejne dziwne zjawiska zaczęły przemieszczać się w kierunku centrum miasta, a były to:

— z powiatowej komendy milicji wypadło trzydziestu funkcjonariuszy, którzy zaczęli prosić wystraszonych przechodniów, aby ci ich ochronili;

— z pobliskiej fabryki konstrukcji metalowych wysypali się wszyscy pracujący tam proletariusze, poowijani w wytwarzane w fabryce łańcuchy, a następnie zaczęli te okowy zrzucać;

— trzystu pracowników powiatowej rady związków zawodowych, znajdujących się w danym momencie na obiedzie w stołówce, jednocześnie zakrzusło się i przestało jeść, przypomniawszy sobie nagle, że jeszcze dzisiaj, a i tak w ogóle to od dawna tak naprawdę nie pracowali...

— Do komitetu obwodowego! — rzucił hasło karzełek. W chwili, kiedy łąda Fieda podjechała do centralnego placu miasta i zbliżyła się do majestatycznego budynku z betonu i szkła, niemal wszyscy jego pracownicy ustawili się już w kolejce przed drzwiami do działu kadr, ściskając w dłoniach papierki mniej więcej jednakowej treści: Proszę zwolnić mnie na własne życzenie w związku z całkowitą nieprzydatnością i chęcią rozpoczęcia „pieriestrojki” od samego siebie.

A w następnej chwili, kiedy Marksik, Homek i na śmierć wystraszony Fieda weszli po masywnych schodach, minęli szklane wrota owej ważnej instytucji, pomnik wodza proletariatu w jego walce z ludzkością, wznoszący się na środku placu, zrobił krok — od wielkości do śmieszności — i runąwszy z postumentu, rozpadł się na drobniutkie kawałeczki.

Człowiek w grubych rogowych okularach, jedyny, którego ominęła ogólna psychoza, a nawet nie mający o niej pojęcia, drgnął i podszedł do okna. Ale nie zdążył ogarnąć całości, ponieważ zmusił go do odwrócenia się dźwięk otwieranych drzwi. W progu stała dziwna, żeby nie powiedzieć nieprawdopodobna trójca.

— Jesteście głównym sekretarzem? — piskliwie zapytał Marksik.

— Pierwszym — poprawił Pierwszy.

— Prima — śpiewnie dodał gnomek.

— Kim wy jesteście? — oprzytomniał Pierwszy. — Proszę natychmiast wyjść z gabinetu.

Trójca nie poruszyła się.

— Zaraz zawołam milicjanta — Pierwszy przeszedł na falset i sięgnął do telefonu. Ale Homek uważnie popatrzył na aparat i ten, rozjarzywszy się błękitnym ogniem, zmienił się w czarny glut spalonego plastyku. Pierwszy odskoczył od biurka i chwyciwszy teczkę ze złotym wypukłym napisem do podpisu, pobiegł do drzwi, ale w tym momencie stała się rzecz nieprawdopodobna: jego biblioteczka z pełnym wydaniem dzieł klasyków — taka, wydawałoby się, oswojona — kiwnęła się, wysunęła spod siebie nóżkę, błyskawicznie wyciągnęła ją na pół metra i podstawiła Pierwszemu.

Pierwszy potknął się, upadł, ale poderwał natychmiast i nie wypuszczając z rąk teczki, ponownie rzucił się do ucieczki. Nagle, rozjarzywszy się takim samym niebieskim i zimnym ogniem co telefon, z jego śnieżnobiałej koszuli znikły, zostawiając tylko czarny węglowy ślad, szelki... spłonęły i guziki spodni. Te ostatnie, rzecz jasna, opadły, a Pierwszy, zapłatawszy się w nogawkach, ponownie, ale już mniej zręcznie, grzmotnął o ziemię. Papiery wypadły z teczki i utworzyły wachlarz na podłodze.

Karzełek spokojnie powiedział:

— Zapisać... Nie zapomnieć, żeby... Nakaz... Rozkaz... Pierwszy klęcząc, pośpiesznie sięgnął do biurka, chwycił parkera i przygotował się do pisania na odwrocie jakiegoś dokumentu, mamrocząc przy tym: „Skoro naród wymaga, to zawsze, zawsze. Naród taki jest, że zawsze wymaga...”

— Pisz. Centrum Kardiochirurgu. Maja Daszewska. Mieszkanie w ciągu miesiąca. Nie będzie — miej do siebie pretensje.

— Jeśli naród potrzebuje mieszkania — mamrotał Pierwszy, wpatrując się w absurdalnie wysuniętą spod biblioteczki nóżkę — to my zawsze...

Ale nikt go nie słuchał. Trójca wyszła. Pierwszy odczekał pół minuty, potem ostrożnie wysunął głowę na korytarz. Pusto. Podtrzymując spodnie, rzucił się do sąsiedniego gabinetu, chwycił telefon i, wykręcając numer milicji, wyjrzał przez okno. Dookoła odłamków pomnika zebrał się tłum. Jego straszliwi petenci właśnie wsiadali do zajeżdżonej łady w kolorze szarym. Pierwszy zdążył odczytać numer i natychmiast podyktował go dyżurnemu komendy.

...Tej szalonej wesołości, jaka wybuchła w jego samochodzie, Fiedia zupełnie nie oczekiwał. Trolle objęły się, patrzyły sobie w oczy i rechotały, zarykiwały się różnymi głosami. Fiedia nie wiedział, że jego ciemiecy wymieniają się telepatycznie wrażeniami z nader udanego dnia.

Zmierzchało. Na rogatekch miasta na ogon wozu Fiedia siedły radiowozy drogówki.

— Przyciśnij gaz — powiedzieli Marksik i Homek. I Fiedia przycisnął. A kiedy usłyszał „Stop” — zatrzymał się. Pasażerowie wyszli w tym samym miejscu na poboczu drogi, skąd Fiedia ich zabrał.

— Dziękujemy — powiedzieli i, podobni do dwóch pingwinów, ruszyli przed siebie.

Ale nie pingwiny, a dwa biegnące wzdłuż drogi olbrzymie żółwie zobaczyli milicjanci, którzy wyskoczyli ze swych wozów. Jakże to tak, przecież chwilę temu widzieli w tym miejscu dwie przysadziste ludzkie sylwetki?

Fiedia Pczołkin strasznie się bał, że go zaborą, ale wóz drogówki przemknął obok niego, jakby go nie widząc. Fiedia wyjął z kieszeni paczkę cameli, wsunął papierosa do ust, włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki i znalazł w niej paczkę setek. Była to skromna zapłata za pracę przewoźnika i przewodnika. Pieniądzy było sporo, choć nie za bardzo — dziesięć tysięcy. Natomiast później Fiedia odkrył, że mają one magiczne właściwości. Pieniądze, które wydawał na podstawowe potrzeby — jedzenie, ubranie albo prezent dla kogoś — wracały z powrotem do jego kieszeni. Ale jeśli kupował coś w celu „zagarnięcia zysku”, pieniądze nie wracały. Tym sposobem na zawsze zniknął handlarz Fiedia, a na jego miejscu pojawił się znany wkrótce w całym kraju Fiedia — mecenas i Fiedia — sponsor. Iluż malarzy, muzyków a i po prostu pięknych dziewczyn wsparł materialnie bez żadnych własnych korzyści! Zdarzało się, że cierpiał, ciągnęło go do starego, ale zawsze zwyciężała chciwość — szkoda mu było tracić na zawsze magiczne banknoty i Fiedia żył uczciwie, sprawiał piękne prezenty, aż wreszcie stało się to jego drugą naturą.

Ale wróćmy do naszych żółwi. Kapitan milicji Selewicz i porucznik Kriwonogow wyskoczyli z auta i wyszarpnąwszy z kabur pistolety, rzucili się do żywych skamielin. Ale te nieoczekiwanie wykazały się dużą mobilnością. Wysunąwszy z rogowych futerałów swoje gadzie głowy, galopem pomknęły po poboczu, z rzadka oglądając się i chichocząc.

Stróże porządku biegli za żółwiami, nie zastanawiając się nad absurdalnością całej sytuacji. Selewicz zatrzymał się, przykleknął, wycelowwał i trzykrotnie nacisnął spust. Pistolet nie wypalił ani razu. Selewicz splunął i pogonił za zwierzętami.

W tym momencie długonogie żółwie, wymieniwszy spojrzenia, skrzyżowały do lasu. Dobiegły do przygotowanego miejsca między dwoma sosnami i zaczęły kopać wszystkimi ośmioma odnóżami.

Kriwonogow pierwszy dopadł do wykopanej przez nie dziury i zaklął. Z nory wylatywały coraz to nowe grudy ziemi. Sądząc po tym, jaka kupa gruntu została rozrzucona dookoła otworu o średnicy 25–30 centymetrów, można było sądzić, że nora ma już co najmniej pięć metrów głębokości.

Kriwonogow wyszarpnął pistolet, skierował jego lufę w norę i nacisnął na spust.

W tym momencie nadbiegł Selewicz, ale nie powstrzymywał go, będąc przekonany, że pistolet kolegi również nie wystrzeli. Ale stało się inaczej. Rozległ się huk. Potem z nory dotarło do nich szydercze „oj–joj–joj!” i złośliwy chichocik. Potem kawały gruntu zaczęły wypadać ze zdwojoną energią.

I oto do dwóch wspaniałych milicjantów zaczęła docierać irracjonalność wydarzeń. Właśnie mieli rzucić się do ucieczki z tego przeklętego miejsca, gdy z nory błysnęła magnezowa jasność i jednocześnie rozległ się ponownie okrzyk podobny do „Oj!” I wszystko się skończyło.

Zupełnie potraciwszy głowy, nie patrząc pod nogi, milicjanci rzucili się w kierunku szosy...

Po kilku godzinach grupa kursantów szkoły milicji rozgrzebała „narzędziami okopowymi” żółwią norę. Okazało się, że miała głębokość dziewięciu metrów. A na mocno ubitym dnie kursanci — gliniarze znaleźli dwie kupki popiołu.

## 8.

Pan delikatnie obsztorcował swoje sługi za niepotrzebne marnowanie energii magicznej, ale tylko odrobinę, wszak znakomicie wykonali jego polecenie. Nie odczuwał przy tym wdzięczności, czyż można bowiem być wdzięcznym niewolnikowi? Ale mimo to czuł coś podobnego do wdzięczności. Szczególnie za to mieszkanie. Właśnie z tego powodu często tarosił go nocą ten sam koszmar: śniło mu się czysto ludzkie poczucie winy.

...Gdy weszła do jego pokoju, popatrzył na nią i nie odezwał się nawet słowem, zlodowaciał wewnątrz i na twarzy.

— Dzień dobry — powiedziała.

Skinął tylko głową i milczenie wydłużało się, stając się coraz bardziej przygniatającym, pęczniała ta cisza, chorobliwie pulsując, aż w końcu pękła rzuconym nienaturalnie obojętnym tonem pytaniem:

— Więc zostałaś wysłana?

Spojrzała na niego wystraszona i milczała.

— Gribow cię wysłał. A ty przez cały czas mi kłamałaś. Meldowałaś mu codziennie, jak posuwa się sprawa. — Czuł, że uraza krwistą kurtyną przesłania mu oczy, jeszcze chwila i zrobi coś zupełnie szalonego — uderzy ją, na przykład.

Gdyby wtedy upadła na kolana, zaszlochała, poprosiła o wybaczenie, powiedziała: „Nigdy cię nie okłamywałam; tak, to on mnie do ciebie wysłał, ale ja cię pokochałam; i nic mu nie meldowałam” — gdyby tylko coś takiego powiedziała, to on natychmiast by ostygł, płakałby wraz z nią, potem — wybaczył... Ale, niestety, ona była przekonana, że nie ma za co jej wybaczać, nie ma za co czynić wyrzutów, a — w końcu — gdyby nie była taką dumną kobietą, to on by pewnie

jej nawet i nie pokochał. Nie mogła znieść jego tonu, w którym nie było ani grama powątpiewania w jej podłość.

Ale i tak chciała mu wyjaśnić wszystko, chciała wygasić jego poczucie krzywdy, ale nie potrafiła się kajać, więc, po długiej pauzie, świadomie zaczęła recytować okrutną prozę:

— Nie miałam gdzie mieszkać. Miesiąc temu przyszłam do Gribowa, żeby po raz setny zapytać o mieszkanie. A on mi dał twój adres i powiedział: „Obiecuję, mieszkanie będzie; przyprowadź tylko tego człowieka na operację...”

Chciała mu też dalej opowiedzieć, że zobaczywszy go, rozpoznawszy, uwierzywszy mu, nie pomyślała nawet o mieszkaniu ani o Gribowie, po prostu go pokochała. A potem, milcząco namawiając go na operację, nie wykonywała niczyjego polecenia, po prostu myślała tylko o tym, że ona też umrze, jeśli jego zabraknie... Ale niczego takiego nie zdążyła powiedzieć.

— Mieszkanie?! — wrzasnął on. — Kupił cię mieszkaniem?! Spałaś ze mną za mieszkanie? Nienawidzę cię! — Nagle stracił głos, jakoś zupełnie niezamierzenie chlipnął i odwrócił się do ściany. A ona ponownie potrafiła ukryć swoją krzywdę i jeszcze raz pokonawszy siebie, dotknęła jego ramienia. Ale on, nie odwracając się, stracił jej rękę i z odrazą wytarł palce o szpitalną pidżamę.

Wstała. Chciała coś powiedzieć, ale tylko potrząsnęła głową i cicho, bardzo cicho wypowiedziała tylko jedno krótkie słowo: „KONIEC”. I wyszła z pokoju.

Leżał bez ruchu mniej więcej godzinę. Pożądał tylko jednego — zemsty. Nie na niej, a na tym, kto wydawał rozkazy, kto jak w dzieciństwie poniżał go swym protekcyjnym patronatem. Zemścić się albo umrzeć. Jedno z dwóch. Zasada pojedynku. I nagle dziwaczny, ohydny pomysł zaczął przebijać się przez jego nienawiść. A już po godzinie cały mechanizm kolejnych kroków pojawił się przed nim wyraźnie. Mechanika zemsty. Właśnie taka, jakiej potrzebował: jeśli umrze — problem rozwiązany, jeśli natomiast wyżyje — Gribow będzie powalony, zhańbiony, opluty.

Wstał, pomaszzerował w szpitalnych kapciach po korytarzu piętra do telefonu, wykręcił numer i poczekał, aż na drugim końcu linii ustały sygnały, a ochryply głos Gienadija zapytał: „Tak?”

Giendos — to akurat człowiek, którego potrzebuje. Człowiek zdolny do każdej podłości, a wiadomo było, że to, co zamierzył, jest podłością. Kiedyś jego i Giendosa łączyła pasja do literatury o zdobywcach Arktyki. Potem Giendos zachlał się, wreszcie go posadzili.

A propos Arktyki. Czas zacząć nowy list do Witalka. Ale ileż można łgać? A właściwie po co kłamać? Przecież może tam nawet w tej chwili być.

— Raaw — ryknął bazyliszek i usłużna zmiłka błyskawicznie wbiegła po jego ogonie i grzbiecie do ucha. I wyśpiewała zakochanym szeptem:

— Słucham, o Panie.

— Do świata chcę — wypowiedział rytualny zwrot.

Raaw znikła, a po minucie drżały przed nim ze szczęśliwego podniecenia kolejne ofiary jego zachcianki — jadowite węże Stachij i Sawł, urodzone wiele wieków temu. I oto odchodzą w węzowy raj dusze Stachija i Sawła, a bazyliszek, połknąwszy karbunkuły, wysiłkiem woli wprowadził siebie do astralu, wpuścił swego ducha do odpowiedniej epoki, odszukał „przynależną” temu ciału świadomość i popędził po temporalno–emocjonalnym rozwinięciu tej świadomości w stronę dorastania, starzenia i biologicznej śmierci. Droga było dość równa, widocznie właściciel świadomości był człowiekiem o stonowanych uczuciach i niezbyt jaskrawych emocjach. Ale oto silna erupcja chorobliwie zdeformowała błądzącego ducha; bazyliszek zatrzymał się, wrócił do początków tej erupcji i włączył się w rzeczywistość. Ogromny, kilkudziesięciometrowej wysokości lodowy wał nieubłaganie zbliżał się do trzeszczącego w szwach statku, na pokładzie którego stał on, Otto Juliewicz Szmidt.

## 9.

Szkliste ze strachu oczy hydrografa Pawła Chmyżnikowa:

— Koniec! Koniec „Czeluskinowca”! Musimy szybko schodzić na lód, bo inaczej wszyscy zdechniemy.

Szmidt wiedział, że ma rację, ale tak bardzo nie chciało mu się postępować według rozkazów Chmyżnikowa, którego podejrzewał o kablowanie.

— Nie panikujcie, towarzyszu — odpowiedział. — Poczekajmy jeszcze pięć–sześć minut, może ten wał do statku nie dotrze. — Otto Juliewicz rozumiał, że słowa te brzmią głupio, jak kobiecy kaprys, i że postępuje niezbyt rozumnie — ośmiometrowy wał na pewno sięgnie parowca, a w takim razie każda minuta jest na wagę złota, ale co miał poradzić — nie znosił organicznie enkawudeków.

Chmyżnikow rzucił się na dół, pewnie do kajuty, zebrać wszystko, co ma najcenniejszego, w tym samym momencie rozległ się ogłuszający trzask — to z poszycia wyleciały nity. Za plecami wyrósł nawigator i stłumionym głosem oświadczył:

— Rozdarło lewą burtę przy dziobowej ładowni.

No nie, w takiej sytuacji marnowanie czasu jest nie tylko głupim kaprysem, ale po prostu przestępstwem. Szmidt wydał rozkaz:

— Alarm! Wszystko co cenne, wszystko, co można uratować — na lód!

Nawigator rzucił się do wykonywania rozkazu. Szmidt pomyślał: „Tego właśnie potrzebował — żebym wydał polecenie — duszę jego wypełniły strach i rozpacz. Dlaczego uważa, że ja lepiej wiem, kiedy i co można zrobić? Teraz, kiedy na moich oczach wali się dzieło mego życia, wali się całe życie. Czy mogę liczyć na to, że mnie zostawią w spokoju? Nie, przekleństwo, nie mogę!”

Statek drgnął, pokład pochylił się i nagle z dzikim świstem na zewnątrz wyrwała się para, to pękł jeden z kotłów. Szmidt rzucił się na rufę. Wyładunek szedł pełną parą. Kapitan Woronin obserwował stan lodu: to tu, to tam powstawały wciąż nowe szczeliny. Powiększały się, ale, chwała Bogu, nie na tyle, aby poważnie obawiać się rozdzielenia kry.

Ludzie podzielili się na dwie grupy: jedni zrzucali skrzynie z sucharami i konserwami, beczki z ropą naftową i naftą za burtę, inni — odciągali ten ładunek możliwie daleko od umierającego statku. Przyroda jakby poczuła, że w końcu władza przeszła w jej ręce i postanowiła sobie poużywać. Wszystko jednocześnie — mróz, zmierzch, zamieć — wraz z awarią zważyło się na ludzi.

Szmidt zauważył, że praca nabrała już właściwego rytmu i, wybrawszy odpowiedni moment, pośpiesznie wpadł do swej kajuty; chwycił teczkę i, po kolei otwierając szuflady biurka, wyładował ją dokumentami. „Tfu — przeleciało mu przez głowę — po licha mi te papierki? Chyba, że wierzę w ratunek...” Cisnął teczką na podłogę, papiery poleciały na wszystkie strony i Otto Juliewicz dopiero teraz zauważył, że stoi po kostki w wodzie. Wtedy wskoczył w butach na pościel i zerwawszy ze ściany portret żony i syna Sigurda, wsunął obraz pod futro.

Rugając siebie w myślach za fatalnie stracony czas, wyskoczył z kajuty, żeby wrócić na pokład i nagle usłyszał dziecięcy płacz. Najpierw nie uwierzył swym uszom, potem zaczął zaglądać do kajut i w jednej z nich znalazł Dorę Wasiljewą, karmiącą piersią malutką Karinę.

— Won stąd! — wrzasnął Szmidt i wyszarpnąwszy dziecko z rąk matki, pobiegł po schodach. Ale Wasiljewa dogoniła go, bez słowa odebrała dziecko i polazła z nim do góry.

Na rufie marynarz Grisza Durasow ogromnym kuchennym nożem zabijał kwiczące głośno świnię, a tusze zrzucał na lód. Szmidt poczuł, że traci poczucie rzeczywistości. Ale znowu rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Teraz chyba i prawa burta została przedziurawiona. Zapadanie statku stało się

tak szybko, że widać już było, jak za burta podnosi się lód.

Szmidt strząsnął z siebie odrętwienie i zachrypłym ze zdenerwowania głosem polecił:

— Wszyscy mają opuścić statek!

Ludzie zaczęli skakać za burta. Szmidt odwrócił się i, starając się zrobić to niewidocznie — on, stary komunista, trzykrotnie się przeżegnał.

Na pokładzie nie było już nikogo. Szmidt i Woronin zeszli na lód jako ostatni. Właśnie wtedy statek, coraz mocniej pochylając się na dziób, gwałtownie zanurzył się w wodzie. Kawałek deski, oderwany od trapu, zwałił Woronina z nóg, kapitan runął do przerebli, ale natychmiast został wyciągnięty przez kolegów. Szmidt bez przygód dotarł do twardego gruntu i w tej samej chwili zobaczył na rufie nie wiadomo skąd przybyłego Borysa Mogilewicza, z nieodłączną bikiniarską fają w ustach. Gapa!

— Skacz! — wrzasnął Szmidt i rozkaszał się, zerwawszy struny głosowe.

Borys, nie śpiesząc się, podszedł do burty, wyraźnie popisując się, malowniczo przeniósł nogę nad burta... W tym momencie statek mocno zadygotał i Borys, pośliznąwszy się, upadł. Natychmiast został przywalony przez turlające się po pokładzie beczki. Z powodu trzasku i zgrzytu nie było nawet słycać jego krzyku. Otto Juliewicz ścisnął skronie. Łzy momentalnie zmieniały się na mrozie w sople. Dobrze, że nikt w tej chwili mu się nie przyglądał.

Trzask. Huk. To pęka drewno i metal. Rufę spowija dym i w tej zasłonie zapada się ona w wodę w ciągu trzech, czterech sekund.

— Odsunąć się od statku! — krzyczy Woronin. — Zaraz powstanie wir!

Rzeczywiście, woda gotuje się białymi odłamkami lodu, które krążą i przewalają się w takim samym bezładzie, jaki panuje w duszy Szmidta.

— Otto Juliewiczu — cicho odezwał się zza pleców Chmyżnikow, — sądzę, że w powstałej sytuacji pierwszą rzeczą, jaką powinniśmy zrobić, to zwołać zebranie partyjne.

— Pocałuj ty mnie w dupę, towarzyszu hydrografie — równie cicho odpowiedział Szmidt, odczuwając ogromną rozkosz na myśl, że już teraz nie musi się płaszczyć przed tym stalinowskim wyrodkiem. Ale poczucie triumfu błyskawicznie go opuściło, ustępując ciężki myślom o czekającej ich walce o życie. Nie odrywając wzroku od wiru odłamków w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu był statek, szepce samymi wargami, bez dźwięku: „Przeklęta Arktyka. Gadzina. Jakże ja cię nienawidzę!”

W tej właśnie chwili jego mózg opuściła cudza świadomość i przez czasoprzestrzeń pomknęła do Pana.

## 10.

...Zakleił kolejny list do Witalka. Potem bazyliszek postanowił odwiedzić skarbnicę.

Czego tu nie było! Plemię szeleszczących kobr strzeże stert pereł i brylantów, szmaragdów i szafirów, wspaniałych rzeźb, wykonanych przez mistrzów starożytnego Peru, bizantyjskich sprzętów z kości słoniowej, inkrustowanych kamieniami szlachetnymi...

Władca, w towarzystwie niewolników — liliputów, minął komnatę bursztynową i malachitową i wkroczył do tęczowej, o ścianach mieniących się niczym rozlana na wodzie benzyna, perłowej komnaty.

Tu, na polecenie sprytnego scytallisa — wodzireja, przy akompaniamencie muzyki cykad i hipnotycznego śpiewu duetu dwugłowej amfisbeny, setka świetlików wykonała przed bazyliszkiem taniec bengalski. Władca był wzruszony i podziękował wykonawcom wdzięcznym

skinieniem, co wprowadziło ich w nieopisany zachwyty. Ale w sali monetarnej bazyliżek stracił cały nabyty przed chwilą dobry humor: widok różnorodnych pieniędzy wskrzesił w nim męczące wspomnienia.

...Giendos dyżurował nieopodal sali operacyjnej. Na drugim końcu korytarza siedziała trójka pracowników milicji w białych kitlach narzuconych na cywilne ubrania. Giendosa nigdy przedtem nie widzieli, znali tylko jego głos w słuchawce. Ale, rzeczy jasna, nie mogli wiedzieć, że był to głos — czy to krewnego pacjenta, czy też jego przyjaciela — człowieka, który nerwowo chodził teraz tam i z powrotem po szpitalnym korytarzu.

Napis Zakaz wchodzenia. Operacja w toku świecił już od trzech godzin. Giendos miał ochotę plunąć na to wszystko i pójść precz; w końcu nie tak znowuż dużo mu zapłacono — gdy drzwi otworzyły się i z zalanej sterylnym światłem sali operacyjnej wyszedł Gribow. Zatrzymał się na progu, zdjął biały czepek i wytarł spocone czoło wierzchem dłoni. Giendos szybko podszedł do niego:

— No i jak tam, profesorze?

Według umowy, gdyby Gribow odpowiedział, że pacjent umarł, a prawdopodobieństwo takiego zakończenia było znacznie większe, Giendos udałby ogromny smutek i oddalił się w diabły. I cały tysiąc byłby jego.

Ale Gribow odpowiedział:

— Wszystko w porządku. Wygrzebał się.

Tak więc Giendos postąpił według drugiego wariantu scenariusza:

— Dziękuję, panie doktorze, dziękuję — potrząsał ręką Gribowa, obserwując, jak ta trójka z końca korytarza wstaje z ławki i z umyślnie obojętnym wyrazem twarzy kieruje się w ich stronę. — Dziękuję, doktorze — jeszcze raz powiedział Giendos i dodał: — A to dla pana — wkładając w dłoń Gribowa wypchaną kopertę.

Ciąg dalszy był łatwy do przewidzenia, dlatego nietrudno było wszystko zaplanować. Póki Gribow tępo wpatrywał się w kopertę, a potem otwierał ją i odruchowo, nie wróciwszy jeszcze myślami z sali operacyjnej, przyglądał się pieniądzom, już na oczach milicjantów, Giendos zdążył zbiec schodami na parter, przemknąć przez szpitalną stołówkę, kuchnię i wyskoczyć z otwartego okna zmywalni na podwórze kliniki. Dziesięć kroków do płotu, podciągnąć się, skoczyć... I nikt nigdy się nie dowie, jak zarobił te pięć setek.

A druga połowa skromnych oszczędności tego, który leżał w tym momencie w sali operacyjnej — kolejne pięćset rubli — starannie było przeliczanych przez jednego ze stróżów porządku. Suma ta została odnotowana w protokole. Podpisali go świadkowie, w tym i oszołomiona, nie mogąca uwierzyć w to, co się na jej oczach dzieje, Maja Daszewska.

\* \* \*

...Fruwając z kwiatka na kwiatek, samiczka motyla zbliżyła się do zagłębienia w skale. Co ją podkusiło, aby wlecieć do pieczary? Ciekawość? Nieodparta ochota na wsuwanie wszędzie swoich wąsików, na przekór własnemu strachowi? Cokolwiek to było — wleciała do jaskini i naturalnie wkrótce zabłądziła w mrocznym kamiennym labiryncie.

Po dwóch dniach, resztkami sił, cudem umknąwszy przed stadem nietoperzy, wpadła z ciemności do jasno oświetlonej, bajecznie kolorowej komnaty. Na jej środku spał ogromny łuskowaty jaszczur. Motylek, nie namyślając się długo, podleciał do niego i usiadł na jego nosie.

Bazyliżek, wytrącony ze snu jej dotknięciem, otworzył oczy i o mało nie zemdłał: motylek. Jak posłaniec z tego świata, który stracił na zawsze. Ostrożnie przesadził ją z nosa na palec.

— Jak się nazywasz? — zapytał, starając się, by jego głos brzmiał możliwie miękko.



— A co znaczy „nazywasz”?

— Jak masz na imię?

— Nie mam imienia. Jest mi niepotrzebne. Pomóż mi wydostać się stąd. Muszę kochać, akogo tutaj mogę kochać? Pomóż mi.

— Wiesz, to nie jest takie proste. Nie mogę kazać wynieść cię stąd moim sługom, bo oni są zobowiązani cię zabić: tu mogą przebywać tylko istoty o gadzich duszach. Prawo to stoi nawet ponad moją władzą.

— No to wynieś mnie stąd sam.

— Dobrze. Ale musisz trochę pocierpieć. Nieczęsto wychodzę na powierzchnię. Jeśli wyjdę przed zwyczajowym terminem, moi wasale i słudzy mogą zacząć coś podejrzewać i wysłędzą cię. Myślę, że powinniśmy uczynić tak: do terminu mojego wyjścia zostało kilka tygodni, pomieszkasz tutaj. Ukryję cię. A potem, gdy nadejdzie odpowiednia chwila — wyniosę.

— Niełatwo, jak widzę, tu się żyje — powiedział motyl, patrząc mu w oczy.

— Władza zobowiązuje — uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi bazyliszek i wytrząsnąwszy z bursztynowej szkatułki kilka sznurów pereł postawił ją przed motylkiem. — Na razie będziesz mieszkała tutaj.

— Tu? — zdziwiła się samiczka, ale przefrunęła na dno puzderka i usiadła na nim. Potem przymierzyła się, złożyła skrzydła i usadowiła wygodnie. — Dobrze — zgodziła się. — A kogo będę kochać? To mój obowiązek.

— Na razie kochaj mnie — zaproponował bazyliszek i nagle wydało mu się, że jego kamienne serce uderzyło jakoś mocniej w piersi.

— Ciebie? — Samiczka, nie kryjąc wątpliwości, przyjrzała się olbrzymiemu jaszczurowi. Łzy rozczarowania pojawiły się w jej oczach. Ale, westchnąwszy, mężnie zgodziła się: — Dobrze. Będę kochała ciebie.

— Ale co będziesz jadła? — zaniepokoił się bazyliszek.

— Mogę w ogóle nie jeść. Kocham pić nektar, rozkoszować się pyłkiem, ale to tylko tak, dla przyjemności. Zdobywała pożywienie i jadła moja gąsienica, moje zadanie to śpiewać, tańczyć, kochać i nie myśleć o jedzeniu... chociaż bardzo mi smakuje nektar... — westchnął znowu motylek.

— Wiesz co — bazyliszek udał, że nie słyszy jej ostatnich słów, — może jednak damy ci jakoś na imię.

Szczerze mówiąc, miał już pomysł.

— Jak?

— Kiedyś, dawno temu kochałem pewną kobietę i w duchu nazywałem ją motylkiem. Ale nie zdążyłem jej tego powiedzieć. Więc może teraz ciebie — mojego ukochanego motylka — będę nazywał Mają, tak jak nazywałem tę kobietę.

Motylek zamyślił się, a potem odpowiedział:

— Dobrze. W tym imieniu jest coś wiosennego: maj — Maja...

— Świetnie — rzekł bazyliszek, dotykając pokrywki szkatułki. — Przyjdzie mi pożegnać się z tobą. Do jutra, Maju.

— Do widzenia — pokornie pochylił głowę motylek. — Wracaj do mnie szybko... kochany.

Ani jedno, ani drugie nie zauważyło, że cieniutka żmijka, ukrywająca się do tej pory w szczelinie między kamieniami, pośpiesznie umknęła z komnaty.

## 11.

Sam w pokoju hotelu asystenta. W tymże pokoju. Wiedział już, że jego wróg został zgnieciony i teraz, pozbawiony wszystkiego, nawet wolności, znajduje się w areszcie śledczym. Ale zamiast triumfu czy chociażby ulgi czuł coś, co raczej przypominało wyrzuty sumienia. I jeszcze jedna sprawa: był sam. „Jak nudno. Jak smutno. Boże ty mój jedyny... Niech się stanie cokolwiek...”

— tak myślał zasypiając, starając się nie zwracać uwagi na nękający go pooperacyjny ból w piersi.

I los ulitował się nad nim. Kiedy się obudził, stało się COŚ: całe jego ciało zostało pokryte grzybami. Takimi leśnymi, jakie znajduje się na pniach drzew. Były wszędzie — na nogach, na rękach, na brzuchu, na piersi, a jeden nawet niesymetrycznie sterczał nieco na lewo od środka czoła. Wstał i na bosaka podreptał do lustra. A to historia! Spróbował odłamać jeden grzyb — pod pachą, z lewej, bo przeszkadzał mu w opuszczeniu ręki. Odczucie było takie, jakby próbował odłamać paznokieć z palca. Z powstałej między ciałem i grzybem szczeliny wysączyła się kropelka różowawej, półprzezroczystej cieczy. Szarpnął grzyb mocniej, ból stał się nieznośny, a ze szczeliny wypłynęła krew. Musiał zrezygnować z realizacji pomysłu, a pod pachą czuł ból aż do nocy. Aż do najbardziej dusznej, nieznośnej nocy w jego życiu miotał się po pokoju, nie wiedząc, co zrobić — wyjść w takim stanie nie mógł, telefonów do cel w hotelach asystentów, jak na razie, nie doprowadzają... Zostało jedno — czekać. A duchota gęstniała i gęstniała.

I oto, kilka minut przed północą rozległ się dźwięk pioruna i ulewa uderzyła w parapet. Deszcz przyniósł pewną ulgę. Poczul, że jest cholernie głodny. Ale wszystko, co można było zjeść, zjadł już w porze obiadu, w drzwiczkach małej i pustej lodóweczki stała tylko butelka koniaku. A niby czemu nie — może to akurat to, czego potrzebuje?

Usiadł na mokrym parapecie tak, żeby żaden grzyb o nic nie zaczepiał, nalał sobie pół szklanki koniaku i wypił duszkiem... W tej samej chwili rozległ się wściekły huk grzmotu i to taki, że wydawało się, iż niebo, nie wytrzymawszy napięcia na linii horyzontu, pękło pośrodku. A po kilku kolejnych sekundach, kiedy wskazówki zegarka zetknęły się na cyfrze 12, na ciemnej, przeciwległej do okna ścianie zapłonęła nagle, drgając, mała purpurowa kropka, nie większa od jednokopiejkowej monety. Punkcik świecił coraz mocniej i mocniej, drżąc z coraz większą amplitudą; jakby usiłował oderwać się od tego miejsca, a jakaś magnetyczna siła utrzymywała go w miejscu. Ale w końcu oderwał się i pobiegł po ścianie, zostawiając po sobie purpurowy płonący napis: Powiedziane jest w Księdze Pana prawdziwego: raz na tysiąc księżyców pojawi się ten zły, który użyje serca swego na zgubę swego zbawcy, i będzie on bazyliszkiem obrzydliwym, i będzie pożarty przez następcę swego.

Poczułem ohydny zwierzęcy strach; to znaczy, że owe grzyby to nie jakaś dziwna, straszliwa, ale czasowa tylko infekcja, a coś długotrwałego, co zakończy się zgołą nie wyzdrowieniem, a całkowitym przepoczwarzeniem w diabli wiedzą co.

Rzeczywiście — nieco poniewczasie uświadomiłem to sobie — co może być podlejszego? Przecież wpakowałem do więzienia tego, który uratował mi życie. Po co? Z zazdrości? Z poczucia nadszarpniętej miłości własnej. Ale przecież Maja chciała dla mnie dobrze. Tak, zasłużyłem na dowolną karę. Jestem potworem.

Krzyknąłem w noc:

— Jestem potworem!

Ale nie ulżyło mi to. Błysnęła i zaraz przepaliła się spirala niebiańskiej żarówki, tylko przez ułamek sekundy oświetlając mokry świat. Pomyślałem: „Jestem głównym winowajcą. Byłem zaślepiony wściekłością. Zostałem ukarany. A Giendos? Wszystko wiedział i rozumiał, ale nie

powstrzymał mnie. Gdzie tam — jeszcze z radością pomógł mi uczynić tę podłość. Pies jeden.”

— Giendos pies! — krzyknąłem w noc i niczym na znak zgody mrugnęła do mnie błyskawica. Czy wiedziałem, co oznaczają te błyski po moich słowach? Że to znak potwierdzenia i zgody niejakiego Pana prawdziwego. A tegoż ranka, gdy ja odkryłem, że moje „grzyby” stają się cieńsze i twardsze i zmieniają w twarde jak stal i błyszczące niczym mika łuski, Giendos obudził się już trochę psi — na dwa milimetry wysunęła się mu szczecina na całym ciele i pojawił się koniuszek ogona.

Odkrywszy to, Giendos chciał krzyżeć, ale zamiast tego zawył. I obudził się całkowicie. Zerwał się z pościeli i grzmotnął na czworaki: plecy nie życzyły sobie wyprostowanej postawy. Trzymając się mebli, wyprostował się jednak, ale nieubłaganie ciągnęło go w dół. Giendos jednak stał i nawet zrobił krok, ale w tej chwili pękła półka, o którą się opierał. Biedak pisnął, odskoczył od półki, opadł na kolana, odczuwając ogromną ulgę, że nie musi już stać. Skowycząc cicho i dosłownie w oczach obrastając czarną sierścią, zaczął spiralami przemierzać mieszkanie, aż w końcu znalazł drzwi.

...Jestem bazyliiszkiem. Od szyi do koniuszka ogona jestem zakuty w pancerne łuski z diamentowych płyt, a moja głowa spoczywa w futerale z platyny. Wiem, że jestem władcą gadziego księstwa, panem podziemnych bogactw i posiadaczem wielu magicznych właściwości. Wiem, jak mam trafić do swojego pałacu i jak zasiąść na wspaniałym tronie. Wiem, że moim jedynym przeznaczeniem jest rozkazywać. Ta wiedza pojawiła się w mojej głowie tak samo niespodzianie, niezależnie ode mnie i w jednej chwili, jak i dokonała się moja przemiana. Wiem także, że przybywszy na miejsce, przez pewien czas będę rósł, zjadając ciało mojego poprzednika, póki nie dojdę do trzynastu metrów długości, a wtedy moje przekształcenie się zakończy.

Wymknąwszy się na korytarz, szybko przemknąłem po schodach, wyszedłem na mokrą nocną ulicę i, ocierając się z szelestem o zimne mury budynków, wyginając się pod kątem prostym na rogach, ruszyłem po pustej szosie w zadanym mi przez dopiero co zrodzony instynkt kierunku. Jakaś kobieta krzyknęła i odskoczyła na mój widok. Rzuciłem na nią okiem, a niewiasta zmieniła się w posąg z kruchego minerału. Posąg straciwszy równowagę upadł i rozprysnął się na tysiące kawałków. Obok kupki żwiru na chodniku pozostał otwarty parasol.

...Podziemne źródło. Kilka dób w wodzie w absolutnych ciemnościach. Bieg po jaskiniowych labiryntach. Walka z ogromnym, ale nieruchawym jaszczurem. Zwycięstwo. Zasiadanie na tronie i wspaniała feeryczna koronacja. Wszystko to zajęło wierzchnią warstwę mojej pamięci. Ale nie mogło do końca wypłenić pamięci człowieka. Co prawda z każdym dniem coraz trudniej było przypomnieć sobie, co też takiego atrakcyjnego znajdował wbyciu miękkim i ciepłym jak błocko z gejzeru.

## 12.

Wszystko błyskawicznie zmieniało się w życiu Mai Daszewskiej. Najpierw — niespodziewana, zwariowana miłość. Potem — wstrętna scena oskarżenia jej o zdradę. Następnego dnia jej ukochany, a teraz zniechęcony człowiek leżał na stole operacyjnym z otwartą, jak puszka konserw, klatką piersiową. A po operacji — aresztowanie człowieka, którego ona uważała za boga.

Aby nie szkodzić pacjentowi swym widokiem w okresie pooperacyjnym — a i sama zbyt boleśnie znosiła jego widok — i by spokojnie przemyśleć wszystko to, co się ostatnio stało, Maja wzięła urlop i pojechała do domu, do mamy. Skosztowała owoców, poopalała się nad rzeczką. Burza w jej duszy powoli uspokajała się, coraz częściej wyrzucała sobie czerstwość i egoizm i

postanowiła, że po powrocie do miasta, bez względu na poniżenie i wstyd, zmusi go, żeby jej uwierzył i zrozumiał, że nie zdradzała go, nie wyrzekała, że mocno go kocha. A potem to już niech ON wybłaga u niej przebaczenie.

Po urlopie dwukrotnie przychodziła pod drzwi pokoju w hotelu asystenta. Za każdym razem drzwi były zamknięte. A kiedy za drugim razem „współczująca” starszka portierka złośliwie zapytała: „Co to — nawet liściku nie zostawił?” i dodała: „Ze trzy tygodnie już go tu nie ma”, Maja zrozumiała — wrócił do rodziny. A to znaczyło, że ona — Maja — nigdy więcej, nieważne jak bolesne to będzie, nie będzie szukała z nim spotkania, nie będzie próbowała cokolwiek wyjaśniać.

Dzisiaj przez wewnętrzny telefon wezwano ją do gabinetu szefa, a tam pełniący obowiązki wytrzeszczywszy oczy powiedział, że miał telefon STAMTAD — dźgnął palcem w sufit. Polecili mu przekazać jej, żeby natychmiast udała się do rady miejskiej po przydział na mieszkanie i klucze.

Najpierw poczuła gorycz: to właśnie jest to mieszkanie, za które on ją tak znienawidził. Ale gorycz ustąpiła miejsca ciekawości i Maja udała się tam, dokąd jej kazano.

W radzie miejskiej rozmawiano z nią nie po prostu uprzejmie, ale z jakąś nieprzyzwoitą służalczością. A po pół godzinie stała już na progu swego nowego mieszkania. Nie wierzyła własnym oczom: ogromny przedpokój, trzy pokoje z wysokimi sufitami, balkon, loggia, parkietowe połogi... Przemknęło jej przez myśl, że byłiby tu szczęśliwsi niż w tym jego pokoiku, ale pośpiesznie przepędziła tę myśl głęboko.

Był nawet telefon, który nagle rozdzwonił się. Maja drgnęła i przycisnęła słuchawkę do ucha: „Halo, halo!” Pewnie dzwonił ktoś do poprzednich właścicieli, pomyślała. Słuchawka milczała. Nagle zrobiło jej się zimno w tym ogromnym, pustym i takim jeszcze cudzym domu. A słuchawka milczała. Lecz nie odkładała jej na widełki, ciągle nasłuchiwała. I nagle usłyszała: bardzo ciche i niskie, na granicy słyszalności, warczenie. Czy może jej się wydawało? Że na tamtym końcu przewodu z tego wręcz nieistniejącego warkotu złożyło się słowo. „PRZEBACZ”.

...Irinę już kilka razy odwiedzali funkcjonariusze milicji. Przecież jej mąż zniknął dosłownie bez śladu. Jakkolwiek bardzo czuła się skrzywdzona i poniżona, to, w końcu, nie był dla niej obcym człowiekiem, a gdy zniknął — niemal zaraz po operacji (o każdym jego kroku po odejściu wiedziała lepiej niż on sam) — to właśnie ona zgłosiła to do organów. A potem zaczęły przychodzić te dziwne listy znikąd (chwała Bogu — żyje), które Wita — lek składał do swojej szuflady z zabawkami, troskliwie przechowywał, a czasem prosił Irinę, aby czytała jeszcze raz na głos — albo ten list, albo inny. Irina zgadzała się niechętnie, wiedząc, że w tych listach nie ma ani słowa prawdy. Ale czytała. A dla Witalka góry lodowe i Eskimosi, wielorybie fontanny i białe niedźwiedzie stały się niemal drugim życiem, może nawet bardziej realnym niż to, które widzi wokół.

...Po tym, jak trójka recydywistów zmięczyła Gribowa w areszcie śledczym, ten bez słowa sprzeciwu podpisał przyznanie się, które położył przed absolutnie przekonany o swojej racji — wszak aresztowano go z dowodami — śledczym. Sąd odbył się w trybie pokazowym, sesja wyjazdowa w auli głównego budynku akademii medycznej, wypełnionej przez lekarzy i studentów. Występowali jego współpracownicy i koledzy, mówili o nim, że jest naukowym autorytetem, że jest najuczciwszym z ludzi... Ale dowody były niepodważalne, a jego szczere przyznanie leżało na stole sędziego. Na dodatek komuś z miejscowych bonzów wydawało się, że „sprawa Gribowa” znakomicie pomoże trochę utrzeć nosa skorumpowanym do cna medykom...

Jedyna rzecz, jaka nieco zakłóciła płynny tok sądowego procesu: w sali, w chwili odczytywania wyroku pojawił się ogromny czarny pies, przebiegł między rzędami widzów do katedry, zatrzymał się, odwrócił pyskiem do zebranych i zawył tak smutno, tak rozpaczliwie i tęsknie, że zlodowaciały serca sędziego, przysięgłych i reszty obecnych. Prokurator zakrzuszył się i zamilkł w

pół słowa. Wszyscy znieruchomieli. A pies wył i wył, wpędzając ludzi w śmiertelną żalność.

Dwaj odważni z grona pracowników Temidy boczkami, bo zębiska pies miał wspaniałe, zbliżyli się i wypchnęli zwierzę za drzwi, odwrócili się i już mieli wejść z powrotem do sali, gdy usłyszeli z tyłu: „Psy cholerne!” Obejrzeli się, już odczuwając rozkosz na myśl o rozliczeniu się z osobnikiem poważającym się znieważać honor władzy radzieckiej, ale nikogo, oprócz wspomnianego wyżej, rozwalonego na chodniku psa, nie zobaczyli. Skonfundowani nieco wrócili do ławki oskarżonego i każdy z nich przyjął, że urągliwe słowa słyszał tylko on, a uzgadniać tego z drugim żadnemu z nich się nie chciało.

Rozprawa, tocząc się swoim zwykłym trybem, równie pomyślnie się zakończyła. Co prawda prokuratorowi błysnęła po raz pierwszy w życiu myśl: a czy nie przesadnie surowo tu karzemy? I długo jeszcze — przez kilka godzin, a u niektórych to i przez kilka tygodni — utrzymywało się u widzów dziwne, niczym wydawałoby się nie usprawiedliwione, nękające poczucie straty.

### 13.

Któryś już raz w ostatnim czasie bazyliszek z lekkim, takim już niemal zapomnianym drżeniem w piersi, kryjącej kamienny głąz jego serca, podniósł pokrywkę bursztynowej kasetki. Motylek Maja poderwał się, przetaił oczka i, kokietując go, złożył skrzydła i pochylił wdzięcznie główkę.

— Witaj, moja mała pani — powiedział bazyliszek, usiłując nadać swemu wściekłemu rykowi pozory miękkości.

— Witaj, mój kochany — odpowiedział motyl i podfrunąwszy, pocałował jaszczura w jeden kwadratowy mikron jego nosa.

— Mam dla ciebie niespodziankę — bazyliszek odkręcił pokrywkę kryształowego flakonika i przechyliwszy naczynie, wylał odrobinę zawartości na dno szkatułki.

— Czy ty zwariowałeś! — tupnąwszy nóżką, zakrzyknęła oburzona samiczka. — Chcesz, żebym się utopiła?! To jest ilość nektaru, w jakiej utopią się wszystkie motyle świata! — Ale przyłgnąwszy na chwilę do kałuży na dnie swej wspaniałej celi i wypiwszy odrobinę, przestała się pieścić i dokończyła z wdzięcznością: — Co za wspaniały smak! Z jakiego to kwiatu?

— Z kwiatu magnolii, mój skarbie.

Bazyliszek nie wiedział, że jego dziwne polecenie wcale nie zdziwiło wiernych niewolników — węży Czarnomorza.

— Oj! Słyszałam o tym kwiatku. Jego nektar jest jakoby straszliwie upajający!

— To znaczy, że będziesz dziś strasznie pijana.

— Czy to źle?

— Dzisiaj możesz. Przecież dziś są twoje ostatnie tu godziny. Nadszedł czas mojego comiesięcznego spaceru, w czasie którego demonstruję swą moc, zmieniając w kamienie ludzi i zwierzęta. Wyniosę cię stąd...

— Nie chcę! — nie wysłuchawszy go nawet do końca, krzyknęła Maja i łyzy polaty się spod jej jedwabnych rzęs. — Chcę zostać na zawsze z tobą, mój ukochany, mój kochany dinozaurze!

— Nie jestem dinozaurem — bazyliszek usiłował się uśmiechnąć, ale ten uśmiech mu nie wyszedł, więc dyskretnie strząsnął z oczu stalaktyty łez — jestem bazyliszkiem. Może mnie jest trudniej rozstać się z tobą niż tobie ze mną. Przecież ja będę cię kochał wiecznie — taka jest długość mojego życia, a ty mnie tylko kilka tygodni — do swej naturalnej śmierci. Dlatego właśnie chcę, abyś wróciła do świata, abyś pokochała kogoś innego. Jak sądzisz, Maju, czy to dla mnie łatwe?

— Nie pokocham nikogo innego — szlochała. — Zrozum — jego dźwięczny warkot brzmiał mimo wszystko czule — okres twego życia to dziesięć tygodni, to mgnienie oka w porównaniu z moimi wiekami. Ty jesteś iskierką, która mignęła w wiecznym mroku mego istnienia. Czy to będzie dzień w te, czy dzień we w te — nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ale nie wybaczę sobie, jeśli umrzesz bez śladu. Musisz spełnić swe przeznaczenie — zostawić potomstwo. Zrozum to, moja mała pani, zrozum i przyjmij z pokorą, jak przyjąłem i ja.

Jak zagle w ciszy morskiej zwisły jej mokre od łez skrzydła. Pochyliwszy się, rozdwojonym językiem zlizwał kropelki nektaru z dna szkatułki i dmuchnięciem osuszył je.

— Dlaczego decydujesz za mnie?

— Nie decyduję. Ale bardzo cię proszę.

— Dobrze — zaszlochała Maja, a on dopiero teraz zauważył, że już jest nieźle wstawiona. — Dobrze, pomyślę o tym. — I ułożywszy się wygodniej na pościelonym jej tydzień temu kawałeczku aksamitu, słodko ziewnęła.

Bazyliśzek uśmiechnął się, cicho zamknął szkatułkę i trzymając drogocenny ładunek w prawej łapie, na trzech pozostałych popęzł ze skarbnicy w kierunku sali tronowej. Wtedy to, przy wyjściu z tunelu do jądra podziemi, spotkali Pana jego wierni słudzy i wieczni szpiedzy.

— Władco — pisnął Homek — chcemy skorzystać z Prawa!

— Tak–tak–tak — drapieźnie zmrużył oczy bazyliśzek i krzywo uśmiechnąwszy się, popatrzył na szeregi gadów, dziś nie zamierzających się płaszczyć. Postanowił, że będzie przeciągał sprawę i korzystał z każdego nadarzającego się zwrotu wydarzeń. — A pamiętacie, moi niewierni, co was czeka wszystkich, jeśli skorzystacie ze swego Prawa nadaremnie?

— Tak, Panie — zamruczała jego zwinna faworytka, najgorliwsza dotąd ze źmij, Raaw, — wiemy: jeśli nasze podejrzenia okażą się niesłuszne, pożresz nas wszystkich; żadne z nas nawet nie spróbuje uniknąć swego losu. Będziesz miał nowe sługi. Ale mimo wszystko, kochany nasz bazyliśzku, chcemy skorzystać ze swego Prawa. Jeśli nie masz się czego bać, to dlaczego się z nami wyklócasz? Gzy może ci nas żal? W takim przypadku też mamy rację: wykazujesz się godną pogardy dobrocią.

— Karzełku — bazyliśzek odwrócił się do Marksika — jesteś z nich najmądrzejszy. Zrozum sam i wyjaśnij im: nie ze strachu, bo nie mam się czego bać, i nie z żalości, bo nie ma jej we mnie, chcę was powstrzymać. — Starał się mówić możliwie przekonująco. — Po prostu przywykłem do was, ufam wam, a — co najważniejsze — nie chce mi się szukać nowych sług. Odradź im tę pokusę.

— Panie — rzekł karzełek, nieco skonfundowany, szarpiąc włosy rzadkiej bródki — jesteśmy pewni swej racji. Na dodatek strach przed śmiercią jest dla nas niczym w porównaniu z hańbą służenia komuś MIĘKKOCIAŁEMU! Podporządkuj się więc, Panie. A potem, jeśli tak sązione, zabij nas.

— Cóż, pytajcie — podgiąwszy łapy, ciężko opadł na brzuch i zręcznie ukrył pod sobą szkatułkę.

— Odpowiedz, z kim rozmawiasz w osamotnieniu ostatnimi dniami?

— A jeśli odpowiem „z nikim”?

— Przeszukamy skarbiec i sami znajdziemy twoją rozmówczynię. A potem zabijemy ją i ciebie, poddawszy uprzednio najokrutniejszym i haniebnym torturom. Aby nie pojawiały się więcej w naszym księstwie i nie poznawały naszych sekretów istoty z gorącymi sercami.

— A jeśli sam ją oddam?

— To uwolnisz siebie od tortur.

— A jeśli powiem: torturujcie mnie po dwakroć i trzykroć, ale ją wypuście na świat, czy spełnicie moje życzenie?

— Częściowo: będziemy torturowali cię, o Wszechpotężny, po dwakroć i trzykroć okrutniej, ale ją zabijemy i tak.

— Cóż, tedy powiadam wam — szukajcie. — Ułożył ciężką głowę na podłodze i spod półprzymkniętych powiek obserwował, jak z szacunkiem wyginając się, przepęzło obok niego, pod przewodnictwem Marksika i Homka, kilka dziesiątków najbardziej rasowych i niebezpiecznych żmij. Wkrótce przekonają się, że poszukiwania nie przynoszą rezultatów i — smagane strachem przed śmiercią — zdecydują, że trzeba obszukać i jego. Jest tylko jedno wyjście.

Pochyliwszy głowę, wsunął paszczę pod brzuch, mocno zacisnął szczęki na szkatułce i, odepchnąwszy się z całych sił od podłoża, runął przez tłum, osłabiony odejściem tych najmocniejszych.

Żmije oplątywały go od stóp do głów, splatały się w sieci i liny, próbowały za wszelką cenę powstrzymać go. Ale on je strząsał i metr za metrem przebijał się do przodu.

Biegł po tunelach wypełnionych obudzonym przez niego echem, taplał się w podziemnych rzeczulkach, przedzierał przez wąskie szczeliny, gdzie sufit zarośnięty wapieniem niemal stykał się z podłożem. A różne siły nieczyste, jeszcze wczoraj pokorne jego sługi, spływały z odnóg korytarzy i goniły go, zaledwie o kilka kroków za nim.

Pomarańczowo-zielone pamy i wzorzyste położy, olbrzymie pytony i złośliwe żmije, sepsy, dipsy i martwookie emmorisy — ani jeden z wczorajszych niewolników nie zamierzał odpuścić sobie okazji ścigania wczorajszego Pana.

Na jednym z zakrętów na drodze stanął mu Tifon — potwór z setką węzowych głów; tak naprawdę to jest straszny tylko dla ludzi, dla bazyliuszka nie jest gorszy od setki zwykłych żmij. Potężnym uderzeniem szponiastej łapy wgniół Tifona w ścianę pieczary, ściana nieoczekiwanie runęła, a za nią otworzył się korytarz prowadzący stromo do góry.

Bazyli szek, odpychając się szeroko rozłożonymi łapami, ledwo zdołał wywlec swoje ciało z wąskiej; pionowej nory na leśną polanę i, szeroko otworzywszy pysk, klekocąc i chrapiąc, usiłował odetchnąć dusznym, wieszczącym burzę powietrzem. Upuścił szkatułkę na ziemię. Puzderko otworzyło się i wyfrunęła z niego zaspana Maja. Mieli dla siebie co najwyżej minutę.

— Maju, leć stąd szybko. Potrafię uchronić cię przed pościgiem. Ale spełnij moje polecenie: odwiedź dwójkę ludzi, których kiedyś kochałem i nienawidziłem. — I krótko wyjaśnił jej, kogo i gdzie ma znaleźć, co i jak przekazać. — Żegnaj więc! — zakończył.

— Żegnaj — odpowiedział motyl, wysłuchawszy go, po czym, pocałowawszy jeden kwadratowy mikron jego nosa, zniknął w mroku.

Bazyli szek wsłuchał się i wychwycił złowieszczy szelest tysięcy zbliżających się ciał. Wiedział, jak może je zatrzymać. Wpijając się pazurami w swą pierś, szarpnął z całej siły. Jednocześnie, gdy pękła jego skóra, z hukiem pękło błyskawicą niebo i lunął deszcz.

Wyszczerzywszy z nieznośnego bólu zęby, bazyli szek wyjął z piersi zakrwawioną bryłę swego serca, zdążywszy zdziwić się, że ciągną się od niej, takiej niby nieżywej, cienkie włoski, następnie uniósł ją przednimi łapami nad głowę i z całej siły wbił bryłę do połowy w norę. Nie przebija się... Zagrzmiało. „Shaun!” — zawył bazyli szek i, przewróciwszy się na plecy, wygiął w bolesnej agonii. Jego gasnące spojrzenie, uchwyciwszy przelatującą obok sowę, niechcący zmieniło ją w kamień i nieszczęsna, poruszając się z rozpędu niczym pocisk armatni, uderzyła w drzewo. Posypały się szyszki, bazyli szek drgnął ostatni raz i znieruchomiał, wyszeptawszy: „Przekłęta Arktyka...” Już nie widział jak na wzgórkę wykopanej nory, drząc niczym ognik papierosa, błysnął purpurowy punkcik. Stawał się coraz jaśniejszy, drgał coraz mocniej i w końcu oderwawszy się, pobiegł po wzgórkę, zostawiając po sobie ognisty napis: Powiedziane jest w Księdze Pana prawdziwego: i raz na milion księżyców pojawi się ten, kto oczyści się od złego,

używając serca swego do obrony słabego i małego; i spadnie zeń skóra bazyliuszka ohydnego, i stanie się na powrót człowiekiem.

\* \* \*

Huk gromu obudził Witalkę, ale obudził się nie ze strachem, ale z radosnym uczuciem w sercu. Obudził się i zobaczył, że mama też nie śpi: leży, uśmiechając się w świetle nocnej lampki, do jakichś swoich dorosłych myśli.

A na ulicy poderwał się ze snu ogromny nowofundland, nocujący z powodu deszczu pod ławką, przy budce skupu butelek. Obudził się i zaczął drapać. „Czyżby pchły? A żeby to lichy.” Ale choć drapał się długo, kąsał nawet fragmenty ciała, wrednych insektów nie było. Natomiast, ku jego nieopisanemu zdziwieniu, ogromnymi kłakami odpadała z niego sierść. „Liszaj” — wystraszył się Giendos, ale słysząc kolejne uderzenie gromu, nagle uspokoił się i poddał ogarniającej go szczenięcej radości oczekiwania na cud.

Z takim samym uczuciem, tyle że nie „szczenięcym”, obudziła się w swoim nowym mieszkaniu Maja Daszewska. A cud nie kazał długo na siebie czekać. Jej uwagę przyciągnęło światło za oknem, zupełnie niewłaściwe o tej porze nocy.

Podniosła się, naga i bosa podeszła do okna, aby z wysokości swego czwartego piętra zobaczyć, że grunt na dole usiany jest jakimiś różnobarwnymi świecącymi plamami. Błyskawicą pękło niebo, echem przeturlał się grzmot i lunął deszcz. Maja otworzyła szeroko okno, wciągnęła w płuca burzową świeżość, a krople z parapetu zrosiły jej strome, olśniewające piersi. I nagle, nieco wystraszona, zobaczyła, że kolorowe plamy wzbily się w powietrze i zbliżają do niej. Boże mój, przecież to kwiaty! Ogromne jak talerze, aksamitne, świecące niezemskie kwiaty — jaskrawożółte, rubinowe i liliowe.

Centymetr po centymetrze podnosiły się do jej okna — niepojęty bukiet na cieniutkich, bladezielonych, wyprężonych łądyżkach. Wznosiły się wyżej i wyżej, a łądygi stawały się coraz cieńsze i cieńsze; odurzająco pachnące kwiaty zrównały się z jej oknem, wszystkie jednocześnie, a ich łądygi stały się tak cienkie, że nie wytrzymały ciężaru kwiecica, łamały się i wspaniałe kwiaty, zaiskrzywszy tęczowym fajerwerkiem, jednocześnie runęły w dół. W tej samej chwili do pokoju, ratując się przed deszczem, wpadł motyl, zgoła nie nocny, a pawik. Wleciał do pokoju i przysiadł na wyciągniętej dłoni kobiety.

Maja podniosła go do oczu i roześmiała się, ponieważ nagle wydało jej się, że motylek z kokieterią, niczym rywalka, popatruje na nią. I zrozumiała Maja, że jeszcze trochę i zwariuje. „No to co — pomyślała — przecież to będzie szczęśliwe wariactwo.” I nagle uświadomiła sobie to najważniejsze, co przepelniało teraz ją całą — uczucie NIEKOŃCZĄCEGO SIĘ SZCZĘŚCIA.

## EPILOG

Na stole operacyjnym leżał człowiek. Grzybiarze, którzy wyszli na leśne żniwa zaraz po całonocnej ulewie, znaleźli go w lesie obok szarego, wielkiego, porośniętego zielonym mchem głazu. Człowiek był nagi, chudy, nieogolony i ranny; na jego piersi ziała rana, podobna do sprutego szwu chirurgicznego. Ale najdziwniejsze było to, że ten człowiek ŻYŁ.

...Maja, tracąc oddech, biegła po korytarzu szpitala, pośpiesznie naciągając białe sterylne zarekawki. Obudził ją dziwny telefon: „Pilnie do operacji!” Jeszcze nie wiedziała, kogo zobaczy na stole. Ale i tak coś więcej niż poczucie obowiązku i przysięga Hipokratesa gnały ją do przodu.



A nad pochyloną głową chirurga, ratującego to dziwne życie, z oddaniem czyniły NOWE życie dwa nie wiadomo skąd przybyłe motyle Vanessa i o. Motyle na przemian płakały i śmiały się, albo w czasie krótkich, ale częstych chwil orgazmu coś krzyczały do siebie i ludzi w białych fartuchach. Ale ludzie ich nie słyszeli.

*tłum. Ewa i Eugeniusz Dębscy*

## POSŁOWIE

Zacznę od rzeczy oczywistej — rosyjska fantastyka zawsze miała w Polsce wielu czytelników. Książki braci Strugackich były rozchwytywane w wielkich nakładach, wznawiane i też sprzedawane na pniu. Podobnie było z książkami Kira Bułyczowa. Trylogia Śniegowa do dziś zajmuje wysokie noty w rankingach popularności.

Nie wszystkie utwory przekładane na polski były tego warte, to właśnie radziecka fantastyka tak gorąco sławiła budowę komunizmu i roztaczała przed nami świetlaną przyszłość czerwonego kosmosu. Na szczęście dla nas wielu takich książek nie wydawano w Polsce, a dominowała dobra fantastyka, proza często aluzyjna, w zakamuflowany sposób opisująca naszą rzeczywistość. Stąd chyba i nasza sympatia do tej prozy, bo i u nas triumfy święciła fantastyka socjologiczna, polityczna. Fantastyka rosyjska miała jednakże jeszcze jedną dobrą cechę — była, w większości przypadków, bardzo dobrze napisana.

Nadszedł jednak rok przełomu i wydawcy rzucili się na przekłady fantastyki zachodniej, którą tak nam reglamentowano w poprzednich dekadach. A o Rosjanach zapomniano. Ukazały się co prawda wszystkie nieznane powieści Strugackich, ale śmierć Arkadija, literackiej lokomotywy tego duetu, przerwała dostawy nowości. O Bułyczowie też zapomniano, po części dlatego, że jego tłumacz i agent, Tadeusz Gosk, zmarł.

Przez kilka lat trwało embargo na rosyjską literaturę fantastyczną, a właściwie na całą rosyjską kulturę. Tymczasem Rosja to olbrzymi kraj i działały się tam rzeczy adekwatne do tego ogromu. Mnożące się jak grzyby po deszczu prywatne oficyny, olbrzymi rynek czytelników — czy i chęć do czytania, tanie drukarnie, spowodowały prawdziwy boom literacki. W tej chwili jest w Rosji, nie wspominając o republikach, które uzyskały niepodległość, kilkuset pisarzy SF i fantasy, którzy mają na koncie przynajmniej kilka książek. Rekordziści wydają w kilkusettyśięcznych nakładach po kilka tytułów rocznie.

Nie ominęły Rosji zachodnie mody na pisanie wielotomowych cykli powieściowych, wielka moda na fantasy czy tworzenie kontynuacji serii znanych z Zachodu, jak przygody załogi statku czy Conana. Za to fantasy oparta jest najczęściej na przebogatej mitologii słowiańskiej i mitologiach ludów należących do dawnego ZSRR, co dla czytelników znudzonych powielaniem arturiańskich schematów może być bardzo interesujące. Bardzo często łączą Rosjanie fantasy z SF, tworząc na przykład światy alternatywne, rozgrywające się w średniowiecznych Chinach lub pod panowaniem Mongołów, którzy opanowali cały współczesny świat.

Przez czternaście lat od przełomu, w Rosji doszło do głosu całkiem nowe pokolenie pisarzy, wydawców, rozwinął się rosyjski fandom. A my, zapatrzeni w autorów z drugiej strony globu, prawie nie zauważyliśmy tego zjawiska. Dopiero tłumacze, Eugeniusz Dębski, Ewa Skórska czy Paweł Laudański, zwrócili uwagę polskiego czytelnika, że oto za naszą wschodnią granicą leży literackie El Dorado. Najpierw opowiadania w czasopiśmie, potem książki Łukjanienki, Kudriawcewa, nowe opowieści Bułyczowa pokazały, że warto po Wschód sięgać.

W wydawnictwie „Solaris” przedstawimy najlepsze rosyjskie powieści ostatnich lat, będą wspaniałe książki ukraińsko-rosyjskiego małżeństwa Diaczenków, powieści Łazarczuka, Łukina, Siniakina czy duetu ukrywającego się pod pseudonimem Oldi. Będą też następne książki Bułyczowa, który nadal pracowicie pisze i wydaje w dużych nakładach, między innymi tak lubiane przez Polaków opowieści guslarskie.

Ale ten dorobek powieściowy nie dałby nam pełnego obrazu potęgi rosyjskiej fantastyki, gdybyśmy zrezygnowali — wali z przedstawienia krótszych form, choćby małych powieści, jakie

ukazują się w autorskich zbiorach czy periodykach. Dlatego postanowiliśmy wydać serię antologii fantastyki, w których przedstawimy więcej nowych autorów z rosyjskiej sceny, w utworach, z których wiele zyskało prestiżowe na tamtejszym rynku nagrody. Następny tom będzie nosił tytuł „Mumia Lenina”, a w tym przedstawiamy pięciu autorów polskiemu czytelnikowi nieznanym.

Oleg Diwow pokazuje, że można pisać słowiańską urban fantasy, śmiejąc się przy okazji z żyjących polityków. To pełna akcji, żywiołowa fantasy, obalająca mit, że elfy to dobre i przychylne ludziom istoty (doprawdy, nie wiem skąd się wzięło to przekonanie, chyba tylko dzięki Tolkienowi, bo w różnych mitologiach są to raczej złośliwe stwory).

Nowela Diaczenków daje próbkę ich możliwości. Jest to duet, który w ostatnich pięciu latach zgarnia, obok Łukjanienki, najwięcej nagród, często w kilku kategoriach jednocześnie. Wyróżnia ich wspaniałe warsztat i rozbudowane psychologicznie portrety bohaterów. Zamieszczona tu nowela została zainspirowana wieścią o sklonowaniu owcy, ale nie brak w niej gorzkich słów prawdy o ludzkiej naturze.

Nowela Łukina sięga po stary motyw świata za lustrem, ale pokazuje go na odmienny sposób, jako świat skazany na „odbijanie” naszego, gdzie wszystko, z życiem włącznie, jest podporządkowane temu, byśmy — stojąc przed lustrem — nie zorientowali się, że gdzieś tam, za srebrną płytą, istnieje Zalustrze.

Nowela Miszy Achmanowa powstała niejako na nasze zamówienie. Siedząc w petersburskim mieszkaniu autora, przy suto, z typowo rosyjską gościnnością, zastawionym stole, nad bukłakiem ormiańskiego koniaku, rozmawialiśmy o pozycji pisarza w Rosji. O konieczności rozdziału pisania dla siebie i pisania dla pieniędzy. Misza największe sukcesy literackie święci jako autor książek o cukrzycy i tłumacz z angielskiego książek popularnonaukowych, ale z miłości do fantastyki i dla pieniędzy pisuje też historie o... Conan. Jako człowiek obdarzony poczuciem humoru, ucłowieczył howardowskiego geroja i obdarzył go słowiańską fantazją. Ale w opowiadanie o Kononowie, Misza wplótł wątki autobiograficzne, dodał humor oraz niechęć do „nowych Ruskich”. I wyszedł mu pastisz fantasy.

Ostatnie opowiadanie to tekst Julija Burkina, powstały na początku „głasności” i gorbaczowowskiej odwilży, niestety, aluzyjność opowiadania, wyraźne odnośniki do postaci z ówczesnej sceny politycznej, spowodowały, że cenzura zakazała jego publikacji, chociaż ukazywało się w samizdatkach. A jest to bardzo literacki, ciekawy tekst, trochę w nim bułhakowskiego klimatu.

Mam nadzieję, że ta pierwsza antologia współczesnej rosyjskiej fantastyki przybliży Państwu twórczość kilku pisarzy i przekona, że czas skończyć z embargiem na literaturę zza wschodniej granicy.

*Wojtek Sedenko*